

Santa Montefiore

Jaskółka i koliber

Rozdział pierwszy

Wiosna 1945 roku

Pani Megalith popatrzyła na zwłoki i ciężko westchnęła.

Co za nieprzyjemny, odstręczający widok, i to z samego rana...

Ciało było sztywne, zimne i wyglądało jak coś, co jedno z jej wnucząt mogło zrobić z papier mache na zajęciach plastycznych w szkole, ale nie był to głupi żart.

Ze zniecierpliwieniem klasnęła językiem o podniebie nie, włożyła szlafrok, chwyciła laskę i trąciła nią zwłoki.

Miała przed sobą kawałek mięsa w początkowym stanie rozkładu, rozpięty na szkielecie i pokryty futrem, dość zmierzwionym.

Patrząc na to, po myślała, jak brzydkie, wręcz odrażające jest ciało, nawet kocie ciało, gdy duch już odejdzie.

Widok truchła nie obudził w niej żadnych uczuć, no, może rozdrażnienie.

Miała tyle kotów, że już dawno straciła rachubę.

Wciąż pojawiały się nowe, chociaż poświęcała im nie wiele uwagi i nie nadawała imion.

Nie wiedziała, skąd i dlaczego przychodziły, nie ulegało jednak wątpliwości, że ściągała je do niej jakaś tajemnicza siła.

Pani Megalith była uzdolnioną wróżką, więc obecność kotów w jej domu była w gruncie rzeczy pożądana.

Podniosła kota z podłogi, zastanawiając się, dlaczego rozstał się ze światem właśnie w jej sypialni, i pokuśtykała korytarzem w kierunku schodów.

To był omen, zły znak, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

W kuchni znalazła Maksa, który przygotowywał sobie filiżankę owałtyny.

n .

- Co tu robisz o tej porze, drogi chłopcze?

- zapytała ze zdziwieniem.

Była szósta rano, a Max rzadko zjawiał się na dole przed ósmą trzydzieści.

- W moim pokoju leży zdechły kot - odparł spokojnie.

Nadal mówił z wiedeńskim akcentem.

Gdyby Hitler nie wiedział o płynącej w żyłach chłopca żydowskiej krwi, z pewnością mógłby go uznać za idealnego Aryjczyka - Max miał gęste, jasne włosy, błękitne oczy i inteligentną, wrażliwą twarz o regularnych rysach.

Mi mo nonszalanckiego sposobu bycia był myślącym, mądrym młodym człowiekiem, o osobowości bardziej złożonej, niż ktokolwiek mógł by sobie wyobrazić, pełnej mrocznych zakątków i głębokich rozpad lin, w których wiecznie drzemały cienie.

Max nie okazywał ukrytych w jego sercu emocji, ponieważ ojciec nie chciałby, aby obnosił się ze swoim lękiem czy bólem.

Chłopiec czuł, że ojciec wolałby, aby był silny jak Ruth, jego siostra, i uważał, że powinien do tego dążyć.

Zaśmiał się na widok martwego kota, którego pani Megalith trzymała czubkami palców.

Przywykł do kotów i traktował je jak część umeblowania.

Kiedy jako dziesięcioletni uchodźca w 1938 roku przyjechał do Elvestree House, trochę obawiał się tych nie zależnych stworzeń, które koczowały w całym domu i podejrzliwie obserwowały go ze wszystkich parapetów i stołów, lecz zaraz potem pani Megalith ofiarowała jemu i Ruth kociaka.

Max nie zdawał sobie sprawy, że nigdy więcej nie zobaczy rodziców, i bar dzo tęsknił za znajomym zapachem domu, tak więc mały, spragniony pieszczoł kot przyniósł mu pociechę.

- Ty także?

A niechże to...

- Pani Megalith potrząsnęła głową.

- Jeden zdechły kot nie wróży nic dobrego, ale dwa to prawdziwe zmartwienie...

Wyniknie z tego jakieś nieszczęście, jestem pewna...

Ale co mają mi powiedzieć te znaki?

Wygraliśmy już przecież wojnę, na miłość boską!

Zmrużyła oczy, tak samo jasnoszare jak kamień księżycowy, który zawsze nosiła na obfitym biuście, i znowu klasnęła językiem o podniebienie.

Max wziął zdechłego kota z jej ręki i położył go za tylnymi drzwiami do domu, obok tego, którego znalazł w swo jej sypialni.

Kiedy wrócił, pani Megalith siedziała na fotelu przy blaszanym piecyku.

72

- Zawsze dopatrujesz się we wszystkim ukrytego znaczenia, Primrose - powiedział.

- To najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, nic więcej.

Może pożarły trutkę na szczury.

Pani Megalith wyduła wargi.

- Wykluczone!

To omen, jasny jak kryształ!

- Wojna już się skończyła - rzekł Max.

- Hitler nie wróci.

- I dzięki Bogu!

Więc co z tymi kotami?

Na pewno nie chodzi o mnie, bo raz już z trudem wywinęłam się śmierci - rzekła pani Megalith, przypominając sobie, jak w czasie pobytu u siostry w Londynie o mało nie padła ofiarą niemieckiego nalotu.

Wtedy także znalazła zdechłego kota.

Jednak Primrose Megalith była niepokonana - z trafionej bombą domu wyszła cało, jedynie z lekką kontuzją nogi i w fatalnym humorze, lecz poza tym jest cze bardziej żywotna niż zwykle.

- Nie, ten omen nie ma nic wspólnego z wojną, wróży jakieś domowe problemy...

- ciągnęła, w zamyśleniu pocierając podbródek.

- George wraca dziś z Francji - zauważył Max.

Miał nadzieję, że zły znak nie dotyczy Rity, lecz George budził w nim zupełnie inne uczucia.

- Mój Boże, masz rację!

Starość to taki upokarzający stan...

Kiedyś miałam doskonałą pamięć, ale to pieśń przeszłości - prychnęła.

- No tak, młody George Bolton wraca do domu!

To prawdziwy cud, że chłopak przeżył, latając w tych puszkach...

Właśnie takim młodym ludziom zawdzięczamy, że nie musimy uczyć się niemieckiego, a ty ukrywać się na strychu do końca swoich dni.

Nie jest tam zbyt wygodnie...

Mimo wszystko i tak miał być nad nami pewną przewagę, bo płynnie mówisz po niemiecku, mój drogi.

- Starsza pani zamilkła na chwilę.

- Rita nie widziała George'a przez całe trzy lata...

- Długo, prawda?

- zapytał Max z nadzieją.

Beznadziejnie zakochał się w Ricie Fairweather w chwili, gdy po raz pierwszy ją zobaczył.

Dziecięce zauroczenie stopniowo przeistoczyło się w poważniejsze uczucie, lecz Rita była o trzy lata starsza od Maksa, a jej serce od dawna należało do innego.

- W czasie pierwszej wojny nie widziałam Denzila przez cztery lata i w niczym nie zmieniło to moich uczuć - mruknęła pani Megalith.

7-? .

- Ale ty masz niewiele wspólnego z normalnymi ludźmi - za żartował Max.

- Jesteś przecież czarownicą...

Twarz kobiety złagodził czuły uśmiech.

Prawie nikt nie śmiał żartować z Wiedźmy z Elvestree, wszyscy wiedzieli też, że źle znosi ona towarzystwo większości ludzi, lecz Max był w jej oczach kimś wyjątkowym.

Pani Megalith potrafiła zajrzeć do najciemniejszych zakątków jego serca, gdzie kryło się mnóstwo cierpie nia.

Nigdy nie zapomniała dnia, kiedy oddano jej pod opiekę dwoje małych wystraszonych cudzoziemców.

Kochała Maksa i Ruth całym sercem, mocniej niż swoje własne, uprzywilejowane dzieci, które nigdy nie zaznały strachu.

Stworzyła jednoosobową rodzinę dla dwojga wygnańców i troszczyła się o nich w zastęp stwie rodziców, którzy nie mogli już dać im tego, co się należy każdemu dziecku.

- Może i jestem czarownicą, mój drogi, ale to nie znaczy, że pod każdym względem różnię się od innych kobiet - powiedziała.

- Potwornie tęskniłam za Denzilem, chociaż naturalnie brałam so bie kochanków...

Max znacząco uniósł jedną brew.

- Śmieję się, śmieję!

- Pogroziła mu palcem.

- Możesz mi nie wierzyć, ale kiedyś byłam naprawdę atrakcyjną kobietą...

Chwilę oboje milczeli, ciesząc się wzajemną bliskością.

- Wracaj do łóżka, chłopcze - powiedziała w końcu pani Me galith, dźwigając się sztywno na nogi i wspierając na lasce.

- Wy glądasz na zmęczonego.

- Już nie ma sensu się kłaść.

- Max podniósł się i ruszył do drzwi.

- Zrobiło się widno, więc równie dobrze mogę grzebać koty...

- Wrzuć je w krzaki, mój drogi.

- Pani Megalith machnęła ręką, a jej pierścienie z kryształami zamigotały w promieniach słoń ca, przejrzyste jak landrynki.

- Wyjdę trochę na dwór, żeby nacie szyć się rankiem.

Dom Primrose Megalith był dużym, białym budynkiem o doskonałych proporcjach i symetrii.

Jedną część pokrywały różowe kwiaty klematisu, których płatki unosiły się na wietrze jak konfetti, drugą pnące róże oraz wistaria.

Przez otwarte okna widać było zasłony w kwiaty, doniczki pelargonii i śpiące na parapetach

lub wygrzewające się w słońcu koty.

Pani Megalith trzymała też dwie mleczne krowy, kury nioski, kurczęta oraz pięć białych kaczek, te ostatnie wyłącznie ze względu na przyjemność, jaką dawał jej widok dorodnych ptaków, z gracją pływających po stawie.

Ponieważ wielką słabość do pozbawionych przez naturę zdolności latania kaczek czuły też lisy, starsza pani zostawiała na całą noc włączoną mocną latarnię, której światło odstraszało drapieżniki.

Była zapaloną ogrodniczką, rośliny hodowała bez żadnego planu czy pomysłu, zasiewając je wszędzie, gdzie znalazła choćby odrobinę przestrzeni.

Z pomocą Nestora, starego ogrodnika, połowę trawnika obsiała makami, chabrami i najróżniejszymi gatunkami trawy, a zwarte szeregi róż otoczyła niezapominajkami.

Te ostatnie rozsiewały się same, nie zważając na granice między czarnuszką, dzwoniczkami i wilczomleczem.

Nasiona malw, przelane przez wiatr i ptaki, wpadały w przerwy między kamiennymi płytami tarasu, zapuszczały też korzonki nawet między cegłami w okalającym ogród murze.

Powietrze przepętniał słodki zapach siana i kwitnącej topoli oraz głęboki aromat dzikich dzwoneczków, których o tej porze nie brakowało w lasach powyżej domu.

Elvestree położone było u ujścia rzeki, stanowiącego siedlisko wszelakiego ptactwa, od szarych mew po czarne kormorany.

Ptaki gwarzyły się przez rozległe miedziny i szerokie plaże, gdzie od pływaków pozostawiał obfitość drobnych skorupiaków.

Pani Megalith zapatrzyła się na morze i horyzont, rozważając znaczenie śmierci dwóch kotów, złego znaku, który rzucił niewyraźny cień na skądinąd bezchmurny poranek.

Wiedziała, że Rita jest już na plaży i modli się o bezpieczny powrót George'a z Francji, bo to miało wywrzeć ogromny wpływ na jej przyszłość i stać się spełnieniem wszystkich marzeń.

Rita nie spała przez całą noc, gdyż oczekiwanie okazało się zbyt ekscytujące.

W ręku trzymała list z Francji, w którym George określił datę i porę powrotu.

Kartka była prawie przezroczysta, a słowa zatarte łagodną korozją miłości.

Dziewczyna siedziała na szczycie klifu, patrząc na morze, pniąc się pod skrzydłami krę75 .

żących tuż nad powierzchnią mew - to samo morze, które tak dłu go ich rozdzielało, a teraz miało sprowadzić George'a do domu.

Pomyślała, że tego dnia nawet blask słońca wydaje się piękniej szy i jaśniejszy, a niebo bardziej promienne i świetliste.

Rita po nad wszystko uwielbiała obserwować morze, które miało nastroje i humory, zupełnie jak człowiek - w jednej chwili spokojne i niewzruszone, w następnej szalejące z wściekłości, chociaż te wady były głębsze niż czykolwiek charakter.

Mimo zmiennej natury morze było stałe, godne zaufania i zdolne napełnić Ritę poczuciem lekkości ducha, z którą nic nie mogło się równać.

Widok niezmiernego oceanu dotykał samego sedna jej osobowości.

Czasami o zmierzchu, gdy zachodzące słońce malowało niebo w złociste i czerwone pasma, a morze leżało płaskie i prawie nie ruchome, jakby zastygłe w podziwie dla rozgrywającej się nad nim niebiańskiej sceny, Rita była prawie pewna, że Bóg istnieje.

Nie odległy Bóg, o którym uczyła się w szkole i w kościele, ale Bóg jej babki.

Bóg stanowiący integralną część morza, chmur, drzew, kwiatów, zwierząt, ryb, a także jej samej.

Czasami zamykała oczy i wyobrażała sobie, że jest ptakiem szybującym wysoko nad ziemią, pod wiatr, który łagodnie owiewa jej twarz i unosi włosy.

Rita kochała природę.

Gdy była dzieckiem, największą przyjemnością sprawiała jej lekcje botaniki - wszystkie inne uważała za trudne i pozbawione sensu.

Kiedy większość jej rówieśników na boisku uganiała się za piłką lub bawiła skakanką, Rita układała się na trawie i obserwowała biedronki, krople rosy czy liście.

Oswajała sikorki, karmiąc je orzechami z ogrodu ojca George'a.

Potrafiła godzinami szkicować insekty, z wielkim zaciekawieniem obserwując najdrobniejsze szczegóły ich budowy.

Miała niewielu bliskich przyjaciół, ponieważ prawie nikt nie miał dość cierpliwości, aby towarzyszyć jej podczas tych zajęć.

Ale dla swego uroku i łagodności była lubiana, chociaż powszechnie uważano ją za ekscentryczne dziecko.

Tego dnia myśli Rity zajęte były czym innym, nie zwracała uwagi na łagodne łuki, jakie zataczały nad jej głową mewy, czy na krzątanie się żuków, szukających pożywienia w trawie.

George wracał do domu.

Rita modliła się o bezpieczną podróż dla ukocha nego, szepcząc słowa wiatrowi, podobnie jak robiła to przez całą

16

wojnę, a szczególnie w tych bolesnych chwilach, gdy syn pastora Hammonda poniósł śmierć, a narzeczony Elsy Shelby zaginął w czasie powietrznej bitwy.

Tamtych spotkało nieszczęście, ale jej George został oszczędzony...

Rita wstydziła się głośno mówić o swojej wdzięczności, aby przypadkiem nie ściągnąć pecha na ukochanego, dziękowała więc Bogu szeptem, zagłuszonym przez grzmot fal i krzyki ptaków, niesionych przez silny wiatr.

Rozpo starła ramiona i pobiegła po piasku, naśladowując swoich skrzydła tych przyjaciół, z sercem wezbranym radością i nadzieją, tu, gdzie nikt nie mógł usłyszeć jej śmiechu i dziwić się jej dziecinnemu podnieceniu.

Rita znała George'a od dziecka, ponieważ ich rodzice się przyjaźnili.

George był o trzy lata starszy, więc chociaż chodzili do tej samej wiejskiej szkoły, nigdy nie uczyli się w jednej klasie.

Zawsze czekał na nią na dziedzińcu pod koniec dnia, odprowadzał do do mu, a potem wsiadał na rower i ruszał w dalszą drogę, ponieważ jego ojciec był farmerem i prowadził gospodarstwo położone kilka kilometrów od miasteczka.

To George nauczył Ritę grać w bierki, pokazał jej, jak szukać krewetek i innych skorupiaków w kałużach wody na plaży, a któregoś lata zademonstrował, jak rozpalić ognisko za pomocą okularów.

W dniu trzynastych urodzin Rity pocałował ją jako pierwszy, gdyż, jak oświadczył, nie chciał, aby uprzedził go inny chłopak.

On wziął na siebie wielką odpowiedzialność, aby łagodnie i delikatnie wprowadzić Ritę w świat seksu, wiedział bowiem, że nieprzyjemne przeżycie mogłoby ją na zawsze zniechęcić.

Trzymał ją w ramionach w ciemnej jaskini, która już wcześniej stała się ich szczególnym miejscem, i przyciskał usta do jej warg, słuchając, jak przyływ wkrada się do wnętrza, a następnie odchodzi, zabierając ze sobą ich tajemnicę.

Odkryli wtedy nowy wymiar swojej przyjaźni i z entuzjazmem dwojga dzieciaków, zachwyconych nową zabawką, starali się jak najczęściej odwiedzać jaskinię i godzinami wymieniać po całunki i pieśczoły, bez obawy, że rozkoszne doznania zakłóci cokolwiek poza mewami, które czasami nieoczekiwanie wpadały do Jaskini.

George zawsze pragnął latać.

On także uwielbiał siedzieć na szczycie klifu i obserwować, jak ptaki zataczają koła ponad falami.



mi. Przyglądał się, jak zrywają się do lotu i osiadają na powierzchni wody, i przekonywał Ritę, że pewnego dnia wzbije się w górę tak jak one, tyle że w kabinie samolotu.

Kiedy wybuchła wojna, natychmiast wykorzystał szansę na zrealizowanie tego marzenia, nie zważając na wiążące się z tym ryzyko utraty życia.

Był wtedy bardzo młody i przekonany o nieśmiertelności.

Nie wyobrażał sobie, by mógł zrezygnować z wielkiej przygody, a Rita była z niego dumna.

Patrzyła na unoszące się wysoko ptaki i myślała o ukochanym.

Ale gdy czasami jej spojrzenie zatrzymywało się na ustrzelonych przez ojca bażantach i kuropatwach, wtedy umierała ze strachu, że podobny los mógłby spotkać George'a.

Siadywała na skale w jaskini i wspominała gorące pocałunki.

Przywoływała z pamięci korzenny zapach skóry George'a, jego włosów i ubrania; wyobrażała sobie, że George staje w progu jej skłoni, a jego obecność sprawia, że ukształtowane przez naturę pomieszczenie wydaje się małe i ciasne.

Wyobrażała sobie ukochałego, zapalającego papierosa, przeczesującego palcami kręcone ciemne włosy, patrzącego na nią szarymi oczami i uśmiechającego się uniesieniem jednego kącika ust, w nieco ironiczny, zabawny sposób.

Przypominała sobie jego mocno zarysowaną, wysuniętą dolną szczękę i zmarszczki, rozchodzące się promieniście ku skroniom.

Zastanawiała się nad istotą łączącą ich więzi i z radością rozmyślała o przyszłości, która wydawała się pewna i bezpieczna, ponieważ miała źródło w przeszłości.

Wyobrażała sobie, że zestarzeją się razem na tej plaży, w tej jaskini, w małej wiosce w Devonie, usianej niezatartymi śladami ich dziecięcych stóp.

Po powrocie do domu zastała matkę mieszającą na kuchni owsiankę.

Jej ufarbowane na kasztanowy brąz włosy nawinięte były na walki, a pulchną postać spowijały fałdy szlafroka w kolorze wędnej róży.

- Nie mogę uwierzyć, że to już piątek, kochanie - powiedziała do Rity.

- Myślałam, że nie doczekamy się tego dnia, po tych wszystkich latach...

Jestem strasznie wzruszona...

- Odłożyła drewnianą łyżkę i serdecznie uściśnęła córkę.

- Niech ci Bóg błogosławi, moja droga - dodała poważnie, odsuwając się na odległość ramienia i patrząc na Ritę wilgotnymi ze wzruszenia oczami.

- W niedzielę musisz pójść do kościoła z najszczerzą wdzięcznością w sercu...

Tyłu dziewczętom nie dane będzie zaznać tego szczęścia...

Trees i Faye na pewno są nieprzytomni z radości.

Po myśleć tylko, że ich syn wreszcie wraca do domu...

Ach, serce mi się ściska...

- Odwróciła się do kuchni, otarła oczy i pociągnęła nosem.

Hanna Fairweather była bardzo sentymentalną kobietą.

Miała szeroką, miłą twarz, jasne oczy, łatwo napętniające się łzami, zwłaszcza w sytuacjach związanych z jej dziećmi, oraz duże, miękkie piersi, którymi karmiła każdą z trzech córek przez ponad rok.

Należała do kobiet stworzonych do macierzyństwa, których jedynym życiowym celem jest wychowanie dzieci z miłością i dumą.

Hanna jak sroka zbierała i przechowywała mnóstwo pamiątek wych. rzeczy - pierwsze buciki Rity, pierwszy rysunek Maddie, lok Eddie.

Na gzymsach i parapetach tłoczyły się przedmioty, które osobie postronnej mogły wydać się pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, lecz w oczach właścicielki zyskiwały niezwykłą wagę, tworząc najprawdziwsze muzeum jej przeszłości.

Duży dom rodziny Fairweather znajdował się w małej nadmorskiej wiosce Frogmal Point, ukryty za wysokimi żywopłotami z krzewów iglastych i za pięknymi modrzewiami, otoczony zadbanym ogrodem, w którym zawsze śpiewały ptaki.

Najmłodsza córka Hanny skończyła już czternaście lat i całe dni spędzała w szkole, więc ptaki, które kobieta cierpliwie oswajała i karmiła, były dla niej jak dzieci.

Samiczka słowika, która uwiła gniazdko w spletanych gałązkach tui, wesoła sikorka, która przyleciała jej sienią i jadła okruszki prosto z ręki Hanny, oraz jej ulubione jaśki, wracające z każdą wiosną, aby zbudować gniazdko pod daszkiem ganku...

Łagodna i skromna jak szare, pospolite wróble, Hanna miała dobre, miękkie serce, jak to się często zdarza w przypadku dzieci dominujących matek.

- Ciekawe, z jakiego powodu nasza Rita tak promienieje dziś rano...

- odezwał się Humphrey, którego do kuchni zwabił aromat owsianki i przypiekających się grzanek.

Niski i krępy Humphrey miał na sobie szare spodnie, białą koszulę i szkarłatne szelki; był prawie łysy - tylko nad uszami pieściło się kilka gęstych, siwych loczków.

Pochylił się, pocałował córkę w skroń i poklepał ją ciepłą ręką po plecach.

- Była na plaży - odparta Hanna.

Humphrey zajął miejsce u szczytu stołu i nalał sobie filiżankę herbaty.

- Nie ma to więc nic wspólnego z powrotem George'a?

- za śmiał się i otworzył dziennik "Southern Gazette", który od lat wydawał.

Chrząknął z aprobatą, ogarnawszy wzrokiem pierwszą stronę, ozdobioną dużą fotografią młodej kobiety, całującej powracające go z wojny żołnierza.

Pomyślał, że jeżeli George będzie miał w za nadru jakież interesujące opowieści o szaleńczej odwadze i zapie rających dech w piersiach przygodach, on z radością je wydrukuje.

Ludzie byli teraz spragnieni historii o bohaterskich czynach i zwycięstwie.

- Jestem okropnie podekscytowana, tato, ale równocześnie przestraszona...

Humphrey zerknął na córkę znad gazety.

- Nie masz powodu się bać, kochanie.

George zostanie bez pieczeni dowieziony do domu.

- Nie, nie o to mi chodzi...

- Rita przerwała, skubiąc palcami grzanekę.

- Nie sądzisz chyba, że George się zmienił, co?

Hanna nałożyła porcję owsianki do miseczki męża.

- Oczywiście, że się zmienił - powiedziała.

- Jest teraz mężczyzną, nie chłopcem.

Rita uśmiechnęła się i zarumieniła.

- Mam nadzieję, że go nie rozczaruję...

- Na pewno nie, kochanie!

- Humphrey roześmiał się i znowu zniknął za płachtą gazety.

- Kojarzysz mu się z powrotem do do mu, podobnie jak mnie kiedyś twoja matka.

Nie należy tego lek ceważyć.

- Pamiętam, jak wasz ojciec wrócił znad Dardaneli - odezwała się Hanna.

- Był taki brązowy, że z trudem go poznałam, no i po twornie wychudzony.

Musiałam go odkarmić, zupełnie jak kurczęta mojej mamy, ale bardzo szybko znowu do siebie przywykliśmy.

Daj George'owi trochę czasu na adaptację i ciesz się, że będzie już w domu, blisko ciebie.

Wojna uczy, że nie liczy się nic poza ludźmi, których kochamy.

Przez wszystkie te lata byłeś dla niego jak koło ratunkowe, skarbie...

- Głos Hanny się załamał.

Zakasłała,

aby to ukryć, jednocześnie wracając myślami do okropności pierwszej wojny światowej i okaleczonych, znękanych duchowo żołnierzy, którym dane było z niej powrócić.

- Gdzie jest Eddie?

Spóźni się do szkoły, jeżeli zaraz nie wstanie!

Hanna wypadła z kuchni, aby obudzić najmłodszą córkę.

Kiedy Eddie zeszała na dół, na wpół przytomna, wymamrotała "dzień dobry" i dopiero po paru chwilach przypomniała sobie o powrocie George'a.

- Na pewno szalejesz z podniecenia, Rito!

- powiedziała, buńcząc się.

- Nie będziesz chyba protestowała, kiedy zechce się z tobą kochać, prawda?

Znad brzegu gazety ukazała się zaskoczona twarz Humphreya, Hanna zaś odwróciła się od kuchni i z przerażeniem spojrzała na swoją czternastoletnią córkę.

- Eddie!

- jęknęła.

- Humphrey, powiedz coś!

Humphrey ściągnął brwi.

- Co ty wiesz o miłości fizycznej, Eddie?

- zapytał, zastanawiając się, kto zatrul umysł jego córki.

- Narzeczony Elsy Shelby wrócił z wojny tydzień temu i jeszcze tego samego dnia kochali się, wiem o tym od Amy...

Młodsza siostra Elsy Shelby była równie niedyskretna jak Eddie.

- A co może wiedzieć mała Amy?

- Hanna oparła ręce na bio drach, potrząsając głową tak mocno, że wałki o mało nie powypa dały jej z włosów.

- Elsa powiedziała jej, że miłość przypomina kąpiel w wannie pełnej ciepłego miodu - Eddie uśmiechnęła się łobuzersko, wi dząc, że na twarzy ojca pojawia się lekki uśmiech.

- Moje drogie dziecko...

- zaczęła surowo Hanna, ignorując wyraźne rozbawienie męża.

- Celem miłości fizycznej jest płodze nie dzieci w ramach związku małżeńskiego...

- Przecież oni są zaręczeni!

- Eddie uśmiechnęła się do siostry, która nagle zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- Poza tym Elsa myślała, że jej ukochany zginął...

- Tak czy inaczej, powinni byli poczekać!

- prychnęła Hanna.

- Czy parę miesięcy to tak długo?

- George i Rita także niedługo się zaręczą.

- Eddie zwróciła się do Rity.

- Powiesz mi, jak to jest, kiedy już to zrobisz, prawda?

Rita pozwoliła, aby długie, brunatne włosy opadły jej na twarz, i skrzywiła się z zażenowaniem.

- Edwino, jedz śniadanie, bo spóźnisz się do szkoły.

- Hanna pośpiesznie zmieniła temat.

Przywykła już, że Eddie mówi, co myśli, i nie zastanawia się, czy postępuje właściwie.

Dziewczyna odziedziczyła tę cechę po babce.

Eddie przez chwilę patrzyła, jak matka nakłada dla niej porcję owsianki, potem zaś zerknęła na ojca, który obserwował ją z po błazliwym uśmiechem.

- Czy naprawdę musisz siadać do stołu z Harveyem?

- Wes tchnęła Hanna na widok małego czarnego nietoperza, uczonego go rękawa wełnianego swetra Eddie.

- Mówiłam ci, mamo, że Harvey nie lubi zostawać sam.

Bar dzo się do mnie przywiązał.

Hanna sięgnęła po filiżankę i przełknęła łyk słabej herbaty.

- Wojna się skończyła, to prawda, ale upłynie jeszcze sporo czasu, zanim życie w tym kraju wróci do normy.

Och, dałabym wszystko za filiżankę prawdziwej, mocnej herbaty z normalną porcją cukru!

Maddie była dziewiętnastoletnią młodą kobietą o niezależnym usposobieniu, nie widziała więc potrzeby, aby wstawać z łóżka o tak nieludzkiej porze.

Rodzice zachęcali ją, aby znalazła sobie jakieś zajęcie, lecz jej bynajmniej nie śpieszyło się do pracy.

Była pewna, że wkrótce znajdzie męża i wtedy nie będzie musiała pracować.

Widziała, jak Rita codziennie rano wychodzi do pracy na farmie Treesa Boltona i wraca wieczorem, z brudnymi po łokcie rękami i potarganymi, zakurzonymi włosami, przesyconymi zapachem krów i nawozu, i dziękowała losowi, że udało jej się uniknąć takich przykrości.

Mnóstwo ludzi ciężko pracowało, ale Maddie nie czuła się w obowiązku dołączyć do ich grona.

Straszna szkoda, że robotnicy z farmy byli tacy starzy i nieatrakcyjni, bo gdyby byli młodzi i przystojni jak ci amerykańscy żołnierze, którzy stacjonowali w okolicy podczas wojny, Maddie zapewne poświeciłaby się podnoszeniu morale znękanym wojną przystojniaków, najlepiej na sianie...

Przewróciła się na plecy i pomyślała, że warto byłoby pomać paznokcie i ułożyć sobie nową fryzurę.

Nagle drgnęła, uświadomiwszy sobie, że właśnie tego dnia George Bolton wraca do domu.

Narzuciła szlafrok i bez pośpiechu zeszła na dół, gdzie Rita i ojciec właśnie zbierali się do wyjścia.

- Powodzenia, siostrzyczko - rzuciła Maddie.

- Będę o tobie myślała.

George wraca o czwartej, tak?

Nie zapomnij wyjść z pracy wcześniej, żebyśmy mogły cię uczesać - dodała, krytycznie przyglądając się zaniedbanym włosom Rity.

Cóż, Rita zawsze była tak samo naturalna jak morze, które kochała ponad wszystko, a jej włosy opadały splątane niczym morskie wodorosty.

- Pomogę ci.

Musisz zrobić wrażenie na George'u.

- Maddie odwróciła się do matki, przybierając wzruszony wyraz twarzy.

- Jakie to roman tyczne, mamo...

Rita odjechała na rowerze, Humphrey swoim samochodem marki Lee Francis, Eddie niechętnie ruszyła pieszo do szkoły w towarzystwie nieodłącznego Harveya, natomiast Maddie została w domu z matką i postanowiła zjeść resztki owsianki, teraz już zimnej i pokrytej grubym, mało apetycznym kożuchem.

Hanna nie miała serca powiedzieć Ricie, aby sprzątnęła swój pokój, i celowo nie zwróciła jej uwagi, że byle jak uczesała włosy.

Rita może i nie była pedantką, ale przynajmniej nie leniła się tak jak Maddie...

Hanna z westchnieniem odwróciła się do średniej córki.

- Co zamierzasz dziś robić?

- zapytała, zastanawiając się, jak zachęcić dziewczynę do pożytecznego spędzenia czasu.

Maddie skrzywiła się lekko i odgarnęła do tyłu opadające na czoło włosy.

- Zrobię sobie nową fryzurę - odparła, skubiąc kawałek grzanika, dokładnie tak samo jak starsza siostra.

- Czy to konieczne, moja droga?

- Ja także chcę ładnie wyglądać na przyjazd George'a!

- oświadczyła Maddie, doskonale wiedząc, że George nie ma nic wspólnego z jej planami.

- Pomyślałam, że mogłabym uczesać się tak jak Lauren Bacall...

No, a w ogóle to jutro wieczorem Boltonowie wydają przyjęcie na cześć George'a i nie wiadomo, kto tam .



może się zjawić, prawda?

Może spotkam mężczyznę, który jest mi pisany, więc chyba lepiej, żebym była przygotowana...

- Może pojechałabyś ze mną do Megababci?

- zagadnęła Hanna.

Humphrey dość nieuprzejmie nadał pani Megalith ten przydołek wiele lat temu.

- W lesie kwitną już dzwonki i ogród babci wygląda naprawdę przepięknie - ciągnęła.

- Mogłybyśmy zjeść z nią lunch, w ten sposób czas szybciej minie...

Maddie zmarszczyła nos.

- Znowu będzie się upierała, żeby mi powróżyć - mruknęła.

- I powie ci, żebyś wzięła się do jakiejś pracy.

Maddie przewróciła oczami.

- Megababcia nigdy nie mówi mi tego, co chciałabym usłyszeć - poskarżyła się.

- To dlatego, że nie zniża się do kłamstw.

- Hanna zaczęła sprzątać po śniadaniu.

- Przecież wiesz, jaka jest babcia, traktuje karty z największą powagą.

- Oto narzędzie działania ducha...

- wygłosiła Maddie, naśla dując głęboki głos babki.

- Dobrze, pojedę, ale tylko dlatego, że nie mam nic lepszego do roboty...

Maddie serdecznie żałowała, że Amerykanie wrócili już do siebie.

Uśmiechnęła się pod nosem na myśl, że większość z nich wyruszyła w drogę do żon i narzeczonych z jej zdjęciem w kieszonkach na piersi.

Hanna i Maddie pojechały do pani Megalith na rowerach, po nieważ o benzynę nadal było bardzo trudno.

Wiosna zalała oko licę falą barwnych kwiatów i pomalowała drzewa i krzewy świeżą zielenią.

Wśród młodych liści i traw jaśniały różowe pąki głogu i białe kwiaty jabłoni.

Lazur nieba usiany był małymi białymi chmurkami, podobnymi do zwiewnych kłaczków piany.

Hanna z radością syciła oczy cudownymi widokami, czując obecność Boga w pięknie i sile natury.

- Czyż ten różowy kryształ nie jest wspaniały?

- odezwała się pani Megalith, kiedy jej córka i wnuczka weszły do domu kuchennym wejściem.

Obrzuciła je uważnym spojrzeniem znad okularów i obdarzyła ciepłym uśmiechem.

Maddie popatrzyła na kryształy wszystkich barw i wielkości, ułożone rzędami na kuchennym stole, i skrzywiła się, czując intensywny koci zapach.

- Po co ci te kamienie?

- zapytała, jak zwykle nieprzyjemnie zaskoczona ekscentrycznością babki.

Odkąd pani Megalith w okresie międzywojennym odwiedziła Indie, obsesyjnie interesowała się wieloma dziwnymi rzeczami.

- To, na przykład, jest kamień łagodnej miłości - odparła Megalith, unosząc różowy kryształ.

- Emanuje miękką jak jedwab, uspokajającą energią, przywraca uczuciom harmonię i klarowność, trzeba go tylko porządnie umyć...

Oczyszczę go w wodzie z solą i na dwadzieścia cztery godziny zostawię w ogrodzie, żeby nasycił się siłami przyrody.

Odzyska wtedy właściwą sobie moc...

- Pieszczotliwie pogładziła przejrzysty kamień.

- Nadal się obijasz, Madeleine?

Maddie przewróciła oczami.

- Zamierzam wyjść za bardzo bogatego mężczyznę, żeby nie musiała pracować - oznajmiła, prowokacyjnie unosząc brwi.

- Może się to okazać trudniejsze, niż sądzisz - odrzekła pani Megalith, opuszczając głowę i zgniatając swoje liczne podbródki w obfitą harmonijkę.

- Mam nadzieję, że zauważyłaś, iż do piero co skończyła się wojna...

Jak tam Rita?

- zwróciła się do Hanny.

- Chyba przydałby się jej różowy kryształ - mruknęła Maddie, z roztargnieniem obracając w palcach fulguryt.

- Jest bardzo przejęta - rzekła Hanna.

- Wątpię, czy będzie dziś w stanie zrobić coś pożytecznego na farmie...

- Kochane dziecko...

Mam nadzieję, że młody George ożeni się z nią tego lata, bo naprawdę okazała się wzorem cierpliwości.

Po daj mi laskę!

- Przywołała wnuczkę machnięciem upierścienionej dłoni i z pewnym wysiłkiem dźwignęła się na nogi.

Jej błękitna suknia opadła jak namiot z potężnych ramion i wielkich piersi.

- Chodźmy do ogrodu, moje drogie.

Jest tam jak w raju...

Poszły korytarzem, odprowadzane wzrokiem przez koty, wy grzewające się w słońcu na wszystkich okiennych parapetach.

Maddie kichnęła.

Nie przepadała za tymi zwierzętami.

Pani Megalith przypomniała sobie nagle o dwóch zdechłych kotach.

- Powiedzcie Ricie, żeby wpadła do mnie jutro, chcę jej powróżyć.

Nie pytajcie, o co chodzi, bo sama nie wiem...

Czuję tylko, że czeka ją jakaś zmiana.

Myślę, że przyda jej się teraz parę wskazówek od starej czarownicy.

- Gdybyś żyła kilkaset lat temu, babciu, na pewno spaliliby cię na stosie.

- Wiem, skarbie, wiem...

Spalono mnie w czasie działania hiszpańskiej inkwizycji i nie było to przyjemne, ale potem wróciłam i żyłam jeszcze wiele razy...

Prawda przetrwa nawet w płomieniach, tak, tak...

Pewnego dnia ludzie przestaną obawiać się siły, która drzemie w nas wszystkich, nawet tacy sceptycy jak twój Humphrey, Hanno.

Nawet tacy jak on...

Spacerowały po ogrodzie, podziwiając "sprytnie maleństwa", które wysiały się i wschodziły w tak trudnych miejscach jak pęknięcia w murze i pomiędzy płytami tarasu, potem karmiły kaczki, z wyraźną przyjemnością pływające pod topolami i płaczący mi wierzby.

Kiedy usiadły na tarasie, pani Megalith podała im nalewkę z czarnego bzu, który sama przygotowywała.

Wydawało się, że wojna nie tknęła Elvestree House, gdzie nawet w najgorszych czasach nie brakowało jaj, mleka i sera.

Pani Megalith wyłuszczała masło na mięso i ryby, czasami też udawało jej się bardzo tanio kupić na czarnym rynku kartki na produkty spożywcze.

W swojej szklarni hodowała nawet banany, przypisując całą zasługę za to niezwykle osiągnięcie rozłożonym wśród drzewek kryszałkom.

W Elvestree wszystkie rośliny dawały obfite plony, a ogród Megababci, ku irytacji Hanny, był ulubionym miejscem pobytu ptaków, nawet tak rzadkich jak maskonury i pliszki, które zasadniczo nie zatrzymywały się na terenie Anglii.

Z jakiegoś powodu Elvestree było prawdziwym rajem dla wędrownych ptaków, choć niektóre musiały zbaczać o wiele kilometrów ze swoich tras, aby tam dotrzeć.

Trzy panie zjadły smakowity lunch, złożony z pieczonego, so

czystego kurczaka i domowych warzyw, a potem Hanna i Maddie pomogły Megababci oczyścić kryształ.

Zanim wyniosły je do ogrodu, powietrze stało się nieco ostrzejsze, a światło łagodniej sze, bardziej rozproszone.

Wszystkie równocześnie spojrzały na zegarki.

Była już trzecia trzydzieści, a one prawie nie zauważyły upływu czasu.

- Dobry Boże, Hanno!

- jęknęła pani Megalith, nerwowo szar piąc koraliki, do których przywiązała okulary, żeby ich nie zgubić.

- George!

- Obiecałam, że ją uczeszę!

- przeraziła się Maddie, nagle ogar nięta wyrzutami sumienia.

Babka odwróciła się i ostro skarciła ją za płochość.

- George nie będzie przecież przyglądał się jej włosom, moja droga!

Kocha ją taką, jaka jest!

## Rozdział drugi

Rita stała na przystanku autobusowym i ogryzała paznokcie.

Chociaż otaczała ją rodzina George'a, czuła się bardzo samotna, wręcz odizolowana na wysepce strachu, podniecenia i nadziei.

Pa trzymała na Treesa i Faye Boltonów, i wiedziała, że oni odczuwają to samo.

Zawsze istniała możliwość, że George'a nie będzie w auto busie, że w drodze z Francji spotkało go coś złego.

Z ich napiętych twarzy i nerwowych uśmiechów można było wyczytać wielki niepokój.

Obok rodziców stała siostra George'a, Alice, wraz z dwójką swoich dzieci.

George nie był jedynym młodym mężczyzną, który tego dnia miał wrócić z wojny, więc na przystanku czekały także inne rodziny.

Wszyscy, pełni obaw, okazywali ostrożny optymizm.

Powietrze wibrowało napięciem i podnieceniem, łączącym oczekujących.

- Czuję się jak na mękach - powiedziała Faye do Rity.

- Jestem taka zdenerwowana, że nie wiem, co robić...

Rzuciła zatroskane spojrzenie na córkę, której mąż, Geoffrey, nie został jeszcze zdemobilizowany, i zrobiło jej się żal Alice, za wsze spokojnej, skromnej i gotowej w każdej chwili ustąpić niecierpliwemu i impulsywnemu George'owi, przyciągającemu uwagę całej rodziny.

Faye nigdy nie musiała martwić się o Alice, która dzięki filozoficznemu podejściu do życia płynęła wraz z prądem,

bez trudu omijając niebezpieczne skały i wiry.

Przyrzekła sobie, że już niedługo skupi uwagę na córce, ale jeszcze nie teraz.

Ten dzień należał do George'a.

Faye miała piękną twarz, prawie nienaznaczoną wiekiem; jej skóra była delikatna jak świeżo wyczesana bawełna i zupełnie wolna od zmarszczek.

Jasne włosy wiązała w luźny kok i ta fryzura podkreślała piękne linie policzków i podbródka.

Oczy Faye, kolo ru nieba w mglisty poranek, często wzbierały łzami, gdy słuchała pięknej muzyki czy smutnych historii lub gdy oglądała przema wiające do jej wyobraźni obrazy.

Faye uwielbiała Tolstoję, Puszkina i Oscara Wilde'a.

Tylko jej dłonie zdradzały, czym się zajmowała, były bowiem zniszczone i wiecznie spierzchnięte, potrafiły jednak wyrzeźbić z gliny dosłownie wszystko.

Zawsze mówiła, że zamierza sprzedawać swoje rzeźby (Boltonowie nie narzekali na nadmiar pieniędzy), lecz zbyt szybko się do nich przywiązywała.

- Tworzę je z miłością, więc są teraz częścią mnie - mawiała, ustawiając dzieła swoich rąk wśród książek, zdjęć, nut utworów, które grała na fortepianie, wciąż od nowa budując chaotyczny kalejdoskop, złożony ze wszystkiego, co było jej drogie.

Trees w milczeniu otoczył jej talię ramieniem.

Wysoki i bardzo szczupły, o długich ramionach i nogach, otrzymał przydomek Trees, czyli Drzewa, z powodu drzew orzechowych, których hodowanie było jego wielką pasją.

Całymi dniami doglądał inwentarza żywego i całego gospodarstwa, chodząc wszędzie razem ze swoim ulubionym psem pasterskim, suką Mildred.

Trees miał szlachetną twarz o regularnych rysach, jakiej z pewnością nie po wstydziliby się niejedno rzymskie popiersie, wąski nos i głęboko osadzone oczy w ciepłym odcieniu brązu.

Faye instynktownie przytuliła się do niego.

Kochała Treesa, lecz nigdy nie udało jej się trafić do jego serca.

Trees zachowywał dystans w stosunku do ludzi i znacznie bardziej interesował się orzechami włoskimi niż swoimi bliskimi.

Faye nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia, że ma kochankę.

Każda kobieta potrzebuje miłości i Faye nie stanowiła pod tym względem wyjątku.

Miłość była dla niej nieodłączną częścią muzyki i sztuki, a ponieważ wszystkie uczucia skupiała na tworzeniu rzeźb i graniu ulubionych utworów muzyki, próżno oczekiwała wzajemności.

Lekko dotknęła ramienia Rity.

- Oczekiwanie szybko się skończy - powiedziała.

- Pojedziesz z nami, prawda?

Po podwieczorku George odwiezie cię do domu...

Rita skinęła głową i nagle wstrzymała oddech, ponieważ ponad ramieniem Faye ujrzała zbliżający się dostojnie autobus.

Wszyscy umilkli i odwrócili się.

Wydawało się, że autobus po rusza się w zwolnionym tempie; oczekujący na przystanku wyciąg nęli szyje i pochylili się do przodu, żeby zajrzeć do środka, przed oczami mieli jednak tylko mgłę wzruszenia i przywołane z pamięci ci twarze młodych mężczyzn, których kochali i za którymi tęsknili.

Wreszcie ciszę rozdarł zgrzytliwy pisk hamulców i głucho uderzenie otwieranych drzwi.

Rodzina, której syn pojawił się na stopniach jako pierwszy, wybuchnęła radosnym gwarem; wszyscy rzucili się naprzód jak fala i zaraz się cofnęli, pociągając młodego żołnierza ze sobą.

Po chwili podobne przyjęcie zgotowano dru giemu, potem trzeciemu i czwartemu, i w końcu, kiedy Rita już prawie uwierzyła, że jej przerażające sny się spełnią, u szczytu schodów pojawił się George, z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem.

Z ostatniego stopnia skoczył prosto w ramiona matki.

Był du żo wyższy od Paye, musiał więc pochylić się, aby wtulić twarz w załomek jej szyi i napełnić nozdrza znajomym zapachem dzie ciństwa.

Ojciec poklepał go po plecach, trochę za mocno, nie wsty dząc się błyszczących od łez oczu.

Alice wzięła na ręce dwuletnią córeczkę i George objął je obie, potem zaś przykucnął, żeby uca łować małego chłopca, którego widział tylko jeden raz.

Zachwy cony i przejęty widokiem nieznanego w starannie wyprasowa nym mundurze RAF, dzieciak mocno otoczył ramionami nogi matki.

George wyprostował się i potoczył wzrokiem po tłumie.

Dopie ro teraz ujrzał pobladłą twarz ukochanej.

Jego gardło ścisnęło się mocno, boleśnie.

Rita stała zupełnie nieruchomo, tylko wiatr po ruszał jej włosami, podrzucając je wysoko i płacząc wokół szyi.

Pa trząc na nią w skupieniu, George przedarł się ku niej i z ogrom ną czułością, jakby podnosił dzikiego ptaka, wziął ją w ramiona i ostrożnie przytulił do piersi.



Zamknął oczy i wtulił twarz we włosy ukochanej, raz po raz powtarzając szeptem jej imię.

Po po

liczkach Rity popłynęły łzy, nie czuła jednak wstydu, lecz obez władniającą ulgę.

George odsunął się na odległość ramienia i delikatnie ujął jej podbródek, potem zaś złożył gorący pocałunek na wargach.

Rita nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia - pieszczotliwy dotyk George'a był inny, bardziej namiętny i czuły.

Dolną część jego twarzy pokrywał kłujący zarost, dłonie były suche i stwardniałe, i nawet zapach skóry miał w sobie inną, jakby odrobinę zwierzęcą nutę.

Rita zrozumiała nagle, że jej matka miała rację - George wyjechał jako chłopiec, lecz wrócił jako mężczyzna.

Ta myśl sprawiła, że krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach, a po całym ciele przebiegł dreszcz dziwnego, prymitywnego podniecenia.

Trees przyjechał do miasta półciężarówką, więc on, Faye i Alice z dziećmi usiedli z przodu, zostawiając Ritę i George'a z tyłu, gdzie wiatr szarpał ich włosy i rzucał im je prosto w oczy.

George oparł się plecami o kabinę, nie wypuszczając Rity z objęć i opie rając brodę o czubek jej głowy.

- Całymi latami marzyłem o tej chwili...

- zamruczał.

- Uszczypnij mnie!

- Roześmiała się cicho.

- Nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę...

Uścisnął ją mocno i pocałował w szyję.

- Nosilem twoje zdjęcie ze sobą i patrzyłem na nie, ilekroć ogarniało mnie przygnębienie.

Ciągle za tobą tęskniłem, twoje li sty trzymały mnie przy życiu...

- Przytulił ją mocniej i westchnął.

- Tu jest jak w raju...

Anglia wygląda piękniej, niż ją zapamiętałem...

- Zawiesił głos.

-1 ty także...

Oboje zdawali sobie sprawę, że od jego najbliższych oddziela ich tylko szyba, zadowalali się więc skromnymi pocałunkami i ci cho szeptanymi czułościami.

- Pachniesz fiołkami...

- powiedział George, wachając jej skórę - Chcę cię całować całą, wszędzie...

Zaśmiała się nerwowo, nie poznając dziwnych cieni w jego oczach.

Przesunął palcami po jej ramieniu i po cienkim materia le sukienki, której spódnice wydymał wiatr, odsłaniając smukłe dziewczęce łydki i kostki.

Zauważył, że nieco przytyła, a jej pier si stały się pełniejsze, lecz otwarta twarz i złocistobrązowe oczy nadal promieniały dziecinną pogodą ducha.

Rita nie zmieniła się,

?7 .

lecz on tak, i nagle poczuł się zmieszany i zawstydzony w obliczu takiej czystości i niewinności.

Co się z nim stało?

Jak nisko upadł, jaki poziom zdeprawowania osiągnął?

Ilu ludziom odebrał życie?

Czuł się wewnętrznie zbrukany, miał wrażenie, że idąc na wojnę, powierzył duszę diabłu, a teraz upomina się o jej zwrot, nie rozumiejąc, iż jest to zwykajnie niemożliwe, bo diabeł nie działa w taki sposób.

George pojął nagle, że nie jest w stanie wymazać czynów, jakie popełnił.

Wojna zmieniła go w nieodwracalny sposób i mógł jedynie tęsknić za chłopcem, którym kiedyś był.

Nie dość, że sam pozbawiał życia innych, patrzył też na brutalną śmierć ludzi, którzy stali się mu bliscy jak bracia.

Zszedł na dno swojego prywatnego piekła, opłakując stratę przyjaciół, drząc o własne życie i obawiając się nieuniknionej pustki unicestwienia.

Zmieniła się także jego hierarchia wartości.

Liczyły się tylko miłość i życie, no i sztuka zapominania...

Jak jednak mógł się spodziewać, że Rita zrozumie przemianę, jaka w nim zaszła?

Popa trzymał w jej ufne oczy i postanowił, że ożeni się z nią i zapewni sobie nieśmiertelność, powołując do życia dużo dzieci.

Jeszcze niedawno ryzykował życie, aby ratować ojczyznę przed nazistami.

Czyniąc to, stracił chłopięcy sposób postrzegania świata i niewinne nadzieje młodości.

Na farmie słodki zapach krów mieszał się z aromatem żywnych, budzących się do życia pól.

George zeskoczył na ziemię, aby chwycić w ramiona Mildred, radośnie ujadającą przy bramie.

Trees zaparkował wóz obok krzaka różowego głogu i pomógł wysiść żonie i wnukom.

Rita patrzyła, jak Cyril, zarządca farmy, oraz inni robotnicy serdecznie witają George'a, którego znali od najwcześniejszego dzieciństwa.

Mildred dyszała i skomlała z pod niecenia.

George pocałował psa w mokry nos i zwichrzył jego sierść, rozmawiając z Cyrilem, który mocno poklepał go po plecach.

Rita poczuła, jak jej serce zalewa fala podziwu i dumy.

George był taki przystojny w mundurze...

Pomyślała o Elsie Shelby i zaczęła się zastanawiać, czy akt miłości fizycznej rzeczywiście przypomina kąpiel w ciepłym miodzie.

Faye i Alice weszły z dziećmi do zbudowanego z czerwonej cegły domu o małych oknach i niskich, belkowanych sklepieniach,

?-

typowych dla siedemnastowiecznej architektury.

Trees bardzo niechętnie wydawał pieniądze na naprawy, ponieważ uważał, że większość rzeczy w domu będzie w stanie zrobić sam.

W rezultacie zimą trzeba było rozstawiać wiadra, aby zbierać skapującą z dziurawego dachu wodę, i barwnymi chodnikami przykrywać plamy na dywanach, spowodowane przez wilgoć i mysie odchody.

W domu często rozbrzmiewała muzyka klasyczna, gdyż Faye grała.

bo sama grała na fortepianie, albo puszczała płyty gramofonowe, a niezliczone wazony były pełne kwiatów, które miały złagodzić wrażenie ogólnego nieładu i wątpliwych pomysłów dekoracyjnych.

George wyciągnął ręce do Rity, zeskoczyła z półciężarówki prosto w jego ramiona.

Oboje wyczuwali seksualne napięcie, wibrujące między nimi, i ich twarze płonęły rumieńcem podniecenia i oczekiwania.

- Chodź ze mną na plażę po podwieczorku - szepnął jej do ucha.

- Chcę być tylko z tobą...

Rita bez wahania skinęła głową.

Ciepły oddech George'a tuż nad jego policzkami.

George z radością przebrał się w cywilne rzeczy, rozglądając się po swoim pokoju, który wyglądał dokładnie tak, jak w dniu jego wyjazdu.

Matka zadbała, aby panowały tu porządek i czystość - był to chyba jedyny pokój w domu, który ostał się jej skłonności do tworzenia chaosu.

George powiesił mundur w szafie i nagle poczuł, jak ogarnia go wielki smutek.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że znajdujące się w pokoju sprzęty i przedmioty należą do kogoś innego, do naiwnego i niewinnego chłopca, który miał przeżyć jeszcze długą drogę, nim stanie się mężczyzną.

Potrząsnął głową, pragnąc pozbyć się niewesołych myśli, i szybko włożył brązowe trzewiki, w których zwykle chodził na plażę.

<sup>1</sup> Faye upiekła ciasto, aby uczcić powrót syna.

Nie żałowała świeżego masła i jaj, a dzieci ozdobiły lukrową powłokę malutkimi ozdobami z cukru, który Trees zdobył na czarnym rynku w zamian za mięso z ubitej świni.

Na stole czekał już dzbanek z gorącą herbatą i porcelanowe filiżanki z serwisu, który Faye i Trees dostali w prezencie ślubnym.

Wszyscy usiedli w saloniku, otoczeni przytulnym chaosem artystycznego życia Faye.

Mały Johnnie .

brzdąkał na fortepianie, dopóki Alice nie powiedziała mu, żeby wreszcie usiadł przy stole i wziął się do swoich kanapek.

- Chodź, kochanie - zachęciła syna.

- Babcia chciałaby puścić ładną muzykę, ale nic nie będzie słyszeć, jeżeli nie przestaniesz bawić się klawiszami.

- Nauczę cię grać, kiedy trochę podrośniesz - obiecała Faye, patrząc, jak chłopczyk niechętnie schodzi z taboretu.

Mały usadowił się obok matki, nie spuszczać z George'a pło nących ciekawością oczu.

- Wcale nie chcę uczyć się grać, chcę być żołnierzem, jak wu jek George.

- Johnnie zdecydowanym ruchem sięgnął po ka napkę.

- Możemy pobawić się w żołnierzy - zaproponował George.

- Masz pistolet?

Dziadek ma wiatrówkę i strzela do królików, wiesz?

Wczoraj jedliśmy królika, prawda, mamo?

Alice uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Tak, kochanie.

Był pyszny, co?

- A ty strzelasz do królików, wujku?

- Czasami - odparł George.

- Nauczysz mnie?

Dziadzio mówi, że jestem jeszcze za mały...

- Może poszedłbyś po babcine pudełko z zabawkami?

- ode zwała się Alice, delikatnie popychając chłopca w kierunku kre densu.

- Wiesz przecież, gdzie ono jest...

Mały Johnnie rzucił wujowi uśmiech i posłusznie pobiegł po zabawki.

Chwilę wszyscy milczeli, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Nieobecność George'a w domu i życiu rodziny trwała tak długo, że nie mieli pojęcia, od czego zacząć.

Ricie miłość i uwielbienie odebrały głos, Faye zaś czuła ogromną radość, na której dnie cza ił się lekki niepokój.

Dostrzegła w twarzy syna coś dziwnego, mrocznego i obcego.

George zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zdoła opowiedzieć najbliższym, jak przerażające rzeczy przeżył na wojnie, ani podzielić się z nimi pewnymi doświadczeniami, po nieważ wykraczały one poza granice zrozumienia normalnego, po rządne go człowieka.

Być może tylko Trees byłby w stanie przynajmniej częściowo pojąć przemianę, jakiej uległ George, bo sam walczył w czasie pierwszej wojny światowej.

- Jak się czujesz w domu, synu?

- zapytał Trees.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, gdyż Trees rzadko brał udział w rozmowie.

- Nic się nie zmieniło, tato - odrzekł George.

W jego głosie zabrzmiała nuta smutku.

Siedział na długiej ławie przed kominkiem, z ramionami opartymi na udach.

Porcelana nowa filiżanka wydawała się zabawnie mała i krucha w jego dużych dłoniach.

Pokręcił głową i utkwiał spojrzenie w faszach na dnie filiżanki.

- Nic się nie zmieniło - powtórzył.

- Wszystko jest dokładnie takie, jak zapamiętałem...

Jak miał opisać dręczące go poczucie straty i winy?

Przeżył, chociaż tylu innych zginęło.

Jakimi słowami mógł wytłumaczyć sobie i rodzinie, że czuje się nie na miejscu w pełnym słońca salonie matki, w miejscu nietkniętym przez wojnę, gdzie wciąż pije się herbatę z ładnych porcelanowych filiżanek?

Dla jego najbliższych wojna była czymś niepojętym, więc nigdy go nie rozumieją.

- Zebraliśmy sporo ozimego owsa - podjął spokojnie Trees.

Jego żona wodziła zaniepokojonym, czujnym spojrzeniem od niego do George'a.

- To dobrze - powiedział George.

- A jak inwentarz?

- Nie najgorzej.

Wszyscy potrzebują mleka, prawda?

- Jasne.

- Ray przeszedł na emeryturę, czego bardzo żałuję, ale wstawa nie przed świtem za bardzo go już męczyło, zwłaszcza zimą.

- Kto zajmuje się teraz krowami?

- Barry.

Ray wszystkiego go nauczył.

- Świetnie.

- George pokiwał głową.

- Ray wcale nie był zadowolony, że przestaje pracować, choć ciąż było to dla jego własnego dobra...

- Trees podniósł filiżankę do ust.

Znowu zapadła cisza.

Rita chciała się odezwać, lecz nie potrafiła przemóc onieśmielenia.

W końcu George odchrząknął.

- Doskonałe ciasto, mamo - powiedział z uznaniem.

Faye zamrugnęła, usiłując powstrzymać łzy.

Wiedziała, dlaczego IC) mąż podjął wysiłek, aby wciągnąć George'a w rozmowę - uczy.



nił to z powodu dziwnych cieni w oczach syna, cieni, które tylko on potrafił zrozumieć.

- Faye piecze okropne ciasta - rzekł nagle Trees, odstawiając talerzyk.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, to także jest okropne.

Faye chwilę patrzyła na męża z lekko uchylonymi ustami, a po tem zasłoniła je dłonią, tłumiąc nerwowy śmiech.

- Och, mój drogi, nie jesteś zbyt rozmowny, ale kiedy już zde cydujesz się przemówić, trafiasz w samo sedno...

- powiedziała.

George odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Nagle atmosfera oczyściła się, jak powietrze po gwałtownej burzy.

- Macie rację, to okropne ciasto...

- wykrztusił, wciąż się śmiejąc.

- Ale przecież jajka były świeże!

- zaprotestowała Faye.

- Co jeszcze do niego dodałaś, mamó?

- Nie jest takie złe - powiedziała lojalnie Alice, chociaż jej ramiona drżały, jakby starała się zapanować nad atakiem wesołości.

- Co o nim myślisz, Rito?

- Nie pytaj, bo Rita zawsze jest bardzo uprzejma - wtrącił George.

Rita uśmiechnęła się i przygryzła dolną wargę, rumieniąc się na dźwięk jego głosu, wymawiającego jej imię.

George poczuł, że jednak może im coś opowiedzieć, przynajmniej o niektórych przeżyciach.

Łzy Faye obeschły, Trees znowu wycofał się w milczenie, wszystko wróciło do normy.

Kiedy zaczął już mówić, nie był w stanie przestać, a najbliżsi słuchali go z zainteresowaniem i przyjemnością, ponieważ był urodzonym gawędziarzem.

Rita nie odrywała oczu od jego twarzy, co sprawiało mu radość, ponieważ jej skupione spojrzenie było jak ciepły, rozgrzewający serce promień słońca.

Po pewnym czasie uświadomił sobie, że czas mija, a on pragnie przecież jak najszybciej znaleźć się sam na sam z Rita.

W końcu odsunął filiżankę i podniósł się.

- Mógłbym tak gadać przez całą noc, ale robi się późno i muszę odwieźć Ritę do domu - rzekł.

Dłonie Rity zwilgotniały na myśl, że wkrótce zostanie sama z George'em.

Nerwowo odgarnęła włosy za uszy i wstała.

- Dziękuję za podwieczorek.

- Uśmiechnęła się do Faye.

- Nie ma za co, moja droga.

Sądząc, że w czasie weekendu Trees nie będzie potrzebował pomocy na farmie.

- Teraz ma do pomocy George'a - odparła Rita, wyobrażając sobie, z jaką przyjemnością ojciec i syn będą wspólnie pracować.

- Na pewno George zajmie ci cały wolny czas, więc na razie przerwiemy lekcje rzeźby - dodała Faye.

W czasie wojny zaczęła uczyć Ritę rzeźbiarstwa, ciesząc się, że może zapewnić jej interesujące zajęcie.

Towarzystwo dziewczyny sprawiało jej radość, chociaż nie sądziła, by Rita miała szczególne zdolności artystyczne.

Rita potrząsnęła głową.

' - Nie, za nic na świecie!

- zaprotestowała.

- Uwielbiam rzeź bić i zawsze znajdę na to czas!

- Doskonale.

- Faye serdecznie położyła rękę na jej ramieniu.

- Do zobaczenia jutro wieczorem, na przyjęciu.

I jeszcze raz dzięki jej, że pomogłaś mojemu mężowi uprzątnąć stodołę.

Mam nadzieję, że pogoda nie sprawi nam zawodu...

- Na pewno nie.

- Weź ciężarówkę - powiedział Trees do syna.

George kiwnął głową, objął Ritę i wyprowadził ją z pokoju.

Wreszcie byli sami.

George zmienił bieg i po chwili, gdy wyje chali na główną drogę, splótł palce z palcami Rity.

- Jedźmy prosto na plażę - powiedziała.

- Jest przypyływ.

- W takim razie będziemy musieli zamoczyć nogi.

- Oderwał wzrok od drogi i poślął Ricie szeroki uśmiech, który sprawił, że wokół jego ust i oczu zarysowały się zmarszczki.

- Dobrze jest wrócić do domu...

- Twoja mama włożyła dużo serca w przygotowanie tego ciasta.

- Rita roześmiała się lekko.

- Nie było zresztą takie złe...

- Było okropnie niesmaczne!

Od dawna marzę o orzechowym cieście twojej mamy.

Moja jest beznadziejną kucharką, dużo lepiej radzi sobie z rzeźbą.

Moja mama niczego by nie wyrzeźbiła, nawet gdyby zależało od tego jej życie - zauważyła Rita.

?7.

- Co u niej?

- Nic się nie zmieniło, tak jak powiedziałaś.

- Całe szczęście.

Nie chciałbym, żeby dobra Hanna kiedykolwiek się zmieniła.

Na pewno Megababcia nadal jest w świetnej formie, prawda?

- Jak zawsze!

Oboje roześmiali się na myśl o pani Megalith.

- Wciąż stawia tarota?

- Niestety, tak...

- Obym tylko nie zapomniał natrzeć się czosnkiem przed spotkanie z tą niezwykłą damą!

- Megababcia nie jest wampirem, na miłość boską!

- oburzyła się Rita.

- Za to z całą pewnością jest czarownicą.

Wiesz może, jak na leży chronić się przed wiedźmami?

- Nie mam pojęcia, co odstrasza czarownice, ale babcia nie znosi psów, bo straszą jej koty.

- Wezmę ze sobą Mildred.

- George się uśmiechnął.

- Chcesz, żeby rzuciła na ciebie urok?

Nie chcę całować żaby...

- Dlaczego?

Pocałowana żaba może zamienić się w księcia, nie wiesz o tym?

- Wiem, ale...

- Ale co?

- Nie chcę księcia.

Chcę tylko ciebie.

George zaparkował samochód w pobliżu klifów, ostro rysują cych się na tle ciemniejącego nieba.

- Nie mogę spacerować w tych pantoflach - powiedziała Rita, wysiadając z samochodu.

Jeszcze ważniejsze od butów były jednak pończochy, prezent od amerykańskiego żołnierza, z którym się zaprzyjaźniła.

Był to rzadko spotykany, luksusowy towar, którego nie zamierzała od razu zniszczyć.

George zapalił papierosa i w milczeniu patrzył, jak Rita schyla się, żeby odpiąć skórzany pasek na podbiciu stopy.

Potem oparła się o ciężarówkę i nieśmiało uniosła spódniczkę, żeby zdjąć pończochy.

Czuła na sobie jego spojrzenie i na jej twarz wypełził ciemny rumieniec.

Świadomość, że George nie spuszcza z niej płoną

cych oczu, sprawiła, że jej zeszywniałe palce nie poradziły sobie z podwiązkami.

- Ach, te przeklęte zapinki!

- wykrzyknęła.

George wetknął papierosa między wargi, podszedł do niej, uklęknął i z zachwytem przesunął dłońmi po jej nogach, od kostek w górę.

Rita znowu zaśmiała się nerwowo, próbując go odepchnąć.

- Poradzę sobie, naprawdę...

- zaprotestowała słabo.

Ale jego palce już ściągały w dół pończochę.

Czuła ciepłe dło nie na skórze i zdawała sobie sprawę, że cała operacja trwa dłużej, niż powinna.

Przytrzymała sukienkę i szybko rozejrzała się dookoła, pełna obaw, że ktoś mógłby zobaczyć ją w tak kompromiującej sytuacji.

Wyglądało na to, że George nie wyczuwa jej lęku albo po prostu ma go za nic.

Sprawnie poradził sobie z podwiązkami, a potem powoli zsunął jedwabną pajęczynę po udzie, łydce i stopie, podziwiając widok, który miał przed oczami.

Rita wzięła pończochę z jego rąk, udzielając mu milczącego przyzwolenia na odpięcie drugiej.

George rozumiał, że jego dotyk sprawia jej przyjemność, ponieważ celowo długo gładził obnażoną skórę nad pończochą.

Wreszcie rzucił papierosa na ziemię i pocałował Ritę w udo.

Drgnęła niespokojnie, skromnie obciągając sukienkę.

- Trochę za późno na demonstrację nieśmiałości, nie wydaje ci się?

- zażartował, zdejmując drugą pończochę z jej stopy.

Podniósł się z kolan.

Twarz dziewczyny była tak mocno zaróżowiona, że uśmiechnął się z pełnym czułości rozbawieniem i musnął jej wargi pocałunkiem.

- Chodźmy do naszej jaskini - powiedział.

Wziąwszy się za ręce, zeszli ścieżką na plażę.

Słońce wisiało nisko po zachodniej stronie nieboskłonu, nadając barwę miedzi wznoszącym się i opadającym falom.

Kiedy stanęli na mokrym, zimnym piasku, Rita zamilkła, przejęta świadomością, że lada chwila znajdą się w zaciszu jaskini, zupełnie sami.

Dotarli do skal.

George chwycił Ritę w ramiona, przenosząc ją nad małymi jeziorkami, pełnymi krabów i innych skorupiaaków, i nad wąskim pasmem piasku, teraz zalany warstwą wody.

Buty natychmiast mu przemokły, lecz nie zwracając na to najmniejszej uwagi, brnął dalej, rozpryskując słoną wodę, prosto do przodu.

wejścia do jaskini, gdzie wysoki skalny próg chronił wnętrze przed atakami morskich fal.

Tam postawił Ritę na ziemi i, zanim zdążyła się odezwać, poszukał jej ust, całując ją głęboko i na miętnie.

Dziewczyna odpowiedziała równie gorąco i otoczyła jego szyję ramionami.

Jakże zmienili się od czasu pierwszych pocałunków...

Wtedy dopiero zaczęli odkrywać świat uczuć, teraz George był mężczyzną...

Jego twarz pokrywał zarost, ręce były silne i zdecydowane.

Kiedy przytulił ją mocniej, poczuła twarde, napięte kształt pod naprężonym materiałem spodni.

- Boże, jak ja cię pragnę...

- szepnął, przywierając wargami do jej szyi.

Była gotowa na wiele, żeby sprawić mu przyjemność, jednak nie potrafiła zapomnieć przestróg matki.

Chociaż większość dziewcząt, które znała, bez zahamowań oddawało się swoim mężom przed ich wyjazdem na wojnę, ona wciąż uważała, że po winna powstrzymać się aż do nocy poślubnej, a George rozumiał jej skrupuły i nigdy nie naciskał.

Dopiero dzisiaj poczuła pożąda nie znacznie silniejsze niż kiedykolwiek dotąd i nagle ogarnęło ją przerażenie.

Dłoń mężczyzny znalazła jej pierś, kciukiem pieścił sutek przez materiał sukienki.

Wargi sunęły po jej szyi i ostry, drażniący do tyk zarostu w połączeniu z ciepłą wilgocią wnętrza ust i języka spowodował, że wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz.

Objęła jego biodra nogą i przyciągnęła do siebie kolanem, ale on cofnął się lekko, aby położyć dłoń na jej udzie.

Spojrzał jej prosto w oczy i wtedy dostrzegła, że w tych źrenicach czai się dzika gorączka i coś, czego nie znała.

George doskonale pamiętał młode Francuzki, z którymi sypiał po wyzwoleniu Paryża, lecz żadna z nich nie była ani tak słodka, ani tak niewinna jak jego Rita.

Kiedy znowu odszukał jej usta, Rita na długą chwilę zatraciła się w pocałunku.

Oprzytomniała, gdy palce George'a dotknęły wewnętrznej strony jej uda i majtek.

Drgnęła i mocno zacisnęła nogi.

- Chcę się z tobą kochać, najdroższa...

- jęknął.

Jego czoło było mokre od potu, oddech parzył jej skórę.

- Ja też cię pragnę...

- szepnęła, lecz w jej głosie brzmiało wa hanie.

- Niedługo zostaniesz moją żoną - powiedział, rozumiejąc jej niepewność.

Cofnął się i parsknął krótkim śmiechem.

- Kocha nie, nigdy nie myślałem o przyszłości z inną dziewczyną...

W moim sercu już jesteś moja na zawsze.

- A ty jesteś dla mnie mężem - odparta, przypominając sobie przystojnych amerykańskich oficerów, którzy uparcie zabiegali o jej względy.

- Dla ciebie zachowałam czystość...

- Kiedy się pobierzemy, wyciągnę cię całą, centymetr po centymetrze.

- Z ciężkim westchnieniem musnął wargami jej czoło i znowu przywdział zbroję cierpliwości.

Rita objęła go i zbliżyła twarz do jego twarzy.

Czuła, że należy do George'a w sposób równie naturalny, jak do tej wioski w Devonshire.

Ogarnięta poczuciem bezpieczeństwa i pewności, że wszystko układa się, jak należy, pocałowała go gorąco, uszczęśliwiona jego powrotem.



## Rozdział trzeci

Kiedy Rita wróciła do domu, rodzice i siostry czekali na nią w kuchni razem z Megababcią, ubraną w długą, ciemnofioletową suknię ze starannie udrapowanym turkusowym szalem.

Zamilkli nagle, jakby coś odebrało im głos.

Rita włożyła wprawdzie poń czochy i buty, lecz jej włosy były potargane, a skóra mocno podrażniona i zaczerwieniona od kontaktu z zarostem George'a.

- No, moja droga, nie potrzebuję pytać, czy młody George bez pieczeni wrócił do domu!

- prychnęła pani Megalith.

- Twoja twarz mówi wszystko!

Eddie uśmiechnęła się łobuzersko, natychmiast dostrzegając, że jeden guzik sukienki siostry jest odpięty.

Tak istotny detal nie uszedł również uwagi starszej pani.

- Dobry Boże, mężczyźni to prawdziwe zwierzaki!

- mruknęła.

- Szkoda, że nie pofolgował swojej żądzy z jakąś przypadkową dziewczuchą, zanim dobrał się do ciebie!

Rita szybko podążyła za spojrzeniem Megababci i jej dłoń pode rwała się ku nieszczęsnemu guzikowi.

Maddie siedziała w milczeniu, rozpoznając nieprzytomny wyraz w oczach siostry - widziała podobny w lustrze zaraz po tym, jak oddała się Hankowi Westonowi na tylnym siedzeniu jego dżipa.

Na szczęście nawet jasnowidzące zdolności Megababci nie były w stanie wykryć tego sekretu.

Jak on się czuje?

- zapytała Hanna, ignorując matkę.

- Zmarzłaś na kość, kochanie.

Gdzie byliście, na miłość boską?

-

E ujęła lodowate ręce Rity w swoje duże, ciepłe dłonie i poprowadziła ją do fotela na biegunach.

- Usiądź i wszystko nam opowiedz.

- Poszliśmy na spacer po plaży - odparła Rita rozmarzonym głosem, unikając wzroku Eddie, która wpatrywała się w nią z fascynowaniem.

; Eddie nie miała cienia wątpliwości, że jej siostra kochała się z George'em.

- Ach, tak!

- parsknęła pani Megalith.

- To by tłumaczyło wygląd twoich włosów...

Wyglądają tak, jakby mewa próbowała uwić (obie w nich gniazdo.

' - Czy całował cię bez końca?

- zagadnęła Eddie.

- Takich pytań nie zadaje się młodej kobiecie, skarbie - skarcił ją ojciec.

; ; Jak zwykle siedział u szczytu stołu, trzymając w dłoni szklankę szkockiej, i z rozbawieniem obserwował swoją rodzinę.

- Nie trzeba być wróżką, żeby na nie odpowiedzieć.

- Twarz Megababci rozjaśnił uśmiech.

- Nic nie służy zdrowiu tak jak porządki, to prawdziwy tonik! - Młaskała wargami i pokuśtykała przy stole.

- Weź to, Edwino - dorzuciła, podając swoją laskę najmłodszej wnuczce.

-1 nalej mi sherry, moja droga, bo całe to zamieszanie mocno mnie już zmęczyło.

- Przepraszam, że nie wróciłam na czas, żeby cię uczesać - po, wiedziała Maddie.

Nie przejmuj się, i tak ledwo zdążyłam się przebrać.

Powinnaś się cieszyć, że nie zmarnowałaś czasu, Madeleine - 'Oznajmiła pani Megalith, z królewską godnością siadając na krześle.

- Szkoda, że nie upinasz włosów tak jak ja, Rito, bo wtedy głowę nie musiałabyś ich czesać.

; - Więc jak to było, kochanie?

- ponagliła Ritę matka.

- Opojiwadaż od samego początku.

Czekałaś na niego na przystanku autobusowym, tak?

j Tak, razem z Tresem, Faye, Alice i dziećmi.

j Ale chyba oni wszyscy nie wybrali się z wami na plażę, prawda?

W oczach Megababci błysnął ironiczny uśmiezek.

4? .

- Pojechaliśmy na farmę na herbatę, a potem George odwiózł mnie do domu.

Po drodze zatrzymaliśmy się na plaży...

- Zmienił się?

- zapytała Hanna.

- Dorósł.

Na pewno jest silniejszy fizycznie.

- Och, naturalnie...

Teraz jest już mężczyzną.

- Będzie najlepiej, jeżeli zdecydujecie się na ślub w lecie - wtrąciła pani Megalith, biorąc kieliszek sherry z ręki Eddie.

- Moglibyście urządzić wesele w moim ogrodzie.

Rita posłała babce promienny uśmiech.

Nie potrafiła ukryć podniecenia.

Starsza pani uniosła brwi.

- Widzę, że ci się oświadczył - zauważyła.

- Najwyższy czas!

- Oświadczył się?

- zapytał Humphrey.

- Naprawdę?!

- wykrzyknęła Hanna.

- Nie wprost...

- odparła Rita ostrożnie.

- Powiedział tylko, że niedługo się pobierzemy.

- Słowa nic nie kosztują - mruknęła Megababcia, wychylając kieliszek do dna.

- Dajmy biedakowi trochę czasu, przecież dopiero wrócił do domu - wstawiła się za George'em Hanna.

- Myślę, że powinniśmy uczcić tę okazję - oświadczył Humphrey z radością.

- Hanno, otwórzmy tę butelkę wina, którą zosta wiliśmy na jakąś ważną uroczystość.

- Oczywiście!

- Hanna szybko podeszła do kredensu.

- Maddie, wyjmij kieliszki!

Zaraz, zaraz, gdzie się podział korkociąg...

Hanna przygotowała dużą zapiekankę pasterską, którą podała z marchewką i pasternakiem z uprawianego przy domu warzyw nego ogródka.

Gorący posiłek rozgrzał Ritę, chociaż jej stopy do końca wieczoru pozostały zimne jak trzymane w lodzie ryby, co wciąż od nowa przypominało jej o spacerze z George'em po zala nej wodą plaży.

Ciągle wracała też myślami do pocałunków i pieszczot, które wymienili w jaskini, i zupełnie nie potrafiła sku pić się na rozmowie.

- Rito, wpadnij do mnie jutro na herbatę - poleciła pani Megalith, która od dłuższego czasu nie spuszczała z wnuczki nieco zaniepokojonego spojrzenia.

- Chcę ci postawić karty.

t Humphrey przewrócił oczami.

- Czy to naprawdę konieczne, Primrose?

- zapytał, kręcąc głóM i ze zniecierpliwieniem ściągając brwi.

Nie chciał, aby jego teściowa przestraszyła czymś Ritę w tak jBzęśliwym dla niej momencie.

I; - Absolutnie konieczne - oznajmiła Megababcia zdecydowaiym tonem.

I Nikt nigdy nie sprzeciwiał się pani Megalith.

fc^-Ja też chcę, żebyś mi postawiła karty!

- wtrąciła Eddie.

- Inie nigdy nie wróżysz!

- Moje drogie dziecko, jesteś jeszcze za mała, żeby myśleć aczymkorwiek poza nauką.

Nie muszę sięgać po tarota, żeby ci to świadczyć.

i?- A gdyby groziła mi śmierć?

Chyba chciałabyś mnie urato wać, prawda?

Pani Megalith spojrzała na dziewczynkę spod zmarszczonych brwi.

I- Oczywiście, że tak, kochanie, ale w tarocie nie ma karty Ińierci.

Tego rodzaju rzeczy podpowiada mi wyłącznie intuicja.

Auszę ci też z radością wyznać, że zaglądałam w twoją przyzłość i nie wątpię, że czeka cię długie i wyjątkowo interesujące życie...

- Mnie także bardzo to cieszy - rzucił sucho Humphrey.

- V żadnym razie nie chcielibyśmy, aby ślub zbiegł się w czasie li pogrzebem, bo to nie wpłynęłoby dobrze na nastrój gości...

I' - Doprawdy, czasami twoje poczucie humoru przejawia się SK całkowicie niestosowny sposób - mruknęła pani Megalith.

w- Czy mogę przyjść z George'em?

- zapytała Rita.

I - Nie, przyjdź sama.

Chcę z tobą spokojnie porozmawiać.

^ - Nie zobaczyłaś chyba nic straszego?-Rita zacisnęła dłonie, "Pamięta nagłym lękiem.

- Sama widzisz, Primrose, że napełniasz jej głowę niepotrzebnymi bzdurami - warknął z irytacją Humphrey.

Nie, nie, wcale się nie przestraszyłam - uspokoiła Rita ojca.

Babcia chce opowiedzieć Ricie o ptaszkach i pszczołkach!

- Eddie parsknęła śmiechem.

W^"- K T

j - Nie wydaje mi się, że bym musiała to robić - wymamrotała

B. .

pani Megalith, pociągając łyk wina.

- Trochę już na to za późno...

Rita zaczerwieniła się i rzuciła matce błagalne spojrzenie.

- Bardzo dobre wino, Humphrey - zauważyła Megababcia.

- Znakomite, prawda?

- Podniósł kieliszek.

- Jeszcze dziś ra no było wodą...

Hanna gwałtownie odwróciła się do męża.

- Humphrey!

- Zyskuje na smaku, kiedy podaje się je do ślimaków i pajęczych nóżek - zaśmiał się.

Kąciki ust pani Megalith uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Możesz sobie kpić ze mnie do woli, mój drogi, ale uwierz, że to ja będę się śmiała ostatnia...

- Przeniosła spojrzenie na Ritę.

- Nie czerwień się tak, kochanie, nie trzeba.

Kobieta powinna się cieszyć, że mężczyzna okazuje jej uwielbienie, nie ma w tym nic wstydliwego...

Hanna znacząco cmoknęła i pośpiesznie zmieniła temat.

Znała opinie swojej matki i uważała, że należy w miarę możliwości jak najbardziej ograniczać jej wpływ na wychowanie dziewcząt.

Me gababcia z całą pewnością nie była odpowiednim wzorem do naśladowania.

Hanna pragnęła, aby matka zachowała dla siebie uwagi na temat życia seksualnego i opowieści o własnych doświadczeniach w tej dziedzinie.

Rita leżała już w łóżku, kiedy Maddie zapukała do drzwi.

- Mogę wejść?

- szepnęła, wsuwając głowę do pokoju.

Rita entuzjastycznie pokiwała głową, więc Maddie weszła i usa dowiła się w nogach łóżka.

- No, jak, było cudownie?

Rita uśmiechnęła się radośnie.

- Och, Maddie, jestem taka zakochana...

- powiedziała, siadając.

- Z trudem zdołałam nad sobą zapanować...

- Dlaczego mu nie pozwoliłaś?!

- Przecież wiesz...

Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem...

Maddie parsknęła śmiechem.

- Na miłość boską, nie jesteś świętą dziewicą!

I- Ale mogłabym zajść w ciążę...

r- Nie zajdziesz, jeżeli użyjecie prezerwatywy, czyli "gumy", jak

lówił Hank.

E. Po chwili zastanowienia Rita skrzywiła się na myśl o czymś tak

Iteto romantycznym.

Potem rzuciła siostrze rozmarzone spojrzenie.

^ Tak bardzo go pragnę...

ł Maddie nagle spuściła oczy, ogarnięta poczuciem winy.

I Muszę ci coś wyznać - powiedziała powoli.

- Wcześniej nie ściąłłam, bo bałam się, że zaczniesz mną gardzić...

- Nigdy nie pomyślałabym o tobie nic złego!

; Widzisz, ja oddałam się Hankowi.

I Nie?!

- Rita zasłoniła usta drżącą dłonią.

- Ależ tak!

- Maddie zachichotała.

-1 było wspaniale!

CGeszłyła się, że wreszcie może o tym z kimś porozmawiać.

'- Gdzie to zrobiliście?



I- W jego dziapie, na parkingu za gospodą w pobliżu MuddyAe.

Akurat to nie było żadnym problemem...

1- Nie bałaś się, że ktoś was przytapie?

^- Wcale nie!

Zresztą i tak niczego bym nie żałowała!

koczy Rity były szeroko otwarte i lśniące.

I1- A babcia?

Nie bałaś się babci?

Przecież ona wszystko widzi!

- Najwyraźniej jednak nie wszystko.

Słuchaj, inne dziewczyny

gle to robią, naprawdę bardzo często, my po prostu mamy bar) staroświecką matkę, dlatego wydaje nam się, że to coś niezwyko.

Nic nie jest tak seksowne jak wojna...

Maddie uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Uznała, że lepiej bęKe, jeśli powstrzyma się od zwierzeń o innych mężczyznach.

Ri1 byłaby mocno zgorazona.

George wspaniale wygląda w mundurze - westchnęła Rita.

- t taki wysoki, dobrze zbudowany i męski...

Mimo tego wołałaB chyba zaczekać do nocy poślubnej...

Właściwie jesteśmy zazeni, więc to nie potrwa długo.

Nie bądź głupia, George przestanie się tobą interesować, je; mu nie pozwolisz.

Wszędzie kręci się mnóstwo dziewczyn,

6re oddadzą mu się bez chwili wahania, a chyba nie chcesz, żer uciekł z jakąś lafiryndą...

47 .

- Oczywiście, że nie!

- Rita się przeraziła.

Odgarnęła do tyłu opadające na twarz włosy i postanowiła zmienić temat.

- Smutno ci, że Hank wrócił do Ameryki?

'j

- Nie, niby dlaczego?

Świetnie się bawiliśmy, no i sytuacja była bardzo romantyczna, ale jestem jeszcze za młoda, żeby skupić się na jednym mężczyźnie.

Teraz chłopcy dopiero zaczynają wręcać z wojny, więc nie chcę tracić szansy, że poznam kogoś naprawdę interesującego.

,

Maddie odkryła już zakazane przyjemności cielesne i była gotowa poświęcić im większość swojego czasu i całą energię, i

Następnego dnia rano George podjechał pod dom Rity ciężką, rowką ojca.

Była sobota, więc Humphrey przeglądał przy stole gazety ubrany w szary garnitur, lecz w beżowe spodnie i zieloną kamizelkę, a Hanna siedziała w fotelu i robiła na drutach.

W czasie wojny oddawała się temu zajęciu z takim zapałem, produkując niezliczone swetry, szaliki, czapki i szaliki dla żołnierzy, że przekształciło się to w coś w rodzaju nałogu.

Nie mogła się już doczekać, kiedy zacznie robić wyprawkę dla pierwszego wnuka lub wnuczki.

Eddie była jeszcze w łóżku, a Maddie rozkoszowała się długą kąpielą.

Rita dostrzegła George'a z okna swojej sypialni i pośpiesznie ;

włożyła starą letnią sukienkę i niebieski rozpinany sweter, bo chociaż na dworze było dość ciepło, nad morzem zawsze wiał wiatr, Nagle pożałowała, że nie ma żadnej nowej rzeczy, choćby bluzki.

;

Sukienkę, którą miała na sobie, kupiła pięć lat wcześniej.

- Dzień dobry!

- przywitał się George z uśmiechem, świadomy, że trochę zaskoczył rodziców Rity.

- Dobry Boże, przecież to nasz lokalny bohater, George Bolton!

- wykrzyknęła Hanna, odkładając robótkę i wstając z fotela, aby go uściskać.

- Kochany chłopcze, jaka miła niespodzianka!

Doskonale wyglądasz!

- Cieszę się, że cię widzę - rzekł Humphrey, serdecznie poklepując George'a po plecach.

- Siadaj do stołu, mój drogi, herbata jest jeszcze gorąca.

Może spróbowałbyś chleba wypieku Hanny, co?

-i

- Z przyjemnością.

Pachnie wspaniale.

Rita za chwilę zejdzie.

- Hanna uprzedziła następne pytanie

George'a.

; przyglądała się, kiedy zajmował miejsce za stołem, wyciągając nogi daleko przed siebie.

Krzeseł, na którym usiadł, wyo się nagle dziwnie małe.

Doszła do wniosku, że George bar wyprzystojniał.

Wojna uczyniła z niego mężczyznę, chociaż co potargane włosy, uśmiechnięte jasne oczy i pogodny wyraz twarzy przywodziły na myśl chłopca, który ma oto w zanadrzu kawą historię.

George zawsze opowiadał w sposób przykuwający uwagę słuchaczy i potrafił pobudzić ich do śmiechu.

g Wybieramy się dziś na piknik na plaży, całą rodziną - rzekł George, biorąc kromkę chleba.

- Przyłączycie się do nas?

,Hanna oderwała oczy od gościa i wróciła na fotel.

y- Świetny pomysł - odparła.

- Dziewczęta będą zachwycone...

W tej chwili na progu kuchni stanęła promieniejąca radością a.

Humphrey patrzył, jak córka lekkim krokiem podchodzi do George'a i schyla się, aby pocałować go w policzek.

Jej oczy lśniły sherry w kieliszku.

Pomyślał, że jest bardzo podobna do Miei Hanny, jego smukłej i delikatnej Hanny.

George uśmiechnął się nieśmiało, jak zwykle unosząc tylko jeden kącik ust, a kiedy spojrzał na dziewczynę, jego twarz złagodniała, przybierając i radości i dumy.

Z uznaniem poklepał Ritę po plecach (tylko ogarnął wzrokiem jej długie loki i cienką letnią sukienkę) Humphrey usiadł wygodnie, nieświadomy, że także i na jego twarzy maluje się czuły uśmiech.

Kiedy Eddie w końcu zwlokła się z łóżka i zobaczyła zaparkowaną pod oknem ciężarówkę Treesa, zorientowała się, że George czekał z wizytą.

Podskoczona i uradowana, zbiegła na dół, opuszczając po dwa schodki jednocześnie, wpadła do kuchni i rzuciła się George'owi w ramiona, przysiadając na jego kolanach.

Młodziwiek roześmiał się serdecznie, kiedy dziewczynka przytuliła ciepłą twarz do jego twarzy i ucałowała go z entuzjazmem.

Fak się cieszę, że wróciłeś do domu!

- zawołała.

- Okropnie

miętno tęskniłam, na pewno mocniej niż Rita!

- Mnie także brakowało widoku twojej małpiej buzi!

- odpad George.

- Jesteś bohaterem.

Zabiłeś wielu Niemców?

- Może byś tak pozwoliła George'owi zjeść śniadanie - wtrąciła Hanna.

- Spędzimy cały dzień razem na plaży, więc będziesz miała dość czasu, żeby zadręczać go pytaniami.

Eddie niechętnie zeskoczyła z kolan gościa i przysunęła sobie;

krzesło.

Rita żałowała, że nie może spędzić tego dnia tylko z ukochanym, i rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie.

Gdy odpowiem;

dział jej uśmiechem, zadrżała, ponieważ w jego oczach dojrzała fi"; „j zyczne pożądanie, które sama czuła.

Wspomnienie poprzedniego ;

wieczoru wróciło nagle i jej policzki oblał gorący rumieniec.

Maddie wyszła z wanny, uchyliła drzwi łazienki i usłyszała dobiegający z kuchni męski głos, który z całą pewnością nie był głosem ojca;

!!

sem ojca.

Ten głos był głęboki i chropowaty jak wilgotny piasek,) i niewątpliwie należał do George'a.

Pośpiesznie ubrała się i uczesała przed lustrem włosy, wcierając w policzki odrobinę różu.

Zaśmiała się dowolona z efektu, uśmiechnęła się do ładne jak u lalki buzi i zeszła na dół.

s'!

Zmiana, jaka zaszła w George'u, bardzo ją zaskoczyła.

Mężczyzna emanował zwierzęcą, pierwotną energią, która zastąpiła chłód pieca żywotność.

Przez chwilę zazdrościła siostrze, wyobrażając ?

sobie, jak by to było, gdyby poczuła na sobie ciężar jego ciała^ Musiała odwrócić oczy i skoncentrować się na czymś innym, że-

by pożądlive spojrzenie nie zdradziło jej myśli.

Zawsze lubila:

George'a, ponieważ był dowcipny, zabawny i miał charyzmę, lecz nigdy nie patrzyła na niego jak na mężczyznę.

Teraz, doświad- j czywszy miłości fizycznej, nie mogła myśleć o niczym innym.

To/;

co przeżyła w ramionach Hanka i kilku innych mężczyzn, byN;

tak rozkosznie przyjemne, że wciąż pragnęła nowych doznań te" j go rodzaju.

Instynktownie, jak myśliwski pies węszący krew zra-i ' nionego lisa, wyczuła napięcie seksualne, panujące między Geor;

ge'em i siostrą, i pożałowała, że Hank wyjechał i nie może zaspokoić jej żądy na tylnym siedzeniu swojego dżipa.

anna z przyjemnością zajęta się przygotowaniem jedzenia piknik.

Zapakowała do kosza ugotowane na twardo jaja ilvestree House, pieczonego kurczaka na zimno i sałatkę, kalpki z indykiem, twaróg i żółty ser.

Wrzuciła do bagażnika saX;hodu kilka koców i wzięła dodatkowy sweter, ponieważ nad Irzem pogoda zawsze była zmienna.

Szykując się na wyciecz ko jakiś czas wyglądała przez okno i obserwowała, jak Rita ieorge siedzą na huśtawce, pogrążeni w rozmowie, Eddie zaś y na trawie i chłonie ich słowa jak gąbka.

Maddie przegląda na tarasie ilustrowany magazyn.

Uwielbiała oglądać zdjęcia Riazd Hollywoodu, szczególnie Lauren Bacall, Jane Russell Rity Hayworth, i godzinami sterczała przed lustrem w łazien^za pomocą szminki i lokówek usiłując przeobrazić się w akny ideał.

jedenastej George pojechał do domu, zabierając w sfoferce ' oraz Eddie i Maddie na tylnej platformie.

Dziewczęta ze schem podnosiły ręce, chwytając liście pochylonych nad dro(drzew.

Jak dobrze jest wrócić do domu - odezwał się George, kładąc na udzie Rity.

-1 jak dobrze, że znowu mogę cię dotknąć...

- tał z uśmiechem.

Uważaj, bo z tyłu czają się mali szpiegowie - Rita odwróciła się i zerknęła przez okienko.

Lł- Jest tam tylko jeden mały szpieg - odparł George.

- Ten drup2 pewnością jest już uświadomiony i zupełnie dorosły, w każdym razie pod tym względem...

Wydaje mi się, że w czasie wojny Iddie straciła coś więcej niż tylko niewinność...

Skąd wiesz?

Mężczyzna wyczuwa takie rzeczy.

' więc ja wyglądam na naiwną i niewinną, tak?

lak, ale między innymi właśnie dlatego mi się podobasz...

- te) ścisnął jej udo.

Maddie oddała się Amerykaninowi, który ma na imię Hank.

^ jasne...

- mruknął George.

"Słucham?"

- To oczywiście, że Amerykanin ma na imię Hank!

Oboje parsknęli głośnym śmiechem.

- Maddie zachowuje się okropnie, przecież ma dopiero dziei wietnaście lat!

- podjęła Rita.

- Dobrze wychowane, przyzwoitą, dziewczęta nie powinny tak postępować.

Mama i tatuś byliby przerażeni...

.1

- Seks i wojna zawsze idą ramię w ramię, kochanie.

To nierozłączni towarzysze broni.

Ludzie zdają sobie sprawę, że w każdej chwili mogą zginąć, więc zatracają się w drugiej osobie.

4.

- To bardzo romantyczne - westchnęła.

;

- W czasie wojny mężczyzna musi kogoś kochać, potrzebne mu to, by czuć, że żyje, nawet w obliczu śmierci.

Takie dziewczyny jak Maddie odgrywają bardzo ważną rolę, ale ty nie należysz do tej kategorii ani do żadnej innej, bo jesteś wyjątkowa...

y

Rita posłała mu czuły uśmiech, myśląc, jak bardzo myliła się Maddie w swoich radach.

^

- Przez cały czas miałem przy sobie twoje zdjęcie i codziennie;

wyobrażałem sobie, że kocham się z tobą - ciągnął George.

- Trzykroć mataś mnie przy życiu, kochanie.

Hank prawdopodobnie przeżywał to samo i Maddie pomogła mu przetrwać.

;g;'

- Pragnęłam tylko ciebie - powiedziała cicho, zarumieniona dumy.

- Miałam mnóstwo propozycji, w okolicy stacjonowali tłumy Amerykanów, ale ja odrzucałam ich bez wahania.



Myślała, tylko o tobie...

,

- Jesteś niezwykłą dziewczyną i za to cię kocham - odparł czuły, wyjmując z kieszonki na piersi paczkę papierosów.

- Przypal' mi papierosa, dobrze?

^;

Rita lubiła zapach dymu.

Przypominał jej dawne wieczory na klifach, kiedy oboje palili w drodze ze szkoły, i kojarzył się z ojcem, który zawsze palił w samochodzie, wracając z pracy do domu.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i podała George'owi.

Przytrzymał papierosa kciukiem i palcem wskazującym, i włożył między wargi.

Rita próbowała wsunąć paczkę papierosów z portem do kieszonki koszuli George'a, ale w środku tkwił kawałek sztywnego papieru, który bardzo utrudniał to zadanie.

Gdy go wyjęła, ujrzała swoją fotografię, zrobioną parę lat temu, kiedy - miała dziewiętnaście lat, tyle, ile Maddie teraz.

Rogi czarno-]

Widzisz, trochę wyblakłego zdjęcia były wytarte, niewątpliwie rezultacie częstego kontaktu z palcami o stwardniałej, szorstkiej skórze.

Chyba trzeba ją zastąpić bardziej aktualną - zauważyła, wsuwając fotografię na poprzednie miejsce.

- Za nic na świecie!

Będę ją nosił aż do śmierci.

Wtedy nie będzie na nim nic widać - odparła ze śmiechem.

- E jest wyblakłe...

George nie mógł się zdobyć, by powiedzieć jej, że miał zwyczaj trować to zdjęcie po każdym locie.

Taki sentymentalny rytuał stał mu się nagle podejrzanie banalny.

Zatrzymali się na dziedzińcu farmy i kilkakrotnie nacisnęli Ason.

Dzieci wybiegły z domu i uczepliły się furtki, piszcząc radości, podekscytowane perspektywą pikniku na plaży.

Alice i George wyszły razem, niosąc kosze z jedzeniem i ciepłe koce.

Kie Zapakowały wszystko do ciężarówki, ze stodoły wypadła pędem ka Mildred, poprzedzając Treesa, którego siwe włosy lśniły ltońcu, podobne do gęsiego puchu.

George i Rita przesiedli się i dziewcząt i wciągnęli na platformę dzieci, natomiast Faye lice usadowiły się w szoferce obok Treesa.

Gdy wyjechali na gę, Eddie zaczęła śpiewać wesołą piosenkę i po chwili wszyscy ęłączyli się do niej.

Mildred machała ogonem w rytm melodii, "wycena, że jedzie razem ze wszystkimi.

taparkowali na klifie w pobliżu wozu Humphreya i wąską teiką zesli na plażę.

Powierzchnia morza usiana była drobnofclami, po niebie szybko sunęły strzępiaste obłoki, szalały mef" niesione zachodnim wiatrem.

George i Trees nieśli kosze, Sta prowadziła za rękę małego Johnniego.

Słone powietrze ła2it cudowny zapach młodej trawy i dzikich kwiatów.

Rita ;nęła w lewo, gdzie poprzedniego wieczoru brodziła z ukocha1 PO mokrym piasku, i jej myśli znowu uciekły w świeżą Sszłość.

^"uniphrey i Hanna rozłożyli koce u stóp klifu, osłaniającego tę ć plaży od dość ostrego wiatru, i podczas gdy on spokojnie paSpierosa, wpatrując się w ocean, ona starannie rozstawiała po.

jemniki z jedzeniem oraz termosy z herbatą i gorącym kakao.

Na widok zbliżającej się grupy oboje podnieśli ręce w geście radosne go powitania.

;;

- Miałaś doskonały pomysł, Faye - uśmiechnęła się Hanna.

-^ Szkoda, że tak wieje, ale jest przynajmniej wspaniałe słońce.

^

- Pomyślałam, że miło byłoby spędzić razem ten dzień...

- Z kochanym George'em - dodała Hanna.

- Wyrósł na bardzo przystojnego młodego człowieka, moja droga, r

- Wiem i jestem z niego naprawdę dumna - odparła Faye, stała się, żeby syn nie usłyszał jej słów.

;i

- Pomyśleć tylko, że może będziemy miały wspólne wnuki...

^ westchnęła Hanna.

- Jeśli Bóg pozwoli - dorzuciła pośpiesznie.

;

- Och, to by było cudowne!

Wnuczęta to wielkie błogosławieństwo.

Johnnie i Jane dają nam, tyle radości...

Bardzo bym chciała,!

żeby George usatkwował się i założył rodzinę, tyle biedak przeżył...

- Przez twarz Faye przemknął nagle cień zaniepokojenia, f Cóż, na pewno z czasem otworzy się przed ojcem i wszystko mił opowie.

Ostatecznie Trees brał udział w pierwszej wojnie świata-;

wej i rozumie takie doświadczenia...

"j

- Dzielny chłopak z niego - powiedziała Hanna.

- Nasi lotnia cy to wielcy bohaterowie.

Na pewno rozpiera cię duma.

;

- To prawda - odrzekła powoli Faye.

Nie potrafiła wyjaśniać przyjaciółce, jak wielką wdzięcznością do Boga i losu napętnia jft';

fakt, że syn przeżył i cały wrócił do domu, nie śmiała też wspominać o swoich obawach, ani Hannie, ani nawet mężowi.

- POT zwól, że ci pomogę.

Zabrałam trochę potrawki z królika, na fart;

mię aż się od nich roi.

Trees jeździ z Johnniem do lasu i całymi.;

wieczorami strzelają do królików Johnnie jest w siódmym niij bie, ubóstwia dziadka.

Nie bardzo umiem gotować, ale potrawka z królika wychodzi mi całkiem nieźle, bo korzystam z przepisu 'j twojej mamy.

- Faye uśmiechnęła się na wspomnienie nieudane-;;;

go ciasta, które upiekła na powitanie George'a.

- Zaprosiłaś'j Primrose?

';!;

- Skądże znowu!

Chcemy przecież mieć trochę spokoju^ S prawda?

!;

Obie roześmiały się i spojrzały na Treesa, który siedział na ko- a cu i rozmawiał z Humphreym.

Trees jako jedyny w pełni doce-'

?4

zalety pani Megalith i zawsze cieszył się jej towarzystwem, se dlatego, że miała równie entuzjastyczny stosunek do drzew schowych jak on.

Z natury bardzo małomówny, z nią zawsze nawiał bardzo chętnie.

J Po lunchu George zorganizował zabawę w poszukiwanie skarł dla najmłodszych, rysując muszlą strzałki na piasku.

"Skarim" była torebka ze słodyczami, którą ukrył na samym końcu laku, usianego wprowadzającymi w błąd podpowiedziami i tak omplikowanego, że jego wytyczanie wśród skal i jaskiń zajęło U ponad pół godziny.

W końcu Johnnie i Jane wyruszyli na poUkiwanie z pomocą Eddie, Maddie oraz Alice.

Ich wybuchy tiechu i radosne piski rozbrzmiewały raz z jednej, raz z drugiej pony, niesione wiatrem razem z krzykami mew i rykiem fal.

Došli pili cydr, palili i rozmawiali, więc George i Rita mogli społJnie przekraść się przez skałki i szerokie pasmo piasku do swoiaskini.

Wewnątrz było ciepło, wilgotno i przytulnie.

George chwycił

t w ramiona i pocałował.

; Ostrożnie, mogą nas tu znaleźć - powiedziała, wrywając się

ko.

Tutaj na pewno nie.

Wierz mi, znajdą skarb dopiero za parę lzin.

Jśmiechnął się triumfalnie i znowu ją pocałował.

Jego usta ihniały tytoniem i cydrem, dłonie wędrowały po jej sukience, szczać uda i pośladki.

Rita poczuła, jak ogarnia ją ciepła fala iniecenia.

Jeżeli odjadą bez nas, odprowadzę cię do domu pieszo...

- wymrotał, kryjąc twarz w zakątku między jej szyją i barkiem i zlic sól ze skóry.

^agle Rita przypomniała sobie o umówionej wizycie u babki.

Muszę iść do Megababci na herbatę - wyznała z ciężkim wessieniem.

Nie możesz wpaść do niej jutro?

Wiesz, jaka ona jest...

rge odsunął się i ze zniecierpliwieniem zmarszczył brwi.

^; .

- Nic nie tłumi miłosnego zapachu skuteczniej niż wzmianki o pani Megalith...

- wymamrotał.

,;j

- Przepraszam...

- powiedziała, przeczesując palcami włosy ukochanego, .g.

- Nie ma sensu marnować czasu.

- George schylił głowę, żeby:

znowu poszukać wargami jej ust.

Rozdział czwarty

t Ach, jesteście wreszcie!

- powiedziała pani Megalith na widok ^wchodzącej do ogrodu przez łukowate wejście w kamiennym 2e.

- Pomóż mi z tymi kryształami, dobrze?

- Wzięta do ręki f ametyst i podała go wnuczce.

- Ostrożnie, jest ciężki.

Położyła go w salonie na stole, zaraz przy drzwiach.

To mój ulubiony, więc go nie upuść.

ta posłusznie odniosła ametyst na wskazane miejsce i pomogła przenieść pozostałe minerały.

Było ich dużo, wszystkich i wycich kształtów i barw, pani Megalith zaś z wielką przyjemnością opowiadała wnuczce o właściwościach każdego z nich.

(PSPróbnij poczuć, jaką mają energię teraz, kiedy nasyciły się 1'sit przyrody.

Nic nie robi im tak dobrze, jak porządne czyszczenie pani przystanąła na środku tarasu, przycisnęła do pierf błękitny sodalit i przymknęła powieki.

Oddychała głęboko. Kita stała obok w milczeniu, czekając, aż moment duchowej ^y przeminie.

Rudy kot otarł się pieszczotliwie o osłonięte WHi pończochami kostki nóg pani Megalith.

Rita podniosła Przytulifa w chwili, gdy babka w końcu otworzyła oczy.

pMagiczne, po prostu magiczne...

- westchnęła z zachwytem.

- i nigdy nie przestaje mnie cieszyć i zadziwiać...

Rita poszła za nią do kuchni, gdzie dostała dużą szklanę lewki z czarnego bzu i herbatnika.

Rudy kot wyswobodził się z K ramion, dwa czarne wypadły spod stołu, a jeszcze cztery zeskoczyły z parapetów - wszystkie razem pognały do ogrodu, na poszuka wanie czegoś niemieszczącego się w ludzkiej świadomości.

- Koty zawsze doskonale się bawią - zauważyła pani Megalith patrząc, jak ostatni, bardzo tłusty kocur leniwie znika za drzwil mi.

- Wygląda na to, że w jakiś sposób je przyciągam...

Za każdy razem, gdy je liczę, okazuje się, że jest ich o kilka sztuk więcej niż poprzednio.

Bóg wie, skąd się biorą...

- To chyba najmniej uczuciowe stworzenia na świecie - powie działa Rita.

Pomyślała o Mildred i jej wielkim upodobaniu do pieszczot.

- Bardzo się mylisz, moja droga.

One po prostu czują, że id nie lubisz.

Pani Megalith nie miała racji.

Rita kochała wszystkie zwier2 ta, nawet aspołeczne koty, ale wiedziała, że nie należy podważ opinii babki, ugryzła się więc w język, wyszła za nią na taras i usiała przy stoliku.

Ogród wyglądał wspaniale, pełen barw i zapachni wiosny.

,

- Wczoraj w nocy cholerny lis zaatakował moje kaczki, wyobrażasz sobie podobną bezczelność?

Wiatr zdmuchnął latarnię i ra no na trawniku znalazłam mnóstwo piór.

Na szczęście wszystkie uciekły, choć bardzo się wystraszyły.

Jednej wprawdzie brakuje ale wydaje mi się, że wysiada jaja...

- Utkwiła baczne spojrzeniu w twarzy wnuczki.

- Jak się czujesz, kochanie?

s

- Jestem szczęśliwa, babciu.

- Rita pośpiesznie odwrócił!



wzrok, obawiając się, że babka odczyta jej najskrytsze myśli.

- Wyglądasz dobrze, ale mam wrażenie, że coś cię niepokoi.

C to takiego?

- Nic, naprawdę.

Jestem po prostu szczęśliwa, że George ji wrócił.

- Co tam u niego?

- Wszystko w porządku, też jest bardzo szczęśliwy.

Chciał przyjąć tu razem ze mną - skłamała, oblewając się zdradliwym ru mieńcem.

- Na to będzie jeszcze czas, moja droga.

Chciałam poróżniać

tylko z tobą, ponieważ wyczuwam niepokój, chaos i niepewność na potrzęsniętą głową.

Oczy pani Megalith pociemniały.

Częmieniały kolor, co zawsze denerwowało ludzi, którzy jej nie

"j. hTo niemożliwe, babciu.

Jestem absolutnie pewna, że chcę zobaczyć George'a.

lJaNie chodzi mi o ciebie, kochanie, ale o niego.

tlą ściągnęła brwi i utkwiała wzrok w kamiennych płytach.

Żada, że w ogóle tu przyszła.

jpMamy zamiar się pobrać.

Kochamy się.

ibWiem, zawsze byliście w sobie zakochani, lecz teraz George ebuje, żebyś kochała go bardziej niż kiedykolwiek...

;o masz na myśli?

- spytała Rita, zmieszana i trochę prze;ona.

iniosta oczy i zobaczyła wielkiego, prawie tak dużego jak rfc, czarnego kota który przyglądał się jej z dachu.

lZapragne, żebyś go wysłuchała, nie raz, ale wiele razy.

Przektaszną wojnę i prędzej czy później będzie musiał z kimś R pomówić.

George wiele przeszedł, kochanie.

Widział, jak i, jego przyjaciele, i sam patrzył śmierci prosto w twarz.

Teije, że z nikim nie może znaleźć wspólnego języka, że nikie będzie w stanie wytłumaczyć, co się z nim działo.

Wydasię, że znalazł się w samym środku koszmarnego snu.

e spróbować go zrozumieć.

Wiem, jak to jest, ponieważ mój ^ nigdy do końca nie przyszedł do siebie po pierwszej woj) zagazowaniu okopów i wszystkich tych okropnościach.

I wojny padają też małżeństwa, ci młodzi ludzie, którzy zoagle rozdzieleni.

Daj mu trochę czasu, ale później koniec ni porozmawiaj.

Nie zapominaj, że jedynym związkiem, na mógł polegać w ciągu ostatnich pięciu lat, był ten między

Jego spitfire'em.

Teraz musi od nowa nauczyć się ufać lu Nie pozwól, żeby odsunął się od ciebie.

I uważnie słuchała babki.

Ludzie mogli sobie gadać, że pagalith jest starą wiedźmą, ale to, co mówiła, zawsze wyda8ie Ricie sensowne.

Pragnę go zrozumieć, babciu, i chcę dać mu szczęście...

- Na pewno ci się to uda.

- Babka uśmiechnęła się i jej szare oczy pojaśniały.

- Zaraz, zaraz, gdzież to ja położyłam karty...

Podczas gdy Megababcia pokuśtykała do salonu w poszukiwaniu kart, Rita zaczęła przypatrywać się jaskółce, tańczącej na falach ciepłego powietrza.

Opadające słońce podświetlało ptaka od tyłu, powlekając rdzawą pożyłą brzegi jego skrzydeł.

Jaskółka była lekka i zwinna, i w pewnej chwili dziewczynie przyszło do głowy, że jest ona doskonałym symbolem jej własnego optymizmu oraz radości życia.

Przypomniała sobie, jak dawno temu obserwowała jaskółki razem z George'em.

- Pewnego dnia wzbiję się w powietrze jak jaskółka - powie diał wtedy, a ona mu uwierzyła.

Jaskółki co roku wracały do Elvestree, budowały tu gniazda i wychowwały pisklęta pod dachem tuż nad oknem salonu.

Pani Megalith darzyła je tak wielką sympatią, że nie przeszkadzały jej na wet odchody, które zostawiały na murze.

Najdziwniejsze było to, że płochliwe ptaki przyzwyczyły się do rezydujących w domu kotów, a te wcale ich nie atakowały.

Rita podniosła wzrok i zobaczyła, że olbrzymi czarny kocur zeskoczył z dachu i zniknął za węglem.

Wszystkie koty w tym domu miały w sobie coś niesamowitego.

Megababcia wyłoniła się z ciemnego salonu w chwili, gdy jaskółka wylądowała na gnieździe.

Starsza pani usiadła naprzeciwko Rity i starannie przetasowała dwadzieścia jeden kart tarota.

Chciała, żeby wnuczka wybrała tylko trzy karty, ponieważ zależało jej na odpowiedzi na konkretne pytanie.

Poprawiła okulary na grzbiecie nosa i podała talię Ricie, patrząc na nią z nadoprawek.

- Potasuj je przez chwilę - poleciła.

- Widziałaś jaskółkę?

Rita kiwnęła głową.

- To przepiękne ptaki.

Czuję się zaszczycona, że co roku mogę je gościć u siebie.

Kiedy skończysz tasować, pomyśl o George'u, wybierz trzy karty i podaj mi je.

Rita wyobraziła sobie twarz George'a i przypomniała sobie, jak było źle, że ich wspólne popołudnie zostało przerwane.

Potem wybrała trzy karty z różnych części talii.

Pani Megalith ujęła je w ozdobione pierścieniami palce, położyła na stole i odwróciła.

Na kartach znajdowały się ilustracje, które Megabacia zawsze nazywała "narzędziami komunikacji duchowej".

- Nie mają w sobie nic magicznego - tłumaczyła zwykle nowej klientce czy klientowi.

- To siła duchowa pozwoli ci wybrać te, które udzielą odpowiedzi na twoje pytanie i pokierują twoimi krokami w przyszłości.

Moje zadanie polega jedynie na tym, aby je zinterpretować.

Zawsze idę za głosem intuicji, która nigdy mnie nie zawiodła.

Teraz minęła długa chwila, nim, przyjrawszy się kartom, postukała w pierwszą zgiętym palcem.

- Umiarkowanie...

- powiedziała.

- Moja droga, ta karta mówi o tym, co dzieje się z tobą właśnie teraz.

Oznacza stan emocjonalnego wahania.

Widzisz tu kobietę w dziewiczo białej sukni i czernym płaszczu, symbolizującym prymitywne wibracje, oraz w płaszczu niebieskim, będącym obrazem wibracji wyższego rzędu, która przelewa wodę z jednego złotego kielicha do drugiego.

Sugeruje to walkę między pociąganiem seksualnym a cnotą.

Nie potrzebuję kart, aby odgadnąć, o co chodzi, bo ta walka jest wypisana na twojej twarzy.

Podдай się uczuciu, kochanie, i ciesz się swoim najdroższym.

W miłości fizycznej nie ma nic złego, oczywiście pod warunkiem, że towarzyszy jej miłość duchowa...

Zanim Rita zdążyła się zaczerwienić, babka wskazała palcem drugą kartę.

- Błazen - oświadczyła ze znaczącym parsknięciem.

Obrazek przedstawiał mężczyznę na rozdrożu, oglądającego się za siebie z poważnym wyrazem twarzy.

- Ta karta odślania okoliczności, które ci w tej chwili towarzyszą...

Rita spojrzała na kartę, zastanawiając się, czy białe klify i morze przedstawiają Devon.

- Będziesz musiała dokonać pewnego wyboru - ciągnęła pani Megalith.

- A to niełatwe.

Szczerze mówiąc, ta decyzja odmieni twoje życie.

Trudno ci będzie pożegnać się z przeszłością, ponie waż przeszłość dawała ci poczucie bezpieczeństwa.

Powinnaś jed nak zaufać instynktowi, bo on nigdy nie kłamie.

Czuję, że obraz morza należy odczytać dosłownie...

Jedna ścieżka prowadzi na morski brzeg i w kierunku horyzontu.

Tą drogą powinnaś pójść.

Widzisz psa, który towarzyszy mężczyźnie?

Rita skinęła głową i natychmiast pomyślała o Mildred.

- Nie będziesz sama.

George zaopiekuje się tobą...

Dziewczynie przyszło do głowy, że George'owi raczej nie spodobałoby się porównanie z psem.

Było to małe zwierzę o krótkiej, białej sierści, ani trochę niepodobne do dużej, kudła tej Mildred.

- Ach, a tu mamy księżyc...

- Megababcia podniosła trzecią kartę i pokiwała głową.

- Wpatrzony weń mężczyzna jest odwrócony plecami do kobiety, która siedzi na schodku i spogląda na niego z wielkim smutkiem...

To karta złudzeń, moja droga.

Mężczyzna chce osiągnąć księżyc, ale nigdy mu się to nie uda.

Nie pozwól, żeby George zostawił cię samą, z czarą miłości w ręku...

- Dziękuję, babciu - rzekła Rita.

Czuła ulgę, że seans dobiegł końca i pani Megalith nie powie jej nic strasznego.

Zapamiętała tylko, że toczy się w niej walka między cnotą i seksualnością.

Jej matka byłaby przerażona i zgorszona, gdyby się dowiedziała, że Megababcia zachęca własną wnuczkę do uprawiania seksu przed ślubem...

Rita przypadkiem usłyszała kiedyś, że jej babka miała dość barwną przeszłość i nie stroniła od doznań zmysłowych, zanim Denzil uczynił z niej przyzwoitą kobietę.

Zerknęła na zegarek, niepewna, czy Mega babcia nie poczuje się urażona, jeżeli zaraz wyjdzie.

Musiała przede wszystkim jeszcze przygotować się na przyjęcie.

Pani Megalith doskonale zdawała sobie sprawę, że wnuczka nie słuchała jej zbyt uważnie.

Widziała, z jakim roztargnieniem pa trzymała na drugiej i trzecią kartę.

Niestety, pierwsza przykuła jej uwagę, skłaniając do lekceważenia następnych dwóch.

Starsza pani zdjęła okulary i wstała.

- Na pewno chcesz jak najszybciej przebrać się w ładne szmatki na przyjęcie - prychnęła ze zniecierpliwieniem.

Rita skinęła głową.

- Chętnie zostałabym dłużej, ale robi się późno...

- Tak, tak, oczywiście w tej chwili nie ma dla ciebie nic ważniejszego...

Nie lekceważ tych kart, moja droga.

Jeżeli to zrobisz, popełnisz wielki błąd.

- Zmarszczyła brwi.

Czuła, że traci czas.

- Nie ryzykuj, dziewczyno, i pamiętaj, że cię ostrzegałam...

- Będę o tym pamiętać, babciu.

Spójrz, jeszcze jedna jas kółka!

Pani Megalith podniosła wzrok i skupiła uwagę na wdzięcznym ptaku.

Idąc do głównych drzwi, przed którymi Rita zostawiła ro wer, rozmawiały już tylko o jaskółkach.

- Do zobaczenia wieczorem!

- zawołała Rita, machając na po żegnanie.

Mocniej nacisnęła na pedały, szczęśliwa, że wreszcie zdołała się wyrwać.

Trees wszedł do domu w tej samej chwili, gdy żona zeszła ze schodów i przystanęła na ostatnim stopniu, ubrana w ładną su kienkę, niebieską w drobne kaczeńce.

Ręce Treesa były brudne od dotykania klejących się liści jego ukochanych orzechów.

Jed nym z drzew, które darzył szczególną sympatią, był wielki Juglans negra, przed mniej więcej trzystu laty zasadzony przy domu po to, aby muchy przyklejały się do jego liści i nie wpadały przez otwar te okna do środka.

Było to wysokie, majestatyczne drzewo, któ re jesienią dawało najśodsze, najbielsze orzechy ze wszystkich.

Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat Trees zasadził czterdzie ści siedem rozmaitych odmian orzechów.

Większość z nich za czyniała owocować dopiero po co najmniej dwudziestu pięciu la tach, lecz niedawno Trees dowiedział się, że we Francji odkryto nową odmianę, która rodziła orzechy po zaledwie trzech latach, i był tym bardzo podekscytowany.

Na nieszczęście wojna unie możliwiła mu bliższe zbadanie tej sprawy i wystaranie się o sa dzonkę.

- Zaraz przyjdą goście, a ty nawet się nie umyłeś - powiedzia ła Faye.

Ogarnęła wzrokiem panujący w holu bałagan i z ulgą pomyśla ła, że przyjęcie odbędzie się w stodole.

Na blacie stołu piętrzyły się gazety, papiery, książki i uprana bielizna, którą zamierzała za nieść do sypialni, lecz później zapomniała o tym, ponieważ jej uwagę odwrócił mały Johnnie.

Chłopiec wszedł na krzesło i zaczął zdejmować z pokrywy fortepianu wszystkie jej nuty i oprawił je w ramki fotograficzne.

Trees skinął głowę i z roztargnieniem zatarł dłonie.

- Przygotowałeś wszystko w stodole?

- zapytała.

- Tak.

Pójdę się teraz umyć i przebrać.



- Rozpaliłeś ogień?

W odpowiedzi Trees powtórnie kiwnął głową.

- To dobrze.

Nie będzie wielkiego tłumu, najwyżej trzydzieści parę osób.

Wspominałam o przyjęciu w wiosce, więc kto wie, mo że zjawi się kilkoro dawnych przyjaciół George'a.

Chcę, by po czuł, że wszyscy cieszą się z jego powrotu i doceniają to, co zro bił.

Na szczęście mamy mnóstwo cydru i możemy wznieść toast za jego zdrowie i powodzenie.

Wieczór był wietrzny, słońce zakryły ciężkie, deszczowe chmu ry.

Faye spojrzała na niebo i pomyślała, że może padać choćby przez kilka dni, byle tylko nie w czasie przyjęcia.

Kątem oka za uważyla stado kaczek.

Przeleciały po prawej stronie nieba, wyko nując powietrzne ewolucje.

Powoli ruszyła w stronę stodoły, sto jącej na granicy zabudowań, wśród starych jabłoni.

W okresie żniw przechowywano w niej siano.

Kiedy George i Alice byli ma łymi dziećmi, wspinali się na pachnące bele jak na szczyty gór skie, ukrywając się przed rodzicami.

Jakie spokojne i niewinne było wtedy nasze życie, pomyślała.

W środku było ciepło i zacisznie, powietrze pachniało świeżo zżętą trawą i dymem z ogniska.

Faye kazała rozstawić dwa długie stoły, naprędce zbite z surowych desek i poprzycinanych pni, przykryła je prześcieradłami i pożyczyła sztucce, talerze, szklan ki i kieliszki od pani Megalith, która miała dość zastawy stołowej na wielki bankiet.

Starsza pani zaproponowała, aby przyjęcie od było się w jej ogrodzie, co niewątpliwie stworzyłoby przyjemniej szą scenerię, lecz Faye odmówiła.

Wydawała przyjęcie z okazji po wrotu George'a do domu, więc powinno się odbyć właśnie w jego rodzinnym domu, nie gdzie indziej.

Wzięła świecę i zaczęła zapalać lampy na stołach.

Była świadoma, że wojna dobiegła końca i George szczęśliwie wrócił do rodzi ny, ale wciąż wydawało jej się to dziwnie nierzeczywiste.

Starala się nie myśleć o niebezpieczeństwach, z jakimi się stykał.

Nigdy nie przestała widzieć w nim małego synka i nie mogła znieść myśli o jego cierpieniach.

Skończyła zapalać lampy i w myśli szybko odmówiła modlitwę dziękczynną, i drugą, za szczęśliwą przyszłość George'a.

Czuła, że syn może potrzebować tego rodzaju wsparcia.

Gdy słońce skryło się za linią horyzontu, do stodoły zaczęli na pływać goście, niosący jedzenie i napoje.

Wielebny Elwyn Hammond z żoną i dwójką wnucząt przydźwigali ogromne torby, pełne świeżych bułeczek; stara June Hogmier, która prowadziła wiejski sklepik, jak zawsze chorobliwie skąpa, przyniosła ziemniaki do pieczenia, wygrzebane z kosza na odpadki; Cyril i jego prześlana żona Beryl dostarczyli warzywa i pieczone jabłka na pudding.

Zatrudnieni na farmie robotnicy przynieśli kurczaki, a hałaśliwa grupa starych przyjaciół George'a piwo.

George serdecznie witał się ze wszystkimi pod wielkimi transparentami ze słowami "WITAJ W DOMU, GEORGE", które dzieci namalowały z pomocą Alice.

Był wzruszony, że rodzice zdecydowali się na taki wysiłek, i trochę onieśmiałony.

Wcale nie uważał, że rzeczywiście zasłużył na to wszystko, i wciąż nie potrafił otrząsnąć się z poczucia winy, które dręczyło go od powrotu.

Tytuł ludzi nie dożył zwycięstwa, myślał ze smutkiem.

Rozmawiał z wielebnym Hammondem, kiedy do stodoły weszła Rita wraz z całą rodziną.

Uprzejmie przeprosił duchownego i przedarł się przez tłum, żeby ją przywitać.

- Jak tam Megababcia?

- zapytał, kładąc dłoń na plecach dziewczyny i przyciągając ją do siebie.

- Nie powiedziała mi nic takiego, o czym bym nie wiedziała.

- Czyżby powoli traciła swoje niezwykle umiejętności?

- Nie sądzę, to raczej ja pracuję nad moimi.

Babcia będzie tu lada chwila.

- Przyleci na miotle czy wyskoczy z tortu?

- George się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że zjawi się w najzupełniej normalny sposób.

Tak czy inaczej, nie wydaje mi się, aby twoja mama była w stanie zrobić aż tak wielki tort...

Oboje parsknęli śmiechem.

- Cześć, Eddie.

- George odwrócił się do najmłodszej siostry Rity i lekko zwichrzył jej włosy.

- Jak się czuje moja ulubiona dziewczyna?

- Nie kłam, wcale nie jestem twoją ulubioną dziewczyną.

- W takim razie jesteś moją drugą ulubioną!

Eddie westchnęła dramatycznie.

- Pewnego dnia zostanę czyjąś pierwszą i jedyną!

- oznajmiła uroczyście i zniknęła w tłumie gości, przytrzymując uczeponego jej rękawa nietoperza Harveya.

Kiedy w progu stanęła pani Megalith, goście rozstąpili się jak fale morskie przed potężnym transatlantykiem.

Nikt nie śmiał stanąć na drodze Wiedźmy z Elvestree, która na tę okazję przy stroiła fryzurę pawimi piórami i narzuciła na ulubioną fioletową suknię podarowany jej kiedyś przez męża indyjski zielony szal z frędzlami.

Jej dekolt zdobił ciężki kamień księżycowy, zawieszony na czarnym jedwabnym sznurku, a dłonie lśniły od kryształów.

- Witaj, George - odezwała się, kładąc rękę na jego ramieniu.

- Pamiętasz mnie?

George odwrócił się szybko.

- Tak się cieszę, że pani przyszła.

- Z uznaniem ogarnął wzrokiem jej ekscentryczny strój.

- Wygląda pani cudownie!

- Nie mogę przecież zawieść tych dobrych ludzi, którzy spodziewają się, że będę wyglądała jak czarownica.

- Mrugnęła do George'a.

- Czy czarownice nie powinny nosić wyłącznie czarnych szat?

Rita zakryła usta dłonią, tłumiąc nerwowy śmiech.

Babka słysząca z nieprzewidywalnych zmian nastrojów i tylko Max mógł bezkarnie nazywać ją czarownicą.

Ku zaskoczeniu Rity, pani Megalith uśmiechnęła się, lekko zmrużywszy oczy.

- Może i tak, ale nie dotyczy to tej czarownicy - rzekła.

George uniósł brwi.

Czyżby starsza pani próbowała z nim flirtować?

- Jest pani jasną gwiazdą, która świeci nad poranioną przez wojnę Wielką Brytanią - oznajmił uroczyście.

- Dziękuję ci, chłopcze.

Najwyraźniej wiesz, jak pochlebić sta rej damie.

Gdzie twój ojciec?

Podobno zdobył jakieś nowe informacje o tej rzadkiej odmianie francuskiego orzecha...

- Co takiego niezwykłego może być we włoskim orzechu?

- Rita wzruszyła ramionami, lecz kiedy Megababcia przystąpiła do szczegółowego wyjaśniania tej kwestii, pożałowała, że zadała to pytanie.

- Orzechy włoskie to niezwykle drzewa o fascynującej historii, moja droga.

Dziwię się, że George ci tego nie powiedział.

Kiedyś wierzono, że orzechy te należą do bogów i są ich pożywnością.

Persowie nazywali je "królewskimi orzechami" i kara li śmiałków, którzy próbowali ich dotknąć.

W pierwszym wieku przed narodzeniem Chrystusa Grecy przywieźli pierwsze sadzonki do Rzymu, a z kolei Rzymianie zasadzili te drzewa w Anglii.

Wykonywali z orzechowego drzewa najdroższe, najwspanialsze sprzęty.

Dorośle orzechy trzeba chronić i opiekować się nimi, tak jak robi to Trees.

Ten orzech, który góruje nad waszym domem, to prawdziwy skarb, chłopcze.

Twój ojciec nie jest waszym riatem, lecz geniuszem, wielkim, niezrozumianym geniuszem!

Założę się, że ma jedną z największych kolekcji drzew orzechowych w kraju.

Powiem wam coś jeszcze, orzechy to ulubiony przysmak wiewiórek, a my wszyscy uwielbiamy wiewiórki, prawda?

Rita skinęła głową, przypominając sobie, jak w dzieciństwie karmiła wiewiórki w ogrodzie Megababci.

- Szczególnie pieczone, z odrobiną bekonu - dodała starsza pani, mlaskając wargami.

- Tata jest tam.

- George wskazał ojca, górującego o głowę nad grupą gości, których usiłował bawić rozmową.

Kiedy pani Megalith dostojnie oddaliła się w kierunku Treesa, Rita przewróciła oczami.

- Po co zapytałam ją o te orzechy, na miłość boską?

- wymam rotę.

- Chciałam tylko sprawić jej przyjemność...

- Nie należy sprawiać przyjemności czarownicy, bo każda wiedźma sama sprawia sobie przyjemność - odparł George.

- Ciekawo, jak to jest, żyć tak jak ona, wśród kotów, kart i kryształów wychodzących...

- Nie mam pojęcia.

Może czuje się samotna, nawet z tymi wszystkimi kotami...

- Przecież mieszkają z nią Max i Ruth - zauważył George.

- To święci młodzi ludzie, naprawdę...

- Nie mają wyboru, biedacy.

- Ale przynajmniej nigdy się z nią nie nudzą...

Świat jest pełen takich nudzących ludzi, a twoja babcia jest jak barwna plama, rzucona na szare tło...

Twarz George'a posmutniała nagle.

Rita dotknęła jego ramienia i przypomniała sobie rady babki.

- Mam ochotę na szklaneczkę cydru - powiedziała.

- Chciała bym wypić za twój powrót do domu, bo przecież ja mam chyba największy powód do radości...

- Chodźmy!

- uśmiechnął się.

Trzymając się za ręce, ruszyli w kierunku stołu pod przeciwległą ścianą stodoły, gdzie ustawiono szklanki i napoje.

Max i Ruth przyszli razem z panią Megalith, ale zostali w tyle i przystanęli pod ścianą, gdzie znajdował się duży grill.

Po chwili wahania Ruth przyłączyła się do Eddie, która specjalnie po nią przyszła, i do jej przyjaciół, zostawiając Maksa samego, ze szklanką cydru w ręku.

Obserwował siostrę i widok jej uśmiechniętej, pogodnej twarzy podniósł go na duchu.

Zdawał sobie sprawę, że chociaż pani Megalith stara się zastąpić im rodziców, w gruncie rzeczy są na świecie zupełnie sami, i pewnie dlatego czuł, że musi chronić siostrę przed wszelkimi zagrożeniami.

Ruth była jeszcze dzieckiem, ale on miał już siedemnaście lat.

Przejechał palcami włosy i rozejrzał się dookoła.

Jego wzrok natychmiast spoczął na Ricie, która przytulała się do George'a.

Poczuł ostre ukłucie zazdrości.

Bardzo wstydził się tak niskich uczuć, ale miał nadzieję, że George nie wróci z wojny.

Patrząc na długie, tworzące starganą chmurę włosy dziewczyny i jej bladą, usianą piegami twarz, z całego serca pragnął, aby spojrzała na niego z takim samym oddaniem jak na George'a.

Oderwał od niej oczy, ponieważ ten widok sprawiał mu tylko ból, i z rozbawieniem zaczął przyglądać się, kto jest przedmiotem zainteresowania Wiedźmy z Elvestree.

Pani Megalith posiadała rzadką zdolność koncentrowania się na kilku rzeczach równocześnie.

Uważnie słuchając opowieści Treesa o francuskich drzewach orzechowych, które miał nadzieję sprowadzić do Devonu, bacznie obserwowała Maddie, tkwiącą w samym środku grupy młodych mężczyzn w odległym kącie stoły.

O Maddie można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że zachowywała się jak młoda dama.

Dziewczyna siedziała na kolanach

nach jednego z przyjaciół George'a - ramionami oplótła jego szyję, nogi lekko rozsunęła i dosłownie ryczała ze śmiechu, szeroko otwierając usta.

Hanna była zbyt zajęta rozmową z żoną wielbionego Hammonda, Verą, aby zwrócić uwagę na poczynania córki, Humphrey zaś dyskutował o wojnie z Japonią z Mikiem Purdie, swoim najbliższym sąsiadem.

Eddie doskonale bawiła się z Ruth oraz innymi przyjaciółmi - cała grupka biegała po stodołę, robiąc mnóstwo hałasu i zamieszania.

Tylko pani Megalith nie spuszczała wzroku z Maddie.

Nagle nieomylna intuicja podsunęła jej obraz wnuczki, leżącej w ramionach amerykańskiego żołnierza na tylnym siedzeniu dżipa.

Z niesmakiem odepchnęła tę wizję, lecz dzięki niej wreszcie zrozumiała brak motywacji, który demonstrowała Maddie.

Dziewczyna odkryła zakazane rozkosze cielesne, pomyślała pani Megalith, przypominając sobie, jak sama kilka dziesiąt lat temu wkroczyła na tę ścieżkę.

Mogła już tylko mieć nadzieję, że Maddie nie pozwoli, aby pożądliwość zdominowała całe jej życie.

Przyjęcie toczyło się wesoło, atmosfera była beztroska, przepętniona radością z powrotu George'a i zwycięstwa aliantów.

Wojenne lata zjednoczyły wszystkich w lęku i determinacji, a wyzwolenie od groźby nazizmu połączyło ludzi w chęci powrotu do normalnego życia.

Nie zapomnieli jednak o tych, którzy oddali życie za kraj i wolność, i uczcili ich pamięć minutą ciszy.

W tej szczególnej chwili Max myślał o rodzicach, z trudem tłumiąc tępy ból, który zawsze towarzyszył takim wspomnieniom.

Wielbiony Hammond mocno ścisnął dłoń żony, w milczeniu modląc się za duszę swojego syna Ruperta, który zginął pod Dunkierką.

Po tem Trees wznosił toast za George'a, zbyt wzruszony, by długo mówić.

Rita podniosła wzrok i napotkała smutne, zamyślane spojrzenie Makska.

Posłała mu uśmiech, ale on chyba jej nie widział.

Wkrótce zaczęły się tańce i cała stodoła zadygotała od rytmicznego przytupywania wielu stóp i dźwięków muzyki, płynących z gramofonu Faye.

Faye przyglądała się, jak syn chwyta Ritę za rękę i wyprowadza ją w panującą na zewnątrz głęboką ciemność.

Zaczął padać drobny, niesiony porywistym wiatrem deszcz.



Cu downie  wieże powietrze pachniało wilgotną ziemią i młodą zie.

lenią.

George i Rita szybko przebiegli przez dziedziniec farmy i wpadli do starej, niskiej obory, wspartej jednym węglem o rozłożysty kasztanowiec.

W środku było sucho i ciepło, gdzieś w głębi cicho muczały krowy i cielęta, zaciekawione i nieco zaniepokojone wtargnięciem intruzów.

Wnętrze obory rozjaśniały jedynie smugi światła wpadające przez szpary między grubymi deskami.

Rita z zachwytem i rozczeniem patrzyła na młodziutkie cielęta, które przysuwały mordki do szczelbi boksów, aby przyrzeć się jej błyszczącymi oczami.

Bez słowa przyklękła i zaczęła gładzić ich jedwabistą sierść i wilgotne nozdrza.

Muczenie przybrało na sile, ponieważ wszystkie zwierzęta domagały się pieśczoć.

George wziął Ritę za rękę i pociągnął ją w kierunku przystawionej do wejścia na stryszek drabiny.

Na dworze ostro świstał wiatr, lecz złożone na podłodze siano było miękkie i ciepłe.

Krowy i cielęta uspokoiły się, i znowu posapywały cicho i rytmicznie.

George pocałował Ritę.

W tej pieśczoć nie było gorączki, jak zwykle ogarniała ich w jaskini na brzegu morza, ale czułość i prośba o zrozumienie.

- Nie znoszę tłumy, chcę być tylko z tobą - powiedział, pokrywając pocałunkami jej wilgotną szyję.

Zmoczona deszczem sukienka Rity kleiła się do jej skóry jak ręka kawiczka.

Dziewczyna pachniała fiołkami i niewinnością.

George pomyślał o kobietach lekkich obyczajów, z którymi sypiał w cza sie wojny, aby nie stracić kontaktu z rzeczywistością i zapomnieć o towarzyszącej mu dzień w dzień śmierci.

Kochał Ritę, ale czuł się przy niej trochę dziwnie.

Jej obecność dawała mu pociechę i ukojenie, lecz także budziła wątpliwości.

Pomyślał, że wrócił do domu, spodziewając się, iż bez trudu dopasuje się do starych przyzwyczajęń i odczuć, okazało się jednak, że zupełnie z nich wyrósł.

Rita wydawała się nieświadoma zmiany, jaka w nim zaszła, co czy niło całą sytuację jeszcze trudniejszą i prawie uniemożliwiało po rozumienie.

George spojrzął na jej zarumienioną, wciąż dziecienną twarz i zdał sobie sprawę, że chociaż bardzo jej pragnie, nie chce zbrukać jej niewinności i czystości.

Wszystko, co wiązało się z wojną, było brudne, tylko Rita pozostała nietknięta i George'owi za leżało, aby chociaż to się nie zmieniło, przynajmniej na razie.

Popatrzyła na niego pytająco, jakby jednak wyczuwała targające nim wątpliwości.

- Zapomnij o wojnie, kochany - szepnęła z nieśmiałym uśmiechem.

- Tamto już się skończyło...

Wrócisz do domu, do mnie...

- Codziennie dziękuję za ciebie Bogu - zamruczał, znowu pieszcząc wargami jej szyję.

- Dziękuję Bogu, że cię mam...

## Rozdział piąty

Następnego dnia Rita siedziała w kościele obok matki i Maddie.

Hanna włożyła prosty beżowy kapelusz, a jej ocieniona nie wielkim rondem twarz przybrała wyraz głębokiego rozmodlenia, kiedy z powagą wodziła oczami po kartkach książeczki do nabożeństwa, choć z powodu słabego wzroku nie była w stanie prze czytać ani słowa.

Gdyby wiedziała, że jedna z jej córek siedzi w świętym przybytku zbrukana i bynajmniej tym niezawstydzona, natomiast druga coraz częściej myśli o seksie, przerażenie po waliłoby ją na kolana, ale Maddie była ostrożna i starała się mówić jak najciszej.

- I jak było?

- szepnęła siostrze do ucha.

Rita zaczerwieniła się i zsunęła kapelusz niżej, żeby ukryć się przed spojrzeniem matki.

- Cudownie...

- odparła z pełnym satysfakcji westchnieniem.

- Dokąd poszliście?

Wróciłaś dopiero o świcie...

- Wiem.

- Stłumiła ziewnięcie.

- Poszliśmy do obory pełnej cieląt.

Były takie słodkie...

- Kochaliście się w oborze?!

- Maddie otworzyła usta ze zduńmienia.

- Nie, byliśmy na stryszku, nie w samej oborze.

Poza tym wca le się nie kochaliśmy.

- Nie kochaliście się?

- Nie.

- Dlaczego, na miłość boską?!

- Ponieważ nie jesteśmy małżeństwem.

Maddie bezradnie potrząsnęła głową.

- Ty głupia!

- syknęła.

- Tylko później nie mów, że cię nie ostrzegałam!

- Ciiiicho...

- szepnęła Hanna.

- Nie zapominajcie, że jesteście w świątyni, a ty, Rito, masz za co dziękować Bogu!

Rita kiwnęła głową i zerknęła na drugą stronę nawy, gdzie Faye i Trees siedzieli z Alice, jej dziećmi oraz George'em.

Oni także mieli za co dziękować Bogu.

Rita pochwyciła spojrzenie George'a i jego dyskretny uśmiech.

W jego szarych oczach wciąż lśniło wspomnienie minionej nocy.

Po chwili pośrodku nawy stanął wielebny Hammond w czarnej sutannie z białą koloratką.

Tylko jego długie szpakowate loczki stanowiły pewien dysonans z wystudiowanym wizerunkiem idealnego duchownego.

Podobnie jak Hanna, także i wielebny Hammond przywdziewał w kościele inną maskę.

W roli duchownego wydawał się wyższy i bardziej postawny niż Elwyn Hammond, mąż i dziadek, kupujący warzywa w sklepie panny Hogmier.

W domu Bożym przeistaczał się w rzecznika Boga, człowieka, którego powołaniem i obowiązkiem jest prowadzenie trzódki wiernych i wskazywanie, że droga do Nieba wiedzie przez cierpienie oraz pokutę.

Wielebny Hammond wiedział o cierpieniu więcej niż większość ludzi, ponieważ w czasie wojny stracił jedynego syna, dobrze znał także miłość i współczucie, gdyż jego synowa po śmierci męża zamieszkała z dziećmi we Frognał Point.

Wielebny codziennie szukał syna w twarzach wnuków i codziennie go opłakiwał, pocieszając się myślą, że Rupert cieszy się już wiecznym spokojem w domu Ojca Niebieskiego.

Zgromadzenie uciszyło się, gdy głęboki głos wielebnego Hammonda wypełnił wnętrze kościoła niczym niski dźwięk basów.

Duchowny mówił powoli, starannie i dobitnie artykułując słowa, aby słyszeli go nawet starzy i częściowo głusi.

Rita spojrzała na Eddie, która siedziała spokojnie, rysując coś w małym notesie.

Szkicowała krucyfiksy na wypadek, gdyby matka oderwała wzrok.

od wielebnego Hammonda, aby sprawdzić, co robi jej najmłodsza córka.

Humphrey siedział obok Eddie i przez małe okrągłe okno lary wsparte na czubku nosa przeglądał śpiewnik z hymnami.

Nie był szczególnie religijny i uważał wielebnego za pompatycznego, męczącego nudziarza, chętnie przychodził jednak do kościoła ze względu na Hannę, która nie opuszczała nabożeństw, nawet gdy była chora.

Nagle drzwi kościoła otworzyły się i wielebny Hammond umilkł ze zdumienia.

Niewiele osób czy rzeczy było w stanie odebrać głos duchownemu, więc głowy wszystkich zgromadzonych odwróciły się, aby sprawdzić, jakież to demon stanął na progu świątyni.

Rita wyciągnęła szyję i szybko trąciła Maddie łokciem w bok.

Pani Megalith przystanęła na chwilę i właśnie wtedy wiatr wyduł jej długą niebieską suknię niczym balon.

Starsza pani po ciągnęła nosem i potoczyła po kościele oczami koloru księżycy wych kamieni.

Minęło wiele lat od dnia, kiedy po raz ostatni tu była, ale tylko kilka tygodni od jej ostatniej sprzeczki z wielebnym Hammondem na temat przekręcania i wykoślawiania Słowa Bożego przez wszystkie formy zorganizowanej religii.

Wielebny Hammond wycofał się z dyskusji w połowie zdania, ponieważ od krył, że w obecności pani Megalith czuje się jak wyrzucona na brzeg, zdychająca ryba.

Wiedźma z Elvestree spokojnie ruszyła środkiem nawy, dostojna niczym szacowna matrona, a postukiwanie jej laski odbijało się echem od kamiennych ścian.

Wszyscy milczeli jak zaczarowani, tylko Eddie chichotała cichutko, zasłaniając usta dłonią, dopóki matka nie kazała jej przestać.

Hanna była przerażona i wstrząśnięta.

Megababcia słygnęła z nienawiści do instytucji kościelnych, duchownych i wszelkich przejawów dogmatycznej religii.

Twierdziła, że czuje obecność Boga w swoim ogrodzie i nie potrzebuje płacić za to, aby siedzieć w kościele i słuchać, jak wielebny Hammond mówi o Nim tak, jakby znał Go lepiej niż inni.

- Wszystko to oszustwo i kłamstwo - powtarzała.

- Gdyby lu dzie wiedzieli, że mogą rozmawiać z Bogiem we własnej kuchni, nie przychodziliby do kościoła i nie ziewali, słuchając wykładów tego starego nudziarza na temat cierpienia i wiary.

Hanna skuliła się, gdy matka zmusiła ich do stłoczenia się

w ławce, aby miała gdzie usiąść.

Wielebny Hammond wzrokiem szczerzego zwierzęcia patrzył na błyszczące kryształy na szyi starszej pani i nerwowo obracał w palcach prosty krzyżyk, który sam nosił na piersi.

Skulił się w sobie i jakby zmałał, a kiedy w końcu przemówił, jego głos przypominał skrzeczenie żaby.

- W domu Bożym wszyscy możemy czuć się u siebie - zaczął, usiłując zignorować ciche prychnięcie pani Megalith i wyzywająco wyraził jej odczuwanie.

Hanna łamała sobie głowę, co napadło jej matkę.

Nie dość, że zupełnie nieoczekiwanie zjawiała się w kościele, to jeszcze przez nią tłoczyli się teraz w ławce jak sardynki w puszcze.

- Zaśpiewajmy hymn numer trzysta dwadzieścia pięć - skapi tułował wielebny Hammond.

- "Przysięgam ci, moja ojczyzno..."

Wierni wstali i z entuzjazmem zaśpiewali hymn, który dosko nale znali i lubili.

Wielebny Hammond z westchnieniem ulgi przekazał pałeczkę panie Hogmier i jej rozstrojonym organom.

Minuty mijały i wielebny zaczął się powoli uspokajać.

Staran nie omijał wzrokiem panią Megalith, odzyskując panowanie i nad sobą, i nad nieoczekiwaną sytuacją.

I właśnie wtedy, kiedy wydało się, że wszystko wróciło do normy, ogromny czarny kot po jawił się znikąd na środku kościoła i jednym susem wylądował na ołtarzu.

Wielebny Hammond był jedyną osobą, która nie zobaczyła go od razu, ponieważ stał zwrócony twarzą do zgromadzonych.

Podeksytowani Johnnie i Jane parsknęli śmiechem.

Jeden kot może nie wywołałby poruszenia, pojawienie się dwóch większości osób zbyłoby wzruszeniem ramion, ale pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu kotów nie dało się zignorować.

Koty je den po drugim wychodziły spod ławek, zbliżały się do ołtarza, wsuwały się pod biały obrus.

Z uniesionymi ogonami wskakiwały potem na ołtarz i przechadzały się po nim, ostrożnie omijając świeczniki i srebrne przedmioty.

Wielebny Hammond dostrzegł wreszcie, że oczy zgromadzonych utkwione są nie w nim, lecz w ołtarzu, chociaż z ogromnym przejęciem wygłaszał błyskotliwie, jak sądził, kazanie.

Kiedy wreszcie pozwolił sobie ulec ma gnetycznej sile osobowości pani Megalith i spojrzął na nią, odkrył, że imponująca dama wygląda na równie zdumioną jak wszyscy.

Nie panując nad zaciekawieniem, odwrócił się wreszcie, żeby zobaczyć, co tak zainteresowało wiernych.

Przy ołtarzu bawiły się koty rozmaitej wielkości i maści.

Du chowny nie miał cienia wątpliwości, że pani Megalith ma coś wspólnego z tym niezwykłym widowiskiem, ponieważ wszyscy wiedzieli, że w jej domu mieszka kilkadziesiąt kotów.

Z rezygnacją znowu zwrócił się twarzą do zebranych.

- Mówiłem już, że w domu Bożym wszystkie stworzenia mogą czuć się u siebie - zażartował niepewnie i na chwilę skupił uwagę na pani Megalith.

- Zgodnie z wieloma legendami, koty przy noszą szczęście.

Bóg pobłogosławił dzisiaj ten przybytek.

Módlmy się...

Starsza pani nachyliła się ku Maddie.

- Legendy mówią także, że kobiecie, która trzyma w domu czar nego kota, nigdy nie zabraknie kochanków - syknęła głośno.

- Założę się, że wielebny nic o tym nie wie!

Maddie miała ochotę odpowiedzieć, że gdyby była to prawda, jej babka miałaby więcej kochanków niż włosów na głowie, lecz wykazała się rozwagą i oparła pokusie.

Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, członkowie zgromadzenia zaczęli czekać, aż pani Megalith dokuśtyka do drzwi, wiodąc za sobą Maddie, Ritę, Eddie, Hannę, Humphreya i osiem kotów.

Patrzyli, jak mija ich, wsparta na lasce, i z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że rzeczywiście jest wiedźmą.

Przed kościołem Hanna szybko podeszła do matki.

- Dlaczego przyszłaś?

- zapytała ostro.

Pani Megalith uśmiechnęła się niewinnie.

- Czy wielebny nie powiedział, że w kościele każdy może czuć się jak w domu?

- odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Ale ty nie znosisz kościoła!

- oburzyła się Hanna.



- Od czasu do czasu trzeba trochę poruszyć tego nudziarza, bo inaczej wpadnie w samouwielbienie!

- Parsknęła śmiechem w od powiedzi.

-Jednak tym razem nie o to mi chodziło...

Przyszłam, bo uznałam, że powinnam, ze względu na George'a i tak dalej...

- Naprawdę?

- Elwyn twierdzi, że droga do nieba prowadzi przez cierpienie.

Cóż, po dzisiejszym nabożeństwie jestem o parę kroków bliżej nie

ba...

- Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Nieźle go podkręciłam, co?

Stary głupiec!

Wielebnemu Hammondowi lekko drżały ręce, kiedy stojąc przy drzwiach, uprzejmie rozmawiał z wychodzącymi.

- Znam legendę, która mówi, że po siedmiu latach życia każ dy kot przeistacza się w czarownicę - oznajmiła ponuro panna Hogmier, wychodząc z kościoła.

- Wyobraża pan sobie, ile będzie my tu mieli wiedźm, jeżeli to prawda?

- Doprawdy, panno Hogmier, chyba nie wierzy pani w podob ne bzdury...

- Ależ wierzę!

Pani Megalith to zła kobieta, proszę zapamiętać moje słowa!

Po południu George i Rita siedzieli na kocu na szczycie klifu i obserwowali ptaki.

Sztorm minął, pozostawiając idealnie czyste niebo, i choć nadal było wietrznie, szczególnie na klifach, wiatr był miły i ciepły.

Rita przyniosła termos z gorącą herbatą i kanap ki z masą czekoladową, a matka włożyła jeszcze do kosza świeżo upieczone ciasteczka i kilka plastrów szynki dla George'a.

- Wszyscy mówią o twoim powrocie - odezwała się Rita z ra dością.

- Najwyraźniej brakuje im innych tematów.

- George zapatrzył się w wyraźnie zarysowaną linię horyzontu, w jego oczach symbol fascynujących przygód i podróży.

- Uważają cię za bohatera.

- Naprawdę?

- zapytał sucho.

- Nie, kochanie, bohaterowie to chłopcy, którzy oddali życie dla kraju.

Ja nie jestem bohaterem.

Spojrzała na niego niespokojnie.

- Nie chcę więcej latać - dodał niespodziewanie.

Milczała, nie wiedząc, jak zareagować.

- I nie chcę pamiętać o wojnie.

Chcę zapomnieć, że brałem w niej udział, i zatopić się w tobie.

Jednak George nie był w stanie zapomnieć o wojnie.

Za dnia tłumił wspomnienia, ale nocą, kiedy siła woli nie mogła dojść do .

głosu, pamięć przywoływała straszne obrazy z niedawnej przeszłości.

Dręczyły go sny tak podobne do rzeczywistości, że czuł za pach paliwa i rozgrzanego metalu, a także krople potu na czole i nosie, spływające pod maskę tlenową.

Znowu siedział za sterami Spitfire'a, doświadczając płomiennej intensywności życia i zimnego jak lód strachu...

Niebo było ciemne od niemieckich bombowców, głównie Heinkli, podobnych do stada czarnych os, pędzących ku niemu z ogromną prędkością.

Nagle był w samym środku piekielnego mrowia, wrogie samoloty nadlatywały ze wszystkich stron.

Prze klęte Szwaby!

Odgłos pokładowego karabinu maszynowego przygłuszał dźwięk rozdieranego kretonu.

Syk pocisków, błysk, głośna eksplozja...

Czarny dym...

Chyba nie mnie trafili, nie moją maszynę...

Jeszcze nie tym razem, ale było blisko...

Jakiś inny nie szczęśnik...

Heinkel spada, coraz szybciej i szybciej, lotnik wyskakuje, lecz linki spadochronu dostają się między łopaty śmigła i człowiek leci w dół razem z trafioną maszyną.

Co za straszna, przerażająca śmierć...

George jest dobrym, świetnie wyszkolonym pilotem, więc potrafi się skoncentrować, przemienić paralizujący lęk w skupienie.

Albo oni, albo ja...

Muszę żyć, mam po co żyć...

Zwiększa prędkość.

Uspokój się, na miłość boską, opanuj się...

Nie trać głowy, głupcze!

Rozwal tych drani!

Co noc George od nowa walczył o życie.

Jak długo można to wytrzymać?

Och, gdyby tak mógł bez końca siedzieć na klifach i ob serwować ptaki...

Gdyby tylko mógł...

Starając się raz na zawsze odepchnąć wojenne wspomnienia, George z zapałem pomagał ojcu i przy każdej możliwej okazji spo tykał się z Ritą.

Miłość stała się dla niego sposobem na zapomnie nie, ponieważ własnym ogniem wypalała poczucie winy i ból.

Kiedy nie był zajęty, wspominał poległych przyjaciół - Jamiego Cordella, zestrzelonego podczas wypadu nad północną Francję, Rata Bridgesa, zabitego nad Dunkierką, Lorriego Hamptona, kó rego ciało spoczęło na dnie morza, i wielu, wielu innych.

Czuł, że musi wyrzucić ich ze swego umysłu, inaczej oszaleje.

Rita była cierpliwa.

Kochała George'a, okazywała, jak bardzo jest z niego dumna, trwała przy nim i starała się nie wspominać o ślubie.

Była pewna, że George sam zacznie rozmowę o małżeń

stwie, kiedy w pełni wróci do siebie.

Instynktownie wyczuwała, że po przeżyciach, które stały się jego udziałem, musi przejść akli matyzację, na nowo przywyknąć do normalnej egzystencji.

Faye rozmawiała z nią o przyszłości w czasie lekcji rzeźby.

Dla obu ko biet było oczywiste, że wkrótce ich rodziny połączą się w jedną, szczęśliwą i liczną.

Rozmawiały o przebudowie jednego z domów na farmie i o tym, jak chętnie Johnnie i Jane będą bawić się z młodszymi kuzynami.

Faye wspominała dziecięce zabawy Alice i George'a, wspólne karmienie inwentarza i gonitwy po łą kach, i wyobrażała sobie, że następne pokolenie będzie oddawać się tym samym rozrywkom, lecz w głębi jej duszy czaiły się wą t pliwości, które wciąż starała się ignorować.

Uważnie obserwowa ła syna i widziała, że kiedy George nie jest zajęty, jego twarz przy pomina oblicze znacznie starszego, rozczarowanego życiem, cynicznego człowieka.

Lato minęło.

Do władzy doszedł nowy labourzystowski rząd, wojna z Japonią dobiegła końca.

Żywność i wiele innych towarów nadal objętych było reglamentacją, ponieważ Wielka Brytania do piero dźwigała się na nogi.

George zatracił się w Ricie, pracy na farmie, spotkaniach z przyjaciółmi w gospodzie "Pod Białym Za jęcem", nie mógł jednak bez końca ignorować głosu swojej niespo kojnej duszy.

Faye obudziła się z uczuciem głębokiego lęku i przygnębienia.

Odwróciła się na bok i chwilę leżała bez ruchu, wpatrzona w ciemność, myśląc o George'u i jego przyszłości, martwiąc się losem Rity i swoim własnym.

Z ciężkim westchnieniem zamknęła oczy i spróbowała zasnąć, ale coś nie dawało jej spokoju.

Wstała więc i zeszła do kuchni.

Nie pierwszy raz budziła się w środku nocy z podobnym uczuciem.

Kiedy dzieci były małe, wyczuwała, że któreś miało zły sen lub było chore, nieszczęśliwe albo po prostu zaniepokojone.

Często wędrowała nocą korytarzem, po omacku znajdując drogę do ich pokoi.

Teraz powoli zeszła na dół i zapaliła światło w kuchni.

Otworzyła spiżarnię, nalała sobie szklanek zimnego mleka i ukroiła kromkę chleba.

Usiadła przy stole, zastanawiając się, czym mogła...

by się zająć.

Nagle zorientowała się, że na tarasie ktoś siedzi i pali papierosa.

Kiedy stanęła w otwartych drzwiach, dostrzegła George'a.

Wyglądał na zupełnie zagubionego i Faye poczuła, jak pul sujący w nim smutek ogarnia także i ją.

- Mogę się przysiąc?

- zapytała cicho.

George podniósł wzrok, wcale niezaskoczony jej widokiem.

- Proszę bardzo - odparł, wydmuchując dym w świeże powietrze wczesnej jesieni.

Faye ciałniej otuliła się szlafrokiem i usiadła na ławce obok syna.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- zagadnęła.

- Tak, ale nie mogłem zasnąć - odpowiedział, z drżeniem przy pomijając sobie sen, który nawiedził go tej nocy.

- Ja także.

Może to przez ten ser, który jedliśmy na kolację...

George zaśmiał się cynicznie.

- Nie sądzę.

To mój umysł nie daje mi spokoju.

- Nie poddawaj się zniechęceniu, synku.

Długą chwilę patrzył na nią bez słowa, z twardym wyrazem twarzy.

- Jestem zniechęcony i rozczarowany - powiedział w końcu, głosem podobnym do głębokiego jęku.

Łagodnie położyła rękę na jego ramieniu.

- Byłeś chłopcem, kiedy wyjechałeś z domu, kochanie, ale nie możesz stać się nim znowu, nie uda ci się odzyskać tamtego życia.

Staraj się przystosować do nowych okoliczności, nowych warunków...

- Nie potrafię, w każdym razie nie tak szybko.

Tu nic się nie zmieniło.

Rita jest taka sama, ty i tata także, nawet wielbny Hammond...

Morze jest takie samo, plaża, ptaki i niebo.

Mamy kartki, puste sklepy i tak dalej, ale w gruncie rzeczy wszystko jest takie jak dawniej, tylko ja się zmieniłem...

- Spuścił głowę i utkwiał wzrok w kamiennych płytach.

- Nie wiesz, jak to jest, kiedy tra ci się tylu przyjaciół - podjął cicho.

- Najlepszych, najinteligentniejszych przyjaciół, którzy byli mi bliscy jak bracia...

Tęsknię za nimi.

Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy widzisz białka oczu wroga i wiesz, że on po prostu wykonuje swoje zadanie i podobnie jak ty jest także młodym człowiekiem, właściwie jeszcze chłopcem,

który zostawił w domu matkę i dziewczynę...

Strzelasz i patrzysz, jak jego samolot spada, wlokąc za sobą smugę czarnego dymu, i wiesz, że ten chłopak, może twój rówieśnik, cierpi jak potępie niec...

I nie możesz pozwolić sobie na litość, bo jeżeli ty nie zestrzelisz jego, on zestrzeli ciebie...

Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, wzywając nas na płytę lotniska, do maszyn, za stanawiałem się, czy słyszę go po raz ostatni, ale jakoś udawało mi się przeżyć, dzień za dniem, lot za lotem...

Kiedy w nocy za mykam oczy, wszystko to natychmiast do mnie wraca.

Takie są moje sny - walka o życie, obezwładniający strach i strach przed tym strachem...

Widzisz, mamo, w głębi duszy jestem zwyczajnym tchórzem...

- Nie jesteś tchórzem, kochanie, jesteś człowiekiem.

- Faye za mrugała gwałtownie, aby powstrzymać łzy.

Nie chciała, aby jej syn widział, że płacze.

George potrząsnął głową i znowu zaciągnął się dymem.

- To zabawne, ale czasami brakuje mi tego wszystkiego - po wiedział.

- Brakuje mi poczucia braterstwa, sensu istnienia, celu, zadań do wykonania...

Czuję się jak puszczone wolno latawiec, który dryfuje bez sensu, skazany na samotność...

- Może chciałbyś zostać instruktorem pilotażu albo kimś takim?

Na pewno w RAF-ie znajdą dla ciebie jakieś interesujące zajęcie...

Znowu zaśmiał się sucho, sarkastycznie.

- Na pewno - mruknął.

- Ale ja nie mogę, nie umiałbym...

Przerwał.

Faye pogładziła go po dłoni.

- Chcę się ustatkować, pracować na roli jak ojciec, ożenić się z Ritą i wychować dzieci - podjął.

- Naprawdę tego pragnę, lecz nie jestem w stanie tego zrobić, nie tak od razu...

Czuję, że moje życie już osiągnęło szczyt, a przecież mam dopiero dwadzieścia trzy lata.

Muszę znaleźć jakiś inny sposób na życie...

Chciał powiedzieć matce, jak bardzo brzydzi się tym, co zrobiła z nim wojna, jak nienawidzi zdeprawowania, w jakie popadł.

Jak mógł dobrze czuć się w swojej skórze, skoro widział na niej plamy krwi młodych Niemców?

- Więc co chcesz zrobić?

- zapytała Faye, z całego serca pragnąc przegnać nękające syna mroczne cienie.



- Nie wiem - jęknął.

- Nie martwisz się chyba, że zawiedziesz ojca i mnie, co?

Prze cięż wiesz, iż zawsze będziemy cię wspierać, we wszystkim.

Jeste śmy z ciebie dumni, ale nie możemy decydować i wybierać za ciebie...

George zaciągnął się papierosem.

- Chcę wyjechać na jakiś czas - powiedział w końcu.

- Dokąd?

- Nie mam pojęcia.

Do Ameryki, może do Argentyny.

- Z Ritą?

Bezradnie potrząsnął głową.

- Może, sam nie wiem...

Duszę się we Frogmal Point, dławią mnie wspomnienia, nostalgia...

Przestałem pasować do tego miejsca.

- Może odwiedziłbyś moją siostrę i Jose Antonia w Argentynie?

- zagadnęła Faye.

- Mógłbyś pracować na ich farmie w Cordobie, zdobyć trochę doświadczenia, a potem, kiedy poczujesz, że jesteś gotowy, wrócić do domu i razem z ojcem zająć się farmą.

Wyjazd dobrze ci zrobi, jestem pewna.

Co o tym myślisz?

Miała wrażenie, że smutek George'a rozwiewa się jak jesienna mgła pod wpływem słońca.

- Dobrze - rzekł z wyraźną ulgą i oparł głowę na ramieniu matki.

Faye ze wzruszeniem przytuliła dorosłego syna, przy którym czuła się jak krasnoludek.

- Jesteś jedyną osobą, która rzeczywiście mnie rozumie - dodał.

- A Rita?

- zapytała Faye po chwili milczenia.

- Kocham Ritę - odparł George, prostując się.

- Jest dla mnie częścią wszystkiego, co nazywam domem, ale w tej chwili nie chcę zostać w domu.

Poproszę ją, żeby na mnie zaczekała, a kiedy wrócę, pobierzemy się.

Jestem pewny, że Rita nigdy mnie nie za wiedzie.

Rozdział szósty

- Gdzie byłeś, Eddie?

- zapytała Maddie, kiedy jej młodsza siostra wpadła do domu, zaczerwieniona i rozchichotana.

Eddie przystanęła i rzuciła Maddie niepewne spojrzenie.

Nie mogła powiedzieć, że przez całe letnie wakacje podglądała, jak Rita i George całują się w jaskini.

Miłość, czy raczej jej fizyczny aspekt, fascynowała ją bez reszty.

Wyznała swojej najlepszej przyjaciółce, Amy, że widziała, jak Maddie kochała się ze swoim Amerykaninem na tylnym siedzeniu jego dżipa.

Ich rozpalone ciała tak podniosły temperaturę, że okna samochodu były prawie kompletnie zaparowane.

Oczywiście o tym także nie mogła powiedzieć Maddie...

- Nigdzie, po prostu bawiłam się z Harveyem - odparła nie winnie.

- Więc gdzie on się podział?

- Wybrał się na polowanie.

Nietoperz też musi jeść, nie wie działaś?

Maddie zmrużyła oczy.

- Byłaś na plaży - oznajmiła.

- Nie!

- Byłaś, nietrudno zgadnąć.

- No, może byłam.

I co z tego?

- Znowu szpiegowwałaś.
- Maddie z dezaprobatą pokręciła głowę.
- Któregoś dnia przyłapię cię na gorącym uczynku, zobaczysz.

Eddie parsknęła śmiechem.

- Są zbyt zajęci!
  - Naprawdę?
- Maddie nieudolnie starała się ukryć zainteresowanie.
- Robią to bez przerwy.

Maddie wyobraziła sobie George'a, kochającego się z Ritą.

Nie miała wątpliwości, że jest dobrym kochankiem, namiętnym, do minującym, ale czułym i wrażliwym.

Zazdrościła Ricie, która najwyraźniej wygrała główny los na loterii życia.

Rita leżała w ramionach George'a, słuchając jego oddechu i dobiegającego z oddali huku fal.

W jaskini było ciepło i zacisznie, ale atmosfera ich spotkań bardzo się zmieniła.

Niewinność i radosna beztroska znikły bez śladu.

George od paru tygodni był dziwnie roztrzęsiony, zupełnie jakby powoli oddalał się od niej.

Może Maddie miała jednak rację, myślała Rita.

Może George znudził się mną, po nieważ nie chcę się z nim przespać...

Nie rozmawiała z nim na ten temat, wołała udawać, że wszystko jest w porządku.

George całował ją i pieścił z czułością, lecz miała wrażenie, że robi to głównie, by ukryć coś przed nią i przed samym sobą.

Patrzył na nią, ale jej nie widział, mówił, ale nie słuchał.

Śmiali się mniej niż dawniej, albo raczej mniej serdecznie i szczerze.

Rita wreszcie się przekonała, że wojna zmieniła George'a nie tylko pod względem fizycznym.

- Musimy porozmawiać - powiedział wreszcie.

Rita zeszywniała.

- Czy coś się stało, kochany?

- zapytała, czując trudny do wytłumaczenia niepokój.

- Nie, najdroższa - odparł pośpiesznie.

Objął ją, ale czuły gest wcale jej nie uspokoił.

- Chcę wyjechać.

- Dokąd?

- zapytała, wstrząśnięta, że nosi się z zamiarem opuszczenia Frogmal Point.

- Do Argentyny.

Chciałbym, żebyś pojechała ze mną.

Wargi Rity zdrząły.

George zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił kilka kótek z dymu.

- Nie mogę tu zostać - podjął, wpatrując się w wejście do jał skini.

- Widzisz, wojna naprawdę mnie zmieniła.

Muszę strząsnąć z siebie ostatnie pięć lat, a nigdy nie zdołam zrobić tego we Frogmal Point.

Dlatego postanowiłem pojechać na jakiś rok do Argentyny.

Popracuję tam na farmie wuja, a potem wrócę.

- Naprawdę chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Oczywiście - odparł, lecz zabrzmiało to dziwnie obojętnie.

- Jako twoja żona?

Zapadło milczenie.

George zaciągnął się papierosem, zastana wiając się, dlaczego jej pytanie wprawiło go w zmieszanie.

- Możemy pobrać się w Argentynie - odrzekł słabo.

Usłyszał swoją odpowiedź i aż skulił się wewnętrznie, ponieważ

wiedział, że nie ma w niej cienia entuzjazmu.

Bez najmniejszego

trudu wyczuł wielkie rozczarowanie Rity.

- Muszę to przemyśleć - powiedziała cicho.

- Oczywiście...

- Kiedy chcesz wyjechać?

- Nie wiem.

Chyba jak najszybciej...

Rita westchnęła i spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

- Czy ty mnie kochasz?

- zapytała.

- Jak możesz pytać!

- George próbował pocałować Ritę, ale ona odsunęła się.

- A może raczej kochasz swoje wyobrażenie o mnie?

- O co ci chodzi?

- zdziwił się.

- Nieważne...

Wracajmy już lepiej, bo trochę zmarzłam.

W milczeniu szli plażą.

Rita patrzyła na morze, które kochała od najwcześniejszych lat, na mewy zataczające kręgi wysoko nad ich głowami i słuchała ptasich krzyków, bezradnych i żalonych Jak jej własne myśli.

Nie wiedziała, czy znajdzie w sobie dość od wagi, aby porzucić Frogmal Point.

Trzymała George'a za rękę, lecz miała wrażenie, że dzieli ich ogromna odległość.

Oboje byli smutni i po raz pierwszy niepewni siebie nawzajem.

George pocałował ją na pożegnanie, wsiadł do ciężarówki, którą zaparkował przed domem, i wrzucił wsteczny bieg.

Rita patrzy.

ta, jak odjeżdża, a gdy zniknął, rozplakała się.

Zanim ktokolwiek zdążył ją dostrzec, szybko poszła przez wioskę w stronę klifów, gdzie siedziała aż do zmroku, przyglądając się, jak słońce przemienia morze w stopioną miedź, i czując, jak serce pęka jej na tysiąc kawałków.

Gdyby mogła być pewna George'a, zdobyłaby się na odwagę i wyjechała z Frogmal Point.

Kochała go dość mocno, aby pójść za nim na koniec świata i pokonywać przeszkody, jakie następcza żyje cię w obcym kraju.

Zrobiłaby to, odrzucając lęk przed nieznanym, ale nie mogła podjąć takiej decyzji bez absolutnej pewności co do jego intencji.

Kiedy wróciła do domu, na dworze było już ciemno.

Przez duże okno zobaczyła matkę i Eddie.

Eddie siedziała przy stole i malowała, natomiast ubrana w niebieski fartuch Hanna zagryzała ciasto.

Rita czuła, że musi z kimś porozmawiać, ale matka była wyraźnie zajęta.

Nie zastanawiając się dłużej, chwyciła rower i szybko pojechała do Elvestree.

Mała lampka tuż pod kierownicą roweru była zbyt słaba, aby oświetlić drogę, lecz na szczęście na niebie wisiał księżyc w pełni.

Rita dotarła na miejsce drżąc z zimna i rozpacz, potargana, ze śladami łez na policzkach.

Wpadła do salonu, gdzie Max siedział na sofie, czytając wiersze.

Na widok Rity gwałtownie zbladł.

- Jest babcia?

- zapytała, drżącymi palcami ocierając oczy.

- Wyszła, ale niedługo wróci.

- O, Boże...

- jęknęła Rita.

Nie tylko jej głos, ale i ciało wyrażało głębokie rozczarowanie.

- Może zrobić ci filiżankę herbaty albo owałtyny?

Chyba strasznie zmarłaś...

- Tak, chętnie się napiję...

- wykrztusiła, wchodząc za nim do kuchni.

- Dokąd poszła babcia?

- Zabrała Ruth na podwieczorek do twojej ciotki Antoinette.

Ja nie poszedłem, bo nie przepadam za nią.

- Max wyjął ze spiżarni duży pojemnik z mlekiem i napełnił rondel, który postawił na kuchni.

- Coś gorącego z odrobiną brandy na pewno dobrze ci zrobi.

- Ovaltina z brandy?

Prawdziwy luksus...

- Primrose bardzo lubi ten napój.

Rita zepchnęła z fotela kota i usiadła przy kuchence.

Jej przy garbione ramiona drżały.

- Czy z George'em wszystko w porządku?

- Max nie mógł za panować nad niepokojem i ciekawością.

Oczy Rity znowu napełniły się łzami.

- George chce jechać do Argentyny - powiedziała.

Max utkwiał wzrok w rondelku z mlekiem.

- Pojedziesz z nim?

- zapytał, usiłując mówić zupełnie neutralnym tonem.

- Poprosił mnie o to.

- Ale ty wcale nie chcesz wyjeżdżać z Frogmal Point, prawda?

Rita kiwnęła głową.

Nagle zrobiło jej się bardzo głupio.

Max musiał opuścić rodzinną Austrię i rozpocząć życie w obcym kraju, wśród obcych ludzi, więc jakże mogłaby rozmawiać z nim o swoich obawach...

Podał jej kubek gorącej, gęstej owałtyny z pianką na wierzchu.

Napój wyglądał i pachniał jak lek na wszelkie nieszczęśliwe przy padłości i już po pierwszym łyku poczuła się trochę lepiej.

Przy kuchence było jej tak ciepło i wygodnie...

- Dobrze się czujesz we Frognał Point?

- zapytała, zaskakując samą siebie.

Max usiadł na stołeczku i uśmiechnął się do niej.

Dopiero w tej chwili zauważyła, jak bardzo urósł w ciągu ostatniego roku.

Był teraz wysoki i mocno zbudowany, a spojrzenie jego poważnych, błękitnych oczu było zdumiewająco głębokie i pełne współczucia jak na chłopca w tym wieku.

Wcześniej zawsze traktowała go jak dziecko, nieśmiałe, niezbyt towarzyskie dziecko, a nagle okazało się, że jego obecność podnosi ją na duchu.

- Tak, dobrze się tu czuję - odparł.

- Dzięki Primrose odzyskałem poczucie bezpieczeństwa...

Rita lekko zmarszczyła brwi.

- Jak z nią wytrzymujesz na co dzień?

Jest taka dziwna...

- Ponieważ jest czarownicą?

- Max się zaśmiał, potrząsając głową.

- Bardzo miłą czarownicą, ale jednak...

- Primrose jest przede wszystkim dobrą kobietą o wielkim sercu.



cu. Wiem, że jej bezpośredniość często razi ludzi, lecz dla mnie li czą się inne jej cechy.

- Rozumiem, o co ci chodzi, ale nie wyobrażam sobie, żebym mogła z nią mieszkać.

- Pociągnęła łyk owałtyny, czując, jak cie pło rozlewa się po całym jej ciele i przynosi ulgę.

Wtedy Max powiedział jej coś, czego nigdy nie mówił nikomu, nawet swojej siostrze.

- Kiedy tu przyjechałem, naprawdę się jej bałem - zaczął.

- Pierwszej nocy leżałem skulony pod kołdrą i nagle usłyszałem, jak Primrose wchodzi do naszej sypialni.

Było już późno i bardzo ciemno.

Zamknąłem oczy, bo nie chciałem, by się zorientowała, że nie śpię.

Długo stała nade mną bez ruchu.

Nie wiem, co robi ła, ale czułem ogarniającą mnie falę ciepła i miłości.

Potem nachy liła się, ciaśniej otuliła mnie kołdrą i pocałowała w czoło.

Pode szła do Ruth i zrobiła to samo.

Gdy wyszła, rozplakałem się, nie ze strachu, lecz z wdzięczności.

Moja własna matka nigdy nie oka zała mi tak wielkiej czułości...

Rita zamrugła ze zdziwienia.

Wreszcie dotarło do niej, jak wielki wpływ wywarła na Maksa utrata rodziny.

Zawsze wiedzia ła, że on i Ruth nie mają nikogo i że Megababcia ich adoptowała, ale nigdy nie zastanawiała się nad tragicznymi wydarzeniami, ja kie stały się ich udziałem.

- Och, to cudowna historia...

- wyszeptała.

- Mówiłeś o tym babci?

- Nie.

Wiesz, jaka ona jest, na pewno by się obruszyła.

- Byłaby wzruszona i uszczęśliwiona, że miało to dla ciebie tak ogromne znaczenie!

- Nie wątpię, że Primrose i tak o tym wie.

Zamilkli.

Rita uważnie obserwowała Maksa, który podniósł ku niej do ust i pociągnął duży łyk gorącej owałtyny.

- Bardzo tęsknisz za rodziną?

- zapytała cicho, świadoma, że dla niego jest to najprawdopodobniej jedna z niewielu chwil prawdziwej szczerości.

- Czasami - odparł ostrożnie.

- Zastanawiam się wtedy, jak odmiennie byłoby moje życie, gdybym został w Austrii i gdyby oni przeżyli...

- Ile strasznych rzeczy stało się przez tę wojnę!

- wybuchnęła

Rita, myśląc o George'u.

- Zniszczyła życie tylu ludzi!

I wcale nie chodzi mi tylko o tych, którzy zginęli!

Max rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Ruth i ja możemy się uważać za szczęściarzy.

- Nie do końca...

To raczej ja powinnam powiedzieć coś takiego, bo jednak mam rodzinę...

- Utkwiła poważny wzrok w jego twarzy, lecz nagle jej wargi zdrząły.

- Ale tracę George'a...

- do rzuciła szeptem.

Max, który niezwykle rzadko okazywał uczucia, wstał z taboretu i przykucnął obok fotela, na którym siedziała.

Ujął jej rękę i po patrzył na nią z czułością.

- Dlaczego tak sądzisz?

- zapytał.

Jego współczucie i chęć zrozumienia sprawiły, że znowu się roz płakała.

- Wojna go zmieniła...

- zaszlochała.

- Jest nieszczęśliwy i źle się tu czuje, więc chce zostawić dawne życie i rozpocząć nowe, najlepiej gdzie indziej.

Ja jestem częścią jego przeszłości...

- George cię kocha.

Zawsze cię kochał.

- Wydaje mi się, że teraz już nie - szepnęła, pozwalając mu się objąć.

Oparła czoło o jego ramię i głośno pociągnęła nosem.

- Byłam taka pewna swojej przyszłości, tymczasem teraz zupełnie nie wiem, co ze mną będzie...

Milczeli długo, pogrążeni w myślach.

Kiedy trzasnęły drzwi, Max niechętnie wypuścił Ritę z ramion.

Do kuchni weszły pani

Megalith i Ruth.

- Postaw czajnik na ogniu, bo strasznie tu zimno - poleciła babka.

Na widok siedzącej przy kuchence zapłakanej wnuczki stanęła jak wryta.

- Och, te przekłete zdechłe koty!

- wymamrotała.

- Wiedziałam, że wcześniej czy później stanie się coś złego!

- Chodź ze mną do salonu, kochanie - zwróciła się pani Megalith do Rity.

- Ruth, przynieś mi filiżankę herbaty, dobrze?

Rita pochwyciła spojrzenie Makska i uśmiechnęła się słabo.

Od powiedział jej serdecznym uśmiechem.

Był podekscytowany i szczęśliwy, ponieważ trzymał ją w objęciach i stał się jej powier nikiem.

Rita powoli poszła za babką.

- Wiedziałam, że tak będzie, czułam to w kościach!

Może i są stare, ale wrażliwe i jeszcze nigdy mnie nie zawiodły!

- Pani Megalith weszła do salonu i machnęła ręką, usiłując zgonić koty z kanapy, lecz one w ogóle nie zwróciły na nią uwagi.

- Siądziemy sobie wygodnie i wszystko mi opowiesz, skarbie.

Co się dzieje, do diabła?

Rita powtórzyła jej rozmowę z George'em, powiedziała także o radzie, której tak beztrąsko udzieliła jej Maddie.

- Martwię się, że znudził się mną, ponieważ się z nim nie prześpałam - wyznała.

Panią Megalith trudno było zgorszyć.

Z irytacją ściągnęła brwi i potrząsnęła głową.

- Na pewno nie!

Co za głupia dziewczucha z tej twojej siostry!

Seks można uprawiać, pod warunkiem, że robi się to z miłością.

Problem z Madeleine polega na tym, że daje każdemu, kto się do niej zakreśli.

Obawiam się, że jeśli tak dalej pójdzie, to stanie się zwykłą lafiryndą, ale nie mówimy przecież o niej, tylko o tobie.

Seks nie ma nic wspólnego z zachowaniem George'a, możesz mi wierzyć.

- Myślę, że on już nie chce się ze mną żenić, babciu.

Rita mówiła dość spokojnie, ponieważ rozmowa z Maksem mogła jej odzyskać równowagę.

Pani Megalith mlasnęła językiem

o podniebienie.

- Ależ chce, kochanie, tylko czuje się zagubiony!

Po roku w Argentynie odzyska zdrowy rozsądek, zobaczysz.

Nie zapomnij, że ma za sobą straszne chwile, przez całą wojnę służył w RAF-ie.

Myśl o zakotwiczeniu się tutaj, we Frogmal Point, na pewno nie budzi w nim entuzjazmu, więc trzeba to przeczekać.

Jest jeszcze bardzo młody.

Puść go, moja droga.

- Uważasz, że powinnam zostać w domu i zaczekać na niego?

- A masz inne wyjście?

Starsza pani miała rację.

Rita czuła, że może wyjechać z George'em tylko jako jego żona, lecz on najwyraźniej nie chciał się te raz wiązać.

Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że skoro czekała na niego trzy lata, wytrzyma jeszcze rok.

- Jeżeli dzięki temu wróci do Anglii jako ten George, z którym dorastałam, to może jechać nawet na parę lat - szepnęła.

- Słusznie, moja droga.

- Babka z aprobatą pokiwała głową.

- Mój Boże, jak długo może trwać zagotowanie wody w czajniku?

- rzuciła ze zniecierpliwieniem, spoglądając w kierunku drzwi.

Wracając do domu, Rita czuła się już dużo lepiej, chociaż wciąż dręczyła ją niepewność, czy podjęła właściwą decyzję.

Przyznała rację Megababce, która twierdziła, że jeśli George na krótko wyjedzie z Europy, prawdopodobnie odzyska spokój ducha i za pragnie powrotu do normalnego, ustabilizowanego życia.

Dziewczyna ogarniała myślą minione dziesięć lat i powtarzała sobie, że ich przyjaźń jest trwała i bardzo głęboka.

Wspominała krótkie urlopy George'a na początku wojny, kiedy jeszcze jego dywizjon stacjonował w Biggin Hill.

Często chodzili wtedy na długie spacery po plaży i rozmawiali o tym, jaki był ich świat w czasie pokoju.

George nie chciał opowiadać o walkach, w których uczestniczył, i ciągle szukał poczucia bezpieczeństwa w przeszłości.

To były cudowne dni.

Rita pamiętała, jak oboje gorzko płakali tam tej nocy, tuż przed jego wyjazdem na Malte.

Później wyznał jej, że to ona trzymała go przy życiu, że to jej fotografię zawsze nosił w kieszonce na piersi.

Czyż nie powiedział, że chce nosić ją aż do śmierci?

Chyba niełatwo zrywa się tak silną więź...

- Wyglądasz na trochę zmęczoną, kochanie - powiedziała matka, kiedy Rita weszła do kuchni.

- Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - odparła dziewczyna.

Eddie i Maddie rzuciły jej złośliwe uśmieszki.

- Dlaczego tak na mnie patrzycie?

- zirytowała się.

- Jak tam George?

- zapytała Eddie, z trudem tłumiąc chichot.

Rita zmrużyła powieki.

- Szpiegowaliśmy nas?

- rzuciła ostro.

-- Nie!

- skłamała Eddie pośpiesznie.

Rita nagle straciła cierpliwość.

- To typowe!

- warknęła.

- Nie można mieć tu chwili spokoju!

Nie dziwię się, że George chce wyjechać do Argentyny!

Hanna położyła na blacie kurczaka, którego przygotowywała do pieczenia, uśmiech znikł z twarzy Eddie, a Maddie z przerażonym wyrazem oczu poderwała dłoń do ust.

- Tak, George wyjeżdża do Argentyny - potwierdziła Rita.

W kuchni zapadło milczenie.

- Jedziesz z nim?

- zapytała w końcu Eddie.

- Niby jak?

- Na pewno ożeni się z tobą, kochanie!

- George nie chce się ze mną żenić...

- odparła załamującym się głosem.

- Ależ, skarbie...

- zaczęła Hanna, podchodząc do córki i próbując ją przytulić.

Rita zeszywniała.

- Nic mi nie jest, naprawdę - powiedziała.

- Pójdę się wykąpać.

I szybko pobiegła na górę.

- Co się stało, na miłość boską?!

- wybuchnęła Maddie, kiedy zostały same.

- Jeszcze po południu wszystko było między nimi w porządku!

Słowo daję, mamo, zapytaj Eddie!

Hanna z nadzieją zerknęła na najmłodszą córkę.

- Całe popołudnie całowali się w jaskini na plaży - przytaknęła Eddie.

- W której?

- Tej na lewo od ścieżki, biegnącej w dół klifu.

- Znam ją - westchnęła Hanna.

- To grota jaskółek.

Kiedy do rastałam, zawsze budowały tam gniazda, rok w rok.

Ach, o czym ja gadam...

- Bezradnie machnęła ręką.

- Żeby tak Humphrey wreszcie wrócił...

Mam nadzieję, że rzeczywiście nic jej nie jest.

Myślicie, że powinnam z nią porozmawiać?

- Czy to możliwe, że George naprawdę nie chce się z nią oże nic?

- Maddie z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- To okropne!

Czekała na niego tyle lat, co za drań!

- Nie mów tak - skarciła ją matka łagodnie.

- Pewnie się trochę posprzecjali, nic więcej.

Nie sądzę, żeby to było coś poważnego.

- Ale dlaczego George chce tłuc się taki piekielny kawał drogi do Argentyny, skoro dopiero wrócił do domu?

- Maddie przygryzła dolną wargę.

- Nie chcę, żeby Rita wyjechała...

- szepnęła Eddie.

- Nie mam pojęcia, co bym bez niej zrobiła...

- Kochanie, jeżeli Rita wyjedzie, to wszyscy będziemy za nią bardzo tęsknili, lecz musimy wesprzeć ją w takiej decyzji, jaką podejmie.

- Hanna bez entuzjazmu sięgnęła po kurczaka.

- Poza tym na pewno nie zostaną tam na zawsze...

Dziewczęta, uważam, że na razie nie powinnyśmy jednak rozmawiać z Rita o całej tej sprawie, chyba że sama tego zechce.

Gdy Humphrey wrócił do domu z redakcji, Hanna dyskretnie zaprowadziła go do jego gabinetu i wszystko mu opowiedziała.

Twój Humphrey natychmiast przybrała kolor dojrzałej śliwki.

- Ożeni się z nią, na Boga!

- powiedział cicho, jednym haustem wychylając szklaneczkę szkockiej.

- Rita nie pojedzie do Argentyny bez obrączki na palcu!



Hanna trochę się uspokoiła.

Obecność Humphreya poprawiła jej nastrój.

Wiedziała, że kiedy mąż mówi tak chłodnym, całko wicie opanowanym głosem, zamierza postawić na swoim.

Gdy dziewczęta dorastały, nigdy nie podnosił na nie głosu - wystarczy ło, że powiedział coś z tym lodowatym spokojem.

- Rozmawiałaś z nią?

- zapytał.

- Nie, jeszcze nie...

- Cóż, na razie nie należy wpadać w panikę.

Chłopak niedaw no wrócił z wojny, trzeba dać mu trochę czasu, żeby przywykł do nowych warunków.

- Otworzył drzwi i odwrócił się do Hanny.

- Ale powiem ci jedno, nie pozwolę, żeby zwodził Ritę i traktował ją jak pierwszą lepszą.

Przy kolacji nikt nawet nie wspomniał o George'u Boltonie.

Ri ta zdawała sobie sprawę, że Eddie i Maddie palą się do rozmowy, ale nie miała ochoty dzielić się z nimi swoimi przemyśleniami.

Nie powiedziała im nawet, że widziała się z Megababcią.

Kiedy sytuacja była zła, Rita wolała lizać swoje rany w ciemnym kącie.

Nie mogła zasnąć, więc usiadła na parapecie i utkwiała wzrok w tarczy księżyca.

Zastanawiała się, czy George także patrzy na .

srebrzystą kulę i myśli o niej, dziewczynie, która czekała na nie go przez całą wojnę.

Max szedł przez ogród w kierunku rozlewiska rzeki ścieżką oświetloną jasnym, migotliwym blaskiem księżyca.

W ręku trzy mał podniszczony tomik wierszy, który kiedyś należał do jego matki.

Nie mógł przestać myśleć o rozmowie z Ritą.

W takich chwilach bardzo brakowało mu obecności i rady matki.

Z wielką radością opowiedziałby jej o Ricie...

Max wyobrażał sobie, że na pewno zaakceptowałaby jego wybór, mimo że Rita nie była Ży dówką.

Matka Maksa i Ruth była aktorką, natchnioną artystką, która chętnie nosiła długie, powiewne suknie i miękkie futra, a ojciec bogatym bankierem, uszlachconym przez ostatniego cesarza Ka rola za udzielenie cesarskiemu domowi ostatniej pożyczki.

Max doskonale pamiętał Teatr Cesarski, w którym jako dziecko spędzał dość dużo czasu.

Ojciec zbudował go specjalnie dla matki, którą pierwszy raz ujrzał na scenie jako bardzo młodą dziewczynę.

Często z uśmiechem opowiadał, jak stracił dla niej serce i głowę w chwili, gdy lekkim krokiem wbiegła na scenę.

Olśniła go bez reszty, sprawiając, że tylko ją widział i natychmiast zapragnął poślubić.

Wybudował więc niewielki teatr z kurtyną z purpurowego aksamitu i błyszczącymi kandelabrami, najlepszym wiedeńskim rzemieślnikom zlecił wykonanie plafonu malowanego w złote róże i łabędzie, a następnie padł przed ukochaną na kolana i poprosił ją o rękę.

Niedługo potem ojciec Maksa stracił majątek, kiedy w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku imperium rozpadło się, a jego kopalnie znalazły się na terenie niepodległego państwa czeckiego.

Jako mały chłopiec Max z wielką przyjemnością słuchał opowieści o sławie matki.

Podobno kiedyś najwybitniejsi i najbogatsi ludzie w Austrii zasiadali w pozłocanych łóżkach, aby podziwiać jej aktorski kunszt, lecz jej największą radość sprawiała świątynia domowa, że mąż co wieczór oklaskuje ją z małej, prywatnej łóżki z boku sceny.

Nie liczyło się dla niej nic innego, nawet wizyta księcia Walii, który koniecznie chciał na własne oczy ujrzeć najpiękniejszy klejnot Wiednia.

Max otulił się marynarką i spojrzał w kierunku plaży.

Płytkie kałuże wody lśniły srebrem w świetle księżyca.

Był odpływ, morskie ptaki zapadły już w sen.

Wiał mocny wiatr, niosący z sobą za pach bagnisk.

Chłopiec podniósł wzrok na niebo, na ogromną, błyszczącą kulę, zawieszoną wśród mrugających gwiazd, i nagle pomyślał, że jako dziecko z uwagą obserwował te same cuda natu ry.

Zatęsknił za Ritą.

Nie mógł powierzyć swojej tajemnicy ani Primrose, ani nawet Ruth, mógł tylko czytać wiersze, które kiedyś budziły wzruszenie jego matki, i czerpać pociechę ze słów innych ludzi, którzy także cierpieli z powodu nieodwzajemnionej miłości.

Trees spał mocno, nieświadomy niepokoju, który nie pozwalał jego żonie udać się na spoczynek.

Faye siedziała w swojej małej pracowni i rzeźbiła, słuchając podnoszących na duchu dźwięków Symfonii alpejskiej Straussa.

Jej dłonie ugniatały i wygładzały gli nę, a umysł wciąż pracował.

Martwiła się o syna, nie mogła znieść myśli, że znowu ją opuści.

Miała za złe mężowi, że potrafi z dy stansem odnosić się do wszystkich problemów, że zachowuje się tak, jakby interesowały go wyłącznie drzewa orzechowe.

Pomyśla ła o Tadeuszu Waliszewskim i uśmiechnęła się lekko.

Ludzie w wiosce uważali go za ekscentryka.

Nie szukał towa rzystwa, zajmował się własnymi sprawami i nigdy nie mówił o so bie.

Kiedyś zaprosił Faye do swojego świata i pozwolił jej poznać się jako wykształcony, pełen godności mężczyzna o nienaganych manierach i wielkiej kulturze.

Grał na skrzypcach z wrażliwością człowieka, który kochał, przeżył stratę i zostawił za sobą przera żające doświadczenia.

Czytał Woltera, erotyczne powieści hrabie go Mirabeau i płakał nad wierszami swojego rodaka, wielkiego polskiego poety, Adama Mickiewicza.

Tadeusz uciekł do Anglii w tysiąc dziewięćset trzydziestym dzie wiątym roku, kiedy Sowiesi zagarnęli jego rodzinny majątek.

Po roku spędzonym w Londynie los zaprowadził go do tego sennego zakątka Devonu.

Przysiągł sobie, że któregoś dnia odzyska rodo wą siedzibę, ale miał już sześćdziesiąt dwa lata i był steranym cięż kimi przejściami, zmęczonym człowiekiem.

W Faye odnalazł po krewną duszę, kobietę, która doskonale go rozumiała.

Powoli .

rozkwitła między nimi miłość.

Tadeusz podbił serce Faye spojrzeniem jasnych, mądrych oczu, pełnym wyrozumiałości dla świata i niegasnącą pasją życia.

Razem grali rozmaite utwory muzyczne, czytali książki i rozmawiali.

W przeciwieństwie do Treesa, Tadeusz zawsze chętnie słuchał, nie tylko uszami, ale całym ciałem, co jakiś czas dotykając ręki Faye, aby wyrazić swoje współczucie i zrozumienie.

Śmiał się często i głośno, zaraźliwie.

Początkowo połączyło ich porozumienie umysłów i dusz.

Faye nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby się z nim przespać, lecz kiedy pewnego po południu opowiedział jej, jak strasznych rzeczy doznała jego rodzina od Rosjan, oddała mu się, aby choć trochę go pocieszyć.

Kochał się czule i namiętnie.

Dzięki pieścizom Faye Tadeusz mógł czasami odgrodzić się od przeszłości, ona zaś na parę chwil prześtała myśleć o wojnie i niebezpieczeństwie stale grożącym jej synowi.

Od powrotu George'a ani razu nie odwiedziła Tadeusza.

Teraz, pracując nad rzeźbą, zastanawiała się, jakiej rady by jej udzielił.

Jeśli nawet nie podpowiedziałby jej żadnego rozwiązania, to przynajmniej wzięty ją w ramiona i w skupieniu wysłuchał, a to już by wystarczyło, aby poczuła się lepiej.

Nie mogąc ani chwili dłużej znieść bolesnej samotności, spojrzała w okno, na wielki, świetlisty księżyc, który zachęcał ją, aby odrzuciła skrupuły i poszła za głosem serca.

George stał przy oknie w swoim pokoju.

Wiedział, że zranił Ritę, i czuł do siebie nienawiść.

Powinien się z nią ożenić, ale nie był na to gotowy, tymczasem do Argentyny mógł zabrać ją tylko jako swoją żonę...

Matka napisała już do swojej siostry, mieszkającej w Cordobie.

George zdawał sobie sprawę, że ucieka, ucieka od smutku, wspomnień o poległych przyjaciółach z dywizjonu, od echa przeszłości i od chłopca, który kiedyś mieszkał we Frogmal Point i wyruszył stąd na wojnę.

Jego wzrok przykuł nagle jakiś ruch w mrocznym ogrodzie.

Ktoś wyszedł z domu kuchennymi drzwiami, tuż pod jego oknem.

Bez trudu rozpoznał sylwetkę matki.

Na moment znikła z pola widzenia, lecz zaraz wróciła, ostrożnie prowadząc rower.

Zaintrygowany, patrzył, jak wyjeżdża na drogę i rusza w stronę wioski.

#### Rozdział siódmy

Następnego dnia rano Rita zjawiła się na farmie z czerwonymi od łez oczami i napiętą twarzą.

Zastanawiała się, jak długo będzie jeszcze potrzebna teraz, gdy wojna się skończyła i zdemobilizowani żołnierze powoli wracali do domu.

Lubiła pracę na świeżym powietrzu, ze zwierzętami, zwłaszcza dogłębne doглядanie cieląt i jagniąt.

Słońce świeciło mocno, lecz powietrze było rześkie i pachniało jesienią.

Słowiki odfrunęły do cieplejszych krajów, podobnie jak jaskółki, zabierając ze sobą dźwięczne piosenki i radość, przyleciały jednak gile.

Rita widziała, jak beztrudnie huśtały się na sznurze do suszenia bielizny.

Jej matka oswajała je, karmiąc orzechami włoskimi, i Rita nie miała wątpliwości, że niedługo będą jadły jej z ręki.

Kiedy podeszła do drzwi warsztatu, Cyril i inni stali tam już, rozmawiając z George'em i Treese'em.

Przyłączyła się do nich z nieco sztucznym uśmiechem, starannie unikając wzroku George'a, który wyglądał na równie zmęczonego i niespokojnego jak ona.

Czuła napięcie między nimi i nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił Cyril.

Mildred leżała u stóp Treesa, niepewnie mrugając oczami, zupełnie jakby i ona była świadoma, że coś jest nie tak.

- No, dobrze, Rito, chodź ze mną - powiedział Cyril, kiedy skończył zlecać robotnikom zadania na ten dzień.

Zanim odeszła, George zdążył chwycić ją za ramię.

- Muszę z tobą porozmawiać - szepnął.

- Później...

- odparła.

W jej głosie zabrzmiała nieprzyjazna nuta.

- Chyba łatwiej jest poradzić sobie z myśliwcem niż z kobietą - zażartował Trees, spoglądając na syna.

- Niewątpliwie...

- George się uśmiechnął, chociaż wcale nie było mu wesoło.

Czuł się całkowicie wypalony w środku, pusty, przygnieciony własną niepewnością i wyrzutami sumienia.

Rita zaczęła zamiatać oborę.

Próbowała skoncentrować się na rytmicznym poruszaniu miotłą i skupić spojrzenie na źdźbłach słomy, które musiała usunąć, nie była jednak w stanie przestać myśleć o George'u.

Lęk przed przyszłością aż do bólu napinał mięśnie jej karku i ramion.

Pochłonięta pracą, nie zauważyła George'a, który oderwał się od swoich zajęć, aby ją odszukać, i podskooczyła nerwowo, kiedy lekko dotknął jej ręki.

- Czemu tak się podkradasz?

- skarciła go i znowu zaczęła za miatać, tym razem z większą energią.

- Zrób sobie krótką przerwę, na miłość boską!

Porozmawiaj my, dobrze?

- O czym?

- Wyprostowała się, rzucając mu chłodne spojrzenie.

- O nas.

Przepraszam, że wczoraj wieczorem zbyłem cię kilka ma słowami.

Natychmiast ogarnęło ją poczucie winy, że zachowała się tak nieprzyjaźnie.

- Nic nie szkodzi.

Wiem, że w tej chwili jest ci ciężko...

- Usiądźmy gdzieś na chwilę - zaproponował, ujmując jej dłoń.

Usiedli na trawie przed stodołą, w łagodnych promieniach je siennego słońca.

Lekki wiatr tańczył z suchymi liśćmi, wśród któ rych skakał ciemnobrązowy drozd.

- Mam nadzieję, że Cyril nie przyłapie mnie na lenistwie - odezwała się Rita.

- Jako syn szefa mogę robić, co chcę, a teraz chcę porozmawiać z moją przyszłą żoną...

Prawy kącik jego ust uniół się w lekkim uśmiechu i serce Rity zabiło szybciej z radości.

George mocno ścisnął jej dłoń między swoimi.

- Kocham cię i nie pragnę nikogo poza tobą, ale tego chyba nie muszę ci mówić - podjął.

- Dorastaliśmy razem, jesteśmy dla siebie stworzeni...

- Długą chwilę wpatrywał się w jej twarz, za nic na świecie nie chcąc jej urazić.

- Nie jestem jednak gotowy, aby już teraz cię poślubić.

Mam dopiero dwadzieścia trzy lata, świat widziałem tylko z kabiny myśliwca.

Nie mogę zostać we Frogan Point ze świadomością, że nigdy nie wychylę stąd czubka nosa...

Rozumiesz mnie, prawda?

Jakąś częścią serca czuję, że już osiągnąłem szczytowy moment życia, że nigdy więcej nie stanę przed tak wielkim wyzwaniem jak w czasie wojny i nigdy nie będę tak wyraźnie widział celu, do którego zmierzam...

Inny głos we wnętrzu podpowiada mi, że zostałem czegoś pozbawiony...

Ob rabowany z młodości, niewinności, wiary, ufności i nie wiem, cze go jeszcze...

Czasami mam wrażenie, że ktoś połamał mnie na kawałki, a potem źle je złożył...

Mówił spokojnie, ale w głosie brzmiał ton rozpacz i desperacji.

Serce Rity ścisnęło się z bólu i współczucia.

- Rozumiem cię - rzekła, podnosząc jego dłoń do ust i muska jąc ją wargami.

- Będę na ciebie czekać tak długo, jak zechcesz, kochany.

Jedź do Argentyny, odkryj świat, rozłóż skrzydła i daj się ponieść wiatrowi...

Kiedy odwrócił ku niej głowę, na jego twarzy malowała się tak wielka czułość, że dziewczyna wstrzymała oddech i zaczerwieniła się gwałtownie.

- Nie zasługuję na ciebie, najdroższa...

- wykrztusił.

- Przez całą wojnę wspierałaś mnie swoją miłością i listami, a teraz jesteś gotowa zawiesić swoje życie na rok, żeby okazać mi zrozumienie...

Jesteś jedyna w swoim rodzaju...

Jego słowa napełniły ją dumą i radością.

- Kiedy wrócę, natychmiast się pobierzemy i założymy rodzinę - ciągnął.

- Będziemy mieli piękne, wspaniałe dzieci, zobaczysz...

Roześmiała się głośno i pozwoliła, aby przyciągnął ją do siebie i pocałował w skroń, tuż pod linią włosów.

- Megababcia zawsze straszyla mnie, że pożyczysz mi swoją suknię ślubną...



George parsknął śmiechem, zadowolony, że odzyskała dobry humor.

- W jej suknię zmieściłoby się dziesięć takich jak ty - powie dział.

- Babcia mówi, że kiedyś była szczupła jak brzoza i bezlitośnie łamała serca!

- Dziwne, ale nawet z największym wysiłkiem nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić...

- Wszystko mi jedno, co włożę na siebie w dzień naszego ślu bu - westchnęła Rita.

- Chcę tylko zostać twoją żoną i dać ci szczęście.

Na razie męczą mnie poczucie bezradności, bo wiem, że cierpisz, a ja nie bardzo potrafię ci pomóc...

- To nieprawda!

- zaprzeczył gorąco.

- Sama twoja obecność sprawia, że czuję się lepiej.

- Cieszę się, że przyjechałaś do mnie wczoraj wieczorem, choć ciąż wolałbym, żebyś została do rana - powiedział Tadeusz, głaszcząc włosy Faye.

Rzadko nosiła je rozpuszczone, ale Tadeusz zawsze nalegał, aby w jego domu miała taką fryzurę.

Mówił, że w koku wygląda zbyt surowo.

- Ja także - odparła.

- Tęsknięłam za tobą.

- W nocy wszystko wydaje się dużo gorsze i bardziej skomplikowane niż za dnia.

Promienie słońca topią nasze obawy i lęki, natomiast światło księżyca sprawia, że wydają się niemożliwe do przezwyciężenia...

Przytuliła się do jego boku.

W ogrodzie jak na tę porę roku było ciepło.

Faye czuła, że spokojem napętnia ją nie tylko obecność Tadeusza, lecz także atmosfera ogrodu.

Założony na planie owalnym, otoczony był drzewami, krzewami rododendronu i wysokim żywopłotem z tui.

W tym promieniującym spokojnym życiu zionącym rajem Faye nieodmiennie ogarniało poczucie bezpieczeństwa, nabierała dystansu do świata oraz własnego życia.

Dom Tadeusza znajdował się w ustronnej części wioski, przy końcu niewielkiej alejki, nie musieli więc obawiać się, że oczy nieproszonych gości odkryją ich związek.

Tadeusz nie miał tu bliskich przy

jaciół.

Był wysokim, mocno zbudowanym, nieco niedźwiedziowatym mężczyzną o długich, wiecznie potarganych szpakowatych włosach, beładnie opadających na pociągłą, opaloną twarz.

No sił niewielką brodę, w której można było znaleźć jeszcze złociste nitki - była to jedyna wskazówka, że kiedyś miał jasne włosy - i okrągłe okulary.

Faye uwielbiała przytulać twarz do jego miękkiej brody.

Było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie, bo wcześniej nigdy nie całowała się z brodatym mężczyzną.

- Matka nieustannie martwi się o swoje dzieci, to prawdziwe przekleństwo...

- powiedziała z ciężkim westchnieniem.

- Możemy tylko starać się dbać o ich dobro.

Powołujemy je na świat, wychowujemy i puszczamy wolno...

George musi sam odnaleźć swoją drogę.

Przeznaczenie to potężna rzeka, nad którą nikt nie zdoła zapanować.

Gna przez skały, tworzy grzmiące wo dospady, potem spokojne akweny...

Nie popłyniesz nią za swoimi dziećmi, musisz więc oddać się w ręce kogoś silniejszego od ciebie, złożyć ufność w Bogu...

- Ale jak ja sobie dam radę bez niego?

- zapytała żałośnie.

Tadeusz przyciągnął ją bliżej.

- Tak samo, jak radziłaś sobie, kiedy pilotował samoloty i walczył z Niemcami.

- Może nigdy tu nie wróci...

- Nawet jeżeli tak się stanie, będziesz musiała zmierzyć się z tym, kiedy przyjdzie właściwy czas.

Nie bój się rzeczy, które może nigdy się nie wydarzą.

- To takie trudne...

- szepnęła.

- Żyj chwilą, kochanie.

Cierpienie bierze się stąd, że wciąż sta wiamy czemuś opór.

Pozwól, aby rzeka życia uniosła cię, nie pływ pod prąd.

Co będzie, to będzie, życie nie trwa długo.

Ujęła jego twarz między dłonie i pocałowała go.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła, kochany?

- zapytała.

- Jesteś ta ki silny i mądry...

- Wiesz, co jest źródłem mojej mądrości?

- Tadeusz utkwiał w niej poważne spojrzenie jasných, wrażliwych oczu.

- To, że za wsze chciałem czerpać naukę z każdego życiowego doświadczenia.

Żadne nie jest bezwartościowe i nieistotne, nawet to najdrobniej sze.

Wszystko, co się nam zdarza, służy naszemu wyższemu dobru, .

pamiętaj o tym.

Uczymy się poprzez ból, a poprzez szczęście cie szymy się, że nauka nie poszła na marne...

- Postaram się pożegnać George'a z radością w sercu.

- Faye uśmiechnęła się niepewnie.

- Wiem, że on nie należy do mnie, nie zapominam o tym...

Tak czy inaczej, nie będzie to łatwe...

- Jeżeli coś przychodzi ci bez trudu, to znaczy, że zostałeś na drugi rok w kolejnej klasie życia.

Uczymy się wyłącznie dzięki trudnościom, nie pieczętom losu.

- Wstał i podał jej rękę.

- Chodź, zagrajmy coś razem.

Nic nie koi duszy tak skutecznie jak muzyka...

Poszła za nim do salonu i patrzyła, jak wyjmuje skrzypce z futerału.

Oparł instrument pod brodą i uniósł smyczek, delikatnie muskając struny.

- Na początek zagram jakiś utwór Szopena, dobrze?

Jego muzyka pomaga mi wracać do lat dzieciństwa, nawet Rosjanie nie zdołali mnie tego pozbawić.

Faye z uśmiechem skinęła głową.

Usiadła i zasłuchiwała się bez reszty, z podbródkiem opartym na splecionych dłoniach i oczami pełnymi podziwu dla grającego.

Kiedy Faye wróciła do domu na lunch, Trees właśnie mył ręce, a Mildred z wyraźną przyjemnością obwąchiwała jego buty, którego rzych zapach przypominał jej spacer po lasach i pikniki na plaży.

- Jak tam George?

- zapytała, przystając w drzwiach.

Włosy znowu miała ściągnięte w porządną, ciasny kok i nic w jej wyglądzie nie zdradzało, jak spędziła ostatnie godziny, nic poza rumieńcem na policzkach i lekkim krokiem, lecz Trees jak zwykle nie zwrócił na to uwagi.

Podniósł wzrok i z namysłem kiwnął głową.

- Wydaje mi się, że jego przyszłość z Ritą u boku jest znowu pewna i bezpieczna - odparł.

Faye uśmiechnęła się z ulgą.

- Och, tak się cieszę, Bogu niech będą dzięki...

Zabierze ją do Argentyny?

Mówił ci coś?

- Nic.

- Przyjdą na lunch?

^

- O, to na pewno oni!

- Trees zakręcił wodę.

Z dziedzińca dobiegły ich radosne, beztroskie głosy.

Faye zo stawiła męża przy umywalce i poszła przywitać młodych.

Z wielkim zadowoleniem zauważyła, że policzki Rity znowu są zaróżowione, że oboje zachowują się normalnie, przekomarzają się

i śmieją.

- Co dostaniemy na lunch, mamo?

- zapytał George, zdejmując buty.

- Pieczeń na zimno.

- Po kilku godzinach ciężkiej pracy na roli mężczyzna powinien zjeść porządny lunch.

- Kobieta także!

- Rita się roześmiała, opierając dłoń o jego plecy, aby zrzucić kalosze.

Faye nakrywała do stołu i przygotowywała jedzenie, słuchając, jak George opowiada o swoich planach.

- Pobierzemy się zaraz po moim powrocie.

Zaopiekujesz się Ritą, kiedy mnie tu nie będzie, prawda, mamo?

Faye rzuciła Ricie pełen podziwu uśmiech.

- Dobra z ciebie dziewczyna - powiedziała.

- George ma ogromne szczęście, że na ciebie trafił...

- Zaczekam na niego, jak długo zechce - odparła Rita, podświadomie rozkoszując się rolą kobiety zdolnej do największego poświęcenia dla ukochanego.

- Macie przed sobą całe życie - rzekła Faye, przypominając so bie mądre słowa Tadeusza.

- Na pewno jeszcze zdążycie się sobą nacieszyć.

Dopiero w czasie lunchu, gdy Faye nagle stłumiła ziewnięcie, George przypomniał sobie o nocnej eskapadzie matki.

Zastana wiał się, kto czekał na nią u celu tajemniczej wyprawy, lecz na tychmiast wyczuł, że nie powinien o to pytać.

Przez chwilę przyglądał się, jak ojciec spokojnie pochłania jeden plaster pieczeni za drugim, jak zwykle zamyślony i nieobecny, i pomyślał, że jeżeli nawet Faye ma romans, to Trees jest ostatnim człowiekiem, któ.

ry się o tym dowie.

Przeniósł spojrzenie na Faye - jej oczy lśniły, policzki promieniały, lecz wyraz twarzy był niewinny jak u anioła.

Pośpiesznie odepchnął myśl, że Faye może mieć kochanka, i zawstydził się, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy.

Jej matka była oddaną, kochającą żoną i matką, a także przykładną chrześcijanką.

Ujął Ritę za rękę i przestał się zastanawiać nad nocnym życiem Faye.

Wieczorem odwiózł Ritę do domu.

Po drodze zatrzymali się, aby chwilę posiedzieć na szczycie klifu i popatrzeć na zachód słońca.

Było chłodno, wiał ostry północny wiatr, który sygnalizował początek jesieni.

Oboje długo wpatrywali się w morze i w złotym blasku umierającego dnia żegnali się z cudownym, czarownym latem.

- Rita i George znowu się kochają!

- zapiszczała Eddie, pędem wbiegając do domu, aby jak najszybciej przekazać matce dobrą wiadomość.

- Siedzą na klifie i się całują!

Hanna spokojnie robiła na drutach i nawet nie podniosła wzroku.

Nie chciała zachęcać najmłodszej córki, aby wtykała nos w sprawy innych ludzi, chociaż przyniesiona przez nią nowina niewątpliwie była pocieszająca.

- Co tam robiłaś?

- zapytała chłodno.

- Zbierałam muszelki razem z Amy, wcale ich nie szpiegowałam, słowo daję!

- Eddie bez tchu padła na fotel.

- Czy to znaczy, że Rita jednak nas opuści?

- Nie wiem, musimy poczekać, aż przyjdzie do domu.

- Och, ale ona potrafi tak siedzieć i siedzieć na plaży bez końca!

Powinna była przyjść na świat jako mewa!

- A ty?

- Hanna zaśmiała się i odłożyła druty, aby skupić całą uwagę na swojej najzabawniejszej córce.

- Jako nietoperz, jak Harvey.

- Nietoperze to paskudne stworzenia...

- Ale nie Harvey!

Harvey jest piękny.

Tata zawsze mówi, że kwestia urody jest względna i zależy od oka i nastawienia obserwatora.

Ja uważam, że mój Harvey jest cudny...

- Eddie oderwała

zwierzątko od rękawa swojego swetra i podniosła go w obu dłoniach.

- Popatrz tylko na ten jego mały nos i błyszczące oczka!

Czasami wydaje mi się, że Harvey się do mnie uśmiecha!

- Wydawało mi się, że nietoperze są ślepe.

- Ale on wyczuwa moją obecność.

Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

- Cóż, ty z pewnością nie jesteś nietoperzem, bo zawsze widzisz więcej, niż powinnaś, kochanie - mruknęła Hanna.

Rita wróciła do domu z dobrą wiadomością.

Humphrey nalał sobie whisky, a Hanna zadzwoniła do matki.

Po krótkiej rozmowie z córką pani Megalith odłożyła słuchawkę i z ponurą miną potrząsnęła głową.

- To Hanna - powiedziała do Maksa i Ruth.

- George wybiera się do Argentyny, a Rita zamierza czekać na niego tutaj.

Nic do bregu z tego nie wyniknie, czuję to w kościach...

- Na jak długo George jedzie?

- zapytał Max, odkładając

książkę.

- Nie ma żadnych planów, po prostu zobaczy, jak sprawy się ułożą.

Moim zdaniem to wszystko wygląda trochę dziwnie...



Pani Megalith usiadła przy stoliku do kart i zanurzyła rękę w misie z drobnymi kryształami.

Wzięła głęboki oddech, próbując poprzez naturalną energię minerałów rozluźnić napięte mięśnie ramion i barków.

Kiedy otworzyła oczy, u jej stóp pięć kotów czyściło sobie futerka.

- Rita powinna z nim pojechać - oznajmiła, nie zwracając najmniejszej uwagi na koty.

- Postąpiłaby bardzo niewłaściwie - rzekł Max, który nie chciał, żeby ktokolwiek zachęcał Ritę do wyjazdu z Frogal Point.

- Nie jest jeszcze jego żoną.

- Te zasady w tym przypadku nie służą niczemu dobremu!

Po winna wyjechać z nim, nie przejmując się żadnymi głupstwami, bo inaczej go straci.

- George może zakochać się w kimś innym - zauważyła Ruth, która mówiła niewiele, ale wszystko zapamiętywała i miała nie zwykły dar obserwacji.

- Otóż to, moja droga - przytaknęła pani Megalith.

Max potarł podbródek.

- Biedna Rita...

- wymamrotał.

- Jest młoda, a młodzi ludzie szybko dochodzą do siebie.

Zła mane serce zwykle tylko czeka, żeby je posklejać.

Zapewniam cię, że Ricie nie brak odporności...

- W zamyśleniu dotknęła spoczy wającego na jej piersi księżycowego kamienia.

Max przypomniał sobie, jak poprzedniego wieczoru Rita płakała w jego ramionach.

Teraz na pewno nawet by go nie zauważyła, bo przecież znowu była szczęśliwa...

Wyminął koty i wyszedł do ogrodu.

Zapalił papierosa, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, tak jak George.

Z całego serca żałował, że z racji zbyt młodego wieku nie mógł walczyć w czasie wojny i nosić eleganckiego, ciemnoniebieskiego munduru RAF-u.

George był odważnym mężczyzną.

Bohaterem.

Max często słyszał, że to właśnie dzięki ludziom takim jak George naziści nie zajęli Wielkiej Brytanii.

Gdzie byłby teraz on, Max, gdyby Hitler odniósł zwycięstwo?

Na tamtym świecie, jak jego rodzice?

Wielka szkoda, że ominęła go okazja, aby zabić przynajmniej kilku Niemców...

Cóż, był jeszcze chłopcem, a chłopcy nie imponują takim dziewczętom jak Rita.

Długo spacerował po ogrodzie, oświetlonym blaskiem palących się w domu lamp.

Dookoła panował spokój, tylko czasem mi gdzieś w gałęziach zagruchał gołąb, a z zarośli odezwał się bażant.

Gdyby wojna nadal trwała, Max wstąpiłby do lotnictwa, ale w tej sytuacji nie ma szans zostać bohaterem...

Postanowił, że zrobi coś rozsądnego ze swoim życiem, postara się osiągnąć jakiś ważny cel, ze względu na rodziców i Ritę.

A później, kiedy zarobi mnóstwo pieniędzy, odkupi Teatr Cesarski, który wybudował je go ojciec, i przywróci go do pełnej chwały.

Jesień minęła i zaczęła się zima.

Dzień wyjazdu George'a zbliżał się wielkimi krokami.

Rita wciąż wracała myślami do dnia, kiedy opuścił Frogmal Point, gdy wraz z całym swoim dywizjonem udawał się na Maltę.

Czuła tę samą pustkę w środku, te same bo

lesne skurcze żołądka, ten sam lęk przed pozostaniem bez jakiejkolwiek kontaktu z ukochanym mężczyzną poza listami.

Po wtarzała sobie, że im szybciej wyjedzie, tym szybciej powróci i poślubi ją, lecz w gruncie rzeczy stanowiło to niewielką pociechę.

Przez cały ranek lało jak z cebra.

George przyjechał po nią ciężarówką i po raz ostatni pojechali na plażę.

Pospiesznie zbiegli ścieżką w dół na plażę, do jaskini.

Morze było wzburzone, niebo zaciągnięte ciemnoszarymi chmurami.

Na brzegu kręciło się najwyżej kilkanaście ptaków, głównie mew o czarnych główkach, których jazgotliwe głosy wiatr niósł daleko wraz ze słonymi kroplami morskiej wody.

Plaża wyglądała wyjątkowo ponuro i Rita miała wrażenie, że wiosna nigdy nie zawita ponownie na ten brzeg.

W jaskini było zimno i wilgotno.

Tuląc się do siebie, usiedli w odległym kącie, tam, gdzie morze nie zdążyło jeszcze do końca zmyć śladów ich miłości.

George przesunął dłonią po twarzy Rity, ocierając palcami jej łzy.

Pocałował ją, czując na jej wargach smak soli i smutku, i obiecał sobie, że postara się jak najszybciej wrócić do Frogmal Point.

- Kiedyś przyjdziemy tutaj, gdy nasze dzieci będą w szkole, i przypomnimy sobie dzisiejszy dzień...

- powiedział.

Rita wtuliła twarz w jego kurtkę i rozplakała się cicho i bezradnie.

- Myślę, że powinnaś wyjąć z szafy tę suknię Megababci i zabrać się do jej zwężania.

Chcę, żeby była gotowa, gdy wrócę, a ja jestem pewny, że będziesz z nią miała wiele pracy.

- Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe czarne pudełeczko.

- Zależy mi, żebyś zawsze to nosiła - dodał, kładąc pudełeczko na jej dłoni.

Rita wyprostowała się i wytarła moką twarz rękawem.

- Co to takiego?

- zapytała.

Gdy podniosła wieczko, ze środka błysnął ku niej pierścionek z niewielkim brylantem.

- Zamierzałem podarować ci go już po powrocie, ale daję teraz, to cię upewni, że nasze zaręczyny są faktem.

- Wziął pierścionek i powoli wsunął go na serdeczny palec lewej ręki dziewczyny.

- Pasuje jak ulał...

- Jest piękny!

- Z piersi Rity wyrwało się westchnienie ulgi i radości.

- Naprawdę piękny...

- Za każdym razem, gdy na niego spojrzysz, przypomnisz so bie, jak bardzo cię kocham - powiedział poważnie.

Rita zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała go.

- A ja chcę, żebyś myślał o mojej miłości do ciebie zawsze, gdy popatrzysz na ten księżyc...

- szepnęła.

Siedzieli w jaskini prawie do wieczora, wreszcie powoli ruszyli do samochodu.

Rita nie mogła oderwać wzroku od pierścionka i co jakiś czas poruszała dłonią, żeby brylant błyszczał.

Trzymali się za ręce przez całą drogę na farmę, gdzie czekali na nich Trees i Faye oraz Alice z dziećmi.

Było to smutne pożegnanie.

Faye po wstrzymywała łzy, pamiętając o mądrych radach Tadeusza, nato miast Alice, zasmucona decyzją brata o ponownym wyjeździe, trzymała Jane w ramionach i raz po raz ze współczuciem zerknęła na Ritę.

Jej mąż, Geoffrey, szczęśliwie przeżył wojnę, podobnie jak George.

Alice pomyślała, że gdyby zaraz po przyjeździe oświadczył, że zamierza ponownie ją opuścić, by udać się na dru gi koniec świata, nie zniósłaby tego zbyt dobrze.

Podejrzewała po za tym, że stanie się to, czego nikt z jej bliskich nie ma odwagi po wiedzieć na głos - George wyjedzie i już nie wróci.

George ucałował rodzinę, a następnie po raz ostatni objął Ritę, wdychając zapach jej skóry i czując jej łzy na swojej twarzy.

Nie umiał w pełni wyrazić swoich uczuć, więc tylko popatrzył na nią z bezmierną czułością.

Następnie wsiadł do ciężarówki razem z oj cem, który miał odwieźć go na dworzec.

Kiedy uchylił okno i po machał ręką, wszyscy odpowiedzieli mu tym samym gestem, lecz on do ostatniej chwili patrzył tylko na Ritę.

Wreszcie ciężarówka wyjechała przez bramę na drogę i wzięła pierwszy zakręt.

Dopie ro wtedy George utkwiał wzrok w przedniej szybie.

Późnym wieczorem Faye siedziała w studiu i usiłowała za wszelką cenę oderwać się od smutnych myśli.

Powtarzała sobie to, co usłyszała od Tadeusza - że George nie należy do niej, że tylko wydała go na świat, a teraz powinna okazać swoją miłość, pozwa lając mu popełniać własne błędy i czerpać naukę z rozmaitych

przeżyć.

Była to pocieszająca filozofia, lecz Faye wcale nie czuła się lepiej.

Alice poszła na wieczorny spacer z dziećmi i wróciła do swoje go domku, pochłonięta niewesołymi rozważaniami.

Doszła do wniosku, że kiedy Geoffrey wreszcie wróci z Francji, nie puści go od siebie na krok.

Rita ukryła się w swojej sypialni i patrzyła, jak krople deszczu spływają po szybie.

Od powrotu do domu z trudem powstrzymywała łzy.

Bawiła się pierścionkiem i wciąż od nowa wracała do najbliższych jej sercu, najintymniejszych wspomnień.

W pewnej chwili zauważyła gila, który przysiadł na parapecie i zaczął natarczywie stukać małym dziobem w szybę.

Wszystko wskazywało na to, że ptak próbuje nawiązać z nią kontakt.

Rita powoli podniosła się z krzesła i bardzo ostrożnie otworzyła okno, starając się nie wystraszyć niecodziennego gościa.

Ku jej zdumieniu, gil wleciał do pokoju, okrążył pokój i wylądował na półce z książkami.

Prze skakiwał z książki na książkę, wreszcie przysiadł na brzegu glinianej miski, którą Eddie ulepiła dla Rity na zajęciach szkolnych.

Chwilę siedział, poćwierkując rezolutnie, a potem wyfrunął na zewnątrz w poszukiwaniu materiałów, którymi mógłby ułożyć gniazdo.

## Rozdział ósmy

George siedział na pokładzie liniowca "Fortuna".

Port spowijała wilgotna, szara mgła, dźwigi statków towarowych wyłaniały się z niej jak potężne dinozaury sprzed wielu tysięcy lat.

Dookoła pa-1 nował gwar, głosy rozbrzmiewały w mżawce na tle głębokiego po-' mruku silników i odległego buczenia wychodzącej z portu jednostki.

George, obezwładniony smutkiem, czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Kołująca mewa przemknęła mu nad głową, a jej me lancholijny krzyk był jak echo jego własnych wewnętrznych niepokojów i wspomnień o jaskini, Ricie i młodości, którą stracił gdzieś na niebie.

Wydawało mu się, że jest już starym, steranym życiem człowiekiem, który nie ma siły dłużej dźwigać brzemienia winy, wyrzutów sumienia i żalu.

Zaprzagnął wyprostować swoje uczucia, wyjąć je, jedno po drugim, i uporządkować według barw i odcieni.

Wypuścił z ust kóleczo dymu i patrzył, jak szybko rozwiewa się we mgle.

Nawyk palenia był dla niego pewnego rodzaju pocieszeniem, ponieważ przetrwał wraz z nim cały okres wojny.

Dzięki papierosom rozluźniał się po każdym wypadku, po każdej pod niebnej potyczce z wrogiem.

Mając dookoła siebie swój dywizjon, doznawał wyjątkowego poczucia przynależności do grupy, wspólnego dążenia do celu.

Po pewnym czasie udało mu się przyzwycząć nawet do strachu przed śmiercią, nigdy jednak nie pogodził

I

się ze śmiercią przyjaciół, Jamiego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona, i wiedział, że nigdy o nich nie zapomni.

Pokońszy wszechobecny lęk przed śmiercią, zmagał się teraz z lękiem przed życiem.

Nie miał celu, motywacji ani poczucia przynależności.

Dryfował, bezwładnie unosząc się na falach.

Statek zadrygotał i zaczął powoli odsuwać się od pomostu.

George utkwił wzrok w morzu, pokrytym szarawą pianą, a potem ostatni raz spojrział na pozostający w tyle ponury brzeg.

Do widzenia, Anglio, żegnaj, wojno, pomyślał.

Kiedy wrócę, będę innym

człowiekiem.

Przez pierwsze dwa tygodnie wolał być sam.

Prawie nie zauważał kręcących się w pobliżu ludzi i szybko kończył rozmowy z nieznanymi, bo i tak nie miał najmniejszej ochoty nawiązywać znajomości.

Najczęściej siedział na pokładzie, palił i myślał o przeszłości.

Nad przyszłością starał się nie zastanawiać.

Nigdy nie był w Ameryce Południowej, więc nie miał pojęcia, czego się spodziewać.

Na statku było wielu pasażerów, którzy z chęcią podzieliliby się z nim swoją wiedzą o Argentynie, lecz on rozmyślnie nie szukał z nimi kontaktu.

Inni grali w warcaby, szachy i brydża, wystawiali sztuki dla dzieci, tańczyli do białego rana i spotykali się w barze.

Byli zbyt zajęci, by nawiązać z nim bliższy kontakt, a widząc ponury wyraz jego twarzy, woleli trzymać się od niego z daleka.

Statek zatrzymał się w Lizbonie, na Maderze, w Rio oraz Santos.

George spędzał te dni, rozprostowując nogi i zwiedzając okolicę.

Z przyjemnością schodził na ląd, choćby na kilka godzin, aby poczuć zapach ziemi i przyrody.

W czasie postojów w portach do "Fortuny" podpływały łódki i na pokład wchodził handlarze, aby rozłożyć swoje towary.

Patrząc na srebrne bransolety i ozdoby z taniego brazylijskiego złota, George myślał o Ricie.

Chciał kupić jej coś i przynajmniej w ten sposób okazać, że wciąż jest przy niej.

Coś atrakcyjnego, jakiś wyjątkowy drobiazg.

Przerzucając broszki, pierścionki i kolczyki, niektóre ładne, inne wykonane tak marnie, że na pewno nie przetrwałyby drogi pocztą do Anglii, zauważył w końcu śliczny wisiorek - srebrnego ptaka z szeroko rozłożonymi skrzydłami i oczami z turkusów.

W chwili, gdy go zobaczył, zrozumiał, że musi go kupić.

Czudy, czarno włosy handlarz o brunatnej twarzy uśmiechnął się krzywo, kiedy



;] dy George zapytał o cenę, w myśli szybko podwoił sumę, którą po";

czątkowo zamierzał podać, i schował do kieszeni pieniądze.

Owi-1 nął wisiołek w brązowy papier i podał naiwnemu klientowi.

- Ptak, na szczęście!

- powiedział kulawą angielszczyzną,) wskazując zawiniątko.

- Na szczęście...

;

- Chodzi mu o to, że ptak to symbol powodzenia - odezwał się inny pasażer, który także oglądał biżuterię.

- W czasach starożytnych uważano je za stworzenia czarodziejskie, ponieważ umiały;

fruć.

Każdemu gatunkowi przypisuje się inne znaczenie.

Co to za ptak?

I

George rozwinął papier i pokazał starszemu panu swój zakup, i Tamten przyjrzał mu się uważnie, ku przerażeniu handlarza, który był pewny, że klienci szukają ukrytych wad ozdoby.

;

- To chyba gołąb...

- powiedział znawca historii ptaków.

- Symbolizuje miłość, powodzenie i szczęście w małżeństwie.

Poją- j wia się w babilońskich, hebrajskich i greckich mitach o potopie ;

jako znak pokoju, pojednania, zawarcia przymierza.

Gołąb, który wrócił do Noego z gałązką oliwną w dziobie, stał się uniwersalnym, międzynarodowym symbolem.

George szczerze podziękował rozmówcy.

Najwyraźniej sam los pomógł mu znaleźć tak wyjątkowo odpowiedni podarunek dla ukochanej.

Dopiero na początku trzeciego tygodnia rejsu, kiedy "Fortuna" znajdowała się niedaleko wybrzeża Brazylii, George poczuł lekkie ukłucie zainteresowania tym, co działo się wokół niego.

Był wczesny wieczór.

Siedział na pokładzie, obserwując zachodzące słońce i wspominając, jak razem z Ritą jeszcze w dzieciństwie wspinali się na klify, żeby popatrzeć na tonące w morzu słońce.

Tamto morze bardzo różniło się od oceanu, na którym teraz się znajdował.

Jego wzrok padł nagle na stojącą przy burcie kobietę, która także wpatrywała się w horyzont.

Stała zupełnie nieruchomo, tylko wiatr muskał spódnicę jej jasnej sukni, odsłaniając smukłe kostki i kształtne łydki.

Jasne, prawie białe włosy nieznanym były upięte w kok, co podkreślało urodę długiej szyi i piękne linie profilu wyraźnie rysującego się na tle ciemniejącego nieba.

Miała prosty nos, wysokie kości policzkowe, podbródek świadczący o silnej woli i zdecydowaniu, wyglądała na osobę pewną siebie i nieco wy-

772

niosłą.

George zaczął się zastanawiać, kto towarzyszy jej na statku, czy jest mężatką, a jeżeli tak, to jakiego rodzaju człowiekiem jest jej mąż.

Była bardzo piękna i pełna godności.

George z uśmiechem pomyślał, że na pewno nie należy do ustępliwych ani łagodnych.

Chyba nie czuła na sobie jego spojrzenia, bo wciąż spokojnie wpatrywała się w dal.

George uświadomił sobie, że w jej postawie jest coś dziwnie smutnego, może dlatego, że w ogóle się nie poruszała.

Szczęśliwa osoba rozglądałaby się dookoła, uśmiechała, choćby tylko do siebie, tymczasem ona patrzyła przed siebie w taki sposób, jakby przyglądała się nie morzu, ale obrazom, które podsuwał jej umysł.

Stała tak dość długo.

George wypalił papierosa, a słońce zaszło, pozostawiając pasmo różowego blasku na styku morza i nieba.

W końcu zdjęła dłonie z poręczy i odwróciła się, żeby odejść.

Wtedy George z przerażeniem ujrzał długą, paskudną bliznę, przecinającą jej lewy policzek.

Na moment wstrzymał oddech, głęboko wstrząśnięty, że ta piękna, dystyngowana kobieta została tak okrutnie oszpecona.

Spojrzała na niego, lecz zaraz odwróciła wzrok i zanim George zdążył podnieść się z leżaka, zniknęła.

Te raz jego ciekawość była naprawdę mocno pobudzona.

Kim ona jest, pomyślał.

Co się jej przydarzyło?

Przeszedł się po ogólnie dostępnych salach, szukając jej wzrokiem.

W jakich okolicznościach los nazaczył ją tą straszną bliźną?

Na twarzy mężczyzny byłby to znak męskości i odwagi, lecz dla kobiety to przekleństwo, potworna skaza.

Współczucie obudziło George'a i nieoczekiwanie przywróciło mu pragnienie powrotu do normalnego życia.

Po kolacji, podczas której tajemnicza kobieta nie pokazała się w jadalni, poszedł do baru.

Usiadł na wysokim taborecie i zamówił szkocką.

Ledwo zdążył podnieść szklaneczkę do ust, kiedy siedzący dwa stołki dalej starszy mężczyzna przechylił się w jego stronę.

- Pan także ucieka przed wojną?

- zagadnął.

- Wojna już się skończyła - odparł George.

- Brygadier Bullingdon.

- Mężczyzna wyciągnął rękę.

George uściskał ją i natychmiast zwrócił uwagę na brwi nowego znajomego, tak obfite i krzaczaste, jakby szykowały się do zajęcia całej twarzy.

- Rzeczywiście się skończyła, młody człowieku, ale nad na szym krajem wciąż wisi ciężka chmura - podjął brygadier.

- Wal czyłem na zachodnim froncie w pierwszej wojnie.

Zostałem ranny, dlatego utykam.

Byłem gotowy nadstawić karku i w tej, ale nie chcieli mnie z powodu wieku.

Przeklęci Niemcy...

- Potrząsnął głową i wypił swoją whisky, bez lodu i wody, tak jak lubił.

- Wi dzę po twoich oczach, że zrobieś, co do ciebie należało, młodzieńcze.

Wojna zmienia ludzi raz na zawsze...

- Obrzucił George'a baczny spojrzeniem spod gęstych brwi.

- Porucznik lotnictwa George Bolton - odparł George machinalnie.

Brygadier z aprobatą skinął głową.

- Gratuluję odwagi - powiedział głosem zachrypłym z podziwu.

- Co sprowadza cię do tej części świata, mój drogi?

- Nadzieja na ciekawe przeżycia, nic więcej.

- Twoje oczekiwania na pewno się spełnią.

- Staruszek się roześmiał.

- Dokąd płyniesz?

- Do Argentyny, do Cordoby.

Bullingdon z namysłem wyduł wargi, pulchne i gładkie, jak u młodego mężczyzny.

- Moja żona i ja byliśmy tam przed wojną - rzekł.

- Bardzo zielony kraj, górzysty i naprawdę piękny.

Podróżujesz samotnie?

- Tak - odparł George.

Pomyślał o Ricie, zastanawiając się, jak poradziłaby sobie na obcym kontynencie.

Lekko podchmielony brygadier niepewnie nachylił się ku niemu.

- Szczerze mówiąc, ja też wolałbym podróżować samotnie - zwierzył się.

- Argentynki są wyjątkowo ogniste, ale w obecności mojej pani nawet nie ośmielę się na żadną spojrzeć.

Żona strzeże mnie jak skarbu...

- zakasał.

- Zauważyłem, że na statku jest nie wiele ładnych młodych kobietek...

George przypomniał sobie tajemniczą kobietę.

Był ciekawy, czy brygadier coś o niej wie, ale zanim zdążył otworzyć usta, za plecami starszego pana pojawiła się drobniutka, wysuszona i po marszczona kobieta, i zgiętym palcem postukała go w ramię.

- Wydaje mi się, że dosyć już wypieś, kochanie.

- Ach, urocza pani Bullingdon...

- mruknął brygadier.

- Esther, pozwól, że przedstawię ci mojego młodego przyjaciela - po rucznik RAF-u, George Bolton...

Esther Bullingdon podała George'owi rękę, bezwładną, suchą i pokrytą wątrobowymi plamami.

- Widzę, że poznałeś jedno z dwojga naszych morskich samotników - powiedziała wysokim, drżącym głosem.

- To drugie wi działam przed chwilą na pokładzie...

ładna dziewczyna, ale tak fatalnie zeszpecona...

Straszna szkoda...

Nie dziwię się, że woli trzymać się z dala od ludzi, biedne dziecko...

- Wie pani, kim ona jest?

- George zadał to pytanie, zanim zdążył się dobrze zastanowić.

- To Amerykanka, nazywa się Susan Robertson.

Na początku rejsu pozwoliłam sobie przedstawić się tej młodej damie, ale oka zała się dość wyniosła.

Naturalnie, nie miałam jej tego za złe, trudno spodziewać się pogodnego usposobienia po osobie w takiej sytuacji życiowej...

Jest niezamężna.

- Starsza pani uniosła dłoń, na palcu błysnęła złota obrączka z malutkim szafirem.

- Kobiety instynktownie zwracają uwagę na takie rzeczy...

- Szkoda, że przystojna dziewczyna tak się marnuje - skomen tował brygadier.

- Z tą blizną nikt jej nie zechce, a przecież każda kobieta za służy na męża i dzieci - podjęta pani Bullingdon.

- Ostatecznie, czymże jeszcze mogłybyśmy się zajmować, prawda?

Rola żony i matki to główny sens naszego życia...

George'owi nie bardzo podobał się jej ton.

Odniosł wrażenie, że żonę brygadiera cieszy nieszczęście tamtej młodej kobiety.

- Miło było mi państwa poznać - powiedział, podnosząc się.

- Przepraszam bardzo, ale na mnie już czas...

- Moja pani i tak zaraz zawlecze mnie do łóżka - prychnął brygadier i mrugnął do George'a.

- Małżeństwo z Esther pod wieloma względami przypomina pobyt w szkole z internatem.

- Jeżeli rano obudzisz się z kacem, będziesz mógł winić za to wyłącznie siebie, mój drogi - oświadczyła małżonka.

- Cieszę się, że nie jest pan z natury nieżyczliwy i wrogo nastawiony do ludzi - dodała, odwracając się do George'a.

- Może jutro wieczorem miałby pan ochotę zjeść kolację przy naszym stoliku?

George niechętnie skinął głową.

Miał nadzieję, że do rana pań.

stwo Bullingdon zapomną o jego istnieniu.

Uprzejmie pożegnał się raz jeszcze i wyszedł na pokład.

Wieczór był cudownie pogodny, wysoką kopułę nieboskłonu rozjaśniały gwiazdy i duży, złoty księżyc.

Ciszę zakłócał tylko cichy warkot silników i szum, z jakim dziób statku rozcinał po wierzchnię wody.

Powietrze było balsamicznie łagodne, ciepły wiatr niósł świeży zapach morza.

George wyszedł na pokład.

Ko bieta stała w tym samym miejscu, wpatrzona w ciemność.

Wahał się chwilę, niepewny, jak zacząć rozmowę, nie chciał bowiem, aby doszła do wniosku, że powoduje nim litość.

Z kieszeni na piersi wyjął paczkę papierosów i lekko postukał nią o dłoń.

Podczas gdy on grał na czas, kobieta najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Otoczył papieros dłoń, żeby zapalić, zaciągnął się i wypuścił dym z ust.

Wydawało mu się, że zauważyła go, po nieważ podniosła rękę, aby wsunąć lok za ucho, i lekko zwróciła głowę w jego kierunku, ale chyba jednak go nie widziała.

Jasne pa smo włosów nieposłusznie zatańczyło tuż przy policzku, nie da jąc się poskromić.

Przeszedł przez pokład i oparł się obok niej o burtę.

- Mogę się przyłączyć?

- zapytał, spoglądając na nią.

Wyprostowała się i zmierzyła go wyniosłym wzrokiem.

- Och, to pan...

- powiedziała z lekkim amerykańskim akcentem.

- Zauważyłam, że już wcześniej mnie pan obserwował - do dała w odpowiedzi na jego uniesienie brwi.

- Przepraszam za natręctwo...

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma za co - odparta.

- Byłam pogrążona w myślach.

- Wyglądała pani na zasmuconą.

Nuta współczucia, brzmiała w jego głosie, chyba ją ziryutowała.

- Co pan może wiedzieć o smutku?

- rzuciła lekceważąco.

- Jest pan jeszcze chłopcem...

George poczuł się urażony.

Tajemnicza Susan Robertson z pewną pewnością nie była dużo starsza od niego.

- Chłopcem, który przeżył więcej niż niejeden mężczyzna - odpowiedział, przybierając równie arogancki ton.

- Naprawdę?

- Uśmiechnęła się lekko, trochę zaintrygowała na.

- Podał pan moją ciekawość, podobnie jak wcześniej ja pańską...

Bo przyszedł pan porozmawiać ze mną z ciekawości,

prawda?

George'owi nagle zabrakło słów.

Nie miał pojęcia, co powie dzieć.

- Nie szkodzi!

- zaśmiała się gorzko.

- Nie pan pierwszy!

Wy wieram dziwne wrażenie na mężczyznach...

Najpierw patrzą na moją twarz z podziwem, bo widziana z tej strony rzeczywiście jest piękna.

- Dotknęła gładkiego policzka.

- Ale gdy odwracam się do nich enface, ich zachwyty zmieniają się w przerażenie...

Bardzo mnie to bawi.

- Bawi?

- Och, proszę oszczędzić mi litości, jestem dorosłą kobietą -

rzuciła.

W normalnych okolicznościach George nie zmuszałby się do rozmowy z tak nieuprzejmą osobą, lecz instynkt podpowiadał mu, że złość Susan nie jest wymierzona w niego osobiście.



Był to raczej protest przeciwko temu, jak potraktowało ją życie.

- Podróżuje pani samotnie?

- zapytał.

- Powinien pan wiedzieć, przecież mnie pan obserwuje, czyż nie?

- Tylko dzisiaj wieczorem.

Wcześniej nie widziałem pani.

- Zabawne...

Ja dostrzegłam pana już pierwszego dnia, był pan wtedy pogrążony w myślach.

Jeżeli ktokolwiek wyglądał na za smuczonego, to właśnie pan...

- Jeśli mam być szczery, to czuję się trochę zagubiony.

Zaczy nam nowe życie w Argentynie.

- Wojna zbyt ciężko pana doświadczyła?

- Coś w tym rodzaju.

- Wiem, co pan czuje...

- westchnęła.

- Ze mną jest podobnie...

Pod jego spojrzeniem jej twarz złagodniała.

- Ja także uciekam - wyznała.

- Od czego?

- zapytał, zadowolony, że zdołał ją trochę rozruszać.

- Cóż, chyba od życia...

- Czubkami palców lekko musnęła bliźnię.

- Tak, od dawnego życia.

Szkoda, że nie mogę uciec od tej bliźni.

zny...

Noszę ją jak świadectwo czegoś, o czym wolałabym zapo mnieć.

- Chce pani o tym porozmawiać?

Nie zna mnie pani, a to cza sami ułatwia sprawę.

W czasie wojny zdarzało mi się, że otwiera łem się przed ludźmi, ponieważ wiedziałem, że nigdy więcej ich nie spotkam, i powierzałem im swoje najgłębiej skrywane tajem nice.

Większość z nich nie żyje...

- Więc pana sekrety są bezpieczne?

- Uśmiechnęła się ciepło.

- Niektóre.

- Nie jest pan jeszcze w wieku, kiedy ma się dużo tajemnic.

- Pani także nie.

- Och, byłby pan zaskoczony...

Tak czy inaczej, gdybym ja po wierzyła panu swoje sekrety, musiałabym wypchnąć pana później za burtę.

Wygląda pan na dobrego pływaka, więc zachowam je dla siebie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Co pani robiła w Anglii?

- Nie mogę tego panu powiedzieć, bo to jedna z moich tajem nic.

- W jej oczach błysnął łobuzerski ogień, poprzednia sztyw ność w zachowaniu zniknęła bez śladu.

- Nie chce pan chyba umrzeć, prawda?

- Dokąd pani płynie?

Przynajmniej tyle może mi pani chyba powiedzieć...

- Lepiej pomówmy teraz o panu.

Kobiety lubią mieć tajemnice.

- Co chciałaby pani wiedzieć?

- Ma pan ukochaną?

- Nie - odparł bez wahania.

Cóż złego mogło wyniknąć z tego, że okłamał kobietę, której po zejściu ze statku nigdy więcej nie zobaczy...

Wyrzucił niedopałek za burtę.

- Więc dlaczego jest pan taki smutny?

- Straciłem na wojnie wielu przyjaciół.

Bliskich przyjaciół, do których byłem bardzo przywiązany.

Oni zginęli, ja przeżyłem.

Dlaczego właśnie ja?

- Wzruszył ramionami.

- Rozumiem...

- rzekła łagodnie.

- Gdzie pan walczył?

- W powietrzu.

- Ach, lotnik...

Chyba pan wie, jak bardzo to teraz imponuje ludziom...

- Nie ma w tym nic imponującego, gdy człowiek znajduje się w samym środku krwawej bitwy.

- Nie, na pewno nie.

Skoro pan przeżył, to musi pan być do brym pilotem, prawda?

- Może po prostu miałem szczęście...

- Więc teraz zostawia pan to wszystko za sobą...

Nie chcę pana straszyć, ale wspomnienia są pod pewnym względem podobne do mojej blizny, nie da się od nich uciec.

- Warto jednak spróbować.

- Podejrzewam, że gdyby nawet nam się to udało, szybko byśmy odkryli, że szczęście można osiągnąć tylko, stając twarzą w twarz z naszymi demonami - powiedziała.

- Jednak ja nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Ja również nie.

- Kto by przypuszczał, że mamy ze sobą tyle wspólnego...

- Nie wiem nawet, jak się pani nazywa - skłamał.

Nie chciał, aby dowiedziała się, że rozmawiał o niej z niesym patyczną panią Bullingdon.

- Susan Robertson.

- George Bolton.

- Pozwoli pan, że ukradnę mu papierosa?

- Proszę bardzo.

- Wyjął paczkę z kieszonki na piersi.

- O, lucky strike...

- Uśmiechnęła się, biorąc papierosa.

- Je steśmy starymi przyjaciółmi...

Miała smukłe, białe dłonie o długich paznokciach, pomalowana nych czerwonym lakierem.

Wetknęła papierosa między wargi i utkwiła w George'u spojrzenie lśniących, jasnych oczu, chyba błękitnych, choć w ciemności nie widział dość wyraźnie.

Podsu nął jej zapalniczkę, lecz wiatr natychmiast zdmuchnął płomyk.

Susan otoczyła zapalniczkę dłońmi, lekko muskając jego rękę palcami.

Tym razem płomień utrzymał się i młoda kobieta zdołała zapalić papierosa.

- Z której części Ameryki pani pochodzi?

- zapytał, pragnąc dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Nigdy się pan nie poddaje, prawda?

Roześmiał się.

Po prostu jestem ciekawy...

- Zupełnie jak dziecko, które domaga się upragnionej zabawy!

- Albo jak mężczyzna w obecności uderzająco pięknej kobiety.

Czy to nie naturalne, że staram się lepiej panią poznać?

- Flirtuje pan ze mną, czy tak mi się tylko wydaje?

- Nigdy bym się nie ośmielił...

- Uśmiechnął się, jak zwykle unosząc jeden kącik ust.

Susan westchnęła z rozbawieniem.

- No, dobrze...

- powiedziała.

- Trudno mi określić, skąd właściwie pochodzę, bo mój ojciec był dyplomatą, ale wychowałam się w Waszyngtonie.

Potem przez pewien czas mieszkaliśmy w Buenos Aires i moje najmilsze wspomnienia pochodzą właśnie z tamtego okresu.

Później wyjechaliśmy do Europy.

Byliśmy na placówkach w Paryżu, Londynie, Rzymie...

Uważam się za dziecko całego świata, nie jestem przywiązana do żadnego konkretnego miejsca...

- Ale uważa się pani za Amerykankę?

- Oczywiście, ale to co innego, tam się urodziłam, moi rodzice są Amerykanami.

Czy już zaspokoiliam pana ciekawość?

- Tylko w niewielkim stopniu.

- Lepšie to niż nic...

- Mamy jednak jeszcze całe trzy dni, zanim przybijemy do Buenos Aires...

- I sądzi pan, że w ciągu tych trzech dni wszystko pan ze mnie wydobydzie?

Nie jestem naiwną panienczką i nie mam ochoty na flirt, panie Bolton.

Wykorzystał pan już swoją szansę.

Na szczęście potrafił mnie pan zaciekawić i teraz czuję się dużo mniej przygnębiona...

- Uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Ja także jestem pani wdzięczny za rozmowę.

- Dobranoc, George...

- Poklepała go po dłoni i odeszła.

George dość długo stał jeszcze na pokładzie.

Zirykowało go, że Susan potraktowała go jak niedorostłego chłopca.

George chciał, żeby spojrzała na niego jak na mężczyznę.

Pomyślał, że sama ma najwyżej dwadzieścia osiem, może dziewięć lat, więc nie powinna odnosić się do niego w tak pobłażliwy sposób.

Wróciwszy do kajuty, postanowił napisać do Rity.

Przypomniawszy sobie listy, które pisywał do niej w czasie wojny.

Nigdy nie wspo

minał w nich o swoich przeżyciach z powietrznego pola bitwy, bo wydawały mu się zbyt drastyczne dla łagodnej, wrażliwej dziewczyny.

Nie chciał też, aby Rita wiedziała, że prawie codziennie staje twarzą w twarz ze śmiercią, pisał więc o przeszłości, o klifach i plaży, o ich jaskini i farmie jego rodziców.

Wspominał wspólne niewinne zabawy, nie zdając sobie sprawy, że kiedy wróci z wojny, tamto życie będzie już tylko snem...

Tym razem opowiedział jej tylko, co robi na pokładzie statku, i napisał, że bardzo za nią tęskni.

Zanim zasnął, przez chwilę myślał o Susan.

Kiedy w jego wyobraźni jej twarz przesłoniła twarz Rity, ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Wciąż wracał myślą do rozmowy z Susan, widział, jak jej surowa na początku twarz stopniowo łagodnieje i rozjaśnia się uśmiechem.

Była szorstka i zdecydowana, inteligentna i sarka styczna.

W pełni panowała nad swoimi emocjami, lecz odcinała się od ludzi w odruchu samoobrony.

Była nieufna, cyniczna, lecz mimo to George czuł, że jest zdolna do wielkiej czułości.

Zastał się, czy po zejściu na ląd jeszcze kiedyś się spotkają.

On wyruszy do Cordoby pociągiem Rayo del Soi, ona zaś pozostanie w gwarnym Buenos Aires i zagubi się wśród milionów mieszkańców wielkiego miasta.

## Rozdział dziewiąty

Następnego dnia rano George obudził się w świetnym nastroju.

Czuł się jak nowo narodzony.

Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od początku podróży nie dręczyły go koszmarne sny o wojnie, i po raz pierwszy chętnie podniósł się z łóżka.

Z uśmiechem pomyślał, że wkrótce zacznie nowe życie w nowym kraju, chociaż nie miał pojęcia, co było przyczyną tak gruntownej zmiany nastawienia do rzeczywistości.

Szybko ochłapał twarz chłodną wodą i umył zęby.

Nie myślał ani o Frognał Point, ani o liście do Rity, który leżał na nocnej szafce, napisany pod wpływem poczucia winy i obowiązku.

Chwilę się zastanawiał, którą koszulę powinien włożyć, wreszcie zdecydował się i przeczesał włosy grzebieniem.

Nie ogolił się, ponieważ uważał, że cięć zarostu uczyni go bardziej męskim.

Spojrzał w lustro i wyszedł na korytarz, w pełni zadowolony ze swojego wyglądu.

Ku jego wielkiemu rozczarowaniu, w jadalni nie było Susan, czekali tam natomiast na niego brygadier Bullingdon i jego małżonka.

Na widok George'a pani Bullingdon pomachała do niego i gorączkowo zaszeptała coś do siedzących przy tym samym stole znajomych.

George podszedł i przywitał się uprzejmie.

- Och, George, chciałabym przedstawić pana państwu Linton-Harleigh oraz ich córce Mirandzie!

- zawołała pani Bullingdon.

- Oto porucznik RAF-u George Bolton, jeden z naszych młodych bohaterów...

Proszę, proszę, niechże pan siada...

George omiótł spojrzeniem zaciekawione, uśmiechnięte twarze, ucisnął wyciągnięte ku niemu dłonie, przyjął zaproszenie pani Bullingdon i natychmiast dostrzegł seksualny głód w oczach pani Mirandy Linton-Harleigh.

Dziewczyna przypominała drapieżnika, który od kilku tygodni nic nie jadł.

- Miranda na pewno podbije Buenos Aires!

- zaśmiała się pani Linton-Harleigh, nerwowo bawiąc się łyżeczką do herbaty.

- Zamierzamy zatrzymać się u naszych kuzynostwa w Hurlingham, musi nas tam pan koniecznie odwiedzić...

Czeka nas tyle przyjęć i bankietów...

Zaraz po przyjeździe wybieramy się na za kupy, bo przecież w Londynie nie ma teraz żadnych ładnych su kienek, wszystko jest na te okropne kartki...

Anglicy mieszkają cy w Argentynie to najsympatyczniejsi ludzie pod słońcem, słowo daję...

- Odwiedzi nas pan, prawda?

- zagadnęła Miranda.

George skrzywił się wewnątrz, słysząc twardą nutę w jej głosie.

- Niestety, jadę daleko, aż do Cordoby - odparł.

- A to pech...

- prychnęła pogardliwie.

- Buenos Aires to cen trum życia towarzyskiego!

Na prowincji można zanudzić się na śmierć!

- Jakoś sobie z tym poradzę - obojętnie rzucił George.

Miranda popatrzyła na niego z niedowierzaniem, niepewna, co nią o nim myśleć.

- W przyszłym tygodniu ambasador wydaje przyjęcie - oznaj miła pani Linton-Harleigh, unosząc wyskubane brwi.

- To taki czarujący człowiek...

Zna pan ambasadora?

- Nie - odparł George.

- Nigdy nie byłem w Argentynie.

Zastanawiał się, dlaczego spędza czas z tymi nieznośnymi, okropnymi ludźmi.

Ramiona Mirandy opadły - teraz, kiedy do wiedziała się, że będzie to jego pierwsza wizyta w Argentynie, mogła mu wybaczyć ignorancję.

- Na pana miejscu zatrzymałabym się w mieście, choćby na krótko...

Buenos Aires jest cudowne, poza tym pozna pan tam od.



powiednie towarzystwo - powiedziała, kładąc nacisk na słowo "odpowiednie".

- Ci, którzy walczyli na wojnie, mają za nic ambicje towarzyskie, moja droga - odezwał się brygadier pobłażliwym tonem.

- Ambasadorowie, księżęta, wielcy tego świata, nie ma znaczenia, jaką pozycję zajmujemy...

Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, prawda?

- Być może...

- wycedził pan Linton-Harleigh.

- Jednak aby odnieść sukces, trzeba znać odpowiednich ludzi...

Naturalnie, możemy udawać, że jesteśmy ponad takie przyziemne sprawy, ale czy się nie to, co wiemy, tylko kogo znamy...

- To bardzo niesprawiedliwe, lecz takie jest życie - dodała nie dbając o jego małżonka.

- Pod tym względem wojna nic nie zmieniła.

George przyglądał się, jak dystygowana dama subtelnie skubie grzanekę, i myślał, że oto ma przed sobą Anglików, którzy nigdy nie powinni reprezentować swego kraju za granicą.

Zrobiło mu się zimno na myśl, jaką opinię mogą mieć Argentyńscy Brytyjczycy, jeżeli oceniają ich na podstawie zachowania i stylu bycia ludzi takich jak Linton-Harleighowie czy Bullingdonowie.

- Popatrz, mamo, to ta biedna Amerykanka!

- Miranda spojrzała ponad ramieniem George'a na Susan Robertson, która właśnie siedziała przy osobnym stoliku.

Twarz pani Linton-Harleigh przybrała wyraz fałszywego współczucia.

- Biedaczka...

- powiedziała, kręcąc głową.

- Kiedyś musiała być prawdziwą piękną, ale teraz...

- Nazywa się Susan Robertson - oznajmiła pani Bullingdon.

- Rozmawiałam z nią na początku rejsu.

- Jaka ona jest?

- Miranda oblizła wargi.

George'owi zrobiło się niedobrze.

- Potraktowała mnie w dość arogancki sposób, chociaż z tą twarzą powinna nieco bardziej uważać!

- prychnęła pani Bulling don.

- Powiem jedno, ma język ostry jak brzytwa i nie waha się nim posługiwać...

- Na pewno ma okropne życie - uzaliła się nieszczerze Miran da.

- Los okazał się dla niej strasznie niesprawiedliwy...

Zimny błysk w oczach dziewczyny powiedział George'owi, że widok oszpeconej twarzy Susan sprawia jej sporą przyjemność.

- Uroda zawsze będzie się liczyć, podobnie jak właściwe po chodzenie - oświadczył pan Linton-Harleigh.

- Każdy, kto twierdzi, że te sprawy nie mają znaczenia, najzwyczajniej w świecie nie wie, o czym mówi...

Jego żona z entuzjazmem pokiwała głową.

- Jakie to szczęście, że nasza Miranda jest taka ładna i czarująca!

- powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Kiedy George poczuł ucisk tuż nad kostką, w pierwszej chwili pomyślał, że pod stołem na pewno siedzi jakiś pies, lecz nieprzyjemne wrażenie nie znikło i wtedy zorientował się, że to Miranda trąca go stopą.

Podniósł wzrok i zobaczył, że nadal rozmawia o Susan z panią Bullingdon, z zapartym tchem pochłaniając wszystkie szczegóły, jakie przekazywała jej wścibska staruszka.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że chyba się pomylił, ponieważ Miranda wydawała się całkowicie zajęta rozmową, ale przecież z całą pewnością nie napastuje go pani Linton-Harleigh ani tym bardziej żo na brygadiera Bullingdona.

Stopa przesunęła się wyżej i zaczęła ocierać się o jego łydkę.

George udał, że upuścił serwetkę, schylił się i wetknął głowę pod obrus.

Miał rację - była to stopa Mirandy.

Z rozbawieniem pomyślał, że jej rodzicie niewątpliwie uważa ją za wzór wszelkich cnót, i pośpiesznie owinął jej kostkę serwetką, przywiązując ją do nogi stołu.

Po krótkiej chwili odsunął krzesło i wstał.

- Chyba nie zamierza nas pan opuścić!

- wykrzyknęła pani Bullingdon, nie kryjąc zawodu.

- Nie zjadł pan jeszcze śniadania!

- Niestety, muszę już państwa pożegnać...

- Śpieszy się pan na spotkanie z jakąś piękną damą?

- zapytał brygadier, unosząc wysoko jedną krzaczastą brew.

George się uśmiechnął.

- Ma pan doskonałe wyczucie - rzekł.

- Tak, śpieszę się na spotkanie z bardzo piękną, wytworną damą...

- Umiesz korzystać z życia, młody człowieku!

- zaśmiał się pan Linton-Harleigh.

Miranda wyduła wargi.

- Może przyjdzie pan z nią na kolację?

- zaproponowała pani "ullingdon i odwróciła się do przyjaciół.

- Zanim znalazłam George'a, był trochę samotny...

George odwrócił się na pięcie i podszedł do stolika Susan.

Podniosła wzrok i rzuciła mu porozumiewawczy uśmiech.

- Potrzebuje pan ratunku?

- zagadnęła.

Bezradnie pokiwał głową.

- Mogę się przysiąc?

- Proszę bardzo.

George przysunął sobie krzesło i usiadł tyłem do stołu państwa Bullingdon.

- Wygląda na to, że rozczarował pan swoich znajomych, decydując się zjeść śniadanie ze mną...

- odezwała się Susan.

- To dobrze.

Trudno byłoby znaleźć mniej sympatycznych ludzi.

- Trzeba było trzymać się od nich z daleka...

- Starąłem się, ale zaskoczyli mnie w barze.

- Znam ten gatunek, to prawdziwe pijawki.

Natychmiast po zawarciu znajomości próbują wyssać krew z ofiary.

- Co za szczęście, że wycofałem się, zanim do tego doszło.

Jak się pani dziś czuje?

Susan pociągnęła łyk kawy.

Miała piękną spódnicę i bluzkę w kolorze kości słoniowej, pojedynczy sznur pereł na szyi, idealnie zadbane paznokcie, staranny makijaż, włosy błyszcząły zdrowiem i witalnością, tylko w oczach widać było cień duchowego znużenia.

- Wczoraj wieczorem naprawdę dobrze się bawiłam - wyznała, ku zaskoczeniu George'a.

- Och, niechże pan zamknie usta, za nim coś tam panu wpadnie...

Nasza rozmowa sprawiła mi przyjemność.

- Mnie także.

Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej.

Spuściła oczy.

Przez moment wyglądała jak młodziotka dziewczyna i George pomyślał, że potrzebuje czułości i opieki.

Napełnił filiżankę kawą, przywołał kelnera i zamówił kilka grzanek.

- Dwa śniadania?

- zaśmiała się Susan.

- Czy to nie za dużo, nawet jak na dorastającego chłopca?

- zakpiła.

- Towarzystwo tamtych państwa pozbawiło mnie apetytu - od parł, smarując masłem grzanekę.

- Teraz wreszcie zgłodniałem...

- Mam wrażenie, że zdenerwował pan tamtą skwaśniętą pańnię - powiedziała Susan, zerkając na Mirandę.

- Nie mogła oderwać od pana wzroku.

- Znacznie bardziej interesowała ją pani.

- Tak pan sądzi?

- Tak mi się wydawało...

- Na pewno zachodzi w głowę, dlaczego taki przystojny młody człowiek woli zjeść śniadanie z oszpeconą starą panną niż z nią - rzuciła.

- Uroda szybko przemija.

- Tak mówią...

- To prawda.

Dlaczego mówi pani, że jest starą panną?

Uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem.

Jej policzki zaraz mieniły się gwałtownie.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała.

- Co zamierza pan

dzisiaj robić?

- Spędzić jak największą część dnia z panią.

Chyba nie przy puszcza pani, że zostawię ją samą, co?

- Najwyraźniej pan uważa, że nie potrafię sama się obronić.

- Wręcz przeciwnie, to ja nie potrafię bronić się przed tak zdecydowanymi damami, jak panie Bullingdon i Linton-Harleigh.

Jeżeli zostawi mnie pani własnemu losowi, na pewno znowu mnie dopadną.

- W takim razie muszę otoczyć pana opieką, nie mam wybo ru...

Ale ostrzegam pana, że zabrałam ze sobą dużo książek do przeczytania, więc nie będę szczególnie rozmowna.

- Uwielbiam książki, zwłaszcza klasyków, Dickensa, Austen i Thackeraya - rzekł George.

- Moja matka nauczyła mnie cenić ich powieści...

Susan uniosła brwi, wyraźnie zaskoczona.

- Kiedy byłem dzieckiem, czytała mi Kubusia Puchatka i Chatkę Puchatka - ciągnął.

- Na pewno pani wie, że czytane w późniejszym wieku, smakują jeszcze lepiej...

- Podobnie jak *1001 nocy* i *Czarnoksiężnik z krainy Oz* - uzupełniła.

- Właśnie!

Bardzo lubię książki, które można interpretować

na dwóch poziomach.

777 .

Nagle przy stole za ich plecami rozległ się przeraźliwy krzyk to Miranda próbowała wstać, lecz zaraz znów opadła na krzesło, spętana płócienną serwetką, którą George przywiązał jej nogę do krzesła.

Rodzice patrzyli na nią w osłupieniu, natomiast twarz pa ni Bullingdon powlokła się krwawym rumieńcem zakłopotania, ponieważ krzyk dziewczyny zwrócił uwagę wszystkich na ich małą grupkę.

- Dobry Boże, co się stało, moje dziecko?!

- zawołał pan Linton-Harleigh z irytacją w głosie.

Miranda odęła wargi i zanurkowała pod stół.

Uwolnwszy no gę, wyłoniła się spod blatu czerwona jak burak i zagniewana.

- Nic się nie stało!

- odburknęła.

-1 nie patrz tak na mnie, ma mo, nie jestem dzieckiem!

Mijając George'a, zadarła nos wysoko do góry i rzuciła mu ob rażone spojrzenie.

- Nic nie rozumiem...

- powiedziała Susan, kiedy państwo Linton-Harleigh i Bullingdon opuścili jadalnię.

- To naprawdę nic ważnego.

- George się uśmiechnął.

- Gdy by nie pewna zbyt śmiała stopa, która zabłądziła, gdzie jej nie pro szono, nie byłoby całego tego zamieszania...

Na szczęście jeste śmy na dużym statku, więc chyba zdołam bez większego trudu uniknąć spotkań z tą panienką i wyrzucenia za burtę...

Cały dzień spędził z Susan.

Spacerowali po pokładzie, ciesząc się słońcem, odpoczywali na leżakach, popijali lemoniadę i spokojnie czytali, co jakiś czas komentując coś, co szczególnie ich rozbawiło lub zainteresowało.

Razem zjedli lunch, obgadując brygadiera Bullingdona, jego żonę oraz ich okropnych przyjaciół, którzy teraz traktowali George'a jak zdrajcę.

Wieczorem poszli popływać w ba senie, potem sączyli koktajle, obserwując, jak słońce pogrąża się w morzu, aby oświetlić kontynent leżący na drugiej półkuli.

Kilka dni później, kiedy statek zakotwiczył u wybrzeży Urug waju, matą łódką popłynęli do portu, by pochodzić po sklepach i z bliska przyjrzeć się plaży.

Piasek był tu delikatny i drobny, zu pełni niepodobny do tego na plażach Devonu.

- Pięknie, prawda?

- odezwał się George, patrząc na szafirowe

12R

niebo, jaśniejące słońcem.

- Powoli zapominam, jak wyglądają an gielskie szare chmury i wieczna zimowa mżawka...

- Najcudowniejszy jest zapach morza - zauważyła Susan.

- Gęsty i słodki jak miód...

- Wychowałem się nad morzem i zawsze lubiłem ten aromat.

- Aż chce się nim oddychać - powiedziała, kładąc dłoń na sercu.

- Nad morzem zawsze czuję, że moja dusza naprawdę jest nieśmiertelna, i zaczynam się zastanawiać, jak wygląda tamten świat...

Wydaje mi się, że śmierć przypomina morze, a horyzont to tylko granica, której dosięga wzrok.

Trzeba mieć wiarę...

Lubię myśleć, że niebo jest tam, za granicą naszych zmysłów.

- Spotkamy się jeszcze?

- zapytał nagle George.

Roześmiała się z nutką pobłażania.

- Och, mój drogi...

- westchnęła lekko.

- Jutro będziemy w Buenos Aires.

- Więc najpierw dożyjemy do jutra, dobrze?

- Zapewniam cię, że dożyjemy - odparł, nie potrafiąc ukryć napięcia.

- Wiem, że tak uważasz, bo przeżyłeś wojnę.

- Ujęła jego dłoń i pogłaskała ją pieszczotliwie.

- Nie traktuj mnie jak dziecko - rzucił gniewnie.

Uśmiechnęła się, co rozdrażniło go jeszcze bardziej.

- Nie traktuję cię jak dziecko - powiedziała.

- Po prostu zadał mi pytanie, na które nie znam odpowiedzi...



Łatwiej jest nie myśleć o tych sprawach, unikać ich...

- Jesteś mężatką?

- Nie.

- Czekasz na ciebie ukochany?

- Nie.

- Nie chcesz mnie więcej widzieć?

- Zatrzymał się i cofnął rękę, obronnym gestem wkładając ją do kieszeni.

Susan przechyliła głowę na bok i zmierzyła go poważnym spojrzeniem.

- Nie wiem.

Może naszym przeznaczeniem było spotkać się na tym statku i więcej się nie zobaczyć...

Podniosła dłoń i w zamyśleniu przesunęła palcami po przeciwną policzkę bliźnię.

George głośno przełknął ślinę.

- Czy to dlatego, że uważasz mnie za niedorośłego chłopca?

- Niewątpliwie jesteś młodszy ode mnie.

- Przeszkadza ci to?

- Z wiekiem jest jak z urodą, jedno i drugie to kwestie niewy mierne, nieistotne...

- Więc w czym problem?

- Nie jestem gotowa - powiedziała ze smutkiem i potrząsnęła głową.

- Przykro mi...

Zamiast się dąsać, co z pewnością zrobiłby niedorośły chłopiec, George postarał się zachować jak mężczyzna.

Spokojnie przyjął odmowę Susan do wiadomości, świadomy, że jeśli zechce, może roztrząsać ją do końca życia, i zrobił wysiłek, aby nie okazać roz czarowania.

Przy kolacji długo rozmawiali o historii Urugwaju i Argentyny, a po posiłku wyszli na pokład i przystanęli w miej- 1 scu, gdzie się poznali.

Oparli się o burtę i zapatrzili w ciemność, I George czuł, że brakuje mu powietrza, zupełnie jakby noc pochłó- ' nęła cały tlen.

Nagle z przerażeniem pomyślał, że niedługo Susan 'i zniknie z jego życia.

- O czym myślisz?

- zapytała.

- Patrzę w pustkę - odparł, niezdolny odeprzeć znajomego po czucia straty.

- Nie umiem pogodzić się z tym, że nigdy więcej cię nie zobaczę...

- Kto wie, co jest nam pisane...

Ogarnięty pożądaniem i desperacją, gwałtownie odwrócił ją ku sobie i pocałował.

Ciało Susan napięło się i zeszywniało, ode pchnęła go z wyraźnym lękiem.

- Nie mogę...

- powiedziała drżącym głosem, podnosząc dło nie do rozpalonych policzków.

- Nie mogę...

Nic nie rozumiesz...

Jednak George dojrzał w jej oczach tęsknotę i mimo tej reakcji pocałował ją znowu.

W jego ramionach poczuła się krucha i deli katna, i po raz pierwszy przestała się bronić.

Napięcie powoli ustą piło, pozwoliła, aby przytulił ją do siebie.

Trzymał ją mocno, jak najbliżej, wiedząc, że rano muszą się rozstać.

Całował namiętnie,

głęboko.

Pachniała morzem, konwaliami i czymś słodkim, niepo wtarzalnym i niemożliwym do zapomnienia.

W końcu cofnęła się i spojrzała na niego z żalem.

- To nie był pocałunek chłopca - zakpiła niepewnie.

- Muszę już iść...

- Spędzisz ze mną noc?

- zapytał, czując, jak świat wali mu się na głowę.

- Nie.

Wracam do własnego łóżka.

- Więc to koniec?

- Nie smuć się, mój drogi.

Jesteś młody, masz przed sobą całe życie...

Można powiedzieć, że dopiero zaczynasz żyć...

- Nie mów tak!

Mam wrażenie, że wszystko się kończy...

- Dobranoc.

- Przycisnęła wargi do jego ust i pocałowała go czule.

Potem znikła.

George pragnął pobiec za nią, lecz wiedział, że wszelkie błaga nia okażą się bezskuteczne i upokarzające.

Gdyby tak postąpił, Susan straciłaby do niego szacunek.

Zapalił papierosa i zaciągnął się, chociaż gardło miał ściśnięte.

Chciało mu się płakać.

Co się ze mną dzieje, do diaska, pomyślał.

Zaledwie trzy tygodnie temu pożegnałem się z Ritą...

Ukrył twarz w dłoniach i spróbował się uspokoić, słuchając własnego oddechu i usiłując uporządkować rozbiegane myśli.

Kiedy wreszcie zapadł w niespokojny sen, koszmary wróciły, aby znowu go dręczyć.

Ciemność rozstępowała się jak mgła i George uświadamia sobie, że leci wysoko, a dookoła rozpościera się bezchmurne niebo.

Wi bracie samolotu wstrząsają jego ciałem, ryk silnika przypomina nagły bitewny okrzyk.

Maska tlenowa jest rozgrzana, więc trudno mu oddychać, ale nawet na moment nie spuszcza wzroku ze złowroziej chmury zdążających ku niemu niemieckich messerschmittów 109.

Na szczęście nie jest sam, po prawej stronie ma Lorriego, tylko gdzie podział się Tony...

George odwraca się i wi.

dzi, że Tony trzyma się nieco z tyłu, po lewej.

Sama świadomość ich obecności dodaje mu odwagi.

Pokażemy wam, dranie...

Messerschmitty wydają się ogromne i groźne, i nagle George znajduje je się w samym środku wrogiego obłoku.

Niemieckich maszyn jest tyle, że nie wie, w którą stronę się obrócić.

Ogarnia go strach, lodowate przerażenie, które zmusza do koncentracji i wbrew wszelkiej logice uspokaja.

Czasami strach działa jak orzeźwiający prysznic, myśli George.

Czeka go ciężka, krwawa bitwa.

Skup się, George, nie trać głowy...

Dobiegający przez radio głos ostrzega przed samolotami nieprzyjaciela, które są wszędzie.

Uważaj, ostrzega radiotelegrafista, masz osiem maszyn na szóstej, uważaj, schodzą ku tobie, uciekaj, na miłość boską!

George opiera palec na spuście, zwiększa szybkość, jest skupiony, całkowicie spokojny, jak nigdy.

Wzrokiem szuka celu.

Pod sobą ma kilka dornierów.

Rozgląda się.

Wokół niego szaleje walka, spitfire'y giną w chmurze niemieckich maszyn.

George schodzi niżej, ani na chwilę nie traci z oczu jednego z dornierów.

Dookoła gwizdzą pociski, lecz nic nie jest w stanie go zdekoncentrować.

Dostanę cię, bandyto, jeszcze pożałujesz...

Naciska spust i strzela.

Mam cię...

Dornier pi kuje, ciągnąc za sobą gęstą smugę czarnego dymu.

George nie ma czasu patrzeć, jak maszyna wali się prosto w morze, ani zastana wiać się, kto będzie opłakiwał jego wroga.

Dostrzega heinkla i grzmi w niego krótkimi seriami, ale wróg odwraca się i ucieka w stronę morza.

George siedzi mu na ogonie, świadomy, że odda lają się z pola bitwy, tylko we dwóch, co znaczy, że jeden z pew nością zginie.

Pot spływa mu po czole i dostaje się do oczu, jest mu gorąco, serce wali jak oszalałe.

Morze połyskuje w świetle wczesnego wieczoru.

Wygląda tak cudownie, że George przez dłu gą chwilę nie może oderwać od niego oczu.

Miejsce wiecznego spoczynku tylu dzielnych, pełnych poświęcenia ludzi...

Heinkel jest pod nim, więc George ma nad nim przewagę i szybko scho dzi w dół, gotowy do ataku.

Zwalnia, podchodzi Niemca od pra wej, uderza w niego jedną serią po drugiej.

Heinkel dostał, spod prawego skrzydła wydobywa się czarny dym.

Jestem w tym na prawdę dobry, triumfalnie myśli George, lecz w tej samej chwili wyczuwa, że reaguje zbyt wolno, że nie zdąży uniknąć kontrata ku, i w tej samej sekundzie słyszy stukot kuł o metal.

Trafił mnie,

do cholery!

Natychmiast orientuje się, że na szczęście dostał tyl ko w skrzydło.

Ogarnia go uczucie ulgi.

Było blisko...

Podciąga drugie skrzydło do góry i strzela, tym razem długimi seriami, pe ten determinacji i zimnej furii, ani na moment nie zdejmując oczu z celu.

Niemiec odsuwa się, wymyka, podobny do śliskiego węgo rza.

George nie ma pojęcia, jakim cudem uciekł przed kulami.

Na gle traci wroga z pola widzenia.

Rozgląda się nerwowo, z uczuciem dziwnego napięcia i oczekiwania.

Widzi, że tuż za nim leci messerschmitt.

Skąd on się tam wziął?

George zwiększa prędkość, rzuca się do ucieczki.

Zatacza pętle, raz w jedną, raz w drugą stro nę, wszystko, byle tylko nie lecieć prosto przed siebie.

Wie, że sta nowi trudny cel.

Nagle widzi, jak za boczną szybą przemyka pa smo czerwieni.

Strzały, wybuch, zapach rozgrzanego metalu i własnego przerażenia...

Wreszcie uświadamia sobie, że został trafiony.

Mruga gwałtownie, żeby oczyścić oczy z powodującego ostre szczypanie potu.

W skroniach pulsuje tępy ból.

Weź się w garść, na miłość boską, myśli.

Nie jesteś jeszcze gotowy na spotkanie ze Stwórcą...

Messerschmitt zostaje w tyle, może pewny, że George lada chwila runie w dół, lecz on, ku własnemu zdumieniu, wciąż leci.

Najwyraźniej Niemiec trafił w bak z paliwem...

George wykonuje pętlę i teraz znajduje się nad wrogiem, teraz to on ściga ofiarę.

Przeklęty, arogancki drań!

George przyspiesza, bierze Niemca na cel i strzela, zużywając resztę amunicji.

Zgi niesz, nawet gdybym ja miał umrzeć razem z tobą, krzyczy.

Strze la jak oszalały, nie zdejmuje palca ze spustu.

Szary dym bucha spod pokrywy niemieckiej maszyny, śmigło zwalnia, samolot ob niza lot, spada...

George widzi, jak morze pożera go z jednym liż nięciem wielkiego jęzora białej piany.

Wreszcie spokój...

George rozgląda się dookoła.

Jest zupełnie sam.

Serce powoli przestaje galopować, więc George rozluźnia zaciski tlenowej maski.

Trafili go, ale jakoś dotrze do domu, chociaż mało brakowało...

Niespo dziewanie ogarnia go wielka fala osamotnienia.

Gdzie się wszyscy podziali?

Daleko przed sobą widzi poszarpaną linię brzegową.

Szuka wzrokiem samolotów, ale w pobliżu nie ma żadnego.

Gdzie s^ Lorrie i Tony?

George wie, że nie przeżyli, czuje to.

Został sam.

Zupełnie sam.



## Rozdział dziesiąty

Obudził się zlany potem.

Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi, całe ciało drżało ze strachu.

Dopiero po dłuższej chwili otrząsnął się z pełnego przerażenia snu i przypomniał sobie, że znajduje się na pokładzie "Fortuny" i płynie do Argentyny.

Za raz potem pomyślał o Susan i poczuł się jeszcze bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Kiedy ubierał się, czuł cichnące wibracje silników.

Statek wchodził do portu w Buenos Aires.

George wypadł na korytarz i popędził na pokład, mając nadzieję, że zdarzy się jakiś cud, dzięki któremu zobaczy schodzącą z pokładu Susan.

Oparty o burtę patrzył, jak strumień pasażerów niespiesznie spływa na ląd.

Wzrokiem wciąż szukał jasnych jak promień księżycy włosów, związanych w elegancki kok.

W porcie kręciło się mnóstwo urzędników w służbowych uniformach, lecz w przeciwieństwie do Anglii tu panowała atmosfera ogólnego rozluźnienia i spokoju.

Było jeszcze wczesnie, ale słońce mocno grzało.

W końcu zdał sobie sprawę, że wszyscy wysiadający w Buenos Aires zeszli ze statku, i z rezygnacją pomyślał, że Susan także jest już w porcie, a może nawet w mieście.

Wrócił do kabiny i wrzucił rzeczy do torby.

Gdy znalazł list, który napisał do Rity, i srebrny wisiołek, zawahał się.

Z namysłem obracał w palcach ozdobę,

wreszcie położył ją na samym wierzchu i zamknął torbę.

Schodząc ze statku, uświadomił sobie, że nie ma nawet żadnej pamiątki po Susan - żadnego zdjęcia, listu czy jakiegokolwiek drobiazgu, który pozwoliłby mu lepiej zapamiętać ich spotkanie i rozstanie.

Po prostu nic, jakby dni, które spędzili razem, tylko mu się przyśniły.

Buenos Aires okazało się pachnącym, romantycznym miastem.

George wyobrażał sobie Susan siedzącą w małych kafejkach, pod fioletowymi drzewami jacarandy, które rozkwitały tak samo gwałtownie jak jego kruche serce, spacerującą szerokimi alejami, wracającą do jakiegoś hotelu, mieszczącego się w jednej z niezliczonych pięknych kamienic w paryskim stylu, o wysokich, spadzistych dachach i bogato zdobionych fasadach.

Miał sporo czasu do odjazdu pociągu do Cordoby, poszedł więc na plac, wysadzany kwitnącymi drzewami, gdzie powietrze przesycone było uderzającym do głowy zapachem gardenii, a ptaki za nosiły się śpiewem.

Przy pięknej fontannie nie było nikogo.

Delikatny szmer wo dy koił skołataną duszę George'a, który dopiero teraz mógł zacząć cieszyć się zmianą scenerii i obietnicą nowości, jaką kusił go ten kraj.

Zjadł lunch w restauracji La Recoleta, przy stoliku pod żyłastymi gałęziami kuczukowców.

Po drugiej stronie ulicy ciągnął się cmentarny mur; przy bramie stał stragan z kwiatami i zapach wiosny mieszał się z aromatem pieczonego mięsa i oparami ben zyny.

George zamówił argentyńską wołowinę, stek, który ledwo mieścił się na wielkim talerzu, niezwykle soczysty i smaczny.

Na pił się wina, pozwalając, aby stępiło poczucie odrzucenia, które wciąż kąsało jego serce, i z rozleniwieniem przyglądał się toczą cemu się wokół życia.

Przybył do nietkniętego przez wojnę kraju.

Ludzie przesiady wali w słońcu, sącząc koktajle, rozmawiając i jedząc przysmaki, które w Wielkiej Brytanii od dawna były rzadkością.

Nagle ogarnęło go uczucie miłego zadowolenia, że stanowi część tego wolnego, beztrudnego świata.

Zrozumiał, że tutaj będzie mu łatwiej zapomnieć, strząsnąć z siebie pęta zimy i wpuścić do serca wiosnę.

Starł się myśleć o Ricie, ale zamiast jej twarzy wyobraźnia wciąż .

podsuwała mu twarz Susan.

Był zbyt rozgrzany winem, aby z tym walczyć, więc wspominał ją z tęsknotą i żalem.

Wstrząsnął nim dreszcz, kiedy niespodziewanie uświadomił sobie, że gdyby na prawdę kochał Ritę, ożeniłby się z nią i zabrał ze sobą do Argen tyny.

Pomyślał, że Rita jest nieodłącznie związana z Frognał Point i jego przeszłością, i właśnie dlatego od niej ucieka.

Ta myśl głęboko go zaniepokoiła.

Kochał przecież Ritę od wie lu, wielu lat, poza tym Susan odeszła na zawsze...

Zapłacił za po siłek i taksówką pojechał na dworzec Retiro.

Taksówkarz, wesoły mężczyzna z wielkim brzuchem, okazał się pełnym zapału patrio tą - wewnątrz wozu zdobyły małe białe-niebieskie argentyńskie flagi, powitykane we wszystkie możliwe miejsca.

Fakt, że George nie zna hiszpańskiego, trochę go rozczarował, ale i tak gadał bez przerwy, pewny, że młody cudzoziemiec zrozumie, o co mu cho dzi.

George pozwolił mu mówić.

Kiwał głową i co jakiś czas, w za leżności od tonu głosu mężczyzny, odpowiadał si albo no.

Po przy byciu na dworzec z rozbawieniem spostrzegł, że budynek jest wierną kopią londyńskiej stacji Waterloo; nawet ozdobne kraty przy kasach były takie same.

Ogarnęła go fala nostalgii, gdy przy pomniał sobie pociągi, którymi na początku wojny często jeździł do domu na przepustkę.

Bez trudu znalazł miejsce w jadącym do Cordoby pociągu Rayo del Soi.

Czuł się trochę dziwnie - wyglądał przez niezastłonięte za ciemniającą tkaniną okna, siedział wygodnie w prawie pustym przedziale...

Poza nim była tu tylko kobieta o opalanej na brąz twarzy, na której ramieniu drzemała kolorowa papuga.

Dość dłu go obserwował miasto - w miarę oddalania się od centrum domy stawały się coraz uboższe i bardziej zaniedbane - potem zaś zapadł w drzemkę.

Kiedy się obudził, za oknami w miejsce betonowej miejskiej pustyni pojawiły się rozległe pola.

Jechali przez pampę.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągała się płaska, porośnięta trawą równina, z rzadka urozmaicona kępa mi drzew.

Tu i ówdzie pyszniły się potężne drzewa ombu, przysa dziste, lecz majestatyczne i dostojne jak władcy pampy.

W pobliżu domostw pasły się stada kuców o lśniącej sierści koloru ciemnego miodu.

Koniki leniwie podrzucały łbami, zbyt zmęczone upałem, aby klusować po łące.

Pociąg mijał niewielkie miasta

i ogromne pola, obsiane kukurydzą, pszenicą i słonecznikami.

Niebo tworzyło nieogarnioną kopułę nad polami i chwilami można było odnieść wrażenie, że ziemia usunęła się gdzieś w głąb, od staniając niebieską bramę, a pierzaste obłoki przypominały anielskie rydwany.

Zatrzymywali się na staroświeckich stacyjkach, które George'owi przywodziły na myśl ojczyznę.

Siedząca naprzeciwko niego dama zasnęła, nieświadoma, że jej papuga, która pod czujnym okiem swej pani zachowywała się idealnie, teraz, korzy stając z okazji, zaczęła skakać po całym przedziale.

Czepiała się pazurami obicia siedzeń, dreptała po półkach i złaźła z nich.

George przyglądał się jej z zainteresowaniem, żałując, że nie ma

jej czym poczęstować.

Kolację zjadł sam, wspominając ostatni wieczór, spędzony z Susan na pokładzie "Fortuny", sposób, w jaki się uśmiechała, straszna blizna na policzku, która jemu wydawała się tak droga, i chłodne niebieskie oczy, łagodniejące na jego widok.

Z trudem przypominał sobie, o czym rozmawiali, lecz dokładnie pamiętał twarz, sylwetkę i zapach, słodki zapach konwalii połączony z jej własnym, niepowtarzalnym aromatem.

Nie pragnął towarzystwa, wolał być sam na sam ze swoimi myślami.

Po kolacji poszedł do przedziału sypialnego, który miał tylko dla siebie.

Chciało mu się spać, lecz pasażer w sąsiedniej kabinie chrapał tak głośno, że nie mógł zasnąć.

Wczesnym rankiem, po niespokojnej nocy odkrył, że sprawczynią jego udręki była właścicielka papugi.

Krajobraz za oknem wreszcie się zmienił - na równinie pojały się wzgórza, podobne do gigantycznych fal, uderzających o plażę.

George przypomniał sobie, jak Susan opowiadała mu, że w tych górach mieszkają kondory, węże i pumy, roślinność jest tu bogata, a w okolicy nie brak historycznych pamiątek, ponieważ liczne kolonialne klasztory i kościoły stanowią dziedzictwo niegdysiejszej kwitnącej jezuickiej kultury.

W końcu pociąg zatrzymał się na dworcu w Cordobie.

George z przyjemnością wysiadł, rozprostował nogi i schronił się w cień pod ozdobnym daszkiem.

- George, czy to ty?

Odwrócił się i ujrzał zmierzającą ku niemu tęgawą kobietę o zdecydowanym wyrazie twarzy.

- Ależ tak, na Boga!

Trudno mi przyjąć do wiadomości, że je steś dorosłym mężczyzną!

Twarz ciotki Agathy była poorana zmarszczkami i brązowa jak stara skórzana podeszwa.

Wyciągnęła ramiona i mocno przytuliła George'a do siebie, otaczając go chmurą mocnych perfum.

- Carlos, traiga el equipaje, por favor - poleciła chuderlawemu wyrostkowi, który niepewnie szedł parę kroków za nią.

Nawet George, który prawie zupełnie nie znał hiszpańskiego, zorientował się, że ciotka mówi z fatalnym akcentem;

- Tak się cieszę, że wreszcie znowu się spotykamy!

Cóż, kie dy wyszłam za Jose Antonia, byłeś małym chłopcem...

Pewno mnie nie pamiętasz, ale ja doskonale pamiętam ciebie.

Och, tak, dorosteś, lecz wciąż masz ten sam łobuzerski wyraz twarzy!

- Agatha wsunęła dłoń pod ramię George'a i wyprowadziła go na słońce.

- Gorąco, prawda?

Cudownie!

Założę się, że nigdy w ży ciu nie miałeś okazji wygrzewać się w takim słońcu!

A Faye nie może zrozumieć, dlaczego przez piętnaście lat moja noga nie po stała w Anglii...

Teraz sam jej to wytłumaczysz, co?

Jak się czu je Faye?

George rzeczywiście nie pamiętał ciotki Agathy, a kiedy matka mówiła o niej, zwykle po prostu się wyłączał.

Przez jedną strasz ną chwilę zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając do niej.

Może byłoby lepiej, gdyby został w Buenos Aires i poszukał Susan...

- Mama czuje się doskonale.

Rzeźbi, zajmuje się ojcem i do mem - odparł, nagle bardzo zmęczony.

- Świetnie!

Trees na pewno żywi całą okolicę, prawda?

A jak tam Alice?

Nie wątpię, że cierpliwie czeka na powrót Geoffreya z Francji...

To nie powinno długo potrwać, wojna na szczęście już się skończyła, Bogu niech będą dzięki...

Wszyscy mamy za sobą straszne chwile, ale wy, Europejczycy, ucierpieliście szczerze gólnie...

Faye pisała do mnie wspaniałe listy, stąd wiem, że je steś prawdziwym bohaterem.

Jestem z ciebie bardzo dumna, mój drogi, opowiadam o tobie wszystkim przyjaciołom i znajomym.

Dzielny lotnik, obrońca naszego kraju...

Musiałeś się świetnie bawić, co?

George nie miał dość energii, aby zaprzeczyć.

Agatha zajęła miejsce z przodu osłoniętego płóciennym daszkiem, a towarzyszący jej chłopak załadował bagaż i wsadził na tylne siedzenie.

- Od Jesus Maria dzieli nas tylko godzina drogi, to naprawdę blisko - rzuciła, z zadowoleniem poklepując George'a po udzie.

- A teraz opowiesz mi o Ricie.

Kiedy do nas przyjedzie?

- Nie przyjedzie, ciociu.

Nie jesteśmy małżeństwem, to nie by łyby stosowne...

- Och, co za bzdury!

- Poza tym jestem jeszcze za młody, żeby założyć rodzinę.

- Jose Antonio był w twoim wieku, kiedy się pobraliśmy, ja je stem trochę starsza od niego.

Zawsze lubił starsze kobiety.

George spojrział na nią z zaciekawieniem.

- O ile jesteś starsza?

- Chyba o pięć lat...

Jose nadal wygląda jak młodziak, a ja jak stara wiedźma.

Argentyńskie słońce niszczy i wysusza skórę, ale mówi się trudno, mnie to nie przeszkadza.

Faye od początku by ła tą ładniejszą, natomiast ja mogę się poszczycić silną osobowością...

Patrząc na jej zdecydowanie zarysowany profil, George nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Ciotka Agatha była niska, krępa i mocno zbudowana, podobna do małego czołgu.

Miała solidne przeguby dłoni, równie solidne kostki nóg i sporą nadwagę.

- Więc zostawiłeś tę biedną dziewczynę w Anglii, gdzie na pewno usycha z tęsknoty za tobą!

- Agatha parsknęła gardłowym śmiechem.

- Brutal z ciebie, mój drogi!

- Prosiłem ją, żeby jechała ze mną, ale nie chciała.

Rita kocha Frogal Point i nie wyobrażam sobie, aby kiedykolwiek zdecydowała się opuścić to miejsce.

Za rok wrócę do Anglii i wtedy weź miemy ślub.

Agatha chrząknęła znacząco.

- Nie bądź śmieszny!

Nie ożenisz się z Ritą, dla mnie to oczywiste.

Trafiliście na niewłaściwy moment, rozumiesz?

Gdybyś był trochę starszy, powiedziałabym, że macie jakąś szansę, ale ty rzeczywiście jesteś bardzo młody.

Zakochasz się tutaj, zobaczysz, ArBcnytki słyną z urody i kobiecego wdzięku.

Nie mam zielonego Pojęcia, dlaczego Jose Antonio wybrał właśnie mnie, kiedy mógł .



mieć każdą z pięknych dziewczyn, które kręciły się koło niego...

Na chwilę zawiesiła głos.

- Nie wyobrażaj sobie, że żyjemy tu jak na odludziu - podjęła.

- Często jeżdżę do Buenos Aires, nasi przy-;

jaciele lubią nas odwiedzać, niektórzy zatrzymują się na dłużej, nawet na parę miesięcy.

Jesus Maria cieszy się dużą popularnością, mieszka tam mnóstwo miłych ludzi.

Musisz się nauczyć hiszpańskiego, wiesz?

Postaram się, żeby ktoś z miasta dawał ci lekcje.

Wieczorem Jose Antonio pokaże ci całą farmę.

Mam nadzieję, że<sup>^</sup> jeździsz konno?

George kiwnął głową.

- Doskonale, bo tutaj prawie nie schodzi się z końskiego i grzbietu.

Polne drogi są nieprzejezdne, trudno jest dotrzeć samo-<sup>J</sup> chodem, ponieważ w okresie opadów ziemia rozmięka, staje się podobna do gąbki.

Latem pada tu prawie codziennie, dlatego jest j tak zielono.

Podobno klimat w Argentynie jest mniej więcej taki j jak w Hiszpanii, ale ja nigdy tam nie byłam.

Dzieci od razu cię i polubią, jestem tego pewna.

Będziesz dla nich bohaterem, który j w czasie wojny walczył z Niemcami w powietrzu.

Mówiłam im o tobie...

,

George tylko jednym uchem słuchał gadaniny ciotki Agathy.

Opowiadała mu o swoich dzieciach, o szkołach w Jesus Maria,;

o możliwościach wykształcenia w Buenos Aires i planach na przyszłość dzieci, jakie snuła razem z mężem.

George z poczucia obo- \ wiązku zaczął myśleć o Ricie - dręczyły go wyrzuty sumienia, że w czasie podróży tak rzadko ją wspominał.

Obiecał sobie, że jak najszybciej wyśle list i wisiorek.

Nagle wyobraził sobie ukochaną dziewczynę, stojącą na szczycie klifu i z tęsknotą czekającą na jego powrót, i jego serce ścisnęło współczucie.

;

Samochód zjechał w końcu z szosy i potoczył się polną drogą, ;

która wydawała się ciągnąć bez końca.

Ford podskakiwał na wy- i bojach, wzbijając chmury kurzu, a słońce paliło coraz mocniej, i W przeciwieństwie do pampy Cordoba zachwycała bujną, zieloną .

roślinnością i łagodnymi wzgórzami.

George'owi wciąż burczało ;

w brzuchu, ponieważ nie zjadł śniadania.

Po półgodzinnej podró- S ży skręcili wreszcie na podjazd obsadzony drzewami.

- No, jesteśmy - powiedziała Agatha.

- Witaj na ranczu Las ;

DOS Yizcachas, czyli Dwa Zające, mój drogi...

140

George wyprostował się i z zainteresowaniem popatrzył dookoła.

Agatha zwolniła, żeby siostrzeniec mógł spokojnie przyjrzeć się pięknemu domowi.

Była bardzo dumna z Las DOS Vizcachas i prowadziła gospodarstwo z wojskową dokładnością i sprawnością.

Oczywiście, George nie był w stanie w pełni docenić pracy, jaką włożyła w dom i całe ranczo od czasu, gdy przybyła do Argentyny jako żona Jose Antonia, ale i tak był pod dużym wrażeniem.

Dom stał na końcu cienistego podjazdu, solidny i mocno zbudowany jak jego pani.

Pomalowany na biało, obejmował dziedzińca dwoma skrzydłami, zakończonymi dwiema wieżami.

Okna przesłaniały zielone kraty, mające odstraszyć niepożądanych gości, i przymknięte o tej porze dnia okiennice, które chroniły wnętrze przed upałem.

Z tyłu znajdowała się duża weranda, z której rozciągał się piękny widok na ozdobny staw i faliste wzgórze.

Na kwietnikach pyszniły się olśniewające gardenie i bugenwille, drzewa eukaliptusowe szeleściły na lekkim wietrze i nasycaly powietrze zapachem kamfory, co natychmiast przypomniało George'owi Maltę.

Carlos wniósł jego torbę do środka, po drodze bezlitośnie zbeszany przez kobietę o ostrym, wrzaskliwym głosie.

Wyrzucała z siebie słowa jak pociski, unosząc ręce do góry i wymachując nimi z zapalem.

- To Dolores - wyjaśniła Agatha.

- Jak widzisz, nie jest w stanie opanować wybuchów złości.

Zastałam ją tutaj, kiedy przyjeżdżałam do Argentyny, i nie udało mi się jej pozbyć.

Trzeba ją to tolerować tak, jak toleruje się starą krewną.

- Czym się zajmuje?

- zapytał George, wchodząc za ciotką do domu.

- Jest służącą.

Gotuje, ale ma zbyt wysokie pojęcie o sobie, aby sprzątać, więc to zadanie zleciłam Agustinie.

Agustina jest młodszą, sprawniejszą, a przy tym łagodną i posłuszną jak krowa, Bo gu dzięki...

Kolonialny wystrój domu zdradzał pochodzenie Agathy, główki na poprzek wiszące na ścianach, obrazy i obecność dwóch dużych PSÓW, wylegujących się na chłodnych kafkach podłogi w holu.

Le dwie otworzyły oczy, chociaż George musiał przejść nad nimi, co

świadczyło, że ich zadaniem nie jest bynajmniej obrona domu przed obcymi.

,

- Skundlone dogi, pożałuj się Boże - powiedziała ciotka Agathą.

i Nazywają się Bertie i Wooster.

Na dźwięk swoich imion psy radośnie uderzyły ogonami o podłogę.

George poszedł za Agathą ciemnym korytarzem, na którego końcu znajdowała się jego sypialnia.

- Pomyślałam, że ten pokój ci się spodoba, bo okna wychodzą na park.

Poza tym my zajmujemy przeciwległe skrzydło, więc nikomu nie będzie ci tu przeszkadzało w odpoczynku.

George nie krył zachwytu dużym, chłodnym pokojem z podłogą z dębowych desek, białymi ścianami i wielkim metalowym łóżkiem, niewątpliwie sprowadzonym z Anglii.

Światło wpadało do środka przez wysokie, szeroko otwarte okno, okiennice były odsunięte, Iniane zasłony poruszały się na wietrze.

Długą chwilę po chwili dziwił widok, czując, jak świeże, przesycone słodkim zapachem,

powietrze i dźwięczny śpiew ptaków powoli przywracają mu siły.

- Kiedy będziesz gotowy, przyjdź do mnie na taras - uśmiechnęła się Agathą.

- Na pewno jesteś głodny i spragniony, więc każę coś przygotować...

Zanim wyszła z pokoju, George rozpiął torbę.

- Mam list do wysłania - powiedział, wyjmując kopertę i mały pakunek.

- Do Rity..

^ Agathą lekko uniosła brwi.

- Dopilnuję, żeby przesyłka jutro dotarła na pocztę - oznajmił w tonie, który wskazywał, że bez trudu radzi sobie z wszelkimi problemami, własnymi i cudzymi.

- Brudne rzeczy wrzucaj do tego kosza, dobrze?

Agustina wypierze je, wyprasuje i przyniesie ci następnego dnia rano.

George rozpakował torbę, wykąpał się, ogolił i ubrał w cienkie spodnie i koszulę z krótkim rękawem.

Spryskał twarz i szyję wodą kolońską, a potem poszedł na taras.

Agathą stała pod daszkiem, zajęta rozmową z jednym z ogrodników, z rękami opartymi na biodrach, na lekko rozstawionych nogach.

Jej sylwetka i postawa natychmiast skojarzyły się George'owi z portretem króla Henryka VIII - ani przez chwilę nie wątpił, że ciotka potrafi wzbudzić

w ludziach nie mniejszy respekt niż ten sławny władca.

Ogrodnik słuchał jej z pochyloną z szacunkiem głową.

Na widok George'a Agathą odprawiła mężczyznę krótkim gestem, nie siląc się na uprzejmości, i odwróciła się do niego plecami.

Służący odszedł, szurając znoszonymi sandałami i ocierając pot z czoła brudną chusteczką do nosa.

- To Gonzalo - powiedziała Agathą, siadając przy okrągłym stole.

- Silny i głupi jak wół.

Napijesz się lemoniady?

Napełniła szklanek napojem, który George z przyjemnością wypił do dna.

Agathą mówiła dalej, wymawiając słowa z arystokra tyczną manierą, prawie bez otwierania ust.

George pomyślał, że byłaby doskonałym oficerem.

- Kiedy tu przyjechałam, w ogóle nie mówiłam po hiszpańsku, a ten majątek był ruiną.

Jose Antonio wychował się tutaj.

Dom zbudował jego dziadek.

Jose Antonio mieszkał kiedyś w Las Dos Vizcachas ze swoimi rodzicami, dziadkami i dwiema siostrami.

Potem dziadkowie i jego ojciec umarli, a siostry wyjechały.

Jedna wyszła za Meksykanina, druga mieszka na południu kraju...

- Co stało się z matką?

- zapytał George, chociaż nie był szczególnie zainteresowany historią rodziny Jose Antonia.

- Mieszka w Buenos Aires, jest kompletną wariatką.

Nigdy do nas nie przyjeżdża, bo twierdzi, że źle znosi podróże.

Nie mogę powiedzieć, żeby było mi z tego powodu bardzo przykro, bo na prawdę trudno się z nią dogadać.

- Zrobiłaś prawdziwy raj z tego rancza - zauważył George.

Agathą uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Nie było to łatwe.

Uważali mnie za obcą, nie znałam języka, Jose Antonio był bez grosza, bo jego głupia rodzina straciła do słownie wszystko.

Miałam trochę pieniędzy i to wystarczyło, by wyrwać ranczo ze stanu stagnacji i zaniedbania.

Niewiele wiedzia łam o uprawie ziemi i hodowli zwierząt, wszystkiego musiałam uczyć się na własnych błędach.

Teraz powodzi nam się nie najgo rzej.

Żyjemy z ziemi, a siła robocza jest tu tania, sam się zorientujesz.

Jesteśmy samowystarczalni, mamy własne mięso, nabiał i warzywa.

Chodź, oprowadzę cię dookoła domu.

Weź ze sobą szklankę z lemoniadą...

Powoli poszli nad staw, gdzie w trzcinach gnieździły się ptaki.

id-: .

Po drugiej stronie, za idealnie utrzymanym parkiem, rozciągało się pusty, teren, gdzie gauczowie zajmowali się końmi.

W cieniu rozłożystych gałęzi drzewa ombu odpoczywało kilka brązowych kucyków.

Ciemnoskóry chłopak, ubrany tylko w spodnie, siedział oparty o pień, czyszcząc siodło i uzdę, a drugi, znacznie starszy mężczyzna, stał przy płocie, przez bogato zdobioną srebrną rurkę sącząc z tykwy matę, tradycyjną południowoamerykańską herbatę ziołową.

Parę chudych jak szkielety psów obwąchiwało ziemię przy stanowisku z wielkich bel, gdzie poprzedniego wieczoru pieczono mięso na barbecue.

Nikt nie zwracał na nie uwagi.

Na widok pani gauczowie stanęli w postawie pełnej szacunku i pochyliłi głowy.

George zaczął się zastanawiać, jaki jest Jose Antonio i czy przypadkiem to nie ciotka Agatha nosi spodnie w tym stylu.

Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie dobre rzeczy, dziejące się na ranchu, Agatha przypisuje wyłącznie sobie.

- Po południu Jose Antonio zabierze cię na przejażdżkę - powiedziała.

- Na pewno zechce pokazać ci farmę.

Myślę, że powinieneś odpocząć jakieś dwa, trzy dni, przywyknąć do Las Dos Vizcachas i dopiero po weekendzie zabrać się do pracy.

Jose Antonio z radością przyjmie twoją pomoc, ale najpierw odetchnij trochę, mój drogi.

W towarzystwie ciotki Agathy George nie miał czasu ani chwili, żeby myśleć o Susan czy Ricie.

Agatha mówiła bez przezwyciężenia, często kończąc zdania krótkimi pytaniami, nie mógł więc pozwolić sobie na roztrągnięcie.

Szybko doszedł do wniosku, że właściwie powinien się z tego cieszyć.

Dobrze mu zrobi, jeżeli na jakiś czas zapomni o obu kobietach i skoncentruje się na życiu w nowym kraju.

Po krótkiej przechadzce znowu usiedli przy nakrytym dołunchu stole na werandzie.

Z kuchni płynął zapach pieczonego mięsa.

George'owi zaczęło burczeć w brzuchu z głodu, z trudem po wstrzymywał się, aby nie złapać jednej z leżących w koszyku świeżych bułeczek.

W końcu, kiedy miał już wrażenie, że zaraz straci przytomność, w holu rozległ się grzmiący głos Jose Antonia.

- Gorda, czuję zapach jedzenia!

Siadajmy do stołu!

^

Rozdział jedenasty

Jose Antonio był bardzo wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o wydatnym brzuchu i gęstych, kręconych czarnych włosach.

Kiedy zobaczył George'a, jego twarz rozjaśnił serdeczny uśmiech.

- Witaj w Las DOS Vizcachas, George!

- zawołał.

Mówił po angielsku płynnie, chociaż z wyraźnym argentyńskim akcentem.

Mocno poklepał George'a po plecach i zaśmiał się

głośno.

- Agatha na pewno pokazała ci już dom - powiedział.

- Jest z niego bardzo dumna.

- Tak, to naprawdę piękne miejsce.

- George z podziwem patrzył na emanującego magnetyzmem mężczyznę.

- Cieszę się, że podoba ci się u nas, i mam nadzieję, że będziesz się tu czuł jak w domu.

- Jose Antonio przeniósł spojrzenie ciemnobrązowych oczu na żonę.

- Bierzmy się do jedzenia, Moi drodzy!

Agatha potrząsnęła małym srebrnym dzwoneczkiem, umieszczonym na stole obok jej nakrycia, i po chwili na werandę wyszła Agustina, niosąc duży półmisek z pieczenia, ziemniakami i sałatką. Z kuchni dobiegł ostry, jazgotliwy głos.

Jose Antonio zaśmiał się

cicho i pokręcił głową, nalewając sobie czerwonego wina.



- Widzę, że Dolores znowu wkroczyła na ścieżkę wojenną - powiedział, podnosząc kieliszek w geście toastu.

- A ty myślałeś, że wojna już się skończyła...

- Dolores jest dzisiaj w wyjątkowo paskudnym nastroju - rzekła Agatha.

- Muszę przyznać, że w ciągu kilkunastu lat, które tu spędziłam, tylko raz widziałam jej uśmiech...

George nałożył sobie na talerz sporą porcję i ukroił kawałek mięsa.

Było pyszne, podobnie jak sałata i ziemniaki.

- Podobno ludzie upodabniają się do swoich imion - zauważył Jose Antonio.

- Dolores znaczy "ból", "cierpienie".

- Przecież nasza Dolores nie doznaje cierpienia!

- oburzyła się Agatha.

- Nie, Gorda, nie doznaje cierpienia, za to obdarza cierpieniem wszystkich dookoła!

- Jose Antonio ryknął gromkim śmiechem.

!

- Chyba masz rację, jeśli chodzi o upodabnianie się do imion, bo odkąd zaczęłaś nazywać mnie Gorda, ciągle tyję - Agatha uśmiechnęła się i odwróciła do George'a.

- Gorda to znaczy tłu-1 sta.

George chciał zapewnić ciotkę, że nie jest gruba, ale obawiał się, że wypadnie to głupio.

- Jesteś postawną, dobrze zbudowaną kobietą, ciociu - powie dział.

- I dobrze się składa, bo trzeba niemałej siły, aby prowadzić to gospodarstwo - Agatha się roześmiała.

- Jose Antonio żyje jak król.

,

Była to absolutna prawda - Jose Antonio był obsługiwany przez służbę, żonę i nawet Dolores, która znała go od dziecka.

George ze zdziwieniem dostrzegł, że w obecności męża Agatha stara się panować nad swoją wrodzoną porywcznością i skłonnością do do- \ minacji.

Przy Jose Antonio gadała dużo mniej i śmiała się ze wszystkich jego dowcipów, niezależnie od tego, jak bardzo były kulawe.

Nie ulegało wątpliwości, że pod względem inteligencji i sprytu znacznie przewyższa męża.

Była też niezwykle pracowita i energiczna, natomiast Jose Antonio nie miał pojęcia, jak wiel-

kiego wysiłku wymaga prowadzenie domu i gospodarstwa. ' Wszystko było tak, jak chciał i lubił.

Posiłki podawano punktual-;

nie, jedzenie było zawsze świeże i smaczne, konie przygotowanej

i zadbane przez świetnie zorganizowanych gaulców.

Wszyscy pracowali spokojnie i sprawnie, dokładając starań, aby Jose Antonio widział tylko doskonałe rezultaty, a nie spływający po ich czołach pot.

Na gości zawsze czekały pachnące czystością pokoje, świeża pościel, kwiaty w wazonach i wysprzątane łazienki.

Jose Antonio przyjmował ich serdecznie i ciepło, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, aby podziękować żonie za to, że tak wspaniale zajmuje się domem.

Tylko Dolores wrzeszczała i narzekała, nie zwracając na nikogo uwagi, lecz Jose Antonio tolerował jej zachowanie, po nieważ stanowiła nieodłączną część jego codzienności.

Krzyczała zresztą na niego i innych od lat, więc zdążył do tego przywyknąć.

Po lunchu Jose Antonio urządzał sobie sjęstę.

Czasami zapadał w drzemkę, kiedy indziej jechał do miasta i składał wizytę swojej kochance, Molinie.

Zwykle parę chwil figlował z nią w łóżku, a potem zasypiał na jej dużych, miękkich piersiach.

W przeciwnieństwie do Agathy Molina była młoda i szczupła, o skórze ko lor jasnego karmelu.

Jose Antonio miał szczególną słabość do jej pupy, pulchnej i krągłej jak wielka brzoskwinia.

W dniu przyjazdu George'a czuł się jednak zbyt zmęczony na igraszki z kochanką - popisywanie się przed gościem wymagało spożycia sporej ilości wina, a po winie Jose Antonio robił się śpiący, więc padł na łóżko i przespał dwie godziny, śniąc o jędrnych poślądkach Moliny.

George zdrzemnął się w należącem do dzieci hamaku.

Było bardzo gorąco, poprzedniej nocy prawie w ogóle nie spał.

Na szczęście sypialnia Jose Antonia znajdowała się w wieży po drugiej stronie domu, dzięki czemu George nie słyszał jego donośnego chrapania.

Po południu George pojechał z wujem na zwiedzanie farmy.

Słońce nadal paliło, chociaż już trochę mniej dokuczliwie.

Mimo nieco obcesowego sposobu bycia wuja George dobrze czuł się w jego towarzystwie.

Jechali przez równinę, gdzie pszenica i kukurydza pokrywały pola złotem, a słoneczniki odwracały kwiaty ku niebu.

Stada brązowych krów o lśniącej zdrowiem sierści chodziły po porośniętych wysoką trawą łąkach.

Jose Antonio miał całą armię pracowników, którzy większość zadań wykonywali, siedząc w siodle.

Wszyscy nosili tradycyjne stroje gauczów - kapelusze o szerokich rondach, błyszczące ostrogi oraz szerokie spodnie, we.

tknięte w skórzane buty i obwiązane w pasie ręcznie tkanymi szar- i fami, na które nakładali ozdobne pasy, nabijane srebrnymi.!

monetami, j Jose Antonio z zainteresowaniem rozmawiał z George'em.

- La Gorda mówi, że masz w Anglii kobietę - zaczął.

- Ale po^i co komu kobieta, z którą nie można się kochać, co?

- Roześmiał!

się głośno.

- Gdybyś miał ochotę na dziwkę, to znam przyzwoite,1 czyste miejsce w mieście.

Mężczyzna musi się pieprzyć, tak samo 3 jak jeść i srać, nie?

; j

George zaniemówił, lecz Jose Antonio nawet tego nie zauważył.!

. - Żona jest potrzebna, żeby spłodzić z nią dzieci - ciągnął.

- Organizuje mężczyźnie życie i opiekuje się nim.

Dziwkę bierze się l dla przyjemności.

Gdybym miał do końca życia kochać się wy-/ łącznie z żoną, poślubiłbym Molinę, chociaż ona zupełnie się do 1 tego nie nadaje.

Każdy mężczyzna powinien mieć kobietę, którą kocha, i drugą, której pożąda, nie?

George często bez wahania wdawał się w podobne rozmowy w oficerskiej stołówce, lecz dyskusja o takich sprawach z mężem ciotki wydała mu się co najmniej niestosowna.

Jose Antonio.

utkwiał w nim nieco ironiczne spojrzenie ciemnobrązowych oczu.

- Widzę, że jesteś zakochany - rzucił.

- Zamierzam ożenić się z Ritą - odpowiedział.

Czuł się nieswojo, więc wyjął papierosa i zapalił.

- W takim razie tym bardziej potrzebujesz kobiety, żeby zaję ła ci czas.

- Jose Antonio uważał się za niepodważalny autorytet w tej dziedzinie.

- Rok to długo, a ty jesteś młody.

Kiedy byłem w twoim wieku, wykorzystywałem każdą okazję, żeby kochać się z kobietami, bo przecież im jesteś starszy, tym mniej masz energii i czasu, by to robić.

Kiedys sam się przekonasz, że tak właśnie jest...

George milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Rita musi być bardzo piękną kobietą - dodał Jose Antonio w zamyśleniu.

- Wyjątkowo piękną - przytaknął George.

Przywołał z pamięci twarz Rity i zaczął się zastanawiać, co po myślałaby o mężu jego ciotki.

Obiecał sobie, że opowie o nim w następnym liście.

- Zawsze lubiłem kobiety - podjął Jose Antonio.

- Młodym dziewczynom brak doświadczenia, przypominają zielone, niedojrzałe owoce, wystarczy jednak wystawić je na działanie słońca przyrody, a dojrzewają i stają się o wiele lepsze...

George z żalem pomyślał o Susan.

Powinien był przynajmniej poprosić ją o adres...

Świadomość, że zapewne nigdy więcej jej nie zobaczy, czyniła ją jeszcze bardziej zagadkową i intrygującą w jej oczach.

- Kobieta, która poznała świat, zwykle rzeczywiście jest bardzo atrakcyjna - zgodził się.

- Taka, która poznała świat i posmakowała zakazanego owocu - przytaknął Jose Antonio.

- Młode dziewczęta są naiwne, ufne, pełne podziwu dla mężczyzn, lecz brak im osobowości.

Zwróciłem uwagę na twoją ciotkę, ponieważ wiedziała, o co jej w życiu chodzi.

Jest silną kobietą, która potrafi poradzić sobie z każdą sprawą, i nie ma najmniejszego znaczenia, że mówi po hiszpańsku jak turystka.

- Za to ty mówisz po angielsku doskonale - zauważył George ze szczerym podziwem, zastanawiając się, kiedy i jak nauczył się

hiszpańskiego.

- Miałem angielską nianię, która wyjechała stąd, gdy skończyłem dwadzieścia lat.

Nie, nie!

- dodał szybko Jose Antonio i znów parsknął śmiechem.

- Już wcześniej nauczyłem się nie susiać w majtki, możesz być pewien!

Po powrocie do puerto zobaczyli dwoje opalonych na ciemny brąz dzieci, siedzących na płocie.

Na ich widok dzieciaki zesko czyły na ziemię i podbiegły do kuców.

Pia miała osiem lat, a Jose Antonio, dla uniknięcia nieporozumień zwany Tonito, dziesięć.

Ich ojciec zeskoczył z siodła i chwycił oboje w ramiona.

Dzieci śmiały się z zachwytu, a Pia położyła drobne dłonie na pokrytych zarostem policzkach ojca i pocałowała go.

- Poznajcie swojego kuzyna George'a - powiedział Jose Antonio.

Pia i Tonito przywarli do niego, wyraźnie onieśmieleni, patrząc na George'a ciemnymi oczami ojca.

Żadne nie było podobne do datki.

Pia zapowiadała się na olśniewającą piękność, Tonito na Prawdziwego olbrzyma.

Należeli do Argentyny w taki sam sposób,

740 .

w jaki drzewo ombu należy do pampy.

George ze zdziwieniem od- S krył, że ani jedno, ani drugie nie zna dobrze angielskiego.

Nie!

ulegało wątpliwości, że rodzice rozmawiają z nimi po hiszpańsku,;

raczej z lenistwa niż w sposób zamierzony.

;

- Vamos a casa a tomar el te - odezwał się Tonito.

Odwrócił się;

do George'a i przetłumaczył na nieco kulejący angielski.

- Czas!

na herbatę...

Podwieczorek podano na werandzie.

Na nakrytym białym ob-1 rusem stole leżały już talerzyki i sztućce.

Dzieci popijały mleko, j opowiadając rodzicom, jak upłynął im dzień w szkole.

Jose Antonio był pobłażliwy, natomiast Agatha karciała rodzeństwo za uchy- j bienia w zachowaniu, j

- Mamy gościa z Anglii, więc musimy mówić po angielsku - ' powiedział Jose Antonio, dużą dłońią mierzwiąc włosy syna.

- Po- j winniście pokazać George'owi, czego nauczyliście się w szkole.

- Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek!

- wyliczył ze śmie chem Tonito.

- Mam nadzieję, że stać was na trochę więcej!

- zawołała Agatha.

- Nie chcę!

- nadąsała się Pia, zerkając na ojca spod gęstej fi ranki czarnych rzęs.

George pomyślał, że mała wcale nie najgorzej opanowała sztukę flirtu.

- George jest lotnikiem.

- Agatha starała się zainteresować dzieci osobą siostrzeńca.

- W czasie wojny walczył z Niemcami...

- Fruwał jak ptak.

- Pia wskazała palcem niebo.

- Fruwałem jak ptak - przytaknął George z uśmiechem.

- Ale raz spadłem na ziemię, wcale nie jak ptak!

Dzieci zachichotały, wyraźnie rozumiejąc więcej, niż chciały pokazać.

- Naprawdę?

- Oczy Agathy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Tak, o mało nie zginąłem.

Uratowałem się, ale wyłącznie dzięki boskiej interwencji...

Nagle dźwięk rozbijanych naczyń i wysoki wrzask Dolores uświadomiły im, że w kuchni dzieje się coś złego.

Wszyscy zeszywnieli i nadstawili uszu, wymieniając zaskoczone spojrzenia.

Pia za chichotała nerwowo, zasłaniając usta dłonią.

Jose Antonio podniósł się, przełknął kawałek sera i membrillo, i niespiesznie ruszył wstronę drzwi.

Kiedy wszedł do kuchni, stara kobieta stała na środku po mieszczenia, grożąc nożem niewidzialnemu wrogowi.

Ubrana w czarną suknię i czarne pantofle na niskim obcasie, z włosami ściągniętymi w surowy kok przypominała rozwścieczoną wronę.

- Wynoś się stąd!

Wynoś się!

- krzyczała, nieprzytomna ze zło ści.

Na widok Jose Antonia zacisnęła usta w wąską linijkę.

- Jeże li przyszedł mnie pan zabrać, to proszę Boga, aby wybaczył mi moje czyny!

- Dlaczego miałbym cię gdzieś zabierać?

- zapytał spokojnie Jose Antonio.

- Nikt nie robi takich pysznych empanadas jak ty...

- W moim brzuchu rośnie melon - oznajmiła Dolores.

- To dlatego po mnie przyszli!



Jose Antonio zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

Był dużo wyższy i silniejszy niż Dolores, więc bez trudu mógłby wyrwać jej nóż, zorientował się jednak, że jej oczy błyszczą nie tyle wściekło ścياً, co przerażeniem.

- Kto po ciebie przyszedł?

- zapytał cierpliwie.

- Nikogo tu nie

widzę...

Stara służąca wysunęła brodę do przodu i ruchem głowy wska zała ścianę.

- Duchy - powiedziała.

- Przychodzą wtedy, gdy nasz czas się kończy, i zabierają nas na tamten świat, ale ja wciąż im powtarzam, że jeszcze nie jestem gotowa.

Wynoście się!

Twarz Jose Antonia zachmurzyła się.

Dolores nie bredziła - Jo se Antonio wierzył w duchy i parę razy widział je na własne oczy.

- Kogo widzisz?

- zapytał cicho, prawie szeptem.

- Mamę i Ernesta.

- Odłóż nóż.

Dobrze wiesz, że ducha nie można zranić...

- Zro bił kilka kroków w jej kierunku.

Dolores podniosła na niego oczy, załzawione i nabiegłe krwią, przygryzła dolną wargę i oddała mu nóż.

- Powiedz im, żeby odeszli, ale zrób to uprzejmie.

- Jose An tonio położył nóż na blacie stołu.

Usłuchała go.

Patrzył, jak mówi coś bardzo cicho, ledwo poru szając wargami, i macha ręką, jakby odganiała natrętnego psa.

Po tem odwróciła się, przygładziła szpakowate włosy i poważnie skioęła głową.

?;; .

- Zostało mi niewiele czasu, señor...

- wychrypiała.

Jose Antonio oparł dłonie na biodrach i ciężko westchnął.

- Nóż i obraźliwe słowa nie mogą opóźnić spotkania ze Stwór cą - rzekł.

- Nie, twoi bliscy przyszedli cię ostrzec, nie zabrać na tamtą stronę.

Zaraz zawołam panią...

Kiedy wrócił do stołu, Agatha opowiadała George'owi o Dolores, o tym, jak kiedyś o mały włos nie straciła ją dzika świnia, jak wdała się w bójkę z prostytutką w Jesus Maria i jak odkryła, że jej mąż, Ernesto, wiecie podwójne życie z drugą rodziną w La Cumbre.

- Wkrótce potem umarł.

- Agatha pokiwała głową.

- Jego życie stało się katorgą, Dolores postarała się o to...

Na widok męża umilkła i pytająco uniosła brwi.

- O co chodzi tym razem, do diabła?

- Gorda, idź z nią porozmawiać.

Mówi, że ma w brzuchu rosnąć cy melon, ale to chyba coś innego...

- Jose Antonio spojrzał na George'a.

- Mam wrażenie, że to jakieś kobiece sprawy...

- Czy Dolores umrze?

- zapytała Pia, patrząc, jak matka starannie składa serwetkę.

Jose Antonio poklepał małą po ramieniu.

- Skądże znowu, mi amor - zaprzeczył.

- Que pena!

- mruknęła Pia.

George drgnął, całkowicie zaskoczony.

Znał niewiele hiszpańskich zwrotów, lecz nie miał cienia wątpliwości, że dziewczynka powiedziała: "Jaka szkoda!"

- Dolores jest stara i należy jej się szacunek!

- rzuciła Agatha z irytacją.

Nienawidziła wtrącać się w prywatne sprawy służby.

Wyobraziła sobie melon, rosnący w brzuchu starej kobiety, i nagle zrobiło jej się niedobrze.

Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Dolores, ale bez słowa spełniła prośbę męża.

Znalazła Dolores siedzącą na krześle i popijającą matę.

Służąca wyglądała teraz jak pogodna, dobrze usposobiona do świata sta ruszka - wydawało się wręcz niemożliwe, że jest to ta sama wiedź ma, która przez ostatnie czterdzieści lat sprawowała twarde rządy w kuchni.

- Dobrze się czujesz?

- zapytała Agatha po hiszpańsku.

Starła się, aby jej głos brzmiał łagodnie, lecz zdawała sobie

sprawę, że tak nie jest.

- Jakie to ma znaczenie?

- jęknęła Dolores.

- Niedługo stąd

odejdę.

- Nie opowiadaj bzdur - odparła Agatha.

Miała szczerą ochotę dodać, że bezskutecznie usiłuje pozbyć się Dolores już od dwu dziesięciu lat.

- Senior Jose Antonio mówi, że masz coś w brzuchu...

Nie wspomniała o melonie, ponieważ wydało jej się to zbyt absurdalne.

- Nie powinien wtykać nosa w nie swoje sprawy!

- warknęła

Dolores.

Agatha wzruszyła ramionami.

- Bueno, w takim razie nikt z nas nie będzie wtykać nosa w nie swoje sprawy - odparła obojętnie i wyszła z kuchni.

Czuła ulgę, że nie musi dalej zajmować się problemami nieznośnej Dolores.

George wiedział, że będzie szczęśliwy w nowym domu.

Wieczem długo pływał w basenie, a potem siedział na nagranych przez słońce kamiennych płytach, obserwując, jak komary i muchy tańczą nad gładką powierzchnią wody, w powietrzu przesyconym za pachami eukaliptusa i gardenii.

Czuł się cudownie oddalony od Anglii, zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym, i po raz pierwszy od początku wojny delektował się całkowitym spokojem.

Łagodny porywanie krów łączyło się w dziwnie harmonijny chór z graniem cykad i przyciszonym świergotem ptaków, a zachodzące słońce malowało równinę i wzgórza bursztynową barwą.

Wieczorem zjedli kolację na dziedzińcu, pod rozłożystym drzewem, którego duże pąki co jakiś czas głośnie pyknięciem rozwiły się w czerwone kwiaty.

Dolores najwyraźniej otrząsnęła się z wcześniejszych przeżyć i rześko pokrzykiwała na biedną Agnieszkę oraz Carlosa.

Dzieci popijały wino i rozmawiały z dorosłymi.

Zmęczony podróżą George udał się na spoczynek wcześniej od nich i szybko zapadł w głęboki sen, ukojony cudownie pachnącym powietrzem i cichym parsaniem kucyków.

???

Kilka dni później zabrat się do pracy.

Z przyjemnością jeździł konno i uczył się, jak najlepiej pomagać w pracy wujowi i jego gauce.

Widok bezchmurnego nieba napełniał go uczuciem;

dowolenia i wolności.

Z wiatrem we włosach i słońcem na twarzy towarzyszył gauce, zaganiając stada bydła, doglądając dojry;

wającej kukurydzy i pszenicy.

Towarzystwo ludzi sprawiało mu i raz prawdziwą przyjemność.

Uważnie obserwował pracowników wuja i starał się naśladować ich niedbały sposób trzymania się w siodle - gauce jeździli nieco przygarbieni, z cuglami w jednej ręce i rondem kapelusza zsuniętym na jedno oko.

Mówili też coś po hiszpańsku i George szczerze żałował, że na razie może się

z nimi porozumiewać wyłącznie gestami, lecz oni uśmiechali się do niego z sympatią, wyczuwając w nim dobrego towarzysza!

i uczciwego człowieka.

Czasami podśmiewali się z jego entuzjazmu, skłonności do ryzykownej jazdy i ciągłego sięgania po papie rosę.

Kiedy zaproponowali mu, aby spróbował matę, zakrzusit sil i skrzywił, zniechęcony cierpkim, ostrym smakiem, którego nikt nie łagodził nawet dodawany do naparu miodu.

W końcu George zaczął napełniać manierkę pomarańczową brandy i popijać ją w ciągu dnia.

Jose Antonio powiedział gauce, że George był w czasie wojny dzielnym pilotem, tak więc nazwali go El Gringo Volante "Latającym Cudzoziemcem".

George tylko z jednego powodu chciał się, żeby nie było w stanie porozumieć się z gauce - nieznajomość hiszpańskiego zwalniała go od konieczności opowiadania im o wojnie.

j

Ciotka Agatha załatwiła mu u Jesus Maria lekcje hiszpańskiego u spokojnej młodej kobiety imieniem Josefa.

Josefa miała krótkie czarne włosy, wilgotną, brązową skórę, była pulchna, zawsze pachnąca i powolna jak rozleniwione wylegiwanie się w słońcu zwierzę.

Miała komplet podręczników, który zachowała po ukończeniu szkoły, upodobanie do odmieniania czasowników oraz po-1 godną naturę i nieograniczoną cierpliwość.

Bez cienia irytacji po prawiała błędy George'a i z uśmiechem słuchała jego pierwszych.

nieporadnych prób układania zdań.

Nie było też cienia wątpliwe" ści, że darzyła ucznia wielką sympatią.

Starannie splatała włosy^ perfumowała się dobrą wodą toaletową, robiła makijaż, nacierała ciało balsamami i ozdabiała je biżuterią.

Z powodu nieustannych

154

upałów wkładała skąpe stroje, z każdą wizytą George'a coraz od ważniej odstawiając dekolt, on jednak był zbyt zajęty, aby zwrócić na to uwagę.

Jego serce nie reagowało na rytmiczne wznoszenie się i opadanie pięknego biustu Josefy, poruszanego ciężkimi wes tchnieniami.

Josefa wyczuła obecność innej kobiety w życiu Geor ge^ i z rezygnacją przyjęła do wiadomości, że może tylko marzyć o młodym cudzoziemcu.

Listopad minął szybko, zakłócany wybuchami gniewu Dolores i coraz ostrzejszymi reakcjami Agathy, której brakowało cierp liwości do znoszenia humorów starej służącej.

George potrafił już porozumiewać się po hiszpańsku i jeździł konno równie do brze jak gauczowie, chociaż nie opanował jeszcze umiejętności rzucania lassem, zwłaszcza lewą ręką.

Wieczorami siadywał z gauczami wokół ogniska i nawet śpiewał z nimi piosenki przy akompaniamencie gitary, na której po mistrzowsku grał kości sty chłopak o przydomku El Płaco.

George wciąż twierdził, że nigdy nie polubi matę, ale z zabijaniem i oprawianiem zwierząt nie miał już żadnych problemów.

Pedro, siwowłosy gauczo, któ ry trzymał w tajemnicy nie tylko swój wiek, ale także imiona swoich kochanek z Jesus Maria, podarował George'owi srebrny nóż i powiedział mu, że powinien go użyć, kastrując pierwszego

byka.

Na dodatek wkrótce wicher losu, tak często wiejący ludziom prosto w oczy, zmienił kierunek.

Wszystko zaczęło się od melona, który jakoby rósł w brzuchu Dolores.

Agatha odrzuciła ten poniysł, przypisując go charakterystycznej dla starej służącej skłon ności do dramatyzowania.

Dolores prawie bez przerwy wrzeszcza na na biednego Carlosa i znieważała go z byle powodu, niewiele lepiej zachowywała się w stosunku do Agustiny, która odchodzi ła od zmysłów ze zdenerwowania i często płakała.

George przy wykładzie do ciągłych krzyków i podobnie jak Jose Antonio, starał się je ignorować, zwłaszcza że Dolores nadal doskonale gotowała.

Pewnego dnia, na początku grudnia, Pia wpadła na taras w czajnię podwieczorku.

- Papa, Papa, Dolores esta muerta!

- krzyknęła do ojca.

155 .

George mówił już po hiszpańsku dość dobrze, aby zorientować się, że dziewczynka powiadomiła właśnie ojca, iż Dolores nie żyje.

Agatha gwałtownie odepchnęła krzesło do tyłu i zerwała się na równe nogi - ktoś mógłby pomyśleć, że nie może się już doczepić, by na własne oczy zobaczyć martwą wiedźmę, która przez te lata zatruwała jej życie.

Jose Antonio z równym pośpiechem ruszył

szedł w stronę kuchni i nawet George, który rzadko zaglądał do kuchni Dolores, poszedł za nimi.

)

Dolores leżała nieruchomo na podłodze, ale ku rozczarowaniu Agathy serce starej kobiety ciągle biło, a jej płuca wciąż wciągały i wydychały powietrze.

Jose Antonio wezwał lekarza i zaniósł stół do salonu z taką łatwością, jakby nie ważyła więcej niż kupka szmat.

Kiedy położył ją na sofie, George natychmiast zaczął uważać jej wzdęty brzuch.

Pomyślał o melonie i poczuł, jak jego własny żołądek ścisną się boleśnie.

Dolores nie wyglądała ładnie, była stara i pomarszczona jak pień jednego z drzew orzechowych;

Teresa.

Uśmiechnął się lekko na wspomnienie ojca.

Lekarz oświadczył, że Dolores rzeczywiście ma w brzuchu coś dużego, co bardzo jej przeszkadza.

Nie melon, powiedział po śpiesznie, kiedy jedno z dzieci wspomniało o obawach Dolores<sup>^</sup> lecz guz, który należy jak najszybciej usunąć.

Agatha zrozumiała, że będzie musiała odwiedzić staruszkę do Buenos Aires na operację.

<sup>^</sup> Myśl o spędzeniu kilku godzin w samochodzie z osobą, której nie darzyła cieniem sympatii, w dodatku mającą w sobie guz, napęł;

nie była nią obrzydzeniem, wiedziała jednak, że nie ma wyjścia.

Jose Antonio nie zamierzał zdobyć się na poświęcenie, jakiego wymagała ta wyprawa.

Agatha szybko dała wyraz swemu niezadowoleniu i otwarcie poskarżyła się siostrzeńcowi.

- Dobry Boże, co za koszmar!

- wykrzyknęła, wrzucając ubrania do walizki.



- Przez wszystkie lata małżeństwa stawałam na głowie, żeby trzymać się z daleka od tego okropnego stworzenia, które niektórzy nazywają kobietą...

Ja uważam ją za prawdziwego potwora, pozbawionego wszelkich ludzkich cech!

I proszę bardzo,;

teraz okazuje się, że ma guza!

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego Bóg nie zabrał jej, kiedy miał szansę to zrobić!

,

- Jak długo będziesz musiała zostać w mieście?

- zapytał ;

George.

i^f,

Agatha prychnęła z wściekłością.

- Znacznie dłużej, niżbym chciała, tego jestem absolutnie pewna!

Nie wiem, może dziesięć dni, może dwa tygodnie...

Och, ja jestem po prostu wściekła!

- Gdzie się zatrzymasz?

- To nie problem, mamy w Buenos Aires mnóstwo przyjaciół.

Oczywiście, Jose Antonio nawet nie pomyśli, żeby podziękować mi za to, co robię dla tej wiedźmy!

Nigdy się nie kwapił, żeby dziękować za cokolwiek!

Nie narzekam, bo ogólnie rzecz biorąc, dobry z niego człowiek, tyle że niezbyt wrażliwy.

Wydaje mu się, że sprawy domowe są wyłącznie moją domeną.

Rozumiem go i na wet mi to nie przeszkadza, nie mogę tylko znieść, że w tej domu nie mieści się też Dolores.

- Może ja zawiózłbym ją do Buenos?

- zaproponował George nieco pochopnie.

- Albo przynajmniej pojechałbym z wami...

- Nie, nie, nie trzeba!

Tak czy inaczej, bardzo ci dziękuję, ko chanie.

Masz złote serce, mój drogi, naprawdę jestem ci wdzięczny na...

George poczuł się zażenowany, ponieważ w jego propozycji nie było cienia altruizmu.

Miał nadzieję, że jeżeli pojedzie do Buenos Aires, to jego ścieżka jakimś cudem skrzyżuje się z drogą Susan, i raczej nie myślał o tym, by rzeczywiście pomóc ciotce.

Następnego dnia rano patrzył, jak Agatha i Dolores odjeżdżają do miasta.

Był przygnębiony i dziwnie bezradny, pocieszał się tylko myślą, że naiwnością byłoby sądzić, iż natknąłby się na Susan w wielomilionowym mieście.

Minęło dwanaście dni.

George nie mógł się doczekać powrotu Agathy i Dolores, ponieważ wbrew zdrowemu rozsądkowi wyobrażał sobie, że Susan znajdowała się gdzieś niedaleko jego ciotki, chociaż żadna z nich nie miała o tym pojęcia.

Może piły herbatę w tej samej kawiarni albo stały obok siebie w tym samym sklepie...

Wciąż myślał, że gdyby pojechał, miałby szansę zobaczyć Susan.

Świadomość, że może Agatha jest blisko kobiety, na której mu zależało, budziła w nim jeszcze głębszą frustrację, bo przecież gdyby nawet ciotka zwróciła uwagę na kobietę z twarzą przeciętą.

straszna blizną, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Georgette wciąż o niej myśli, I Wreszcie Agatha wróciła wraz z Dolores na ranczo.

George był, wtedy w polu, lecz Jose Antonio, nie zwlekając, przywiózł mu dor;

brą nowinę, i

- Dolores jest wyleczona - oznajmił z uśmiechem, wyrażając] radość szerokimi gestami dużych dłoni, ii

George uśmiechnął się w odpowiedzi, chociaż nie był do końca pewny, czy ozdrowienie Dolores cieszy również Agathę.

;

- Ten guz zawierał szkodliwe substancje, które zatruwały cały] jej organizm, nawet charakter - ciągnął Jose Antonio.

- Jest już pełnie odmieniona, uśmiecha się!

,

- A ciotka Agatha?

- zagadnął George.

- La Gorda nie potrafi nie wrócić z miasta z jakąś ludzką białą da...

Zawsze przywozi na ranczo nieszczęśliwe ofiary losu.

- Chyba zasłużyła sobie na nagrodę po tej podróży z Dolores - podsunął dyplomatycznie George.

- Jedna kobieta wyleczona, druga z blizną, czyli po prostu' z deszczu pod rynnę.

- Jose Antonio z jowialnym uśmiechem wzruszył ramionami.

f!

Serce George'a przestało na chwilę bić.

i

- Agatha zaprosiła jakąś kobietę, żeby dotrzymywała ci towa-i;

rzystwa, gringo, ale oczywiście ty nie widzisz świata poza Ritą - za żartował Jose Antonio, poklepując George'a po udzie.

- Co takiego?

f

- Moja żona prowadzi teraz przytułek dla rekonwalescentek.;

Równie dobrze mógłbym wyprowadzić się do Moliny...

Nie przejdź-1 muj się, gringo, ta kobieta i tak nie jest dla ciebie.

Bóg przeklął jej urodę i przeciął jej twarz blizną.

- Jose Antonio przeciągnął pal-j cem po policzku.

- No, lepiej bierzmy się do roboty!

Rozdział dwunasty

Rita w szlafroku i kapciach, jak każdego dnia wybiegła na spotkanie listonosza, z nadzieją w sercu i cichą modlitwą na ustach.

Dzisiaj na pewno będzie do niej list, nie miała co do tego cienia wątpliwości.

Był mroźny listopadowy ranek.

Wkrótce nadejdzie Boże Narodzenie, pomyślała ze smutkiem, kolejne Boże Narodzenie bez George'a...

Pan Toppit, listonosz, uśmiechnął się do niej szeroko i pomachał w powietrzu grubą brązową kopertą.

Rozpoznał charakter pisma George'a Boltona, ponieważ w czasie wojny co tydzień dostarczał Ricie listy od ukochanego.

Nie miał pojęcia, dlaczego młody człowiek postanowił znowu wyjechać, uważał jednak, że zrobił bardzo głupio, zostawiając tak ładną dziewczynę jak Rita Fairweather samą.

- List miłosny zza morza!

- zawołał, patrząc, jak wydobywają się z jego ust oddech zamienia się w biały obłoczek pod wpływem zimna.

Rita chwyciła kopertę i przycisnęła ją do ust.

Wydawało się, że za chwilę oderwie się od ziemi i uniesie wysoko w powietrze.

Pan Toppit poczuł się dziwnie dumny, zupełnie jakby to on był przygnany jej radości.

- Och, tak panu dziękuję!

Teraz już wiem, że mam przed sobą cudowny dzień!

- Rita roześmiała się głośno.

Przesunęła palcami po kopercie, wyczuwając zgrubienia i zastana wiając się, co takiego może znajdować się w środku.

Listonosz zauwa- j żyt, że jej oczy błyszczą jak w gorączce, i pomyślał, że szczęście na- j prawdę dodaje dziewczynom urody.

Gdyby nie był żonaty, gdyby I znowu mógł być młodym, wolnym mężczyzną, gdyby artretyzm nie zaczął skręcać jego stawów w niekształtne supły, gdyby miał pewność \ siebie George'a Boltona, bez wahania oddałby serce Ricie Fairweather.

Szczęściarz z tego George'a...

Rita miała w sobie coś, co czyniło ją nie co inną od jej rówieśnic, coś, co przywoływało skojarzenia z gibkimi, pięknymi syrenami.

Tak, tak, George miał cholerne szczęście...

I

- Czy będziesz tak miła i oddasz te listy matce?

- zapytał pani Toppit, z wysiłkiem wracając do rzeczywistości.

;

- Oczywiście!

- Wzięła przesyłki z jego rąk.

- Swoj list otwo-1 rzę dopiero wtedy, gdy będę całkiem sama, na szczycie klifu.

To \ zawsze było nasze specjalne miejsce, wie pan?

Szczyt klifu...

- Uważaj, żebyś nie spadła - zażartował.

- Nie spadnę, bo życie jest zbyt piękne!

Z tymi słowami pobiegła do domu, gdzie cała zgromadzona w kuchni rodzina natychmiast wyczytała z jej twarzy, że wreszcie ' dostała list od George'a.

S

- No, najwyższy czas!

- zawołał Humphrey, który od początku \ był całkowicie przeciwny decyzji George'a, aby na następny rok .

zostawić Ritę samą.

;

Gdyby nie pierścionek zaręczynowy, na pewno wzięłby młodego człowieka na stronę i powiedział mu parę słów, ale i mimo pier-

ścionka miał poważne wątpliwości, czy George wróci.

Zdaniem j Humphreya, ukochany córki był jednym wielkim zlepkiem prze- j ciwności, obciążonym bagażem potwornych doświadczeń żołnier- \ rzem w ciele chłopca, człowiekiem emocjonalnie niedojrzałym, a jednocześnie mądrym i rozczarowanym, może nawet cynicznym, spragnionym nowości i przygód, lecz przede wszystkim wól- ności.

Dlaczego ktoś taki miałby chcieć rozpocząć spokojne życie we Frogmal Point?

Wojna zmieniła George'a, było to oczywiste i nieuniknione, ale nie zmieniła Rity.

- No i co?

- zagadnęła Hanna.

Eddie zerwała się z krzesła, wyrzucając z siebie pytania, które trudno było zrozumieć, ponieważ miała pełne usta.

160

- Otwórz list!

- ponagliła Maddie, popijając herbatę.

- Po śpiesz się!

Maddie od rana nosiła pełny makijaż, w którym najbardziej rzucały się w oczy umalowane szkarłatną szminką wargi i starannie wytuszone rzęsy, czesała się w stylu Lauren Bacall i sama wyglądała jak gwiazda filmowa.

Hanna usiłowała odwieść córkę od takiego stylu życia i tłuma czyła jej, że nie powinna robić z siebie widowiska, lecz Maddie miała już prawie dwadzieścia lat i żelazną siłę woli.

Dziewczyna nie pracowała, nie chciała nawet o tym słyszeć i zdecydowanie za dużo czasu spędzała w towarzystwie chłopców w lokalnym pubie.

Hanna nie miała wyjścia - musiała przymykać oczy na poczynania Maddie i przyjąć do wiadomości, że jej dziecko stało się dorosłą osobą.

Tylko Eddie nadal chodziła do szkoły i była dość posłuszna.

Hanna często snuta się po domu, oglądając pamiątki z dzieciństwa córek i z radością przywołując związane z nimi wspomnienia.

Czas pędzi jak szalony, a dzieci dorastają w mgnieniu oka i coraz bardziej oddalają się od rodziców, myślała ze smutkiem.

Dobrze chociaż, że miała swoje ptaki.

Niektóre migrowały, ale zawsze wracały i wydawały się zadowolone, że znowu ją widzą.

- Otworzę list na klifach, w samotności - oświadczyła Rita ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich obecnych.

Zanim zdążyli zaprotestować, pognała na górę, żeby się przebrać.

- Co tam jest?

- Eddie zwróciła się do Hanny - Jak myślisz, mamo?

- Ciekawe...

- mruknęła Maddie z zazdrością.

- Przecież dał jej Już pierścionek z brylantem...

- Na pewno jakaś pamiątka z Buenos Aires - odparta Hanna.

- Myślę, że nie ma wielkiego znaczenia, co to jest, ważne, że George o niej myśli...

Przyłapata spojrzenie męża i triumfalnie skinęła głową.

Dobrze znała jego wątpliwości, ale ten list stanowił widomy dowód, że Rita dokonała właściwego wyboru.

- Rozstanie dodaje smaku miłości - dodała znacząco.

Humphrey chrząknął i zasłonił się płachtą gazety

161 .

- Nie zapomnij tylko, że idziemy do Megababci na lunch, Rito!

- krzyknęła Hanna.

- Będzie tam ciocia Antoinette z Emily i Williamem!

Była sobota, a soboty Rita bardzo często spędzała na plaży.

Hanna na nie miała pojęcia, co córka tam robi, podejrzewała jednak, że głównie śni na jawie.

Całe szczęście, że Rita dostała pracę w bibliotece w miasteczku, bo inaczej najprawdopodobniej do końca zatraciłaby się w swoich marzeniach, dobrze też, że przestała pracować na farmie Treesa i zajmować się rzeczami zupełnie nieodpowiednimi dla młodej kobiety.

Hanna zerknęła na wystrojoną niczym na przyjęcie Maddie, ciekawa, jak dziewczyna zamierza spędzić dzień.

Nie śmiała zapytać, bo z doświadczenia wiedziała, że Maddie tylko odburknie coś niewyraźnie.

Z każdym dniem coraz bardziej upodabniała się do Antoinette, co bynajmniej nie było komplementem.

Rita szybkim krokiem ruszyła przez wioskę w kierunku wybrzeża, mocno przyciskając do piersi brązową kopertę.

Nie była w stanie powstrzymać uśmiechu i nie podskakiwać co parę metrów.

Na widok wielbego Hammonda, który stał przy oknie sklepu, pogrążony w rozmowie z panną Hogmier, przyśpieszyła, pragnąc uniknąć zaproszenia do pogawędki.

Nie przepadała za panną Hogmier, wiecznie kwaśną starą damą o wąskich wargach i sterczących z nosa włosach, i chętnie wymigiwała się od robienia:

nią zakupów w jej sklepie.

Gdy dotarła na szczyt klifu, usiadła, zwieszając nogi z krawędzi, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zwykle siadywała z George'em, i rozdarła grubą kopertę.

Wiał ostry, przejmująco zimny wiatr.

Mocniej otuliła się stałym kożuchem ojca i nasunęła wełnianą czapkę głęboko na czoło.

Musiała zdjąć rękawiczki, żeby otworzyć list, okazało się jed-

nak, że warto było narazić się na chwilę dyskomfortu, ponieważ po chwili z radością wyjęła z koperty srebrny wisiorek, który George kupił dla niej na pokładzie "Fortuny".

Trzymała ozdobę w ręku, rozkładając kartkę.

List nie był długi.



George nigdy nie pisywał długich listów, w przeciwieństwie do niej, ale nie miała

cienia wątpliwości, że znajdzie tam słowa, które bardzo chciała usłyszeć.

Nie zwracając uwagi na nasilający się wiatr i szalejące w dole morze, z uczuciem wewnętrznego głodu zabrała się do czytania.

Moja najdroższa Rito,

Pisz f do Ciebie z pokładu "Fortuny", która teraz znajduje się blisko wybrzeża Brazylii.

Jest noc, a ja jak zwykle myślę o Tobie.

Mam nadzieję, że wisiorek Ci się spodoba - kupiłem go od pomarszczonego sta ruszka, który zjawił się na pokładzie ze swoimi towarami.

Jestem pewny, że co najmniej potroiti cenę, ale zapłaciłbym nawet dziesięć razy tyle, ponieważ Ty jesteś tego warta.

Gołębica symbolizuje miłość, radość i małżeńskie szczęście.

Posyłam Ci ją jako talizman, z nadzieją, że przyniesie ci to wszystko i jeszcze więcej.

Tęsknię za Tobą, kochanie, i czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle wyjechałem, czy dokonałem mądrego wyboru.

Pocieszam się tylko, że w tej podróży odnajdę we wnętrzu spokój, dzięki któremu obojgu nam łatwiej będzie rozpocząć wspólne życie.

Liczę, że to doświadczenie uczyni mnie lepszym mężem i ojcem.

Tylko taka cudowna dziewczyna jak Ty mogła pozwolić mi na zrealizowanie tego planu.

Wiem, że Twoje serce należy do mnie, ale mo żesz być pewna, że moje także należy do Ciebie, na zawsze.

Kocham Cię, moja słodka Rito.

George

Przeczytała list kilka razy.

W przeciwieństwie do poprzednich tu nie znalazła żadnego odwołania do przeszłości.

George nie wspominał lata, jaskini ani pikników na klifach.

Cóż, list napraw dę był bardzo krótki, ale nie miała powodu narzekać.

Kochała ją, tęsknił i nic poza tym nie miało znaczenia.

Rozchyliła palce i uważnie przyjrzała się wisiorkowi.

Był bardzo ładny, postanowiła, że zawsze będzie go nosiła.

Chcąc założyć go od razu, zaczęła zмагаć się z zameczkiem łańcuszka, wciąż trzymając w ręku list, lecz zdrętwiałe na zimnie palce okazały się zupełnie sztywne i mocny podmuch wiatru nagle wyrwał jej kartkę z dłoni.

Krzykoęła cicho, przerażona i zrozpaczona.

List tańczył w powietrzu, Podobny do jesiennego liścia.

Zerwała się na nogi, ale mogła tyl ko bezradnie obserwować, jak kartka spada coraz niżej i niżej.

Zbiegła ścieżką na plażę i podniosła głowę, szukając listu wzr kiem, pewna, że zaraz go złapie.

Żaden ptak nie ośmielił się opn ścić schronienia przy takiej pogodzie i tylko list George'a kotyss się w powietrzu jak mewa.

Przez chwilę miała wrażenie, że kar) ka spadnie na suchy piasek niedaleko miejsca, gdzie stała, lec niespodziewany podmuch uniósł ją dalej i wreszcie rzucił prosi we wzburzone fale.

Rita była niepokieszona.

Rozpłakała się ze złości i żalu.

Ca miesiąc czekała na ten list i teraz straciła go na zawsze...

Z ucz ciem wdzięczności dotknęła srebrnego wisiorka, pocieszając si że przynajmniej tego nic i nikt jej nie zabierze.

Powoli zawróci w stronę klifów.

Szła z pochyloną głową, aby osłonić twarz przy gwałtownymi uderzeniami lodowatego wichru.

Raz po raz ;

smutkiem pociągała nosem, starając się przypomnieć sobie na;

sane przez George'a słowa.

Postanowiła zapisać wszystko po pc wrocie do domu, żeby nie zapomnieć, co jej powiedział.

Kiedy szła przez wioskę, z oczami utkwionymi gdzieś w pr strzeni, wpadła na tego zwariowanego Polaka, Tadeusza Waliszf skiego, który oczywiście także zapatrzony był w coś, czego nie' dział nikt poza nim.

Waliszewski rzadko patrzył ludziom w oc ponieważ nie czuł potrzeby zawierania znajomości.

- Przepraszam...

- wymamrotała.

Polak od razu zauważył ślady łez na jej twarzy i zsiniałe z zim na wargi.

Ogarnęła go fala szczerzego współczucia.

- Nic pani nie jest?

- zapytał.

Drgnęła, zaskoczona pytaniem zadany głębokim, tagodn) głosem.

Gardło ścisnęło jej się ze smutku.

- Nic...

- odparła bez przekonania.

- Chyba strasznie pani zmarzła, prawda?

Proszę pójść ze mną...

Ujął Ritę za łokieć i poprowadził wąską alejką, a następnie prze furtkę, prawie zupełnie ukrytą w gęstym żywopłocie.

- Zrobię pa ni coś gorącego do picia...

Nie powinna pani spacerować w taki pogodę, ledwo trzyma się pani na nogach...

Przez chwilę, kiedy patrzyła na niego wielkimi, smutnymi oczami, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma przed sobą swoją córkę.

Jego serce ścisnęło się z bólu, lecz szybko odepchnął straszna wspomnienia.

Wiedział, że nie powinien wracać do czasu wypet-1

nionego przerażeniem i rozpaczą, czasu, który należał do przeszłości i ożywał tylko wtedy, kiedy on mu na to pozwalał.

Dom Tadeusza był ciepły i pełen dziwnego spokoju; Rita miała wrażenie, że kiedyś już tu była, nawet zapach był znajomy, podobnie jak widok leżących tu i ówdzie stosów książek i manuskryptów.

Nagle uświadomiła sobie, skąd wzięło się to wrażenie - podobnie przytulny bałagan panował w domu Boltonów, powietrze miało tam ten sam zapach palącego się w kominku drewna, dobroci i gościnności.

Poczuła, że może spokojnie rzucić buty i zwinąć się w kłębek na sofie, bo Tadeusz nie będzie miał nic przeciwko temu, chociaż nigdy dotąd nie zamieniła z nim ani słowa.

Gdyby nie była tak zasmucona stratą listu, nie przyjęłaby jego zaproszenia, ale on sprawiał wrażenie, że rozumie jej żal, a na dworze było naprawdę potwornie zimno.

Zdjęła kożuch i usiadła w fotelu przy kominku, wciągając w nozdrza kojący zapach drzewnego dymu.

Tadeusz wszedł do pokoju, niosąc tacę z herbatą.

Filizanki i spodeczki nie pasowały do siebie, a dzbanek był wyszczerbiony.

Gospodarz w milczeniu podszedł do gramofonu i nastawił płytę z Symfonią alpejską Straussa.

Dźwięki muzyki wypełniły pokój, przywracając Ricie pogodę ducha, którą utraciła na klifie.

- Jeżeli muzyka jest pokarmem miłości, to grajcie dalej...

- po wiedział Tadeusz, siadając w fotelu naprzeciwko dziewczyny.

- Szekspir, Wieczór Trzech Króli - odparła z uśmiechem.

- Ach, już czuje się pani lepiej.

- Z powagą pokiwał głową.

- Tylko miłość jest w stanie przyprawić kobietę o taką rozpacz...

Rita naląła sobie herbaty.

- Ma pan piękny dom - rzekła, sięgając po mleko.

- Jestem tu bardzo szczęśliwy.

Rita Fairweather, prawda?

- Tak, to ja - roześmiała się.

Nagle wydało jej się absurdalne, że jest gościem w domu czło wieka, któremu nawet się nie przedstawiła.

Tadeusz przyglądał jej się chwilę w zamyśleniu, potem jego wzrok spoczął na srebrnym wisiorku na jej swetrze.

- Śliczny naszyjnik - zauważył z podziwem.

- Czy dostała go Pani od George'a?

- Tak, właśnie dzisiaj.

Byłam na klifie i wiatr wyrwał mi z rę ki jego list...

7A; .

- Nie zdążyła go pani przeczytać?

- Na szczęście zdążyłam, nawet kilka razy.

- Ale jako sentymentalna młoda kobieta lubi pani przechowywać wszystkie jego listy i czytać je od czasu do czasu, czy tak?

-; Tadeusz roześmiał się cicho.

- Tak myślałem...

Nie odzyskała pa";

ni tego listu?

i

- Nie - odparła ze smutkiem.

- Leży na dnie morza, i

- Niech pani pomyśli, co by było, gdyby nie zdążyła go pani przeczytać.

To by dopiero było przykre, prawda?

Poza tym jestem pewny, że dostanie pani jeszcze wiele listów.

„

- Strasznie mi głupio...

- Rita westchnęła i napita się herbaty^

- Ten wisiołek jest znacznie cenniejszy i trwalszy - ciągnął Tadeusz.

- Słowa szybko blakną, a srebrna synogarlica zostanie z pa?

nią na zawsze.

Chyba wie pani, że synogarlice mówią własnym ję;

zykiem, trzeba je tylko uważnie słuchać...

j

Rita uśmiechnęła się, trochę rozbawiona, lecz Tadeusz mówił zupełnie poważnie.

;

- Na pewno uważa mnie pani za ekscentryka, ale to prawda, synogarlica mówi o miłości i pogodzeniu, przebaczeniu, spokoju i radości.

George przysłał pani wiadomość pod postacią symbolu, to o wiele bardziej oryginalne niż list, nie sądzi pani?

Kiedy i następnym razem wybierze się pani na klify, naturalnie przy lepszej pogodzie, proszę przyjrzeć się swojej gołębiczy i posłuchać jej głosu.

- Zrobię to - powiedziała, chcąc sprawić mu przyjemność.

Tadeusz podrapał się po siwiejącej brodzie i spojrzał na nią jaśnymi, zażawionymi oczami, s

- Gra pan na skrzypcach?

- zapytała, ponieważ już wcześniej zauważyła ten instrument, leżący na klapie fortepianu.

- Tak, gram dla ukojenia duszy.

Muzyka to cudowne lekarstwo.

- Jest pan także pianistą?

- Fortepian jest stary i rozstrojony, ale jakoś to znoszę...

- Ja trochę rzeźbię - wyznała.

- Marnie, niestety.

Faye, wie pan, Faye Bolton, daje mi lekcje rzeźby.

Jest nieprawdopodobnie utalentowana.

Twarz Tadeusza złagodniała, jakby światło w pokoju przybrało bursztynową barwę.

- Jestem przekonany, że z czasem nabierze pani doświadczenia i będzie rzeźbić równie dobrze jak ona - rzekł cicho.

- O, nie, na pewno nie!

I wcale nie oczekuję, że będę aż tak do brą rzeźbiarką jak Faye.

Mówi pan, że muzyka leczy duszę.

Z rzeźbieniem jest podobnie.

Potrafię się w tym zatracić, zapomnieć o wszystkim, co mnie gnębi...

- Rozumiem.

- Morze także leczy i przywraca spokój.

Kiedy patrzę na moją rzeźbę, także tracę poczucie rzeczywistości.

- I wtedy, gdy czyta pani listy George'a...

- W oczach Tadeusza błysnął uśmiech.

- No, tak...

To głupie, ale tak właśnie jest.

Po mniej więcej półgodzinie podziękowała mu za herbatę i towarzystwo.

Rozmowa z Tadeuszem sprawiła, że poczuła się znacząco lepiej, i jeszcze raz obiecała, że w czasie następnej wyprawy nad morze posłucha głosu srebrnej synogarlicy.

Przed wyjściem zapytała, czy może skorzystać z toalety, i szybko pobiegła na pięterko, świadoma, że musi zdążyć na lunch do Megababci.

Kiedy otworzyła drzwi, szybkim spojrzeniem obrzuciła sypialnię gospodarza.

Jej wzrok zatrzymał się na dużej rzeźbie, przed stawiającej potężnego niedźwiedzia.

Rzeźba stała na parapecie nad kominkiem, gdzie poza nią nie było żadnego innego przedmiotu.

Było to dziwne, bo na wszystkich innych powierzchniach tłoczyły się rozmaite drobiazgi.

Rita natychmiast rozpoznała dzieło Faye, której styl był niezwykle charakterystyczny.

Zaczęła się zastanawiać, co skłoniło rzeźbiarkę do rozstania się z takim arcydziełem, lecz instynkt podpowiedział jej, że nie powinna o to pytać.

Tadeusz podał jej kożuch i patrzył, jak wkłada czapkę, spod której brązowe włosy wycykały się pasmami, podobne do wyrzucanych na plażę wodorostów.

- Mam nadzieję, że kiedyś wpadnie pani na herbatę - powie diał.

- Bardzo chętnie.

Może wtedy zagra pan dla mnie na skrzypcach...

- Z przyjemnością.

- Uśmiechnął się szczerze.

Kiedy wyszła, przyglądał się, jak zamyka za sobą furtkę w żyznym.



wopłocie.

Faye mówiła o Ricie z prawdziwym podziwem i uzna niem, i miała rację.

Rita była bardzo miłą, łagodną dziewczyną.

Gdyby nie wpadł na nią, nigdy by jej nie poznał.

Czasami nie na leżało chodzić z pochyloną głową, unikając spojrzeń ludzi i ukry wając się przed światem.

Tadeusz zatrzasnął drzwi i sięgnął po skrzypce.

Rita wśliznęła się do domu od strony ogrodu i na palcach po szła do swego pokoju, aby jak najszybciej zapisać wszystko, co za pamiętała z listu George'a.

Mały gil uwił sobie przytulne gniazdo z mchu i trawy w dzbanku, który Eddie zrobiła dla siostry w szkole.

Rita uwielbiała swojego nowego przyjaciela, lubiła czuć na sobie spojrzenie jego małych czarnych oczek, kiedy bez cienia lęku obserwował ją z półki na książki.

Ptak o dowolnych porach wylatywał z pokoju i wracał, ponieważ Rita zawsze zostawiała otwarte okno.

Hanna często zaglądała do pokoju córki, aby po patrzeć na gila i podsunąć mu jakiś smaczny kąsek, ale ptak przyjmował jedzenie tylko z ręki Rity.

Hannie trudno było się z tym pogodzić, zwłaszcza że zawsze łatwo nawiązywała kontakt ze skrzydlatymi stworzeniami, zakładającymi gniazda w jej ogrodzie.

Rita postanowiła zachować stratę listu w tajemnicy.

Wstydziła się, że okazała się tak niezgrabna, zdecydowała więc, że będzie po kazywać jedynie swój wisiołek, symbol miłości, spokoju i małego żeńskiego szczęścia.

O dwunastej wszyscy zapakowali się do samochodu Humphreya i pojechali do Elvestree na lunch.

Eddie była zachwycona srebrną synogarlicą, natomiast Maddie wyraziła swoją opinię po gardliwym prychnięciem.

- Och, jest śliczna - powiedziała obojętnie.

Gdyby w oku go łębicy osadzony był jakiś drogi kamień, na przykład mały brylant, podarunek zrobiłby na niej o wiele większe wrażenie.

- Co napi sał George?

- zapytała.

- Wolę zachować treść listu dla siebie - odparta Rita.

- Poza tym synogarlica mówi, wystarczy jej tylko posłuchać...

Maddie skrzywiła się lekko.

- Głupiejesz z miłości, moja droga.

Jeżeli twoja synogarlica mówi, to ja jestem królową Anglii!

- Na szczęście nie masz szans na koronę, bo byłabyś strasznie nadętą królową - wtrąciła Eddie.

- Chcę usłyszeć, co mówi syno garlica, Rito...

- Mówi o miłości, spokoju i szczęściu w małżeństwie - rzekła Rita.

- George przysłał mi symbol, coś o wiele bardziej oryginalnego niż list.

- Ja także uważam, że twój wisiołek jest prześliczny - podchwyciła Hanna.

- George jeszcze raz dowiódł, że jest myślącym, mądrym młodym człowiekiem.

Humphrey chrząknął i pokręcił głową, ale na szczęście tylko Hanna w pełni znała jego sceptyczne nastawienie do związku córki z George'em Boltonem.

Gdy przyjechali do Elvestree, lekka mżawka przeistoczyła się w gęsty grad.

Wiatr niósł małe kuleczki lodu, a drzewa, za chwytające bujną zielenią w lecie, teraz stały nagie i powykryły się.

Szybko weszli do holu, gdzie wokół wesoło trzaskającego w wielkim kominku ognia skupiło się całe stado kotów.

Siedziały dosłownie wszędzie.

Pięć zwinęło się w kłębek na sofie, trzy za jęły miejsca na starej dębowej skrzyni, w której ciemnym wnętrzu gniły rakietki tenisowe Denzila, sześć lub siedem usadowiło się pod stołem na poprzecieranym w wielu miejscach perskim dywanem.

Były tu koty rude, łaciaste, czarne, smukłe i dumne, i wiecz nie nadąsane białe.

Hanna dawno przywykła do tego, że dom jej matki zawsze jest pełen tych zwierząt, lecz przy każdej wizycie odnosiła wrażenie, że ich liczba regularnie wzrasta.

Kiedy ktoś pytał panią Megalith, skąd biorą się u niej wszystkie te koty, po prostu wzruszała ramionami.

- Jestem pewna, że wiele smutnych rodzin do dziś szuka swoich kocich przyjaciół - mawiała.

- Nie mam pojęcia, dlaczego i co, ale coś ciągnie koty do Elvestree.

Ja tylko nie wyrzucam ich z domu, bo sumienie mi na to nie pozwala.

Serce Maksza zdrząło z tęsknoty i miłości na widok Rity, wchotkającej do salonu wraz z całą rodziną.

Jej włosy były wzburzone, Policzki zaróżowione od wiatru i morskiej wilgoci.

Chociaż miała na sobie świeżo wyprasowaną sukienkę i czysty rozpinany swe;/;o .

ter, wyglądała odrobinę nieporządnie.

Max uśmiechnął się do siebie.

Rita zawsze sprawiała wrażenie, jakby ubierała się w pośpiechu i o czymś zapomniała...

Zagrzechotał kostkami lodu w szklanicy i dalej spokojnie obserwował ją z sofy.

Antoinette siedziała na ławie obok swojej córki Emily, mało mównej dziewczyny w wieku Eddie i Ruth.

Była piękną kobietą, smukłą, umalowaną delikatnie jak chińska laleczka, o błyszczących rudych włosach ułożonych w łagodne fale.

Paliła papierosa w długiej hebanowej cygaretki, którą trzymała między dwiema szczupłymi palcami, zakończonymi lśniącymi bordowymi szponami, zawsze idealnie zadbanymi.

Jej promienna skóra była lekka?

ko wilgotna od wody toaletowej i różanej, a oczy miały ten sam odcień szarości co oczy matki, tyle że ich wyraz był znacznie twardszy.

Nie znosiła kotów z powodu wszechobecnej sierści i intensywnego odoru, jaki zostawiały we wszystkich pomieszczeniach, nie przepadała też za ptakami, które tak lubiła jej siostra Hanna.

;

- Woląabym siedzieć na łące i obserwować krowy niż marnie, wać czas na przypatrywanie się ptakom - powiedziała kiedyś.

Fruwają, to prawda, ale co z tego?

George też potrafi latać, a przezi cięż nie chcę, żeby rozbił się w moim ogrodzie...

Wypowiedź Antoinette pozbawiona była wszelkiego sensu^ lecz dama ta słynęła z nonszalanckiego podejścia do logiki i prawdy.

Była urodzonym kłamcą i uwielbiała się popisować.

Hanna wciąż od nowa się dziwiła, że jej siostra ma drobny, zgrabny nosek, bo uważała, że powinien wydłużać się po każdym kłamstwie, tak jak nos Pinokia.

Doskonale świadoma swojej urody i siły własnej osobowości, Antoinette wychowywała córkę w taki sposób, aby dziewczyna w jak największym stopniu przypominała ideał, czyli ją samą, chociaż biedna Emily ciągle podejmowała próby buntu.

Emily nie odziedziczyła ani urody, ani siły charakteru matki, była za to inteligentna i dobra jak jej ojciec.

Jedyną osobą, która umiała skutecznie uciszyć Antoinette, była naturalnie jej matka.

Maddie uwielbiała ciotkę i pragnęła jak najbardziej się do niej upodobnić.

;

- Ciociu Antoinetie!

- wykrzyknęła na jej widok i rzuciła się

naprzód, wymijając babkę oraz kuzyna Williama, aroganckiego dwudziestolatka, którego nie darzyła zbytnią sympatią.

- Och, kochanie, z każdym dniem stajesz się piękniejsza!

- An toinette odwzajemniła uścisk siostrzenicy i obrzuciła ją zachwyconym spojrzeniem.

Od dawna uważała, że Maddie jest do niej uderzająco podobna.

- Przywiozłam ci dobry lakier do paznokci i sztuczne rzęsy, które znalazłam w uroczym sklepiku na Portobello Road.

Pomyślałam sobie, że kto jak kto, ale ty na pewno zro bisz z nich użytek!

Rita poczuła, jak jej żołądek kuli się ze zdenerwowania, ponie waż ciotka zawsze odnosiła się do niej z pogardliwym pobłażaniem.

Dziewczyna reprezentowała wszystko, czego Antoinette szczerze nie cierpiała i nie rozumiała - miłość do przyrody i zwie rząt, awersję do makijażu oraz spokój i uступliwość, które to ce chy ona interpretowała jako słabość.

Gardziła słabymi ludźmi i nie wahała się im tego okazywać.

- Witaj, Rito - powiedziała cierpko, przyciskając policzek do policzka siostrzenicy, ale nawet nie starając się udawać, że ją ca łuje.

- Słyszałam, że George znowu cię zostawił...

Rita kiwnęła głową i wymamrotała coś niedosłyszalnego.

An toinette nie mogła się oprzeć, aby jej nie dokuczyć.

- Mam nadzieję, że nie patrzyłaś w niego jak w obraz - dorzu ciła przyciszonym głosem.

- Mężczyźni nie mają za grosz szacun ku dla zbyt uległych kobiet...

Twaz Rity oblał ciemny rumieniec upokorzenia.

Bez słowa od wróciła się i usiadła obok Maksa.

Usłyszała jeszcze, jak ciotka mó wi do Emily, że liczy, iż jej przyszły narzeczony nigdy nie zosta wi jej samej.

Antoinette przywitała się z siostrą oraz Eddie i na widok przyczepionego do rękawa najmłodszej siostrzenicy Harveya rzuciła się do tyłu, jakby nagle zaatakował ją wampir.

- Zabierz tego obrzydliwego skrzydlatego szczura na dwór i utop go, bo inaczej sama wepchnę was oboje do stawu!

- krzyk nęła piskliwie.

Eddie, która odziedziczyła po babce skłonność do absolutnej szczerości, odpowiedziała ciotce równie niechętnym tonem.

- Szkoda, że nie jesteś choć trochę mniejsza, ciociu, bo wtedy boje z Harveyem to ciebie z przyjemnością wrzucilibyśmy do

777 .

stawu!

Na pewno zatrulałabyś wodę i zniechęciła lisy do napastc wania kaczek Megababci!

Antoinette z przerażeniem spojrzała na siostrzenicę i mocne zaciągnęła się papierosem.

- Czy matka nie wytłumaczyła ci, jak należy odnosić się do starszych i lepszych od ciebie, moje dziecko?

- wykrztusiła z tru, dem.

;

- Wytłumaczyła, ale ty nie jesteś lepsza, tylko starsza - odpali-j ją bez wahania Eddie.

Odwróciła się na pięcie, chwyciła Emily za rękę i razem z nią i Ruth wybiegła do holu, aby pobawić się z kotami.

- Podobno dostałaś list od George'a - odezwał się Max, kiedy Rita usiadła obok niego.

Dziewczyna uśmiechnęła się, chociaż w jej oczach wciąż mało;

wał się ból, spowodowany złośliwością ciotki.

- Przysłał mi ten wisiołek - odparła cicho, pokazując Makso' wi srebrną gołębicę.

Max z wysiłkiem przełknął ślinę, porażony zazdrością.

- Śliczny...

- pochwalił.

Hanna zauważyła, co robi jej córka, i szybko odwróciła się do matki.

- Popatrz, mamó, George przysłał Ricie wisiołek, piękną srebr- J na synogarlicę, symbol miłości, spokoju i małżeńskiego szczęścia, i Cudowny, prawda?

- Uroczy - zachwyciła się pani Megalith, podchodząc bliżej, aby dokładniej przyjrzeć się ozdobie.

Antoinette nie omieszkała wykorzystać okazji.

- Ach, śliczny!

- oświadczyła.

Potem jej szkarłatne wargi rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

- Coś takiego mogło przyjść i do głowy wyłącznie niewiernemu mężczyźnie - dodała szeptem na tyle głośnym, aby usłyszeli ją wszyscy obecni w pokoju.

## Rozdział trzynasty

Zalana łzami Rita uciekła z pokoju, Max poszedł za nią, zosta wiając Hannę zeszywniałą z oburzenia i Humphreya z twarzą ko loru dojrzałego pomidora.

- Koniecznie musiałaś ją zranić?

- zapytał cichym, chłodnym głosem Humphrey.

Miał ogromną ochotę mocnym uderzeniem zetrzeć zadowolony uśmiezek z twarzy Antoinette.

- Och, dlaczego nikt z was nie ma ani odrobiny poczucia hu moru?

- westchnęła melodramatycznie.

Pani Megalith powoli zdjęła okulary i zmierzyła młodszą córkę mrocznym, poważnym spojrzeniem.

Antoinette poczuła, jak włosy na jej karku jeżą się ze strachu.

- Ranienie ludzi słabszych od ciebie nie jest niczym dobrym ani godnym pochwały, moja droga

- rzuciła pani Megalith.

- Zanim sta niesz do walki, wybierz sobie równorzędnego przeciwnika, a teraz Przeproś Ritę, chyba że chcesz, bym zamknęła cię w spiżarni razem ze wszystkimi kotami i nietoperzami, jakie mieszkają w tym domu...

Antoinette została kompletnie upokorzona.

Schowwała urażoną dumę do kieszeni, wyszła z pokoju i ruszyła na poszukiwanie Ri<sup>^</sup> lecz siostrzenica zaszyła się z Maksem w jego pokoju, starając si?

trzymać jak najdalej od ciotki.



- No i proszę, znowu to samo...

- jęknęła Rita, siadając obok Maksa na jego łóżku.

- Dlaczego zawsze muszę wyłakiwać się o twoim nieszczęsnym ramieniu?

Zasługujesz na coś lepszego, niż prawdę...

Max uśmiechnął się, zachwycony, że los darował mu następną okazję do intymnej rozmowy z Ritą.

- Antoinette uwielbia znęcać się nad słabszymi, ale w głębi;

ca jest najzwyczajniejszym tchórzem - powiedział.

- Nie, to ja jestem tchórzem.

Powinno być odpłacić jej tym samym za nadobne, tak jak Eddie.

- Eddie to Eddie, a ty to ty.

Jesteś wspaniała i nie powinnaś być dla siebie taka surowa...

- Masz spuścić oczy, ogarnięty nagłym onieśmieleniem.

Rita położyła rękę na jego kolanie.

- Bardzo mi miło, że tak myślisz - rzekła łagodnie.

Chwilę im się hala, potem głośno przełknęła ślinę.

- Chciałam cię o coś pytać...

Jesteś mężczyzną, więc może będziesz umiał mi odpowiedzieć...

Max wyprostował się, zadowolony, że Rita uważa go za mężczyznę, nie za chłopca.

- Czy myślisz, że popełniłam błąd, pozwalając George'owi i jechać?

Max kochał ją zbyt mocno, aby wystawić na ryzyko ich różniącą się przyjaźń i powiedzieć prawdę.

Gdyby chciał być całkiem wiesz, musiałby wyznać, że jego zdaniem popełnił ogromny błąd.

Musiałby też dodać, że ma nadzieję, iż George nie wróci do Frogal Point, i

- Postąpiłaś bardzo odważnie - oświadczył, ujmując jej dłoń.

Tchórz nigdy nie zachowałby się w taki sposób.

Zaufaj George'owi, przecież miłość wymaga zaufania, prawda?

- Ufam mu - odparła szybko, zawstydzona, że dała wyraz dla czującym ją wątpliwościom.

- Tęsknię za nim, to dlatego przyct dż mi do głowy różne niemądre myśli...

Max oddałby pół życia, żeby teraz móc ją pocałować.

Codzie nie wyobrażał sobie, jak by to było, i teraz, siedząc tuż obok nit uświadomił sobie, jak łatwo byłoby nachylić się ku niej i przyct nać wargi do jej ust.

Rita miała cudowne wargi, bladuróżowe i id6

174

alnie wykrojone, nieco podobne do muszli.

Opanowany pożąda niem i ośmielony łagodnym wyrazem jej oczu, pochylił głowę i złożył lekki pocałunek na jej policzku.

Skóra Rity była jeszcze wilgotna od łez i pachniała fiołkami.

Poczuł, że dziewczyna sztyw nieje, i szybko się cofnął, za nic nie chcąc psuć delikatnej równo wagi ich przyjaźni.

- Jesteś mi bliska jak siostra - powiedział pośpiesznie.

- Może mógłbym być dla ciebie bratem, którego nigdy nie miałaś...

Nieco napiętą twarz Rity rozjaśnił łagodny uśmiech.

Nieśmia ło przygryzła dolną wargę.

- Oczywiście - odparła.

- Zawsze chciałam mieć brata...

Zapadło długie milczenie.

Max, przerażony świadomością, że o mało nie wyjawil jej swoich prawdziwych uczuć, zaczerwienił się gwałtownie.

Rita rozejrzała się po pokoju.

Jej wzrok spoczął na zniszczonej zielonej książce, leżącej na małym stoliku przy łózku.

Był to niewielki tomik o mocno sfatygowanej okładce i wypada jących kartkach.

- Jaka niezwykła książka...

- zauważyła, z ulgą zmieniając temat.

Max wziął książkę do ręki.

- Należała do mojej matki.

Tomik wierszy, które bardzo lubiła...

- Mogę spojrzeć?

- Są po niemiecku, to wybór utworów jej ukochanych poetów.

Podał jej książkę.

Chciał dodać, że zawarte w tomie wiersze o miłości zna już na pamięć, ale nie zrobił tego.

Dziewczyna otwo rzyła książkę i przesunęła palcami po pożółkłym papierze, gru bym i szorstkim jak pergamin.

Zastanawiała się, czy Max czuje, Jak jego matka wyciąga do niego ręce poprzez te kartki i dotyka go, czy może słyszy jej głos, szepczący pieszczotliwe słowa w chwili, kiedy syn potrzebuje pociechy.

Poruszona tą niezwykle romantyczną myślą, podniosła wzrok i zatrzymała go na wrażliwej twarzy Maksa.

Megababcia mówi, że twoja matka była sławną aktorką.

Czy była bardzo piękna?

- Tak mi się wydaje.

- Sądzę, że jesteś do niej podobny - powiedziała, wkładając książkę w jego dłonie.

175 .

Wargi Maksa lekko zadrżały.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem...

- odparł cicho.

Nie chciał przywoływać teraz z pamięci obrazu nieżyjącej ma ki.

Czuł się lepiej, gdy jego myśli nie krążyły wokół przeszłość

- Jesteś gotowa stawić czoło ciotce?

- zapytał.

- Bardziej gotowa już nie będę!

- zaśmiała się.

- Chodźmy j bo wszyscy zaczną się zastanawiać, co się z nami stało...

Eddie przez cały lunch wpatrywała się w ciotkę spod mc ściągniętych brwi.

Megababcia kazała jej zamknąć Harveya w s mochodzie, lecz dziewczyna zbuntowała się i schowała nietoper głęboko w rękawie, skąd co jakiś czas wyglądał i wydawał ostre;

ski, najwyraźniej skierowane do Antoinette.

Antoinette przeprosiła Ritę, ze śmiechem powtarzając kilk krotnic, że jej uwaga była zwykłym żartem.

- Niby skąd miałabym wiedzieć, czy twój George cię zdrac czy nie?

- rzuciła lekko.

Rita wyczuwała nieszczerłość ciotki i dlatego usiadła przy i gim końcu stołu razem z Maksem, Williamem i swoim ojc Humphrey nigdy nie lubił szwagierki i podziwiał Davida, mężi Antoinette, za to, że z nią wytrzymuje.

David rzadko pojawiał si w towarzystwie, a nawet w domu, co zdaniem wielu stanowiło dc wód przebiegłości, niezbędnej do przeżycia w roli męża Anto nette.

Płacił rachunki, zapewniał żonie środki do życia na wys(' kim poziomie i utrzymywał dyskretną kochankę w mieszkano w zachodniej części Londynu.

To, co robił dla komórki wywiajl dowczej MI5, okryte było najgłębszą tajemnicą i dawało David wi doskonałą wymówkę, aby ocalić sporą część życia przed zoc

U szczytu stołu siedziała Megababcia i obserwowała Antoinel zmęczonymi szarymi oczami.

Zauważyła Harveya, ale nie skomentowała jego obecności, i szczerze współczuła Ricie, która mi mo-  
ładnego prezentu od George'a sprawiała wrażenie mocno przygnębionej.

Pani Megalith miała złe przeczucie, które prz) warto do niej jak zimny węgorz, przyprawiając ją o  
dreszcz niepo koju.

Coś było nie w porządku z tą synogarlicą...

Starsza pan przeżuwała jagnięcą pieczeń i intensywnie myślała.

Symbol miło

T7f.

ści, to prawda, ale tu chodziło o coś więcej...

Przecież gołębica jest także symbolem przebaczenia i pokoju, prawda?

Co takiego Rita miałaby przebaczyć George'owi?

Po lunchu wzięła wnuczkę na stronę.

- Co napisał George w liście?

- zapytała.

Wyjęła okulary z kieszeni i włożyła je, ponieważ miała nadzieję, że Rita pozwoli jej przeczytać list.

- Zostawiłam go w domu - skłamała dziewczyna.

Megababcia zmarszczyła brwi i Rita natychmiast zrozumiała, że i tak nie zdoła jej oszukać.

- Czytałam go na szycie klifu - szepnęła, bojąc się, żeby ktoś jej nie podsłuchał.

- Wiał mocny wiatr i wyrwał mi kartkę z ręki.

Zbiegłam na plażę, żeby ją odzyskać, ale wylądowała daleko na fa lach...

Straciłam list na zawsze...

Pani Megalith z powagą pokiwała głową.

- Ach, tak...

- mruknęła.

- To tłumaczy wymowę prezentu i je go symbolikę.

Ciekawe...

- Co masz na myśli, babciu?

- Głupstwa, moja droga!

- zaśmiała się starsza pani.

- Nie martw się stratą listu.

Przecież wiesz, że niedługo dostaniesz na stępnym.

A jeśli chodzi o Antoinette, to nie jest tajemnicą, że cza sami potrafi się zachować w wyjątkowo podły sposób.

Każdy ma paskudną stronę swojej natury, lecz w przypadku Antoinette pro blem polega na tym, że jej złe cechy nasilają się i zakłócają rów nowagę charakteru.

Wkrótce zaczniesz brzydnąć, bo wady zawsze uwidaczniają się także i na twarzy, i wtedy na pewno się zmieni.

Jest zbyt próżna, aby tego nie zrobić, a ja jako pierwsza powiem Jej, że traci urodę.

- Czytam teraz wspaniałą książkę o carach Rosji - opowiadała Antoinette wszystkim, którzy chcieli słuchać.

- Cóż to za barwna historia!

Antoinette krytycznie spojrzała na książki matki, chaotycznie tchnięte na starych, mahoniowych półkach.

Uważała się za intelektualistkę i manifestowała to przy każdej okazji.

- Co czytasz, Humphrey?

- zagadnęła.

- Zawsze trzeba mieć ja111 .

kas nową, inspirującą lekturę, nie sądzisz?

Ja zwykle czytam kilka książek naraz i sięgam po którąś, w zależności od nastroju Chętnie wracam do klasyki.

Bardzo podobała mi się Anna Kare<sup>n</sup>a.

Większość kobiet nie może przebrnąć przez Wojnę i pokój, lecz mnie lektura tej powieści sprawiła ogromną przyjemność.

Cóż, od dziecka lubiłam wyzwania...

Jeżeli coś jest zbyt łatwe, szybko mnie nudzi.

Humphrey spokojnie palił cygaro.

Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w rozmowę ze szwagierką.

Antoinette wcale nie interesowała, co czyta, zależało jej tylko na tym, żeby pochwalić si własną inteligencją.

- Ja także uwielbiam czytać!

- zawołała Maddie, która czytali tylko w szkole, i to wyłącznie dlatego, że nie miała innego wyjścia:

Postanowiła jak najszybciej przeczytać t<sup>o</sup> Annę Kareninę, cokol-j wiek to było, ponieważ chciała jak najbardziej upodobnić się do ciotki.

- To świetnie, kochanie - pochwaliła ją Antoinette.

- Głupia kobiety są po prostu nie do zniesienia.

Można schwytać mężczy<sup>znę</sup> dzięki urodzie, ale nie da się zatrzymać go przy sobie, jeśli nie pielęgnuje się własnej inteligencji.

Rozwijaj swój umysł, tak ja to robię, a na pewno dobrze wyjdiesz za mąż - poradziła.

Humphrey przewrócił oczami i spojrzał na zegarek.

- Hanno, na nas już czas - odezwał się do żony, która razem z Eddie przeglądała albumy ze starymi rodzinnymi fotografiami

- Musimy już jechać?

- zaprotestowała, ponieważ bardzo lubi!

ła oglądać zdjęcia z okresu swojego dzieciństwa, i

- Chyba tak - odparł Humphrey z naciskiem.

- Rito, Maddie<sup>a</sup> zbierajcie się.

'i

Hanna usłyszała ton zniecierpliwienia w jego głosie i postusz-j nie zamknęła album.

Wstała i wyszła z mężem do holu, gdzie Me- gababcia na czworakach chodziła po podłodze, bawiąc się z Emi- ly, Ruth oraz kotami.

Kiedy Humphrey i jego rodzina stali już w progu, z salonu dc biegł ich głośny wrzask.

- Dobry Boże, co się stało?!

- Humphrey ruszył z powrotei do salonu.

Hanna, Rita i Maddie pobiegły za nim.

Wrzask brzmiał na-1

prawdę rozpaczliwie, zupełnie jakby ktoś znalazł się w śmiertel nym niebezpieczeństwie, kiedy jednak wszyscy czworo wpadli do dużego pokoju, Humphrey i Rita parsknęli śmiechem na widok Antoinette, obleganej przez co najmniej dwadzieścia kotów.

Trud no byłoby im wymyślić bardziej odpowiednią zemstę.

- Odgońcie je ode mnie!

- krzyczała histerycznie Antoinette.

Koty drapały jej nylonowe pończochy, wbijały pazury w suknię, a jeden siedział na czubku głowy, miętosząc łapami starannie uło żoną fryzurę.

Antoinette wołała na pomoc matkę, ale pani Megalith nie była w stanie powstrzymać rozwścieczonych zwierząt.

Tylko Eddie, która z uśmiechem wychylała się zza pleców ojca, wiedziała, dla czego koty zaatakowały ciotkę, ale nie miała zamiaru powierzać komukolwiek tego sekretu.

- Co zrobiłaś z tymi kotami, Eddie?

- zapytał Humphrey po powrocie do domu, starając się powstrzymać rozbawienie.

- Skąd wiesz, że to ja?

- Eddie rzuciła mu niewinne spojrzenie i powiesiła płaszcz w szafie.

Była zachwycona, że wreszcie wrócili do domu.

Wyjęła z kre densu puszkę z ciasteczkami i otworzyła ją.

- Znam ten twój łobuzerski uśmiech - odparł Humphrey.

- Co zrobiłaś?

- powtórzyła pytanie ojca Rita.



Bardzo żałowała, że sama w jakiś sposób nie dokuczyła nielubianej ciotce.

- Nic takiego - powiedziała Eddie.

- Przecież nie mogłam ka zać rzucić się na nią tym wszystkim kotom?

- Właśnie!

- przytaknęła Hanna.

- To bezsensowny pomysł, naprawdę...

- Wyjęła herbatnik z ręki córki.

- Jeszcze nie czas na Podwieczorek, skarbie.

- Zjem tylko jeden, przysięgam!

Jestem strasznie głodna, ta jagnięcina była ohydna!

- No, dobrze...

- westchnęła Hanna.

- Ale tylko jeden...

Eddie zanurzyła rękę w puszcze i z szerokim uśmiechem wyjęła trzy owsiane herbatniczki.

- Niezależnie od tego, kto zrobił Antoinette psikusa, nie da się ^przeczyć, że zasłużyła sobie na to - powiedział Humphrey, za bierając gazetę i idąc do salonu.

- Moim zdaniem wszyscy jesteście okropni dla cioci Antoinette.

- Nadąsana Maddie przygryzła dolną wargę.

- Tylko ja ją lubię...

- Wszyscy ją lubimy, kochanie, ale była wyjątkowo niemiła dla Eddie i Rity - rzuciła Hanna.

- Nikt nie lubi Harveya!

- oznajmiła Maddie.

Eddie rzuciła jej rozwścieczone spojrzenie.

- Ona kłamie, prawda, mamo?

Przecież ty lubisz Harveya...

- Oczywiście, skarbie.

Na odległość.

- A Rita po prostu jest nadwrażliwa - wymamrotała Maddie.

Rita przewróciła oczami i wyszła za ojcem do salonu.

Maddie pobiegła na górę, żeby w skupieniu nałożyć na usta kolejną warstwę szminki i jeszcze raz przejrzeć kolorowe magazyny.

Hanna,!

odwróciła się do Eddie.

- Co zrobiłaś z tymi kotami?

- zapytała cicho.

Eddie zmrużyła oczy i szybko rozejrzała się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Dobrze, powiem ci - wyznała.

- Obiecuj mi tylko, że nie po wtórzysz tego Megababci...

- Obiecuję.

- Poprosiłam je, żeby się na nią rzuciły.

Hanna zmarszczyła brwi.

- Poprosiłaś je?

- powtórzyła niedowierzająco.

- Tak, bardzo wyraźnie powiedziałam temu dużemu czarnemu, co mają zrobić.

Wydaje mi się, że on jest ich królem, wiesz?

Hanna powoli kiwnęła głową.

- Tak myślisz?

- Tak.

Zrozumiał mnie i od razu poszedł przekazać prośbę in nym.

Megababcia zawsze mówi, że jeżeli ktoś zada sobie trud i spróbuje porozumieć się ze zwierzętami w sposób telepatyczny, " na pewno zareagują.

Byłam taka wściekła na ciotkę Antoinette, że ;

spróbowałam, 'f

- Cóż, najwyraźniej podziałało...

- rzekła Hanna.

Nie wiedziała, czy powinna wierzyć Eddie, czy nie.

Dorastała j ze świadomością, że jej matka jest czarownicą, lecz teraz nie była j w stanie pogodzić się z faktem, że takie same zdolności może po-, siadać jej córka.

- Nie pozwolę, żeby ktoś bezkarnie gadał paskudne rzeczy o Harveyu - rzuciła złowrogo Eddie.

Zaskoczona Hanna drgnęła, ponieważ w chwili, gdy Eddie mó wiła tym tonem, kolor jej oczu zmienił się, zupełnie jak u babki.

- Mój Boże, urodziłam czarownicę!

- wykrztusiła.

Twarzyczkę Eddie rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Bardzo chciałabym być czarownicą, bo wtedy mogłabym la tać.

Masz miotłę, mamó?

- Nie taką, która lata - odparła Hanna, łagodnym ruchem od garniając włosy Eddie.

- Ale pozwolisz mi spróbować?

- Jeśli chcesz...

Jest w szafce w korytarzu.

Może przy okazji za miotłabyś kuchnię, co?

Eddie potrząsnęła głową i zachichotała.

- Nic z tego, wolę polatać - oświadczyła i pobiegła po miotłę.

Maddie była wściekła na Ritę.

Uważała, że starsza siostra za chowuje się jak osoba dotknięta atakiem cięłej miłości i robi źle, samotnie spacerując po wietrznej plaży i rezygnując z towa rzystwa.

Ciocia Antoinette ma rację - gdyby George naprawdę ko chał Ritę, na pewno by jej teraz nie zostawił, w każdym razie nie na cały rok.

Maddie wątpiła, czy George w ogóle wróci.

Najpraw dopodobniej zakocha się w jakiejś Argentynce, bo przecież kobie ty z Ameryki Południowej słyną z urody.

Rita była słaba.

Powin na była powiedzieć George'owi, żeby natychmiast się z nią ożenił, i tyle, a gdyby odmówił, poszukać sobie kogoś innego.

Na świecie Jest mnóstwo mężczyzn, pomyślała z uśmiechem.

Sama sypiała teraz z dwoma facetami.

Jednym był syn miej scowego przedsiębiorcy budowlanego, Steve Eastwood, silny, muskularny młody człowiek o gęstej jasnej czuprynie i brązo wych oczach, łagodnych jak słodki krem.

Dłonie miał szorstkie i pokryte odciskami, wiedział jednak, jak pieścić kobietę i nie Podrapać jej.

Mówił z wyraźnym prowincjonalnym akcentem, a Jego uśmiech był szeroki, pewny siebie i cudownie chłopiący.

Maddie uwielbiała się z nim kochać, bo w jego ramionach czu^a się krucha i kobieca.

Jej drugi kochanek, Bertie Babbindon, był bogaty, czarujący, ale potwornie nudny.

Miał ulizane czarne ^osy, modnie się ubierał i uważał się za playboya.

Przysyłał .

Maddie kwiaty, dawał jej drogie prezenty i zupełnie nie umiał całować.

Maddie nigdy nie była zakochana, więc nie rozumiała, dlaczego go jej siostra usycha z tęsknoty za George'em.

Znała tylko pożądanie, nic więcej.

Było tak do czasu, gdy we Frogmal Point pojawił się Harry Weaver.

- Kto to jest ten Harry Weaver?

- zapytała matkę, lekko marsz-

cząc swój śliczny nosek.

- Musimy wrócić na lunch?

Chciałam spędzić cały dzień z Bertiem.

Hanna zeszywniała.

Nie przepadała za Bertiem Babbintonem który jej zdaniem był arogancki, samolubny i wulgarnie rozrzut-i ny w czasach, kiedy ostentacyjne manifestowanie zamożności by to w złym guście.

Bertie w żaden sposób nie włączył się do wojen-1 nego wysiłku wszystkich Brytyjczyków - przez całą wojnę ukrywał się w rodzinnej willi w Szwajcarii i pewnie uczył się nie mieckiego na wypadek, gdyby alianci przegrali.

Hanna spojrzała^ przez okno na błyszczący w porannym słońcu śnieg, który w nocy cienką warstwą pokrył ziemię.

Po trawniku spokojnie przecha-' dzało się kilka bażantów.

Ptaki rozgrzebywały śnieg z nadzieją, że uda im się znaleźć coś do jedzenia.

Hanna pomyślała, że na pewno przyleciały z Elvestree, gdzie Megababcia zimą zawsze wysy-1 pywała dla nich ziarno.

- Bardzo bym chciała, żebyście były w domu na lunchu, wszystkie trzy.

Harry Weaver to uroczy człowiek i nikogo tu nie zna.

Kupił ten śliczny mały biały domek nad zatoką Bray.

- Czym się zajmuje?

- ziewnęła Maddie.

Pochwyliła spojrzenie Rity i zrobiła znudzoną minę.

- Jest pisarzem.

- Wydał jakieś książki?

- Och, nie wiem, ale na pewno lubi obserwować ptaki.

Dzięki temu go spotkałam, i

- Co za nuda!

- westchnęła Maddie.

- Ptaki to ptaki i nie ma j w nich nic ciekawego, ciocia Antoinette ma rację...

i

- Jest żonaty?

- zapytała Rita.

- Rozwiedziony.

Myślę, że byłoby mu miło, gdybyśmy go za-1 adoptowali.

Jest całkiem sam na świecie, biedak.

Maddie wygodniej umościta się w fotelu i odęta wargi.

Niedzic-1

la była dla niej zwyczajnym dniem, gdy tymczasem Rita najczęściej starała się mieć wtedy jak najwięcej czasu dla siebie.

Minęły już dwa tygodnie od dnia, kiedy morze zabrało jej list od George'a, ciotka Antoinette tak bardzo jej dokuczyła, a Max pocałował ją w po liczek.

Napisała liczący cztery strony list do George'a, opowiadając mu o ciotce Antoinette i kotach, nienaturalnym zainteresowaniu Eddie czarami, swojej nowej pracy w miejskiej bibliotece i kampa nii ojca, który walczył o uchronienie dziewiczych terenów leśnych w pobliżu Frogmal Point przed zakusami agentów nieruchomości i przedsiębiorców budowlanych.

Dużym, ozdobnym charakterem pisma przywołała ich wspólne wspomnienia łagodnych letnich wie czorów, które spędzali na klifach, obserwując mewy, oraz tajem nych spotkań w jaskini.

Wyznała, że tęskni za nim mocniej, niż umie to wyrazić słowami, że z radością nosi wisiorek i zaręczyno wy pierścionek z brylantem, na który codziennie patrzy, aby upew niać się, że on ją kocha.

Napisała też, że zamierza włożyć w dzień ślubu i wisiorek, i pierścionek, i że poprosiła Megababcię, aby po życzyła jej swoją suknię ślubną, którą Hanna ma trochę dopaso wać.

Tylko trochę, ponieważ Megababcia rzeczywiście musiała być bardzo szczupła, a suknia jest piękniejsza, niż Rita sobie wyobraża ła, haftowana w liście winorośli, naszywana perełkami i ozdobiona koronką.

Dziewczyna zapieczętowała list łzami i wysłała go z całą miłością, jaką nosiła w sercu.

Miała nadzieję, że jej uczucie okaże się dość potężne, aby zapewnić jej wierność George'a.

O dziesiątej pod dom zajechał sportowy jensen Bertiego, wzbudzając popłoch trzech gołębi, walczących o skórkę od chleba na zwirowanym podjeździe.

Maddie obiecała, że pojedzie z nim na przejażdżkę, pod warunkiem, że przed lunchem odwiezie ją do domu.

- Mama chce, żebym poznała jakiegoś starego miłośnika ptaków - wyjaśniła, przewracając zimnymi niebieskimi oczami i odgryzując włosy do tyłu.

- Mówi, że on nikogo tu nie zna.

Wcale "Inie to nie dziwi - tacy ludzie zwykle są samotni.

Podobno to pi^rz, ale dotąd nie wydał żadnej książki, więc na pewno nie zasłuże na uwagę.

Bertie miał nadzieję zabrać Maddie na lunch do Exeter i nie krył rozczarowania.

Kiedy Harry Weaver zajechał pod dom Hanny i Humphrey zniszczonym starym samochodem, Bertie namiętnie całował i ot macywał Maddie na tylnym siedzeniu jensena w ustronnym z ułku, mniej więcej siedem kilometrów od Frognal Point.

Hanna była wściekła.

Dobrze chociaż, że Rita i Eddie nie spr wiły jej zawodu...

Humphrey potrząsnął dłonią Harry'ego ti mocno, jakby znali się i przyjaźnili od dawna.

Harry wywieriał n ludzi właśnie taki wpływ - był serdeczny, nieco niezgrabny i p^ len naturalnego, ciepłego uroku.

Gdy się uśmiechał, na jego twa^ rzy rysowały się zmarszczki i bruzdy.

Miał rumianą, opalonl twarz, zupełnie jakby wciąż przebywał na świeżym powietrziri przeredzone nad czołem włosy siwiały mu na skroniach, a na czubku głowy triumfalnie sterczały w kilku kępkach.

ŁagodnA szare oczy były ocienione długimi, ciemnobrązowymi rzęsami których mogłyby mu pozazdrościć wszystkie mniej hojnie obda^ rzone przez naturę kobiety.

,

Hanna powiesiła jego płaszcz, od razu zauważając, że materiał jes( w kilku miejscach przeżarty przez mole i wytarty na łokciach, po-1 tem zaś zaprowadziła gościa do salonu, gdzie Eddie bawiła się z Harl veyem, a Rita siedziała przed kominkiem, przeglądając gazety, f

- Oto dwie z moich trzech córek - powiedziała z dumą.

- Ed die ze swoim nietoperzem Harveyem,.

najprawdziwsze papużki nierozłączki, oraz Rita, której narzeczony przebywa teraz w Ar gentynie, a wcześniej służył w RAF-ie...

Harry z miłym uśmiechem uściśnął dłonie dziewcząt.

Rita na tychmiast go polubiła, Harry miał w sobie coś ujmującego i robif wrażenie nieco steranego życiem, co w kobietach rozbudzało in stynkt opiekuńczy.

,

- Ach, mały nietoperz!

- rzekł Harry, wyciągając rękę i wska-r żującym palcem głaszcząc kudłatą głowę zwierzątka.

- Czy nie po":

winien teraz spać zimowym snem?

Oczy Eddie zabłyśły.



Nikt inny nie okazał Harveyowi tyle za interesowania.

- On nie zapada w zimowy sen - oświadczyła.

- Pytam, bo większość nietoperzy hibernuje, ale najwyraźniej twój rękaw jest tak ciepłym i przytulnym schronieniem, że Harvey woli cieszyć się nim na jawie.

Czym go karmisz?

184

- W lecie sam poluje na muchy i inne insekty, a teraz daję mu jagody i chleb.

- Podaj mu trochę mięsa z ryby - zasugerował Harry.

- Nieto perze uwielbiają ryby.

- Och, na pewno spróbuję!

- Eddie uśmiechnęła się szeroko z wdzięcznością.

Harry usiadł na sofie i zaśmiał się cicho, kiedy Eddie zerwała się z fotela i przysiadła się do niego tak blisko, że połowa kanapy pozostała wolna.

- Nie uduś naszego biednego gościa - rzucił z rozbawieniem Humphrey.

- Obawiam się, że właśnie zyskał pan nową przyja ciótkę, a raczej dwoje przyjaciół!

- Nietoperze to naprawdę fascynujące stworzenia, jedyne ssa ki, które umieją latać.

Są też bliżej spokrewnione z człowiekiem niż na przykład myszy.

Proszę spojrzeć na ich łapki - mają czte ry palce i kciuk, przedramiona, łokcie i ramiona...

- Harry od wrócił się do Eddie.

- Ich naukowa nazwa to Chiroptera, czyli "skrzydlata ręka".

Właśnie dzięki nietoperzom dochodzi do za pylenia kwitnących nocą kwiatów i to właśnie one regulują liczbę insektów, są pod tym względem genialne.

Zawsze bardzo je lu biłem.

Eddie wpatrywała się w Harry'ego jak w obraz.

- Moja ciotka Antoinette nienawidzi Harveya - wyznała.

- Był to mu strasznie przykro, kiedy zagroziła, że wrzuci go do stawu...

Harry delikatnie poklepał ją po ramieniu.

- Musisz jej wybaczyć, na pewno po prostu trochę się go prze straszyla.

Nie zna go tak dobrze jak ty, prawda?

W tej chwili na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu.

Hanna zerknęła na zegarek.

Najwyższy czas, pomyślała z irytacją.

Wszyscy spojrzeli na drzwi z uczuciem dziwnego oczekiwania.

- To moja druga córka, Maddie - Hanna uśmiechnęła się do Harry'ego.

- Już wcześniej umówiła się, że spędzi przedpołudnie z przyjacielem...

Humphrey znacząco uniół brwi.

On także nie lubił Bertiego, chociaż musiał przyznać, że ten chłopak i Maddie mają ze sobą dużo wspólnego.

Maddie szybkim krokiem weszła do domu, nachmurzona i zła,

185 .

ponieważ wolałaby pojechać na lunch do Exeter.

Stała w progu salonu z założonymi na piersi rękami.

- Przepraszam za spóźnienie...

- odezwała się niechętnie.

- Nie szkodzi, skarbie - powiedział Humphrey.

- Poznaj Harry'ego Weavera, eksperta od nietoperzy...

- Nie eksperta, może zaledwie znawcę - odparł Harry, wstając aby przywitać się z Maddie.

Był wysoki i chudy jak Trees, lecz trochę przygarbiony, jak nie czuł się dobrze z tym wzrostem.

Maddie patrzyła na niego z zaciekawieniem.

Ku wielkiemu zażenowaniu dziewczyny, na jej policzki wypełził jej ciemny rumieniec, a serce zaczęło bić mocniej i szybciej.

Potrząsnęła jego dłoń, miękką i ciepłą jak świeże ciasto, i uświadomiła sobie, że kąci jej ust jakby bez jej woli uśmiechnęła się w zupełnie nietypowym dla niej uśmiechu.

Łagodne oczy Harry'ego spoczęły na jej perfekcyjnie umalowanej twarzy i ufolowanych na rudo włosach.

Podobnie jak Maddie, Harry tam poczuł siłę przyciągania, wibrującą jak struna skrzypiec, i z kimś uśmiechem powoli pokręcił głową, zaskoczony niespodzwanym urokiem tej młodej kobiety.

Maddie zamrużyła niechętnie, odwróciła się i podeszła do krzesła, bo nagle przestraszyła się że drżące nogi nie utrzymają jej ciężaru.

Wszyscy obecni poczuli że atmosfera w pokoju dziwnie się zmieniła, i podświadomie usłyszeli melodię miłości, która w ułamku sekundy wypełniła im dom, lecz nikt nie był bardziej zaskoczony od Maddie.

Podniosła oczy, aby znowu spojrzeć na Harry'ego, i z zażenowaniem zorientowała się;

zorientowała się, że on wciąż patrzy na nią z takim wyrazem oczu, jakby miał przed sobą niezwykle rzadkiego, zachwycającego ptaka

Rozdział czternasty

George jechał przez równinę, mrużąc oczy w słońcu i usiłując nie wdychać kurzu, wzbijanego przez galopującego przed nim konia Jose Antonia.

Nie mógł przestać myśleć o Susan.

Co za dziwna zbieg okoliczności, myślał.

Czy to możliwe, że za sprawą jakiegoś przysięgłego losu ich drogi znowu się przetną?

Ujrzał przed sobą jej twarz, ale tym razem nie odsunął jej w głąb podświadomości, lecz pozwolił sobie delektować się jej widokiem.

Miał nadzieję, że właściwie zrozumiał wuja i Agatha rzeczywiście przywiozła z Buenos Aires właśnie Susan, nie jakąś inną kobietę.

Popołudnie ciągnęło się bez końca, a George był zbyt roztrącony, aby dobrze pracować.

Gauczowie otwarcie pokpiwali z niego, pewni, że to kobieta kryje się za jego zamyśleniem.

Gestykułowali żywo, sugerując najróżniejsze akty seksualne, potem zaś ^chotali głośno, z rozbawieniem trącając się łokciami.

George był Przystojnym mężczyzną i wydawało im się nie do pomyślenia, że nie korzysta z usług dziwek z Jesus Maria.

W końcu Jose Antonio zwolnił go z obowiązków do końca dnia.

Wracaj do domu i dotrzymaj towarzystwa kobietom.

- Uśmiech ał się do siostrzeńca żony.

- Widzę, że słońce przepaliło ci mózg...

George zaprotestował.

Nie chciał, żeby gauczowie uznali go za ^abeusza.

- Jestem trochę zmęczony, ale nic mi nie jest - powiedziała Gdyby wiedzieli, z czym musiał radzić sobie w czasie bit o Anglię!

Wuj klepnął go w plecy i mrugnął do niego porozuni wawczo.

- Nie mam dziś dla ciebie nic więcej do roboty, gringo.

La G da z przyjemnością opowie ci, jak spędziła czas w Buenos.

Nd się herbaty, popływaj w basenie, odpocznij.

Daję ci wolne pop ludnie, zasłużyłeś na nie.

George wiedział, że wcale nie zasłużył na czas wolny, ale sp nil polecenie wuja.

Nauczył się już, że z Jose Antoniem nie na ży dyskutować, i

Zawrócił konia i pogalopował w kierunku puesto.

Na miejil rozsiedlał zwierzę, starannie wytarł je szorstką derką, uwiał w cieniu i napoił.

Nogi mu drżały, zupełnie jakby pożyczył je kogoś innego i dopiero uczył się nimi posługiwać.

Kiedy niepo nym krokiem szedł do domu, modlił się w duchu, żeby kobirt która przyjechała do Las DOS Vizcachas, okazała się Susan, nic j kas obca osoba, i

Po paru chwilach ujrzał przed sobą dom i werandę, na której d kobiety piły herbatę.

Tą, która siedziała na wprost, była jego cio - bez trudu rozpoznał ją po charakterystycznie krępej sylwetce.

A tha siedziała nieco pochylona, opierając na brzegu stołu ręce i oi ty biust.

Jej towarzyszka, zwrócona bokiem w kierunku Georg miała bardzo jasne, błyszczące włosy zwinięte w kok na karku i d gą, smukłą szyję.

Szczupłymi palcami odsunęła niewielki loki ucho i z roztargnieniem musnęła skórę.

Serce George'a na monit przestało bić.

To była Susan, tak, na pewno...

Kiedy zbliżył się ja cze bardziej, zobaczył, że ma na sobie białą sukienkę w niebiesl kwiatki, i był przekonany, że czuje w powietrzu zapach konwa] niesiony przez ciepły wiatr.

Zastanawiał się, czy nie powinien i przebrać, był przecież spocony, zakurzony i brudny po pracy, lecz 2 nim się zdecydował, Agatha dostrzegła go i pomachała do niego, l raz nie miał już wyjścia - musiał przywitać się z ciotką i jej gościa

Susan odwróciła się z lekkim uśmiechem i oficjalnym gęste podała mu rękę.

- Dzień dobry - powiedziała uprzejmie.

- Miło mi pana znać.

Pańska ciotka dużo mi o panu opowiadała...

George zrozumiał, że Susan udaje, iż wcale się nie znają.

Ujął k dłoń i przytrzymał odrobinę dłużej niż należało.

Patrzył w jate oczy, starając się odgadnąć jej zamiary, lecz ona szybko odwró[ta wzrok.

- Najwyraźniej pani siostrzeniec czuje się tu jak w domu - odeyała się do Agathy.

- Śmiało można wziąć go za gaucza...

t- - Mój mąż podziwia jego pracowitość i solidność.

Mówi, że fieorge szybko się uczy i ma poczucie humoru, a taka pochwała ajego ust to naprawdę rzadkość.

Jose Antonio jest człowiekiem, teórego niełatwo zadowolić.

George nagle zirytował się, że kobiety rozmawiają o nim jak ",9 nieobecny.

Czuł się nieswojo, stojąc tak przed nimi i podda je się ocenie.

Podniecenie minęło, ustępując miejsca bolesnemu oczarowaniu.

- Jak minęła podróż, ciociu Agatho?

- zapytał spokojnie, jak by Susan nie miała dla niego najmniejszego znaczenia.

∴ i - Nie uwierzysz, jak bardzo zmieniła się Dolores!

Z dnia na s dzień stała się łagodną istotą o pogodnym nastawieniu do świata.

^ I nawet się uśmiecha, coś niesamowitego!

Mieszkam tu już pra wie piętnaście lat, a nigdy nie widziałam jej uśmiechniętej.

. - Może stara się nadrobić zaległości - zauważyła Susan.

- Może, zwłaszcza że sporo ma do nadrobienia!

- Agatha parsk nęła śmiechem.

- Znalazłam Susan więdnącą w upale Buenos Aires i przyszło mi do głowy, że może miałyby ochotę spędzić 2 nami święta Bożego Narodzenia.

Im więcej osób w domu, tym Weselej, nieprawdaż?

- W grudniu Buenos Aires wydaje się nie do zniesienia - przyteknęła Susan.

- A tutaj jest po prostu pięknie...

George pomyślał, że Susan stara się omijać go wzrokiem.

Co ja kiś czas jej oczy zatrzymywały się na nim na sekundę, lecz działa 81?

to chyba wbrew jej woli.

- George uczy się hiszpańskiego - powiedziała Agatha.

- Robi 0 wiele szybsze postępy niż sądziłam...

- Entuzjazm to najlepsza motywacja - uśmiechnęła się Susan.

- - Ayba jeździ jak gauczo...

Myślę, że nawet kastruje jak gauczo!

- prychnęła Agatha.

George zacisnął zęby i włożył kapelusz.

Miał dosyć tej rozmowy.

- Przepraszam, ale muszę się umyć i jeszcze przebrać - rzuć niedbale.

Jego oczy jeszcze raz spoczęły na twarzy Susan.

Uśmiechną się do niego, lecz jej uśmiech był tak obcy i odległy, jakby już nie zapomniała, co łączyło ich na pokładzie "Fortuny".

- Wykąp się w basenie, mój drogi - poradziła Agatha.

- A ] tem przyjdź i wypij z nami herbatkę.

George zamknął drzwi swojego pokoju i oparł się o ścianę, dychając szybko i głośno jak rozwścieczony buhaj.

Znowu potr;

towała go jak chłopca...

Doprowadzała go do szaleństwa...

Gd) byli sami, bez wahania zapytałby ją, co robi w Las DOS Yizcacha czy przyjechała ze względu na niego, czy z jakiegoś innego powodu...

Ani przez chwilę nie wierzył, że ją także zaskoczył dziwny zbieg okoliczności, o nie!

Wiedziała, że on tu jest, i czekała na jego pojawienie się, poznała to po jej reakcji.

Była tak samo chłodna i obojętna jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkali się na pokładzie statku.

,

Zrzucił na podłogę zakurzoną koszulę i spodnie, Agustina mu ją wieczorem zabrała do prania.

Owinął się w pasie ręcznikiem chwycił paczkę papierosów i tylnymi drzwiami wyszedł nad basen.

Był tak wściekły, że nie słyszał dźwięcznego nawoływania ptaków, nie widział jasnych plam słonecznego blasku, tańczących u jego stóp na trawie, i nie czuł oszałamiającego zapachu gardnii.

Tuż nad brzegiem basenu rozwiązał ręcznik i chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w lekko falującą wodę.

Popołudniowe słońce grzało jego skórę, teraz brudną jak u gauczów, i podkreślało grę świeżo uformowanych mięśni.

Postanowił pokazać Susie że jest mężczyzną, nie chłopakiem.

Nagi rzucił się do niosącej cudowną ochłodę wody, która szybko obmyła go nie tylko z kurzu, ale także ze złości.



Energicznie pokonał kilkanaście długości basenu, potem zaś wsparł łokcie o krawędź i utkwiał wzrok w parku.

Nie miał ochoty wracać na w randę, czuł, że w obecności ciotki nie będzie w stanie porozmawiać z Susan.

Nie zamierzał udawać, że się nie znają.

Doszedł wniosku, że spędzi wieczór nad basenem i w ogóle zrezygnuj!

z podwieczorku.

Może później będzie miał więcej szczęścia i zdoła zamienić z nią parę słów przed kolacją.

Odepchnął się od brzegu i znowu zaczął pływać, to na plecach, to czołkiem, pod wodą i żabką.

Był świetnym pływakiem, głównie dzięki niezliczonym letnim wieczorom, jakie spędził w morzu.

W końcu, zupełnie wyczerpany, znowu oparł się na krawędzi basenu i podniósł wzrok.

Drgnął zaskoczony - Susan siedziała na niewielkiej ławce i cierpliwie go obserwowała.

Uśmiech, który mu się pojawił, był ciepły i pełen uczucia.

George powoli podpłynął i zatrzymał się tuż przed nią.

- Jak długo tu jesteś?

- zapytał.

- Od pewnego czasu - odparta z rozbawieniem.

- Wiedziałam, że jesteś dobrym pływakiem.

Dobrze zrobiłam, że nie powierzyłam ci swoich sekretów, teraz sam widzisz...

- Co zrobiłaś z ciotką Agatha?

- Dolores ją zawołała, więc pomyślałam, że trochę się przejdę, i wtedy usłyszałam, jak chłapiasz się w basenie.

- Doskonale.

- George rzucił jej uśmiech, unosząc nieco wyżej prawy kącik ust, ten sam uśmiech, który co noc prześladował ją we snach, odkąd opuściła "Fortunę".

- Podaś mi ręcznik?

Podniosła się i spełniła jego prośbę.

Kiedy nagi wspinał się po schodkach, nie mogła oderwać oczu od jego ciała.

Skórę miał brązowoczysta i był zbudowany jak grecki heros, tak jak przypuszczała.

Wziął ręcznik i owinął się nim w pasie, potem zaś odgarnął z czoła skręcone włosy.

Usiedli na ławce.

George zapalił i podsunął Susan paczkę, lecz odmówiła.

- Chyba powinnam ci coś wyjaśnić...

- zaczęła.

- Chyba tak - mruknął.

Przechyliła głowę i lekko zmarszczyła brwi.

- Przepraszam, że potraktowałam cię tak chłodno i obojętnie.

"yłam zdenerwowana...

George zerknął na nią z niedowierzaniem.

Zawsze wydawała si?

taka opanowana i spokojna...

- Poznałam twoją ciotkę na przyjęciu.

Zaczęła opowiadać mi o tobie, a wtedy wykorzystałam okazję i wyreżyserowałam całą tę ^tuację.

- Odwróciła się i popatrzyła na niego tymi samymi

707 .

smutnymi oczami, którymi tak często wpatrywała się w ocean, Od naszego rozstania nie mogłam przestać o tobie myśleć...

- dd dała cicho, j Serce George'a zabiło mocniej z radości.

Przeszedł go dreszd podniecenia, j

- Ja także wciąż o tobie myślałem - odparł.

- Nie sądziłem, że (jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Susan zaśmiała się i dotknęła jego ramienia.

- Najwyraźniej los postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

George przykrył jej dłoń swoją i lekko ścisnął.

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Rozluźniła się, jakby pod wpływem ulgi.

Zdziwił się, że potrz bowała potwierdzenia jego uczuć.

- Wydaje mi się, że twoja ciotka poczuła litość na widok mojej twarzy - rzekła.

- Nie sądziłam, że ta blizna może mieć równie i dobre strony...

- Lubię twoją bliznę, ponieważ stanowi część ciebie.

- Geor patrzył, jak Susan podnosi dłoń i ostrożnie przesuwając palcami ] policzku.

- W moich oczach dzięki niej jesteś jeszcze piękniejsza.^

Odwróciła wzrok i zamrugła niepewnie.

- Szczęśliwi ludzie noszą swoje blizny wewnątrz - westchnęła?

la. - Tak czy inaczej, zawdzięczam jej, że jestem tu z tobą, a tfl niemało.

- Mamy udawać przed Agathą i Jose Antoniem, że się nie zrozumiemy?

- zapytał po chwili.

Zaczerwieniła się.

- Zdaję sobie sprawę, że to absurd, ale nie wiedziałam, co i bić.

Zanim twoja ciotka zaprosiła mnie tutaj, udawałam, że cię (nie znam, a potem było już za późno, żeby wyznać prawdę.

Poz tym, gdybym powiedziała jej wcześniej, że spotkaliśmy się na pokładzie "Fortuny", może zaczęłaby podejrzewać, że kieruję mną niejasne motywy, i w ogóle by mnie nie zaprosiła, kto wie...

i

- Jesteś dobrą aktorką, grasz znacznie lepiej niż ja.

- George się( uśmiechnął.

- Tylko wtedy, gdy od tego zależy moja przyszłość.

Długą chwilę przyglądał się jej poważnie.

Gdy odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy, ogarnęła go chęć, aby pogłaskać ją

792

bliznę, lecz w tej samej chwili czar przysł i od strony domu dobiegł ich głęboki, donośny głos Agathy.

- George!

Susan!

Herbata wam stygnie!

Podnieśli się szybko.

George zgasił papierosa w trawie i rzucił niedopałek w krzaki.

- Akt pierwszy, scena pierwsza - odezwał się wesoło, biorąc Susan za rękę.

Poszli w kierunku domu, lecz George, opanowany nagłym zniecierpliwieniem, w pewnej chwili wciągnął Susan między drzewa i namiętnie ją pocałował.

Zachichotała jak młoda dziewczyna i otoczyła jego szyję ramionami, przywierając do niego całym ciałem.

Odwzajemniła jego pocałunek bez cienia wahania.

- To musi mi na razie wystarczyć, ale nie sądzę, żebym wytrzymał dłużej niż godzinę!

- George delikatnie pogładził jej miękkie policzki.

Oparła dłoń o jego pierś i popatrzyła na niego oczami, z których zniknął smutek.

George wziął szybką kąpiel i przebrał się w czyste rzeczy, uprane i wyprasowane przez Agustinę.

Kiedy wyszedł na taras, Susan już tam była, zajęta rozmową z Jose Antoniem, Agathą i dwójkiem dzieci, które niedawno wróciły ze szkoły.

- Poznałeś już Susan, gringo?

- zapytał Jose Antonio.

Susan siedziała obok niego, podobna do drobnego ptaka, usa dowionego w cieniu potężnego niedźwiedzia.

- Tak, już się poznaliśmy - odezwała się Susan, zwracając na George'a spojrzenie pełne roztańczonych iskierek.

- Znalazłam go nad basenem...

- Mam nadzieję, że miałeś coś na sobie, mój drogi - wtrąciła Agathę.

- George chętnie wskakuje nago do basenu, podobnie jak Jose Antonio, i nie przejmuje się, że czasami muszę się ru mienić.

- Tym razem był całkowicie ubrany, nie martw się - powie działa Susan, podnosząc filiżankę i pociągając łyk herbaty.

- Więc co sprowadza cię do Argentyny?

- Jose Antonio ukro<sup>^</sup> sobie spory kawałek sera, który położył na krakersie.

- W Ame<sup>"</sup>yce nie ma przecież wojny...

Wojnę spędziłam w Anglii - odparta spokojnie Susan.

- .

Mieszkałam tam jako dziecko, a potem wróciłam.

Mój ojciec I dyplomata.

- Jak długo zamierzasz zostać w naszym kraju?

- Nie wiem.

Nie mam żadnych planów.

Jose Antonio zmarszczył brwi.

Ta kobieta miała w sobie bardzo tajemniczego.

Odpowiadała krótko, tonem, który sugerował, że nie ma ochoty mówić o sobie.

Dałby wiele, żeby dowiedzieć się, skąd ma tę straszną bliznę, ale zadanie takiego pytania wprost byłoby bardzo nieuprzejme.

Postanowił, że później skłoni Agathę, aby zdobyła tę informację w bardziej dyskretny sposób.

- Susan dusiła się w mieście - powiedziała Agatha.

- Pomyślałam, że pobyt na świeżym powietrzu dobrze jej zrobi.

Nie ma I jak życie na wsi.

Możesz zabrać ją na przejażdżkę konną albo do Jesus Maria, George.

Jeśli interesują cię stare kolonialne kościoły, moja droga, to tutaj na pewno nie będziesz się nudzić - kiedy w tym regionie działali jezuici i pozostawili po sobie naprawdę ciekawe dziedzictwo.

8;

- Och, wiem!

- Susan z wyraźną ulgą przyjęła zmianę tematu rozmowy.

- Mój ojciec bardzo interesował się historią i przywiózł nas do Argentyny, kiedy byliśmy dziećmi.

Odwiedziliśmy wte Santa Catalina, Las Teresas, Alta Gracia, Colonia Caroya, Estancia La Candelaria...

Z przyjemnością zobaczę te miejscowości je;

cze raz, bo niewiele pamiętam z tamtej wizyty - odwróciła się i Jose Antonio.

- Będziesz mógł odstąpić mi na trochę George'a?

Jose Antonio odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Wydaje mi się, że gauczowie jakoś sobie bez niego poradzą!

Mrugnął do George'a.

- Jak myślisz, gringo^

- Sam chętnie zobaczę te kolonie.

Od przyjazdu nie miałem jeszcze czasu na zwiedzanie.

- Od razu zaprząłem cię do ciężkiej pracy, co?

- Koniecznie powinniście zobaczyć sierrę - podsunęła Agatha

- Hay pumas en las sierras - rzekł Tonito, zginając palce, aby przypominały uzbrojone w groźne pazury łapy, i złowrogo pomru^ kując.

- Nawet jeżeli spotkamy pumę, George obroni mnie przed nią odpowiedziała Susan doskonałym hiszpańskim.

George spojrział na nią z podziwem.

Lepiej popracuj nad swoim hiszpańskim, gringo.

- Jose Antonio parsknął śmiechem.

- Susan mówi bez cienia akcentu.

- Mam nad nim pewną przewagę - zauważyła taktownie Susan.

- Przez wiele lat podróżowałam po całym świecie.

- Więc może znasz też włoski i francuski?

- Agatha nie kryła zdumienia.

Susan skinęła głową.

- Ależ z ciebie szczęściara...

- Agatha pokiwała głową.

- No, powinnam chyba zajrzeć do Dolores, sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje.

Chodź ze mną, Jose Antonio, dobrze?

- Jeżeli zaczniesz na mnie wrzeszczeć, natychmiast odeślę ją do Buenos Aires - burknął Jose Antonio, wchodząc z żoną do domu.

Kiedy znaleźli się wewnątrz, ujął Agathę za ramię i obejrzał się, chcąc się upewnić, czy są sami.

- Skąd ma tę bliznę na twarzy, do diabła?

- syknął po hiszpańsku.

Agatha pokręciła głową.

- Nie chciała mi powiedzieć.

- Ale pytałaś, tak?

- Oczywiście!

Myślisz, że nie jestem ciekawa?

Wyglądała na bardzo smutną, więc zrobiło mi się jej żal.

Była całkiem sama w Buenos Aires.

Polubiłam ją.

Przez całą drogę rozmawiałyśmy, ale nic z niej nie wydusiłam, chociaż naprawdę się starałam.

- Była zamężna?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Agatha z zaciekawieniem spojrzała na męża.

- Z jej oczu można wyczytać, że została zraniona.

- Chyba nie była mężatką - odparła Agatha.

- Nie nosi ob rączki...

- To nic nie znaczy.

Dlaczego przyjechała tutaj sama?

Nie wy^aje ci się to dziwne?

- Wcale nie, jeśli była tu jako dziecko.

Poza tym jest niezależn^ kobietą o silnym charakterze, jak wiele Amerykanek.

Ma pieOiądze i raczej nie potrzebuje opieki.

Jose Antonio zmrużył oczy.

- Nie daj się zwieść pozorom.

Cicha woda brzegi rwie...



- Może masz rację, ale ona nie chce mówić o przeszłości.

- Założyłbym się o połowę naszego majątku, że zrobił jej mężczyzna.

Wcześniej przyszło mi do głowy, że może rzuciło s na nią jakieś dzikie zwierzę, na przykład lew, ale teraz stawiam i mężczyznę.

Agatha zaśmiała się cicho.

- Najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy, co ją spotkało.^ westchnęła.

- Straszna szkoda...

To piękna kobieta, w dodali jeszcze młoda.

Powinna mieć męża i małe dzieci.

- Jeżeli szuka męża, to źle wybrała cel podróży.

Jaki Argenty czyk ożeniłby się z kobietą z taką twarzą?

- Niech cię diabli wezmą!

- syknęła Agatha, oburzona i por szona do żywego.

W głębi duszy musiała jednak przyznać mężowi rację.

Wszyscy Argentyńscy, których znała, mieli obsesję na punkcie kobiec urody i fizycznej doskonałości.

- Może wcale nie szuka męża...

- mruknęła.

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz, Gorda.

Każda kobiet chce wyjść za mąż.

;

Agatha pokręciła głową, odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów.

Poszli do pokoju Dolores, która siedziała na łóżku ubr( na w jasnoróżową koszulę nocną, obsługiwana przez Carlo^ i Agustinę.

Na widok Jose Antonia uśmiechnęła się nieśmiała zupełnie jak młoda dziewczyna, która pragnie kogoś oczarować

- Niech Bóg obdarzy pana swoim błogostawieństwem - przł mówiła aksamitnym głosem.

- Cieszę się, że znowu dobrze się czujesz - odparł uprzejmie Je se Antonio.

Zauważył, że rozpuściła siwiejące włosy na ramiona.

Wygląd ła dość groteskowo w różowych falbankach, z koronkowym ko nierzykiem pod pomarszczoną szyją.

Posłała mu bezzębny, pełę wdzięczności i czułości uśmiech.

- Pamiętam pana jako małego chłopca...

- zaczęła.

Agatha spojrzła na męża i lekko uniosła brwi.

- Był pan słodkim, kochanym maleństwem, nic nie zapowia dato, że wyrośnie pan na takiego potężnego mężczyznę.

Pański oj ciec musi być z pana bardzo dumny.

Jose Antonio nie chciał przypominać starej służącej, że jego oj ciec uciekł z młodą dziewczyną i zamieszkał z nią na południu kraju, w Patagonii.

- On także zająłby się mną jak własną krewną, niech mu Bóg błogostawi...

- Niczego nie potrzebujesz?

- zapytał Jose Antonio, powoli wy cofując się w kierunku drzwi.

- Pani jest dla mnie bardzo dobra, chociaż to kobieta o moc nym charakterze.

Wiedziała to od początku, od dnia, kiedy za prosił ją pan do Las DOS Vizcachas, żeby poznała pańską rodzi nę...

- Dolores westchnęła ze wzruszeniem.

- Jej także niech Bóg błogostawi...

- Uśmiechnęła się przez łzy.

- Mama i Ernesto czu wają nade mną, senior.

Jestem tego pewna, bo gdyby nie ich ostrze żenie, byłabym już na tamtym świecie.

Jak byście sobie beze mnie poradzili, pan i señora?

Bogu niech będą dzięki...

- Bogu niech będą dzięki - powtórzył Jose Antonio.

Wymknął się z pokoju i szybko zbiegł na dół.

Miał dosyć roz mowy z Dolores.

Kolację zjedli na dziedzińcu, pod czerwonym drzewem.

Jedze nie nie było tak dobre jak to, które zwykle przygotowywała Do lores, lecz Jose Antonio miał poważne wątpliwości, czy powinien nadal ją zatrudniać.

- Zupełnie zwariowała.

- Potrzęsnał głową.

- Wcześniej moż na było się z nią łatwiej dogadać...

- Ale przynajmniej nie snuje się po domu w żałobnej czerni - zauważyła Agatha.

- Nie, bo teraz ubiera się na różowo, co u kobiety w tym wie ku jest po prostu okropne!

- Jose Antonio skrzywił się z niesma kiem.

- Musimy spojrzeć prawdzie prosto w oczy, Gorda, Dolores to wiedźma, która nagle odkryła swoją zasuszoną kobiecość, lecz nie rozumie, że jest już za późno, aby ją ożywić!

Parsknął śmiechem, ubawiony własnym dowcipem.

Myśl o "za wszonej kobiecości" Dolores skutecznie pozbawiła George'a ape tytu.

Dopiero znacznie później, kiedy Pia i Tonito oraz ich rodzice .

udali się na spoczynek, miał szansę porozmawiać z Susan sam

na sam.

Usiedli na szerokiej huśtawce na werandzie, trzymając się za ręce i obserwując, jak płomień świecy pod kloszem przyciąga ćmy i muchy.

Park rozbrzmiewał łagodnym graniem cykad, a równinę i wzgórza oświetlał duży, jasny księżyc.

Popijali wino, George palił papierosa.

Oboje czuli, że ta noc jest pełna magii, i cieszyli się, że mogą ją przeżyć razem.

Na pewien czas zapomnieli o swojej przeszłości i patrzyli sobie głęboko w oczy.

- Mam trzydzieści lat - odezwała się Susan.

- Miałam prawo nazwać cię chłopcem.

George wypuścił z ust obłoczek szarego dymu.

- Nie wyglądasz na trzydzieści lat - powiedział szczerze.

- Zanim cię spotkałam, czułam się jak czterdziestolatka.

- Jakie znaczenie ma wiek?

Niedawno skończyłem dwadzieścia trzy lata i nikt nawet tego nie zauważył.

- Tak to już jest, kiedy podróżujesz i spędzasz dużo czasu po za domem.

Twoi bliscy powoli zapominają o tobie...

George pomyślał nagle o Ricie.

Miał nadzieję, że ona nie zdoła o nim zapomnieć, więcej, był o tym głęboko przekonany.

Po śpiesznie odepchnął wspomnienie, nie chcąc, aby zakłóciło ciche chwile z Susan.

- Kiedy masz urodziny?

- zapytał.

- Dwudziestego czwartego marca - zaśmiała się cicho.

- Jestem Baranem.

- Co to znaczy?

- Nie wiem, nie interesuję się astrologią.

Mogę powiedzieć ci, kim jestem, bez zaglądania w gwiazdy.

- Więc kim jesteś?

- Kobieta, która zakochała się w tobie.

Kobietą, która kocha cię mocno, całym sercem.

George drgnął, zaskoczony jej bezpośredniością.

Na statku była bardzo ostrożna, lecz teraz mówiła szczerze i otwarcie.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Marzyłem, że usłyszę, jak wypowiadasz te słowa, ale uważałem, że to marzenie nigdy się nie spełni.

Co się zmieniło?

Chwilę siedziała w milczeniu, zastanawiając się, jak odpowie

dzień na to pytanie.

George pragnął zapytać ją o bliznę - wie dział, że jest czymś więcej niż tylko znakiem gwałtownego czynu, który pozostał na skórze, zdawał sobie jednak także sprawę, że Susan zaspokoi jego ciekawość, kiedy będzie na to gotowa, nie wcześniej.

- Byłam zagubiona - odparła ostrożnie.

- Nie spodziewałam się, że zakocham się w tobie.

Na statku wolałam być sama, potrzebovałam samotności.

I wtedy zjawiłeś się ty...

George musnął wargami jej skroń, wdychając zapach jej włosów.

- Ja także nie spodziewałem się, że zakocham się w tobie - po wiedział.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że trzyma ją w ramionach, nie mógł nacieszyć się jej bliskością.

-1 także potrzebovałem samotności.

Dlatego wyruszyłem w podróż do Argentyny...

- Skomplikowaliśmy sobie nawzajem życie, prawda?

- Nie, uprościliśmy i wzbogaciliśmy.

Nie jesteś już taka smutna jak wcześniej.

- Dopiero po zejściu ze statku uświadomiłam sobie, że spotkałam kogoś wyjątkowego, ale wtedy było już za późno.

Sądziłam, że straciłam cię na zawsze, lecz los podarował mi drugą szansę.

Nie chcę jej zmarnować.

- Nie zmarnujesz, kochanie, nie pozwolę ci na to...

Pocałował ją czule, łagodnie.

Wiedział, że ktoś bardzo ją zranił, i nie chciał, by się przestraszyła.

Po chwili odsunął się i ujął jej twarz między dłonie.

Zajrzał w oczy, szukając w nich ukrytej prawdy.

Źrenice Susan lśniły w blasku świecy, podobne do nieprzeniknionych powierzchni z ciemnego szkła.

Ściągnął brwi, niepewny, co robić, i powoli wyciągnął rękę ku jej bliźnie.

W pierwszej chwili się skrzywiła.

Nikt nie dotykał jej twarzy od dnia, kiedy lekarze zszyli policzek.

W oczach pojawił się lęk, gwałtownie cofnęła się, zupełnie jak przestraszony łabędź, lecz George powoli potrząsnął głową i uśmiechnął się łagodnie, ze współczuciem i zrozumieniem.

Susan znieruchomiła i pozwoliła, aby jego palce delikatnie przesunęły się po nierównej powierzchni rany, która zagoiła się tylko z zewnątrz.

Skóra policzka była gładka i miękka, ale przeorana obcą tkanką blizny.

George zbliżył jej twarz do swojej i pocałował zraniony policzek, czując .

na wargach słony smak teź, którymi Susan zmywała skrywana prawie przez dwa lata emocje.

- Kto ci to zrobił?

- wyszeptał, tuląc ją do piersi.

- Co za drąc zrobił ci taką krzywdę?

Lecz Susan nie była w stanie odpowiedzieć na jego pytanie Jeszcze nie teraz.

Rozdział piętnasty

Susan leżała w łóżku, wpatrzona w ciemność.

Dookoła panowała zupełna cisza, tylko czasem w ogrodzie odzywały się cykady, lub gdzieś w oddali zaszczekał pies.

Pokój pachniał kwiatami gar denii i świeżo ściętą trawą, aromatami, które od dzieciństwa kojarzyły się jej z Argentyną.

Pościel była gładka i miękka, łóżko wygodne, a ciemność spokojna i kojąca.

Mrok stał się najlepszym przyjacielem Susan - od chwili, gdy blizna naznaczyła jej twarz, szukała w nim schronienia przed spojrzeciami ludzi.

Wiedziała, że w pokoju obok śpi George, i co jakiś czas wyęzżała słuch, by wychwycić jakiś odgłos, który potwierdziłby jego obecność za ścianą, ciche trzaśnięcie drzwiami, skrzypienie podłogi, szmer wody w łazience, cokolwiek, lecz ściany w Las DOS Vizcachas były grube i solidne.

Pragnęła wejść do łóżka razem z George'em i otulić się?

Jego siłą i pewnością siebie; świetnie zdawała sobie sprawę, że Jediną metodą na przecięcie mocnych więzów, łączących ją z przeszłością, jest stworzenie nowych wspomnień, utkanych z miłości.

Kochała George'a.

Kochała go od chwili, gdy zeszła z pokładu "Fortuny" ze świadomością, że pozwoliła, aby jej trudne doświadczenia oddzieliły ją od kogoś wyjątkowego, ale nie zaufała temu Czuciu.

Jak mogłaby teraz położyć ufność w czyimś uczuciu, Mierzyć, że ktoś ją pokocha...

17 .

Coś poruszyło się w niej na wspomnienie tej chwili, kiedy George dotknął blizny.

Przyłożyła dłoń do twarzy i przesunęła palcami po bliznie, usiłując przekonać samą siebie, że wcale nie jest taka przerażająco duża i groteskowa, że George naprawdę miał ją wargami.

To była niezwykła chwila, nagłe wyjście na świat po wielu miesiącach ukrywania się wśród cieni.

Dobrze zrot ta, że tu przyjechała.

I że mu zaufała.

Chcąc uciec przed niedawną przeszłością, wróciła myślami do dzieciństwa.

Kiedy się skoncentrowała, wciąż czuła zapach maślanej ki, słodki jak zapach leśnych dzwoneczków na wiosnę.

Pamiętała o czucie absolutnego bezpieczeństwa, gdy matka obejmowała ją i mocno przytulała do siebie, ze wszystkich stron otaczając ją miłością.

Już jako dziecko Susan przywykła do podziwu, więc do adoracji.

Była piękna, bez skazy, wspaniała.

Olsniewała świat na całym świecie, na przyjęciach w Waszyngtonie i na wyścigach w Paryżu, wszyscy składali hołd jej urodzie.

Niewykluczone, że z czasem stała się zbyt arogancka i że blizna była karą za narcyzm. Teraz przywykła już do pełnych ciekawości i litości spojrzeń, do komentarzy, szeptań za jej plecami, i do małych dzieci, które wytykały ją palcami i śmiały się z niej.

^

Nie miała pojęcia, dlaczego to ona przykuła uwagę George'a, a nie blizna.

Dlaczego pocałował ją w zeszpecony policzek, podczas gdy tyłu mężczyźni odwracali się z przerażeniem...

Powoli:

padła w spokojny sen, pierwszy od wielu miesięcy.

Kiedy się obudziła, niebo było bezchmurne, promieniące jasnością.

George siedział już na werandzie i jadł śniadanie z Agatą i dziećmi.

Jose Antonio wstał wcześniej, żeby wyjechać w pole:

żem z gaurami.

Jose Antonio lubił pracować, czuć pod sobą siłę i galopować po równinie, zaganiając stada krów.

Słońce spali:



jego skórę na ciemny brąz, dłonie stały się szorstkie i pokryte ciskami, ale był szczęśliwy, bo stanowił część należącej do nie ziemi i sam do niej należał.

Gdyby nie był właścicielem zieleń, równie szczęśliwy byłby jako zwykły gauczo.

Umiał nawet grać na gitarze jak gauczowie, lecz Agatha nie znosiła, gdy śpiwał, i mówiła, że jego głos brzmi jak porykiwanie zarzynanego buhaja.

Na widok Susan twarz George'a rozpromieniła się w uśmiechu

Miała na sobie beżowe spodnie i białą koszulową bluzkę z krótkimi rękawami, rozpiętą pod szyją.

Wyglądała na wypoczętą i zadowoloną z życia.

- Jak spałaś, Susan?

- zapytała Agatha, która chlubiła się, że jej pokoje gościnne są najwygodniejsze w całej Argentynie.

Susan uśmiechnęła się i usiadła obok George'a.

- Doskonale, dziękuję, na pewno dlatego, że umieściłaś mnie w takim pięknym pokoju - odparła i odwróciła głowę, aby spojrzeć na George'a.

Jego oczy zabłyśły.

Oboje cieszyli się wspólną tajemnicą.

Dzieci wyczuwały wibracje nastrojów między gośćmi i zasłaniały ręce rozchichotane buzie.

- Idealny dzień na wycieczkę do Santa Catalina - rzekła Agatha.

Miała na myśli stary jezuicki kościół kilka kilometrów za Jesus Maria.

- Weź półciężarówkę, George, i kosz z jedzeniem.

Możecie spędzić tam cały dzień i urządzić sobie piknik.

Wykorzystajcie tę okazję...

Energicznie zakółysała srebrnym dzwoneczkiem.

Po chwili na werandę wyszła Agustina.

- Si señora?

- zapytała, pocierając dłonie w geście postuszenia.

Agatha poleciła jej przygotować piknik na dwie osoby i odprawiła niedbałym machnięciem dłoni.

Kiedy Agustina odchodziła, na werandzie pojawił się Carlos z listem w ręku.

Szybko zaszeptał coś do Agustiny i podał jej kopertę.

Agustina odwróciła się.

- List dla seńora George'a - powiedziała z wahaniem.

- Ach, wiadomości z domu!

- zawołała Agatha.

- Ale chyba nie od Paye...

- dodała, przyglądając się kopercie.

- To nie jej charak ter pisma...

Cóż, wygląda na to, że to od młodej kobiety, na pew no od Rity...

Susan zbladła lekko i przeniósła spojrzenie na George'a.

- George ma w Anglii narzeczoną - ciągnęła Agatha, całkowi te nieświadoma, że właśnie stworzyła krępującą dla siostrzeńca ^uację.

- Nie postawiłabym jednak ani grosza na to, że to mał żeństwo rzeczywiście dojdzie do skutku...

Zanim rok dobiegnie końca, George odda serce innej, jestem tego pewna...

Susan pośpiesznie zamaskowała zmieszanie pełnym napi<sup>^</sup> uśmiechem.

Agatha podała list siostrzeńcowi.

- Przeczytam później - wymamrotał, wtykając kopertę do l szeni koszuli.

Pochwyił spojrzenie Susan i potrząsnął głową, próbując uspokoić.

Ku jego zdziwieniu nie wyglądała na zranioną czy;

wiedzioną, chociaż właśnie tego się spodziewał.

- Tylko nie zapomnij powiedzieć mi, co dzieje się we Frog Point - przykazała Agatha.

- Lubię wiedzieć, co oni wszyscy j bią i jak sobie radzą...

- Odwróciła się do Pii i Tonita i przesł na hiszpański.

- Kiedy następnym razem dojdziecie do wniosku że nie macie ochoty na lunch, pomyślcie o biednych dzieciach w Anglii, dobrze?

One z radością chociaż raz zjadłyby takie sl ki, jakie wy dostajecie codziennie...

Pia i Tonito skrzywili się wymownie.

Mieli już trochę do opowieści o głodnych angielskich dzieciach.

Nie wyobrażali :

bie, że ktoś może nie najadać się do syta.

Agatha i jej goście wrócili do rozmowy o jezuitach z Santa ( talina.

Policzki Susan odzyskały normalny kolor, a George o tchnął z ulgą.

Nie chciał mówić Susan o Ricie, wyobrażał sdh że zrobi to później, we właściwym czasie i w najłagodniejszy, n mniej bolesny sposób.

W głębi serca zastanawiał się, czy w og mówić o narzeczonej, która mieszkała przecież na drugim koni świata i należała do jego przeszłości, przeszłości niemającej !

wspólnego z terażniejszością, do życia, które zdecydował się :

stawić za sobą.

Susan była jego przyszłością.

Szczerze współc;

Ricie, ale uważał, że jest jeszcze bardzo młoda i na pewno kog sobie znajdzie.

Carios postawił kosz z jedzeniem z tyłu ciężarówki w chw gdy Susan stanęła w drzwiach, w słomkowym kapeluszu na j wie i z grubą książką w ręku.

George usiadł za kierownicą i v czył silnik.

W milczeniu pokonali podjazd, długą aleję, wysac na dużymi kasztanowcami, i wyjechali na zakurzoną prowadzącą do Jesus Maria.

- Muszę ci coś wyjaśnić...

- zaczął George.

Susan położyła rękę na jego kolanie i posłała mu pełen zroz mienia uśmiech.

To nie jest odpowiedni moment.

Opowiesz mi o Ricie, kiedy

Idojedziemy do Santa Catalina i rozłożymy koc w cieniu jakiegoś

Idrzewa...

Nie jest tak, jak myślisz...

- wyjąkał niepewnie.

Zwykle tak bywa - odparła sucho i powoli pokręciła głową.

Masz gotową odpowiedź na wszystko.

- Czuł się wyjątkowo

'rfupio.

- Jeżeli kiedyś zaskoczę cię czymś tak, że nie zareagujesz

J od razu, będę wiedział, że zyskałem nad tobą przewagę, choć to

fchyba niemożliwe.

j - - Jestem Amerykanką.

Od dziecka uczą nas myśleć i szukać

Spowiedzi.

I- - Ciebie nauczyli aż nazbyt dobrze...

Co myślisz o ciotce Agal cię?

- zapytał, zmieniając temat.

Susan zaśmiała się cicho.

- Niezwykła z nich para, naprawdę...

Ona niska, krępa i bar 'dzo zdecydowana, typowa Angielka, on szorstki, trochę grubo skórny i nadęty, lecz niepozbawiony uroku oraz poczucia humoru.

Wyobrażam sobie, że Agatha doskonale sprawdziłaby się w roli ; dyrektorki jednej z tych zimnych angielskich szkół z internatem,

1 Ile dla niego niewątpliwie idealnym miejscem jest właśnie ranczo.

Oboje są bardzo mili, chociaż żadnemu nie chciałabym wejść j 'W drogę...

; - Trudno uwierzyć, że są małżeństwem, prawda?

; - Tak, zresztą ani przez chwilę nie wątpię, że on ma gdzieś na boku piękną kochankę, ostatecznie to Latynos...

- Niepodobny do nas, Anglików.

Obrzuciła go baczny spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że nie.

Wyboista droga do Santa Catalina wiodła przez gęste lasy pora^jące łagodne, niskie pagórki.

Z gęstej mgły na horyzoncie wyłaniały się szczyty koronowanych śnieżnymi czapami gór, tu i ówdzie widać było poszarpane skalne krawędzie, dotykające nieba.

George bez trudu wyobraził sobie potężne kondory, krążące wśród gór w poszukiwaniu pożywienia.

Zrobiło się gorąco, więc jechali

2 otwartymi oknami, podziwiając krajobraz z uczuciem zadowo'.

^nia, że są w odległym miejscu, na skraju świata, gdzie dopaść ich [doga tylko najbardziej uporczywe wspomnienia.

Kościół w Santa Catalina stał dumny i imponujący, dwiema dzwonnice i kopuła górowały nad starymi drzewami, które wały cień dziedzińcowi.

W pobliżu nie było żywej duszy, wszędzie

gdzie panował niesamowity spokój i cisza.

Chwilami mieli wrzenie, że przekroczyli bramę wiodącą do osiemnastego wieku kiedy to jezuici zaczęli budować kościół w bogatym, barokowym stylu.

Od tamtego czasu nie zmienił się ani budynek, ani jego

otoczenie.

George zaparkował samochód w cieniu i otworzył drzwi i

strony Susan, która zostawiła książkę na siedzeniu i z przyjemnością wyszła na słońce.

Wziął koszyk z jedzeniem i koc i zanid wszystko na wybrane przez nią miejsce w cieniu kościelnych murów.

Niedaleko na ziemi przysiadły dwie synogarlice, zaciekał nie zawartością kosza i zdecydowane pochwyć okruszki pozostałe

te po posiłku dwojga ludzi.

Susan oparła się o pień drzewa i z pełnym zadowoleniem

technieniem rozejrzała się po okolicy.

- Och, jak tu pięknie...

- powiedziała z uśmiechem.

- Jaki spokój...

Kościół zawsze otoczony jest zupełnie niezwykłą aurą, czy

uważyłeś?

- Bo one nigdy się nie zmieniają - odparł George.

- Zmienia

się tylko my i miasta, które budujemy wokół kościołów.

Kościół są ponadczasowe i chyba właśnie to sprawia, że otacza je taka

niezwykła aura...

George wyciągnął się na boku i oparł głowę na dłoń.

Wciąż i

mógł do końca uwierzyć, że kobieta, którą uznał za straconą i zawsze, siedzi teraz obok niego i zachowuje się tak naturalnie, ja by było to całkowicie normalne i jakby znali się od wielu, wi

lu lat.

^

- Przeczytasz ten list?

- zapytała chłodno.

Podniósł na nią wzrok i lekko ściągnął brwi.

- Żałuję, że go wysiała - westchnął.

- Przykro mi, bo na pe no jest pełen jej nadziei i marzeń, a wszystkie zależą ode mnie.Ą

- Opowiedz mi o niej.

To przez nią przyjechałeś tutaj w poszli

kiwaniu samotności, prawda?

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej...

- zacz

znowu, ale uciszyła go, parszczając cichym śmiechem.

206

- Nie jesteś mi nic winien - rzekła.

- Poza tym, gdybyś faktycz nie zamierzał wrócić do Anglii i ożenić się z nią, nie wyznałbyś, że mnie kochasz, i nie wyglądałbyś na tak nieszczęśliwego, kiedy zostawiłam cię na statku.

Powiem szczerze - gdybyś naprawdę ją kochał, przyjechałbyś do Argentyny razem z nią...

- Masz całkowitą rację, jestem podłym tchórzem...

- Kąciki ust George'a opadły, nadając jego twarzy wyraz ogromnego smutku.

Susan przesunęła się na kocu i położyła się obok niego.

Czule dotknęła jego ramienia.

- Opowiedz mi o niej i pozwól, że ja zdecyduję, czy jesteś pod tym tchórzem.

George opowiedział jej wszystko, od samego początku.

- Widzisz, jestem tchórzem, bo dla niej byłoby lepiej, gdybym zakończył tę sprawę przed wyjazdem.

Taka sytuacja jest dla niej na pewno trudniejsza, czeka w Anglii na mężczyznę, który jej nie chce.

- Ale przecież los Rity nie jest ci obojętny, troszczysz się o nią, a podły tchórz z pewnością nie byłby do tego zdolny...

George spojrział Susan w oczy i nagle ogarnęła go wielka wdzięczność za jej współczucie i zrozumienie.

- Troszczę się o nią, to prawda.

Nie można kochać kogoś przez całe życie i potem nagle wyłączyć to uczucie jak silnik.

Nadal ko cham ją jak siostrę, tylko po prostu nie chcę się z nią ożenić.

- Więc co zrobisz?

- Muszę napisać i powiedzieć jej o tym.

- Nie obrazisz się, jeżeli coś ci poradzę?

- Jak możesz tak myśleć...

- Nie pisz jej o mnie, bo to zraniłoby ją jeszcze głębiej.

Powiedz to, co przed chwilą powiedziałeś mnie.

Nie da się usmażyć omle^ nie tłukąc jajek.

Ta wiadomość sprawi jej ból, choćbyś stawał a głowie, żeby tego uniknąć, złagodzisz jednak cios, jeśli napijesz, że wciąż ją kochasz, chociaż nie na tyle, żeby ją poślubić.

George zaśmiał się gorzko.

- Ciągle to odkładałem.

Kiedy poznałem cię na pokładzie "Fortuny", byłem już gotowy napisać do niej i zerwać, ale potem Pomyślałem, że i tak nigdy więcej cię nie zobaczę, i postanowiłem "niknąć bolesnego rozwiązania.



- Unikanie bolesnych rozwiązań niczego nie ułatwia, mój drogi.

Twoje wyznanie na pewno załamie Ritę, lecz ludzie wracają do równowagi, nawet wbrew sobie.

Rita jest młoda, ma szansę znać kogoś innego, zacząć nowe, szczęśliwe życie.

Jeżeli już jej nie kochasz, uwolnij ją od zobowiązań wobec ciebie...

- Nigdy nie zranitem nikogo w taki sposób, wszyscy zawsze uważali mnie za sympatycznego faceta...

To, co teraz do siebie czuję, wcale nie jest przyjemne.

- Czasami trzeba postąpić pozornie okrutnie, jeśli chce się być dla kogoś dobrym.

Czy uważasz, że nie zasługujesz na szczęście?

A Rita?

George utkwił w Susan tak intensywne spojrzenie, że szybl

odwróciła głowę.

- Ty jesteś moim szczęściem - powiedział po prostu.

Gdy znowu podniosła oczy, wciąż na nią patrzył.

- Prawie mnie nie znasz - szepnęła poważnie.

- Nie wiem o tobie wielu rzeczy, ale wiem, że cię kocham, i wiem, że we właściwym czasie opowiesz mi o sobie.

Łagodnie poklepała go po ramieniu i uśmiechnęła się, chociaż w jej oczach czaił się lęk i niepokój.

,

- Obejrzyjmy kościół, a potem coś zjemy - zaproponowała.

Chyba możemy zostawić tutaj rzeczy.

Wygląda na to, że w pobliżu nikogo nie ma...

- Poza dwiema synogarlicami - George zaśmiał się, wstając i rozprostowując nogi.

- Zdziwiłabym się, gdyby zdołały otworzyć kosz - rzeki

Susan.

Bez pośpiechu włożyła ciemne okulary i wyszła z cienia.

Weszli do kościoła, trzymając się za ręce.

Wewnątrz b] chłodno, powietrze pachniało minionymi wiekami i kadziło Odgłos ich kroków na kamiennej posadzce odbijał się echem murów.

Mówili szeptem, chociaż w świątyni nie było nikogo, I warzyszyła im tylko obecność Boga w malowidłach na pozłac nym ołtarzu i w powietrzu, wciąż wibrującym modlitwami uwi? bienia.

- Nigdy nie rozumiałam, dlaczego katolicy czują potrzebę spo wiedzy - odezwała się cicho Susan, kiedy na moment przystanęli, aby przyrzeć się konfesjonałowi z czarnego drewna.

- Konfesjonał kojarzy mi się ze zboczonymi księżmi - odparł George, odchylając czerwoną zasłonkę i zaglądając do środka.

- Nie podoba mi się pomysł, że z Bogiem można się porozu mieć jedynie za pośrednictwem kapłana.

W ten sposób Kościół ja ko instytucja utrzymuje wiernych pod kontrolą.

- Mówisz zupełnie jak pani Megalith - zaśmiał się George.

- To babcia Rity.

Nazywają ją Wiedźmą z Elvestree, ponieważ ma niesamowite zdolności.

Twierdzi, że Bóg mieszka w domu, co tam w domu - w kuchni każdego człowieka, i że gdyby wszyscy mie li tego świadomość, nie chodziliby do kościoła...

- Starsza pani o twardym charakterze...

- Susan z uśmiechem przesunęła dłonią po drewnianej poręczy nad schodkami prowa dzącymi na ambonę.

- Trzeba jednak przyznać, że wspólnota ko ścielna wywiera dobroczynny wpływ na wiele osób.

Czasami do brze jest przeżywać coś wspólnie z innymi...

Ja nie należę do szczególnie towarzyskich osób, lubię żyć we własnej przestrzeni, obserwować świat z pewnej odległości, ale niektórzy czuliby się samotni, gdyby mieli rozmawiać z Bogiem wyłącznie w zaciszu swojej kuchni...

George podszedł do niej z tyłu, otoczył ją ramionami i przytu lił twarz do jej karku.

- Rozmawiasz z Bogiem?

- Czasami, kiedy czuję, że jestem już na dnie.

Nie wiem, kim albo czym On jest, ani czy w ogóle istnieje, lecz dobrze jest wy ciągnąć do kogoś ręce...

- Och, ja nie mam najmniejszych wątpliwości, że On istnieje.

Czułem Go blisko siebie, kiedy unosiłem się wysoko, czułem na^t Jego oddech na karku...

Susan szybko odwróciła się twarzą do George'a.

Musiałeś bardzo się bać - szepnęła, gładząc palcami jego policzek.

Chwył jej dłoń i zatrzymał przy swojej twarzy.

Miałem potworne sny, bałem się zasnąć - powoli potrząsnął

Stową, ponieważ przed jego oczami znowu pojawiły się twarze Ja.

miego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona.

- Ale oc spotkałem ciebie, koszmary przestały mnie dręczyć.

Uśmiechnęła się i delikatnie cofnęła rękę.

- Cieszę się, że mogłam przegonić te demony.

- Żałuję, że ja nie mogę przegonić twoich.

Pokręciła głową.

- Muszę zrobić to sama - odparła.

-1 może w końcu mi się wiedzie, z twoją pomocą...

Kiedy wyszli, na schodach przed kościołem bawiła się gru dzieci o brązowych buziach.

Skakały, śmiały się i krzyczały, al głosy rozpraszały ciszę panującą dotąd dookoła świątyni.

Na wi dwojga obcych jak na komendę przerwały zabawę i utkwily w i zaciekawione spojrzenia.

George wziął Susan za rękę i sprowt ją w dół po stopniach.

Wszystkie dzieciaki patrzyły na Susan z ( roko otwartymi ustami, a po chwili, zupełnie jak stado zwierza które porozumiewają się bez stów, otoczyły ją kotem, wyciągają niej ręce i usiłując dotknąć jej ubrania.

George wpadł we wśc łośc.

Próbując osłaniać kobietę, wymachiwał rękami i wrzesz po hiszpańsku, odganiając małych natrętów, lecz wtedy, ku ' zdumieniu, Susan uśmiechnęła się, puściła jego dłoń i przykuć ła.

Dzieci cofnęły się i zamilkły, jakby coś je przestraszyło.

- Ona jest aniołem - przemówiło w końcu najmłodsze.

- Prawdziwym?

- zapytało szeptem inne.

- Nie jestem aniołem!

- roześmiała się Susan.

- No, dalej,) tknijcie ich, nie bójcie się...

Oszołomiony George patrzył, jak dzieci podchodzą i brudna brązowymi łapkami dotykają włosów Susan.

- Dzieci to wyjątkowe stworzenia - powiedziała, podnosząc!

niemu oczy.

- Inne od wszystkich...

- Przepraszam...

- wyjąkał ze zmieszaniem.

;

- Nie musisz przeproszać.

W oczach tych dzieci moja twarz jest nawet w połowie tak fascynująca jak moje włosy.

Nie ulegało wątpliwości, że Susan uwielbia dzieci.

Rozmawiała z nimi, głaskała po główkach, po pokrytych warstwą kurzu i złach, zapięta guziczki koszuli któregoś z chłopców, otrzep szorty innego, użaliła się nad skaleczonym kolaniem i siniaki na czole.

Kiedy pocałowała nieszczęsne kolano i czoło, aby car

olało, dzieci zaczęły przepychać się do niej na wyścigi, wynajdując i wymyślając najróżniejsze cierpienia, które mogłaby uleczyć inieszczętą.

Susan starała się zadowolić wszystkie i śmiała się przy tym tak naturalnie i radośnie, że George słuchał jak zaczarowany.

Właśnie wtedy zrozumiał, że jakaś część smutku Susan bierze tę z tęsknoty za własnym dzieckiem.

Długo trwało, zanim Susan oderwała się od swoich nowych iryzacji.

Dzieci czepiały się jej jak małpki, z chichotem usiłując zatrzymać ją jak najdłużej, lecz wreszcie zdołała wycofać się do cienia, gdzie wcześniej zostawili kosz z jedzeniem pod opieką dwóch synogarlic.

Dzieci wróciły do swoich zabaw, chociaż co jakiś czas zerkały w kierunku Susan z wyraźną nadzieją, że jeszcze do nich podejście.

George otworzył butelkę wina i podał Susan szklaneczkę.

Agustina zapakowała dla nich kanapki z pieczenia wołową i sałatkę 'ziemniaczaną'.

- Masz niezwykle podejście do dzieci - odezwał się George,

wbijając zęby w kanapkę.

Susan posmutniała.

- Bardzo kocham dzieci...

Pociągnęła łyk wina i spojrzała w kierunku rozbrykanej grupy, która wciąż bawiła się na schodach.

Uśmiechnęła się, bo zdała sobie sprawę, że pokrzykują głośniejszymi głosami niż przedtem i gestykuluje.

Ją bardziej wyraziście, pragnąc przyciągnąć jej uwagę.

- Będiesz wspaniałą matką - rzekł George i natychmiast tego pożałował, ponieważ policzki Susan pokrył rumieniec, a z jej ust wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Wypijmy za to - powiedziała, podnosząc szklankę.

George pomyślał, że w jej przeszłości musi kryć się nie jeden bolesny sekret, i ugryzł się w język, aby zapanować nad niecierpliwym pragnieniem ich odkrycia.

' Odpoczywali w cieniu, dopóki słońce nie schowało się za kołotem.

Powietrze było nagrzane i łagodne, dzieci odeszły, w trawie zaczęły grać cykady.

Oczy Susan były senne od wina, lecz Isniła radością.

Czuła się doskonale, ale gdy zaczął zapadać zmrok, i intuicyjnie wyczuła, że duszę George'a przygniatają wojenne Wspomnienia.

- 7 .

- Ciągłe o nich myślisz, prawda?

- zapytała, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

Zrozumiał ją bez trudu.

- Tak...

- odparł powoli.

- Bez przerwy.

- Czujesz się winny, że ty przeżyłeś, a oni zginęli...

Spojrzał na nią ciemnymi, pełnymi smutku oczami i ciężko westchnął.

- Rozsądek podpowiada mi, że w tak ryzykownej grze wygrają tylko niektórzy.

Jest to logiczne i jasne, ale ja wciąż czuję, że nie zasłużyłem na wygraną.

Nie byłem najodważniejszym ani najlepszym...

- Nie było ci przeznaczone zginąć.

,

- Powtarzam to sobie i staram się o tym pamiętać - rzeki cicho.

- Ale mimo tego wcale nie czujesz się lepiej, tak?

- Właśnie.

Poczucie winy oblepiło mnie jak glina.

- Byli młodzi jak ty, dlatego to wszystko wydaje się takie b( sensowne - szepnęła Susan.

- Lorrie miał dziewczynę, z którą zamierzał się ożenić, a był jedynakiem, jego matka nie miała nikogo poza nim.

- Rat?

- To skrót od imienia Humphrey.

- Oczywiście, jak mogłam nie zgadnąć!

- uśmiechnęła się lekko, żartobliwie.

- Byliśmy sobie bliscy jak bracia, lecz na końcu z całego dywizjonu został tylko Brian, no i ja.

Wszyscy pozostali zginęli...

i Mocno zacisnęła wargi.

- Nie żyją, leżą na dnie morza albo ma()(j symboliczne groby, bo ich ciała wybuch rozszarpał na strzępy..^ Jamie, Rat i Lorrie...

Ich imiona są wykute w moim sercu i sw mieniu.

- Daj sobie trochę czasu.

Czas naprawdę leczy nawet najgłębsze rany.

Chwilę patrzył na nią uważnie.

Jego twarz pojaśniała, jakb słońce wbrew prawom przyrody niespodziewanie wyjrzało zza kc ścioła.

- Ty rzeczywiście mnie rozumiesz...

- powiedział.

Nachyliła się ku niemu i przykryła jego dłoń swoją.

- Trochę cię rozumiem, a to, co dla mnie niepojęte, bardzo sta ram się zrozumieć.

Przysunął się bliżej, objął ją i pocałował.

Jej bliskość uciszała natarczywy krzyk wojny, dręczący głos sumienia i cichy, żalony szept w głębi jego serca.

Szept Rity.



Rozdział szesnasty

Max nie mógł się skoncentrować.

Od płomienia małej świeczki zaczął powoli zapalać osiem świec w menorze, symbolu święta Chanuka.

Od dnia, gdy on i jego siostra Ruth przybyli do Elves^ tree, Primrose z nieugiętym uporem obchodziła wraz z nimi Tjm dowskie święta, dbając o to, aby świętowali tak jak w Austrii, za

nim Hitler zgasił duszę ich narodu.

^ Twarz Ruth była pełna powagi.

Nigdy nie wspominała o utraB

conej rodzinie, lecz Max doskonale wiedział, że w takich chwilacMB nie może nie myśleć o rodzicach.

Są wspomnienia, których czaaB nie jest w stanie pozbawić barw ani siły wyrazu.

Okulary pani Megalith zsunęły się na czubek nosa, ponieważ pochyliła głowę, jag zwykle składając swoje liczne podbródki w grube fałdy.

Jej twariB także była poważna, mimo że pod stołem koty ocierały się o jej kostki i łydki.

Mas wcale nie myślał o Wiedniu, gdzie jego matka zawsze skinieniem głowy dawała mu znak, że czas już zapalić świecę i odmówić modlitwę, ale o Ricie.

Odkąd pocałował ją w swoim pokoju, prawie co wieczór grali w szachy, czytali i recytowali wiersze lub pisali krótkie opowiadania przed kominkiem

w salonie Primrose.

Rita w końcu zauważyła Maksa.

Ruth obserwowała drżącą rękę brata i zastanawiała się, czy po' dobrze jak ona wspomina celebrację święta Chanuka w ich wiei

denskim domu, gdzie ojciec zasiadał u szczytu stołu, do którego zapraszano wujów, ciotki i dalszych krewnych.

Wydawało jej się, że czuje zapach jego cygara i aromat dobrego wina.

Pośpiesznie otrząsnęła się z ogarniającej ją tęsknoty i utkwiała spojrzenie błyszczących od łez oczu w świecy, którą brat właśnie zapalał.

Pani Megalith wyczuła wibracje ścierających się w pokoju emocji, mrocznego smutku Ruth i pulsującego podniecenia Maksa, i mocnym szturchnięciem wyrzuciła spod stołu wyjątkowo natarczywego kota.

- No, to naucz go moresu!

- zawołała, kiedy Max w końcu za palił ósmą świecę, i podniosła kieliszek.

- Za nieobecnych bli skich i przyjaciół, żebyśmy zawsze o nich pamiętali...

Max pomyślał o Ricie, Ruth o matce, pani Megalith zaś na moment przywołała z pamięci twarz Denzila.

Gdyby Denzil żył, ko ty nie ośmieliłyby się wtargnąć do jej domu, ponieważ wiedzia łyby, że on tego nie zniesie.

Poczuła, jak jakiś zimny nos przywiera do jej łydki, i zdecydowanym ruchem pozbyła się drugiego natręta, tłustego rudzielca.

Ruth chciało się płakać, więc spuściła oczy i utkwiała je w talerzu parującej zupy, w milczeniu zmagając się z napierającymi na nią wspomnieniami.

Pani Megalith zaczęła opowiadać o polowaniu na wyjątkowo niebezpiecznego tygrysa, w którym jej mąż wziął kiedyś udział w Indiach, a Max sięgnął po łyżkę.

Ruth pomyślała, że nie wytrzyma i zaraz się rozpłaczę.

Właśnie wtedy Mas znieruchomiał i odłożył łyżkę.

Pani Megalith śmiała się gromko, malując słowami obraz Denzila, rzucającego się do ucieczki w chwili, gdy powinien był nie ruszać się z miejsca, lecz Max nie słuchał.

Spojrzał w dół i zobaczył całego białego kociaka, który siedział u jego stóp i wpatrywał się w niego dużymi oczami koloru rdzawych agatów w kolczykach pani Megalith.

Mas podniósł wzrok na siostrę i poczuł, jak jego serce, jeszcze przed chwilą lekkie jak dobrze upieczony suflet, teraz ścisną się z żalu i współczucia.

Nie zastanawiając się więcej, chwycił kociaka, wstał i podszedł do Ruth, zgarbionej powoli stygnącą zupą.

Pani Megalith zamilkła.

Patrzyła, jak Max układa białego kotka na kolanach siostry i jak zwierzątko z czułością ociera się pyszczkiem o jej policzek.

Stara kobieta .

zrozumiała gest chłopca i spojrzała na niego ze szczerym poć wem.

Kiedy znowu przeniosła spojrzenie na Ruth, kociak zjac zupę z jej talerza, rytmicznie wysuwając różowy języczke a dziewczyna śmiała się cicho.

łyzy obeschtły na jej rżęsach i si tek zniknął z twarzy.

Maddie nie była w stanie myśleć o niczym i nikim poza Ha rym Weaverem.

Zakochała się w nim od pierwszego wejrzeiu miłość zaatakowała ją jak choroba o gwałtownym przebiegu i, l jej wielkiemu zdziwieniu, przyniosła z sobą najprawdziwsze cię pienie.

Teraz Maddie wiedziała, przez co przechodziła Rita.

- Tak cię podziwiam!

- jęczała.

- Miłość to najboleśniejzi przeżycie na świecie!

Czuję się tak, jakby ktoś szarpał mi serce o cęgami.

Tęsknię za nim całą sobą, każdym nerwem, każdym mi^ niem!

- A co z Bertiem?

- zapytała Rita, która niezbyt poważnie tr towała melodramatyczne wynurzenia siostry.

- Z Bertiem?

- Maddie z pogardą wyrzuciła z siebie imię chanka.

- Nigdy nie kochałam Bertiego, spędzałam z nim tył.

czas.

Teraz spotkałam mężczyznę, z którym chcę zostać do kona życia, a jeżeli Megababcia ma rację, to także do końca następna go życia i każdego, jakie jeszcze będzie mi dane...

- Wydawało mi się, że chcesz wyjść za gwiazdora filmowego, Rita z trudem hamowała rozbawienie.

- W najgorszym razie z Cary'ego Grania.

::

- Miłość uderza w najmniej spodziewanym momencie.

Na przeszkadza mi nawet to, że jest stary, ma chyba co najmniej cztC dziestkę, nie sądzisz?

- Maddie zmarszczyła nos.

Czterdziestl była dla niej magiczną granicą podeszłego wieku.

- Mama i tata umarliby ze zmartwienia, gdyby się dowiedził li - zauważyła Rita.

- Harry jest rozwiedziony.

- Nie przypominaj mi o tym.

Jest nie tylko rozwiedziony i sta ry, ale także biedny i nie zanosí się, żeby miał odnieść sukces ja ko pisarz.

Co mam zrobić?

Rita usiadła na brzegu łóżka siostry i pogłaskała ją po głowieN

- To nie jest twój jedyny problem.

Masz poważną rywalkę.

Maddie rzuciła jej pełne przerażenia spojrzenie.

Wyglądało na to że przeszkody piętrzą się na jej drodze do szczęścia jak zwalo ne przez wicherę drzewa.

- Jaką rywalkę?

- Eddie także oddała Harry'emu swoje serce.

Jest jedynym człowiekiem poza mamą i Megababcia, który zainteresował się Harveyem.

- Dzięki Bogu, że to tylko Eddie!

- Maddie odetchnęła z ulgą.

- Przestraszyłaś mnie, naprawdę...

- Ciesz się, że możesz widywać się z nim tak często, jak chcesz - powiedziała Rita.

- Mama ciągle przesiaduje w Bray Cove, bo ob serwuje stamtąd ptaki.

Proponuję, żebyś na poważnie zaintereso wała się ornitologią i literaturą.

Maddie usiadła na łóżku i spojrzała na Ritę błyszczącymi oczami.

- Masz rację.

Zacznę chodzić z nią do Bray Cove i wtedy nasz romans na pewno rozkwitnie.

W końcu go zdobędę, zobaczysz!

Nagle życie Maddie nabrało sensu i zyskało cel.

Dziewczyna wstawiała teraz wczesnym rankiem i otulona kożuchem ojca sia dała w ogrodzie ze szkicownikiem i ołówkiem, rysując ptaki, przy latujące dziobać ziarno, które Hanna codziennie wysypywała im na duże tace.

Miała za nic śnieg i przejmujące zimno, i nawet to, że palce grabiały jej na mrozie, zależało jej bowiem, by przekonać matkę, iż na serio podchodzi do swojego nowego hobby.

Zadawała Hannie setki pytań na temat ptaków, ich zwyczajów i szlaków migracyjnych, chciała zdobyć jak najwięcej informacji o ptakach morskich i górskich.

Hanna z radością dzieliła się swoją niezwykle bogatą wiedzą, zaskoczona i szczęśliwa, że jej najtrudniejsza tórka zaczyna w końcu dorastać, Maddie zaś powoli odkrywała barwny nowy świat, który przez cały czas istniał obok niej, ale którego wcześniej po prostu nie zauważała.

Zanim nadeszły święta Bożego Narodzenia, dziewczyna nie tylko przekonała Hannę, ale szczerze zainteresowała się życiem ptaków.

- Zaprosiłam Harry'ego, żeby spędził z nami Boże Narodzenie w Elvestree - oznajmiła Hanna pewnego wieczoru w połowie Srudnia.

- Nie ma tu nikogo bliskiego, a trudno wyobrazić sobie i coś gorszego niż samotne święta...

Na policzki Maddie natychmiast wypełził rumieniec podniecie nia.

Była tak przejęta, że nagle zabrakło jej słów.

,

- Doskonale, moja droga - Humphrey się ucieszył, bo zawsze chętnie rozcieńczał obecność Antontette oraz pani Megalith towa rzystwem innych.

- Mama także jest zadowolona, bo jej zdaniem, im więcej gości tym weselej.

Harry uwielbia zwierzęta, więc nie będzie miał nic przeciwko tym okropnym kotom.

Chciałabym, żeby poczuł się wśród nas naprawdę dobrze.

To taki miły człowiek...

Bardzo przy<sup>^</sup>i tulnie urządził się w Bray Cove i cieszy się, że mieszka tam tyle ga tunków ptaków.

I rzeczywiście, jest to prawdziwy ptasi raj, nawet zimą.

- Hanna spojrzała na Maddie i uśmiechnęła się.

- Musisz} wybrać się tam ze mną któregoś dnia i wziąć ze sobą szkicownik..<sup>^</sup>

Maddie skinęła głową i o mały włos nie zakrzusita się potraw ką mięsną.

,

- Ja też!

- zawołała Eddie.

- Harry mówił mi, że na jego stry chu dosłownie roi się od nietoperzy.

Harvey na pewno chętnie za-j przyjaźniłby się z nimi.

- Harry nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli zjawimy siei tam we trzy - odrzekła Hanna.

- Myślę, że będzie mu miło...

'i

- Chyba nigdy dotąd nie cieszył się taką popularnością i uwiel-i bieniem ze strony dam - uśmiechnął się Humphrey.

- Ty też wyi bierasz się do Bray Cove, Rito?

Rita bez słowa potrząsnęła głową.

- Nie możesz się już doczekać następnego listu od George'a prawda?

- ciągnął nietaktownie Humphrey.

- Trochę cierpliwio-1 ści, przecież dopiero niedawno dostałaś ten z prezentem...

Rita spuściła oczy, chcąc ukryć czający się w nich smutek.

- Wiem, nie mam powodu do narzekań...

Zresztą George na pewno już do mnie napisał, to tylko poczta działa tak wolno...

- Właśnie - pocieszył ją Humphrey.

- Nasza poczta od zakonu czenia wojny raczej się nie spóźnia, ale nie wiadomo, jak jest.

z pocztą argentyńską.

"

- Piszę do niego co tydzień - powiedziała cicho Rita.

- Chcę by wiedział, że o nim myślę.

- George i tak o tym wie!

- zawołała jej matka.

- A ty na razie masz na pociechę swój śliczny wisiołek...

Rita z przyjemnością dotknęła srebrnej synogarlicy.

- Założę się, że wkrótce dostaniesz list - dodała Hanna.

- Cza sami warto poczekać, kochanie, zwłaszcza jeśli chodzi o najważniejsze rzeczy w życiu.

Maddie nie mogła się doczekać Bożego Narodzenia.

Postanowiła dać Harry'emu w prezencie własnoręcznie namalowany wizerunek pięknej szlamniczki, brodzącego ptaka o smukłym, lekko zakrzywionym ku górze dziobie i długich, zgrabnych nogach.

La tem szlamnik miał rude upierzenie, w takim samym odcieniu jak jej włosy.

Pewien farmer w miasteczku ładnie oprawiał obrazy, więc Maddie zdecydowała się powierzyć mu swoje dzieło z nadzieją, że Harry powiesi obrazek nad biurkiem, przy którym pracował, i będzie myślał o niej za każdym razem, gdy spojrzy na ptaka.

Eddie wymyśliła, że ofiaruje Harry'emu domek dla mieszkających na jego strychu nietoperzy, i poprosiła o pomoc Nestora, starego ogrodnika swojej babci.

Rita popołudniami najczęściej siedziała w sypialni, czytając książki i obserwując gila, który zadomowił się na półce.

Codzien nie też sięgała po stare listy George'a z okresu wojny i przecha działa się po klifach, z tęsknotą wpatrując się w horyzont.

Nadal chodziła na lekcje rzeźby.

Jeździła do Faye na rowerze, najczęściej po pracy, i nie opuszczała tych zajęć nawet przy bardzo złej pogodzie.

Czuła, że jest bliżej George'a, kiedy przebywała z jego rodziną, a serdeczność, jaką wszyscy jej okazywali, pozwalała łatwiej uporać się z dręczącymi ją wątpliwościami.

Rzeźbiła coraz lepiej i Faye była pod wrażeniem robionych przez nią postępów.

Matka George'a była przekonana, że tęsknota za ukochaną osobą doskoła wpływa na kreatywność, ale oczywiście nie mówiła tego Ricie.

Rozumiała miłość, tęsknotę i ich znaczenie dla rozwoju duchowego.

Odkąd poznała Tadeusza, jej twórczość zyskała nowy, nieziemski wymiar.

Rzeźbione przez nią ptaki wydawały się naprawdę fruwać, zwierzęta oddychały, a wyrzeźbiona niedawno głowa Tadeusza, którą przechowywała zamkniętą w kredensie, była prawdziwym arcydziełem - jego oczy patrzyły na Faye z taką czułością, że serce biło jej szybciej za każdym razem, gdy spoglądała na popiersie.



Ranek Bożego Narodzenia przywitał świat gęstymi opadami śniegu.

Maddie i Hanna wybiegły do ogrodu, aby pokruszyć lód na powierzchni wody w poidle dla ptaków, i wysypały swoim piłom mnóstwo okruszków.

Rita wstała później niż zwykle, bo w Boże Narodzenie listonosz nie roznosił poczty, a Eddie, którą;

wciąż czekała na Świętego Mikołaja, zaraz po przebudzeniu z podziwem sięgnęła po ciężką pończochę, zawieszoną w nogach łóżka.

Radość dziewczynki zgasła jednak w ułamku sekundy widok martwego ciała Harveya, leżącego na podłodze niczyj porzucona, zepsuta zabawka.

Tuląc przyjaciela do piersi, Eddie zbiegła na dół, gdzie ojciec jak zwykle siedział przy kuchennym stole.

- On nie żyje!

- jęknęła, i Humphrey spojrzał na zrozpaczoną buzię córki i w pierwszej chwili pomyślał, że Eddie mówi o Harrym Weaverze, ale kiedy jego wzrok padł na mały czarny kłębuszek, który trzymała w rozdziwionych dłoniach, wszystko stało się jasne.

,1

- Och, moje kochanie!

- zawołał, zrywając się na nogi.

-j Chwytał szlochającą Eddie w ramiona i usiadł z nią w fotelu na bieżniach.

Dziewczynka nie dała się pocieszyć, chociaż Humphrey bardzo starał się poprawić jej nastrój, i

- Co ja teraz zrobię?!

- powtarzała z rozpaczą, i Humphrey mógł tylko przytulić ją do piersi i głaskać rozpalone czoło.

Niezdolnie radził sobie w takich sytuacjach, ale czuł, że musi towarzyszyć córce w jej cierpieniu.

Kiedy do kuchni weszły z ogrodu Hanna i Maddie, podniósł głowę i ze smutkiem spojrzał na żonę.

i

- Harvey odszedł i mieszka teraz na wielkim strychu dla nie-

toperzy w niebie - powiedział poważnie.

,

- Och, Eddie, tak mi przykro...

- szepnęła Hanna, natychmiast zamieniając się miejscami z mężem i biorąc na kolana mokrą odzież dziewczynkę.

?

Eddie wciąż głaskała martwego nietoperza, który wyglądał jesz" cze bardziej odrażająco niż za życia.

r

- Co ja bez niego zrobię, mamó?

- skarżyła się.

- Jak mam żyć?

- Musisz żyć, kochanie, bo życie toczy się dalej.

I musisz być silna, ze względu na Harveya.

Przecież on nie chciałby, żebyś tak nad nim płakała, prawda?

Byłoby mu smutno, że rozpaczasz, a niebo ma być przecież miejscem wiecznego szczęścia...

Słyszac poruszenie na dole, Rita zesła do kuchni z potargany mi włosami, bladą twarzą i ciemnymi cieniami pod oczami.

- Co się stało?

- zapytała niespokojnie.

- Harvey nie żyje - wyjaśniła Maddie.

- Eddie odchodzi od zmysłów z rozpacz, można by pomyśleć, że umarł tatuś, nie nie toperz!

- dodała szeptem.

- Musimy urządzić mu odpowiedni pogrzeb.

- Hanna pocała wała Eddie w czoło.

- Gdzie chciałabyś go pochować?

- W ogrodzie - szlochała Eddie.

- W pudełku...

- Jeżeli chcesz, wyrzeźbię dla niego mały nagrobek - zaofiaro wała się Rita.

- Powiesz mi, co ma przedstawiać, a ja postaram się, żeby wypadł jak najlepiej.

- Powinniśmy od razu poszukać jakiegoś ładnego pudełka, a potem zjeść śniadanie - powiedziała Hanna.

- Nie możemy spóźnić się do kościoła...

Delikatnie poklepała Eddie po dłoni i wstała.

Dziewczynka poszła za matką do spiżarni, skąd po chwili wyłoniła się z małym, ozdobnym pudełkiem w ręku.

Z powagą umieściła w nim zwłoki Harveya.

- Chcę pochować go z moim niebieskim swetrem - oświadczyła, pociągając nosem.

Hanna oparła ręce na biodrach i westchnęła, niepewna, czy powinna ulegać takim ekstrawaganckim zachciankom.

- To chyba zupełnie niepotrzebne, kochanie...

- zaczęła.

Eddie wyczuła słabość w głosie matki i natychmiast postanowiła to wykorzystać.

- Och, muszę to zrobić, mamo, inaczej Harvey nigdy nie znajdzie spokoju!

- Ale ty nie masz wielu swetrów, a ten będzie na ciebie dobry Jeszcze przez parę lat...

Jestem gotowa poświęcić go dla Harveya.

Przecież to tylko ^eter, tymczasem Harvey był moim przyjacielem i żywą istotą!

Logika Eddie wytrąciła Hannie z ręki wszelkie argumenty.

- No, zobaczymy...

- mruknęła i odwróciła się do kuchni, z by przygotować owsiankę.

9

Maddie tak wystroiła się do kościoła, że wyglądała jak hoLY woodzka aktorka, która przed chwilą zeszła z planu zdjęciowego Pięknie uczesane włosy opadały na ramiona jak błyszczące zastfi ny, rzęsy były sztywne od tuszu, a paznokcie krwiście czerwon Jej skóra promieniała wewnętrznym blaskiem, gładka i blada ja płatki orchidei, pokryte połyskliwą szkarłatną szminką wargi a marły w uśmiechu, ponieważ tego dnia dziewczyna miała znov zobaczyć Harry'ego Weavera.

W holu długo stała przed lustren poprawiając kapelusze i wygładzając oliwkowozielony kostium.

N widok córki Hanna wstrzymała oddech z zachwytu.

,

Humphrey zdecydował, że do kościoła pojedą samochodem Droga rozmarzała i było bardzo ślisko, zza chmur co jakiś cza wychylało się słońce.

Drzewa i krzewy lśniły, jakby ktoś udek( rował je brylantami, a z dachów domów zwisały połyskujące si brzyście sople lodu.

Było przejmująco zimno, więc dziewczę mocno przytuliły się do siebie na tylnym siedzeniu.

Tylko Ma die wciąż było gorąco, a jej serce przypominało rozżarzony węgiel - wiedziała, że już niedługo zobaczy Harry'ego.

Humphrey zaparkował samochód przed kościołem i z radości zobaczył Treesa oraz Faye Boltonów, zmierzających na naboż( stwo wraz z Alice, jej mężem Geoffreyem, który niedawno wró z wojny, oraz dziećmi, ubranymi w eleganckie granatowe pła;

czyki i kapelusze.

Maddie wyglądała przez okno, niespokoji szukając wzrokiem Harry'ego, lecz ku jej rozczarowaniu nie b) go wśród tych, którzy właśnie wchodzili do kościoła.

1

Usiedli w ławce, pogodnie uśmiechając się do znajomości i przyjaciół.

Tuż przed nimi siedziała znudzona ciotka Antot nette z mężem Davidem, który tym razem przyjechał do Frogni Point, co było prawdziwą rzadkością.

Emily mrugnęła do Eddi natomiast William wyniośle wpatrywał się w przestrzeń, daj^ wyraz przekonaniu, że niepotrzebnie zaszczyca swoją obecności tak mało ważną, prowincjonalną miejscowość.

Kiedy do kości ła wszedł Harry Weaver, ubrany w nadgryziony przez mole twe dowy garnitur, prawie wszyscy odwrócili głowy, żeby przyjrz się niezgrabnemu przybyszowi.

Maddie wyprostowała się i por

222

chała dłonią w rękawicze, zapraszając go, aby usiadł z nimi.

Harry był jej za to szczerze wdzięczny.

Pośpiesznie przeszedł główną nawą, przygarbiony, z pochyloną głową, mocno zażeno wany, że nagle znalazł się w centrum uwagi wszystkich obecnych.

Skinął głową Hannie i Ricie, uśmiechnął się do Eddie i usiadł obok niej.

- Harvey nie żyje!

- dramatycznie mruknęła dziewczynka.

- Strasznie mi przykro...

- szepnął.

- Eddie czuje się zagubiona bez Harveya - powiedziała cicho Maddie.

- Wyobrażam sobie...

Biedne dziecko...

Maddie zadrżała, czując muśnięcie jego oddechu na swojej skórze.

Kościół był pięknie udekorowany sosnowymi gałązkami i jaskrawoczerwonymi dzikimi jagodami.

Wiejskie dzieci ubrały cho inkę, wieszając na niej złociste bombki i malutkie figurki Święte go Mikołaja.

Oświetlona blaskiem świec i promieniami słońca, wpadającymi przez okna, świątynia wyglądała wyjątkowo uroczy ście i podniośle.

- Życzę wszystkim wesołych świąt!

- Głos wielebnego Hammonda uciszył szmer rozmów.

Wierni usadowili się w jak najwygodniejszych pozycjach, świa domi, że nabożeństwo potrwa dość długo.

Wielebny potoczył wzrokiem po zgromadzeniu i odetchnął z ulgą.

Wiedźma z Elvestree nie zdecydowała się zaszczyścić ich obecnością swoją i swoich kotów...

Duchowny z drzeniem przypomniał sobie tamtą wiosną niedzielę, która na zawsze wryła się w jego pamięć.

Maddie przywarła do boku Harry'ego, a węgielek w jej piersi rozżarzył się jeszcze mocniej.

Harry czuł się podobnie i z zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że trzęsie mu się ręka, w której trzymał kartkę ze słowami hymnów.

Nie zauważył, że Maddie wsunęła swoją kartkę do torebki - teraz miała pretekst, by zapytać go, czy może zerkać w jego kartkę, kiedy organy zaczęły grać.

Rita z trudem powstrzymywała łzy.

Spojrzała na piękny profil siedzącej po drugiej stronie nawy Faye i uświadomiła sobie, że i ona tęskni za George'em.

Trees śpiewał głośno, potwornie fałszując.

Może on także dotkliwie odczuwał nieobecność syna, ale nie

dawał tego po sobie poznać.

Trees rzadko okazywał uczuć Ostatni raz Rita widziała go zdenerwowanego jakieś dwa wcześniej, kiedy ktoś ukradł z farmy sadzonkę rzadko spotyk;

go czarnego orzechowca.

Wielebny Hammond wygłosił bardzo długie kazanie o znai niu świąt Bożego Narodzenia.

Hanna była pewna, że niczym:

różniło się ono od zeszłorocznego, tyle że wielebny jeszcze tt chę je rozbudował.

Po pewnym czasie zgromadzeni zaczęli kasływać i kręcić się w ławkach.

Tylko Maddie i Harry sied;

li spokojnie, nieruchomi jak figurynki na choince i z każ^ chwilą coraz bardziej świadomi tych części ciała, którymi się d tykali.

Po nabożeństwie Humphrey i Hanna złożyli życzenia przyj ciałom i wsiedli całą rodziną do samochodu, aby jak najszybcj dojechać do Elvestree na świąteczny lunch.

Bagażnik był pelj prezentów, starannie zapakowanych w kolorowy papier i ozdo ne torebki.

- Maddie, jedź z Harrym, bo przecież on nie zna jeszcze dro do Elvestree - zaproponował Humphrey, siadając za kierownic

Maddie pośpieszyła do wozu Harry'ego, lekko kołyszając się ) wysokich obcasach i wypuszczając z ust obłoczki pary.

- Zaczekaj na mnie!

- zawołała.

- Jadę z tobą!

Harry szybko pozbiierał z przedniego siedzenia kartki rękopii i stare gazety.

- Tata boi się, że nie trafisz - wyjaśniła zdyszana Maddie, s dowiac się obok niego.

Harry uśmiechnął się, odrobinę zakłopotany, ale szczęśliwy.

- Doskonale...

- powiedział.

Włączył silnik i skupił uwagę na drodze.

- Czy to twoja najnowsza książka?

- Maddie wskazała na i rzucone kartki.

- Nie - odparł Harry.

- Niestety nie miałem czasu, żeby sprząść w samochodzie.

Zwykle zostawiam tu wszystko, co powinienem wyrzucić, ale z czym nie bardzo potrafię się rozstać...

- Co piszesz?

- Powieści.

- Są dobre?

Harry doszedł do wniosku, że bezpośredniość Maddie jest nieelocwujająca.

I - Tak uważają moi wydawcy.

- Jesteś sławny?

- Nie.

- A chciałbyś być znanym pisarzem?

- Nie.

- Dlaczego?

- Rzuciła mu zaciekawione spojrzenie, nie mogąc zrozumieć, jak to możliwe, że nie chce zdobyć rozgłosu.

Harry uśmiechnął się pobłaźliwie.

Wiedział, że tak młoda osoba nie ma pojęcia o zagrożeniach, jakie niesie sława.

- Ponieważ sławni ludzie tracą anonimowość i najczęściej tak że godność, nie wspominając już o zdrowym rozsądku.

Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, kim jestem.

- Naprawdę?

- zdumiała się.

- Rozumiem, że ty chcesz być sławna, prawda?

- Kiedyś chciałam zostać gwiazdą filmową, taką jak Lauren Bacall, ale teraz już nie - zapewniła go pośpiesznie Maddie.

Nie mogła przecież powiedzieć Harry'emu, że odkąd go poznała, pragnie poświęcić się obserwowaniu ptaków w Bray Cove.

- Jesteś bardzo mądra - rzekł Harry.



- Chcę malować ptaki - wyznała z dumą.

- I dobrze ci to wychodzi?

- zapytał, naśladowując jej otwartość.

- Nieźle.

Oczywiście muszę jeszcze sporo się nauczyć, jak ma wia tata.

Bardzo lubię ptaki, podobnie jak ty...

- Kocham wszystkie zwierzęta.

Bray Cove to idealne miejsce dla ptaków, zresztą cały Devon wydaje się prawdziwym rezerwa tem przyrody.

Jestem bardzo szczęśliwy, że się tu przeprowa dziłem.

- Gdzie jest twoja żona?

Harry milczał, zaskoczony, że Maddie wie o jego małżeństwie i rozwodzie.

W Szkocji - odpowiedział po chwili.

-- Dlaczego w Szkocji?

Ponieważ wyszła za człowieka o nazwisku McInty - uśmiech ał się.

- McInty ma zamek w Szkocji, a moja była żona uwielbia , ^elkie domy.

- Więc raczej nie spodobałoby jej się w Bray Cove, tak?

- Na pewno nie.

- Nie macie dzieci?

Harry potrząsnął głową i Maddie odetchnęła z ulgą.

Nie wy obrażała sobie siebie w roli macochy.

Harry spojrział na nią kąteniami oka, ponieważ wydawało mu się, że w zamyśleniu wpatruje się w okno, lecz ona odwróciła się i pochwyciła jego spojrzenie, za nim zdążył odwrócić wzrok.

Poczuł, że krew napływa mu do policzków, i postanowił zmienić temat.

- Opowiedz mi o narzeczoną twojej siostry - poprosił.

- George jest teraz w Argentynie.

Obiecał ożenić się z Ritą;

raz po powrocie, ale ja sądzę, że on nie wróci.

- Naprawdę?

- Jak mówi ciocia Antoinette, gdyby naprawdę ją kochał, nie zostawiłby jej tu samej.

- Cóż, jest w tym pewna logika - zgodził się.

- Rita jest beznadziejnie zakochana.

Współczuję jej, bo wier, co to miłość i jaki ból może sprawiać...

- Maddie rzuciła Harry'emu znaczące spojrzenie i melodramatycznie westchnęła.

-1 masz lat?

Harry pokręcił głową i parsknął śmiechem.

- Jak na tak młodą osobę, zadajesz bardzo dziwne pytania powiedział, nie kryjąc zaskoczenia.

- Czy to coś złego?

- Maddie wyglądała na zranioną.

- Skądże znowu!

- odparł łagodnie.

- Po prostu nie spodziewałem się tego.

- Jeśli chcesz, możesz zapytać mnie o wiek, na pewno się nie obrażę.

Mam dziewiętnaście lat - oznajmiła z szerokim uśmiechem, jakby oczekiwała pochwały za wielkie osiągnięcie.

- A ja trzydzieści sześć - rzekł Harry.

Maddie otworzyła usta.

- Tylko trzydzieści sześć!

- ucieszyła się, składając dłonie.

-! wcale nie tak dużo!

- Mam nadzieję...

- wymamrotał oszołomiony Harry.

- Nie, to naprawdę niedużo!

Jesteś tylko...

- Maddie pośpiesza nie dokonała półgłosem niezbędnych obliczeń.

-Jesteś tylko się demnaście lat starszy ode mnie!

Wyprostowała się, zadowolona, że przynajmniej jedna prze szkoda na drodze do jej szczęścia okazała się wcale nie taka straszna.

Przejechali długą aleją wśród nagich, ściśniętych mrozem drzew i zaparkowali na wysypanym żwirem podjeździe przed Elvestree House.

Mimo zimowej surowości krajobrazu dom emanował miłym ciepłem, a okna płonęły światłami i życiem.

Słońce roztopiło piękne rysunki, które mróz nakreślił na szybach, śnieg leżał na dachu tylko w miejscach pograżonych w głębokim cieniu, z kominów ulatywał dym i cudowny zapach palącego się drewna natychmiast skojarzył się Harry'emu z jesiennymi sobotnimi popołudniami, kiedy ojciec podpalał w ogrodzie góry suchych liści.

Na prowadzących na ganek schodach podskakiwał gil, podrzucając okruszek chleba, i wcale nie odleciał na widok zbliżających się ludzi.

Harry wszedł za Maddie do środka, przedtem jednak z podziwem przyjrzał się ogromnemu wiankowi z gałęzi świerko wych, owiniętemu czerwoną aksamitną wstążką, który zdobił drzwi do domu pani Megalith.

Z salonu docierał do holu gwar ożywionych głosów oraz zapach cynamonu i pomarańczy, zmieszany z przytłaczającym aromatem perfum Antoinette.

Eddie opowiadała wszystkim o śmierci Harveya i zapraszała na pogrzeb, który miał się odbyć o szóstej po południu w ogrodzie przy do mu, pod jabłonią, ukochanym drzewem nietoperza, przede wszystkim ze względu na wiecznie latające wokół niego insekty.

Nawet Antoinette nie śmiała źle mówić o zmarłych, zwłaszcza o Harveyu, i starając się podtrzymać świąteczny nastrój, ugryzła się w język, żeby nie zapytać Ritę, co dzieje się z George'em.

Ach, ^ rodzinna polityka, pomyślała ze znużeniem, jakież to wszystko męczące...

Jej mąż, tajemniczy David, stał przy oknie i z oburzeniem rozprawiał z Humphreym na temat okolicznych terenów, ^ które mieli chrapkę przedsiębiorcy budowlani.

- Co stanie się z naszą fauną i florą, pytam?

- wykrzyknął przez loty Humphrey.

- Bo że krajobraz zmieni się na niekorzyść, to ^yba oczywiste...

Ludzie budują teraz zupełnie bez zastanowienia - wtórował ^u David.

- Naturalnie, mniej zamożni muszą gdzieś mieszkać, .

nie przeczę, ale co zostawimy po sobie naszym potomkom, którzy przyjdą na świat za jakieś pięćdziesiąt lat...

Maddie weszła z Harrym, który garbił się i usiłował w jak najniższym stopniu rzucać się w oczy.

- Madeleine, chodź tutaj i pomóż mi napełnić kieliszki - roległ się gromki głos pani Megalith, która nalewała właśnie szar pana dla gości.

- Wszyscy mają ochotę się napić...

Ach, pan Harry Weaver, czy tak?

Bardzo się cieszę, że wreszcie mam okazję pana poznać!

Wyprostuj się, drogi chłopcze, bo zrobi ci się garb - dodała, podając Harry'emu kieliszek.

- Ten rarytas stał w mojej piwnicy przez kilkanaście lat.

Mój Denzil lubił robić zapasy drogiego alkoholu, ale sam za nim nie przepadał.

Tym lepiej dla nas prawda?

-j

Harry wziął kieliszek i wyprostował się.

Był o co najmniej półtora metra wyższy od wszystkich gości.

Pani Megalith przeszła obok niego, kuśtykając, ubrana w fioletową suknię, która niczym potężny namiot opadała z jej wydatnego biustu aż do stóp.

Wyglądała jak prawdziwa czarownica.

Palce rąk błyszczały od pierścieni z kryształami, na dekolcie hipnotyzującym ruchem kołysał się lśniący księżycowy kamień, włosy podpięta wysoko spinkami ozdobionymi drobnymi ametystami.

Nagle zatrzymała się jak wryta, zamruła, zdumiona mglistą wizją, która ukazała się jej przed oczami, i bardzo powoli odwróciła się, trochę bledsza niż przed chwilą.

- Dobry Boże!

- zawołała cicho, patrząc na Harry'ego i Maddie.

- A niechże mnie...

Coś takiego...

- Dobrze się czujesz, babciu?

- Rita na moment oderwała się od smutnych myśli.

- Lepiej niż kiedykolwiek.

Myślałam, że tylko koty mają takilfi szczęście...

„j

I pani Megalith z zadowoleniem mlasnęła wargami.

Rita rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, lecz Megababcia zbyła ją machnięciem dłoni.

- Takie tam brednie starej kobiety, która otrzymała od Bóg.

wielki dar i wciąż nie może się temu nadziwić...

- powiedziała.

Nie przejmuj się, nic mi nie jest.

Nie dostałaś ostatnio listu George'a, kochanie?

Rita z rezygnacją pokręciła głową.

- Jeszcze nie, ale na pewno już go wysłał.

Nie tracę do niego zaufania, babciu.

- I bardzo dobrze, skarbie.

- Pani Megalith ze współczuciem poklepała ją po ramieniu.

- Ze wszystkich znanych mi osób wlasnie ty najbardziej zaslugujesz na szczescie...

- Odwróciła się i zmrużyła jasne oczy, uważnie przyglądając się Maddie.

- Trzeba jednak przyznać, że czasami nagrodę otrzymują ci, którzy wcale na nią nie zasłużyli...

## Rozdział siedemnasty

George napisał do Rity tuż przed Bożym Narodzeniem, poni waż doszedł do wniosku, że będzie jej lżej, jeśli otrzyma list jm po świętach.

Nie mógł zasnąć i długo siedział na łóżku, choci<sup>^</sup> jego ciało było znużone po całym dniu, spędzonym w polu z gal czarni.

Wyczuwał obecność Susan w pokoju za ścianą i podobni jak ona nadstawiał uszu, starając się wychwycić jakikolwie dźwięk.

Godzinę wcześniej słyszał, że zamknęła drzwi, i wyobraż nią natychmiast podsunęła mu jej obraz, rozbierającej się i uktst dającej w łóżku, może czytającej i wreszcie gaszącej światło.

POZA dat jej każdym mięśniem, każdą cząstką ciała.

Pragnął kochać i z nią, całować ją, głaskać, obdarzać pieścotami i rozkoszą, le jeszcze bardziej chciał po prostu leżeć obok niej i przez całą nc trzymać ją w ramionach.

Zastanawiał się, jak długo powinien cz kac.

Susan nie była niewinną dziewczyną, ale nie ulegało wątpli wości, że została potwornie zraniona.

Przez swą postawę, sposób) bycia i zachowanie zasługiwała na ogromny szacunek, ale on do strzegął w niej przede wszystkim wielką potrzebę zaufania drugie mu człowiekowi.

Tylko czas i cierpliwość mogły wygnać demol przeszłości, który wciąż ją prześladował.

Oparłszy się pokusie, aby już teraz, bez chwili zwłoki zapi;

do jej drzwi, usiadł przy biurku i zaczął pisać.

230

Kochana Rito,

To najtrudniejszy list, trudniejszego na pewno nigdy nie będę musiał napisać.

Nie ma prostych, łatwych stów, jakimi można wyrazić to, co Warn Ci do powiedzenia.

Żałuję, ze nie mogę stanąć przed Tobą i wziąć Cię za rękę.

Mógłbym przytulić cię i niewykluczone, ssę wtedy rozstali byśmy się jako przyjaciele, którzy mimo wszystko dobrze się rozumieją.

Widzisz, nie byłem z Tobą zupełnie szczerzy, nie zachowałem się wobec Ciebie całkowicie uczciwie.

Bałem się, ze Cię zranię, co było absurdal ne, bo teraz muszę zadać Ci jeszcze większy ból.

Nie mogę się z Tobą ożenić, chociaż nadal kocham Cię jak brat siostrę.

Nie jestem już tym George'em, którego znałaś, tamten zginął gdzieś nad udręczoną wojną Anglią.

Postanowiłem zostać w Argentynie na stałe.

We Frogal Point było mi zbyt ciasno i duszno, musiałem znaleźć nowe miejsce do życia.

Tutaj jestem szczęśliwy.

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem Ci wdzięczny za to, że czekałaś na mnie przez te wszystkie lata, kiedy Twoje wsparcie znaczyło dla mnie więcej, niż możesz sobie wyobrazić, Świadomość, że jesteś przy mnie, trzymała mnie wtedy przy życiu.

Przepraszam, że Cię zawiodłem, przepraszam, że Cię zraniłem.

Kiedy my ślę o Twojej zasmuconej twarzy, serce pęka mi z żalu.

Proszę, wybacz mi.

Życzę Ci szczęścia.

Jesteś młoda i piękna, i na pewno szybko znajdziesz kogoś, kto zajmie moje miejsce w Twoim sercu.

Dziękuję Ci tak za to, że dałaś mi wszystko, co jest w Tobie najlepsze.

Chwile, które z Tobą spędziłem, były najwspanialszą częścią mojego życia.

George

Otarł pot z czoła wierzchem dłoni i jeszcze raz przeczytał list.

Długo męczył się nad niektórymi zdaniami, próbując je zmienić.

Miał nadzieję, że nie był zbyt szorstki, i rozważał niektóre zwroty z punktu widzenia Rity, starając się upewnić, że zrozumie to, co chciał przez nie powiedzieć.

Doskonale znał Ritę i wiedział, że ten list złamie jej serce.

Następnego dnia rano dał list Agacie razem z drugim, dla matki, w którym wyjaśnił, jaką podjął decyzję i co zrobił.

Przy śniadaniu Susan zauważyła, że jego twarz była dziwnie napięta, a skóra poszarzała pod opalenizną.

Natychmiast domyśliła się, co było tego przyczyną, natomiast Agatha uznała, że George cierpi z tęsknoty.



- Najlepszym na to lekarstwem jest ciężka praca - oznajmiła.

Zajmij się czymś i spróbuj o niej nie myśleć, mój drogi.

Nie wy trzymasz długo z takim miękkim sercem.

Najbardziej przydałaby ci się jakaś miła, ładna Argentynka, mówię ci.

Nie ma sensu wciąż;

tęsknić za kobietą, która jest na drugim końcu świata.

Miłość aa, dystans nigdy się nie sprawdza, możecie mi wierzyć...

i

George nie wyprowadził ciotki z błędu, ale pod koniec dnia^ kiedy znowu został sam na sam z Susan, wreszcie mógł podzielić się swoimi obawami z kimś, kto świetnie go rozumiał.

- Czuję, że postąpiłem okrutnie...

- powiedział, siadając obok niej na niewielkiej plecionej sofie na biegunach pod werandą.

Susan ujęła jego dłoń i mocno ją ścisnęła.

"

- Zrobiłem, jak radziłaś, i nie napisałem ani słowa o tobie -r dodał, j

- To dobrze - odparła cicho.

- Za nic nie chciałabym być przy-j czyną jej rozpaczy...

Wiem, jak to jest, kiedy pęka ci serce...

. Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

,

- A wiesz, jak to jest, kiedy serce znowu jest całe?

- zapytał ją-, godnie.

;;

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z jej-^ s go twarzy.

-1 pomyśleć, że uważałam cię za niedojrzałego chłopca..j

- Cieszę się, że zmieniłaś zdanie, j

- Och, jestem gotowa przyznać się do błędu...

; Nagle George, ogarnięty wielkim pragnieniem, zacisnął dłonie ' na jej ramionach i odwrócił ją twarzą do siebie.

^

- Nie chcę, żebyś po Bożym Narodzeniu wróciła do Buenos Aires - zaczął.

- Chcę, żebyś została tutaj i wyszła za mnie.

Podświadomie spodziewał się, że Susan parsknie tym pobłażliwym śmiechem, który tak go denerwował.

Wiedział, że gdyby po- ].

wiedział to samo na statku, bezlitośnie by go wyśmiała, nie miał co do tego cienia wątpliwości, ale teraz nie zrobiła tego.

- Nic o mnie nie wiesz - zaprotestowała słabo.

;

- Więc opowiedz mi o sobie.

Daję ci słowo, że żadna część two-;;

jej przeszłości nie może być na tyle zła, abym przestał cię kochać,!

Oczarowałaś mnie, jestem pod twoim urokiem, nie wiesz tego?;

Kocham wszystko, co jest tobą i z tobą się wiąże.

Kocham w to- i bie nawet to, o czym nic nie wiem...

Susan spuściła oczy, przez jej twarz przemknął wyraz goryczy.

- Opowiem ci o sobie, jeżeli przyrzekniesz, że nie będziesz się nade mną litował...

- Przyrzekam.

- Nienawidzę sentymentalnych wzruszeń - ostrzegła go.

- I doskonale wiem, że wiele ludzi ma za sobą o wiele trudniejsze przeżycia...

- Przyrzekam - powtórzył.

Westchnęła ciężko i oparła głowę o sofę.

- Byłam zaręczona - zaczęła.

- Z Anglikiem, który nazywał się John Haddon.

Byłam w nim bez pamięci zakochana.

Znaliśmy się kilka lat i z każdym rokiem kochałam go coraz bardziej.

Cała ta historia musiała zakończyć się małżeństwem, to było oczywiste.

Oboje pragnęliśmy być ze sobą, musieliśmy tylko zalegalizować nasz związek...

- Zawahała się i utkwiała wzrok w ciemności, jak by obawiała się, że jej demony czyhają gdzieś w pobliżu, może za kępą krzewów.

- Wtedy zaszłam w ciążę - podjęła spokojnie, choć wciąż jej głos stał się niski i przyciszony.

George współczuł jej w milczeniu.

Nic dziwnego, że z takim smutkiem patrzyła na tulące się do niej dzieci w Santa Catalina.

- John był zachwycony, przyśpieszyliśmy termin ślubu.

- Położyła rękę na brzuchu i wykonała lekki, pieścizny gest.

- Czułam się fatalnie, ciągle chciało mi się spać i miałam mdłości, ale to wszystko było bez znaczenia, bo nosiłam w sobie dziecko.

Matka gotowa jest wszystko znieść dla dziecka...

Pewnego dnia poszłam z Johnem na pole golfowe, żeby obserwować jego grę.

Nie wiem, jak to się stało, chyba był roztargniony, ale gdy wykonał zamach kijem, końcem trafił mnie w twarz...

George z najwyższym trudem ukrył przerażenie.

Już chciał oto czyść Susan ramieniem, ale przypomniał sobie złożoną obietnicę i szybko opuścił rękę za jej plecami.

- Ocknęłam się w szpitalu, z połową twarzy pulsującą koszmarnym bólem.

Ból to dziwna rzecz - kiedy go odczuwasz, trudno ci uwierzyć, by ktoś inny mógł go znieść i przeżyć.

Tak czy inaczej, Ja przeżyłam.

Lekarze zszyli ranę i założyli opatrunek.

Dostałam mnóstwo środków przeciwbólowych, ale mimo to cierpiałam.

John był zrozpaczony, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, na pewno mo.

żesz to sobie wyobrazić...

Miał wyrzuty sumienia, wciąż mnie przpraszał.

Ja znacznie bardziej niepokoiłam się, czy nic nie stało się dziecku, ale okazało się, że wszystko jest w jak największym pa rządku.

Oczywiście, musieliśmy odwołać, a raczej odłożyć śluhl Pamiętam, że ciągle stawiałam sobie pasjansa w szpitalnym tóżku.i - Zaśmiała się gorzko.

- Wreszcie zdjęli mi bandażę i stanęłam d słownie twarzą w twarz z koszmarem, z okropnym oszpecenie!

które miało mi towarzyszyć do końca życia.

Widzisz, kiedyś była bardzo próżna, traktowałam moją urodę jako oczywistość, jako cc co mi się należało.

Pełne podziwu spojrzenia sprawiały mi prz jemność...

I nagle odkryłam, że wyglądam jak potwór.

Uroda krucha rzecz...

Może głupio to brzmi, ale to było porównywalne utraty nogi lub ręki...

Musiłam nauczyć się żyć z tym od no\ Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo piękna kobieta wierzy w sv wygląd...

Zaraz potem John zerwał nasze zaręczyny.

Nie mógł godzić się z myślą, że będzie miał brzydką, oszpeconą żonę.

George wstrzymał oddech, przerażony i wściekły.

- Drań!

- syknął cicho.

- Tak, John jednak nie był człowiekiem, za jakiego go uważi łam.

Przeżywałam wtedy trudne chwile.

- Co stało się z dzieckiem?

- zapytał łagodnie.

Aż do tej chwili Susan panowała nad sobą, lecz teraz, gd George dotknął najwrażliwszej struny, jej głos zadrzał.

- Poroniłam...

- szepnęła.

Zabrzmiało to o wiele gorzej niż wypowiedziane na głos.

- Z powodu wstrząsu po wypadku?

- Nie...

- westchnęła.

- Sądzę, że z powodu złamanego serca.]

- Mój Boże, tak mi przykro!

- jęknął George.

W jego oczach zabłyśły łzy współczucia.

- Obiecałeś, że nie będziesz się nade mną litował!

- zaprotestowała gniewnie, kiedy wziął ją w ramiona i przycisnął wargi do jej skroni.

- Nie chcę twojej litości...

Próbowała go odepchnąć, lecz on trzymał ją mocno, aż w końcu zrezygnowała, poddając się jego sile.

- Nie lituję się nad tobą - powiedział.

- Po prostu właśnie z'łem sobie sprawę, że kocham cię jeszcze mocniej, niż myślałem. Zamierzam ożenić się z tobą i dbać o ciebie do końca życia.

Tej nocy, po dusznym, parnym dniu, spadł ulewny deszcz.

Susan narzuciła na ramiona szlafrok.

Skórę miała jeszcze wilgotną po kąpieli, krew pulsowała w skroniach.

Drżącą ręką pchnęła drzwi swojego pokoju i wyszła na wykładany kamiennymi płytami korytarz.

Latarnie na werandzie kołysały się pod wpływem wiatru, wielkie krople deszczu mocno uderzały o szyby w holu, rzucając na białe ściany ruchome, rozmyte cienie.

Susan przesuwała palcami po szyi, gdzie skóra była gorąca i miękka, wyprostowała się, odwróciła i stanęła przed drzwiami George'a.

Chwilę się wahała, lecz świst szalejącej na zewnątrz wichury umocnił ją w podjętym postanowieniu.

Tej nocy nie chciała być sama.

Położyła dłoń na metalowej gałce i przekręciła ją.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i łatwo, jakby sam los sprzyjał jej zamiarom.

George leżał na plecach, do połowy nakryty prześcieradłem, którego biel podkreślała brązową opaleniznę jego atletycznego torsu.

Jego zapach mieszał się w pokoju z naturalnymi zapachami farmy - aromatem mokrej trawy, eukaliptusa, jaśminu, skóry i ko ni.

Susan wzięła głęboki oddech i lekkim krokiem podeszła do łóżka.

George otworzył oczy i ujrzał ją stojącą nad sobą, spowitą w cienki, biały szlafrok, rozświetlony blaskiem księżyca.

Nie po wiedział ani słowa, przesunął się tylko i odrzucił prześcieradło, aby zrobić dla niej miejsce.

Długą chwilę stała przy łóżku, ośmielona jego uśmiechem.

Po woli zdjęła szlafrok, potem zaś zsunęła cienkie ramiączka nocnej koszuli i pozwoliła, aby ona także opadła na ziemię, tworząc bia łą plamę wokół stóp.

Rozhuśtane wiatrem lampy na werandzie oświetliły nagie ciało.

George ogarnął wzrokiem łagodne wznie sienia piersi, bioder i ud.

Susan miała pewność, że w tym łagod nym świetle wygląda równie pięknie jak kiedyś.

Powoli położyła ^ę obok George'a, który wziął ją w ramiona, wyjął spinki z jej włosów i zanurzył w nich dłonie, każąc im splątana ą chmurą opaść oa ramiona.

Jego pocałunek był niespieszny, badawczy i czuły.

Susan bez reszty poddała się pragnieniu, które zapierało jej dech w piersiach.

George ją zaskoczył.

Nie śpieszył się, ponieważ chciał nacieszyć się każdym centymetrem jej ciała, ale jednocześnie oka-?^

.

zał się zdecydowany i władczy - był mężczyzną, w którym się za kochała, nie chłopcem, z którego śmiała się na pokładzie "Fortu ny".

Chłopięcy był tylko jego entuzjazm i Susan pozwoliła ogar nać się ciepłej fali wdzięczności.

Całowała go namiętnie, upojom zapachem jego rozgrzanego ciała i dotykiem.

George uśmiechną się do niej.

Przepęłniała go wielka radość, bo Susan była kobietą która nie wstydziła się swego doświadczenia i umiejętności dawa nią rozkoszy mężczyźnie.

,

Wyczerpani leżeli później spokojnie, rozmawiając i ciesząc si<sup>^</sup> sobą do chwili, gdy burza i ulewa ustały i pierwsze promienn słońca padły na mokre równiny i pagórki.

Susan była szczęśliwa że znalazła w sobie dość odwagi, aby kochać się z innym mężczyzna.

Jeszcze do niedawna wydawało jej się to niemożliwe, lea George zredukował wszystkie jej przeżycia do takiego poziomu że mogła bez trudu odsunąć je na bok.

Nagle odkryta, że jej kosz mary ustępują tak łatwo, jakby były utkane z cieniuteńkiej paję-S czynny.

Rita patrzyła, jak topnieje śnieg, a wraz z nim jej nadzieje :

przyszłość.

List od George'a nie przyszedł ani w tygodniu ] świętach, ani w następnym.

Maddie rzadko bywała teraz w domu - większość czasu spędzała w Bray Cove, malując lub organizuje biuro Harry'emu, wreszcie udało jej się wkroczyć w jego życie Miłość uczyniła z niej sprawną sekretarkę, co zaskoczyło ją samą nie mniej niż jej matkę.

Nie zależało jej na pensji, wystarczało jej że jest blisko ukochanego, ale chociaż flirtowała z nim i zachęcać ła go, Harry nie dopuszczał do żadnego zbliżenia.

,

W końcu pewnego ranka John Toppit przyniósł Ricie list od George'a.

Przyjęła go ze łzami ulgi i wdzięczności, nawet zawsty-" dzenia, że okazała się tak słaba, aby wątpić w człowieka, który wyr, znał jej miłość i obiecał małżeństwo.

Pośpiesznie włożyła but<sup>^</sup> i nieprzemakalny płaszcz, chwyciła wielki parasol i pobiegła att klify z listem wsuniętym głęboko do kieszeni.

Z pełnym radość sercem słuchała lekkiego stukania deszczu o płótno parasola i roz<sup>^</sup> głądała się dookoła, po raz pierwszy od dawna dostrzegając pięk- no nagich, ogołoconych z liści drzew i zasnutego szarymi chmu

rami nieba.

Z oddali dobiegał ją odgłos fal uderzających o skały, wiatr niósł słony zapach ozonu i mokrego piasku.

Wysoko na klifach było bardzo wietrznie, tak jak lubiła.

Usiadła pod parasolem za niewielkim skalnym garbem.

Tym razem trzymała kartkę mocno i ostrożnie, aby nie stracić kolejnego cennego listu.

Długo przyglądała się wypisanemu ręką George'a na kopercie adresowi, a potem, z uczuciem radosnego podniecenia i oczekiwania, wyjęła cieniutką kartkę, przejrzyście jak skrzydła motyla.

Powoli prze czytała, co chciał jej powiedzieć, i gardło jej się ścisnęło, jakby ją jakiś niewidzialny rękaw lodowatymi palcami usiłował zadławić ją na śmierć.

Z trudem chwyciła powietrze, starając się zrozumieć słowa George'a, ale kartka drżała jej w dłoni tak mocno, że nie była już w stanie nic przeczytać.

Przed oczami miała jedynie mroczną, ponurą przyszłość, która sięgała daleko, daleko, dalej niż szare niebo i morze, zimna, pusta i zupełnie obca.

Rita nie wyobrażała sobie życia bez George'a, nie wiedziała, czy i jak może bez niego istnieć.

Kiedy przeczytała list kilkanaście razy i nauczyła się go na pamięć, schowała kartkę do kieszeni i podciągnęła kolana wysoko pod brodę.

George był dla niej wszystkim, kochała go mocniej niż życie.

Nie widziała żadnego powodu, aby żyć dalej.

Po płaczu pojawiło się puste uczucie rezygnacji i dziwny spokój.

Niepokojący spokój.

George odebrał jej swoją miłość - było to tak, jakby pozbawił ją dostępu do życiodajnego tlenu.

Uświadomiła sobie, że nie będzie miała domu, dzieci i niedzielnych rodzinnych posiłków w kuchni pachnącej świeżo upieczonym chlebem i smakowi tym gulaszem.

Teraz czekała ją tylko cisza i sterylna samotność, podobna do olbrzymiej pustyni, na której nic nie może wyrosnąć.

Powoli wstała.

Nogi jej drżały, ale jakoś dotarła na krawędź zbocza.

Trzymała parasol w rękach, dopóki wiatr go nie wyrwał, i na wet nie spojrzała w dół, gdzie spadł na skały i podarł się na strzępy. Po prostu wypuściła go z rąk i nadal patrzyła prosto przed siebie.

Zobaczyła, jak samotna mewa leci wysoko, raczej na skrzydłach wiatru niż własnych, i powoli rozpostarła ramiona.



Nagle ^Pragnęła pofrunąć jak ona.

Ptaki były wolne, niczym nie spętane- To musi być cudowne uczucie tak unosić się i opadać, pozwa nieć się wiatrowi wysoko nad ziemią...

Gdyby teraz znalazła

???

się wśród chmur, ziemia nie mogłaby jej zranić.

Byłaby zbyt' soko i daleko, aby cokolwiek mogto ją dotknąć.

Oderwana od ży cia i cudownie nieświadoma dotkliwych ukłuć codzienności, wi działały zieleń pól, błękit morza, piękno lasów i rzek, a nuj brzydotę odrzucenia i beznadziejność ludzkiej walki.

Na co kom miłość?

Była głupia, że w nią wierzyła, ij

Podeszła jeszcze bliżej brzegu urwiska.

Nie patrzyła w dół wciąż wpatrywała się w żeglującą na wietrze samotną mewę.

Pro mień słońca przeniknął przez chmury i oświetlił końce skrzyde ptaka, zapalając je jak świece.

W tej właśnie chwili przed Riti otwarło się niebo, obiecując jej ucieczkę przed rozpaczą.

Pozwaj lita, aby mocny podmuch uniósł jej ramiona.

W górę i w dół w górę i w dół...

Czuła się jak ptak, ramiona przypominały skrzydła, lekkie, gotowe do lotu...

Nie miała już nad nimi kontroli.

Z mknęła oczy i poczuła drobne krople deszczu na twarzy.

Ciemność niosła ukojenie.

Wiatr rzucił jej włosy na policzki^ przesunął nimi po wargach.

Odrzuciła głowę do tyłu, zdając się na wicher, czekając, aby zabrała ją do nieba, w sam środek ci- szy i zapomnienia, fg

Wtedy dwa ramiona otoczyły jej talię i szarpnęły do tyłu.

Wy- rwana ze spokoju zbliżającej się śmierci, krzyknęła i upadła nsfc ziemię.

Oślepią wściekłością, zaczęła wrywać się intruzowi,;

który odciął jej jedyną dostępną drogę ucieczki.

Potoczyli się po trawie, dysząc jak zmęczone psy.

Rita usiłowała wbić paznokcie w twarz mężczyzny, szarpała jego włosy, ubranie, za wszelką cenę usiłowała oswobodzić się z jego uścisku i rzucić w dół.

Z jej gard-ija wydobył się dziwny dźwięk, rozpaczliwe ni to zawodzenie, nfe to wycie, bardziej zwierzęce niż ludzkie.

Chmury zasłoniły pro-y mień słońca i mewa zniknęła we mgle.

W końcu mężczyzna, wyż- \ szy i silniejszy od niej, zdołał unieruchomić ją na ziemi.

Zamru- ;3 gała szybko i nagle zorientowała się, że patrzy prosto w napięta,1;

podrapaną do krwi twarz Harry'ego Weavera, który z trudem ta-:

pat oddech i ocierał z czoła pot i brud.

i

- Mój Boże!

- wydyszał.

- Co ty robisz, Rito?!

;

Jego głos przeniknął przez jej otępiałe zmysły i nagle pojęła, jak, mało brakowało, aby dobrowolnie rzuciła się w objęcia śmierci.

Zaczęła drżeć na całym ciele.

- George...

- zajęczała wysokim, obcym głosem.

- George...

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Próbowała wciągnąć powietrze głębiej, ale mięśnie szyi i klatki piersiowej boleśnie na pięty się z przerażenia.

Harry podciągnął ją do pozycji siedzącej i pchnął głowę w dół.

- Oddychaj, oddychaj...

- ponaglał ją.

- Spokojnie, nic ci się nie stało...

- George już mnie nie kocha!

- wyrzuciła z siebie, gdy odży skała głos.

Harry mocno przytulił ją do piersi.

- Tak mi przykro, tak mi przykro...

- powtarzał.

- Biedactwo...

Wszystko będzie jeszcze dobrze, zobaczysz...

Jednak Rita wiedziała, że nie będzie dobrze.

Przekroczyła próg piekła i tylko George mógł pomóc jej wrócić do normalnego życia.

Bray Cove znajdowało się niedaleko.

Harry podniósł Ritę, objął ją w pasie i tak powoli ruszyli w kierunku jego domu.

Drugą ręką trzymał parasol, który spadł na niego, kiedy z plaży oberwował mewy.

Wyczuł, że na klifie dzieje się coś złego, i popędził na górę.

Gdyby przybiegł kilka sekund później, Rita runęłaby w dół.

Stała z szeroko rozłożonymi ramionami i odchyłoną do tyłu głową, biała jak prześcieradło, przerażająca...

Harry nie miał pojęcia, o czym myślała, ale wiedział jedno - żaden mężczyzna nie zasługiwał na to, aby umarła z jego powodu.

W domu napuścił gorącej wody do wanny i zostawił Ritę w swoim pokoju, żeby się ogrzała.

Była zupełnie przemoczona.

Postawił czajnik na kuchni i zadzwonił do Hanny, która skontaktowała się z Humphreym i kazała mu natychmiast wracać do niego, ponieważ ich najstarsza córka próbowała popełnić samobójstwo.

Eddie była w szkole, natomiast Maddie tkwiła przed lustrem w swoim pokoju, malując się przed umówionym spotkaniem z Harrym.

- Maddie, jedziemy do Bray Cove!

- zawołała Hanna.

Maddie usłyszała przestrach w głosie matki i natychmiast zbiegła na dół.

- Co się stało?

- zapytała, przekonana, że coś złego przydarzyło się Harry'emu.

- Rita próbowała skoczyć z klifu...

??o .

Maggie zbladła gwałtownie.

- Podobno dostała list, w którym George zerwał zaręczyny.

Na pisał, że już jej nie kocha.

Harry uratował jej życie.

-M

- Och, Harry to prawdziwy bohater!

- zachwyciła się Maddie'

- Nigdy nie zdołamy mu się za to odwdziżyć - odparła matka, wychodząc prosto w deszcz.

No wreszcie, pomyślała z radością Maddie.

Dadzą mnie Harry'emu jako nagrodę...

Kiedy Hanna zjawiła się w Bray Cove, skulona Rita śledziła przed kominkiem, otulona szlafrokiem Harry'ego.

Wyglądali przejmująco mizernie.

- Moje kochane dziecko!

- szepnęła Hanna ze wzruszeniem.

„ Chwyciła córkę w ramiona, a ona przytuliła się do niej i załata łzami.

- Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni - odezwała się Maddie idąc za Harrym do kuchni.

- Co się stało?

Harry czuł ulgę, że ma z kim porozmawiać.

Hanna i Rita potrzebowały teraz trochę czasu i spokoju.

- Co napisał George?

- zapytała Hanna, głęboko dotknięta wiadomością o załamanej córki.

Rita wyjęła kartkę z kieszeni szlafroka i podała ją matce.

ona z ciężkim westchnieniem przebiegła list wzrokiem.

Potem złożyła ją i oddała.

- Zupełnie tego nie rozumiem...

- Pokręciła głową.

- Jak on mógł tak cię zawieść, po tylu latach oczekiwania...
- Odgarnął mokre włosy z czoła córki i delikatnie pogłaskała ją po policzku.

Co się stało na klifie?

Oczy Rity wypełniły się łzami.

- Chciałam umrzeć...
- wyznała łamiącym się głosem.
- Och, kochanie, nie powinnaś tak myśleć!

Nikt nie jest wa tego, aby dla niego umrzeć!

Wydziesz z tego i zaczniesz żyć nowa, zobaczysz...

- Nie potrafię...
- Bo na razie jest jeszcze na to za wcześnie, ale później, kie otrząśniesz się z szoku, powoli dojdiesz do siebie.

Wszyscy ci w tym pomożemy, ojciec i ja, Maddie i Eddie.

Kochamy cię i zaj dbamy o ciebie...

Rita utkwiała wzrok w płonącym na kominku ogniu.

- Zależało mi tylko na George'u - powiedziała.
- Był wszystkim, czego pragnęłam od życia.

Czekałabym na niego bez końca...

Kiedy przestał mnie kochać?

- Nie wiem, to wszystko jest dla mnie niepojęte - sapnęła gniewnie Hanna.
- Gdy wyruszał do Argentyny, robił wrażenie bardzo zakochanego...
- Miała ochotę zabić George'a za to, że tak boleśnie skrzywdził jej dziecko.
- Powinnam była odgadnąć, co się dzieje, kiedy powiedział, że chce znowu wyjechać.
- Rita powoli pokiwała głową.
- Ciotka Antoinette miała rację, gdyby naprawdę mnie kochał, nie zostawił by mnie, prawda?

Teraz wydaje mi się, że przestał mnie kochać latem.

Czułam, że odsuwa się ode mnie, ale nie chciałam się do tego przyznać...

Życie bez George'a było dla mnie niewyobrażalnym koszmarem, nie potrafiłam o tym myśleć, więc udawałam, że wszystko jest w porządku...

Sądzisz, że wyjechał, żeby ode mnie uciec?

- Nie, w żadnym razie - zaprotestowała Hanna.

- Chciał uciec z Prognal Point, nie od ciebie.

Jestem pewna, że George sam nie wie, czego chce.

Najprawdopodobniej dręczyły go wyrzuty sumienia, że poprosił, abyś na niego czekała, więc uznał, że lepiej będzie, jeżeli zwróci ci wolność...

- Nie wydaje ci się, że po prostu poznał tam inną dziewczynę?

- zapytała Rita z niepokojem w oczach.

- Spędził tam dopiero parę miesięcy i naprawdę nie sędzę, aby cała ta sytuacja miała coś wspólnego z inną kobietą.

Rita wyprostowała się odrobinę.

- Może wróci po roku, tak jak planował...

- szepnęła z nadzieją.

- No, właśnie, kto wie...

Nie poddawaj się, kochanie.

Tak czy inaczej, nie podejrzewałam, że taki z niego głupiec.

Jesteś śliczną dziewczyną i ani się obejrzyysz, a już zakręci się koło ciebie ktoś "Iny...

Ale ja nie chcę nikogo innego.

- Oczywiście, że nie, skarbie...

- Hanna pogłaskała ją po dłoni i utkwiła spojrzenie w oknie.

Obie drgnęły, słysząc warkot podjeżdżającego samochodu Humphrey zatrzasnął drzwiczki i szybko wszedł do holu. Z wdzięcznością poklepał Harry'ego po ramieniu i zapytał, gdzie jest Rita.

- Co ci wpadło do głowy, na miłość boską?!

- Wykrzyknął, stając na środku pokoju, z dłońmi opartymi na biodrach.

Jego twarz była szara jak popiół, kępkę siwych włosów nad uszami lśniły od deszczu.

- Wszystko jest już w porządku, mój drogi - spokojnie odezwała się Hanna.

- Rozmawiałam z Ritą i doszliśmy do wniosku, że to była pomyłka...

- Pomyłka?

- Wykrztusił Humphrey.

- A gdyby Harry'ego nie było na plaży?!

- Ale Harry był na plaży - powiedziała z naciskiem Hanna!

Łączyła się na cierpliwość i wzrokiem każąc mężowi wziąć się w garść -1 Ricie nic się nie stało...

Musimy spojrzeć na tę sytuację z właściwej perspektywy.

Usiłowała zachować spokój, ale w głębi duszy równie dobrze jak Humphrey wiedziała, jak mało brakowało, by stracili córkę.

- Ach, ty głupia dziewczyno...

- Humphrey przyklęknął obojgu Rity i objął ją mocno.

- Śmiertelnie mnie przestraszyłaś!

- Przepraszam, tato.

- Co ci przyszło do głowy?

- Powtórzył.

- George nie jest tego wart!

Nie ulega wątpliwości, że nie jest człowiekiem, za którego!

mieliśmy...

Jesteś za dobra dla niego, do cholery!

- Zgadzam się - odezwała się Maddie z progu pokoju, gdzie!

stała obok Harry'ego.



- George nie zasługuje na taką dziewczynę jak ty!

Dzięki Bogu, że akurat byłeś na plaży, Harry!

Nie wiem jak ci dziękować, że uratowałeś Ritę...

Humphrey podniósł się z kolan.

- Maddie ma rację - rzekł.

- Nie chcę myśleć, co by się stało gdyby nie ty.

Nigdy nie zdołamy ci się odwdziżyć.

Harry uśmiechnął się skromnie i spuścił oczy.

- To nic takiego...

- powiedział nieśmiało.

- Każdy zrobiłby to samo...

- Spójrzcie, jaki jest podrapany.

- Maddie wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego twarzy.

Krew zdążyła już zaschnąć, podobnie jak błoto, którego smugi Harry miał na policzkach, lecz jego włosy nadal były wilgotne i pełne żdźbeł trawy.

W dłoniach trzymał filiżankę z herbatą, próbując ukryć ich drżenie.

Przed oczami wciąż miał obraz Rity, chwiejącej się na krawędzi skalistego zbocza.

- Rita musiała walczyć jak dzika kocica...

- mruknęła Maddie.

Delikatnie przesunęła palcami po policzku Harry'ego, on jednak czuł się nieswojo, odkąd znalazł się w centrum uwagi.

- Była przestraszonym, nieprzytomnym z bólu dzieckiem - wymamrotał, cofając się z zasięgu ręki Maddie.

Rita podniosła się z krzesła.

- Pójdę się przebrać - powiedziała.

- Chcę jechać do domu...

Mijając Harry'ego, zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Przepraszam, że cię podrapałam.

- Nie ma za co - odparł.

Rita powoli wyszła z pokoju.

Powłóczyła nogami i poruszała się jak stara kobieta.

Nie wiedziała, czy jest wdzięczna Harry'emu za uratowanie życia, czy nie.

Śmierć wydawała jej się kuszącym rozwiązaniem wszystkich problemów.

## Rozdział osiemnasty

Faye z ciężkim sercem przeczytała list od George'a.

Od tamtej rozmowy, w czasie której George powiedział jej, że chce wyjechać z Frognał Point, obawiała się, że tak się to skończy.

Miała nadzieję, że syn zabierze Ritę ze sobą do Las DOS Vizcachas, lecz najwyraźniej już wtedy zmagał się z myślą o zerwaniu, chociaż nie chciał się do tego przyznać.

Teraz Faye myślała przede wszystkim o Ricie.

Wiedziała, że dziewczyna będzie załamana, bo przecież George był całym jej życiem i przyszłością.

Tak długo czekała na niego cierpliwie, bez słowa skargi...

Faye czuła głęboki żal.

Kochała Ritę jak córkę, zastanawiała się też, w jaki sposób nowa sytuacja wpłynie na przyjaźń, łączącą jej rodzinę z Hanną i Humphreym.

Westchnęła z rezygnacją i postanowiła zadzwonić do Hanny.

Może Rita także otrzymała list od George'a...

Faye z pewnym lękiem podniosła słuchawkę i wybrała numer Hanny.

Odetchnęła z ulgą, kiedy nikt nie odpowiedział.

Na zewnątrz lało, wiatr ostro zacinał dużymi kroplami o szyby i parapety, wydawał się trząść całym domem.

Faye pomyślała o Tadeuszu.

Brakowało jej jego obecności i rady, ale już dawno obiecała sobie, że nie będzie dzwoniła do niego z domu, ponieważ była zdania, iż oznaczałoby to brak szacunku dla Treesa.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

Hanna prawie nigdy nie wychodziła z domu, gdy padało...

Nagle Faye

244

przyszło do głowy, że może Hanna i jej córki są w Bray Cove u Harry'ego Weavera, i postanowiła tam zadzwonić.

W głosie Harry'ego brzmiało dziwne przygnębienie.

- Wyjechali do domu pięć minut temu - powiedział krótko, nie chcąc opisywać okoliczności, które sprowadziły do jego domu

Ritę i jej najbliższych.

Faye bez trudu wyczuła, że stało się coś złego.

Narzuciła na ramiona płaszcz przeciwdeszczowy i wybiegła w deszcz.

Trees wziął półciężarówkę, musiała więc jechać samochodem, który jej mąż wyprowadzał z garażu tylko przy specjalnych okazjach.

Auto było czyste i pachniało wypolerowaną skórą.

Nie miała wątpliwości, że Trees zrozumie, iż w takiej sytuacji nie mogła zachować się inaczej.

Z nieba lały się strugi deszczu i wycieraczki nie nadążały z czyszczeniem przedniej szyby.

Jechała powoli i ostrożnie, bo drogi były kręte i wąskie, a mgła wyjątkowo gęsta.

Dlatego do domu Hanny jechała dłużej niż zwykle.

Miała wrażenie, że siedzi za kierownicą od paru godzin, a niespokojne myśli wciąż kłębiły się w głowie.

Dobrze chociaż, że George jest szczęśliwy u Agathy i Jose Antonia...

W liście do matki pisał nie tylko o smutnej decyzji co do Rity, ale także o życiu w Argentynie, z którego był chyba bardzo zadowolony.

Faye cieszyła się, że przynajmniej o niego nie

musi się martwić.

Wreszcie koła samochodu zazgrzytały na wyżwirowanym podjeździe przed domem.

Faye zorientowała się, że Hanna wraz z całą rodziną musiała wrócić dosłownie przed chwilą, ponieważ okna wozu Humphreya były jeszcze zaparowane.

W holu się świeciło, ciężkie drzwi na ganek stały otworem.

Faye wzięła głębię oddechu i wysiadła.

Jej lekkie, domowe pantofle prawie na tychmiast przemokły.

Pchnęła drzwi do holu i niepewnie wsunęła do środka głowę.

- Halo?

- zawołała.

- Jest tu ktoś?

Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

Z kuchni dobiegły ją przyciszone głosy.

- Jesteś tam, Hanno?

Rozmowa ucichła, w drzwiach kuchni stanęła blada, zatroskana Hanna.

- Och, to ty!

- powiedziała, mrugając zatławionymi oczami.

245 .

- Tak mi przykro...

- szepnęła Faye i objęta przyjaciółką.

- Ja]j się czuje Rita?

- Położyła się.

Jest kompletnie załamana.

- To takie okropne...

- Faye potrząsnęła głową.

Czuła się winna, bo to przecież jej syn stał się powodem tego nieszczęścia.

;;

- Wejź, napijemy się herbaty - zachęciła Hanna.

- Właśnie o tym rozmawialiśmy...

;

Humphrey siedział w fotelu na biegunach obok kuchni i pody niósł na Faye pełne smutku oczy.

Pochylona nad stołem Maddit przygotowywała filiżankę owałtyny.

Faye nie była w stanie usiąść% stanęła pod ścianą, opierając się o blat, na którym Hanna kroili;

warzywa.

,

- Ja także dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano - powiedziała.

- Od razu pomyślałam, że Rita na pewno dostała swój liaftl mniej więcej w tym samym czasie...

;

Hanna drżącą ręką nalała przyjaciółce herbaty.

J

- Byliśmy w Bray Cove - zaczęła cicho.

- Rita próbowała rzuć się z klifu...

;;

Faye krzyknęła i z przerażeniem zasłoniła usta dłonią.

- Dobry Boże!

- jęknęła.

- Jak to?!

j,

- Harry ją uratował - odezwała się Maddie.

- Gdyby nie on, Ri? ta już by nie żyła.

- Nie mogę o tym myśleć - rzekła Hanna.

- Nie rozumiem dlaczego ją to spotkało...

- Co robiła na klifach w taką pogodę?

- zapytała Faye.

Była głęboko wstrząśnięta, że decyzja George'a pchnęła dziewczynę do takiego kroku.

Zdawała sobie sprawę, że Rita posiada de?;

likatną, kruchą psychikę, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że byłaby zdolna popełnić samobójstwo.

.

- Wzięła ze sobą list, ponieważ chciała przeczytać go w miejscu, gdzie zwykle robili sobie pikniki - odparł Humphrey poważnym wyrazem twarzy, nie odrywając wzroku od szklaneczki z whisky, którą wciąż trzymał w ręku.

- Nie wiem, co w nią wstąpiło...

- pokręcił powoli głową.

- Jest taką rozsądną dziewczyną i nagle wpadło jej do głowy coś tak idiotycznego...

Nie muszę mówić, jak nas wystraszyła...

246

Faye spuściła oczy.

- Tak się szczęśliwie złożyło, że Harry był wtedy na plaży i obserwował ptaki - podjęła Maddie.

- Rita upuściła parasol, który spadł mu na głowę i o mało go nie zabił.

Harry od razu się zorientował, że coś jest nie w porządku, pognął na górę i znalazł ją chwiejącą się na krawędzi urwiska.

Mówił, że wystarczyłby jeden silniejszy podmuch wiatru, a spadłaby w dół jak liść...

Maddie z satysfakcją opowiadała o heroicznym wyczynie Harry'ego.

Faye zauważyła, że w porównaniu z bladymi, oszołomionymi rodzicami ona wygląda wręcz doskonale, rumiana i ożywo na.

Pomyślała, że tryskająca urodą i zdrowiem dziewczyna po prostu nie pasuje do smutnego otoczenia.

- Teraz śpi - powiedziała Hanna.

- Zrobiłam jej filizankę owałtyny, ale nie wypija.

Kiedy otuliłam ją kocem, naciągnęła go so bie na głowę, schowała się przed nami.

Chyba musi przespać ten szok.

Nie wydaje mi się, żeby naprawdę chciała się zabić.

To by to wołanie o pomoc i na szczęście Harry je usłyszał...

- Strasznie mi przykro - westchnęła Faye.

- Czuję się odpowie dzialna za jej dramat...

- Nie mów głupstw, moja droga - rzekła Hanna.

- Ta sprawa dotyczy George'a i Rity.

Nie możemy ponosić odpowiedzialności za czyny naszych dzieci.

- Nie pozwólmy, aby stanęło to między nami i zepsuto naszą przyjaźń - poprosiła Faye, powoli popijając herbatę.

- Na pewno na to nie pozwolimy - zapewniła ją Hanna.

Humphrey milczał, zapatrzony w złocistą powierzchnię whi sky, w której odbijała się jego twarz.

- Rita jest młoda i szybko znajdzie kogoś, kogo pokocha - oświadczyła z przekonaniem Maddie.

Hanna zmarszczyła brwi, niemile zaskoczona lekkim tonem córki.

- W tej chwili na pewno nie można jej o tym nawet wspomnieć - rzuciła ostro.

Maddie stłumiła ziewnięcie.

Zastanawiała się, kiedy będzie mogła wymknąć się z domu i wrócić do Bray Cove.

- Zadzwońcie do mnie, gdy Rita się obudzi?

- zapytała Faye.

- Chciałabym się z nią zobaczyć.





- Oczywiście - Hanna wsiadała, żeby odprowadzić przyjaciółkę do drzwi.

- Gdybyś miała ochotę porozmawiać, będę w domu - powie działa Faye na pożegnanie.

Czuła jednak, że Hanna nie skorzysta z jej propozycji.

Milcze nie Humphreya było głośnie i pełne niechęci.

Objęła Hannę, która rej mięśnie napięły się w obronnym odruchu, i

Zjechawszy z podjazdu, Faye nie skręciła na drogę prowadzącą na farmę.

Pojechała w kierunku domu Tadeusza.

Po godzinie w holu pojawili się pani Megalith i pełen ostrożnego optymizmu Max, przynosząc z sobą nieodłącznie im towarzyszący zapach kotów.

Max stanął krok za starszą panią, niczym po słuszny uczeń, pomagając jej zdjąć płaszcz i podając laskę.

W taką pogodę pani Megalith nigdy sama nie siadała za kierownicą, a po-s nieważ Max beczynnie kręcił się po domu, zatrudniła go jako!

szofera i po drodze opowiedziała mu o samobójczej próbie Rity.

- Mama!

- wykrzyknęła Hanna.

Widok matki już dawno nie sprawił jej takiej radości.

- Mój Boże, ależ mieliście dziś przeżycia!

- Pani Megalith!

pokręciła głowę i bez słowa podziękowania wzięła laskę z rąk i Maksa.

- Jak to miło, że przywiozłeś mamę - zwróciła się do młodego człowieka Hanna.

- Chodźmy do salonu, nie mogę już dłużej siedzieć w kuchni.

Humphrey jest zrozpaczony - szepnęła matce do ucha.

- Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie...

Pani Megalith pokuśtykała do salonu i wygodnie usadowiła się w fotelu przy kominku.

- Witaj, babciu!

- Maddie weszła do salonu z szerokim uśmiechem na starannie umalowanej twarzy.

- Harry Weaver uratował Ricie życie, wiesz?

Megababcia obrzuciła ją uważnym spojrzeniem znad okularów i z dezaprobatą ściągnęła brwi.

- Słyszałam - odparła chłodno.

- Przestań się tak radośnie uśmiechać, Madeleine, i przynieś mi kieliszek sherry, najlepiej duży.

Maddie spojrzała na Maksa, znacząco przewróciła oczami, ale uśmiech nie znikł z jej twarzy.

- Czego się napijesz, Max?

- Herbaty - odpowiedziała za Maksa pani Megalith i pogroziła Maddie palcem.

- Nie żałuj mi sherry, dziewczyno - powtórzyła.

- Maddie nigdy nie sprawiała wrażenia mądrej, ale teraz...

- mruknęła, kiedy jej średnia wnuczka wyszła z pokoju.

- Nie wiem, co w nią dzisiaj wstąpiło.

- Hanna z roztargnieniem potrząsnęła głową.

Pani Megalith uniosła brwi.

- Naprawdę nie wiesz?

- zapytała cynicznie.

- Wydaje mi się, że to miłość, moja droga.

- Miłość?

- Z piersi Hanny wyrwało się ciężkie westchnienie.

Chwilowo miała dość miłości i nie wyobrażała sobie, aby mogła spokojnie znieść rozterki drugiej córki.

- Tak, miłość, tuż pod twoim nosem.

- Zakochała się w Harrym?

- Hanna z niedowierzaniem pa trzymała na matkę.

Nagle wszystkie kawałki układanki utworzyły logiczną całość.

- Masz ci los...

Dlaczego urodziłam trzy córki, na miłość boską?

- To najmniejsze z twoich zmartwień.

Te koty zdechły z powodu Rity, nie Maddie.

- Jakie koty?

- zdziwiła się Hanna.

Max natychmiast zrozumiał uwagę starszej pani i kiwnął głową, przypomniawszy sobie zły omen.

- Maddie przejdzie przez życie jak po dywanie - mruknęła pa ni Megalith.

- Nie wiem, pod jaką gwiazdą przyszła na świat, ale nie ulega wątpliwości, że była bardzo duża i jasna...

- A Rita?

- Pod słabą, łagodnie świecącą gwiazdą, ale bez obaw, przeżył je dzięki takim jak Harry Weaver!

- zaśmiała się cicho.

- Gdzie na jest?

- W swoim pokoju, śpi.

- Zaczekam, aż się obudzi.

Nie wystawimy nosa na tę ulewę, chyba że będziemy musieli.

Max pragnął zobaczyć Ritę, lecz już sama świadomość jej nie^działnej bliskości ogrzała mu serce.

Przeraziła go wiadomość, .

że chciała skoczyć z klifu, i dalby wiele, aby powiedzieć jej, że George nie jest tego wart, bo to nie jedyny mężczyzna, który może obdarzyć ją miłością.

Max kochał Ritę całym sercem, lecz ona nie dostrzegała tego, oślepiona fałszywym blaskiem uczucia George'a.

To George od dawna był siłą napędową jej życia, po wietrzem, którym oddychała, wiatrem, na którego skrzydłach mogła sunąć nad ziemią.

Miłość Makska była jak ciche wołania zagłuszone przez wiatr.

Gdyby tylko data mu trochę czasu i po<sup>^</sup> zwołała, by dowiódł, że zasługuje na jej uczucie o wiele bardziej niż George...

Mas miał już siedemnaście lat.

Tej wiosny skończył szkołę we Frognał Point i jesienią miał wyjechać do Londynu, do czego p<sup>^</sup> ni Megalith szczerze go zachęcała, i

- Nie możesz ciągle siedzieć w domu i być chłopcem na posyłki takiej starej wiedzmy jak ja - powtarzała.

- Jesteś inteligentnym młodym człowiekiem i masz przed sobą jasną przyszłość.

Gdybyj twoi rodzice żyli, byłiby z ciebie dumni.

Jednak Max nie pragnął sukcesu ze względu na rodziców, ale ze względu na Ritę, uważał bowiem, że powodzenie pomoże mu ją zdobyć.

Między innymi dlatego pielęgnował ambicje, których nie<sup>^</sup> mógł zaspokoić we Frognał Point.

Maddie wróciła z filiżanką herbaty i dużym kieliszkiem sher-i ry.

Pani Megalith wzięła drinka i mlasnęła językiem o podnie-;

bienie.

- Dlaczego się tak wystroiłaś, młoda damo?

- zwróciła się do)1 wnuczki.

Upiła spory tyk sherry i z wyraźną przyjemnością wstrząsnęła:

ramionami.

- Dziewczyna musi umieć wykorzystać swoje atuty - odparta Maddie z chytrym uśmieszkiem.

- Nie wątpię, że ty potrafisz to perfekcyjnie.

Słyszałam, że sta-j rasz się być bardzo pomocna w Bray Cove...

''' Maddie oblała się rumieńcem.

- Harry potrzebuje pomocy, jest bardzo chaotyczny i nie umie poradzić sobie z wieloma sprawami.

Poza tym szkicuję ptaki - do^j dała dumnie.

- W takim stroju?

- Oczywiście, że nie, babciu!

Za kogo mnie bierzesz?

- Ze względu na twoją matkę nie powinnam chyba odpowia dać na to pytanie!

- Maddie jest doskonałą sekretarką - wtrąciła Hanna.

- Odkry ła też w sobie talent, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

- Strach myśleć, co to za talent - skomentowała sucho pani Megalith.

- Pięknie maluje.

- Hanna uśmiechnęła się do córki.

- Idź po szkicownik i pokaż go babci, skarbie.

Maddie z radością spełniła polecenie matki.

Wiedziała, że jej szkice są naprawdę dobre.

Pani Megalith była przyjemnie zaskoczona.

- Odziedziczyła te zdolności po mnie - oznajmiła arogancko.

- Ja także doskonale malowałam, kiedy byłam młoda...

Przerwała na widok Rity, która pojawiła się w drzwiach cicho jak duch.

Maddie niechętnie zamknęła szkicownik.

- Maddie, zrób Ricie filiżankę ovaltyny i dolej do niej brandy - rozkazała babka, przerażona szarym odcieniem cery najstarszej wnuczki.

- Powinnaś napić się czegoś ciepłego, kochanie - powie działa łagodnie.

- Zaraz lepiej się poczujesz, zobaczysz...

Usiądź przy kominku, wyglądasz na potwornie zmarzniętą...

Rita, powłócząc nogami, podeszła do kominka i przysiadła na taborecie obok babki.

- Jak się czujesz?

- zapytała Hanna.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jakbym była pusta w środku - odrzekła powoli.

- To minie, skarbie.

- Ale nie dzisiaj - odezwała się pani Megalith.

- I nie jutro, Trudno jest zaleczyć złamane serce, lecz żeby proces leczenia w ogóle się rozpoczął, trzeba mówić o tym, co boli, nie zamykać ^ę w sobie.

Z tłumienia emocji nigdy nie wynika nic dobrego, człowiek gromadzi tylko w sobie ogromną ilość negatywnej energii, która w końcu zupełnie go przytłacza...

- Nie spodziewałam się tego...

- Rita odgarnęła opadające na czoło włosy.

- Myślałam, że mamy zapewnioną wspólną przy^łość, więc teraz czuję się zraniona i zawiedziona.

Nie mogę ^Wierzyć, że on mnie już nie chce...

Umilkła.

Siedziała bez ruchu, z oczami wbitymi w dywan.

- Mówiłam jej, że George po prostu nie wie, czego chce od jsię - przerwała milczenie Hanna.

J

Pani Megalith ściągnęła brwi, ponieważ miała na ten temat jakieś zdanie, ale na razie zachowała je dla siebie.

- Podaj mi moją torebkę, Max.

- Rozkazująco wyciągnęła rękę.

,

Gdy Max przyniósł torebkę z holu, oparła ją na kolanie i wyjęła z niej czarną aksamitną sakiewkę, wypełnioną kryształami.

- No, właśnie to nam się teraz przyda...

- mruknęła.

- Chcę, żebyś nosiła ten różowy kryształ w kieszeni, kochanie.

Pozostałe ] łóż na szafce albo stoliku koło łóżka, dobrze?

Rita przyjęła woreczek z westchnieniem ulgi, ponieważ obawiała się, że babka przyniosła ze sobą karty do tarota.

Zasilona tak dużą ilością pozytywnej energii, spojrzała w okno, lecz na dwór wciąż padało.

Miała wielką ochotę pójść na długi spacer, ale to było to niemożliwe.

Do pokoju weszła Maddie, niosąc kubek z owałtiną.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałaś dolać brandy?

- Pani.

Megalith wzięła kubek od Maddie i podała go Ricie.

- Wypij, dobrze ci to zrobi.

Musisz podtrzymać siły, bo życie to wielka seria prz szkód.

Cała rzecz w tym, żeby przeskoczyć każdą z nich, a pole się nie oglądać.

Po co płakać nad rozlanym mlekiem?

Jeżeli chcesz, wyjdiesz z tego znacznie silniejsza niż dotąd, moja droga.



Możesz wybierać...

- Nie wydaje mi się, żebym w ogóle miała jakiś wybór - mruk'nęła żałośnie Rita.

Pochwyliła spojrzenie Maksa i drgnęła, zaskoczona ciepłym, serdecznym wyrazem jego oczu.

Odwróciła się pani Megalith, która nie ustawała w wysiłkach, aby ją pocieszy i tym razem sięgnęła po zrozumiałą dla Rity analogię.

- Wyobraź sobie dwa ptaki, oba ze złamanymi skrzydłami zaczęła, bawiąc się wisiołem z kamieniem księżycowym.

- Pewnego wiosennego ranka zostały ranione przez myśliwych.

Oni uciekają i ukrywają się wśród krzaków, aby tam leczyć swoje rany, które powoli zaczynają się goić.

Jeden ptak postanawia, że nie pozwoli, aby to nieszczęście zrujnowało mu życie, i mobilizuje całą siłę woli, od nowa uczy się latać.

Nie jest to łatwe, ptak musi

ćwiczyć i ćwiczyć, i zdarza się, że nie ma już siły i nadziei, ale w końcu pozytywne nastawienie i ciężka praca przynoszą efekt i ptak wznosi się wysoko nad ziemię, wyżej niż kiedykolwiek wcześniej.

Ten lot daje ptakowi wyjątkową radość, ponieważ już wie, co to znaczy nie móc latać.

Tymczasem drugi ptak, zbyt przeładowany, aby spróbować wzniesić się w powietrze, kryje się w krzakach, w mroku, tam, gdzie jest ciemno i gdzie może do woli litować się nad sobą.

Nie może przewyciężyć żalu i zostawić przeszłości za sobą, więc pozwala, aby złamane skrzydło zdomiowało jego życie, więcej, aby je zniszczyło i pozbawiło go rzeczy najcenniejszej ze wszystkich - wolności...

Pani Megalith zdjęła okulary i spojrzała w smutne oczy wnuczki.

- Zostałaś postrzelona przez myśliwego, moja droga.

Możesz być pierwszym albo drugim ptakiem, wybór należy do ciebie.

Wiem, że teraz nie jesteś w stanie podjąć decyzji, ale później, gdy przyjdzie wiosna i będziesz mogła spojrzeć na swoją sytuację z pewnej perspektywy, przemyśl to.

Zapamiętaj moją historyjkę i pozwól, by cię poprowadziła.

No, wypij ovaltinę z brandy, kocha nie, to cię rozgrzeje i trochę uspokoi, wierz mi...

Faye wróciła po południu.

Pogoda nieco się poprawiła i pani Megalith z Maksem w końcu pojechali do domu, oczywiście po dobrym lunchu.

Tadeusz okazał jej zrozumienie i współczucie, dodał też sił, biorąc ją w swoje potężne ramiona i słuchając opo wieści o samobójczej próbie Rity.

Był wstrząśnięty.

Nawet on, tak doświadczony i mądry, nie potrafił pojąć, jak młoda, zdrowa dziewczyna może odrzucać życie tylko dlatego, że sama została odrzucona przez mężczyznę.

- W okupowanej Polsce nie przetrwałaby nawet pięciu minut - Powiedział, kręcąc głową.

Po tej rozmowie Faye poczuła się dużo lepiej.

Doszła do wniosku, że George miał prawo zerwać zaręczyny.

Pomyślała, że w gruncie rzeczy dobrze się stało, że zranił Ritę teraz - byłoby znacznie gorzej, gdyby po dziesięciu latach małżeństwa, będąc mężem i ojcem, zaczął żałować, że w ogóle się z nią związał.

Faye Szumiała syna i postanowiła poprzeć jego decyzję mimo bólu, który zadał Ricie.

- Naprawdę bardzo mi przykro - odezwała się do dziewczyny<sup>^</sup> która siedziała na parapecie okna w swoim pokoju i wyglądała jak żałośnie skurczona wersja pogodnej Rity.

ii

- To nie twoja wina - odparła Rita, nie przestając wpatrywać!

się w okno, za którym z nieba sączyła się teraz drobna mżawka.

- Wiem, ale jestem matką George'a i kocham was oboje.

- Myślałam, że zostaniemy rodziną...

- Ja także.

Kochałabym cię jak córkę, nie jak synową, przecież! wiesz...

Rita odwróciła się do niej.

- Sądzisz, że on kiedyś wróci?

- Na pewno.

Nie wspominał o tym w liście, lecz wyjeżdżając,!

planował wrócić za rok.

- Wtedy jeszcze zamierzał wrócić do mnie...

Faye wzięła Ritę za rękę.

- Kiedy wyjeżdżał, był bardzo zagubiony i nie miał pojęcia czego chce.

Wiedział tylko, że musi uciec z Frogmal Point.

Wyda- je mi się, że męczyły go straszne wyrzuty sumienia, iż prosił cię, abyś znowu na niego czekała.

George nie ufa samemu sobie i naj prawdopodobniej nie chce czuć się zmuszony do powrotu, dopó?

ki nie będzie gotowy...

W Argentynie jest oderwany od domu, od ciebie i ode mnie, od swojego normalnego życia.

Musisz zrozu<sup>^</sup> mieć, że on także cierpi.

W czasie wojny stracił wielu przyjaciół i przeżył straszne chwile, które nigdy nie przestaną mu towarzysy";

żyć.

Na ranchu mojej siostry powoli wraca do zdrowia.

Mam nai'i dzieję, że po powrocie odnajdzie tę cząstkę siebie, którą stracił na wojnie.

- Nie chcę z niego rezygnować - westchnęła Rita.

- Czy to słuszna decyzja?

- Powinnaś zrobić to, co sama uważasz za stosowne i dobre i siebie - odparła Paye.

Wiedziała, że najlepiej byłoby, gdyby Rita pozwoliła Geor-i ge'owi odejść, ale w oczach porzuconej dziewczyny widziała tyle żalu i rozpacz, że nie mogła się zdobyć, aby jej to powiedzieć.

Trees nie okazał się szczególnie pomocny.

Nie dostrzegał pov gi sytuacji.

- O, mój Boże...

- powiedział tylko, drapiąc się po głowie.

Kiedy Faye próbowała wytłumaczyć mu, że dramat Rity narusza przyjaźń między dwoma rodzinami, zdecydowanie zaprote stował.

- Nie możemy odpowiadać za czyny George'a - rzekł.

- Rodzi ce Rity doskonale to rozumieją.

- Oczywiście, ale dla nich George jest człowiekiem, który zra nił ich córkę.

To naturalne, że chcą ją osłaniać.

Na ich miejscu miałabym do George'a ogromny żal.

- Co będzie, to będzie.

- Trees wzruszył ramionami.

- Zoba czymy...

Faye zamknęła się w swoim studiu i wyrzeźbiła brzydką, roz wścieconą wronę z szeroko otwartym do krzyku dziobem.

Rzeź ba była groteskowa, ale wybitna i błyskotliwa.

Zastanawiała się, czy Rita nadal będzie przyjeżdżała do niej po pracy na lekcje rzeźby, lecz obawiała się, że ich cotygodniowe spo tkania teraz się skończą.

Max stał na ganku i palił papierosa.

Pani Megalith nie znosiła, gdy palił w domu.

Powtarzała, że palenie zaszkodzi jego płuc, lecz on śmiał się z tego absurdalnego pomysłu.

Jego zdaniem ko ci odór był dużo bardziej szkodliwy niż dym papierosowy.

Patrzył na usypiony ogród, nagie drzewa i gnijące liście, i myślał o Ricie i jej zamrożonym sercu, a także o swoim dzieciństwie i tej części swojego serca, którą również skuł lód cierpienia.

Właśnie w taki dżdżysty dzień przyjechał kiedyś do Elvestree jako mały chłopiec.

Pamiętał dojmujący ziąb, szare, ciężkie chmury i odrętwienie serca.

Pamiętał, jak żegnał się z rodzicami i obejmował ich ostatni raz, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedział.

Powiedzieli mu, że Wysyłają go na jakiś czas za granicę, ale gdy tylko sytuacja się po prawy, przyjadą po niego i po Ruth albo kogoś po nich przyślą.

Oczywiście wszystko potoczyło się inaczej.

Max pomyślał, że ból jest sprawą względną.

Rita nie zna bólu po stracie rodziny i do"lu, a on nie wie, jak to jest stracić kogoś, z kim chce się zostać do końca życia.

Każde cierpienie jest absolutne, totalne, wyjątko we.

Doświadczenie nauczyło go, że czas naprawdę leczy rany, nie Okowicie, ale częściowo.

Stępia ostrze bólu.

Max cierpiał teraz Wko wtedy, gdy próbował rozpamiętywać przeszłość zbyt szcze gółowo.

Niszczyły go nie obrazy, jakie przechowywał w pamięci, .

ale wspomnienia zapachów, dźwięków, uczuć, wszystkich tych niemożliwych do opisanie rzeczy, które określały jego dzieciństwo.

Miał fotografię rodziców i jeszcze jedną, ich młodszej siostry, Lydii.

Rodzice zatrzymali przy sobie Lydię, bo była jeszcze niemowlęciem, a dziewczynka poniosła śmierć razem z tysiącami wiedeńskich Żydów.

Nie dano jej szansy, aby poznała życie...

Max;

zgasił niedopałek na mokrej kamiennej płycie, a wraz z nim myślał o swojej rodzinie i dzieciństwie.

#### Rozdział dziewiętnasty

Następnego dnia rano Harry zapukał do drzwi Hanny, trzymając pod pachą niewielkie kartonowe pudełko i książkę.

Na dworze szalał ostry wiatr, lecz po bezchmurnym, jasnym niebie krążyły mewy, wydając żalosne, przejmujące krzyki.

Hanna była jeszcze w szlafroku - chwilę wcześniej nakarmiła ptaki i po kruszyła lód na wodzie w podłazie.

Pomachała do Harry'ego przez okno.

Maddie uciekła z kuchni, żeby Harry nie zobaczył jej w starej nocnej koszuli i porozciąganym swetrze, a Eddie rzucił się do kuchennych drzwi, uradowana niespodziewaną wizytą.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że Harry przyjechał specjalnie do niej; wszyscy mówili teraz prawie wyłącznie o Ricie.

Jednak Eddie nie miała powodów do narzekań - przekonała matkę, że powinna pozwolić jej zostać w domu i pocieszać siostrę, więc Hanna zadzwoniła najpierw do biblioteki, w której pracowała matka, a potem do szkoły.

Zarówno kierowniczka biblioteki, jak i dyrektorka szkoły podeszły do sprawy z całkowitym zrozumieniem.

Dzień dobry!

- zawołała Eddie do Harry'ego.

Stała na palcach i wyszeptwała mu na ucho, że Rita jest bardzo ładna i milcząca.

Harry kiwnął głową i odszepnął, że ma dla jej siostry ciekawą książkę.

- Co jest w tym pudełku?

- zapytała Eddie, z zaciekawieniem przyglądając się gęsto podziurkowanej tekturze.

- Niespodzianka dla ciebie - odparł Harry.

Buzię Eddie rozjaśnił promienny uśmiech.

- Dla mnie?!

- W głosie dziewczynki brzmiała nuta najszczer szego niedowierzania.

- Mamo, mamó, Harry przyniósł prezent

dla mnie!

Harry wszedł za nią do kuchni, jak zwykle przygarbiony i zmie-

szany.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty?

- zaproponowała Hanna.

- Chętnie się napiję, dziękuję.

Jak się czuje Rita?

- Jeszcze nie wstała - odparła Hanna ze smutkiem.

- Na pew no uważa, że jest to pierwszy dzień całej reszty jej życia.

Co dla niej przywiozłeś?

- Chciałbym dać Ricie książkę, jedną z moich ulubionych -

Bajki La Fontaine'a...

- Bardzo to miłe z twojej strony.

Rita kocha książki i lektura pozwoli jej oderwać się od rzeczywistości, przynajmniej na chwilę.

Dziękuję ci...

Harry schylił się i podał pudełko Eddie.

Wzięła je ostrożnie, ponieważ domyśliła się, że w środku znajduje się żywe stworzeń nie, i z błyszczącymi oczami powoli podniosła przykrywkę.

Nai widok przypatrującego się jej z wyraźnym zdenerwowaniem ma lego zwierzątka szeroko otworzyła usta ze zdumienia.

^

- Szczur!

- wykrzyknęła z radością.

t

- Afrykański gerbil - sprostował Harry.

- W samochodzie mam dużą klatkę wysypaną trocinami i torbę z karmą.

- Och, jesteś cudowny!

- Eddie objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego brzuch.

- Już go kocham!

Harry poklepał ją po ramieniu i zaśmiał się cicho.

J

- Cieszę się, że prezent przypadł ci do gustu.

Jak go nazwiesz!

Eddie nie musiała się długo zastanawiać.

- Ezra Gunch - odparła z dumą.

Hanna parsknęła śmiechem.

Jej nastrój wreszcie trochę się poprawił.

prawił.

- Skąd wzięłaś takie imię?

- Spojrzała z rozbawieniem na

córkę.

- Wymyśliłam je - oznajmiła Eddie.

- Zamierzałam oswoić na stępnego nietoperza i nadać mu to imię, ale Harveyowi chyba by się to nie spodobało, ponieważ od początku był bardzo zazdrosny.

Afrykański szczur to o wiele lepsze rozwiązanie.

Harvey nie był by zazdrosny o szczura, prawda?

- Naturalnie, że nie - zgodził się pośpiesznie Harry.

- Ezra z radością zamieszka w twoim rękawie i będzie bawił się na podłodze w twoim pokoju.



Jeżeli zechcesz, zrobimy mu wybieg na dworze, co ty na to?

- Wspaniały pomysł!

- ucieszyła się Eddie, wyjmując zwierzątko z pudełka.

- Ezra będzie potrzebował świeżego powietrza i ruchu!

Odwróciła się, żeby przedstawić Ezrę Maddie, która właśnie stanęła w progu, ubrana w tweedową spódnicę i sweter, z włosami porządnie wyszczotkowanymi i ustami bezwstydnie połyskującymi szkarłatną szminką.

- Co to takiego?

- Maddie z obrzydzeniem zmarszczyła nos na widok stworzenia wijącego się w rękach Eddie.

- Szczur?

- Prezent od Harry'ego - oświadczyła uroczyście Eddie.

- Uroczy...

- Na twarzy Maddie natychmiast pojawił się łagodny uśmiech.

Postała Harry'emu zachwycone spojrzenie spod gęstych czarnych rzęs.

- Dzień dobry...

- Dzień dobry, Maddie...

- Harry zamrugał niepewnie, oszołomiony widokiem jej pięknej twarzy i zmysłowego ciała.

Natychmiast ogarnęło go onieśmienie i nie mógł już wydusić z siebie ani słowa.

Hanna podała mu herbatę i gestem zaprosiła, żeby wygodnie usiadł przy kuchennym stole.

Maddie usadowiła się obok, na krześle ojca.

Humphrey o świcie pojechał do pracy, nie mówiąc ani słowa.

Nie uśmiechnął się nawet i nie przywitał z żoną, co byto raczej niezwykle.

W nocy ani na chwilę nie zmrużył oka, snuł skomplikowane plany zemsty na George'u, nie mógł też przeświadczyć sobie, jak kruche ciało Rity spada z krawędzi klifu.

Jej rozpacz sprawiała mu ból, jakiego wcześniej nigdy nie doznał.

Czuł się oszukany, zlekceważony, lecz przede wszystkim bezużyteczny.

teczny.

Jego dziecko zostało znieważone i zniszczone, a on ni<sup>^</sup> mógł nic zrobić, aby mu pomóc.

Harry pił herbatę, świadomy, że Maddie obserwuje go czujny mi, pełnymi uwodzicielskiego uroku oczami.

Wiedział, że jest, nim zauroczona - był skromny i nieśmiały, ale zdawał sobie sprawę, kiedy kobieta czuła do niego pociąg.

Oczywiście, niewiele by-, 'to kobiet, które zadały sobie trud, aby go uwieść (dokładnie dwie), lecz Harry bezbłędnie rozpoznawał to wyostrzone, baczne spojrzenie i sposób, w jaki nachylały się ku niemu, zdecydowanie wy.

I suwając do przodu piersi.

Nie śmiał myśleć o związku z Maddie, 'która w jego oczach była zakazanym owocem, rosnącym na są.

i mym czubku drzewa, najbardziej soczystą, delikatną brzoskwinia,!

kusząco nabrzmiałą i dojrzałą, lekko zarumienioną od jesiennego';

słońca.

Była poza zasięgiem jego rąk, a on nie był gotowy poddać się pokusie i zerwać ją z gałęzi.

- Co przyniosłeś dla Rity?

- zapytała Maddie, która przez otwarte drzwi pokoju usłyszała rozmowę Harry'ego z matką.

- Książkę, Bajki La Fontaine'a.

- Cudownie.

Kiedy Rita skończy, z przyjemnością ją przeczytała - skłamała.

Harry miał wielką ochotę jak najszybciej wrócić do swojej książki.

Pisał ją od dwóch lat, była to epicka opowieść o miłości i zdradzie, rozgrywająca się w rozdartej przez wojnę Francji.

Musiał przyznać, że nie najlepiej radzi sobie z wątkiem miłosnym.

Kiedy się podniósł, Maddie oznajmiła, że będzie mu towarzyszyć.

Harry wiedział, że nie zamierza malować ptaków na plaży, . nie w tym stroju, a w jego gabinecie i domu nie było nic innego do roboty.

Mimo to uparła się, że z nim pojedzie.

- Mogłabym przeczytać, co do tej pory napisałeś?

- zagadnęła.

Myśl o czytaniu napelniała ją wielkim zniechęceniem, lecz po- j stanowiła, że tym kłopotem zajmie się na miejscu.

Harry już miał przecząco potrząsnąć głową i wyjaśnić, że napifj sana część książki nie nadaje się jeszcze do czytania, bo wymaga poprawek, kiedy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Mad-s' die była młoda, inteligentna i wrażliwa - a nuż pomoże mu, wy- rażając szczerą opinię o powieści.

W jej szczerość nie wątpił zresz-;

tą ani przez chwilę, gdyż Maddie od początku znajomości wyda wała mu się bardzo bezpośrednia...

- No, dobrze - powiedział, prostując przygarbione ramiona.

- W takim razie chodźmy...

Zostawił książkę dla Rity na stole, pożegnał się z Hanną, Eddie i Ezrą Gunchem i wsiadł do samochodu razem z Maddie, któ ra najwyraźniej postanowiła stać się najbardziej niezbędną osobą w jego życiu.

W domu rozpałił ogień na kominku, wręczył Maddie maszyno pis i wskazał jej sofę.

Dziewczyna niepewnie przetknęła ślinę na widok grubego pliku kartek, ale odetchnęła z ulgą, kiedy spostrzeg ła, że Harry stosuje podwójny odstęp między wierszami.

Harry nastawił płytę z muzyką Czajkowskiego, zaparzył herbatę, podał jej parujący kubek i krakersa, po czym zasiadł przy biurku i za czął pisać, z każdą chwilą coraz bardziej zagłębiając się w świat wojny.

Maddie z ogromną satysfakcją zauważyła, że obrazek przedstawiający brodzącego szlamnika, który podarowała ukocha nemu na Gwiazdkę, wisi na ścianie nad biurkiem.

Przeczytała parę pierwszych wierszy, ugryzła kawałek krakersa i utkwiła wzrok w plecach pogrążonego w pracy Harry'ego.

Uwiel biała jego sterczące, pierzaste włosy, szerokie ramiona i wiecznie wygniecione koszule.

Biurko i krzesło w zestawieniu z jego potęż ną postacią wydawały się maleńkie, jak zabawki przy olbrzymie z bajki, lecz Harry był łagodny i skromny, zupełnie jakby nie zda wał sobie sprawy z własnej siły.

Nie czuł na sobie jej spojrzenia, bo spokojnie pisał dalej, co jakiś czas przerywając, żeby poszukać w myśli właściwego słowa.

W takich chwilach podnosił głowę i patrzył w okno, jakby tam spodziewał się znaleźć inspirację, po czym znowu zaczynał pisać, sprawnie i bardzo szybko.

Ani razu nie spojrział przez ramię...

Maddie zrozumiała w końcu, że nie ma co liczyć, iż zwróci na siebie jego uwagę, i zajęła się lekturą.

Ku własnemu zaskoczeniu Pod koniec trzeciej strony coraz szybciej przebiegała linijki wzrokiem, wciągając się w narrację.

Harry miał lekki, przyjemny styl i znakomicie komponował historię.

Nie mogła oprzeć się wraz z nim, że naprawdę jest w malutkim francuskim miasteczku o nazwie Masmatre - czuła dym papierosowy, zmieszany z zapachem .

kawy, oraz smak croissantów, słyszała cichy szmer rozmów w ka-1 wiarni.

Powieść spodobała jej się tak bardzo, że niedopita herba-1 ta wystygła w kubku, a nadgryziony krakers wciąż leżał na tale-1 rzyku.

,i

Tuż przed porą lunchu skończyła dziesięć pierwszych rozdziałów i wcale nie miała ochoty na przerwę, ale Harry powiedział, że powinni poszukać czegoś do jedzenia.

Wstała więc i przeciągnęła się, zostawiając maszynopis na sofie.

W spiżarni znalazła zimną i pieczeń i sałatkę, a w pojemniku na pieczywo bochenek chleba.

W kuchni Harry'ego poruszała się swobodniej niż on sam i teraz szybko postawiła na stole wszystko, co nadawało się do jedzenia.

- Jeżeli książka ci się nie podoba, lepiej skłám.

- Harryj uśmiechnął się nieśmiało, gotowy wszakże przyjąć każdą, nawet' najbardziej bezwzględną krytykę.

Maddie była zadowolona, że jej opinia ma dla niego znaczenie,.

i długo żuła skórkę od chleba, aby utrzymać go w napięciu, l

- Nie bądź zbyt brutalna, bo pisarze są bardzo wrażliwi - po-1 prosił żartobliwie, l Pociągnęła łyk wody i usadowiła się wygodniej.

::

- Bardzo mi się podoba - odparła szczerze.

- Mam wrażenie, że mieszkam w Masmatre i że jestem Molly Cosgrove, dziewczyn-;

na-szpiegiem, odważną bohaterką twojej powieści.

Molly jest, dzielna, lecz wrażliwa, kapryśna, lecz nie samolubna, piękna, ale;

nie w konwencjonalny sposób...

Na podstawie tej książki można^ by napisać znakomity scenariusz filmowy.

Harry rzucił jej pełne radości i wdzięczności spojrzenie.

- Naprawdę tak ci się podoba?

Skinęła głową.

Wreszcie czuła, że jest dla niego kimś ważnym.i

- Uwielbiam twój styl - oświadczyła.

- Nie opisujesz zbyt wiele szczegółów, płynnie prowadzisz akcję.

Umieram z ciekawości, co będzie dalej.

Zostało mi jeszcze strasznie dużo do przeczytania,;

chyba tego nie wytrzymam...

Boję się, że zdarzy się coś smutnego, bo przecież musi, prawda?

Czy Molly się zakocha?

I w kim??

Pojawił się już w powieści?

Twarz Harry'ego rozjaśnił szeroki, zaraźliwy uśmiech.

- Nie powiem ci!

Maddie zachichotała.

- Och, błagam, powiedz, kim jest jej ukochany!

Mam nadzieję, że to nie Klaus, ten nazista...

Harry potrząsnął głową.

- Nie wydusisz tego ze mnie.

- Odnoszę wrażenie, że między nimi coś iskrzy...

- Maddie lekko wyduła wargi.

- Klaus jest przystojny, zimny, pociągający, ale niebezpieczny..

Tak, bardzo niebezpieczny...

Jeżeli Molly wda się z nim w romans, na pewno ją zrani, a tego bym nie chciała...

Och, zaraz, zaraz...

Ona pójdzie z nim do łóżka, żeby zdobyć ważne informacje, tak?

Harry uniósł brwi.

- No, powiedz mi, czy tak będzie!

Nachyliła się w jego stronę, lecz tylko uśmiechnęła się tajemnie.

Wtedy instynkt wziął górę nad rozsądkiem Maddie - podniecona bliskością ukochanego mężczyzny, pocałowała go namiętnie.

Uśmiech zniknął z twarzy Harry'ego i jego miejsce zajął wyraz za troskania.

Długą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa, Mad die ze zdziwieniem, Harry z przerażeniem.

Dziewczynie nagle za brakło słów, po raz pierwszy od bardzo dawna.

Czekała, pewna, że Harry albo odwzajemni pocałunek, albo każe jej wyjść.

Poczuła żal do siebie, że zniszczyła tak szczególną chwilę.

Harry niespo kojnie badał wzrokiem jej twarz, a ona próbowała odczytać z wy razu jego oczu, o czym myśli.

Słyszała ich własne oddechy, a tak że mocne uderzenia serc.

- Maddie...

- zaczął Harry ledwo dosłyszalnym głosem.

Maddie nie zamierzała marnować okazji.

Przypomniawszy so bie, że najlepszą formą obrony jest atak, położyła palec na jego wargach i powoli potrząsnęła głową.

Gdy cofnęła palec, usta Harry'ego pozostały zamknięte, ale w jego oczach był lęk.

Nachyliła się i po raz drugi przywarła wargami do jego ust.

Rozchyliła je i ję zykiem przejechała po dziąsłach i podniebieniu.

Harry nie umiał oprzeć się tej pieszczocie.

Oparł dłoń na karku Maddie i przyciąg nął ją bliżej do siebie.

Zaczął całować ją namiętnie, przy głoś"ych dźwiękach Pierwszego koncertu fortepianowego Czajkowskiego, dobiegających z salonu.

Maddie drżącymi palcami Pogładziła jego pokryty szorstkim zarostem policzek.

W tym mo mencie, gdy granice rzeczywistości i literackiej fikcji prawie zu-;?

pełnie się zatarły, ona była Molly Cosgrove, a on Klausem.

Jed-:

nym ruchem ramienia przesunął nakrycia i resztki lunchu na drugi koniec stołu.

Szklanka spadła i woda ochlapała podłogę, lecz;

nie zwrócili na to uwagi; wszystko, co działo się dookoła, służyło;

tylko wzmocnieniu dramatycznych doznań tego spotkania.

Mad-!

die z zachwytem odkryła, że Harry jest równie niecierpliwy jak 'i ona.

Nie zaniósł jej do sypialni, jak czasami to sobie wyobrażała, j ani na sofę przed kominkiem, ale postanowił kochać się z nią na kuchennym stole.

Pod wpływem pożądania Harry Weaver stał się innym człowiekiem, idealnym kochankiem, często opisywanym;

w książkach, lecz niezwykle rzadko spotykanym w świecie rze-' czywistym.

Był władczy, wrażliwy, rozpalony, namiętny i zmysłowy.

Sprawił, że Hank Weston, Steve Eastwood i Bertie Babbindon wydali się Maddie marnymi amatorami.

W porównaniu z Harrym J byli niezdarni, niezgrabni i niedoświadczeni jak chłopcy z pod" stawówki.

Zdecydowany, lecz delikatny dotyk Harry'ego mówił j wyraźnie, że jest mężczyzną, który doskonale wie, jak zadowolić,

kobietę.

Maddie przeżyła się pod nim i jęczała jak bezwstydną j dziwka, która wreszcie przeżywa orgazm po wielu latach udawania.

i

Potem długo leżeli przytuleni, skąpani w pocie i soku zakaza nego owocu, który zerwali i zjedli.

Maddie westchnęła głęboko," szczęśliwa i zupełnie nieświadoma, że serce jej kochanka pełne jest wyrzutów sumienia.

- Dzień dobry, panno Hogmier!

- powiedział wielebny Hammond, zaglądając do sklepiku, aby wysłać paczkę do mieszkające go w Nottingham szwagra.



- Piękny ranek, prawda?

- Cudowny - zgodziła się panna Hogmier.

- Należy mieć na- ^ dzieję, że Rita Fairweather nie wybiera się dzisiaj na klify...

;

Uczyniwszy tę prowokacyjną uwagę, panna Hogmier uniosła j wyskubane brwi.

Wielebny powoli skinął głową.

^

- Właśnie...

- rzekł ostrożnie, jakby obawiał się, że ktoś go' usłyszy.

- Zęby próbować odebrać sobie życie z powodu mężczyzny!

parsknęła panna Hogmier.

- Coś takiego!

Sama nigdy nie kochała i nie była kochana, więc podobna myśl była jej najzupelniej obca.

- Biedna Rita...

- westchnął wielebny Hammond.

- Taka mło da, a jej marzenia już legły w gruzach!

Co za cios...

Mimo wszyst ko nie wierzę, że naprawdę chciała się zabić.

Panna Hogmier przewróciła oczami, zgorzozona naiwnością du chownego.

- Oczywiście, że chciała.

Chwiała się na samej krawędzi urwi ska, tylko ułamki sekundy dzieliły ją od śmierci.

Gdyby nie Har ry Weaver, już by nie żyła, jej roztrzaskane ciało leżałoby na ska łach.

Proszę sobie tylko wyobrazić ten przerażający widok...

- Rita jest bardzo rozsądną, opanowaną dziewczyną.

Jestem pewny, że to tragiczna pomyłka...

Wielebny Hammond odsunął się, ponieważ drzwi się otworzy ły, a zawieszony nad nimi dzwonek zabrzączał lekko.

Zmarszczył brwi - żaden klient nie wszedł do sklepu...

Sekundę później spuścił wzrok i dostrzegł dużego czarnego kota, który niespiesznie wsunął się do środka.

Zadrżał na wspomnienie pani Megalith i szybko podniósł oczy.

Twarz panny Hogmier wykrzywił grymas przerażenia.

- Ani słowa...

- syknęła do wstrząśniętego wielebnego.

- Szpie dzy Wiedźmy z Elvestree są wszędzie, w całym miasteczku, i bez przerwy nas obserwują...

Elwyn Hammond wypadł na zewnątrz, zapomniawszy o nada niu paczki.

Ritę obudził głos matki, stojącej w progu pokoju.

- Kochanie, Max przyszedł, aby się z tobą zobaczyć!

Dziewczyna zamrugała w jasnym słonecznym świetle, wpadając do pokoju przez przerwę między zasłonami, i na chwilę garnęła ją radość, że rano jest taki piękny, zaraz jednak przypomniała sobie o liście George'a i znowu pogrążyła się w smutku.

- Czego chce?

- jęknęła, przecierając jeszcze opuchnięte od płaczu powieki.

- Przyjechał z Elvestree na rowerze i mówi, że chciałby zabrać ^ę na spacer.

Rita wolałaby zostać w łóżku, ponieważ sen byłby jedyną drogą do zapomnienia, lecz niechętnie zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki.

Nie wyczuła, że wizyta Maksy została zaaranżowana przez panią Megalith, która w imieniu całej rodziny poprosiła go, aby nie pozwolił Ricie samej spacerować po klifach.

Max chętnie spełnił tę prośbę i natychmiast wybrał się w drogę.

Pani Megalith nie miała pojęcia, że on przy tej okazji realizuje swój własny cel.

Pragnął spędzać z dziewczyną jak najwięcej czasu i uważał, że bardziej niż ktokolwiek inny może służyć jej radą w nieszczęściu, ponieważ sam także był nieszczęśliwie zakochany, i

Rita skrzywiła się, widząc w lustrze odbicie zapuchniętej, bladej twarzy z sinożółtymi cieniami pod oczami.

Wyglądała groźnie skowronkiem.

Umyła się zimną wodą, co wprawdzie w niewielkim tylko stopniu poprawiło sytuację, ale za to zdołało ją obudzić.

Przebiegła szczotką po splecionych włosach, szybko doszła do wniosku!

że w tej chwili i tak nie ułoży sobie pięknej fryzury, i związała ją z tyłu, nieświadomie podkreślając smutek i rezygnację, malując ją na twarzy.

Potem wrzuciła na siebie jakieś rzeczy, nawet imię;

nie przyglądając - po co miała się starać, skoro George już jej imię chciał...

†

Kiedy zobaczyła zarumienionego od zimnego wiatru Maksę, który czekał na nią w kuchni, uśmiechnięty serdecznie, jej nastrój:

trochę się poprawił.

Matka podała jej kubek z herbatą i zachęciła, aby zjadła owsiankę, którą ugotowała specjalnie dla niej.

- Dodaj trochę miodu, kochanie!

Babcia wczoraj przywiozła świeży stoik z Elvestree, nie żałuj sobie, miód jest pyszny i zdrowy.

Hanna obserwowała córkę czujnie niczym szyszki, która do połowienia sowa i wyszła z kuchni dopiero wtedy, kiedy Rita bez niej;

tuzjazu wzięła do ust pierwszą łyżkę ciepłej owsianki.

;

- Pomyślałem, że w taki dzień może zechcesz przejść się pod plażę - odezwał się Max.

- Wcześniej rano widziałem przy ujściu dwie warzęchy białe - dodał, wiedząc, że możliwość zobaczenia!

tych rzadkich ptaków na pewno ją ucieszy.

- Naprawdę?

- Tak.

Zgarniały dziobami drobne ryby.

Chyba były zadowolę-;

ne, bo co jakiś czas wydawały taki dziwny odgłos, jakby pomruk  
czy chrząknięcie.

Primrose mówi, że w tych stronach spotyka się je niezwykle rzadko.

- Ale w Elvestree kryje się jakaś magia - zauważyła Hanna, która znowu zajrzała do kuchni.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby któregoś dnia przyleciały tu pingwiny z Galapagos...

Gdy Rita ku zadowoleniu matki skończyła śniadanie, oboje z Maksem wyruszyli w kierunku klifów.

Piękna pogoda doskonała wpływała na psychikę i Rita odkryła, że chociaż nadal jest nie szczęśliwa, to słońce i cudowny błękit nieba jednak rozpalily w niej małą isierkę radości.

Nie obawiała się klifów, wręcz przeciwnie, nadal pociągały ją swym surowym pięknem.

Spacerowali po szczycie skał, ale Max postarał się, to on szedł od strony morza.

Trochę ją to rozbawiło, udała jednak, że niczego nie zauważa.

Kilka razy spojrzała w dół, na piętrzące się na brzegu plaży ostre skały i wyobraziła sobie, jaki spotkałby ją los, gdyby Harry Weaver nie zjawił się we właściwym momencie.

Porośniętą trawą ścieżką zeszli na plażę i usiedli na skatach pod klifami, żeby popatrzeć na ptaki i posłuchać kojącego szumu morza.

Rita bawiła się srebrnym wisiorkiem, który George przysłał jej przed miesiącem.

- Jakaś część mojego serca domaga się, abym rzuciła tę syno garlicę w fale - powiedziała ze smutkiem.

- Ale ja jeszcze nie po trafię się z nią rozstać...

Max wziął do ręki leżącą na kamieniu muszlę i zaczął obracać ją w palcach.

- Trudno jest wykreślić czyjąś obecność z życia, zwłaszcza je zeli była tak znacząca...

- George był moim życiem - odparta z naciskiem.
- Nie mogę uwierzyć w to, co się stało, chociaż wiem, że to nie sen i nie gra wyobraźni...
- Z czasem łatwiej ci będzie to przyjąć.
- Na pewno.
- Podniosła głowę, pozwalając, aby lodowaty wiatr pieścił jej policzki.
- Wydaje mi się, że George umarł, nie ma jednak ciała, nad którym mogłabym płakać.

Max siedział nieruchomo, zapatrzony w morze.

Czuł, jak znów ogarnia go znajomy zapach dzieciństwa, wypływa z topniejącej powoli głębi serca.

?7 .

- Ale George wróci - powiedział.

- On żyje i masz szansę, aby pewnego dnia porozmawiać z nim o tym, co się wydarzyło.

Kie dyś rana przestanie boleć.

- Myślę, że zniosłabym to lepiej, gdyby zginął na wojnie Śmierć to nie to samo co odrzucenie.

- Czasami bywa gorsza niż odrzucenie - mruknął Max.

Rzucit:

muszę na piasek i sięgnął po drugą.

- Ci, których kochamy, odt chodzą i nie zabierają nas ze sobą...

..;

Rita spojrzała na niego ze zdziwieniem i nagle uświadomiła so-j bie, że Max nie mówi już o niej.

- Jednak takie rany także leczy czas, prawda?

- zapytała ła-i godnie, i

Max drgnął, wyrwany z zamyślenia, i utkwiał spojrzenie w jej' twarzy.

!:

- Czas leczy wszystkie rany, to jedyna prawda, jakiej nauczyło mnie doświadczenie.

Pewnego dnia będziesz musiała zdjąć ten wi siorek.

Zamknij go wtedy w szkatułce, żeby nie rzucał ci się w oczy i nie przypominał o tym, co straciłaś.

To działa, możesz mi!

wierzyć.

Dopiero kiedy rana zupełnie się zablizni, będziesz mog ła wspominać przeszłość z nostalgią, lecz bez bólu.

;;

- Megababcia mówi, że powinnam o tym rozmawiać.

- Rita z westchnieniem wsunęła wisiorek pod sweter.

- I ma rację, bo dzięki temu także poczujesz się lepiej.

Nie oczekuj tylko, że stanie się to z dnia na dzień.

- Rzadko wspominasz o swojej rodzinie - zauważyła cicho.

- Wiesz, że Ruth i ja mieliśmy malutką siostrzyczkę?

- Nie, nie miałam o tym pojęcia...

- Mała Lydia...

Nie pamiętam jej zbyt dokładnie, była jeszcze j niemowlęciem, gdy wyjechaliśmy, czasami czuję jednak jej za- j pach, zapach jej pokoju, delikatny i ciepły, trochę jak gorące \ mleko...

- Czy ona...

^

- Tak, ona także zginęła w obozie.

- Max przeniósł spojrzenie i na piasek i skupił je na małym skorupiaku, z trudem wędrującym, przez płytką kałużę.

- Mam szczęście, że Ruth przyjechała tu ra- j żem ze mną...

- Rozmawiasz z nią o tym?

- zapytała Rita.

Ani się spostrzegła, że rodzinna tragedia Maksa oderwała jej myśli od własnego nieszczęścia.

- Nie, Ruth boi się wspominać.

- Podniósł wzrok i popatrzył na Ritę.

- Ale rozmawiam z tobą...

Uśmiechnęła się lekko.

- Możemy pomóc sobie nawzajem - powiedziała, ujmując jego dłoń.

- Wyznaczmy sobie taką sekretną misję, co ty na to?

- Chciałbym tam kiedyś wrócić.

- Do Wiednia?

- Tak.

Do teatru, który zbudował mój ojciec.

Czasami śnię o nim, widzę go jako ogromny gmach, wiem jednak, że ten obraz jest zniekształcony, bo zachował się w pamięci małego chłopca.

Tak czy inaczej, było to piękne miejsce, pełne złocistych lamp i mięsistego, szkarłatnego aksamitu, jak pałac króla z bajki...

Pewnego dnia będę bogaty i wtedy go odkupię.

- Może ożenisz się z aktorką, tak jak twój ojciec, i twoja żona zaśpiewa na deskach odzyskanego teatru...

- Może...

- zaśmiał się.

Oczami wyobraźni widział, jak pokazuje Ricie teatr swoich rodziców.

Stado mew przeleciało tuż nad ich głowami.

Ostojili oczy dłońmi, aby dokładniej przyjrzeć się ptakom.

Szybowały wysoko i schodziły niżej, bawiąc się z wiatrem, następnie wylądowały na piasku i zaczęły szukać pożywienia, porozumiewając się krzykami i nawoływaniem.

Widok mew przyniósł im pociechę, przypominając, że wprawdzie ludzie się zmieniają, lecz istnieją także rzeczy i zjawiska niezmiennie.



## Rozdział dwudziesty

Harry był zrozpaczony i pełen niesmaku do siebie.

Wykorzysta młodą dziewczynę, w ogóle nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Nie miało znaczenia, że w dziedzinie seksu Maddie miała całkiem spore doświadczenie, bo niezależnie od wszystkiego była dziesiętnastolatką, natomiast Harry rozwodnikiem w średnio wieku, który powinien wykazać się większą rozwagą.

Udręczone poczuciem własnej głupoty, wycofał się z życia jak żółw w głąb skorupy, mając nadzieję, że problem zniknie sam i nie trzeba będzie stawiać mu czoła.

Maddie wyszła z domu ukochanego nieprzytomna z radości.

Har!

ry ją kochał.

Pobiorą się i będą szczęśliwi do końca życia.

On będzie!

pisał książki, a ona zajmie się ich redakcją i wychowywaniem dzieci;

ci, a popołudniami będą się kochali w swoim przytulnym domku;

w Bray Cove.

Czekało ją jednak rozczarowanie, ponieważ Harry nie zadzwonił, a gdy ona sama zatelefonowała do niego wieczorem, wydawał się dziwnie roztargniony i wymamrotał tylko parę słów.

- Popołudnie było cudowne...

- zamruczała Maddie.

Harry głośno przełknął ślinę.

- Wpadnę jutro i przygotuję ci lunch, a potem spędzimy razem j całe popołudnie - szepnęła, bojąc się, że rodzice podsłuchają jej rozmowę.

- Powinienem poświęcić teraz więcej czasu książce - wymamrotał Harry.

- Muszę dotrzymać terminu...

Maddie zdziwiła się, że jej ukochany nagle zaczął się jąkać.

Wrażliwa kobieta natychmiast by się zorientowała, że Harry go rączkowo broni się przed zaangażowaniem w poważny związek, i z godnością wykonałaby odwrót, lecz Maddie po prostu nic nie zauważyła.

- Mogę ci pomóc - oświadczyła.

- Dzisiaj byłeś wdzięczny, że przeczytałam fragment książki.

Gdy ty będziesz pisał, ja zrobię coś dobrego na lunch, a potem przeczytam, co napisałeś, i powiem ci, co o tym myślę.

- To naprawdę bardzo miło z twojej strony...

- Doskonale, w takim razie zobaczymy się jutro.

Nie mogę się już doczekać, kochany...

Kiedy odłożyła słuchawkę, Harry bezradnie ukrył twarz w dłoniach.

Zupełnie nie wiedział, co ma teraz zrobić.

W nocy niespokojnie przewracał się z boku na bok.

Okazał się słaby i nieodpowiedzialny.

Jutro będzie musiał ponieść konsekwencje swego czynu i powiedzieć Maddie, że popełnił błąd.

Długo mamrotał sam do siebie, prowadząc wyimaginowane rozmowy z dziewczyną, a gdy to nie przyniosło ulgi, zaczął przekonywać siebie, że to, co go w niej pociąga, ogranicza się do seksu, a to przecież nie jest najważniejsze.

Myślał o byłej żonie i o pomyłce, jaką popełnił w ocenie jej charakteru.

Nie radził sobie z kobietami, nie rozumiał ich i bardzo się bał, że znowu się pomyli.

Prze wrócił się na drugi bok i dokonał ponurej oceny swojego życia.

Był trzydziestokilkuletnim, łysiejącym rozwodnikiem, niespełnionym pisarzem, który wciąż starał się stworzyć dobrą książkę, nie miał grosza przy duszy ani szczęścia, więc co właściwie mógł zaproponować młodej dziewczynie, takiej jak Maddie?

Co ona w nim zobaczyła, na miłość boską?

Nie było nic dziwnego w tym, że Maddie spodobała się jemu, ale co może znaczyć jej zachowanie?

Może jakiś złośliwy troll rzucił na nią czar i zasłonił jej oczy...

Następnego dnia Maddie wyruszyła do Bray Cove w pełnym słońcu.

Lekki mróz pokrył ziemię szronem, przeistaczając cały świat w niebieskawy, wspaniały obraz.

Piękno krajobrazu zapie rąło dech w piersiach i Maddie, zwykle zbyt skupiona na sobie,

aby zwrócić uwagę na otoczenie, rozglądała się dookoła z prawdziwym zachwytem.

Wyobraziła sobie nieśmiały uśmiech Harry'ego i z czułością myślała o jego łagodnej twarzy i dobrych, wrażliwych oczach.

Jacy zdziwieni będą jej najbliżsi, kiedy odkryją, że Maddie się zakochała w Harrym Weaverze...

Harry nie był by gaty ani uderzająco przystojny, jak George, ale Maddie kochała i teraz, gdy zaznała fizycznej miłości w jego ramionach, jej uczucie jeszcze zyskało na sile.

Poznała zupełnie innego Harry'ego, którego nie znał nikt poza nią.

Kiedy dotarła do Bray Cove, otworzyła drzwi i przebiegła przez hol do salonu.

Blady, niespokojny Harry siedział przygarbiony nad maszyną, na której tego ranka zdołał napisać najwyżej dwa zdania.

Z szerokim uśmiechem zarzuciła mu ramiona na szyję

i głośno cmoknęła w policzek.

- Jak czuje się dzisiaj mój kochany skarb?

- zapytała, muski

jąć wargami jego szyję.

Dopiero po chwili zorientowała się, że ciało Harry'ego jej

dziwnie sztywne i napięte.

- Co się stało?

- zajrzała mu w twarz.

- O co chodzi?

Westchnął ciężko i podniósł oczy.

Ogarnęły go wątpliwości, i widok jej pięknej twarzy i figury wprowadził go w rodzaj hipnotycznego transu.

Wciągnął w nozdrza kobiecy zapach jej ciała i poczuł jak włosy na jego karku jeżą się ze zdenerwowania.

W milczeniu skarcił się za słabość, oderwał wzrok od Maddie i przystąpił

do rzeczy.

- To, co zrobiliśmy wczoraj, było błędem - zaczął niepewnie?

Maddie znieruchomiła.

Potem potrząsnęła głową, ściągnęła brwi i spróbowała się uśmiechnąć, lecz jej drżące wargi otworzyły się jak do krzyku.

- Było cudownie...

- ciągnął Harry.

- To znaczy, ty byłaś

downa, ale to był błąd.

- Jaki błąd?

- jęknęła.

- Jesteś bardzo młoda...

- Bardzo młoda?

- powtórzyła, rozkładając ramiona, nicz

kondor potężne skrzydła.

- Młoda?

Ale chyba nie o tym myśliś, kiedy kochałeś się ze mną na stole w kuchni, prawda?

- Nie powinienem był...

272

Trochę za późno na wyrzuty sumienia!

-- Nie żałuję tego, to znaczy...

To znaczy, nie o to mi chodzi...

Było cudownie, naprawdę, ale...

- Chodziło ci tylko o seks, tak?

I teraz, kiedy już mnie miałeś, nie chcesz mnie?

- Nie, to nie tak!

Maddie oparła dłonie na biodrach.

Jej twarz poczerwieniała, przybierając prawie ten sam odcień, jaki miały jej włosy.

Harry nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna wygląda jeszcze piękniej niż zwykle, co czyniło zadanie, jakie sobie postawił, nieomal niewykonalnym.

Zapraǳnął znowu ją całować i smakować słony pot na jej skórze, wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić, chociaż w tej chwili argumenty przemawiające za wstrzemięźliwością wydały mu się dziwnie słabe i nieistotne.

- Nie do wiary!

- krzyknęła ze złością.

- Myślałam, że jesteś inny!

Myślałam, że jesteś wyjątkowy, ale to nieprawda!

Jesteś za łosny i słaby!

Zasługuję na kogoś lepszego!

I zanim Harry zdążył zaprotestować, wypadła z jego domu i żyła, zostawiając go w stanie znacznie większego zagubienia niż zwykle.

Zima powoli odchodziła, ustępując miejsca wiosnie, powierzchnia wody w poidle dla ptaków w ogrodzie Hanny zamarzała coraz rzadziej, a złamane serce Rity zaczęło się goić.

Max odłożył prze prowadzkę do Londynu, doszedł bowiem do wniosku, że jego kawiarnia może zaczekać, natomiast Rita nie.

Razem chodzili po kłobach, spacerowali po plaży i urządzali sobie pikniki na piasku, czytali wiersze, opowiadali różne historie i śmiali się głośno.

Wiatr niósł ich śmiech i łączył go z beztróskim jazgotem mew.

Rita nigdy nie zagłądała do małej jaskini, która była miejscem jej spotkań z George'em, nie mogła się na to zdobyć.

W jaskini wciąż żyły wspomnienia, przerażająco żywe, barwne i szczegółowe.

Max buchał, kiedy mówiła o George'u, i czasami, szczególnie o zachodzie słońca, gdy jego dystans i chłód topniały razem z blaskiem showającego się za horyzontem słońca, opowiadał jej o swoim dzieciństwie.

Rita znowu zaczęła przyjeżdżać na lekcje rzeźby do Faye.

Przy jaźń obu rodzin, o którą Faye tak się obawiała, nie doznała uszczerbku, przynajmniej pozornie.

Trees miał rację, ale nie pysz- nit się tym i nie powtarzał: "A nie mówiłem..." Uznał, że słuź nie przeszedł do porządku nad czymś, co okazało się tylko nie wielką przeszkodą na ścieżce jego życia.

Tylko Humphrey wciąż' był smutny i niespokojny, lecz nikomu nie zwierzał się ze swoich uczuć.

(;

Maddie bezustannie chodziła nadąsana i niezadowolona.

Za mknęła szkicownik i ołówki w szufladzie i przestała towarzyszyć matce w wycieczkach do Bray Cove.

Kiedy jaskółki wróciły, pM witała je przekleństwami.

Po co w ogóle zainteresowała się ptaka^j mi?

Ku rozczarowaniu Hanny i Humphreya, samochód Bertiego znowu podjeżdżał pod ich dom, a przez szybę w kuchni często za' głądała jego arogancka, ozdobiona głupim, pustym uśmiejchem twarz.

Maddie pozwalała mu się całować w zatoczce pod Frogmal Point, ale jej serce skuł twardy lód.

Rita wyczuwała, że zachowanie siostry ma wiele wspólnego z Harrym Weaverem, nie śmiała jednak wymieniać jego imienia;;

Wiedziała, że jeżeli duma Maddie została zraniona, dziewczyna nie zechce o tym rozmawiać, przyglądała się więc tylko, jak siostra snuje się po domu, podobna do rozwścieczonego kota, i na wet nie pomyślała, że po raz pierwszy w życiu obie mają ze sobą coś wspólnego, 'i;

Na początku kwietnia Faye dostała kolejny list od George'a.i Tym razem starannie złożyła kartkę papieru i ze smutną rezygnai;;

cją przyjęła do wiadomości, że przyjaźń z rodziną Hanny nie prze-f;

trwa nowego ciosu.

Czuła, że gdy nowina, którą otrzymała, dotrze do kuchni jej przyjaciółki, nic już nie da się zrobić.

George postanowił się ożenić.

Jego narzeczona miała na imi^ Susan i była Amerykanką - poznał ją na pokładzie statku, którym płynął do Argentyny.

Był w niej głęboko zakochany.

Faye od ra-!i zu poczuła antypatię do Susan i obciążyła ją winą za całą sytuację.

Jej zdaniem to Susan uwiodła George'a i odebrała go Ricie.

Do-j piero rozmowa z Tadeuszem uświadomiła jej, że się myli.

- Wszyscy posiadamy wolną wolę - rzekł Tadeusz, siadając obok Faye na ławeczce w swoim ogrodzie.

Ziemia znowu oddychała pełną piersią i rodziła życie, dni sta wały się coraz dłuższe i cieplejsze.

Narcyzy i zawilce zwieszały śliczne główki nad zieloną trawą, a nad krzewami tańczyła para jaskółek, radośnie obwieszczając wszem wobec swój powrót i dłu go oczekiwane przybycie wiosny.

- Jak mam powiedzieć Ricie, że George zakochał się w tej Ame rykance zaledwie parę dni po wyjeździe z Anglii?

- Dlaczego uważasz, że powinnaś to opowiadać?

- zapytał Ta deusz, ujmując jej zziębniętą dłoń między swoje, ciepłe i silne.

- Bo jestem przekonana, że ma prawo wiedzieć.

Tadeusz wzruszył potężnymi ramionami i odchrząknął.

- Nie musisz kłamać, wystarczy, jeżeli nie powiesz jej całej prawdy...

- Ze George żeni się z inną?

Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem na niego wściekła!

Nie dość, że zerwał zaręczyny?

Ta wiadomość zupełnie ją załamał!

- Nie złość się na syna, każdy ma prawo kochać, kogo chce.

George nie był związany z Rita przysięgą małżeńską, nie miał wobec niej zobowiązań w oczach Boga, tylko w oczach rodziny Fairweather.

Lepiej jest kochać uczciwie niż tak, jak my to ro bimy...

Faye przyglądała się, jak jaskółki znikają za płotem.

Wiatr po rwał ich piosenkę.

- Dobrze chociaż, że żeni się z kobietą, która mu odpowiada - westchnęła Faye, lekko ściskając rękę Tadeusza.

- W każdym ra zie mam nadzieję, że tak jest...

- Ludzie się zmieniają.

George czego innego pragnął jako chłó piec i czego innego szuka teraz, jako mężczyzna.

Rita odpowiada ła mu, kiedy był młodszy, potem może po prostu wyrósł z miłó ści do niej.

Nie wiń go za to, nie potępiaj.

Nie chciałabyś przecież, żeby popełnił błąd, prawda?

Nie sądzę, by bardziej zależało ci na Przyjaźni Hanny niż na szczęściu własnego syna...

- Oczywiście, że nie!

- odparta szybko.

- Chciałabym tylko, że by wszyscy byli szczęśliwi...

- Życie nie jest takie proste i przyjemne.

Nikt nie powiedział, ^ przez cały czas mamy być szczęśliwi.

Nasza droga przez ten ^iat najeżona jest problemami i im szybciej zdamy sobie z tego .



sprawę, tym większe mamy szansę na osiągnięcie spokoju.

Ci, którzy mają zbyt wysokie wymagania, nigdy nie są zadowoleni.

- Więc co mam zrobić?

- zapytała, kładąc głowę na jego ramieniu.

- Porozmawiaj z Hanną i powiedz, że George żeni się z Amerykanką, którą poznał w Argentynie.

Nic więcej nie musi wiedzieć.

Potem zostaw ją samą, daj jej szansę spokojnie przetrwać nowinę.

Jeżeli Hanna pozwoli, żeby decyzja George'a stała się dla was, to trudno, nic na to nie poradzisz.

Daj się unieść prądowi, bo walka z nim tylko cię zmęczy.

- Dzięki Bogu, że mam ciebie!

- szepnęła Faye.

- Dlaczego wszyscy wyrządzamy tyle zła w imię miłości?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

- Tadeusz z uśmiechem pokręcił głową.

Faye oparła rower o ścianę domu Hanny i przez furtkę weszła do ogrodu.

Wiedziała, że nie ma co pukać do drzwi - w taki dzień Hanna na pewno była na dworze, zajęta swoimi ptakami i roślinami.

Ponieważ w szkołach właśnie zaczęła się przerwa semestralna, Faye znalazła Eddie pochłoniętą zabawą z Ezra. Chem w wybiegu, który Harry wybudował dla szczura najtrawniku.

- Witaj, Faye!

- zawołała Eddie ze śmiechem, patrząc, jak Ezra znika w tekturowej tubce, którą wyciągnęła z końca zużytej rolki papieru toaletowego.

- Uczę go akrobatycznych sztuczek - wyjaśniła, kiedy kobieta podeszła, żeby zobaczyć, co ją tak bawi.

^

- I świetnie ci idzie - odparta Faye napiętym głosem, tak zde nerwowana, że wszystkie jej mięśnie lekko drżały.

- Gdzie mamajj

- Przesadza groszek w ogródku warzywnym.

- Eddie podniósł tubkę i Ezra zeskoczył na jej dłoń.

- Słodki, prawda?

Bardzo się do siebie przywiązaliśmy.

Kiedy zabrałam go na grób Harveya, obsiadał go.

Chyba nie ma zbyt wielkiego szacunku dla zmarłych...

Faye uśmiechnęła się lekko, mimo wszystko trochę rozbawiona beztroską gadaniną Eddiego, a potem wzięła głęboki oddech i ruszyła

szła przez trawnik w kierunku starej drewnianej furtki w ogrodowym murze.

Hanna i Rita pracowały po dwóch stronach bambusowej siatki, przesadzając groszek i pogodnie rozmawiając.

Hanna usłyszała kroki Faye i podniosła wzrok.

- Co za miła niespodzianka!

- uśmiechnęła się.

- Piękny dzień, prawda?

- odezwała się Faye.

Starła się jak najbardziej odwrócić straszny moment.

- Nareszcie!

Nie wiem dlaczego, ale miałam wrażenie, że w tym roku zima ciągnie się bez końca...

Rita dostrzegła napięcie w twarzy Faye i przerwała pracę.

- Dostałam list od George'a.

- Faye założyła ramiona na

piersi.

Spojrzała na dziewczynę i przepaszająco pokręciła głową.

Hanna przestała kopać, jej uśmiech zniknął.

- George się żeni - powiedziała Faye, przerywając nieznośną, pełną wyczekiwania ciszę.

Policzki Rity najpierw oblały się rumieńcem, a zaraz potem zbladły.

Hanna z niedowierzaniem wpatrywała się w przyjaciółkę.

- Żeni się?

- powtórzyła powoli.

- Z kim?

- Z Amerykanką, którą tam poznał.

- Jak ma na imię?

- zapytała Rita.

Faye drgnęła, zaskoczona pytaniem, które wydało jej się nieco dziwne w tej sytuacji.

- Susan - odparła.

Rita zaczęła płakać.

Hanna rzuciła szpadel na ziemię i szybko przeszła na drugą stronę siatki, aby pocieszyć córkę.

Faye stała nieruchomo, nie wiedząc, co zrobić z rękami, i patrząc na nie ze smutkiem.

Chciała odejść, ale bała się, że byłoby to nie<sup>^</sup>rzejme.

- Strasznie mi przykro...

- powiedziała.

- Nie miałam pojęcia o jego planach, podobnie jak wy.

Nie przyszło mi do głowy, że Poznał tam jakąś kobietę, bo farma Agathy leży niemal na od<sup>^</sup>dziu...

Hanna przytuliła szlochającą córkę do piersi, szepcząc ciche, pocieszające słowa.

Eddie wbiegła do ogródka z Ezrą Gunchem .

uczepionym jej ramienia.

Na widok klęczących na mokrej zie matki i siostry zmarszczyła brwi i rzuciła Faye oskarżycielskie spojrzenie.

- Co znowu zrobił George?

- zapytała.

Faye głośno przełknęła ślinę.

Zdziwiło ją, że wciąż jeszcze ba dzo dziecinnie, rozbrykana Eddie potrafi przybrać tak chłodni pełen potępienia ton.

- Żeni się - odpowiedziała.

Eddie poderwała dłonie do twarzy w geście przerażenia.

- Jak on śmie!

- wykrzyknęła z oburzeniem, zdejmując E;

z ramienia i chowając go do rękawa.

- Przecież dopiero co był 3 kochany w Ricie!

Co za świnią!

- Lepiej już pójdę...

- Faye zaczęła wycofywać się ku furtce.

Naprawdę bardzo mi przykro, że tak się stało...

Ani Hanna, ani Rita nie zwracały na nią najmniejszej uwagi tylko Eddie patrzyła na Faye takim wzrokiem, jakby to ona po nosiła winę za zdradę George'a.

- Idę na spacer po plaży - powiedziała po długiej chwili Rita odrywając twarz od miękkich piersi matki.

Hanna rzuciła jej zaniepokojone spojrzenie.

- Pójdę z tobą - zaproponowała, pośpiesznie podnosząc się z ziemi, j

- Nie, chcę być sama - odparła Rita, lecz nagle dostrzegła na jej twarzy strach w oczach matki i lekko uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Nie rzucę się z klifu, obiecuję.

Jej zapewnienie nie przekonało Hanny.

- Och, wydaje mi się, że nie powinnaś być sama w takiej chwili, kochanie...

- Nic mi nie będzie - powiedziała Rita.

- Jestem po prostu wściekła.

Rozzłoszczeni ludzie nie popełniają samobójstwa.

- Jeżeli masz ochotę, możesz zabrać Ezrę - odezwała się Eddie." Nie będziesz musiała z nim rozmawiać, ale jego obecność na pewno cię pocieszy...

Hanna położyła rękę na ramieniu Eddie.

- Dziękuję, skarbie.

- Rita potrząsnęła głową.

- Ezra będzie bardziej zadowolony, jeśli zostanie z tobą.

Nie wybieram się klify, mam, pójdę na plażę.

- No, dobrze...

- zgodziła się Hanna niechętnie.

- Tylko nie zrób czegoś głupiego...

Rita szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Przez ostatnich kilka miesięcy wciąż podtrzymywała płomyk nadziei, że George jedynak wróci po roku do Frogna Point i do niej, tak jak planował.

Był to słaby płomyk i czuła, że nie powinna podsycać go marzeniami i pragnieniami, ale wydawało jej się, że na razie nie może go zgasić.

Teraz okazało się jednak, że George zakochał się w innej, i płomyk zgasł sam, a serce dziewczyny pogrążyło się w ciemności.

Zarośniętą ścieżką zeszła na plażę i przystanęła na chwilę, zbierając się na odwagę, aby skręcić w lewo, do jaskini, w której spędzili razem tyle czasu.

Powoli ruszyła w tamtą stronę, z każdym krokiem wspominając George'a.

Kiedy dotarła na miejsce, zatrzymała się.

Nie wiedziała, czy wejść do środka, i bała się, co tam za stanie.

W końcu zdołała stłumić lęk.

Gdy oczy przywykły do ciemności, ze zdziwieniem spostrzegła, że jaskinia jest zupełnie pusta.

Nie było tu ani duchów, ani złowrogich cieni, ani tańczących pod ścianami demonów, tylko jej własne wspomnienia.

Usiadła na suchym piasku naprzeciwko wejścia, skrzyżowała nogi i zaśłuchiwała się w hipnotyczny odgłos uderzających o brzeg fal.

Zaczęła bawić się wiszącą między jej piersiami srebrną gołębicą.

Długo pocierała wisiorek kciukiem i palcem wskazującym, zastanawiając się, czy wystarczy jej odwagi, by go zdjąć i rzucić w morze.

Nie było żadnego powodu, aby nadal go nosiła - synogarlica mogła tylko przypominać jej o George'u i obietnicach, jakie złożyli sobie w tej jaskini.

Z westchnieniem odpięła wisiorek i położyła go na dłoni.

Pa trzymała na niego przez łzy.

Porwany przez wiatr list był znakiem, teraz nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Tadeusz po wiedział jej, że gołębica jest symbolem nie tylko szczęścia w małżeństwie, ale też przebaczenia.

Pomyślała nagle, że może George wiedział o tym, wybierając dla niej prezent.

Cóż, nie była w stanie wybaczyć mu zdrady...

Czuła, jak nienawiść wsącza się w jej duszę niczym gorąca smoła, ciężka i kleista.

Zawstydziała się tego Czucia, ale na razie nie umiała go odepchnąć.

Wyszła z jaskini, .

przystanęła tuż przy linii wody i rzuciła wisiorek daleko w fale.!

Pochłonęły go cicho.

;;

Spojrzała na pierścionek z brylantem, symbol obietnicy małżeństwa.

Codziennie patrzyła na niego i słyszała, jak George mógłby, że pierścionek ma jej przypominać o jego wielkiej miłości..) Zdjęła go i przełożyła na trzeci palec prawej dłoni.

Z jakiegoś powodu nie mogła się z nim rozstać.

Postanowiła, że pośle go na dno morza dopiero wtedy, gdy zgaśnie ostatni promyk nadziei.

i;i

Wracając do domu przez wioskę, postanowiła odwiedzić Tadeusza.

Ostatni raz widziała go w dniu, kiedy straciła list od George'a.

ge'a.

Wtedy okazał się źródłem cennej mądrości.

Chwilę wahała się przed małą furtką, prawie niewidoczną w bujnym żywopłocie. Tadeusz pewnie uzna, że jest głupia, bo znowu płacze z powodu!

George'a...

Powinna była wpaść do niego po tamtej rozmowie choćby po to, aby pokazać mu, że nie zawsze tylko płacze i rozpacza...

W końcu pokonała jednak obawy, zachęcona wspomnieniem jego ciepłego, przytulnego domu, i pchnęła furtkę.

;

Zapukała do drzwi raz, potem drugi, a gdy pozostały zamknięte:

te, rozejrzała się dookoła.

Pod oświetloną blaskiem słońca ścianą stał rower, więc pomyślała, że Tadeusz musi być w domu, i obejrzała budynek, aby zajrzeć do ogrodu.

Dzień był naprawdę piękny i wydawało się bardzo prawdopodobne, że gospodarz wygrzewa.

się w słońcu.

Kiedy odsunęła gałęzie krzewu rododendronu, aby J przejść dalej, ujrzała Tadeusza, siedzącego na ławce i obejmującego-1 go ramieniem drobną kobietę o bardzo jasnych, prawie białych włosach, której głowa spoczywała na jego ramieniu.

Ponieważ się- j dzieli plecami do niej, postanowiła nie zakłócać im niewątpliwie intymnych chwil.

Odwróciła się i na palcach ruszyła w stronę furtki, ale ciekawość okazała się silniejsza.

Ostrożnie podkradła się bliżej, żeby przyrzeć się towarzysze Tadeusza, i z przerażę- j niem odkryła, że jest to Faye.

Zasłoniła usta dłonią, aby stłumić ;

okrzyk, i szybko wybiegła za ogrodzenie, modląc się, by jej nie za- j uważyli.

Kiedy znalazła się już na zewnątrz, przystanęła pod żywopłotem i zakryła twarz drżącymi rękami.

Serce waliło jej jak szalone ze strachu i wściekłości.

Nigdy dotąd nie widziała Faye z rozpuszczonymi włosami.

Matka George'a wyglądała jak młoda dziewczyna,

czyna, piękna młoda dziewczyna...

Ze współczuciem pomyślała o Treesie, który ciężko harował na farmie, gdy jego żona romanowała z Tadeuszem Waliszewskim.

Nic dziwnego, że w jego sypialni stała rzeźba Faye, jedno z jej arcydzieł...

Czy George wie, że jego matka jest cudzołożnicą?

Może skłonność do zdrady jest dziedziczna, może George miał ją we krwi...

Piękny przykład, nie ma co, pomyślała gorzko.

I to właśnie Faye!

Pobiegła do niego, oślepiona złością i rozczarowaniem, i zamknęła się w swoim pokoju.

Zdecydowała, że nigdy nie zdradzi nikomu, co widziała w ogrodzie Tadeusza, ale tego dnia straciła wszelką wiarę w miłość.

Zawsze uważała, że Trees i Faye są jednym z najszczęśliwszych małżeństw na świecie, jej idealistyczne wyobrażenia o małżeństwie zrodziły się na podstawie obserwacji związku nie tylko jej własnych rodziców, ale też rodziców George'a.

Teraz czuła się zdradzona nie tylko przez ukochanego, ale i przez jego matkę.

George i Faye zniszczyli wszystko, w co wierzyła.



Pani Megalith stała na środku ogrodu obok Nestora, swojego starego ogrodnika, i laską pokazywała mu, co i gdzie powinno wyrosnąć.

- Tam są czerwone polne maki, fioletowa werbena i fiołki!

- oznajmiła, z radością myśląc o pięknych, niewymagających szczególnej pielęgnacji kwiatkach.

- Będą pięknie wyglądały...

Nestor, przygięty do ziemi ciężarem wieku i dominującej osobowości pani Megalith, pokuśtykał ku wskazanym grządkom i jeszcze bardziej pochylił się nad małymi roślinkami, które już wyglądały z ziemi.

- Teraz trudno to sobie wyobrazić, pani M., ale kiedy zakwitną, ogród zapłonie kolorami!

Nestor mówił powoli, z wyraźnym lokalnym akcentem i nawet Pani Megalith czasami z trudem go rozumiała.

- Będzie tu pani miała prawdziwą tęczę - dodał pogodnie.

-Je lenią pozbyłem się chwastów, szczególnie firietek, i dzięki temu zrobiło się więcej miejsca dla maków.

Wiem, jak pani lubi te Siatki, pani M.

- Rzeczywiście, masz rację, mój drogi.

- Pokuśtykała za ogrod nikiem, z aprobatą przyglądając się grządkom, które późną wio sną i latem miały pokryć się najpiękniejszymi kwiatami.

Kochała Elvestree.

Dorastała właśnie tutaj, w domu, który ku pił jej dziadek.

Mieszkańcy Frognał Point chcieli wierzyć, że to za sprawą jej niezwykłych zdolności przybywają tu egzotyczne ptaki i dorodne zwierzęta, rodzą się rzadkie owoce i wspaniałe wa rzywa, lecz pani Megalith znała prawdę - magia tkwiła w tym domku na długo przed jej narodzeniem i stanowiła jego część, tak' samo jak cegły, z których został wzniesiony.

Nestor także o tym wiedział, bo pracował dla jej rodziców, a jego ojciec dla jej dziad ków.

Nie dziwiły go ani rozmiary ziemniaków, ani obfitość fasol-;

ki, szparagów i kapusty.

Nie podnosił brwi, kiedy ogród przez ca-1 łe lato i sporą część jesieni rodził karczochy, rabarbar i oberżyny,;

przywykł też do widoku rosnących w szklarniach winogron i ba nanów.

Gdy większość Brytyjczyków musiało zadowalać się śliw-;

karni i jabłkami.

Nestor z radością zjadał się z rodziną brzoskwi-i niami i pomarańczami, które dostawał od pani Megalith, a kiedy jego żona wychwalała magiczne zdolności Wiedźmy z Elvestree, kręcił głowę, ponieważ doskonale pamiętał, jak dawno temu jego ojciec przynosił do domu niespotykane w Wielkiej Brytanii egzo tyczne owoce liczi.

Pani Megalith była dumna z historii swojej posiadłości.

Dom pochodził z siedemnastego wieku, lecz ogród był znacznie starszy, Otoczony murem warzywniak założono w tym miejscu przed sze ściuset laty.

Legenda mówiła, że kiedyś należał do klasztoru i że mnisi użyźniali ziemię samymi tylko modlitwami.

Pani Megalithi traktowała te opowieści z przymrużeniem oka - uważała, że pod:

mnisimi habitami najprawdopodobniej kryli się prawdziwi czaro dzieje, i to łakomi czarodzieje.

Podniosła głowę i głęboko wciągnęła powietrze.

Słodki, żyzny, zapach wiosny znowu powrócił i przyroda budziła się do życia, I Czuła też zapach rzeki i słyszała głosy żerujących na plaży ptaków,;

walczących o kawałki rybiego mięsa i drobne skorupiaki.

!

Nagle Nestor schylił się i rozgarnął kupkę zeszłorocznych liści.

- Co my tu mamy?

- zawołał, odsuwając się nieco, żeby zrobić miejsce dla pani Megalith.

282

- Co tam jest?

- zapytała.

- Chyba jakiś przeklęty kocur rzucił się na jedną z tych pani ukochanych jaskółek...

Twarz starszej pani pociemniała z oburzenia.

- Jaskółka?

Żyje?

- Wydaje mi się, że tak, ale ledwo, ledwo, biedactwo...

- Daj mi spojrzeć!

- Odsunęła ogrodnika i pochyliła się nad rannym ptakiem.

- Dobry Boże!

Idź po Maksa, najlepiej od razu!

Nestor pośpieszył do domu, wołając Maksa, ten po chwili wybiegł na zewnątrz i po wymownych ruchach pani Megalith zorientował się, że stało się coś złego.

- Nie mogę jej podnieść, bo nie schylę się tak nisko - powie działa.

- Weź ją do ręki, tylko bardzo ostrożnie, żeby się nie przestraszyła.

Wyobraź sobie, że to skorupka jajka...

Max uśmiechnął się pobłaźliwie i delikatnie podniósł ptaka.

Kiedy wziął drżące stworzenie między dwie dłonie, pani Megalith ruszyła przez trawnik.

- Chodź ze mną, ty też, Nestorze.

Musicie mi pomóc.

Oddechamy to biedne maleństwo, żeby nie wiem co...

Obaj mężczyźni ruszyli za nią.

Ruth robiła sobie właśnie kanapkę z pastą marmite, kiedy cała procesja wtargnęła do kuchni.

- Ruth, daj mi jakieś tekturowe pudełko i wyłóż je sianem z szopy!

- zarządziła pani Megalith.

Ruth spojrzała na brata, ale ponieważ była przyzwyczajona do wykonywania poleceń starszej pani, usłuchała od razu.

Pani Megalith wetknęła okulary na czubek nosa i wzięła ptaka w miękkie, pulchne jak świeże ciasto dłonie.

- Przyniesź szkatułkę z moimi kryształami - zwróciła się do Maksa.

- Nestorze, będzie mi potrzebna strzykawka z apteczki i szklanka wody.

Myślę, że jaskółka ma tylko złamane skrzydło, lecz nie ulega wątpliwości, że długo nie jadła i nie piła.

Nestor natychmiast pokuśtykał do szafy na półpiętrze, w którą pani Megalith przechowywała leki i środki opatrunkowe.

Ruth wróciła z pudełkiem po sznurowanych półbutach, które Megababcia kupiła jej do szkoły; starannie wyłożyła je miękkim sianem i zrobiła kilka małych otworów w przykrywce, na wypadek, gdyby jaskółka potrzebowała całkowitego spokoju.

Starsza pani

283 .

utożyta ptaka na przygotowanym postaniu, a kiedy Max przyniósł' szkatułkę, wyjęła z niej kamienie, które rzekomo sprzyjały proce-:

sowi gojenia się ran.

Potem napoiła rannego wodą ze strzykawki:

i unieruchomiła złamane skrzydełko, podkładając pod nie mały patyk i mocno przywiązując do ciała.

- Przeżyje?

- zapytała Ruth, zaglądając do pudełka.

- Przeżyje, biedulka.

To jest ona, panienka...

Gdybym wiedzia ła, które kocisko zrobiło jej taką krzywdę, skręciłabym draniowi kark!

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wielebny Hammond ogarnął spojrzeniem wszystkich zgroma dzonych.

W ławkach widział te same twarze tych samych ludzi co zwykle, ubranych tak, jak w każdą niedzielę, lecz wyczuwał pewną subtelną zmianę w atmosferze, i to zmianę na gorsze.

W kościele było jakby chłodniej i nie miało to nic wspólnego ze świeżą morską bryzą, która wpadała do środka przez otwarte okna, ani z fak tem, że panna Hogmier spadła ze schodów i dotkliwie stłukła so bie kość ogonową, przez co teraz grała na organach z taką agresją, jakby chciała zasugerować, że wszystkiemu winien jest nieszczęsny instrument, nie schody czy jej nieuwaga.

Wielebny słyszał od swo jej żony, której panna Hogmier powtórzyła podsłuchaną w piekar ni wiadomość, jaką Hanna podzieliła się z jej siostrą, że George Bolton zamierza ożenić się z kobietą imieniem Cybil.

Była to nie zwykle skomplikowana sytuacja, którą niewątpliwie z wielkim za interesowaniem omawiano w każdym sklepie i w każdej kuchni w promieniu piętnastu kilometrów.

Duchowny z rozczarowaniem spostrzegł, że rodzina Fairweather siedzi po jednej stronie głównej nawy, natomiast Boltonowie PO drugiej, przy czym członkowie obu rodzin starają się na siebie nie patrzeć.

Aura przyjaźni znikła, a pośrodku wyrósł mur wzalernnych pretensji i wyrzutów sumienia.

Wszyscy pozostali wier.

ni także zdawali sobie sprawę z istnienia tego muru, lecz nikt ni śmiał nawet o nim wspomnieć.

Twarz Humphreya była szara i mi zerna, natomiast Hanna ukrywała opuchnięte powieki pod ron dem kapelusza.

Rita miała zaczerwienione od łez oczy, lecz wyda-i wało się, że panujący w kościele spokój przynosi jej ulgę.

Niej miała odwagi zerknąć na Faye, niewierną Faye, ale była pewna, że, na twarzy matki George'a maluje się zgoła anielska niewinność.

Eddie bawiła się z Ezrą Gunchem; wcześniej przekonała matkę, że musi zabrać go ze sobą do kościoła, ponieważ jej ulubieniec jest bardzo wrażliwym stworzeniem, wyczuwa napięcie w domu i tak-;

że wymaga pocieszenia.

Policzki Maddie płonęły mocnym ru mieńcem, ponieważ od rana wciąż przypominała sobie ostatnią rozmowę z Harrym i była wściekła.

Faye nerwowo okręcała pier ścionek wokół palca, natomiast Alice i Geoffrey sprawiali wrażenie nie głęboko zamyślonych.

Nawet ich dzieci zachowywały się;

w ławce dziwnie cicho i spokojnie.

Trees wciąż trwał w przekonaniu, że każdy uprawia w życiu własne poletko i dlatego nie nale-;

ży wtrącać się w sprawy innych, nawet swoich dzieci.

Spokojnie patrzył na kapłana i czekał na rozpoczęcie nabożeństwa, pewny;<sup>1</sup> że cała sprawa została rozdmuchana przez kobiety z obu rodzin i że Humphrey wzniesie się ponad wszelkie nieporozumienia, nie<sup>^</sup> odmawiając mu swojej przyjaźni.

Wszystko to burza w szklance<sup>1</sup> wody, myślał Trees.

;

Wielebny Hammond postanowił stawić czoło sytuacji i uznał,, że Bóg chce, aby właśnie on zjednoczył obie rodziny, tak wyraż-;

nie potrzebujące duchowego przewodnictwa.

Pogratulował sobie w myśli, że przygotował tak inspirujące kazanie o przebaczeniu<sup>1</sup> i miłości, nie zdawał sobie jednak sprawy, że Humphrey i Hanna<sup>1</sup> są zbyt mocno zranieni, aby wybaczyć, a Rita i Maddie rozgoryczone i w pełni świadome, ile zła może wyrządzić miłość.

Po za;

kończeniu nabożeństwa Humphrey tylko mruknął coś pod nosem, mijając Treesa, Hanna zaś pośpiesznie wyszła za mężem. Jakiś czas chwilę stał nieruchomo w ławce, zmieszany i niepewny, następnie podał Faye ramię i powoli wyszedł na zewnątrz, nerwowo mrużąc oczy w ostrym słonecznym blasku.

Teraz nie mógł już za nią przeczyc, że Faye miała rację - zachowanie George'a faktycznie rozdzieliło obie rodziny.

Rita stała przy drzwiach kościoła, czekając na Eddie, która szukała pod ławkami Ezry Guncha.

Na widok Faye i Treesa cofnęła się i przyłgnęła do muru z nadzieją, że przejdą obok i nie zauważą jej, lecz matka George'a dostrzegła ten manewr.

Sytuacja była trudna, ale Faye postanowiła podjąć próbę zawarcia pokoju.

- Dzień dobry...

- odezwała się łagodnie.

-Jak się czujesz?

Rita zarumieniła się i spojrzała w głąb kościoła, szukając wzrokiem Eddie.

- Dobrze, dziękuję.

Eddie na czworakach zaglądała pod obrus na ołtarzu i usiłowała wywabić stamtąd Ezrę, który znalazł na podłodze kawałek starej hostii.

- Nie przyjeżdżasz ostatnio na lekcje - zauważyła Faye.

- Teraz to trochę skomplikowane...

- Rozumiem, oczywiście.

Nie powinnaś jednak zaniedbywać talentu, kochanie.

Byłaby to wielka szkoda, bo naprawdę jesteś uzdolniona.

- Ostatnio do późna pracuję - wyjaśniła niepewnie Rita i zaraz zaczerwieniła się jeszcze mocniej, ponieważ wszyscy wiedzieli, że biblioteka jest czynna tylko do szóstej.

- Cóż, jeżeli jednak zdecydujesz się któregoś dnia przyjechać, z przyjemnością z tobą popracuję.

- Faye serdecznie dotknęła ramienia dziewczyny.

Kiedy Rita nie zareagowała, skinęła głową i odeszła razem z Treese, starannie ukrywając rozczarowanie.

Rita przygarbiła się, z jej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

Uśmiechnięta Eddie wyszła wreszcie z kościoła, wyciągnąwszy gerbila spod ołtarza.

- Co za żarłoczny szczur!

- poskarżyła się, kiedy szły ścieżką do domu.

- Daję mu dużo jedzenia, a on jest wiecznie głodny...

Faye czuła smutek, że Rita nie chce już z nią rzeźbić i że łącząw ich wszystkich od lat więź nagle pękła.

Przekonana, że nikt nie wie o jej związku z Tadeuszem, nawet nie pomyślała, że chłód Rity może być spowodowany odkryciem tej tajemnicy.

- Atmosfera w kościele była tak gęsta, że można by ją pokroić oozem - powiedziała panna Hogmier do wielebnego Hammonda, kiedy wszyscy wierni opuścili już kościół.

'S7 .



Szta przez nawę, wsparta na lasce, krzywiąc się co parę kroków i i wydymając nozdrza, z których wysuwały się wtedy gęste czarne wioski, podobne do miniaturowych szczotek do czyszczenia ko, minów.

- O, mój Boże...

- westchnął wielebny, patrząc, jak Rita i Ed- die znikają za rogiem.

- Zrobiłem, co w mojej mocy, aby przeka zać im wszystkim, jak powinien zachować się w takiej sytuacji prawdziwy uczeń Chrytusa...

Mogę tylko mieć nadzieję, że ziarna padło na żyzną glebę.

- Te dwie rodziny rozdzieliła przepaść, której nie da się zasy pać - burknęła ze złośliwą satysfakcją panna Hogmier.

- A tym czasem młody George siedzi sobie w Argentynie, nieświadomy, ilA;

złego narobił.

;

- Myślę, że rzeczywiście nie ma pojęcia, ile osób przez niego cierpi...

;

- Moim zdaniem, po prostu nic go to nie obchodzi - sapnęła,,)' Ostrożnie osunęła się na ławkę i jęknęła głucho, gdy jej kontuzjo^ wana kość ogonowa zetknęła się z twardym siedzeniem.

- Zawsze mi się wydawało, że to straszny egoista!

- Biedna Rita...

Dokładnie rok temu witała szczęśliwie powra- { cającego z wojny narzeczonego i cieszyła się z przyjęcia na jego c2eść...

„

- I po co było je urządzać?

- prychnęła panna Hogmier.

- Teag chłopak od urodzenia myślał wyłącznie o sobie.

Jest zbyt przystoj ny i przez to nadmiernie pewny siebie, oto cały problem.

- Rita szybko znajdzie sobie kogoś innego, jest przecież mło da i ładna.

- Ale ich rodziny nigdy nie odnowią dawnej przyjaźni.

DI Boltonów może to i lepiej, ostatecznie Rita jest przecież wnuczki Wiedźmy z Elvestree...

- Podejrzliwie rozejrzała się dookoła.

Mam nadzieję, że w pobliżu nie widać żadnych kotów?

Wielebny Hammond szybko spojrzął na ołtarz i skrzywił się!

wspomnienie dnia, kiedy to pani Megalith sprowadziła koty do kościoła, żeby uniemożliwić mu odprawienie nabożeństwa.

,

- Jeżeli się zjawią, wyrzucę je!

- oznajmił odważnie.

- To chyba nie do końca zgodne z nauką Chrystusa, co?

- Spoj-jj rżała na duchownego z wyraźnym podziwem.

- Przecież Chrystus wyrzucił kupców ze świątyni!

Te koty to wysłannicy pogańskiego świata, więc jeśli je tu znowu zobaczę, bez chwili zastanowienia wyrzucę je tak, jak zrobił to Chrystus.

- Dzielny z pana człowiek!

- Panna Hogmier z trudem dźwignęła się z ławki.

- No, pójdę już chyba do domu.

Nie mam nikogo, kto by się mną zajął, ale nie skarzę się.

Będę cierpieć w milczeniu, bo co innego mogę zrobić?

Jestem starą panną, a społeczeństwo niechętnie patrzy na samotne kobiety.

Rita Fairweather powinna szybko poszukać sobie następnego narzeczonego, bo inaczej skoń czy jak ja...

- Miałaby szczęście, gdyby tak się stało - powiedział serdecznie wielebny Hammond.

- Jest pani kobietą wielkiej wiary, a te go należy życzyć każdemu...

Panna Hogmier mlasnęła językiem o podniebienie i przyjęła komplement najzupełniej obojętnie.

Duchowny obserwował, jak utykając, wychodzi na słońce, mrużąc oczy niczym porażona błyskiem dnia wampirzyca.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w porównaniu z panną Hogmier pani Megalith wygląda na dobrą wróżkę.

Wróciwszy do domu, Hanna przebrała się w domowy strój i za jęła przygotowywaniem lunchu.

Z westchnieniem wyjrzała przez okno.

Brakowało jej rozmów z Faye.

Doskonale wiedziała, że nie powinna obciążać przyjaciółki winą za to, iż jej syn zakochał się w innej kobiecie, ale nie mogła się przemóc, by niechęci, jaką czuła do George'a, nie przenosić na całą jego rodzinę.

Czuła, że Faye ma coś wspólnego ze zdradą George'a, i nie potrafiła pozbyć się tego absurdalnego przekonania.

Faye na pewno miała do niej o to żal, lecz Hanna po prostu nie była teraz w stanie wzbudzić w sery przebaczenia.

Rita siedziała na parapecie okna w swoim pokoju i patrzyła na Godzące po trawniku gołębie.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Pognał Point bardzo się zmieniło, a ona obawiała się zmian i nie kosiła ich.

Cała jej starannie zaplanowana przyszłość legła w gru.

zach i nie miała pojęcia, jak teraz sprawy się ułożą.

Nawet Maddie nie była sobą.

Wydawała się dziwnie odległa i wiecznie zamyślna, jakby się obawiała, że szczerza rozmowa zmusi ją do ujawnienia sekretów, którymi nie miała ochoty z nikim się dzielić.

Pewnego sobotniego wieczoru Maddie wróciła z przejażdżki w towarzystwie Bertiego i zdecydowanym krokiem weszła do pokoju Rity, która właśnie pisała wiersze.

Na widok bladej jak ściana na twarzy siostry odłożyła pióro, szybko wstała i objęła Maddie.

c

- Co się stało?

- zapytała, kiedy Maddie przestała wylewać łzy w jej bluzkę.

;

Siostra zamasztywym ruchem zmiotła leżące na łóżku ubrania na podłogę i usiadła.

;

- Przespałam się z Harrym, a potem on mnie rzucił - wyznała, ocierając łzy wierzchem dłoni.

;

Rita wyjęła chusteczkę do nosa z szuflady komody i podała ją Maddie, która ostrożnie osuszyła umalowane oczy.

:

- Widziałas się z nim ostatnio?

- Rita siadła obok siostry i otoczyła ją ramieniem, i Maddie pociągnęła nosem i dramatycznie westchnęła, i

- Nie - powiedziała.

-1 wcale nie chcę go widzieć...

Jestem na niego wściekła, to wszystko.

- Jesteś też zraniona...

- Trochę.

Był pierwszym mężczyzną, w którym chyba naprawdę się zakochałam...

'i,

Rita nigdy nie widziała siostry w stanie tak wielkiego zagniewania.

;

- Jak to się stało?

- zapytała łagodnie, i

- Uwiodłam go i było cudownie!

- Oczy Maddie na chwilę za- błysły dawnym światłem.

- Po prostu cudownie...

Ale on uważa że jestem dla niego za młoda.

- Za młoda?

- powtórzyła niepewnie Rita.

- I tylko o to mi chodzi?

- Wykorzystał moje ciało, a potem mnie porzucił...

- To niemożliwe, kochanie!

Ja nie oddałam się George'owi a też mnie zostawił...

Może gdybym się z nim przespaała, nie odszedłby z inną, kto wie...

Powinnam była wtedy posłuchać twojej rady.

- Nie wydaje ci się, że Harry się mną znudził?

- Skądże, Harry nie jest taki!

To dobry, łagodny człowiek, nie żaden pozbawiony sumienia drań.

Co jeszcze ci powiedział?

- Nie chciałam słuchać, co ma mi do powiedzenia - przyznała Maddie.

- Wpadłaś w furję i wybiegłaś, tak?

- Rita dobrze znała młodszą siostrę.

- I zaraz zaczęłaś znowu spotykać się z Bertiem?

- Byłam wściekła - Maddie rozłożyła ręce.

- Potrzebowałam kogoś...

Rita się zamyśliła.

Po chwili wstała i podeszła do okna.

- Spójrz na to z punktu widzenia Harry'ego - odezwała się.

- Jest dużo starszy od ciebie, rozwiedziony i niezbyt zamożny.

Może czuje się winny, że cię wykorzystał, a nie ma ci nic do zaoferowania.

Zauważyłam, jak on na ciebie patrzy.

Wydaje mi się, że powinnaś była wytłumaczyć mu wszystko cierpliwie i spokojnie.

Teraz Harry na pewno cierpi tak samo jak ty...

Maddie prychnęła z niedowierzaniem.

- Mocno w to wątpię!

Harry siedzi z nosem w tej swojej prześlętej książce i wcale nie cierpi!

- Porozmawiaj z nim.

Masz więcej pewności siebie niż on.

- Zastanowię się nad tym.

- Wstała.

- Czasami mówisz całkiem mądre rzeczy, wiesz?

Szkoda, że ta mądrość nie pomogła ci ułożyć sobie życia z George'em...

Ale wzięła pod uwagę radę siostry.

Pomyślała, że jeżeli Harry uważa się za niegodnego jej miłości, będzie musiała przekonać go, że jest inaczej.

Oczywiście za najmocniejszy argument uważała swoją seksualność.

Podjąwszy decyzję o odzyskaniu Harry'ego, usiadła przy toalecie i przystąpiła do starannego nakładania makijażu.

Miała cudownie jasną, świetlistą cerę i szeroko rozstawione, kocie oczy, które były przedmiotem zazdrości wszystkich dziewcząt, jakie знаła.

Krytycznie przyjrzała się swemu odbiciu i pomyślała, że skoro Parę miesięcy temu bez wielkiego trudu uwiodła Harry'ego, to i teraz powinna osiągnąć nie tylko ten cel, ale też przekonać go o swojej dojrzałości.

Jaka była głupia, że wycofała się bez walki...

Było to do niej zupełnie niepodobne, zareagowała jak naiwna, pełna pychy dziewczyna, która nigdy nie zaznała bólu odrzucenia.

Nakładając róż i szminkę, wyobraziła sobie, że maluje się przed walką niczym indiański wojownik.

Włożyła lekką sukienkę i na rowerze pojechała do Bray Cove.

Mimo pewności, że wygląda znakomicie, mocno się denerwowała.

Nie widziała Harry'ego od paru miesięcy i nie miała pojęcia, czego może się spodziewać.

Nie zniósłaby następnego upokorzenia.

Co będzie, jeżeli jej plan zawiedzie i Harry znowu ją odrzuci?

Skrzywiła się na samą myśl o takiej katastrofie i szybko zapchnęła ją do podświadomości.

Zostawiła rower oparty o drzewo przed domem i podkraśliła się pod okno gabinetu Harry'ego.

Było tak, jak myślała - Harry siedział nad maszyną do pisania, usiłując skończyć książkę, która miała przynieść mu sławę i pieniądze.

Do oczu Maddie napłynęły łzy.

Harry posiwiał, zmizerniał i wyglądał na bardziej zaniedbanego niż kiedyś.

W pokoju panował potworny bałagan, książki i papiery leżały na podłodze, wszystkie sprzęty pokryte były warstwą kurzu.

Nagle odwrócił się w stronę okna, jakby instynktownie podpowiedział mu, że ktoś go obserwuje.

Na widok prostej twarzy Maddie podskoczył ze zdziwienia, otworzył usta i głośno wykrzyknął jej imię.

Z miejsca, gdzie siedział, mogła wystrzelić mu się złudzeniem optycznym, zwłaszcza że słońce jasno świeciło za jej głową.

Podniósł rękę, prosząc gestem, aby się nie ruszała, i zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

,

Serce Maddie skakało jak oszalałe ze zdenerwowania, lecz reakcja Harry'ego była co najmniej zachęcająca.

Parę sekund, później drzwi domku otworzyły się z hukiem i Harry wypadł z za rogu.

- To naprawdę ty?!

- zawołał.

Nie wyglądał na spragnionego ostrych wrażeń uwodziciela, który wykorzystuje kobiety, a potem je porzuca.

Maddie zdała sobie sprawę, że pochopnie go osądziła, i natychmiast zajęła się naprawianiem błędów.

S

- Och, Harry, kocham cię!

- powiedziała, rzucając mu się w ramiona.

- Nie obchodzi mnie, że jesteś stary i biedny, w moich oczach nie brak ci niczego...

Harry był głęboko wzruszony, chociaż nie wiedział, czy powinien się obrazić, czy uznać jej typowo niedbałą uwagę za komple-

ment.

Objął dziewczynę i wtulił nos w jej włosy, ciepłe i pachnące kwiatami.

Kiedy odsunęła się, żeby na niego spojrzeć, popa trzymał na nią z chłopięcym uśmiechem.

- Jestem też rozwodnikiem, mizantropem i rzadko chodzę do kościoła - zaczął.

Maddie z radością zauważyła, że jego blade policzki zaczęły po woli odzyskiwać normalny kolor.

- Nie wątpię, że bez trudu dodasz jeszcze kilka wad do tej listy - ciągnął.

- I tak nie ma to najmniejszego znaczenia - roześmiała się.

- Kocham cię takim, jakim jesteś!

- A ja okazałem się kompletnym osłem, gruboskórnym drańkiem.

Przepraszam, że cię zraniłem...

Położyła palec na jego wargach, dokładnie tak, jak wtedy, gdy pocałowała go pierwszy raz, lecz teraz to Harry przejął kontrolę nad sytuacją i namiętnie pocałował Maddie.

W połowie sierpnia Max powiedział Ricie, że wyjeżdża z Frogmal Point.

Słońce grzało mocno, co było prawdziwą rozkoszą po wielu deszczowych dniach.

Trees miał spore kłopoty ze żniwami, ponieważ musiał czekać, aż ziemia przynajmniej trochę obeschnie, żeby zabrać się do koszenia zboża, ale teraz cała przyroda dosłownie tryskała życiem.

Umyte deszczem liście lśniły na drzewach, których gałęzie ugięły się pod ciężarem ptaków, kwiaty odwracały głowy do słońca i zachwycały świeżymi kolorami, a wiatr był rześki i pachnący.

Max leżał obok Rity na trawniku za domem w Elvestree, obserwując, jak uratowana przez panią Megalith jaskółka, już prawie zdrowa, lecz jeszcze niezdolna do lotu, skacze po trawie i łapie muchy.

Koty spały w domu, ale Max czuwał, gotów w każdej chwili bronić ulubienicę wszystkich domowników przed amatorami łatwej zdobyczy.



- Kiedy wyjeżdżasz?

- zapytała Rita, nie kryjąc zaskoczenia.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy przyzwyczała się do towarzystwa Makska i zaczęła uważać to za rzecz oczywistą.

Maddie spędza teraz większość dnia w Bray Cove, więc Rita znalazła w Maksie przyjaciela i powiernika.

- Pierwszego września - odparł, szukając w jej twarzy oznak smutku i rozczarowania.

- Gdzie się zatrzymasz?

- U twojej ciotecznej babki Hazel, siostry Primrose.

Hazel ma dom w pobliżu Oxford Street, co bardzo mi odpowiada, bo podejrzuję pracę w redakcji BBC...

- W BBC?

- Rita rzuciła mu spojrzenie pełne uznania.

- Nic o tym nie mówiłeś...

i żartobliwie szturchnęła Maksa łokciem w bok.

;

- Nie byłem pewny, czy to wypali.

Wysłałem podanie dawno temu, ale oni długo zwlekali z decyzją - skłamał.

W rzeczywistości sam ryzykowałem, odkładając wyjazd ze względu na Ritę.

- Po wiedziałbym ci, gdybym nie miał wątpliwości, ale nie chciałem zapeszyć...

- Co tam będziesz robił?

- Najprawdopodobniej herbatę!

- zaśmiał się.

- Nie mam z tego żadnego pojęcia, wiem tylko, że mogę zrobić wszystko, byle tylko rzucić tę szansę.

]

- Będzie mi cię brakowało...

- Uśmiechnęła się trochę żałośnie.

Serce Maksa załopotało, jakby chciało poderwać się do lotu.

- Ja też będę za tobą tęsknił, ale przecież nie wyjeżdżam na zawsze, co jakiś czas tu zajrzę.

Nie sądzisz chyba, że długo wytrzymamy z dala od Elvestree, prawda?

,1

- Megababcia nie będzie mogła znaleźć sobie miejsca w domu zresztą Ruth także...

- Ruth tak zaprzyjaźniła się z Eddie, że nie odczuje mojej nieobecności.

Chciała nawet kupić sobie gerbila, takiego jak Ezra Gunch, ale Primrose powiedziała jej, że koty dopadną go w pięć I minut.

Ruth przyznała jej rację, więc teraz musi się zadowolić za-1 bawą ze szczurem Eddie.

i

- Znajdziesz chwilę, żeby zadzwonić do mnie od czasu do czasu?

- Będę dzwonił i pisał.

- Jesteś odważny, że decydujesz się na wyjazd do Londynu...

- Wojna już się skończyła i czeka mnie co najwyżej walka ze;  
smogiem.

Podobno londyńska mgła jest nie do wytrzymania.

- Gęsta jak owsianka!

- zażartowała Rita.

- Właśnie.

Wcale mi się nie śpieszy, żeby to sprawdzać, bo na wet w najlepszych warunkach miewam kłopoty ze znalezieniem drogi.

- Czy mi się wydaje, czy dom Hazel naprawdę został uszkodzony przez bombę?

- Primrose mówi, że bomba spadła na dach, ale dom jakoś wytrzymał i Hazel również, chociaż zakrawa to na cud.

- Jestem z ciebie naprawdę dumna...

- Z jej piersi wyrwało się lekkie westchnienie.

- Na pewno osiągniesz coś w życiu...

Twoi rodzice także byliby z ciebie dumni.

- Jaskółka nieźle sobie radzi, prawda?

- odezwał się Max po chwili milczenia.

Ritę zdziwiła ta niespodziewana zmiana tematu, ale uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Któregoś dnia może nawet znowu wzbije się w powietrze...

- Jeżeli będzie miała dość silną wolę, zrobi wszystko, co ze chce.

- Max spojrzał Ricie prosto w oczy.

Dziewczyna przypomniała sobie opowiedzianą przez Megababcię historyjkę o dwóch rannych ptakach i poczuła, że się rumieni.

- Myślę, że dzięki tobie poderwie się do lotu - odparła i wygodnie ułożyła się na plecach, żeby słońce mogło ogrzać jej twarz.

Harry zauważył, że wraz z Maddie wróciły jego siły twórcze.

Nie przesiadywał już godzinami nad maszyną, bezmyślnie wpa trzony w czystą kartkę, lecz pracował tak intensywnie i wydajnie, jak nigdy wcześniej.

Ledwo mógł nadążyć z przelewaniem myśli na papier, a Maddie już czekała, żeby zabrać nowy rozdział do przeczytania w rozświetlonym ogrodzie.

Wieczorami, kiedy cienie późnego lata tańczyły na trawniku wraz z poruszonymi wiatrem liśćmi, szedł z Maddie do sypialni i kochał się z nią aż do zmierzchu.

Pod koniec września książka była gotowa.

Aby uczcić to wydarzenie, Harry zaprosił Maddie do teatru, a potem na kolację w małej, spokojnej restauracyjce, przez której okna widać było morze.

-- Wydaje mi się, że ta książka będzie bestsellerem - powiedział.

10^ .

Maddie uśmiechnęła się pobłażliwie.

Harry mówił o swojej po wieści niemal bez przerwy, co trochę ją nużyło, ale za każdym razem, kiedy ogarniało ją zniecierpliwienie, przypominała sobie, jak ma szczęście, że w ogóle zdołała go odzyskać.

- Nie napisałbym jej bez ciebie - ciągnął Harry.

Gdy patrzył na jej promienną twarz, okoloną gęstymi, lśniąco mi włosami, serce mu drżało.

- Nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawiła mi praca z tobą - powiedziała szczerze Maddie.

- Tworzymy doskonały zespół.

- W czasie naszej "zimnej wojny" nie byłem w stanie napisać nawet jednej strony.

Nic nie było takie, jak należy.

Mój styl był sztywny i dziwaczny, sposób formułowania myśli niejasny, posta ciom brakowało życia.

Kiedy wróciłaś, wszystko zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Dataś mi inspirację i pewność siebie, kochanie.

Zawdzięczam ci wszystko.

Nie zostawiaj mnie nigdy więcej...

- Więc nigdy więcej nie mów mi, że jestem dla ciebie za mało - uśmiechnęła się.

- Nie jesteś za młoda, ale z pewnością za dobra, żeby żyć w taki sposób.

Maddie zbladła.

- W jaki sposób?

- zapytała, walcząc z okropnym uczuciem déjà vu.

- Kochamy się, a ty potem ukradkiem wracasz do domu.

To niedobrze.

- Ależ, Harry...

Harry z uśmiechem ujął jej dłoń.

- Najwyższy czas, żebyś zrobił z ciebie uczciwą kobietę - oznajmił.

Serce Maddie na chwilę przestało bić.

- Czy to są oświadczenia?

- W jej głosie brzmiał ton nieśmia łej nadziei.

- Przyjmiesz je?

- Co takiego?

Oświadczyły takiego biednego rozwodnika jak ty?

- W jej oczach zabłyśły łzy.

- Oczywiście, że je przyjmuję, ko chany!

- Parsknęła śmiechem i wierzchem dłoni wytarła mokre policzki.

- Jak mogłeś pomyśleć, że nie zechcę za ciebie wyjść?

Kiedy Maddie i Harry ogłosili swoje zaręczyny, Humphrey i Hanna nie kryli radości zabarwionej odrobiną zdziwienia, lecz w obliczu kryzysu, jaki przeżywała Rita, przyjęli przyszłego zięcia z otwartymi ramionami i uczcili okazję butelką szampana z obfitej piwniczki pani Megalith.

Oboje darzyli Harry'ego szczerą sympatią i czuli ulgę, że ambicje Maddie ograniczyły się teraz do spokojnego życia w Bray Cove.

Eddie cieszyła się, że ona i Ruth zostaną druhnami, i zamierzała uszyć malutką marynarkę dla Ezry Guncha, który miał przez całą ceremonię siedzieć dumnie na jej ramieniu, dokładnie tak, jak go nauczyła.

Wielebny Hammond klasnął w ręce na myśl o ślubie i natychmiast zaczął układać dłu gą mowę, prosząc Boga o natchnienie.

Gdy pani Megalith zaproponowała Maddie swoją suknię ślubną, ta skrzywiła się lekko i parsknęła śmiechem na myśl, że mogłaby włożyć jeden ze słynnych "namiotów" Megababci, ale kiedy poszła z matką i Ritą do Elvestree, aby przymierzyć kreację, spotkało ją miłe zaskoczenie.

- Suknia jest w moim pokoju - oświadczyła pani Megalith, sia dając na sofie w otoczeniu żywej narzuty z kotów.

- Idź na górę z matką, a my z Ritą zaczekamy tu na twoje wielkie wejście...

Starsza pani trzymała w ręku kieliszek z sherry, a na jej kolanach spoczywało puzderko z wyblakłego czerwonego aksamitu.

Rita przysiadła na taborecie przed pustym kominkiem - pogoda była na tyle łagodna, że pani Megalith nie kazała rozpalić ognia.

Dziewczyna ze smutkiem raz po raz zerknęła na babkę, zastanawiając się, czy ona wyczuwa jej przygnębienie, lecz starsza pani była zbyt zajęta zbliżającym się ślubem Maddie, aby zwrócić uwagę na nastrój najstarszej wnuczki.

Czy nie przychodzi jej do głowy, że to ja powinnam być w centrum tych wszystkich przygotowań, pomyślała Rita.

Gdyby George nie wyjechał do Argentyny, to ona Przymierzałaby tego dnia suknię babki.

Bo ona miała włożyć ją Pierwsza.

Ale Megababcia najwyraźniej zupełnie o tym zapomniała.

Wszyscy o tym zapomnieli...

Rita poczuła, jak znajoma niena<sup>^</sup>ść podnosi głowę i zaczyna wic się w jej brzuchu, podobna do Niskiej czarnej żmii, potem zaś powoli wkrada się do jej serca i po żera miłość, w zamian wypluwając z siebie zazdrość i zimną nie.

chęć.

Jednak tym razem Rita wcale nie próbowała spychać tych uczuć w podświadomość.

Kiedy Maddie stanęła w progu salonu, zachwycająco piękna w sukni z jedwabiu i koronki koloru kości słoniowej, jakby stworzonej specjalnie dla niej, Rita całkowicie poddała się działaniu mrocznej bestii.

Z goryczą patrzyła, jak siostra przechadza się po pokoju, prezentując wdzięcznie wyprostowane plecy i długą, smukłą szyję.

Zmysłowe ciało Maddie przykryta tak cudownie skromną i kobiecą suknią, że przyszła panna młoda wyglądałaby na istotę nie z tego świata, gdyby na jej twarzy nie gościł uśmiech pełen ziemskiej dumy.

Maddie zdawała sobie sprawę, że suknia podkreśla niezwykle atrakcyjną krągłość jej piersi i bioder.

Podeksytowana swoim nowym wizerunkiem przedarła się przez tłum kotów, aby ucałować babkę, i.

- To wspaniała suknia, babciu!

- powiedziała.

- Bardzo mi się podoba, dziękuję ci!

Pani Megalith serdecznie objęła wnuczkę.

- Jestem z Ciebie dumna, Madeleine - oświadczyła.

- Jeśli masz być szczerą, to zawsze uważałam Cię za niepoważną flirtującą, i teraz nie mam wątpliwości, że będziesz dobrą żoną oraz matką i to szybciej, niż sądzisz.

Okazałaś się rozsądną dziewczyną, i bardzo mnie cieszy.

Maddie zamrugnęła ze zdumienia.

Nie pamiętała już nawet, kiedy Megababcia ostatni raz ją pochwaliła, całkiem niewykluczona zresztą, że właśnie teraz zrobiła to po raz pierwszy.

Starsza pani zawsze uwielbiała Ritę i kochała Eddie, która potrafiła ją rozbawić, natomiast ona nieodmiennie ściągała na siebie jej dezaprobatację.

- Wydaje mi się, że to będzie bardzo pasowało do sukni...

Babka podała Maddie czerwone puzderko.

Dziewczyna szybko podniosła wieczko.

- Kolczyki z brylantami i perłami!

- zawołała z zachwytem.

- Dla mnie?



- Dla ciebie, w prezencie ode mnie.

Należały do mojej babkijj a ona podarowała mi je przed moim ślubem...

Włożyłam je do te, samej sukni, którą masz na sobie, moja droga...

,

Megababcia ujęła kolczyki i ostrożnie wpięła je w uszy MaddiA która natychmiast pobiegła do dużego lustra nad kominkiem, abj

298

podziwiać swoje odbicie.

Rita przyglądała się temu bezradnie, czując się tak, jakby znalazła się w środku koszmarnego snu.

To przecież ona powinna nosić te kolczyki...

Tego samego dnia wieczorem, kiedy zaczęła już żałować, że mi mo wszystko nie uleciała razem z tamtą jaskółką do nieba, za dzwonił do niej Max z Londynu.

Tak się ucieszyła, że uczucie przygnębienia ustąpiło, a jego miejsce zajęła świadomość, że jed nak ktoś kocha ją i myśli o niej.

- Wszystko w porządku?

- zapytał Max.

- Tak...

- odparła smutnym głosem.

- Nieprawda.

Wiem, co przeżywasz.

To powinien być twój

ślub.

- Och, ty mnie naprawdę rozumiesz...

- Martwię się o ciebie.

Robi mi się niedobrze ze zdenerwowa nia na myśl, że siedzisz tam sama i nie masz z kim szczerze po rozmawiać.

Czy całe Frognał Point oszalało na punkcie ślubu Maddie?

- Tak.

- Na pewno okropnie się czujesz...

- Tak, ale nikt tego nie zauważa, nawet mama.

Nagle wszyscy myślą wyłącznie o Maddie, mama zaprosiła na ślub nawet Faye i Treesa.

Chyba zawarli coś w rodzaju rozejmu.

Oczywiście ich przyjaźń już nigdy nie będzie taka jak dawniej, ale znowu rozma wiają...

- I to cię boli?

- Tak - odparła, nie do końca pewna, czy powinna się do tego przyznawać.

- Przecież Faye i Trees nie są niczemu winni, nie możesz obarczać ich odpowiedzialnością za zło, które wyrządził ci George!

Rita nie odpowiedziała.

Max przerwał milczenie, ponieważ każda minuta rozmowy sporo kosztowała, a on nie miał zbyt dużo pieniędzy.

- To naprawdę okropne, że wasze rodziny cierpią przez George'a, który tak cię zawiódł - rzekł.

- Kiedy wróci, wszyscy razem powinni skrócić mu kark.

- Chciałabym ci o czymś powiedzieć, ale przyrzeknij, że niko mu nie powtórzysz...

299 .

- Przyrzekam.

- Zaczął się gorączkowo zastanawiać, o co mo- że chodzić, bo głos Rity brzmiał bardzo poważnie.

- Widziałam Faye w ramionach Tadeusza Waliszewskiego...

- Co?

Tego starego człowieka z wioski?

- Tak.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Miała rozpuszczone włosy i wyglądała pięknie, jak młoda dziewczyna.

Teraz nie jestem w stanie spojrzeć jej w twarz,!

taką czuję do niej pogardę.

Myślisz, że niewierność jest dzie- dziczna?

Max zaśmiał się cicho.

- Nie.

- Jesteś zaszokowany?

- Zaskoczony, ale nie zaszokowany - odparł szczerze.

- To nic moja sprawa.

Ty także powinnaś przestać o tym myśleć.

Nie mo-żesz pozwolić, aby niewierność Faye zniszczyła twoją wiarę w mi łość.

Każdy człowiek jest inny.

- Wydaje mi się, że już nigdy nikogo nie pokocham...

Tym razem Max zwlekał z odpowiedzią.

Rita westchnęła.

- Nikomu nie ufam - dodała.

- Pewnego dnia zjawi się ktoś, kto pokocha cię tak mocno, że nie będziesz mogła wątpić w jego uczucie.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Jestem przekonany, że tak się stanie.

Uwierz mi.

- Kiedy?

- zapytała.

' W sercu Maksa natychmiast zapaliła się iskierka nadziei.

- Kiedy tego zapragniesz - odparł z wewnętrznym drżeniem.;

Zdawał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by wyznał jej mi- łość.

Jednak Rita była pewna, że zawsze będzie kochała George'a, a Max wiedział, że dopóki to się nie zmieni, w jej sercu nie będzie', miejsca na miłość do innego mężczyzny.

Rozdział dwudziesty drugi

Był piękny, słoneczny dzień, wprost wymarzony na ślub.

Je sienny wiatr łagodnie owiewał okolicę, lecz słońce nadal mocno grzało, jakby nie chciało poddać się nieuniknionej zmianie pór ro ku.

Agatha z radością poświęciła się organizacji ślubu i weselne go przyjęcia, dowodząc armią służby niczym energiczny generał.

Przed domem ustawiono kilka rzędów białych krzeseł, uformowa no też kwietną pergolę, pod którą George i Susan mieli złożyć małżeńską przysięgę.

Ojciec O'Bridie, irlandzki ksiądz z Dubli na, który przez ostatnie pięćdziesiąt osiem lat pełnił posługę ka płańską w Buenos Aires, zgodził się odprawić ceremonię, chociaż ani panna młoda, ani pan młody nie byli katolikami.

Ojciec O'Bridie miał słabość do alkoholu i zachęcony obietnicą dobrego trunku zgodziłby się połączyć węzłem małżeńskim kogokolwiek, oczywiście pod warunkiem, że utwierdziłoby to wiarę w Jedyne go Boga.

Agatha zaplanowała ślub na rano, w nadziei, że stary Ir landczyk nie zdąży się wcześniej upić.

Dolores i Agustina przez dwa tygodnie zastanawiały się, jakie desery przygotować na lunch, który z każdym dniem coraz bardziej przypominał bankiet.

Gauczowie zarznęli trzy krowy na barbecue.

Agatha rozesała zaproszenia do wszystkich przyjaciół, których było naprawdę dużo, Podziela też, że zaproszeni przywiozą swoich przyjaciół i że na .

przyjęciu zjawia się także nieoczekiwani goście, bo taki zwyczaj panował w Argentynie.

Susan podała jej nazwiska osób, które!

chciała widzieć na swoim ślubie, natomiast George nie miał tu jeszcze żadnych znajomych.

;

Agatha i Jose Antonio oniemieli ze zdziwienia, kiedy George i Susan poinformowali ich o swoich planach.

Agatha nie oczekiwała, że siostrzeniec wróci do Anglii i ożeni się z Ritą, ale nie przyszło jej do głowy, że mógłby zakochać się w Susan - był nie- zwykle przystojnym młodym mężczyzną, Susan zaś była...

Cóż, Susan była dość nieszczęśliwie oszpecona.

Agatha rozumiałaby go lepiej, gdyby stracił głowę i serce dla jakiejś ślicznej Argentynki. Jose Antonio poklepał George'a po plecach z takim rozmachem, że ten prawie się zakrzusił.

Wreszcie pojął niechęć młodego człowieka do nawiązania znajomości z którąś z dziewczyn w Jesus Maria i z ulgą stwierdził, że siostrzeniec żony jest normalnym, zdrowym mężczyzną.

Susan była pełną energii, inteligentną kobietą, posiadała chłodny urok i stanowiła dla Jose Antonia taką samą tajemnicę, jak w dniu, kiedy ją poznał.

Ani on, ani jego żona nadal nie wiedzieli, jaka tajemnica wiąże się z jej bliźnią.

Jose Antonio nie;

potrafił w pełni docenić jasną, północną urodę Susan i jej smukłą, prawie chłopięcą figurę, ponieważ gustował w krągłych kobietach, rozumiał jednak, jak atrakcyjna może być dla mężczyzny starsza od niego, pewna siebie kobieta.

Nie miał cienia wątpliwości, że Susan jest równie sprawną organizatorką jak Agatha, okazała się jednak na tyle mądra i wyrozumiała, że pozwoliła zająć się wszystkim dyszącej chęcią działania Agacie.

Jose Antonio wyremontował i przygotował dla młodych znajdujących się na terenie jego majątku śliczny biały domek z oszałamiającym widokiem na równinę i wzgórze.

George chciał nadal pracować na farmie, a Susan - co najmniej nie ciągnęło do miasta.

Pokochała spokojne życie na wsi i łagodnych, cichych ludzi, z którymi miała do czynienia.

Tonito i Pia uwielbiali Susan, ona odwzajemniała ich uczucia, i prawie codziennie jeździła z nimi konno lub wymyślała gry i zabawy;

zabawy dla nich i ich przyjaciół.

Już pierwszego dnia jej pobytu na.

ranczu zapytali ją, dlaczego potowa jej twarzy jest "zepsuta", a ona :j z uśmiechem odpowiedziała, że została poraniona przez lwa w Afryce.

Dzieci zrobili wielkie oczy i natychmiast zasypały Su

san kolejnymi pytaniami, zaciekawione, wręcz zafascynowane myślą o tak krwawym wydarzeniu.

Czy lew chciał ją pożreć?

W ja ki sposób zdołała uciec?

Czy bardzo się bała?

Odpowiadała na wszystkie pytania cierpliwie i z wielkim poczuciem humoru, żaiując, że uwagi dorosłych nie da się równie łatwo odwrócić.

Cza sami George widział, jak obserwowała dzieci ze smutnym, czułym uśmiechem - brał ją wtedy za rękę i lekko ścisnął.

Nie musiał nic mówić, a ona nie czuła się w obowiązku niczego wyjaśniać, ponie waż doskonale rozumieli się bez stów.

Pragnienie posiadania dzie ci trzepotało w piersi Susan niczym mały, uwięziony w klatce ko liber o kruchych, rozedrganych skrzydełkach.

Kładła dłoń na sercu, aby je uspokoić, i powtarzała sobie, że musi być cierpliwa, potem przenosiła spojrzenie na George'a i nadzieja zapalała się w jej oczach, które na wszystkich poza nim patrzyły chłodno i z dystansem.

Teraz siedziała przed lustrem, ubrana w prostą suknię koloru kości słoniowej, czekając, aż fryzjer skończy upinać jej włosy na czubku głowy.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie postąpiła głupio, wybierając sukienkę, a nie kostium, który może byłby bar dziej odpowiedni dla kobiety w jej wieku.

Czuła się nieswojo w ro li panny młodej.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest w jakiś sposób skażona, ponieważ była już wcześniej zaręczona i nosiła dziecko.

Chwilami przychodziło jej do głowy, że jest zwyczajnie zbyt dojrzała na taki dziewczęcy ślub.

Ceremonia ślubu cywilne go była o wiele mniej skomplikowana - nikt nie obrzucał ich kon fetti, a jej za całą ozdobę wystarczył bukiet kwiatów.

Byli więc już małżonkami w oczach prawa, lecz George nalegał, aby przysięgli sobie miłość przed Bogiem, bo dla niego było to w gruncie rzeczy ważniejsze.

Susan usłyszała dobiegające z dołu ożywione głosy i domyśliła 51?, że przyjechał ojciec O'Bridie.

- Chwała niech będzie Panu, że podarował młodej parze tak Piękny, słoneczny ranek!

- wykrzyknął kapłan z wyraźnym irlandzkim akcentem.

Chociaż spędził w Argentynie większą część życia, wciąż fatalnie mówił po hiszpańsku.

- Język Boga jest uniwersalny i zrozumiały dla wszystkich - odpowiadał na pytania tych, którzy chcieli się dowiedzieć, jak to możliwe, że po tylu latach?

tach nie nauczył się języka obowiązującego w kraju, gdzie mieszkał;

kał i pracował.

- A słowa miłości we wszystkich językach brzmi tak samo - dodawał świątobliwym tonem.

Jednak bez znajomości języka trudno było kupić jedzenie i pić listy, więc ojciec O'Bridie wiele razy musiał prosić przyjaciół aby pomogli mu w tłumaczeniu najprostszych zwrotów.

Na szczęście dzisiaj nie czekały go żadne komplikacje tego rodzaju - go;

spodarze spodziewali się, że odprawi ceremonię po angielsku, tak jak zawsze odprawiał msze i nabożeństwa w małym irlandzkim kościółku pod wezwaniem Wszystkich Świętych w Buenos Aires ponieważ większość obecnych doskonale władała angielskim i wręcz pochodziła z Wielkiej Brytanii.

Ojciec O'Bridie postanowił że łyknie sobie kieliszeczek i wygłosi kazanie, które na zawsze utkwi im w pamięci.

Jak większość duchownych, także i stary Irlandczyk uwielbiał dźwięk własnego głosu.

George wyszedł na zewnątrz, aby porozmawiać z przybywającymi gośćmi.

Miał na sobie lekki garnitur, lecz mimo tego cieszył się z chłodnego wiatru, ponieważ było mu gorąco ze zdenerwowania.

Znał niewiele osób, ale wszyscy uśmiechali się do niego i próbowali zamienić z nim chociaż parę słów - ceremonie ślubne ;

wszyscy wydobywały z ludzi ich najlepsze cechy.

George od paru tygodni w ogóle nie myślał o Ricie, lecz teraz przywołał z pamięci jej twarz.

Frogna Point wydawało mu się tak odległe, że chwilami wątpił, czy faktycznie istniało.

Cieszył się, że nie bierze ślubu z Susan w rodzinnej wiosce - wyobrażał sobie ogólne podniecenie i zamieszanie, jakie towarzyszyłoby ślubowi jego i Rity, pompatyczne kazanie wielbego Hammonda i rozradowane twarze znających go od dziecka sąsiadów.

Był szczęśliwy, że znajduje się w Argentynie i że nikt z jego najbliższych nie przyjechał na wesele, najbardziej zaś cieszyło go, że to Susan przygotowuje się teraz, aby złożyć przed Bogiem przysięgę, iż będzie kołochać go aż do śmierci.

Popatrzył na ciotkę Agathę, imponującą w pięknej błękitnej sukni, i nagle ogarnęło go uczucie szczerfl wdzięczności, że przyjechała do swego domu znękaną wojną róż bitką i uratowała go przed bezsensowną egzystencją w nadmojskiej wiosce, gdzie dusił się od pierwszego dnia po powrocie.

Gdyby nie ciotka Agatha, niewykluczone, że nigdy nie spotkałby

powtórnie Susan.



Pomyślał, że koniecznie musi podziękować jej za wszystko w swojej mowie.

Goście powoli zajmowali miejsca, a kwartet, który ciotka Aga tha wynajęła w Jesus Maria, zaczął grać.

Mocno zarumieniona twarz ojca O'Bridie przybrała wyraz powagi i uduchowienia, kiedy przeszedł u boku George'a między rzędami ławek do ołtarza, gdzie mieli czekać na pannę młodą.

Ernesto, jeden z gawców, którego George poprosił, aby był jego drużbą, stanął obok pana młodego i rzucił mu porozumiewawczy uśmiech.

- Powodzenia, gringo! - szepnął.

- Gdy żeniłem się z Martą, była smukła jak ołówek...

Kto mógł przewidzieć, że roztyje się jak krowa?

Ernesto lekko wzruszył ramionami i odwrócił się do kapłana, który obserwował, jak Susan powoli idzie przez trawnik, za nią zaś kroczą uroczyście odświętnie ubrani Pia i Tonito.

Serce George'a na chwilę przestało bić na widok ukochanej.

Wyglądała dziwnie krucho obok niedźwiedzioatego Jose Antonia, który zgodził się poprowadzić ją do ołtarza, zupełnie jak za chwycająca prostotą i smukłością lilia obok potężnego drzewa.

George miał wrażenie, że jego narzeczona płynie nad ziemią.

Blask słońca podkreślał elegancką barwę sukni, wiatr poruszał wpiętymi we włosy kwiatami.

Szła wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, ale jej uśmiech był nieśmiały, prawie zawstydzony. Mocno ścisnęła w rękę bukiet i patrzyła prosto przed siebie, podczas gdy Jose Antonio szeroko uśmiechał się do mijanych przyjaciół i znajomych.

Grany przez zespół utwór muzyczny za brzmiał melodramatycznym crescendo, gdy George i Susan spojrzeli sobie w oczy z całkowitym zrozumieniem, starając się po wstrzymać rozbawienie.

Stanęli przed ojcem O'Bridie.

George czuł wyraźną nutę zapachu konwalii w perfumach Susan, wyjątkowy, niepowtarzalny aromat jej skóry i myślał o chwili, gdy po raz pierwszy pocałował ją na pokładzie "Fortuny".

Muzyka ucichła, a wraz z nią szmer rozmów za plecami młodej Pary.

Ojciec O'Bridie wznosił ku górze przekrwione oczy i zaczął mówić.

Agatha odetchnęła z ulgą, że wypił tylko jeden kieliszek whisky, chociaż worki pod jego oczami były nabrzmięte i niebieskawosine.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj przed obliczem Boga, aby być świadkami przysięgi małżeńskiej złożonej przez tego mężczyznę;

i tę kobietę.

Podkreślam słowo "świadkami", gdyż właśnie temu zadaniu służy obecność was wszystkich, moi drodzy.

Naturalnie,!

przybyliście tu także po to, aby świętować i delektować się doskonałymi potrawami i napojami...

- Duchowny łakomie oblizał warzywa.

- Byłem w kuchni i możecie mi wierzyć, że czekają tam wszystkie smaczne przysmaki, mus dulce de leche, lody i beziki...

Susan lekko ścisnęła dłoń George'a.

Oboje czuli na karkach powiew wzbierającej wściekłości Agathy.

- Wracajmy jednak do najważniejszej sprawy - podjął ojciec O'Bridie.

- Tak, zgromadziliście się tutaj jako świadkowie ślubu George'a i Susan, i za chwilę usłyszycie, jak przysięgają sobie, że będą się kochać i szanować, dopóki śmierć ich nie rozłączy...

A

Kapłan otworzył stary, zniszczony modlitewnik, który trzymał w rękach, i zaczął czytać.

Agatha mogła znowu odetchnąć.

Mimo melodramatycznej muzyki, kiczowatego charakteru;

ogrodowej "kaplicy" z baldachimem z kwiatów i białymi ławkami mi oraz nieco podejrzanego entuzjazmu ojca O'Bridie, George;

i Susan byli głęboko poruszeni ceremonią i z ogromną powagą złożyli przysięgę małżeńską.

Nie miało dla nich znaczenia, z całego tłumu świadków znali zaledwie parę osób, ponieważ kiedy przed Bogiem składali obietnicę wiecznej miłości, i tak nie widzieli nikogo poza sobą.

Zniecierpliwiona Agatha pomyślała, że nie da ojcu O'Bridie ani kropli alkoholu więcej, bo nie dość, że chwiał się jak na pokładzie miotanego falami galeonu, to jeszcze mówił i mówił bez końca i bez sensu, zmięknęła jednak trochę, kiedy zobaczyła, jak Susan i George uszczęśliwieni rozmawiają z gośćmi i chwalił Pię oraz Tonita za doskonały występ.

Nagle uświadomiła sobie, że ojciec O'Bridie odegrał już swoją rolę, i to chyba jednak nie najgorzej, więc teraz mógł się upić do nieprzytomności, jeżeli takie miał życzenie.

Zupełnie zapomniała o nieszczęsnym księdzu, szczęśliwych młodych małżonkach i nawet własnych dzieciach na widok Do lores, która pojawiła się przed domem z tacą empanadas, ubrań w suknię z różowego szyfonu, podobną do tych, jakie wkładał:

prostytutki z Jesus Maria, aby zadowolić klientów o szczególnie wyrafinowanej wyobraźni.

Przez przezroczysty materiał dokładnie widać było obszerne białe majtasy starej służącej.

Agatha wpadła w popłoch, że Dolores też się upiła.

- Gdzie twój uniform?

- zapytała nerwowo.

Dolores uśmiechnęła się umalowanymi wargami i spojrzała na Agathę spod posklejanych tuszem rzęs.

- Pomyślałam, że sprawię seńorowi George'owi przyjemność, jeśli ładnie ubiorę się na jego ślub - odparła z dumą.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że wszyscy widzą twoje majtki?

- warknęła Agatha.

- Naprawdę?

- Kąciki różowych ust Dolores uniosły się w dziwnym uśmiešku.

Agatha drgnęła, zdumiona aroganckim tonem służącej.

- To nie jest odpowiedni strój - powiedziała twardo.

- Bądź tak uprzejma i jak najszybciej przebierz się w uniform...

Zanim Dolores zdążyła odpowiedzieć, obok obu kobiet wyrósł jak spod ziemi ojciec O'Bridie.

Spojrzenie jego zapuchniętych oczek o pożądliwym wyrazie skupiło się na różowym zjawisku, które w jego obecnym stanie kojarzyło mu się z Wenus Botticellego.

- Bogu niech będą dzięki!

- wykrzyknął, zataczając się do tyłu, a potem do przodu, wciąż na pokładzie nieistniejącego gałęzi.

Agatha doznała nagłego olśnienia.

- Agustina i pozostałe dziewczęta na pewno poradzą sobie z po daniem lunchu - zwróciła się do pokojówki.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zaopiekowała się ojcem O'Bridie, bo wydaje mi się, że słońce trochę mu zaszkodziło...

Zaprowadź go do ogrodu za domem i daj mu dużo wody do picia, dobrze?

Nie chciała bym, żeby się odwodnił...

Dolores rozpoznała łakomy błysk w oczach starego duchownego i bez wahania zdecydowała się spełnić prośbę Agathy.

Podawała jej tacę z empanadas, ujęła ojca O'Bridie za ramię i poprowadziła go w kierunku domu.

Z piersi Agathy wyrwało się westchnienie ulgi.

- Zdaje mi się, że upiekłam dwie pieczenie przy jednym ogniu...

- mruknęła do siebie.

Ugryzła kawałek empanada i z rozkoszą przymknęła oczy.

Do.

Agatha nie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Czyje ro wesele?

- indagowała señora.

- George'a Boltona, siostrzeńca Agathy, który przyjechał do nas z Anglii.

- Ach, tak...

Nie siedź beczynnie, Blanco, bo zaraz się tu ugo tuję!

Szofer z trudem wy dobył się z samochodu i obszedł go dookoła, aby otworzyć tylne drzwi.

Señora Velasco powoli wysiadła.

Jej kości były stare i kruche, a mięśnie przykurczone, nic więc dziwnego, że bolało ją całe ciało.

- Przyjechałam, żeby tu umrzeć - oznajmiła obojętnym tonem, biorąc laskę z ręki zlanego potem Blanco.

- Świetny pomysł!

- odparował jej syn.

Señora się uśmiechnęła.

Jej wargi rozciągnęły się w wąziuteńką linijkę czerwieni.

- Więc jednak nie straciłeś poczucia humoru, w każdym razie

nie do końca...

No, ale nie czas na żarty, naprawdę przyjechałam się z wami pożegnać...

Jose Antonio ściągnął brwi i zmierzył matkę czujnym spojrzeniem, nie wiedząc, jak ma zareagować.

- Nie zamierzam dramatyzować, bo nie znoszę hysterii - ciągnęła.

- Odejdę spokojnie, nie robiąc nikomu kłopotu.

Możesz po- i chować mnie w ogrodzie, pod tym eukaliptusem, gdzie zwykle, siadywałam, żeby się wypłakać, kiedy twój ojciec pokładał się, w Jesus Maria z innymi kobietami...

^

Agatha przewróciła oczami.

- Może jednak zjesz przygotowany przez Dolores lunch, zanim zdecydujesz się odejść?

- zapytała.

Pomyślała, że irytująca staruszka zostanie teraz u nich na wie le miesięcy.

- Nigdy nie sądziłam, że Dolores mnie przeżyje...

- westchnęła señoora Velasco.

- Jeszcze cię nie przeżyła - zauważył Jose Antonio.

- Ale przeżyje...

Cóż, cieszę się, że na koniec spróbuję jeszcze jej słynnych empanadas...

- Zrobiła ich całe mnóstwo - powiedziała Agatha, która chciała wrócić już do gości.

310

- Chętnie poznam młodą parę.

- W zamyśleniu pokiwała głową.

- Zaczynają wspólne życie, gdy tymczasem ja kończę swój pobyt na tym padole łez...

Zastanawiające, prawda?

Czy ksiądz jeszcze tu jest?

Powiedzcie mu, żeby na razie nie wracał do domu, możecie przecież za jednym zamachem urządzić pogrzeb...

Powoli obeszl dom.

Señoora Velasco przy każdym kroku krzywiła się i jęczała, odepchnęła jednak rękę syna, gdy ten próbował ująć ją pod ramię.

- Będziesz mnie trzymał, kiedy umrę!

- warknęła.

- Dopóki żyję, zamierzam chodzić o własnych siłach.

Nie jestem kaleką, mój drogi...

Goście rozstąpili się przed nią, czując odór śmierci w wydobywającym się z jej ust powietrzu.

Przeszła między nimi, nie uśmiechając się do nikogo.

W końcu Jose Antonio zatrzymał się przed George'em i Susan, którzy rozmawiali z Pią i Tonitem.

Dzieci cofnęły się, przerażone widokiem brzydkiej starej kobiety, która na tychmiast skojarzyła im się z czarownicą z bajki, i schowały się za spódnicą panny młodej, skąd co jakiś czas rzuciły trwożliwe spojrzenia na przybyłą.

Señoora Velasco podniosła oczy i skupiła spojrzenie na George'u.

- Co za przystojny młody człowiek!

- powiedziała doskonałym angielskim.

- Kim jest szczęśliwa panna młoda?

Odwróciła się do Susan i zamrugła ze zdziwienia.

- Dobry Boże, co stało się z twoją twarzą, dziewczyno?!

- wy krzyknęła z brutalną szczerością.

Przez tłum gości przebiegł szmer oburzenia.

Susan wyprosto wała się, lecz lodowaty uśmiech ani na chwilę nie znikł z jej twarzy.

Czuła, jak kryjące się za nią dzieci zbierają siły, aby stanąć w jej obronie i opowiedzieć historię o lwie.

- Byłam w Afryce i zostałam zaatakowana przez lwa - odparła nonszalancko.

- Przez lwa?

- powtórzyła zbita z tropu staruszka.

- Przez bardzo dużego lwa.

Gdyby nie przewodnik, który trzy mał w ręku gotową do strzału broń, ta ogromna bestia pożarła by mnie na kolację.

- Susan pochwyliła spojrzenie George'a i uśmiechnęła się triumfalnie.

Señora Velasco odwróciła się do syna.

?/7 .

- Zaprowadź mnie do mojego pokoju, podróż bardzo mnie zmęczyła.

I przynieś mi talerz empanadas<sup>1</sup>.

A jeśli chodzi o ciebie, dziewczyno, to powinnaś nosić tę bliznę z taką dumą, jak order za odwagę!

Jak order za odwagę, moja droga!

Patrząc za powoli oddalającą się starszą panią, Susan zdała sobie nagle sprawę, że oto bez trudu pokonała kolejną przeszkodę.

Blizna nie stanowiła już dla niej problemu.

Przesunęła palcami po policzku.

Señora Velasco miała rację - Susan powinna przestać wstydzić się swego wyglądu i zacząć chodzić z wysoko podniesioną głową.

Młoda kobieta pochyliła się i serdecznie uściskała dzie ci.

Pia i Tonito nie mieli pojęcia, że ich przyjaciółka bez słów dzie kuje im za historię o lwie.

Gdyby nie ich niewinne pytania, nigdy by jej nie wymyśliła.

#### Rozdział dwudziesty trzeci

Dużo później, kiedy ostatni goście udali się na spoczynek i ma ły lampiony, które Agatha kazała porozwieszać w ogrodzie, roz świeciły gęstą ciemność, George i Susan poszli do swojego pokoju, znużeni niekończącymi się rozmowami i tańcami.

Następnego dnia mieli wyjechać do Mar del Pląta - przyjaciel Jose Antonia udostępnił im swój stojący nad samym brzegiem morza dom.

Pla nowali spędzić tam parę tygodni, a potem wrócić do Las DOS Vizcachas i normalnego życia.

Na piętrze Jose Antonio zapukał do drzwi pokoju matki.

Nie odpowiedziała, co wydało mu się dziwne, ponieważ spodziewał się usłyszeć wydany ostrym tonem rozkaz, żeby zostawić ją w pokoju albo wejść.

Przez szparę pod drzwiami sączył się ciężki odór śmierci.

Jose Antonio skrzywił się z obrzydzeniem.

Nagle przy szło mu do głowy, że może matka tym razem rzeczywiście dotrzy mała słowa i umarła.

Ostrożnie wszedł do środka.

Światło małej lampki na nocnym stoliku wydobywało z mroku woskowe rysy starej kobiety.

Leżała na plecach, z ustami otwartymi w niemym krzyku.



Jose Antonio niechętnie zbliżył się do łóżka.

Nie czuł nic, ani smutku, ani ulgi.

Nawet w dzieciństwie nie darzył matki szczególnie gorącym uczuciem, trudno powiedzieć, aby w ogóle był do niej przywiązany.

Nagle zauważył do połowy zjedzony em?7?

panada, który wciąż ścisnęła w dłoni, i pianę w kąciakach warg, Musiała się zadławić słynnym przysmakiem Dolores.

Przez głowę Jose Antonio przemknęła myśl, że może gdyby nie była tak ła koma, żyłaby jeszcze kilka lat.

Agatha weszła do sypialni teściowej i przykryła zwłoki prze-' ścieradłem.

Czuła, że powinna podwiązać dolną szczękę, żeby za mknąć groteskowo rozdziawione usta, ale nie mogła się na to zdo być.

Wystarczy, że musiała patrzeć na to okropne, martwe ciało...

Otworzyła okno i zapaliła świecę, nie tyle z szacunku, co z chęci;) pozbycia się nieznośnego smrodu, potem zaś szybko wyszła z po-1 koju, wstrząsając się ze strachu na myśl o tym, że mogłaby zoba-i czyć ducha señory Velasco.

I

Jose Antonio i Agatha w milczeniu rozebrali się i weszli do łóż-1 ka.

Nagle Agatha przypomniała sobie o Dolores i ojcu O'Bridie, których nie widziała od południa, kiedy to wysłała ich do ogrodu, I

- Jose Antonio...

- szepnęła tak cicho, jakby bała się, że śmierć wciąż czai się w pobliżu, j

- O co chodzi, Gorda?

- wymamrotał niewyraźnie.

- Staram się 3 zasnąć...

- W południe wysłałam ojca O'Bridie i Dolores do ogrodu, i później już ich nie widziałam, a ty?

i Jose Antonio się zaśmiał, j

- Ja także nie...

I

- Co mam zrobić?

,

- Nic, zostaw ich w spokoju.

Kiedy ojciec O'Bridie ocknie się j rano, przerazi się, jeśli Dolores nadal z nim jest...

;

- Może zostawiła go, gdy zasnął, i poszła do swojego pokoju - ' powiedziała Agatha z nadzieją w głosie.

;

- Może, ale to trochę dziwne, że nie pomogła dziewczętom sprzątnąć..

|

- O, mój Boże!

- jęknęła Agatha.

- Ta kobieta nie jest przy zdrowych zmysłach, słowo daję!

Nie wydaje ci się, że lepiej by by-, ło ją zwolnić?

;

- W żadnym razie!

- Jose Antonio parsknął śmiechem.

- Ro bi stanowczo zbyt dobre empanadas\

- Jednym z nich udławiła się twoja matka - poważnie przypo mniała mu Agatha.

- Otóż to!

- odparł Jose Antonio i przewrócił się na drugi bok.

- Dolores zostaje z nami!

Następnego ranka George i Susan pojawili się na werandzie za rumienieni i uśmiechnięci.

Agatha i Jose Antonio jedli już śnia danie razem z dziećmi, które na widok młodej pary z radosnym piskiem poderwały się z krzesel.

Agatha, która uważała, że przed dziećmi nie należy ukrywać prawdy o śmierci, powiedziała im o odejściu babki i z zaskoczeniem zmarszczyła brwi, kiedy Pia i Tonito zgodnie westchnęli z ulgą i powiedzieli szczerze, że señora Velasco była potwornie stara i brzydka.

George i Susan okaza li zmarłej więcej szacunku, chociaż żadnemu z nich nie przyszło do głowy nic miłego, co mogliby o niej powiedzieć.

- Babcia nadal jest w domu - oznajmił Tonito, którego oczy błyszcząły z podniecenia.

- Jej ciało spoczywa w pokoju na górze - dodała niewyraźnie Pia, przełykając kęs francuskiego rogalika.

- Pochowamy ją w ogrodzie, żeby robaki mogły zjeść całe zwłoki...

Agatha miała już interweniować, kiedy w drzwiach stanął bla dy ojciec O'Bridie.

- Dzień dobry księdzu!

- przemówił Tonito, doskonale imitu jąc irlandzki akcent, i parsknął śmiechem.

Ojciec O'Bridie poruszał się niepewnie, a jego oczy były jesz cze bardziej zaczerwienione niż poprzedniego dnia.

- Dobrze się ojciec czuje?

- zagadnęła Agatha, badając twarz przybyłego uważnym spojrzeniem.

- Wczoraj był ojciec w nie naj lepszym stanie, pewnie z powodu upału...

- Och, tak!

My, Irlandczycy, źle znosimy tak mocne słońce.

- Duchowny nalał sobie filiżankę mocnej kawy, wsypał do niej trzy łyżeczki cukru i wypił.

- Mam nadzieję, że Dolores dobrze się ojcem zaopiekowała...

- drążyła Agatha.

- Tak, tak, oczywiście!

Bardzo dziękuję!

- Dziś rano w ogóle się nie pojawiła, więc biedna Agustina mu siała sama przygotować śniadanie.

- Agatha dołała księdzu kawy.

- Kiedy zje ojciec śniadanie, będziemy musieli prosić go o jeszcze Jedną przysługę...

Ojciec O'Bridie podniósł wzrok, wyraźnie zaniepokojony.

?7^ .

- W pokoju na piętrze znajduje się ciało matki Jose Antonia, Biedaczka umarła w nocy, zakrztusita się, jedząc empanada...

]

- Jedząc empanada<sup>^</sup> - Stary Irlandczyk pośpiesznie się przeżegnał.

- Tak jest, specjalność Dolores...

;

- Dzwoniliśmy już do lekarza, ale dziś jest niedziela, więc nie;

szczęsny człowiek chciałby spokojnie zjeść śniadanie - dodał Jaj se Antonio.

- Powiedziałem mu, żeby się nie śpieszył, bo przecie moja matka nigdzie się nie wybiera, prawda?

,

- Jej dusza znalazła już schronienie u Boga - rzekł ojciec O'Bridie, wielce zadowolony ze zmiany tematu, s.

- Nie wiadomo tylko, czy Bóg zdoła z nią wytrzymać - burić

neta Agatha.

- Bóg kocha wszystkie istoty, które stworzył - skomentował pobożnie duchowny.

Agatha prychnęła niedowierzająco.

- A jak czują się dzisiaj państwo Boltonowie?

- zagadną księdza, zwracając się do George'a i Susan, którzy słuchali w milczeniu, zdumieni, że tyle wydarzeń miało miejsce w dniu ich ślu!

bu, zupełnie bez ich udziału i wiedzy.

W tym momencie na taras wyszła Dolores, niosąc duży owalny półmisek ze świeżo upieczonymi pasztecikami.

Znowu ubrana była na czarno, a włosy ściągnęła w ciasny koczek na karku.

Niej uśmiechała się i nie patrzyła na księdza.

Przywitawszy się, postawiła półmisek na środku stołu i wyprostowała się z godnością. Wszyscy przyglądali jej się ze zdziwieniem.

- Dobrze się czujesz?

- odezwała się wreszcie Agatha.

Dolores skinęła głową.

- Ile osób będzie na lunchu?

- zapytała, nerwowo zacierając

ręce.

- Señor George i señora Susan wyjeżdżają o jedenastej, więc b

dziemy tylko my i ojciec O'Bridie...

Duchowny z brzękiem postawił filiżankę na spodeczku.

- Obawiam się, że przed lunchem będę musiał opuścić państwa dom.

- Uśmiechnął się sztywno.

- Praca dla Boga nie może czekać J

- Oczywiście - odparła Agatha.

- Każę Gonzalowi odwiedzić Ojca na stację.

Dopiero wtedy Dolores spojrzała na księdza.

Przez chwilę przy stole panowała dwuznaczna cisza, wreszcie stara panna westchnęła ciężko, opuściła ręce i odezwała się po hiszpańsku, głosem na brzmiałym od emocji.

- Jestem pobożną kobietą, padre O'Bridie...

Wszystko wskazywało na to, że Irlandczyk zrozumiał, o co jej chodzi, bo uniósł prawą rękę i wykonał znak krzyża nad głową Dolores.

- Niech Bóg panią błogosławi i przebaczy pani jej winy tak, jak przebacza tym, którzy zawinili przeciwko pani...

Dolores potrząsnęła głową i zmarszczyła brwi.

Nie rozumiała ani słowa.

Gdy Agatha szybko przetłumaczyła słowa księdza, słuchając znowu wyprostowała się dumnie i z pogardliwym prychnięciem weszła do domu.

Jose Antonio zaśmiał się i posmarował bułeczkę masłem.

Dolores najwyraźniej wróciła już do równowagi, więc wszystko było w porządku.

Agatha miała na ten temat inne zdanie - wiedziała, że dopóki w jej domu znajduje się rozkładające się ciało teściowej, nic nie jest w porządku.

Niedługo potem Susan i George wyruszyli w drogę do Mar del Plata, a Gonzalo odwiózł na stację ojca O'Bridie.

Dolores dąsała się w kuchni, podobnie jak przez ostatnie czterdzieści lat, Agustina zaś zaczęła nakrywać stół do lunchu.

Jose Antonio zajął się organizowaniem pogrzebu matki, ponieważ Agatha nie chciała mieć z tym nic wspólnego i schroniła się w swojej sypialni, skarżąc się na ból głowy.

Pia i Tonito z zafascynowaniem podglądali, jak zwłoki babki zostają złożone w trumnie, którą następnie za plombowano.

Tego samego dnia wieczorem ogrodnik wykopał dziurę w ziemi pod wskazanym przez zmarłą eukaliptusem, a du chowny z Jesus Maria odczytał krótką modlitwę nad grobem.

W przeciwieństwie do ojca O'Bridie ten ksiądz był ortodoksyjnym katolikiem i traktował swoje obowiązki bardzo poważnie.

Agatha, którą nadal bolała głowa, była poruszona jego pokorą i gorliwą pobożnością.

Czuła, że wiara znowu budzi się w jej sercu, i z pochyloną głową szczerze modliła się za teściową.

Kiedy po zakończeniu skromnej ceremonii Pia i Tonito próbowali zabrać psy na spacer, zwierzęta nie usłuchały - z podkulonymi ogonami.

nami i położonymi po sobie uszami pobiegły do domu.

Nie lubiły seńory Velasco za jej życia i nawet po śmierci budziła w nich niepokój.

Susan i George delectowali się samotnością we dwoje, cudów-;

na ciszą i spokojem.

Piękny biały bungalow rzeczywiście stał nad samym morzem, a wąska piaszczysta ścieżka prowadziła wprost z małego ogródka na pustą plażę.

Jesień zagościła tu już na stałe, wysuszając liście na drzewach i kwiaty na trawnikach, lecz mimo to wszędzie rozbrzmiewał śpiew ptaków i granie cykad.

Od mo rza ciągnął zimny wiatr, więc wieczorami musieli rozpalać ogień w kominku i blask roztańczonych płomieni nadawał wnętrzu bar dzo romantyczny wygląd.

Zapach morskiej soli, dymu i wyjątko wy aromat jesieni napełniały ich serca dziwną tęsknotą.

Spacero wali po plaży, patrząc, jak zachodzące słońce różowi powierzchnię wody, i wspominali, że kiedyś w podobny sposób spędzali czas w Urugwaju.

Wtedy George boleśnie odczuł odmowę Susan, te- ' raz mieli przed sobą całe życie, aby kochać się i poznawać.

Pewnego popołudnia, kiedy Susan leżała na tarasie i czytała książkę, George sam zszedł na plażę.

Nagle opadły go wspomnie nia Frognał Point, tak żywe, że wyraźnie czuł zapach ozonu i sły- j szat żałosne krzyki szybujących wraz z wiatrem mew.

Usiadł na piasku, oparł łokcie na kolanach i utkwiał wzrok w oceanie.

Od !

wielu miesięcy prawie w ogóle nie myślał o domu, uczucie szczę- j ścia przesłoniło przeszłość grubą zasłoną, lecz teraz, słuchając szumu załamujących się przy plaży fal i czując piasek między pal cami stóp, przypomniał sobie o Ricie.

Pomyślał o Hannie i ptakach, które karmiła w swoim ogrodzie, a także o Megababci i jej sakiewce z kryształami, i zaśmiał się ser decznie.

Wspominał matkę, jej miłość do sztuki i muzyki, oraz oj- t ca, który niewiele mówił i darzył orzechowe drzewa takim uczu- ciem, jakie powinien był ofiarować żonie.

Geoffrey wrócił już z wojny...

George zaczął się zastanawiać, czy mąż jego siostry tak że zmienił się pod wpływem wojennych przeżyć.



Czy dręczyły go wyrzuty sumienia?

Czy Alice rozumiała Geoffreya tak jak Susan Jego?

George nie miał już nocnych koszmarów, ale często myślał o zabitych przyjaciółach.

Czasami widział ich w dziwnych forma

cjach chmur na niebie lub w odbiciu obłoku mgły w jeziorze.

Ja mie Cordell, Rat Bridges, Lorrie Hampton...

Jego obowiązkiem było zachować pamięć o nich i znosić głos sumienia, który wciąż podpowiadał mu, że on także powinien być zginąć.

Co by robili, gdyby przeżyli wojnę?

Już coraz rzadziej śnił na jawie o potyczkach wśród chmur, niebezpieczeństwie, adrenalinie, strachu, po czuciu przynależności i braterstwa, a kiedy otrząsał się ze wspomnień, rozglądał się dookoła i dziękował Bogu, że żyje i dotyka nogami ziemi.

Podniósł wzrok, zobaczył zmierzającą ku niemu Susan i pomańczał do niej.

Miała na sobie długi kremowy rozpinany sweter, który otuliła się, aby nie czuć powiewów ostrego wiatru, a włosy fałdami opadały jej na ramiona.

Usiadła obok niego.

- O czym myślałaś?

- Wspominałem.

- Więc wspomnienia znalazły cię i tutaj, tak?

- Chyba tak...

- To nieuniknione - powiedziała z lekkim uśmiechem.

- Wspomnienia zawsze nas odnajdują, nie można ukryć się przed nimi raz na zawsze...

George pocałował ją w skroń.

- Cieszę się, że jestem tu z tobą - rzekł.

- To jedyne miejsce na świecie, gdzie teraz chcę być...

- A ja cieszę się, że to słyszę.

- Wszystko przez ten odgłos fal, uderzających o plażę, i bezmiar oceanu...

- Przypominają ci Frognał Point?

- Tak.

- Nadal niepokoisz się o Ritę?

- zapytała po chwili milczenia.

- Myślę o niej, tak, ale nie niepokoję się.

Jestem pewny, że po stąpiłem właściwie.

- To dobrze.

- Nie wiem, dlaczego nagle ogarnęła mnie tęsknota.

Nie za ludźmi, ale za miejscem...

- Kiedyś musisz mnie tam zabrać.

- Przytuliła się do jego bo ku.

- Bardzo chciałabym poznać twoją rodzinę i zobaczyć farmę, na której dorastałeś.

To typowe angielskie gospodarstwo, prawda?

Zaśmiał się cicho.

- Och, na pewno zachwyciłabyś się wybrzeżem Devonu, tam tejszym krajobrazem, który przypomina patchwork uszyty z ma-1 łych zielonych pól!

Między tymi polami biegną wąskie, wijące się ścieżki, obramowane wysokimi, gęstymi żywopłotami.

W lesicl nad Elvestree...

- Gdzie mieszka Wiedźma...

- wtrąciła Susan.

- Tak, nad Elvestree, gdzie mieszka Wiedźma, dzwonki roś' na tak gęsto, że porośnięte nimi polany przypominają jeziora, Zapach kwiatów jest oszałamiający.

Wszędzie mnóstwo ptaków,;

bo Hanna, matka Rity, oraz jej matka, Wiedźma z Elvestree, do-, żywiają je przez całą zimę.

Czasami wiatr jest tak mocny, że kie dy idzie się szczytem klifu, trzeba uważać, by nie zdmuchnął.

W dole na plaży piasek jest gruby i ziarnisty.

Kiedy w dzieciń stwie budowaliśmy z niego zamki, trzymał się sztywno jak ce ment, oczywiście dopóki fale nie zmyły naszych budowli.

Nie co dalej od brzegu znajduje się mnóstwo skalnych zagłębień, w których zbiera się woda.

Zawsze pełno jest w nich krabów j i innych skorupiaków.

Często zbieraliśmy muszle i wymienia-1 liśmy je w szkole.

Sama wioska jest urocza, z malutkim sklepi";

kiem, szkołą i starym kościołem.

Po świeże mięso i ryby jeździ-^ my do miasta.

Dzieci traktują takie sprawy jako oczywistość,!

coś, co im się należy, ale kiedy zwiedziłem trochę świata, zro- zumiałem, jakie miałem szczęście, dorastając w tak prostych warunkach...

i

- Brzmi wspaniale - westchnęła Susan.

- Nie mogę się już do-ą czekać, kiedy zobaczę twoją wioskę.

- Pojedziemy tam kiedyś razem z naszymi dziećmi, żebyśmy mógł nauczyć je wszystkiego, co sam robiłem...

Susan uśmiechnęła się z rozczuleniem, wyobrażając sobie dzie-

ci George'a i swoje.

^

- Wybierzemy się na piknik w wietrzny dzień i będziemy jeść kanapki z piaskiem w środku - dodał z entuzjazmem, j

- Wyobrażam sobie, jaki to przysmak!

- Nawet kiedy zapakuje się je bardzo szczelnie, piasek i tak ja-1 koś dostaje się pod papier - George się roześmiał.

- Ale dzięki te mu kanapki są naprawdę chrupiące!

- Mówisz, że dusiłeś się we Frognał Point, lecz w gruncie rze czy kochasz to miejsce...

- Wiem.

Muszę tylko pobyć trochę z dala od Devonu, to wszystko.

Frognał Point na pewno się nie zmieni, będzie czekać na mnie, kiedy zechcę tam wrócić.

Po dwóch tygodniach młodzi wrócili do Las DOS Yizcachas i zamieszkali w białym domu z zielonym dachem i cienistą weran dą.

Susan zajęła się sadzeniem pnących roślin pod ścianami i za kładaniem okiennic, a George pracą na farmie.

Agatha "wypoży czyła" Susan łagodnego Gonzalo, który znał wszystkie tajemnice przyrody, poradziła jej też, aby zatrudniła do sprzątnia Marcelę, młodą kuzynkę Agustiny.

Jose Antonio przysłał kilku gauczów, którzy pomalowali ściany domu i naprawili przeciekający dach.

Susan urządziła wnętrze skromnie i ze smakiem.

Niektóre meble zamówiła u rzemieślników z Jesus Maria, wykorzystała też wszystkie prezenty ślubne, przede wszystkim piękną porcelanę i pościel, za które oboje z George'em byli szczerze wdzięczni go ściom.

Susan bardzo cieszyła się swoim nowym domem.

Był chłodny, lecz przytulny, elegancki, ale nie ekstrawagancki, a z okien rozciągał się cudowny widok na dalekie, przesłonięte niebieskawą mgiełką wzgórze.

Najważniejsze było jednak to, że sama umeblowała dom, w którym było dość miejsca dla niej, George'a oraz gromadki dzieci.

Nie potrafiła wyobrazić sobie lepszego miejsca do wychowania dzieci - powietrze było tu krystalicznie czyste, równina piękna i bezpieczna, a farma duża i pełna zwie rząt.

Na dzieci czekały kucyki, psy, z którymi można było bawić się bez końca, i preriowe zające, skaczące wśród wysokiej trawy.

Ranczo Las DOS Vizcachas wydawało się prawdziwym rajem dla dzieci.

Susan miała nadzieję, że niedługo urodzi im się maleństwo.

Na myśl o tym serce znowu biło jej szybciej, podobne do strwożonego kolibra, który macha skrzydełkami, usiłując wyrwać się na wolność.

Niepostrzeżenie minęło piętnaście miesięcy.

Zima była ostra i ponura, wichury nawiedzały równiny, przyginając do ziemi wysoke trawy i zapędzając zające do norek.

Susan zapalała ogień .

w kominku i otulała się ciepłymi swetrami i kurtkami.

Każdego miesiąca czekała na oznaki ciąży i w tajemnicy roniła łzy rozczarowania.

George często się z nią kochał.

Podziwiał piękno jej ciała, a migoczący w kominku ogień przeistaczał ich sypialnię w romantyczny zakątek pośrodku równiny.

Wiatr wył i postukiwał oknami, a oni kochali się w przytulnym ciepłym swego małżeńskiego- j go łóżka.

Czasami w ciągu dnia, kiedy George był w pracy, Susan zagłębiała się do małych pokojków i wyobrażała sobie, jak urządzi je dla swoich dzieci.

Myślała o drewnianym łóżeczku, karuzeli ze zwierzątkami wygrywającej kołysanki i o zasłonach z grubego materiału, które rano chroniłyby wnętrze przed dostępem jasnych promieni słońca.

Pragnęła mieć dziecko, które mogłaby obdarzyć!

miłością i którym mogłaby się opiekować, i tęsknota ta powoli zaczęła ją dławić.

Tonito i Pia, których obecność kiedyś kołysała poczucie niespełnienia, teraz przypominali jej o tym, czego jej brakowało.

Przyglądała się ich zabawom i pozwalała, aby tulił się do niej niczym małe niedźwiadki, musiała jednak starannie skrywać swój ból, co bynajmniej nie było łatwe.

Któregoś dnia wieczorem, gdy leżała w objęciach George'a, słuchając jego opowieści o Frogal Point, nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Był podstępny i najprawdopodobniej nierozważny, biorąc pod uwagę okoliczności, ale ona była gotowa na wszystko, j

- Opowiedz mi o Wiedźmie z Elvestree, kochany - powieś?!

działa.

?

George zaśmiał się i Susan poczuła, jak śmiech wibruje w głębi;

bi jego klatki piersiowej, na której oparła policzek.

- O sławnej pani Megalith...

- mruknął.

- Czy ona naprawdę ma magiczną moc?

- Nie wiem, nie można jednak zaprzeczyć, że w Elvestree dzieją się różne dziwne rzeczy.

Ignorowanie tego byłoby zwykłą głw potą.

j

- Jakie rzeczy?

- Susan poczuła, jak krople potu zbierają si<sup>^</sup> u nasady jej nosa.

j Bała się, że George odgadnie powód jej zainteresowania.

H

- Pani Megalith jest uzdrowicielką...

- George ściągnął brw

usiłując przypomnieć sobie krążące w wiosce historie.

- Podobno wyleczyła brata wielbnego Hammonda, który chorował na raka, i dokonała tego, dysponując tylko fotografią, a więc na odległość.

Ten człowiek mieszka w Bristolu i był wtedy zbyt słaby, żeby do niej przyjechać, dlatego poprosiła go o zdjęcie.

Nie wiem, czy przypisać to szczęściu, czy zbiegowi okoliczności, ale on żyje do dziś i ma się całkiem nieźle, w każdym razie tak słyszałem.

Wie lebny Hammond nie przyjął do wiadomości, że pani Megalith ule czyła jego brata, lecz od tamtej pory strasznie się jej boi.

Jej działania podważają chyba jego wiarę, chociaż w gruncie rzeczy jest to nielogiczne, bo przecież sam Chrystus był uzdrowicielem, prawda?

- I zrobiła to poprzez zdjęcie?

- Susan nie zamierzała dopuścić, aby George zmienił temat rozmowy.

- Tak, niczego więcej nie potrzebowała.

Często robi takie rze czy.

Rita mówiła mi, że na ścianach jednego pokoju w domu bab ki wisi mnóstwo zdjęć, pod którymi staruszka pali świece, żeby pomóc potrzebującym na odległość.

Pani Megalith była kiedyś w Indiach i przywiozła stamtąd dziwne zwyczaje.

Twierdzi na przykład, że każdy człowiek ma pole energetyczne, które można zobaczyć na fotografii.

Ze słów Rity wynikało, że jej babcia ma sporo sukcesów.

Wyleczyła Hannę z bólów kręgosłupa, spowodowanych chyba ciągłym schylaniem się przy pracy w ogrodzie i ob serwacji ptaków, mojej matce pomogła pozbyć się bólu ręki, a oj cu zwalczać astmę.

Mój staruszek zawsze bardzo źle się czuje w czasie zbiorów, bo wtedy wszędzie jest mnóstwo pyłu i kurzu.

Ojciec nie może się nachwalić pani Megalith, częściowo chyba dlatego, że ona jedna naprawdę interesuje się jego ukochanymi orzechami...

- Lubię, kiedy mówisz o ojcu.

Jesteście sobie bliscy?

- Dopiero teraz Susan odwróciła uwagę George'a od osoby, która najbarziej ją interesowała.

- Na tyle, na ile to możliwe.

Mój ojciec jest człowiekiem, który żyje we własnym świecie.

Właściwie nie znam go dobrze...

Nie wiele mówi, ale jeśli sędzić po zmarszczkach na jego twarzy, która trochę przypomina pień orzecha, dużo myśli i czuje.

Bardzo go kocham...



Susan nie słuchała zbyt uważnie, lecz George niczego nie po dejrzał.

Następnego ranka napisała list do pani Megalith, dołączając swoją najlepszą fotografię oraz szczerą, gorącą prośbę o pomoc w założeniu rodziny.

Rozdział dwudziesty czwarty

Pani Megalith z zainteresowaniem i pewnym zaskoczeniem przeczytała list Susan.

Młoda kobieta musiała być zdesperowana, skoro odważyła się skontaktować z babką porzuconej narzeczonej George'a.

Naturalnie Susan prosiła o dyskrecję, czym pani Megalith poczuła się odrobinę urażona, zawsze szanowała bowiem prywatność swoich klientów niezależnie od tego, czy zależało im na zachowaniu tajemnicy, czy nie.

Poszła do pokoju, w którym prze chowywała świece, kryształy i talizmany, usadowiła się w skórzanym fotelu, zamknęła oczy i położyła obie dłonie na zdjęciu.

Oczami wyobraźni ujrziała żonę George'a tak wyraźnie, jakby stała tuż przed nią.

Jej długie włosy były rozpuszczone, inaczej niż na fotografii, i gęstą falą opadały na kark i ramiona; oczy wydały się chłodne, lecz w głębi ciała kryta się dobra, pełna miłości dusza, której tęsknota za dzieckiem zaczęła odbierać życiową energię.

Pani Megalith czuła jej cierpienie i blokadę sił witalnych, wywołaną sporą ilością negatywnych wibracji.

Gdyby Susan umiała pozbyć się tych szkodliwych emocji, bez trudu poczęłaby dziecko.

Wiedźma z Elvestree zobaczyła też przerażającą bliznę, szpecącą stawną kiedyś z urody twarz, a także przyczynę jej powstania i poronienia pierwszego dziecka.

Już miała odłożyć fotografię, gdy .

nagle jakaś siłą obdarzyła ją wizją przyszłości - George i Susan mieli na stałe przeprowadzić się do Frognal Point z powodu okoliczności, nad którymi nie posiadali żadnej kontroli.

Pani Megalith zrobiła dla zdjęcia miejsce na stole pod oknem i położyła na nim kilka starannie wybranych kryształowych dysków: ametyst tuż nad głową, hematyt między stopami i różowy kwarc w okolicy brzucha.

Potem zapaliła świecę, znowu zamknęła oczy i wezwała na pomoc swoich duchowych pomocników,

- Pragnę poświęcić ten czas na leczenie Susan Bolton - powie działa czystym, zdecydowanym głosem.

- Niech zostanie uwolniona od całej negatywnej energii i niech pocznie dziecko, które go tak pragnie...

Usiadła wygodniej i skupiła myśli na kobiecie, którą poślubił George.

Losy Susan, George'a i Rity były ze sobą mocno splecione, chociaż oni jeszcze o tym nie wiedzieli.

Nigdy nie uwolnią się od siebie do końca.

Starsza pani przypominała sobie historię o dwóch zranionych ptakach, którą opowiedziała wnuczce.

Jeśli Susan była jednym z nich, naznaczonym okropną blizną, to istniała szansa, że po poczęciu dziecka nauczy się znowu latać.

I tak się stało.

Tuż przed Nowym Rokiem Susan dowiedziała się, że jest w ciąży.

List do Wiedźmy z Elvestree wysłała z uczuciem całkowitego zaufania i okazało się, że instynkt ją nie zawiódł.

Raz czy dwa obudziła się w środku nocy, czując dziwne pieczenie i mrowienie w brzuchu, zupełnie jakby był wypełniony gorącym budyniem.

Nie było to nieprzyjemne, ale dość niezwykłe i Susan zastanawiała się, czy obdarzona magicznymi umiejętnościami babka Rity ma z tym coś wspólnego.

Nie mówiła nikomu o ciąży, dopóki nie zyskała całkowitej pewności.

George zauważył, że żona nie czuje się zbyt dobrze, ale milczał, udając, że nie dostrzega jej porannych mdłości i utraty apetytu.

Wreszcie po upływie dwóch miesięcy przywitała go w progu z twarzą płonąącą z podniecenia.

;

- Będziemy mieli dziecko!

- zawołała radośnie, wyciągając do niego ramiona.

George'a ogarnęło uczucie wielkiego szczęścia.

Teraz w oczach Susan błyszczała nadzieja, nie pełne znużenia rozczarowanie.

;

m

Chwyił ją za rękę i porwał do tańca dookoła tarasu.

Ciepłe wie czorne słońce wciąż grzało równinę, a oni wirowali wśród długich cieni i pasm złocistego światła, pewni, że czeka ich niekończąca się radość.

- Wydawało mi się, że czujesz się trochę nieswojo - powiedział George, stawiając żonę na ziemi.

Oboje dyszeli ze zmęczenia.

- Wiem, ale nie chciałam zapeszyć...

- Susan ze łzami w oczach położyła dłoń na brzuchu.

- Dlatego nic ci nie powiedziałam.

Je stem taka szczęśliwa, kochany...

George objął ją i mocno przytulił do piersi.

- Teraz musisz na siebie bardzo uważać - ostrzegł.

- Koniec z szorowaniem podłogi, przyjmujemy Marcelę do pracy na cały dzień.

Nie pozwolę, żebyś się przemęczała, powinnaś myśleć przede wszystkim o dziecku.

- O dziecku...

- Susan westchnęła z zadowoleniem.

- Tylko po myśl, najdroższy, niedługo zostaniesz ojcem!

Teraz to George zarumienił się aż po korzonki włosów.

- Urządzeniem pokoju dziecka zajmę się później - ciągnęła Susan.

- Zamówimy łóżeczko u tego miłego stolarza z Jesus Maria, który zrobił dla nas meble.

Och, jestem tak podekscytowana, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić...

- Ale ja wiem!

- powiedział George, prowadząc ją w stronę ławki.

- Powinnaś odpocząć.

Susan usiadła i znowu poczuła, jak w jej klatce piersiowej co raz szybciej poruszają się skrzydła uwięzionego kolibra.

- Cięża to nie choroba - zaprotestowała, chociaż dobrze wie działa, że George ma rację.

Nic na świecie nie było tak ważne, jak dziecko, które nosiła.

Charles Henry Bolton przyszedł na świat dwudziestego czwartego października tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, z tym samym entuzjazmem, który miał mu towarzyszyć Przez całe życie.

Był żywiołowym, pogodnym dzieckiem o błękitnych jak lód oczach matki i uśmiechu ojca.

Zanim skończył rok, jego gęste jasne włosy skręciły się w loczki i gdyby nie krępa, so.

lidna sylwetka, można by wziąć go za dziewczynkę.

Susan namiętnie lowała pociągi i samoloty na ścianach jego sypialni i wstawiła tam karuzelę z drewnianymi zwierzątkami, o której marzyła na długo przed jego poczęciem.

Szybko doszła do siebie po porodzie i za-

częta karmić dziecko piersią w tak naturalny sposób, jakby robiła to nie po raz pierwszy.

Charlie, jak nazywali go rodzice, kochaj;

matkę z intensywnością, dzięki której nawet chłodny kolor jego ' oczu stawał się jakby cieplejszy.

Gdy zaczął siadać, a potem podnosić się na nóżki, obejmował ją mocno i przywierał do niej jak; j biały niedźwiadek.

Piszczął żałośnie, kiedy wychodziła z pokoju,;;

i pełzał za nią na czworakach tak szybko, że George mówił, iż właściwie wcale nie musi uczyć się chodzić.

Po raz pierwszy patrząc na nowo narodzonego synka, George doznał dziwnego olśnienia.

Oniemiały z przejęcia i wzruszenia, wpatrywał się w maleńkie stworzenie, które było częścią jego i Susan, ' sań, a jednocześnie oddzielnym nieznanym człowiekiem.

Dziecko zamrugało oczkami, których nie mogło jeszcze skupić na jednym punkcie, i George nagle pojął, że ta istota przybyła na świat z nieba i zamieszkała na krótko w ciele Susan po to, aby po tem rozpocząć własną drogę przez Ziemię.

Zrozumiał, że pewne go dnia Charles dorośnie i nie będzie już potrzebował rodziców.

Oni umrą, lecz on będzie żył dalej i może spłodzi własnych potomków, całkowicie niezależny od niego i Susan.

Nigdy wcześniej George nie był tak świadomy, że czas mija, a wieczna rzeka życia płynie dalej.

W Charliem dane mu było ujrzeć własną nieśmiertelność.

Nawet gdyby nie wierzył w życie po śmierci, od tej pory nie miałby wątpliwości, że jego życie znajdzie kontynuację w istnieniu syna.

Myślał także o przyjaciółach, którzy stracili życie w czasie wojny, i szczerze żałował, że nie żyli dość długo, aby doświadczyć takiej cudownej radości i zdumienia.

W wieku dwóch lat Charlie umiał już jeździć na kucu.

Susan, która wtedy była w ciąży z drugim dzieckiem, prowadziła konia za uzdę po farmie, a siedzący na grzbiecie zwierzęcia Charlie głośno nalegał, żeby dała mu wodze do rączek.

Niedługo poleca gauczowie zaczęli zabierać go na przejażdżki po równinie; sadza li dziecko przed sobą, jedną ręką mocno przyciskając je do brzu cha, aby nie spadło.

Chłopiec uwielbiał te wycieczki i piszczał

z radości, domagając się szybszej jazdy.

Najmłodszy z gauczów, ciemnoskóry chłopak o wąskich, nieco egzotycznych oczach, który stał się powodem nadania mu przydomku El Chino, często przyjeżdżał po Charliego wieczorami, już po kolacji, i kłusował z nim niespiesznie, płosząc preriowe zające i ptaki.

Czasami Jose Antonio zabierał chłopca do puesto, gdzie razem słuchali, jak gau czowie śpiewali tęskne pieśni, a El Flaco akomponiował im na gi tarze.

Jose Antonio, któremu nie wolno było śpiewać w domu, tu nucił z entuzjazmem, chociaż potwornie fałszował, a Charlie tań czył dookoła ogniska jak mały Indianin.

George z dumą obserwo wał syna.

Robił dla niego samolociki z papieru, które razem puszczał, i pomagał mu wspinać się na żylaste drzewo ombu.

Opowiadał chłopcu o zamieszkujących równiny i góry zwierzę tach, a Susan kupowała synkowi farby, aby mógł je malować.

Faye, uradowana wiadomością o następnym wnuku, przysłała Charliemu całą paczkę z książkami, natomiast Trees zasadził dla niego orzechowe drzewo, do którego pnia przybił plaketkę z wygrawerowanym imieniem i datą urodzin.

Oczywiście ani Faye, ani Trees, nauczeni przykrym doświadczeniem, nie wspomnieli ani słowem o wnuku Hannie i Humphreyowi.

Żadne z nich nie podejrzewało, że we Frogal Point ktoś jeszcze wie o synu George'a, a już z pewnością nigdy nie przyszłoby im do głowy, że osobą tą jest pani Megalith.

Parę dni po urodzeniu Charlesa Susan wysłała do niej list z serdecznym podziękowaniem, a ona bardzo się ucieszyła, że mogła pomóc młodej kobiecie.

Starła się leczyć ludzi od wielu lat i zawsze czuła głęboką radość, gdy udało jej się uwolnić kogoś od cierpienia.

Przyglądając się fotografii Susan, spostrzegła, że przerażająca tęsknota opuszcza młodą matkę na zawsze.

Zraniony ptak nauczył się latać wyżej i szybciej niż poprzednio, więc pani Megalith mogła sobie pogratulować.

Ogromnie żałowała, że Rita nie potrafi zapomnieć o przeszłości.

Dziewczyna wciąż rozczułała się nad swoim losem, zupełnie jakby wcale nie zamierzała zrobić kroku naprzód.

Pani Megalith powoli zaczynała mieć dość wiecznie nieszczęśliwej Wnuczki, coraz mocniej zamykającej się w sobie z uporem godnym osła, którego Maddie i Harry kupili dla swojego synka.

Jaki nięczyzna zechce choćby spojrzeć na to chodzące morze smutku?

Pani Megalith nienawidziła inercji.

Życie było takie, jakim cz<sup>^</sup> wiek pozwalał mu być, trzeba byto wziąć je za rogi i zмагаć z nim.

- Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają - powtarzak<sup>^B</sup> sobie, z rosnącym zniechęceniem myśląc o Ricie.

-1 ja także..<sup>^B</sup> Niedługo po narodzeniu Avy Faye do Las DOS Yizcachas prz<sup>^A</sup> leciał małym, prywatnym samolotem przyjaciel Jose Antooi<sup>^H</sup> z Teksasu.

Ku wielkiemu podnieceniu Charliego samolot okrą<sup>^H</sup> całą farmę, a on wraz z rodzicami, cioteczną babką Agathą, dziadki kiem Jose Antoniem oraz kuzynami Pią i Tonitem machał im<sup>H</sup> z ziemi.

Dolores opuściła kuchnię i stanęła na zielonej trawie, pof dozna do czarnej wrony, osłaniając oczy od słońca.

Gonzalo, Ca<sup>^I</sup> los, Agustina i Marcela pobiegli do parku, aby lepiej przyjrzeć svgU niezwyklej maszynie, ignorując pełne irytacji uwagi Dolores, kt<sup>6</sup> ra pokrzykiwała, że nikt tu nie ma czasu na gapienie się na samoi<sup>H</sup> loty.

Udali, że jej nie słyszą.

Ostatnio coraz częściej żalowali, żg irlandzki ksiądz wpędził ją w czarny nastrój, którym usiłowa<sup>^</sup> ukarać nie tylko siebie, ale także innych, najpewniej za to, że jet

reputacja została narażona na szwank.

-;j Samolot kilkakrotnie okrążył ranczo i wszyscy mieli okazję zo-<sup>^^1</sup>

baczyć, jak Bobby Chadwin, malutki z tej odległości, macha do<sup>^B</sup> nich przez okienko.

Od chwili demobilizacji George nigdy niej<sup>^H</sup> był tak blisko samolotu.

Poczuł, jak jego dłonie robią się lepkiei<sup>^I</sup> od potu, nie wiedział jednak, czy przyczyną tego zjawiska jesttf strach, czy podniecenie.

Jakaś część jego duszy pragnęła wzbić sif;a<sup>H</sup> w górę i słyszeć tylko ryk wiatru, wibrujący warkot silnika i nie-<sup>B</sup> zwykłą podniebną ciszę, lecz inna część natychmiast przypomnia-<sup>^B</sup> ła sobie powietrzne bitwy, czarny dym ulatujący ze spadającej spi-B rala w morze maszyny, zapach kordytu, uderzenie adrenaliny<sup>^</sup> i piekące od potu oczy.

Doskonale pamiętał, że w tamtych chwii-<sup>H</sup> lach przeistaczał się w maszynę do zabijania i myślał wyłącznie o tym, aby pozbawić wroga życia.

Ta część jego natury obawiała;<sup>^</sup> się lotu, bo istota, którą wtedy był, nadal tam czyhała, wśród cie-i ni między życiem i śmiercią, wysoko w górze, gdzie ciemne chmu-<sup>H</sup> ry gromadziły się, aby przestonąć słońce.



George nie chciał taca

wracać.

i Bobby Chadwin wylądował i podtoczył się do oczekującego go;"

małego tłumy, a następnie otworzył drzwiczki i z triumfalnym

wyrazem twarzy wyskoczył z kabiny.

Co za widoki!

- zawołał.

- Specjalnie zwlekałem z lądowaniem, żeby przyjrzeć się farmie.

Twoje gospodarstwo nieźle wygląda, Jose Antonio!

Susan uśmiechnęła się, bo Bobby wymawiał imię "Jose" jak

"Josie", z wyraźnym teksańskim akcentem.

Gdy Jose Antonio po klepał przyjaciela po plecach i objął go, pomyślała, że obaj do zła dnia przypominają dwa potężne niedźwiedzie, kudłate i trochę szorstkie w obejściu, lecz mimo to czarujące i pogodne.

Bobby ucałował dłoń Agathy i zwichrzył dzieciom czupryny.

Dopiero wtedy dostrzegł małego Charliego, jasnowłosego i ślicznego jak

putto z obrazu Rafaela.

- Chciałbyś polecieć moją maszyną?

- zapytał.

Pia i Tonito natychmiast wykrzyknęli, że oni są gotowi polecieć w każdej chwili, natomiast Charlie był zbyt zajęty, aby odpowie dzieć, ponieważ dorośli podawali go sobie z rąk do rąk.

Susan przeraziła się myśli, że jej mały synek mógłby wznieść się w górę, daleko od niej, miała jednak nadzieję, że Teksańczyk zapomni

o swojej propozycji.

Zjedli lunch na werandzie domu Jose Antonia i Agathy.

Ava

spała w swoim wózek w cieniu.

Po lunchu Pia i Tonito uparli się, żeby Bobby zabrał ich na chociażby krótką wyprawę samolotem, natomiast Susan bezskutecznie próbowała odwrócić uwagę Charliego, obiecując mu naleśniki z dulce de leche na podwieczorko.

Jej wysiłki skazane były na niepowodzenie, ponieważ Charlie starał się we wszystkim naśladować starszych kuzynów.

- Ja też chcę lecieć, mamo - oświadczył twardo.

- Mogę, ta tусiu?

Susan spojrzała na George'a i natychmiast dostrzegła lęk w jego oczach, mylnie wzięła go jednak za bliźniacze odbicie własnych obaw.

- Wydaje mi się, że Charlie jest jeszcze za mały, naprawdę...

-

Powiedziała, głaszcząc kręcone włosy synka.

- Daj spokój, zrób mu przyjemność!

- wtrąciła się Agatha.

Była tak oczarowana przystojnym Teksasczykiem, że nie wychyła zastrzeżeń Susan.

331 .

- Błagam!

- jęknął Charlie.

- Mam już prawie pięć lat!

- Możesz bezpiecznie oddać się w moje ręce - zaśmiał się Bobby, porozumiewawczo mrugając do Charliego.

- Nikt nie zna się tu na lataniu samolotem lepiej od George'a -n' obwieściła z dumą Agatha.

- W czasie wojny latał myśliwcami i to dzięki jego odwadze odnieśliśmy zwycięstwo nad Hitlerem...

George poruszył się niespokojnie.

- Może ty też polecisz?

- zaproponował Jose Antonio, wycie?

rając serwetką kąci warg i brodę, mocno zatłuszczone po jedze niu, na które rzucił się z prawdziwym entuzjazmem.

- Zabrałbyś', ze sobą całą trójkę dzieci.

- Zaśmiał się i sięgnął po wykałaczkę.)] - Mnie nic nie zmusiłoby, żeby wznieść się w powietrze.

Jestem człowiekiem, który lubi trzymać się ziemi...

'g

- Z przyjemnością pokażę ci moją damę, George - rzekł Bob- j by, mając na myśli swój samolot.

- To prawdziwy honor lecieć i z lotnikiem o takim doświadczeniu...

(l

George zrozumiał, że nie ma wyjścia.

Musiał polecieć albo straj?] cię twarz, s

Pili kawę, gdy tymczasem dzieci bawiły się dookoła stołu i co;' minutę pytały Bobby'ego, kiedy wreszcie polecą.

l

- Ja także chcę obejrzeć twoją damę - oznajmił Tonito ku wiel- j kiemu rozbawieniu dorosłych, j

W końcu Teksańczyk odstawił filiżankę na spodeczek, chwycił Charliego pod pachy i posadził go sobie na ramionach.

Ruszyli!

przez park w kierunku pola, na którym wylądował.

Susan splótłAJ palce z palcami George'a i szepnęła, żeby uważał na siebie i synaa

- Potrzebuję was obu...

- powiedziała, nie kryjąc przestachu;!

George mocniej ścisnął rękę żony, aby dodać jej odwagi, cho ciał było mu zimno ze zdenerwowania.

,

Bobby długo i z dumą pokazywał George'owi samolot oraz sta- j nowiące jego wyposażenie najnowsze gadżety.

George zauważyli!

że Amerykanin poklepuje swoją maszynę w taki sam sposób, w ja-s ki kiedyś on poklepywał spitfire'a, na którym latał.

Ogarnęła gp fala nostalgii i ostrożnie przesunął dłońią po skrzydle.

Bobby mocno przypiął dzieci pasami do tylnego siedzenia, a potem ge-j stem zachęcił George'a, by usiadł z przodu.

George wziął głęboki j oddech, skinął głową z pewnością siebie, której wcale nie czuł^

332

i wskoczył do kabiny.

Widok tarcz, wskazówek i steru przypo mniał mu pierwszy samodzielny lot w maszynie tiger moth.

Większość pilotów miała problemy z sadzaniem tego samolotu na ziemi, ale u George'a wszystkie możliwe trudności splotły się w jedną, bardzo poważną.

Pośpiesznie zepchnął to wspomnienie w głąb podświadomości, lecz nieprzyjemne uczucie pozostało.

Czuł się nagi bez maski tlenowej, gogli i hełmu, zbyt lekki bez ciężkiego spadochronu i kamizelki ratunkowej z wizerunkiem Mae West.

Miał na sobie tylko koszulę, spodnie i przewiewne płó cienne buty.

Siedzące z tyłu dzieci umilkły, z podnieceniem wy glądając przez szyby.

George szybko otarł spływające mu po czo le strumyczki potu - w żadnym razie nie chciał, aby Bobby zauważył jego przestach.

Suchym językiem przejechał po równie suchych wargach i poczuł, jak gardło zaciska mu się z przeraże nia.

Samolot zadygotał lekko, a potem zaś, nabierając prędkości, zaczął grzechotać jak pełne metalowych narzędzi pudełko.

Do nozdrzy George'a dotarł zapach spalin, ślina nagle wypełniła je go usta, gdzieś z okolic żołądka napłynął gorzki smak żółci.

Usi łował skoncentrować się na rytmie oddechu, gotów zrobić wszystko, byle tylko nie zwymiotować.

Był już prawie pewny, że nie wytrzyma i zawstydzi swojego syna, gdy samolot przestał dygotać i gładko wzniósł się w powietrze.

Ziemia uciekła w dół, za okna mi pojawiło się niebo, dużo bardziej błękitne niż to nad Anglią, nawet w letni dzień.

George patrzył na maleńkie drzewa, zabudowania i szeroką, płaską równinę, ograniczoną na horyzoncie wy sokimi górami, podobnymi do ogromnych fal na wzburzonym morzu.

Jego zdenerwowanie zniknęło w jednej chwili, wystarczyło, że znowu znalazł się blisko spokojnego, błękitnego nieba.

Słuchał cichego warkotu silnika i bicia własnego serca, które przypo minęło mu, że jest śmiertelny.

Mroczne cienie i wspomnienie śmierci rozwiały się, a młody lotnik, który kiedyś pragnął krwi wroga, po prostu przestał istnieć.

Bobby spojrział na niego i uśmiechnął się.

- Wspaniałe uczucie, co?

- powiedział do mikrofonu.

- Najwspanialsze na świecie - odparł George.

- Bła;

- Mo;

by, poro;

- Nik obwieści dzięki je;

Georg

- Moż rając sery niu, na k ze sobą c - Mnie n człowiek!

- Z pr by, mając zlotnikie

George cić twarz.

Pili kai minutę p;

- Ja tal kiemu ro;

Wkońc Charliego przez parł palce z pa

- Potrz George cięż było i

Bobby c nowiące j( że Ameryt ki kiedyś i fala nostał mocno pr/ stem zach oddech, st

332 .

## Rozdział dwudziesty piąty

Frognal Point 1963

Faye siedziała spokojnie, słuchając, jak Tadeusz gra na skrzypcach.

Na zewnątrz popołudniowe słońce zakryły ciemne chmury, z wściekłością przetaczające się po niebie.

Jesienny wiatr szarpał parapetami i framugami okien, zupełnie jakby próbował dostać się do domu, gdzie płonąca na kominku ogień napełniał niewielki salon miłym ciepłem.

Faye zdrząła, nie z zimna, lecz na myśl, że będzie musiała w taką pogodę wracać na farmę.

Patrząc na Tadeusza, który miał teraz siedemdziesiąt osiem lat, długą posiwiałą brodę i niezmiennie mimo upływu czasu, głęboko osadzone oczy, zrozumiała nagle, że kocha go bardziej niż kiedykolwiek.

Zrosli się i splekli jak rosnące obok siebie gałęzie drzewa - miniona dekada umocniła ich romans, nie pozbawiając go płaszcza tajemnicy.

Tadeusz zamknął oczy, ponieważ znał nuty utworu na pamięć i często go grywał.

Melancholijna melodia przypominała mu o przeżytych w Polsce latach oraz wszystkim, co kochał i stracił wraz z wybuchem wojny.

Faye także przymknęła powieki.

Na twarzy czuła ciepło ognia, PO wewnętrznej stronie jej powiek przemykały cienie tańczących Płomieni.

Muzyka budziła w niej smutek.

George już od dawna był 23 granicą i w chwilach, gdy Faye nie próbowała się oszukiwać, mocno wątpił, czy w ogóle wróci do domu.

Codziennie myślała

???

o synu i życiu, jakie sobie stworzył na końcu świata.

Ona i Tn odwiedzili go dwukrotnie, ostatni raz przed ponad pięcioma lat. Poznali dwoje swoich wnucząt, Charliego i Avę, i spędzili trzy tygodnie w domu Agathy i Jose Antonia.

Faye zawsze z radością wra-;

cała do wspomnień z obu tych wypraw, lecz czas mijał tak szybko,!

że teraz, mając sześćdziesiąt cztery lata, Faye niepokoiła się, że ni gdy już nie zobaczy syna i jego rodziny.

Zdawała też sobie sprawę, że, jeżeli okoliczności się nie zmienią, pozostanie dla swoich wnu ków prawie obcą osobą, l

Hanna odsunęła się od niej.

Faye widywała teraz ją i Humphreya tylko w kościele i czasami w sklepie.

Nigdy nie pytali, co dzieje się z George'em.

Może gdyby Rita wyszła za mąż, byliby;

w stanie zostawić przeszłość za sobą i wybaczyć, lecz Rita miała już trzydzieści sześć lat, nadal była panną i prowadziła coraz bardziej ekscentryczne życie w wynajętym domku po drugiej stronie Bray.

Cove.

Podobnie jak matka, wysypywała ziarno dla ptaków i cały-;

mi godzinami przesiadywała w ogrodzie, oswajając swoich skrzy dlatych przyjaciół.

Faye słyszała, że do pięknego, dzikiego ogrodu Rity przychodziły rozmaite zwierzęta, od jeży po zające, i swoboda nie bawiły się wśród krzaków janowca i bzu.

Kiedy Rita nie prze';

bywała w ogrodzie lub na plaży, prowadziła miejską bibliotekę gdzie pracowała od ponad dziesięciu lat, poświęcając całą energię na organizowanie wieczorków dla czytelników z udziałem pisarzy^ z którymi kontaktował ją Max, oraz warsztatów poetyckich z eme rytowanym profesorem Oksfordu, który niedawno przeprowadził' się do Frognał Point.

Nie umawiała się na randki i nie przywiązy" wała najmniejszej wagi do swojego wyglądu - jej długie włosy zwyk le tworzyły spletaną chmurę, a ubrania były luźne i powiewne.

Mi mo chaotycznego stylu życia zachowała naturalną urodę - białej wciąż młodzieńczą cerę i wyraziste, nieotoczone siateczką zmarsz czek oczy o niezwykłym odcieniu brązu.

Wydawało się, że pędzą";



cy czas nie odciska swego piętna na Ricie.

Młoda kobieta nigdy więcej nie przyjechała do Faye na lekcje rzeźby, lecz matka George'a wiedziała, że teraz rzeźbi sama.

W bibliotece stała dramatycz;

na rzeźba zrywającej się do lotu czapli, a właścicielka znajdujące! go się w mieście sklepu dla plastyków powiedziała Faye, że Rit często przyjeżdża do niej po glinę i inne materiały.

Maddie zachowywała się wobec Boltonów tak samo przyjaźnie, jak zawsze.

Jej uroda osiągnęła teraz szczytową fazę rozkwitu - szczęście przydało jej oczom blasku, a macierzyństwo sprawiło, że cera jaśniała łagodnie.

Urodziła troje dzieci: w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku Freddiego, dwa lata później Daisy, zaś osiemnaście miesięcy po narodzinach pierwszej córki drugą, małą Elsbeth.

Faye wiedziała od Maddie, że Rita kocha siostrzeńca i siostrzenice jak własne dzieci i bardzo często wpada do Bray Cove, aby opowiadać im o ptakach, skorupiakach i innych morskich stworzeniach.

Wy pływała razem z nimi małą łódką i razem łapali kraby, homary oraz pstrągi, a o zmierzchu rozpalali ognisko na plaży i śpiewali piosenki przy nieco niepewnym akompaniamencie gitary, na której grała Rita.

Rita i Maddie zabierały dzieci na pikniki, podobne do tych, jakie zapamiętały z własnego dzieciństwa, i jadły zapiaszczone kanapki, obserwując, jak dzieci rysują na plaży szlak dla poszukiwaczy skarbów, co kiedyś było specjalnością George'a.

Dla Maddie życie było sielanką.

Harry opublikował książkę, która spotkała się z przychylnymi opiniami krytyki, zyskała wielką popularność i została przetłumaczona na piętnaście języków.

Zarobił dużo pieniędzy, ale ani on, ani jego żona nie pragnęli zmiany stylu życia czy choćby większego domu - czuli się zupełnie szczęśliwi z tym, co już mieli.

Eddie zaskoczyła wszystkich, podejmując studia na Wydziale Zoologii uniwersytetu w Bristolu, a kilka lat po zrobieniu dyplomu, podczas pracy w rezerwacie dla zwierząt w Afryce, poznała biologa, za którego w niedługim czasie wyszła za mąż.

Hanna znała teraz ból rozstania z dzieckiem nie gorzej niż Faye, lecz nigdy o tym ze sobą nie rozmawiały.

Eddie zapuściła korzenie w Afryce, wśród dzikich zwierząt, i niewiele wskazywało na to, aby miała kiedyś wrócić do Frogal Point, gdzie nie było przecież ani lwów, ani gepardów.

Hanna była dumna z córki i starała się nie okazywać smutku, jaki czuła po jej wyjeździe.

Faye otworzyła oczy w chwili, gdy błyskawica, która nagle rozdarła niebo, wypełniła pokój białym, fosforyzującym światłem, i wyprostowała się gwałtownie.

Z granatowych chmur runęła na ziemię ulewa.

Tadeusz przestał grać i odłożył skrzypce.

Spojrzeni na siebie, zaskoczeni złowrogą siłą burzy.

Faye wstała.

- Powinam wracać - powiedziała niespokojnie.

- Trees będą się martwić...

- Nie możesz jechać do domu w taką burzę, to ryzykowne.

Faye się zawahała.

- Trudno, zaczekam, aż trochę przejdzie - rzekła.

- Zagrzmiało tuż nad nami, chyba gdzieś w pobliżu uderzył piorun...

- To nie potrwa długo - Tadeusz podszedł do okna.

- Popatrz my razem na niebo, dobrze?

Na dworze zapadła ciemność.

Kolejna błyskawica na chwilę rozświetliła ogród srebrzystym ogniem.

Faye wzięła Tadeusza za rękę.

- Piękne...

- odezwała się cicho.

- Kiedy byłam dzieckiem, ojciec powiedział mi, że grzmi wtedy, gdy chmury zderzają się ze sobą...

Jeszcze do niedawna byłam przekonana, że tak właśnie jest, bo wydawało mi się to całkowicie logiczne...

Tadeusz się zaśmiał.

- Dzieci wierzą we wszystko, co im się powie, szkoda tylko, że później dorośli często zapominają wyjaśnić im, jak jest naprawdę.

Sam czasami śmieję się na wspomnienie rzeczy, w które wierzyłem jako dziecko, a nawet jako młody mężczyzna.

- Dorośli opowiadają dzieciom dziwne historie, starając się oswoić je z pewnymi rzeczami i zjawiskami.

- Albo przestraszyć, żeby nie zrobiły sobie krzywdy i nie szły kały nieodpowiednich wrażeń...

- Tęsknię za George'em - wyznała nagle.

Tadeusz objął ją potężnym ramieniem i przytulił do boku.

- Wiem...

- odparł pełnym napięcia głosem.

On także wiedział, czym jest tęsknota za dziećmi.

- Dzieci należą do Boga, który tył ko na pewien czas powierza je naszej opiece, lecz świadomość te go stanu rzeczy niczego nie ułatwia, prawda?

- Miłość to bolesne uczucie - szepnęła Faye, wtulając twarz w jego koszulę.

- Miłość do ciebie również...

Tadeusz ujął jej twarz w swoje silne dłonie i kciukami pogłaskał jej policzki.

- Ale przecież tylko cierpienie pozwala nam doświadczać radości - rzekł z uśmiechem.

Łza drżała na jego rzęsach jak kropla rosy na pajęczynie.

Kiedy burza ucichła, Faye pojechała do domu.

Usiłowała skuć się na prowadzeniu samochodu, ale potrafiła myśleć wyłącznie nie o Tadeuszu.

Gdyby tak Trees nagle zniknął, pomyślała nie lojalnie.

Wtedy mogłabym spędzić resztę moich dni u boku Tadeusza...

Była potrzebna Tadeuszowi, natomiast Trees szukał szczęścia wśród swoich drzew.

Zatrzymała się na podjeździe i chowając głowę w ramionach, pobiegła do domu, rozchlapując wielkie kałuże i omijając skupiska mokrych liści, którymi wciąż mocny wiatr rzucał o ściany budynków.

Wpadła do środka, zawołała Treesa, a gdy odpowiedziały jej cisza, doszła do wniosku, że mąż zasnął, czytając gazetę przy kominku w małym salonie.

Postawiła czajnik na fajerce i wyjęła z kredensu dwa kubki.

W kuchni było cicho i ciemno, jak w mrocznej jaskini.

Faye zaparzyła herbatę i poszła z kubkami do salonu, lecz tam także nikogo nie było.

- Trees!

- zawołała głośno, ze zdziwieniem marszcząc brwi.

Wydawało jej się niemożliwe, żeby w taką pogodę wyszedł na dwór, było jednak oczywiste, że w domu go nie ma.

Usiadła w fotelu i wypijała herbatę, zastanawiając się, gdzie Trees mógł się pojechać.

Nagle drgnęła, uderzona pewną myślą.

Było całkiem prawdopodobne, że nawet w takie popołudnie mąż zajmował się swoimi ukochanymi orzechami.

- Do diabła z tymi cholernymi drzewami!

- syknęła.

Była wściekła, że ona tu martwi się o męża, a on spokojnie spędza czas wśród orzechów.

Możliwe, że burza powaliła któreś drzewo i Trees uznał, że musi coś z tym zrobić.

Postanowiła sprawdzić, czy jej przypuszczenia są słuszne.

Włożyła płaszcz i poszła na koniec ogrodu, gdzie na troskliwie nawożonej przez Treesa ziemi rosły drzewa orzechowe rozmaitej wielkości.

Znowu głośno zawołała męża i znowu nikt nie odpowiedział.

Strach powoli zaciskał palce na gardle Faye.

- Trees!

- krzyknęła rozpaczliwie.

Cisza.

Nagle niedaleko przed sobą Faye ujrzała obraz straszliwego zniszczenia.

Gruba gałąź potężnego drzewa, niewątpliwie trafiona piorunem, runęła na ziemię obok grobu suki Mildred.

Faye z trudem przełknęła ślinę i podniosła drżącą dłoń do ust.

Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła dwie obute stopy, brązowe .

spodnie i nieruchome ciało swego męża, którego głowa spoczywała obok kamienia z wykutym imieniem jego ukochanego psa.

Faye w jednej chwili znalazła się przy nim i rzuciła się na kolana.

Przy cisnęła ucho do piersi Treesa, całym sercem modląc się, aby dane jej było usłyszeć bicie serca, ale Trees już odszedł.

Upadając, mu się udało uderzyć głową o kamień i to stało się przyczyną jego śmierci.

Faye otoczyła go ramionami i rozplakała się cicho.

Miała nadzieję, że śmierć zabrała go szybko i bezboleśnie, serce ścisnęło jej się na myśl, że może wzywał pomocy, kiedy ona cieszyła się bliskością kochanka.

Wiadomość o śmierci Treesa błyskawicznie rozniosła się po całym Frogal Point.

Parę minut po odjeździe karetki pogotowia, która zabrała zwłoki, pod domem na farmie zatrzymał się samo chód Hanny.

Faye była tak zrozpaczona i zagubiona, że Hanna na tych miast zapomniała o własnych żalach i mocno objęła dawną przyjaciółkę.

- Tak mi przykro...

- powiedziała załamującym się głosem.

Nagle, w obliczu śmierci, zdała sobie sprawę, że wrogość, która je rozdzieliła, była niska i małoduszna.

Obie kobiety stały dłużej objęte na deszczu i wietrze, a potem weszły do ciepłego, lecz pustego i milczącego domu.

Faye osunęła się na krzesło, a Hanna postawiła czajnik na kuchence i oparła się o nią, zakładając ramiona na piersi.

- Nie mogę w to uwierzyć...

- powiedziała.

- Co on tam robił przy takiej pogodzie?

Faye podniosła zaczerwienione oczy i westchnęła.

- To przez te jego przeklęte drzewa...

- odrzekła z gorzkim śmiechem.

Nie mogła pogodzić się z myślą, że obsesja Treesa w końcu pozbawiła go życia.

- Aż tak bardzo kochał swoje orzechy?

- Hanna z niedowierzaniem pokręciła głową.

W kuchni zapadło milczenie.

Hanna wyjęta z kredensu dwie fiżanki i dwie łyżeczki z szuflady.

Wargi Faye zbieleły i zaczęły drżeć.

- Nie było mnie w domu...

- szepnęła.

- Gdzie byłeś?

342

- Pojechałam do wioski zobaczyć się z Tadeuszem.

- Z tym starym Polakiem?

- Hanna ściągnęła brwi.

Nie miała pojęcia, że Faye zna Waliszewskiego.

Faye kiwnęła

głową.

- Zamówił u mnie rzeźbę, niedźwiedzia.

Skończyłam ją, więc zawiozłam mu ją i przesiedziałam tam parę godzin.

To fascynujący mężczyzna.

Gdybym wiedziała...

- Spuściła głowę, porażona wstydem, że kłamstwo przychodzi jej tak łatwo.

Hanna zmrużyła oczy.

Czuła, że Faye nie mówi jej całej

prawdy.

- Może Trees mnie wołał - podjęta Faye z rozpaczą.

- Może wcale nie umarł od razu...

Nie mogę znieść myśli, że wzywał po mocy, podczas gdy ja piłam herbatę z Tadeuszem...

Hanna odwróciła się i nalata wrzasku do imbryka.

- Nie zdręczaj się - powiedziała kojąco.

-1 tak nie zdołałabyś mu pomóc.

Teraz Trees przebywa już w lepszym świecie...

Napełniła filiżanki świeżo zaparzoną herbatą i usiadła przy stole naprzeciwko Faye.

Dopiero wtedy zauważyła, że przyjaciółka ma rozpuszczone włosy.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała ją tak uczesaną.

- Co zamierzasz zrobić?

- zapytała, pociągając łyk herbaty.

Faye tępo wpatrywała się w filiżankę.

- George będzie musiał wrócić do domu i zająć się farmą.

Nie dam sobie rady sama.

Hanna zeszywniała.

- Myślisz, że on wróci?

Przecież urządził się w Argentynie...

- Wróci.

- Faye mimo wszystko uśmiechnęła się na myśl o spotkaniu z synem.

- Planował przecież, że wyjedzie tylko na rok, że by nauczyć się czegoś więcej o uprawie ziemi, a potem wróci i będzie pracował razem z ojcem, ale wszystko potoczyło się inaczej, niż sądziliśmy...

- Błagalnie spojrzała Hannie w oczy.

- Nie chcę liśmy, żeby coś takiego spotkało Ritę, wierz mi...

Pragnęłam, że by George wrócił i zamieszkał tutaj razem z nią.

Serce pękało mi z żalu, że znowu wyjeżdża, tak szybko po powrocie z wojny...

Ko cham Ritę jak własną córkę, a teraz w ogóle jej nie widuję, tylko Maddie czasami opowiada mi, co się z nią dzieje...

- To już przeszłość - rzekła Hanna.

343 .



- Wiem.

Wojna skończyła się osiemnaście lat temu, jesteśmy już stare...

Kto by pomyślał, prawda?

Nie wyobrażałam sobie, że dożyję sześćdziesiątych czwartych urodzin, a Trees miał prawie siedemdziesiątkę...

Mamy lata sześćdziesiąte, na miłość boską!

-a Faye wzruszyła ramionami.

- Najwyższy czas, żeby George wrócił do domu i wziął na siebie obowiązki Treesa.

Na pewno nie będzie się wahał.

Kochał ojca, będzie zrozpaczony, kiedy dowie się o jego śmierci.

- Czy George ma dzieci?

- cicho zapytała Hanna, i Myślała teraz tylko o tym, jak Rita zareaguje na wiadomość;;

o powrocie George'a.

- Dwoje - odparła Faye.

- Chłopca i dziewczynkę.

Hanna wzięła głęboki oddech.

- To miło - powiedziała.

- Wnuki są prawdziwym błogosławieństwem...

- Żałuję, że nie mogłam patrzeć, jak dorastają...

- szepnęła Faye.

- Trees nigdy już ich nie zobaczy...

Hanna wróciła do domu mocno przygnębiona.

Szczerze zasmućiła ją śmierć Treesa i świadomość, że pozwoliła, aby jej przyjaźń - i z Faye osłabła, lecz najgłębszy niepokój obudziła w niej perspektywa powrotu George'a.

Wciąż zastanawiała się, jak przyjmie to Rita.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego najstarsza córka nie wyszła za kogoś innego.

Sytuacja byłaby znacznie mniej skomplikowana, gdyby Rita miała własną rodzinę.

Tak czy inaczej, Rita wydawała się dość zadowolona z życia.

Dużo pracowała i częściej spotykała się z Maksem, który okazał się wyjątkowo lojalnym przyjacielem.

Max mieszkał w Londynie i odnosił sukcesy jako reżyser i producent.

Matka ciągle opowiadała, jak błyskotliwy jest jej wychowanek i jaką zyskuje sławę.

Ostatnio Max rozszerzył swoje działania na telewizję, lecz Hannie zupełnie to nie imponowało - nie potrzebowała telewizji, wystarczało jej radio.

Znacznie ważniejszy od kariery Maksa był dla niej fakt, że młody człowiek umiał pobudzić Ritę do śmiechu.

Tylko w jego towarzystwie znowu siła się szczerym, gardłowym śmiechem, przy czym oczy zachodziły jej łzami, a policzki powlekały się rumieńcem.

W tych ulotnych chwilach Hanna widziała potencjał córki i wyobrażała sobie, jaka mogłaby być szczęśliwa, gdyby dokonała innego wyboru.

Czasami

344

miała wrażenie, że Max wyprowadzał z ukrycia na słońce młodą kobietę, którą George skazał na wieczny smutek.

Kiedy Max był w pobliżu, Rita zachowywała się tak, jakby George nigdy nie istniał.

Oczywiście, pewnego dnia Max spotka jakąś miłą dziewczynę, oze nie się z nią i nie będzie już miał czasu dla przyjaciółki.

Cóż, był przystojnym, atrakcyjnym człowiekiem sukcesu...

Gdyby między nim i Rita istniała chociażby odrobina napięcia seksualnego, niewątpliwie ich przyjaźń już dawno zyskałaby inny charakter...

Kiedy pani Megalith usłyszała o śmierci Treesa, ciężko opadła na krzesło i zapatrzyła się przed siebie, zupełnie jakby znalazła się w transie.

Koty zebrały się dookoła jej stóp, wyczuwając smutek, a jeden odważny kocur ostrożnie wdrapał się na kolana i potarł pyszczkiem o jej ramię, lecz ona wydawała się ich nie widzieć.

Była jedną z niewielu osób, które rozumiały Treesa, i kochała go jak drogiego, bliskiego przyjaciela.

Potrafili godzinami rozmawiać o drzewach orzechowych i Trees często radził się pani Megalith, jak najlepiej je pielęgnować.

Nikt nie wiedział, że zakopywał w ziemi kryształ i przynosił do Elvestree niektóre sadzonki, aby w tamtejszej szklarni nabrały siły do dalszego rozwoju.

W towarzystwie pani Megalith budziła się w nim pewność siebie, dzięki której mógł elokwentnie wypowiadać się na najrozmaitsze tematy.

Chociaż nigdy nie zwierzył jej się ze swoich obaw wprost, Wiedźma z Elvestree zdawała sobie sprawę, że Trees lękał się, iż Faye ma kochankę.

To właśnie ten strach popchnął go do obsesji na temat zainteresowania orzechami.

W oczach Treesa tylko drzewa były wierne i godne zaufania, i tylko one odrywały go od pustej rzeczywistości jego małżeńskiego życia.

W miarę jak Faye coraz bardziej się od niego odsuwała, Trees obdarzał orzechy miłością i uwagą, które powinien był ofiarować żonie, za co one odwzajemniały się doskonałym rozwojem.

Z piersi pani Megalith wyrwało się ciężkie westchnienie.

Wie działa, że będzie jej bardzo brakowało Treesa, podobnie jak jego

ukochanym drzewom.

Wieczorem Hanna pojechała do Bray Cove, aby przekazać smutną wiadomość Maddie i Harry'emu.

Zastała ich w domu, razem z dziećmi i Rita, odkryła też, że wiedzą już o wszystkim.

- Zupełnie przypadkiem wpadłam w miście na wielbego

345 .

Hammonda, który powiedział mi, co się stało...

- rzekła Maddie.

- Smutne, co?

Z drugiej strony Trees nie był już młodzieniaszkiem, miał na karku siedemdziesiątkę...

- To jeszcze nie starość - mruknęła Hanna.

- Wasz ojciec tak że niedługo skończy siedemdziesiąt lat.

- Jak znosi to Faye?

- zapytał Harry.

- Miałem dużo szacunku dla Treesa...

Hanna westchnęła i zerknęła na Ritę.

- Jest strasznie przybita - odparła.

Zdawała sobie sprawę, że będzie musiała powiedzieć córce o po wrocie George'a.

- Wielebny Hammond mówił, że Faye znalazła Treesa pod drzewem - odezwała się Maddie.

- Co za ironia, prawda?

- Rzeczywiście znalazła go wśród jego drzew, ale najbardziej przygnębia ją myśl, że nie było jej w pobliżu, gdy to się stało...

- Gdzie była?

- Rita podniosła głowę.

- Musiała zawieźć zamówioną rzeźbę do domu Tadeusza Waliszewskiego, tego starego Polaka, który mieszka w małym domku w wiosce.

- Naprawdę?

- W głosie Rity zabrzmiała nagle wroga nuta.

- Więc gdy Trees leżał na ziemi i umierał, jego żona była z innym mężczyzną?

Hanna wyprostowała się i obrzuciła córkę zaskoczonym spoj rzeniem.

- Twoje insynuacje są po prostu obraźliwe!

- zawołała.

- Nigdy nie widziałam jej tak głęboko zrozpaczonej!

Była blada jak ściana, oczy miała czerwone od łez.

Siedziała, trzymając go w ramionach, aż do przyjazdu karetki pogotowia.

Alice mówi, że pielęgniarki musieli siłą oderwać ją od ciała...

- Och, co za okropność!

- westchnęła Maddie.

Na policzki Rity wypełzł ciemny rumieniec.

- Zastałam Faye z rozpuszczonymi, wilgotnymi od deszczu włosami - ciągnęła Hanna.

- Ostatni raz widziałam ją taką chyba trzydzieści lat temu...

Rita spojrzała na matkę.

- Ja też widziałam ją kiedyś z rozpuszczonymi włosami - po wiedziała z wystudiowaną obojętnością.

346

Hanna pytająco uniosła brwi.

- Tak...

- Rita pokiwała głową.

- Po wyjeździe George'a Tade usz okazał mi dużo serca i któregoś dnia wpadłam, żeby go odwieźć, ale siedział wtedy z Faye w ogrodzie, więc wycofałam się niepostrzeżenie.

Właśnie wtedy miała rozpuszczone włosy...

W pokoju zapanowało milczenie.

Nawet Maddie nie odezwała się ani słowem, wszyscy patrzyli po sobie z uczuciem całkowitego zaskoczenia.

Nigdy nie podejrzewali Faye o romans.

W końcu Hanna wzięła głęboki oddech i postanowiła poruszyć jedyny temat, który mógł zniechęcić Ritę do dalszych wynurzeń na temat Faye.

- George wraca do domu, żeby zająć się farmą - powiedziała.

Usta jej córki otworzyły się w bezgłośnym krzyku.

a

Rozdział dwudziesty szósty

i

Kiedy chłopiec z poczty w Jesus Maria przyjechał z telegra-

mem, George był na równinie.

Susan odebrała depeszę, pełną złych przeczuć.

Instynkt podpowiadał jej, że chodzi o złe wiado-<sup>1</sup> mości.

Koperta była gruba i oficjalna, i Susan pomyślała, że wy-j gląda na taką, w której zamyka się informację o śmierci kogoś;

bliskiego.

Miała ochotę otworzyć ją i sama, delikatnie i ze współ-<sup>1</sup> czuciem, przekazać George'owi smutną wiadomość, ale nie uległa pokusie, ponieważ szanowała prywatność męża.

I

Telegram leżał na stole w salonie i Susan za każdym razem mija-<sup>5</sup> ła go z dziwnym uczuciem nieuchronności przeznaczenia, zupełnie jakby koperta zawierała coś, co może raz na zawsze zmienić ich pla ny na przyszłość.

Po południu Charlie i Ava wrócili ze szkoły z in- \ formacją, że w następnym tygodniu mają wystąpić w sztuce i będą potrzebowali odpowiednich kostiumów, więc Susan zaczęła się zas tanawiać, jak przygotować stroje.

Dzieci rzuciły torby na podłogę, uściskały matkę i pobiegły w kierunku puesto, gdzie El Chino czekał już na nie z dwoma kucykami o błyszczącej sierści i pomysłem wy cieczki na równinę, na której widać już było dotyk ciepłej dłoni wios ny.

Susan długą chwilę patrzyła w ślad za nimi, nie mogąc otrząsnąć :

się z lęku.

Jeżeli zgodnie z jej podejrzeniami telegram przyniósł złe wieści, życie Charliego i Avy także będzie musiało się zmienić.

348

Pod wieczór George wrócił do domu po całym dniu ciężkiej pracy, zakurzony i zmęczony.

Ava wybiegła mu na spotkanie i oto czyła go w pasie ramionami, a Susan zagryzła wargę i podała mężowi depeszę.

- Co to?

- zapytał, gładząc rozradowaną buzię córki.

- Telegram, przyszedł dziś rano.

- I nie otworzyłaś go?

- George spojrział na żonę z nieukrywa nym zdumieniem.

- Jest zaadresowany do ciebie - odparła.

- Dzieci, idźcie po sprzętać w pokojach i przebierzcie się do kolacji...

Charlie i Ava jęknęli zgodnie, ponieważ nie mogli zrozumieć, dlaczego Marcela nie sprząta po nich, tak jak robiły to pokojów ki w domach ich przyjaciół i znajomych.

Kiedy wyszli, George rozdarł kopertę i z rozpaczą przeczytał krótką wiadomość.

Susan nie spuszczała wzroku z jego twarzy i natychmiast się zorientowa ła, że jej przecucie było słuszne.

- Mój ojciec nie żyje...

- powiedział George.

Czuł, jak serce ściska mu się z bólu.

Susan objęła go i pozwoli ła, aby jego smutek przeniknął do jej serca.

Nie miała cienia wątpliwości, że niedługo wyjadą z Argentyny i zbudują nowe życie w Anglii.

Zawsze wiedziała, że zapewne kiedyś podejmą taką de cyzję, ale teraz, postawiona wobec konieczności wyjazdu, poczu ła strach.

Dobrze chociaż, że dzieci potraktują to jako wspaniałą przygodę, pomyślała.

Na pewno pokochają morze, piasek, skały i jaskinie, lecz ona będzie musiała stawić czoło nie tylko przeszło ści George'a, ale i własnym demonom, które tam pozostawiła.

George usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie pożegnałem się z nim jak należy - rzekł głucho.

- Ostat ni raz widziałem go pięć lat temu, a teraz nigdy go już nie zoba czę...

- Z niedowierzaniem potarł twarz.

Nie mógł uwierzyć, że ojciec naprawdę nie żyje, bo zawsze wydawał się zdrowy, sprawny i silny jak orzech.

- Nie był jeszcze stary...

Mama na pewno jest nieprzytomna z rozpacz.

Trzeba, żebyśmy wrócili...

Susan przełknęła ślinę.

- Oczywiście - powiedziała, zaskoczona spokojem, jaki brzmiał w jej głosie.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- zapytał.

349 .



Spojrzała w jego pełne smutku oczy i poczuła, jak jej własny niepokój znika w obliczu współczucia dla jego cierpienia.

Pocała wała go w skroń.

- Nie mam nic przeciwko temu, kochany.

Mój dom jest tam, gdzie jesteś ty.

Jakoś to będzie, powoli przyzwyczaimy się do in nego życia.

Nauczysz dzieci, jak łąpać kraby i jeść kanapki z pia skiem...

Życie to przygoda.

Będziemy szczęśliwi, dopóki będzie my razem, jestem o tym przekonana.

- Jesteś niezwykłą kobietą, najdroższa.

Nie masz pojęcia, jak bardzo cię podziwiam.

Susan przeczesła palcami jego zakurzone włosy.

- Och, jednak wiem coś na ten temat...

- odparła.

Dzieci były bardzo podekscytowane wyjazdem do Anglii.

George spróbował przedstawić im Frogmal Point jako pełne uro ku, fascynujące miejsce, a Susan zachęciła je własnym entuzja zmem.

Charlie z zachwytem myślał o wielogodzinnej podróży sa molotem.

Jednak dla Susan i George'a wyprawa ta wiązała się z niepewnością i obawami.

Jose Antonio i Agatha nie kryli smut ku.

W ciągu minionych lat George stał się im bliski jak syn, a je go dzieci były dla nich ukochanymi wnukami.

Wiedzieli, że bez wesołego śmiechu i energii Charliego oraz Avy ranczo będzie dziwnie spokojne, a wieczory długie i puste.

Agatha powtarzała sobie, że George zamierzał przecież spędzić u nich tylko rok, tym czasem został na ponad dziesięć lat, lecz Jose Antonio nie byt w stanie pojąć, dlaczego nie mogą pojechać do Anglii na parę mie sięcy, żeby pocieszyć Faye, a potem wrócić do Argentyny.

- Przywykli do życia na ranczu z nami - pomrukiwał gniew nie.

- Ich domem jest Las DOS Vizcachas, tak samo jak naszym...

Kiedy Jose Antonio cierpiał, dawał temu wyraz w wybuchach złości, ale nawet jego wściekłość nie odmieniła decyzji Susan i George'a.

Z wielkim żalem spakowali rzeczy, a wraz z nimi wspo mnienia, które na zawsze miały pozostać niezatarte i dobre.

Susan poszła na ostatni, samotny spacer przez pola.

Ostatni raz pa trzymała na miejsce, gdzie nauczyła się od nowa kochać.

Teraz stała na progu stawiającego nowe wyzwania świata i mogła tylko mieć

no

nadzieję, że Frogmal Point przyjmie ją jak swoją i przebaczy George'owi porzucenie.

Ostatniego dnia przed wyjazdem zjedli kolację z Jose Antoniem i Agatha, a potem usiedli na stojącej na werandzie sofie, podobnie jak wiele lat wcześniej, gdy Susan właśnie przyjechała do Las DOS Vizcachas.

Powietrze było łagodne jak balsam.

Oddychali za pachami argentyńskiej wsi, zapachem eukaliptusa i jaśminu, świeżo ściętej trawy i janowca, i przyrzekli sobie, że nie zapomną żadnej z tych rzeczy, które nauczyli się traktować jako oczywiste i pewne.

Dookoła latarni fruwały ćmy, a w sennym parku grały cykady.

- Byliśmy tu bardzo szczęśliwi, prawda?

- odezwał się George z żalem w głosie.

- To prawdziwa sielanka...

Powinienem cieszyć się, że wracam do Frogmal Point, ale wcale nie czuję radości.

Mój dom jest tutaj.

Susan ujęła jego dłoń i delikatnie pogłaskała ją kciukiem.

- Prawdopodobnie na miejscu uznasz, że nic się tam nie zmieniło...

- powiedziała.

- Tylko ojca nie ma...

- George zaciągnął się papierosem, usiłując sobie wyobrazić, jak wygląda farma bez Treasa.

- Wciąż wy daje mi się to niemożliwe...

Ojciec był domem.

Teraz wszystko będzie mniejsze, niepełne, w jakiś sposób opuszczone...

Tata był małomówny, ale wypełniał dom swoją obecnością.

Na zawsze za pamiętałem, jak w wysokich butach i czapce chodzi po farmie z Mildred u boku...

Kochał wieś, przyrodę, drzewa i ptaki, i zaraził mnie swoją miłością do nich.

Był mądry.

Najczęściej myślał, co chyba doprowadzało do frustracji mamę, która jest ciepłą, pełną życia kobietą...

Mimo to bardzo go kochała, podobnie jak my wszyscy...

- Twój ojciec był wyjątkowym człowiekiem.

Naprawdę cieszę się, że go znałam.

Polubiłam go razem z jego ekscentrycznymi po myślami na życie...

George się uśmiechnął.

- Nie cierpiał wydawać pieniędzy.

Mama mówiła, że w czasie wojny prowadził handel wymienny - jajka za kartki na ubrania, kurczaki za ryby, warchlaki za owoce z magicznych szklarni pani Megalith.

Półowę ogromnego pola przeznaczył na ogród warzyw

ny, więc niczego im nie brakowało.

Podczas gdy większość B;

tyńczyków cierpiała z powodu okropnych ograniczeń, tata prosił kowai własne pieczywo, masło, mleko, sery, śmietanę i jaja.

Ki dy wróciłem z Francji, wszyscy wyglądali lepiej i zdrowiej niż przed wojną, wierz mi.

Wszędzie jeździł półciężarówką, bo bez zyna do pojazdów niezbędnych w gospodarstwach rolnych nie była racjonowana.

Był pełnym inicjatywy i energii człowiekiem chociaż mama złościła się, że podstawia wiadra pod dziury w i chu i w amatorski sposób naprawia wszystko, co może.

Serce, bolało, kiedy miał płacić za wykonanie jakiejś usługi, wołał rot wszystko sam.

Na pewno mama płacze teraz nad tymi nieszczęściami;

nymi wiadrami, bo przywołują wspomnienia o ojcu.

Myślę, że;

zumiała, jak bardzo kochała jego dziwactwa.

Może nawet pielęgnowała jego ukochane drzewa...

- Jeżeli ona ich nie pielęgnowa, to ty się nimi zajmiesz - szenęła Susan, opierając głowę na jego ramieniu.

- W głębi duszy zawsze wiedziałem, że po śmierci taty przejmę farmę, ale nigdy nie myślałem, że stanie się to tak szybko.

Po wiem ci prawdę, kochanie - trochę boję się powrotu...

- Wiem - odparta spokojnie, aby nie dorzucać swoich obaw i jego własnych.

- Ale teraz jesteś ze mną, masz dzieci, rodzina skupi się na wszystkim, co kochasz we Frogmal Point, myśl o md rzu, plaży, farmie, na której dorastałeś.

Teraz ty będziesz nią za rządził.

Nie mógłbyś przecież bez końca siedzieć tutaj, na ranczu Jose Antonia, mimo że Las DOS Vizcachas jest ci bardzo bliski - w końcu ktoś taki jak ty powinien prowadzić własny biznes, sam być szefem.

Przyszedł czas, żebyśmy stąd wyjechali, kochany...

,

- Ale rozstanie z Agathą i Jose Antoniem nie jest łatwe, prawda?

-\

- Zawsze możemy tu wrócić - odrzekła Susan.

Chciała dodać George'owi odwagi, choć w głębi duszy dobrze' wiedziała, że nie wrócą już do Argentyny.

Następnego dnia rano Dolores przypaliła grzanki, ugotowała j na twardo jajka dla Jose Antonia, który zawsze jadał je na mięk-j ko, i zaparzyła za słabą kawę.

Pia i Tonito skarżyli się, że rogaliki J

smakują węglem drzewnym, i nawet Agathą musiała przyznać, że do kawy podano skwaśniałe mleko.

W końcu nieszczęsna służąca pojawiła się na tarasie, załamując ręce i ocierając zaptakaną twarz fartuchem.

- Nie mogę dziś pracować - oznajmiła dramatycznie.

- Źle się czuję...

Poleciała Agustinie i Carlosowi, aby posprząтали po niewątpliwie najgorszym śniadaniu, jakie kiedykolwiek jedli mieszkańcy Las DOS Vizcachas.

Agathą i Jose Antonio popatrzyli na siebie z nie dowierzaniem.

Dolores nigdy nie okazała, że lubi George'a, lecz nie ulegało wątpliwości, że jego wyjazd zupełnie ją rozstroit.

George, Susan i dzieci przyszli się pożegnać już po śniadaniu.

Mieli przy sobie tylko podręczny bagaż, ponieważ większość rze czy wysłali już wcześniej statkiem.

Agathą uściskała ich mocno, usiłując pokonać wzruszenie poczuciem humoru.

Pia rozplakała się rozpaczliwie.

Nie wyobrażała sobie życia na ranczu bez Susan, którą kochała prawie równie mocno jak własną matkę.

Tonitowi kilka razy zadrżała dolna warga, wiedział jednak, że młody męź czyzna nie może się rozczulać, więc wyprostował się i podniósł wysoko głowę, próbując naśladować ojca.

Tonito nie zdawał sobie jednak sprawy, że Jose Antonio w głębi duszy przeżywa rozstanie równie boleśnie jak cała jego rodzina, a może nawet bardziej.

My ślał o tym, że pory roku będą przychodzić i odchodzić, cykl życia nadal będzie się powtarzał, lecz jego własny świat zmieni się raz na zawsze wraz z wyjazdem George'a i jego rodziny.

Z wielką energią poklepywał wszystkich po plecach i jak z rękawa sypał marnymi dowcipami, ale gdy samochód zniknął w oddali, pozostawiając za sobą tylko chmurę kurzu i pełne smutku milczenie, osiodłał konia i aż do nocy jeździł po równinie.

Wszyscy wiedzieli, że pani Megalith nie lubi kościoła - mieszkańcy Frognal Point doskonale pamiętali, jak zjawiała się w świątyni w towarzystwie kotów - lecz pogrzeb Treesa potraktowała w sposób wyjątkowy.

Nie spóźniła się, aby efektownie przekuśtykać główną nawę do ławki i w ten sposób skupić na sobie uwagę zgromadzonych, starała się nie stukać zbyt mocno laską o podłogę.

gę i po raz pierwszy w życiu wystąpiła w czerni od stóp do głów.

W towarzystwie Maksa, przystojnego i eleganckiego w sztywnym na miarę garniturze z Savile Row, oraz Ruth w całkowitym milczeniu usiadła w ławce za Hanną, Humphreym i Ritą.

Tylko jej wiś z kamieniem księżycowym połyskiwał w świetle, jakby zbierał energię do jakichś czarodziejskich sztuczek.

    Kościół pełny był wieńców z jagód, owoców i gałęzi z barwnymi;

    mi jesiennymi liśćmi.

Na trumnie, długiej i wąskiej, podobnie;

    jak sam Trees, ustawiono koszyk z orzechami z pierwszego drzewa, jakie zasadził.

Wielebny Hammond stał przed ołtarzem, nie- j co wylupiastymi oczami rozglądając się dyskretnie po nawie w poszukiwaniu kotów.

Dostrzegł panią Megalith i zadrżał, bo chociaż wydała mu się niezwykle spokojna, w czerni bardziej wyglądała na czarownicę niż w jakimkolwiek innym kolorze.

Jednak tego dnia pani Megalith nie zamierzała sprawiać nikomu, żadnych problemów.

Kochała Treesa i przysłała się z nim pożegnać.

    nać, chociaż zdawała sobie sprawę, że niedługo sama do niego do-; 'łączy.

f

    Faye żałowała, że George nie mógł zdążyć na pogrzeb.

Siedziała w pierwszej ławce razem z Alice, Geoffreyem i wnukami i wpa-

trywała się w trumnę.

Wyobrażała sobie spoczywającego w niej Treesa, ubranego w ulubione brązowe spodnie, niebieską koszulę i czapkę.

Miała ochotę włożyć mu wysokie buty, w których co-;

    dziennie chodził po polach, ale doszła do wniosku, że byłoby nie- j stosowne, gdyby stanął przed Stwórcą w zabłoconym obuwiu.

Sa-J ma zebrała orzechy z drzewa, które Trees zasadził zaraz po ich; j ślubie.

Teraz rzymski orzech o fioletowych liściach miał piętna- j ście metrów wysokości.

Po śmierci Treesa nosiła się z myślą, aby i, ściąć wszystkie orzechy, uznała jednak, że nie ma sensu gniewać się na drzewo, które przyczyniło się do jego odejścia; wiedziała też dobrze, że gdyby Trees mógł wybierać, na pewno zdecydowałby się na taką właśnie śmierć.

:

Uklękła i pogrążyła się w modlitwie.

W przeciwieństwie do pa-i ni Megalith, Faye zawsze czuła, że jest bliżej Boga w Jego domu.;;

Była przekonana, że Bóg chętniej wysłucha jej modlitwy, jeżeli" wypowie ją w kościele.

Teraz dziękowała Stwórcy za życie Treesa i jego miłość, gorąco prosiła też, aby wybaczył jej grzech cudzo-il

tóstwa.

Po jej policzkach płynęły łzy, ale tylko Rita, Hanna i Maddie podejrzewały, że ich przyczyną jest poczucie winy.

Max wyraźnie czuł zapach fiołków.

Żadna kobieta poza Ritą nie pachniała tak pięknie...

Siedziała tuż przed nim, a spod małego czarnego kapelusza spływały ciężką falą splątane włosy.

Nadal no siła zaręczynowy pierścionek George'a, przełożyła go tylko na trzeci palec prawej ręki.

Max po prostu nie potrafił uwierzyć, że kobieta może tak długo i kurczowo trzymać się wspomnienia o mężczyźnie.

Rita była potwornie uparta, ale powinna była już dawno zmienić nastawienie do życia.

Max wiedział, że George wraca na farmę z żoną i dziećmi, i miał nadzieję, że kiedy Rita zo baczy byłego narzeczonego, wreszcie zostawi przeszłość za sobą.

Czy nie zdawała sobie sprawy, że on, Max, kocha ją całym sercem?

Max zajmował się teraz produkcją nie tylko programów radio wych, ale także telewizyjnych.

Posiadał wyjątkową zdolność prze widywania, co może zdobyć popularność, i najczęściej nieomylnie oceniał ludzi.

Piął się po drabinie sukcesu szybciej niż ktokol wiek mógł sobie wyobrazić i zarabiał dużo więcej, niż umiał wy dać.

Ciężko na to wszystko pracował, lecz nie dla siebie.

Robił to dla Ruth i Rity, dwóch najważniejszych kobiet w jego życiu.

Wie rzył, że Rita kiedyś go w końcu pokocha, a wtedy on zabierze ją do Wiednia i pokaże jej Teatr Cesarski, który dawno temu ojciec zbudował specjalnie dla matki.

Zajrzą za kurtynę i Max przywo ła do życia historie, które kiedyś opowiadał Ricie na plaży, także tę o dziewczce bez jednej nogi, która uwiodła perskiego szacha, oraz o dziewczętach z chóru, chętnie przytulających małego Maksa do swoich skąpo ostoniętych piersi.



Podczas gdy Max tęsknił za jej spojrzeniem, Rita myślała o George'u.

Patrzyła na Faye i nic nie mogła na to poradzić, że wciąż czuła się osobiście urażona jej podwójnym życiem.

Niewinny i niczego nieświadomy Trees leżał w drewnianej skrzyni, pod czas gdy jego żona jak przykładowa wdowa wylewała nieszczerze, krokodyle łzy...

Złość Rity przyćmiło jednak uczucie niepokoju, bo przecież George miał lada chwila przybyć z Argentyny wraz z żoną i dziećmi, z rodziną, którą powinien był założyć z nią, a nie z inną kobietą...

Czuła, jak w jej sercu budzi się nienawiść.

Wstydziała się, że w domu Bożym poddaje się tak niskim uczuciom, ale .

nie umiała ich przewyciężyć.

Spojrzała na pierścionek z brylantem, który błyszczał na jej palcu, i uznała, że jego wierny blask za wiera w sobie nikły promień nadziei.

George powiedział jej kiedyś, że chce, aby myślała o jego miłości za każdym razem, kiedy popatrzy na pierścionek...

W czasie kazania pani Megalith zamknęła oczy i natychmiast wyczuła dyskretną obecność Treesa.

Stał przy ołtarzu z założonymi na piersi rękami i rozmawiał ze swoim ojcem.

Starsza pani bynajmniej nie była tym zdziwiona czy zgorszona, bo i ona uważała, że wielki Hammond wygłasza potwornie nudną, pompatyczną homilię.

Najbardziej rozbawiło ją, że Treese mówił szybko i elokwentnie.

Nie słyszała jego słów, wiedziała jednak, że rozprawy z ożywieniem i wyraźnym zadowoleniem.

Za życia nigdy nie był tak rozmowny, nawet gdy wdawał się w rozmowę o swoich ukochanych orzechach.

Nadrabia stracony czas, pomyślała ze wzruszeniem i otarła łzę.

Kiedy Max otoczył ją ramieniem, skrzywiła się, zadowolona, że przyłapano ją na słabości, potem otworzyła jednak oczy i spojrzała na wychowanka z czułością i wdzięcznością.

Max odpowiedział dyskretnym uśmiechem.

Po dobie jak tamtej pamiętnej nocy po przyjeździe do Anglii, także i teraz poczuł od niej zagarniającą go falę bezwarunkowej macie rzyńskiej miłości.

Maddie zawsze była egoistką, obserwowała więc poruszonych i głęboko zasmuconych bliskich Treesa z emocjonalnym dystansem.

Lubiła Treesa, ale nie był to człowiek, do którego łatwo można się zbliżyć i przywiązać.

Rita miała powód do smutku, ponieważ pracowała ze zmarłym i o mały włos nie została jego synową, lecz w oczach Maddie niczym nie zasłużył na specjalne zainteresowanie.

Kiedyś był najlepszym przyjacielem jej ojca, później George zerwał tę więź.

Maddie nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby zaangażować się w spór między obiema rodzinami, miała zresztą własną rodzinę i o niej musiała myśleć.

Współczuła siostrze, ale od tamtego czasu minęło już kilkanaście lat i Maddie dawno straciła cierpliwość do Rity i jej cierpień.

Jeżeli Rita miała ochotę niezmiennie użalać się nad sobą, to Maddie nie zamierzała jej w tym przeszkadzać, postanowiła jednak, że nie dopuści, aby nieszczęście siostry zdominowało jej własne życie tak jak życie ich matki.

Od czasu do

czasu na drodze Rity stawali rozmaici mężczyźni, lecz wszyscy szybko odchodzili, zniechęceni jej obojętnością.

Tylko Max pozostawał przy niej, niezmiennie wierny.

Często dzwonił, odwiedzał ją, kiedy tylko miał odrobinę wolnego czasu, i znał wszystkie jej tajemnice, w każdym razie Maddie była przekonana, że tak właśnie jest.

Nie potrafiła pojąć, dlaczego Rita nie wyszła za Maksą, który był bogaty, energiczny, utalentowany i na dodatek przystojny.

Czas wy ostrzył rysy, nakreślił kilka interesujących zmarszczek i bruzd na twarzy i nadał jej wyraz mądrości i doświadczenia.

Jego oczy wydały się teraz ciemniejsze, mniej niewinne, a linia włosów trochę się już cofnęła.

Maddie nie miała cienia wątpliwości, że jeżeli Rita nie wykorzysta szansy, Max znajdzie sobie inną kobietę i ożeni się z nią.

Gdyby przynajmniej pozbyła się wreszcie tego zaręczynowego pierścienia...

Maddie liczyła, że po przyjeździe George'a do Frogal Point siostra zrozumie, iż jej fantazje nigdy się nie spełnią, i rzuci ten żałośnie skromny brylancik w morskie fale.

Faye siedziała w swoim studiu i rzeźbiła, słuchając Symfonii alpejskiej, ulubionego utworu Tadeusza.

Czuła się bardzo samotna.

Bez Treesa dom był nieznośnie cichy. Gdy żył, czuła jego obecność, nawet kiedy nie przebywali w tym samym pokoju.

Jego towarzystwo było ciepłe i przytulne jak wełniany koc...

Dopiero teraz Faye rozumiała, jak bardzo kochała męża.

Nie było to namiętne uczucie, jakim darzyła Tadeusza, lecz głęboka, szczerą miłość.

Trees był dobry i godny zaufania.

Żałowała, że nie zrobiła większego wysiłku, by go zrozumieć.

Miała świadomość, że ostatecznie to ona pozwoliła mu odsunąć się i głębiej wejść w świat drzew.

Wiedziała też, że teraz trudniej będzie jej widywać się z Tadeuszem.

Była wdową i żałobę uważała za bardziej oczywisty obo wiązek niż wcześniej wierność.

Nie mogła ryzykować, że ktoś zo baczy ją z innym mężczyzną, kiedy mąż jeszcze nie ostygł w grobie.

Nagle pomyślała, że zrobiłaby wszystko, aby cofnąć czas do tamtego lata, kiedy George wrócił do domu z wojny i był szczęś liwy z Rita, i kiedy Trees i Mildred stanowili niezmienną część farmy oraz jej życia.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy Susan, George i dzieci wysiedli z pociągu na malutkiej!  
stacyjce w Devonie, wszystko dookoła spowite było gęstą, szarej mgłą.

Z Argentyny wyjechali wiosną, a tu znaleźli się w samyntj środku angielskiej jesieni.

Od wybrzeża ciągnął ostry, nieprzyjemni ny wiatr i tylko najbardziej odważne mewy odważyły się z  
niff!';

zmierzyć.

Charlie i Ava otulili się płaszczami i z rozczarowaniem;

patrzyli na swój nowy świat.

Na szynach leżały mokre liście, świat?!

to latarni na peronie z trudem przenikało mgłę.

Zmęczeni po dróżą, niechętnie przyjmowali zimną rzeczywistość swojej sytu acji.

Była dopiero czwarta po południu, a już zapadał zmrok.

Na- j siakie wilgocią ubrania skutecznie gasiły płomień optymizmu, j

Faye i Alice czekały na stacji, żeby ich powitać.

Serce George'a skurczyło się boleśnie, kiedy zobaczył, jak bardzo postarzała się matka.

Sprawiła wrażenie drobniejszej i bardziej kruchej, podob-;.;

na do sadzonki, która po wycięciu osłaniającego ją drzewa wysta- 3 wioną została na  
powiewy ostrego wiatru.

Gdy objęła syna, do 'i oczu napłynęły jej łzy.

George przypomniał sobie dzień powrotu r z wojny.

Faye pachniała wciąż tak samo, jej policzek był jak za- ' wsze miękki i delikatny.

Nie musieli nic mówić.

W końcu Faye , oswobodziła się z objęć syna i serdecznie przywitała Susan i dzie ci, zadziwiona, że  
wnuki tak szybko urosły.

Potem George przed

stawił swoją rodzinę siostrze i wszyscy z pewnym trudem zajęli miejsca w terenowym  
samochodzie, który Trees kupił na krótko

przed śmiercią.

- Jaka szkoda, że mamy dziś taki ponury dzień - powiedziała Faye, wyczuwając nie najlepszy nastrój dzieci.

- Mgła utrzymuje się już od tygodnia.

No, na szczęście zaraz będziemy w domu

i rozgrzejecie się...

- Chciałem, żeby oglądali krajobrazy przez okno wagonu, ale nic nie było widać - rzekł George, który siedział z przodu obok

matki.

Odwrócił się i uśmiechnął do siedzącej na kolanach matki Avy.

Dobrze, że dziewczynka była dość drobna jak na swoje dziesięć lat, bo inaczej nie zmieściliby się w samochodzie.

- Dzieci są po prostu zmęczone.

- Susan pocałowała córkę w głowę.

- Mamy za sobą długą podróż.

- Chyba nawet Charliemu znudziły się samoloty, przynajmniej

na razie - dodał George.

Miał nadzieję, że wywoła uśmiech syna, lecz Charlie wciąż pa trzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

- Jak tam Johnnie i Jane?

- George zwrócił się do siostry, po stanawiając zmienić temat.

- Johnnie studiuje na uniwersytecie w Exeter, a Jane właśnie skończyła szkołę średnią i ma nadzieję dostać się na studia w Bri stolu - odparła Alice.

- Jak ten czas leci!

- zawołał George.

- Mam wrażenie, że nie

dalej jak wczoraj byli jeszcze dziećmi...

- Długo nie było cię w domu - zauważyła Alice, lecz w jej gło sie nie można było doszukać się choćby cienia wyrzutu.

-- Mam nadzieję, że farma się nie zmieniła.

Faye z uśmiechem potrząsnęła głową, zadowolona, że syn jest przywiązany do swoich wspomnień.

- I farma, i Frogmal Point są dokładnie takie same, jak przed twoim wyjazdem.

- Oczywiście, zobaczysz kilka nowych domów i nowych rzeczy, ale żadna z rzeczy, które kochałeś, nie uległa zmianie.

Posta raliśmy się o to, prawda, Alice?

Po przyjeździe na miejsce Faye podała herbatę, ciasto, ciasteczko .

ka i kanapki.

Posiłek zjedli przed kominkiem w salonie.

Georg wziął do ust kawałek ciasta i od razu przypomniał sobie biszkopty który Faye upiekła na jego powitanie przed osiemnastu laty, Uśmiechnął się do siebie.

Jakoś nie mógł uwierzyć, że i to ciasto jest dziełem jego matki...

Dzieci pochłaniały je z wielkim apety-

tem, spragnione nowości, i po chwili zaczęły rozmawiać ze sobą przyciszonymi głosami.

Susan natychmiast znalazła się pod urokiem domu, bardzo angielskiego i przytulnego, choć urządzonego w nieco chaotyczny sposób.

Zauważyła nuty i książki leżące na wieku fortepianu, bez troski rozsiane na wszystkich stolikach, a nawet na podłodze.

Te raz, gdy widziała Faye w jej domu, mogła ją lepiej zrozumieć.

Na^ wet ona, która znała Treesa bardzo słabo, słyszała głuche echo jakim odbijała się jego nieobecność, miała też uczucie, że Faye czuje się bez męża bardzo samotna i jakby niekompletna, chociaż stara się to ukryć.

Kiedy głód został zaspokojony i wszyscy się ogrzali, dźwięki muzyki klasycznej pomogły przybyłym odzyskać dobry nastrój, i

W jakiś czas potem George zapytał matkę, jak umarł ojciec i Faye zaczerwieniła się i spuściła oczy, a ręka, w której trzymała filiżankę z herbatą, zaczęła drżeć, aż musiała postawić filiżankę i spodeczek na stole, gdy wyznała synowi, że nie było jej przy mężu w chwili jego śmierci, i

- Gdzie wtedy byłeś?

- zapytał George.

Faye zareagowała tak, jakby usłyszała w jego głosie nutę wy- i rzutu.

- Byłam w wiosce, musiałam kogoś odwiedzić - odparła szybko.

,

George nie powziąłby żadnych podejrzeń, gdyby nie mocny rumieniec na policzkach Faye.

Nagle pamięć podsunęła mu obraz^ matki, wyjeżdżającej na rowerze z farmy w środku nocy.

Nigdy nią;

zadał jej pytania, dokąd wtedy pojechała, nie miał też pojęcia, dla-^ czego akurat teraz, po tak długim czasie, wrócił pamięcią do tego epizodu.



;

- Kiedy wróciłam do domu, nie mogłam go znaleźć - podjęła Faye.

- W końcu zorientowałam się, że stało się coś złego.

Wybiegłam!

Wbiegłam do ogrodu i zobaczyłam go leżącego na ziemi.

Był już martwy

360

... twy. Ogłuszyła go gałąź, która odłamała się od drzewa, i upadając, uderzył głową o kamień na grobie Mildred...

- A pogrzeb?

- odezwał się po chwili George, który wciąż nie mógł sobie wybaczyć, że nie zdążył na czas wrócić do domu.

- Wielebny Hammond odprawił nabożeństwo dla przyjaciół i rodziny - odparła Faye.

Jej twarz odzyskała już naturalny kolor.

- Nie wyrzucaj sobie, że nie zdążyłeś - powiedziała ciepło Alice.

- Tata na pewno by to zrozumiał...

- Wiem.

- George uśmiechnął się z rezygnacją.

- Żałuję tylko, że nie pożegnałem się z nim...

- Wszyscy tego żałujemy - westchnęła Faye.

- Jutro rano pójdę na cmentarz.

- George ujął dłoń Susan, wdzięczny za jej obecność.

- Mam nadzieję, że mgła trochę się podniesie i będę mógł pokazać tobie i dzieciom Frogmal Point...

- Już się na to cieszę...

- Susan lekko ścisnęła mu rękę.

- Chciałabym zobaczyć kraby!

- wtrąciła Ava, wyraźnie pogodniejsza po smacznym posiłku.

- Nawet jeżeli będzie zimno, wybierzemy się na piknik na plażę - powiedział George.

- Pokażę wam zagłębienia w skałach, gdzie żyją kraby i inne skorupiaki, i narysuję dla was na piasku szlak poszukiwaczy skarbów...

Dzieci uśmiechnęły się z zadowoleniem.

Doskonale pamiętały ekscytujące historie z czasów dzieciństwa ojca, które często opo wiadał im na dobranoc.

- Tyle słyszałam o kanapkach z piaskiem, że chętnie spróbuję tego specjału - rzekła Susan, szczęśliwa, że przygnębiecie dzieci zniknęło bez śladu.

- Och, koniecznie!

- zawołała Faye.

- Te kanapki są częścią Frognał Point, nie sposób wyobrazić sobie, by piknik na plaży mógł się bez nich obejść!

Po kolacji, kiedy dzieci poszły spać, George i Susan usiedli na tarasie, pod granatowym, lśniącym od gwiazd niebem.

Było zimno, więc opatuleni w ciepłe płaszcze przytulili się do siebie.

George zapalił papierosa, zupełnie jak wiele lat wcześniej, kiedy Jako młody mężczyzna próbował się odnaleźć w powojennym świecie.

Kamienne płyty były mokre i śliskie, zasypane liśćmi

36}.

i drobnymi gałązkami.

Z pobliskiego drzewa niosło się niskie po.

hukiwanie wyruszającej na polowanie sowy.

George nie mógł otrząsnąć się z nostalgicznych wspomnień.

Zapach gnijących liści i hodowanych na farmie zwierząt przywodził mu na myśl lat dzieciństwa, nawet krzyk sowy był taki sam.

Jego dom był wciąż.

taki sam, a raczej byłby taki sam, gdyby nie odejście ojca.

Patrząc na ogród i rozciągające się daleko, ginące w ciemności pola, zastał siebie, czy duch Treesa przechadza się wśród drzew, które tak kochał.

Może był tuż obok, na tarasie, i obserwował ich wszystkich z ciepłym rozbawieniem...

Może towarzyszyła mu Mildred...

A może pani Megalith myliła się i życie po śmierci nie istniało...

George przygarnął Susan mocniej do siebie i siedzieli w milczeniu, zapatrzeni i zasłuchani.

Susan poznawała miejsce, które te- raz miało stać się jej domem, a George chłonał echa i obrazy prze-

szłości.

Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do myśli, że farma istnieje na-

dal bez Treesa.

Dom sprawiał wrażenie opuszczonego, jakby i je- go duch także stąd odszedł, pozostawiając tylko cegły i łączące je spoiwo.

Tej nocy George leżał w łóżku, słuchając znajomego skrzypienia podłogi, oddychając zapachem dymu z kominka] i wspominając.

Gdyby nie obecność Susan i dzieci, czułby się jak chłopiec, którego ciało nagle urosło i przestało mieścić się w stałym łóżku, jak mężczyzna bawiący się w domku dla lalek.

Odszedł stąd, założył dom gdzie indziej, a teraz oto wrócił i odkryli jak bardzo oddalił się od tego miejsca.

Czuł, że trudno mu będzie przyzwyczaić się do nowego życia.

Kiedy zamknął oczy, ujrzał twarze przyjaciół, którzy zginęli podczas wojny, ponieważ wraca-

jąć, przerzucił pomost między terażniejszością i przeszłością.

De mony nie opuściły go raz na zawsze, na pewien czas straciły go tył-

ko z oczu na ogromnej argentyńskiej równinie.

Dzień wstał pogodny i piękny, zupełnie inny niż poprzedni.

;

Na idealnie czystym niebie nie było ani jednej chmurki, mewy znowu ścigały się nad morzem, a wiatr niósł daleko ich przeni kliwe krzyki.

Susan wyjrzała przez okno i jej serce przepełniła j radość.

Ogród błyszczał, jakby ktoś obsypał go brylantami,

a słońce rozświetlało krople rosy na trawie i liściach roślin, za palając wszystkie kolory tęczy.

Po paru minutach do sypialni wpadły dzieci.

Ava wskoczyła na łóżko, żeby obudzić ojca, i za niosła się radosnym chichotem, kiedy przewrócił się na plecy i uwięził ją w obręczy ramion, pomrukując jak wielki nie dźwiedź.

Charlie przyglądał się temu z rozbawieniem, zbyt do rośły, aby przyłączyć się do tak dziecinnej zabawy, chociaż w głę bi serca miał na to wielką ochotę.

Susan patrzyła na nich z czułością, nie mogąc się nadziwić zdumiewającej łatwości, z jaką dzieci błyskawicznie przystosowywały się do nowych wa runków.

Faye nie znosiła spać sama.

W czasie całego małżeńskiego ży cia nie spędziła chyba ani jednej nocy z dała od Treesa.

Raz czy dwa wykradła się w nocy do Tadeusza, lecz zawsze budziła się u boku męża, tymczasem teraz, gdy otwierała oczy, ogarniało ją uczucie pustki i bezsensu.

Tęskniła za ciepłą obecnością Treesa w łóżku, za szumem płynącej z kranu wody w łazience, kiedy mył zęby i się golił, za świadomością, że nie jest sama.

Tego ranka przez chwilę leżała nieruchomo, zmagając się z przygnębieniem, które dręczyło ją od dnia śmierci męża, ale po chwili przypomnia ła sobie, że w domu jest George z rodziną, i smutek ustąpił miej sca pełnemu optymizmu oczekiwaniu.

Szybko odsunęła zasłony

i ubrała się, aby przygotować dla nich śniadanie.

Już z daleka dobiegł ją panujący w kuchni przyjemny gwar.

W domu Faye od lat nie było nikogo, kim mogłaby się naprawdę zaopiekować; odkąd dzieci dorosły i wyprowadziły się, poświęciła się rzeźbie, hobby, które wymagało wielu godzin pracy w samotności.

Teraz znowu miała rodzinę, dla której mogła gotować, pracować i sprzątać.

Wiedziała, że Susan nie jest osobą, z którą można się szybko żyć.

Jej synowa była wyniosła i ostrożna, co niewątpliwie miało związek z blizną, jaką nosiła na twarzy, lecz wnuki od razu podbiły jej serce.

Nie miała wątpliwości, że chętnie będą bawić się w tych samych miejscach, gdzie kiedyś spędzali mnóstwo czasu George i Alice, później zaś Johnnie i Jane.

Liczyła, że pokochają farmę i żyjące na niej zwierzęta, a ona nauczy ich grać na forte pianie i rzeźbić w glinie.

Nie musi się już obawiać samotnych wieczorów.

Nawet jeżeli cała czwórka zgodnie z początkowym planem; .

nem po pewnym czasie przeprowadzi się do jednego z domków na farmie, Faye nadal będzie miała rodzinę w pobliżu, jej wielkie marzenie wreszcie się spełni.

Po śniadaniu George pojechał z Susan i dziećmi do Frogal Point.

Charlie i Ava siedzieli z nosami przyciśniętymi do szyb, uważnie przyglądając się okolicy.

W pewnej chwili musieli zacząć kać, aż przez drogę przejdzie spore stado łaciatych krów, które stary mężczyzna z kijem w ręku prowadził do obory na południc- ;

we dojenie.

Natychmiast poznał George'a i z szacunkiem dotknął i palcem daszka czapki.

George opuścił okno i wdał się w krótką i rozmowę ze staruszką, który mówił z tak silnym miejscowym akcentem, że Susan prawie nic nie rozumiała.

W wiosce panował senny spokój.

Minęli sklep, gdzie panna Hogmier czekała na plotki jak sęp na padlinę, i pub, w którym!

George wieczorami umawiał się na piwo i grę w rzucanie strzałkami do tarczy.

Po wojnie grono jego znajomych zmalało - ci, którym udało się przeżyć, byli równie rozczarowani i cynicznie na stawieni do życia jak on, ponieważ ich młodość bezpowrotnie minęła, a perspektywy na przyszłość były niepewne.

George za- i stanawiał się, co działo się z nimi w czasie jego pobytu w Argen tymie.

Niektórzy na pewno znaleźli sobie żony, spłodzili dzieci i i odnaleźli sens życia, przynajmniej w pewnym stopniu...

Wciąż widział tych młodych mężczyzn, jak stoją, oparci o barową ladę i wpatrzeni w szklanki z piwem, jakby właśnie w nich mieli nadzieję znaleźć odpowiedzi na dręczące ich pytania i wątpliwości.

\ Minęli kilka ładnych, niewielkich domków i parę rezydencji,;

ukrytych za żywopłotami i kępami drzew.

Kościół znajdował się j na drugim krańcu wioski, niski, przysadzisty i bardzo stary.

; George pamiętał nabożeństwa, na które chodził z rodzicami i Ali-! ce w niedziele, ubrany w najporządniejsze rzeczy.

Kobiety zawsze j wkładały eleganckie kapelusze i rękawiczki, gdyż uczestnictwo j w niedzielnym nabożeństwie miało także wymiar towarzyskiego i spotkania.

Matka George'a zwykle długo stała pod kościołem, ga- j dając z Hanną, a w tym czasie on i Rita skakali przez płyty na-1 grobne, oczywiście ku wielkiemu niezadowoleniu wielbego ^ Hammonda.

Przypomniał sobie, jak już po wojnie pani Megalith niespodziewanie zjawiała się w kościele, i postanowił opowiedzieć '

o tym dzieciom, które zawsze z zafascynowaniem słuchały o Wiedźmie z Elvestree i jej magicznych kotach.

- Poznamy Wiedźmę?

- zapytał Charlie, nachylając się do przodu między siedzeniami.

- Naturalnie - odparł George.

- Pani Megalith to żywa legenda...

Susan lekko uśmiechnęła się do siebie.

Nikt nie wiedział, że

właśnie ona miała za co dziękować Wiedźmie z Elvestree i nie

mogła się już doczekać, kiedy to zrobi.

- Czy ona lata na miotle?

- dopytywała się Ava.

- Na pewno, ale tylko w nocy.

Susan żartobliwie uderzyła go w kolano.

- Jesteś niemożliwy, kochanie!

- skarciła go ze śmiechem.

- Pomyśl, co powiedzą dzieci, kiedy ją poznają...

George zaśmiał się cicho.

- Chętnie to usłyszę.

Susan potrząsnęła głową, a George zajął się opowiadaniem ko lejnych niesamowitych historyjek o pani Megalith.

George zaparkował samochód przed kościołem.

Na cmentarzu panowała cisza, nie było tu żywej duszy.

Grób Treesa był świeży i nadal przykryty kwiatami.

George umilkł, kiedy stanął nad wzniesieniem ziemi.

Jego wzrok spoczął na szarym nagrobnym ka mieniu i nagle fakt śmierci ojca dotarł do niego w całej swej ostro ści.

Zrobiło mu się słabo, więc kilka razy odetchnął głęboko, że by nie stracić przytomności.

Nie mógł oderwać oczu od wykutego w kamieniu napisu.

"Trees Bolton".

Nie Edmund Anthony Bolton, lecz Trees, bo przecież właśnie pod tym przydomkiem znali go wszyscy w okolicy.

Susan bez słowa ujęła dłoń męża.

Długo sta li w milczeniu, podczas gdy Charlie i Ava biegali po małym cmen tarzu jak rozbawione psiaki, najwyraźniej nie czując szacunku dla spoczywających tu zmarłych.

- Nie mogę uwierzyć, że ojciec jest tutaj...

- odezwał się George.

- Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma na świecie...

- Wiem, kochany - szepnęła Susan.

- Dopiero widok grobu w pełni uświadamia nam, co się stało, prawda?

- Taki właśnie jest koniec drogi nas wszystkich...

Wszyscy obrócimy się w proch, ale ty masz przed sobą jesz cze wiele lat życia.

Nie popadaj w przygnębienie, najdroższy.

?^ .



- Chciałbym zostać z nim sam, dobrze?

Może zabrałabyś dzieci do sklepu i kupiła im coś słodkiego?

Susan powstała mu pełen zrozumienia uśmiech.

- Zostań tu, jak długo zechcesz.

Przejdziemy się trochę, korzy stając z pięknej pogody, a przy okazji zwiedzimy naszą wioskę.

Kiedy dotarli do sklepu, Charlie i Ava wpadli w zachwyt na widok dużego, kudłatego psa, przywiązanego do skrzynki na listy, więc Susan sama weszła do środka.

Sklep był znacznie większy, niż można się było spodziewać, ze stojakiem na gazety i magazyny tuż pod oknem.

Za ladą stała panna Hogmier w wykrochmalonym różowym fartuchu, strzegąc półek zastawionych wysokimi stojkami pełnymi słodyczy.

Zmierzyła Susan nieprzyzwoicie zaciętym spojrzeniem i kiedy jej oczy zatrzymały się na bliźnie, otworzyła usta z przerażenia.

Susan nie mogła nie zauważyć reakcji właścicielki sklepu i przywitała ją bardzo chłodno.

Panna Hogmier nadęła się, dotykając podbródkiem pomarszczonej szyi, i znacząco chrząknęła.

Susan nie miała najmniejszej ochoty na wymianę okolicznościowych uprzejmości i zaczęła spacerować między regałami, uważnie przyglądając się wystawionym na nich towarom, których część była jej zupełnie nieznana.

Szybko zauważyła, że nie jest w sklepie sama.

Po przeciwnej stronie przechadzała się młoda kobieta o długich, splątanych włosach, które opadały jej na twarz.

Susan doszła do wniosku, że to na pewno ona jest właścicielką czekającego na zewnątrz psa.

Nagle rozdzwonił się umieszczony nad drzwiami dzwoneczek i do sklepu wpadły dzieci.

- Popatrz tylko na te słodycze!

- zawołała Ava, nie kryjąc po dziwu.

- Chciałbym kilka tych dużych czerwonych.

- Charlie wskazał stój stojący bezpośrednio za panną Hogmier.

- To są cukierki o smaku truskawkowym - wyjaśniła panna.;

Hogmier.

Zerknęła na Susan i prychnęła pod nosem.

Nie miała wątpliwości, że to ona jest matką nowych klientów, ponieważ wszyscy troje mówili z dziwnym akcentem.

Kobieta z pewnością była Amerykanką, lecz akcent dzieci trudno było zlokalizować.

- Skąd jesteście?

- zapytała.

?/^

- Z Argentyny - oznajmił dumnie Charlie.

- Ale teraz będzie my mieszkać tutaj...

Panna Hogmier otworzyła szeroko oczy, jak osoba nagle wyrywana z głębokiego snu.

- W takim razie na pewno jesteście dziećmi George'a Boltona!

- powiedziała powoli i oparła się o ladę, żeby przyjrzeć im się

z bliska.

Charlie od razu zauważył czarne włosy wystające z jej nozdrzy

jak nogi dużych pajaków i skrzywił się z niesmakiem.

Kiedy Susan podeszła i poprosiła, by wybrali sobie jakieś słodycze, za jej plecami pojawiła się druga klientka z koszem pełnym zakupów.

- Dzieci George'a Boltona!

- powtórzyła panna Hogmier głośno i z naciskiem.

Rozległ się brzęk.

To młoda kobieta upuściła kosz, którego za wartość rozsypała się po podłodze.

- Och, przepraszam...

- powiedziała Susan, ponieważ wydawała jej się, że potrąciła nieznajomą.

Tamta wymamrotała coś niewyraźnie i przyklęła, żeby pozbić rać swoje rzeczy.

Charlie i Ava schylili się, aby jej pomóc.

- Dobrze, że nic się nie stłukło - rzekł Charlie, podnosząc

puszkę z fasolką.

- Dziękuję...

- odezwała się cicho kobieta.

Uśmiechała się nerwowo, lecz w jej oczach malowało się przeżenie.

- Niech pani zapłaci pierwsza, proszę bardzo - powiedziała Su san uprzejmie.

- Moje dzieci jeszcze nie zdecydowały, co chcą...

Nieznajoma wyraźnie nie mogła się doczekać, kiedy panna Hogmier skończy podliczać należną kwotę.

Wreszcie zapłaciła, chwyciła brązowe torby z zakupami i pośpiesznie wyszła, żegnając się nieśmiałym "dziękuję", rzuconym zza zasłony włosów.

- To była Rita Fairweather...

- panna Hogmier utkwiała oskarżycielskie spojrzenie w twarzy Susan.

Żona George'a dopiero teraz pojęła zdenerwowanie młodej kobiety, udała jednak, że nazwisko to nic jej nie mówi, i dalej spokojnie wybierała wraz z dziećmi cukierki.

- No, zdecydujcie się w końcu - zachęciła je po chwili, pragnąc

Jak najszybciej opuścić sklep.

- Chanie, weź torebkę tych tru367 .

skawkowych, a Ava grylażowych, wtedy będziecie mogli wymienić się smakami...

- Po wyjeździe George'a Boltana biedaczka nigdy nie odzyskała równowagi ducha - ciągnęła panna Hogmier ponurym tonem.

- Teraz mieszka sama, tylko z tym psem, w domu po drugiej stronie - nie Bray Cove.

Już w dzieciństwie różniła się od swoich rówieśniczek, ale skłonność do ekscentryczności to jeszcze nie przestępstwo, prawda?

Na pewno nie jest jej łatwo patrzeć na rodzoną!

siostrę, która ma troje dzieci i kochającego męża...

Prawdę mówiąc, nie sądziliśmy, że Maddie wyjdzie za kogoś takiego jak Harry Weaver...

Taka z niej była piękna, ambitna dziewczyna, ale cóż...

Najgorszy los spotkał jednak Ritę, dobrą, niewinną Ritę...

Próbowała się zabić, kiedy George się ożenił, biedactwo...

Mało brakowało, a rzuciłaby się z klifu...

Nigdy nie przyszła do siebie po tym ciosie...

- Poproszę torebkę cukierków truskawkowych i drugą grylażówkę.

- Susan zmierzyła starą pannę lodowatym wzrokiem.

Panna Hogmier prychnęła niechętnie, ale odwróciła się i zdjęła dwa słoje z półki.

Posapywała przy tym głośno, żeby okazać Susan, jak bardzo się dla niej trudzi.

- Na pewno doznała wstrząsu, kiedy nagle zobaczyła tu panią i dzieci.

- Zapakowała cukierki i wyciągnęła rękę po pieniądze.

-;

Widziała już George'a?

Susan lekko wyduła wargi, zaskoczona jej bezczelną śmiałością:

- Wydaje mi się, że to nie pani sprawa - odparła krótko, odliczając monety i kładąc je na otwartej dłoni panny Hogmier.

?

Potem wręczyła słodycze dzieciom i szybko wyszła z nimi ze sklepu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Rita szła alejką tak szybko, jak pozwalały jej na to zdrętwiałe nogi, ciągnąc na smyczy Tarkę, złocistą retrieverkę.

Susan była piękna.

Nawet w tej krótkiej, nieprzyjemnej i pełnej zażenowania chwili Rita wyczuła otaczającą tamtą kobietę aurę spokoju i dostrzegła prostą elegancję jej stroju i mowy.

W jej obecności poczuła się niezgrabna, zaniedbana i po prostu gorsza.

Była zbyt zdenerwowana i przejęta, aby dojrzeć bliźnię.

Z trudem dźwigając torbę z zakupami, która z każdą chwilą wydawała się przybierać na wadze, Rita szła uliczką pod górę, ciężko dysząc i czując, jak krew pulsuje jej w skroniach.

Słyszała, że George wraca do domu, ale nikt nie wiedział, kiedy dokładnie ma przyjechać.

Przypadkowe spotkanie z jego żoną mocno nią wstrząsnęło.

Jego dzieci były tak duże, że poczuła się stara.

Gdyby wyszła za George'a, najprawdopodobniej także miałaby teraz dzieci w tym wieku...

Nie wyszła jednak za niego i często uświadamiała sobie, że na pewno nigdy nie urodzi dziecka.

Skoro Susan i dzieci byli w sklepie, to może i George znajdzie się gdzieś w pobliżu.

Pomyślała, że zapewne poszedł na cmentarz, by pomodlić się przy grobie ojca.

Zbliżając się do cmentarza wyczuła jego obecność, zanim jeszcze jej oczy spoczęły na męża czyżnie, który przez większą część życia był dla niej najważniejszy.

szy na świecie.

Zatrzymała się za murem cmentarza, za pnem smukłego drzewa, żeby na niego popatrzeć.

Jego wysoka postać;

pochylona była nad grobem ojca.

Był szerszy w ramionach niż!

Trees, ale i tak bardzo do niego podobny - w taki sam sposób gar- i bił się i pochylał głowę.

Ritę zapięły oczy, gardło ścisnęło się z żalu.

Tarka zrozumiała, że z jej panią dzieje się coś złego, i cicho i zaskomlała, j

W tej chwili George podniósł głowę i zwrócił oczy w kierun-i ku Rity.

W jednej chwili minionych siedemnaście lat zniknęło i George sięgnął po jej serce tak samo jak zawsze, jak w czasach, i kiedy byli sobie najbliżsi.

Zadrżała.

Jej stopy stały na ziemi, lecz czuła się tak, jakby lada chwila miała ulecieć w powietrze.

Mało brakowało, a pomachałaby do George'a.

Zamarła, wstrzymała od dech.

Zobaczyła Susan idącą alejką wraz z dziećmi i rozczarowa-:

nie pozbawiło ją sił.

Skuliła się, cofnęła głębiej za drzewo i stała się niedostrzegalnym cieniem.

Dobiegły ją okrzyki dzieci, bieg-;

nących do ojca.

Susan szła spokojnie, głęboko zamyślona.

George udał, że zatacza się do tyłu pod ciężarem ciała dziewczyn" ki, która rzuciła się mu na szyję, a kiedy Susan dołączyła do nich, objął ją w pasie i pocałował w skroń, tak samo, jak dawno temu, całował Ritę.

:

Dławiąc się łzami, pobiegła do domu matki, przed którym zo stawiła samochód.

W tej chwili nie wyobrażała sobie, aby mogła usiąść do lunchu z całą rodziną.

Pytania, ciekawość, źle skrywa na litość - lepiej było uniknąć tego wszystkiego.

Potrzebowała sa motności.

Położyła zakupy na siedzeniu obok kierowcy, wrzuciła wsteczny bieg i szybko wyjechała na drogę.

Nie dostrzegła gołębi na dachu, wygrzewających się w cudownym słońcu i nie poświęciła nawet sekundy, aby spojrzeć na lśniący złocistymi odcieniami jesieni ogród.

Świat, który teraz widziała, był ponury, zamglony i szary.

George i Susan przesłoniли słońce.

Mrużąc zażawione oczy, pojechała do swojego małego domku i z płaczem pobiegła na plażę.

Usiadła na kamieniu, otaczając ramionami kolana.

Okręcając zaręczynowy pierścionek na palcu, myślała o przyrzeczeniu, jakie złożyli sobie w jaskini w dniu wyjazdu George'a do Argentyny.

Powiedział jej wtedy, że chce, aby ten widok pierścionka przy każdym spojrzeniu przypominał jej o jego miłości.

Teraz już jej nie kochał, ale jego słowa nadal rozbrzmiewały słabym echem w ciągu wszystkich minionych lat.

Po wyjściu z cementarza George zawiózł rodzinę na piknik na plażę.

Doszedł do wniosku, że jego matka miała rację - Frognał Point rzeczywiście się nie zmieniło.

Wioska nadal wyglądała i pachniała tak samo.

Kiedy stanął na klifie, ogarnęła go nagle fala nostalgii.

Dzieci zbiegły ścieżką na plażę, a za nimi podążyła Susan z kocami.

George ruszył za nią z koszem pełnym jedzenia i napojów, dodatkowo obciążony licznymi wspomnieniami.

Susan zauważyła, że mąż pogrążył się w myślach, i poszła na spacer z dziećmi, żeby dać mu trochę czasu na przemyślenie rozmaitych spraw.

George rozłożył koce, przycisnął rogi kamieniami, ponieważ wiatr był dość mocny, i nalał sobie kieliszek wina.

Usiadł w tym samym zacisznym miejscu, gdzie jego rodzina i rodzina Rity zwykle urządzała pikniki, i z drżeniem zaczął wspominać.

Obrazy przeszłości odnalały go bez trudu na plaży, która widziała jego dziecięce zabawy i namiętne pocałunki, jakie wymieniał z Ritą.

Wpatrywał się w morze, lecz wśród rytmicznie uderzających o brzeg fal wciąż widział twarz Rity, jej oczy koloru ciepłego brązu i wiecznie splątane loki.

Po raz tysięczny serce ścisnęło mu się na myśl, że zadał jej ból.

Zastanawiał się, czy Rita nadal mieszka we Frogal Point, czy wypro wadziła się z rodzinnej wioski.

Może założyła rodzinę, urodziła dzieci, kto wie...

Nie miał odwagi, aby zapytać o to matkę.

Po powrocie Susan i dzieci George z trudem usunął wspomnienie w głąb podświadomości i pokazał Avie i Charliemu pełne wody skaliste rozpadliny, w których ukrywały się wojownicze kraby.

Dzieci z radością zanurzały dłonie w wodzie, chwytając miękkie wodorosty i szorstkie trawy.

Potem George zbudował z nimi wielki zamek z piasku, a Susan i Ava przystroili go zebranymi na plaży muszelkami.

Razem wykopali fosę i łączący ją z morzem kanał, i po lunchu, kiedy morze zaczęło zagarniać coraz większe połacie plaży, przyglądali się, jak woda powoli skrada się w kierunku ich zamczyska.

Dzieci, którym bardzo przypadł do gustu posiłek z żony ze smacznych kanapek i czekolady, z zapalem walczyły z żywiołem o swoją budowlę.

Budowały tamy, mury i całą sieć tuneli, aby woda nie zniszczyła zamku, lecz wraz z nadejściem wieczoru morze okazało się niepokonane i pożarło go w całości.



- Jeżeli chcecie, jutro zbudujemy nowy - obiecał George.

- Może babcia będzie miała ochotę wybrać się z nami na plażę - zasugerowała taktownie Susan.

George wziął ją za rękę.

- Doskonały pomysł, zaprosimy też Alice.

Jutro rano chciałbym pokazać dzieciakom farmę, więc moglibyśmy przyjechać tu tutaj wczesnym popołudniem i zabrać z sobą podwieczorek, co wy na to?

Uradowane dzieci pobiegły do ścieżki, przeskakując wzdłużki piasku i płosząc mewy, które z dzikim krzykiem podrywały się w powietrze.

Susan spakowała rzeczy, zastanawiając się, czy nie powinna po wiedzieć George'owi o spotkaniu z Ritą w sklepie.

Teraz było już na to trochę za późno, mógłby pomyśleć, że celowo przemilczała tę sprawę.

- Cudownie spędziliśmy dzień, kochany.

- Zamknęła kosz i wzięła koce od męża.

George uśmiechnął się do niej i skinął głową.

- Zapomniałem już, jak pięknie jest nad morzem - odparł z westchnieniem, ogarniając wzrokiem plażę.

- Dla dzieci to prawdziwa sielanka...

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że dora stałem w niezwykłym miejscu.

Było nam tu jak w raju...

- Potrafię to sobie wyobrazić.

- Dziwnie się czuję, kiedy patrzę na Charliego i Avę, bo przy pomijają mi Alice i mnie samego.

Tak samo jak oni biegaliśmy po plaży i zanurzaliśmy palce w tych małych skalnych basenach...

- Będą to robić, dopóki jakiś krab ich nie uszczypnie - zaśmiała się Susan.

- Dzieci szybko przyzwyczajają się do nowych warunków i za jakiś czas Argentyna stanie się dla nich tylko ciepłym wspomnieniem, do którego zawsze będą mogli sięgnąć.

Nam będzie znacząco trudniej...

Susan objęła go i wspięła się na palce, żeby musnąć wargami je go policzek.

- Ale w końcu my także przywykniemy do Frogal Point.

Przeprowadzałam się w życiu tyle razy, że straciłam już rachubę Kiedy przeniesiemy się do własnego domu, wszystko jakoś się

ułoży, zobaczysz.

Opuści nas poczucie, że nie mamy żadnych ko rzeni...

- I kiedy zacznę pracować - dodał George, który doskonale wiedział, jak wielką pociechę można znaleźć w ciężkiej pracy.

- Ojciec byłby zadowolony, że jesteśmy tutaj i w razie czego zaopie kujemy się mamą.

On nigdy się nie zastanawiał nad możliwością opuszczenia Frogmal Point, dla niego wszystko, co kochał, znaj dowowało się właśnie tutaj...

Mam nadzieję, że my też znajdziemy tu radość życia...

Kiedy zmierzali w kierunku ścieżki, George nie zdołał się po wstrzymać i spojrzął na porośniętą wysoką morską trawą skałę, za którą kryło się wejście do małej jaskini.

Nagle ogarnęło go zacie kawienie, czy jej wnętrze wciąż wygląda tak samo.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że może w wilgotnej ciemności wspomnie nia są silniejsze niż gdziekolwiek indziej.

Odwrócił się do Susan i już miał zaproponować, żeby zajrzeli do jaskini, ale intuicja pod powiedziała mu, że zrobi lepiej, zachowując pewne sprawy dla siebie.

Susan zrezygnowała z wielu rzeczy, decydując się na przepro wadzkę do Frogmal Point, więc w żadnym razie nie powinien pokazywać jej miejsca, w którym wciąż żywa była obecność Rity.

Postanowił, że któregoś dnia wieczorem przyjdzie tu sam, zapali papierosa i posłucha ech przeszłości.

Faye wykorzystała nieobecność George'a i Susan, aby odwiedzić Tadeusza.

Zaparkowała land-rovera w górnej części alejki i pieszo pokonała niewielką odległość, dzielącą ją od jego domu, aby nie bu dzić niczych podejrzeń.

Tadeusz stał przy drzwiach, zupełnie jak by czekał tam na nią od dnia śmierci Treesa.

Objął ją bez słowa, a potem wprowadził do środka, gdzie płonący w kominku ogień rzucał radosne cienie na ściany.

Faye po raz pierwszy rozplakała się bez poczucia winy i wstydu, ponieważ w objęciach Tadeusza wresz cie mogła rzucić z siebie przygniatający ją ciężar.

Nie czuła się już samotna, a tępy ból w sercu malał wraz z każdą łagodną pieszczotą i każdym czułym słowem.

Stare oczy Tadeusza patrzyły na nią z całą kowitym zrozumieniem i Faye nagle pojęła, że mimo wszystkich wysiłków nigdy nie mogłaby wyrzec się ukochanego.

Tadeusz był częścią jej ciała w nie mniejszym stopniu niż podstawowe organy, których działanie utrzymywało jej organizm przy życiu.

373 .

Następnego dnia zajęła swoje miejsce w kościelnej ławce z pod niesioną głową.

Nadal nosiła żałobę, ale jej serce płonęło bez wstydnych szkarłatów.

Uśmiechała się lekko, bo czuła, jak miłość Tadeusza ogarnia ją całą niczym ogień.

Nikt jednak nie przyglądał się Faye, ponieważ wszyscy wpatrywali się w George'a i ko bietę, dla której porzucił Ritę.

Spojrzenia mieszkańców Frogmal Point pełne były ciekawości, czemu nie należało się dziwić, lecz Faye, która na chwilę oderwała się od myśli o Tadeuszu, uświa- !

domiła sobie, że w powietrzu wyczuwa się niechęć.

Miała nadzieję, że George niczego nie zauważył, ale była to nadzieja złudna, gdyż zgromadzeni w kościele ludzie aż wychylali się z ławek, aby przyjrzeć się Susan.

Faye skupiła uwagę na Hannie i Humphreyu, i zaczęła się zastanawiać, czy teraz, po powrocie George'a, wszystkie ich pretensje i żale znowu odżyją.

Zauważyła, że Rita nie przyjechała.

Hanna co jakiś czas niespokojnie zerkała na pu ste miejsce w rodzinnej ławce.

Rita nigdy nie opuszczała nie dzielnego nabożeństwa.

Maddie i Harry siedzieli obok trojga swoich dzieci, które nie spuszczały wzroku z Charliego i Avy.

Kiedy Charlie pochwycił spojrzenie Daisy, dziewczynka uśmiechnęła się do niego szeroko, co zupełnie go rozbroiło.

Czternastoletnia Daisy, mniejsza kopia Maddie, była aż zbyt świadoma, jaką przewagę nad innymi dziewczętami daje jej ład na buzia, długie rude włosy i błyszczące niebieskie oczy.

Charlie, który w mgnieniu oka znalazł się pod wpływem jej wielkiego uroku, z zażenowaniem utknął wzrok w otwartym modlitewniku.

Miał nadzieję, że po zakończeniu nabożeństwa nie będzie musiał

rozmawiać z tą śliczną dziewczynką...

George zajęty rozglądaniem się za Rita nie zauważył ani zaciekawionych spojrzeń, ani wyczuwalnej w kościele niechęci.

Do szedł do wniosku, że gdyby nadal mieszkała we Frogmal Point, na pewno przysztaby do kościoła, i ta myśl napełniła go nieoczekiwanym smutkiem.

Kiedy Maddie uśmiechnęła się do niego serdecznie, odpowiedział jej z prawdziwą wdzięcznością.

Wielebny Hammond bardzo się postarzał - coraz częściej się powtarzał i gu bił watek.

Panna Hogmier niechętnie zrezygnowała z obowiązku gry na organach, ale artretyzm w końcu ją pokonał.

Pogrzeb Treesa był jej ostatnim występem.

Teraz siedziała w pierwszej ławce,

nieustannie demonstrując swoją pobożność.

Wstawiała i klękała chwilę przed wszystkimi pozostałymi uczestnikami nabożeństwa, pragnąc pokazać, że najlepiej orientuje się we wszystkim, co dzieje się w kościele.

Śpiewała głośniejszym głosem niż Hanna, która nigdy nie oszczędzała gardła, i fałszowała tak wyraźnie, że w pewnej chwili Charlie i Ava zaczęli chichotać razem z Freddie, Daisy i Elsbeth, nagle połączeni więzią wspólnego wesołości.

Susan, która aż zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z wymierzonej w nią antypatii, z wysoko podniesioną głową pogardliwie odpowiadała na zaciekawione spojrzenia.

Czuła się zagubiona i niepewna, bo przecież ostatnie siedemnaście lat spędziła na ar gentyńskim ranczu, gdzie wszyscy ją znali i nie zwracali najmniejszej uwagi na bliźnię, tymczasem tutaj nie wiedziała nawet, czy ktoś patrzy na nią z powodu jej twarzy, czy też chcą wiedzieć, jak wygląda nierządniczka, która ukradła ich chłopca.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, natarczywe spojrzenia mieszkańców Fro gnał Point uważała za obraźliwe i niegrzeczne.

Odetchnęła dopiero wtedy, gdy wszyscy odwrócili wzrok, zaskoczeni i pokonani wyrazem dumnej nieustępliwości, malującym się na jej twarzy.

Po nabożeństwie, kiedy George zmierzał już do wyjścia, Maddie przepchnęła się przez tłum, aby go uściskać.

- Witaj w domu! - zawołała, całując go serdecznie.

-Widzę, że

nasze dzieci już się zaprzyjaźniły - dodała, poklepując po głowie

najmłodszą córkę, dwunastoletnią Elsbeth.

George odwrócił się i zobaczył, jak Charlie i Ava oddalają się

z grupką innych dzieci.

- Jestem pewna, że będą się świetnie bawić - ciągnęła Maddie.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że w końcu jednak przyjeżdżacie!

Susan uśmiechnęła się z ulgą, ucieszona nieoczekiwaną serdecznością i szczerością Maddie.

Zauważyła, że kiedy szli śród kiem nawy, ludzie rozstępowali się, jakby bali się, że zarazi ich ja kąś chorobą.

Nagle poczuła czyjąś dłoń na swoim ramieniu, odwróciła się i zobaczyła wysoką kobietę o siwiejących rudych

włosach.

- Pozwoli pani, że się przedstawię - odezwała się kobieta

z uśmiechem, który uniósł do góry kąciki jej pełnych, pięknych

575 .

warg.

- Mam na imię Antoinette i jestem...

Och, to trochę skonie plikowane, ponieważ nie jestem spokrewniona z George'em, al<sup>o</sup> mato brakowało, a zostałabym jego ciotką przez małżeństwo, czy wieście zanim pani pojawiła się w jego życiu...

Chciałabym bardzo serdecznie powitać panią we Frognał Point.

- Antoinette wyciąg, nęła smukłą, zadbaną dłoń, utkwiła w twarzy Susan spojrzenie koi, cich oczu i konfidencjonalnie zniżyła głos.

- Nie jest to miejscem wość, w której wiele się dzieje, dlatego sporo czasu spędzam!

w moim domu w Londynie, ale Frognał Point ma specyficzny, wiejski urok.

Kiedy ludzie trochę się z panią oswoją, na pewno przyjmą panią z otwartymi ramionami.

Rita cieszy się ogromną i sympatią większości mieszkańców, więc mają za złe George'owi, że porzucił ją dla pani, ja jednak uważam, że ona była dla niego zbyt!

niedojrzała...

Jeżeli zacznie pani dokuczać samotność, proszę ko- ij niecznie do mnie wpaść, mieszkam naprawdę niedaleko....

Podawał Susan białą wizytówkę z jasnoniebieskim wydrukiem.

- Dziękuję, Antoinette - odparła chłodno Susan, na której przesłodzony urok starszej kobiety nie zrobił najmniejszego wra żenia.

Antoinette wyszła na słońce, zadowolona, że zaprzyjaźniła się z żoną George'a.

Wszyscy tyle mówili o Susan, ale nikt nie wie dział, skąd wzięła się na jej twarzy ta straszna blizna.

Antoinette postawiła sobie za punkt honoru, aby jak najszybciej odkryć tę ta jemnicę.

Biedne stworzenie, pomyślała złośliwie.

Uroda jest tak cennym darem losu...

Susan dołączyła do George'a, który wciąż rozmawiał z Maddie oraz Harrym.

W pewnej chwili pochwyciła spojrzenie Hanny, kto ra zastanawiała się, czy podejść i przywitać się z George'em i jego żoną, czy też nie.

Hanna z jednej strony miała serdecznie dosyć nierozsądnego postępowania Rity, a z drugiej mimo wszystko czu ła się związana matczyną lojalnością.

Zbliżyła się dopiero wtedy, gdy George spojrzął na nią i w jego twarzy rozpoznała chłopca, którego dawno temu dobrze znała.

Nagle zrobiło jej się go żal - powrót do pełnego wspomnień Frogmal Point z pewnością nie był dla niego łatwy.

- Dzień dobry, George...

- powiedziała, kładąc na moment dłoń na jego ramieniu.

- Witaj w domu...

Szczerze ci współczuję

i76

z powodu śmierci ojca, jego odejście to naprawdę wielka strata, zresztą nie tylko dla ciebie...

George poczuł ogromną ulgę, że Hanna nie ma do niego pretensji.

Pragnął zapytać ją o Ritę, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Nie miał pojęcia, jak przełamać mur milczenia - nikt nie wspominał przy nim o Ricie, zupełnie jakby przestała istnieć.

- Słyszałam, że macie zamieszkać w mniejszym domu na farmie - ciągnęła Hanna, usiłując zachowywać się zupełnie naturalnie.

- Tak, będę czuł się trochę dziwnie, patrząc z boku na dom, w którym dorastałem, ale z czasem przywyknę.

- Uśmiechnął się.

- Masz urocze dzieci.

Widzę, że już zaprzyjaźniły się z moimi wnukami.

- Ile masz wnucząt?

- Tę trójkę i dwoje dzieci Eddie, która mieszka w Południowej

Afryce...

- Zawsze uwielbiała zwierzęta - zauważył George.

- Otóż to!

- Hanna się zaśmiała.

- Okazało się jednak, że z chwilą, gdy zobaczyła lwa, przestała interesować się nietopie rzami...

George niecierpliwie czekał, co powie dalej.



- Jeśli chodzi o Ritę, to...

- zaczęła Hanna.

W tej samej chwili Susan pożegnała się z Maddie i Harrym, i odwróciła do męża, pragnąc włączyć się do prowadzonej przez niego rozmowy.

Gdy Hanna zawiesiła głos, rozczarowany George wstrzymał oddech.

Dałby wiele, żeby Hanna skończyła zdanie i zaspokoila jego ciekawość.

Jeśli chodzi o Ritę, to co, pomyślał z bezradnym zniecierpliwieniem.

Umarła?

Urodziła czwórkę dzieci?

Wyjechała na stałe?

Ale szybko się opanował i otoczył Susan ramieniem.

- Pozwól, że przedstawię ci moją żonę, Susan - powiedział do

Hanny.

Hanna zbladła i cofnęła się o krok.

- Dzień dobry...

- wykrztusiła niepewnie.

Zaraz potem zakończyła rozmowę i odeszła.

Susan spojrzała na

George'a.

- To matka Rity, tak?

377 .

Kiwnął głową.

- Przykro mi, że nadal nie pogodziła się z sytuacją.

Kochany,

muszę ci coś wyznać...

Była już gotowa opowiedzieć George'owi o spotkaniu z Ritą

w sklepie, kiedy z tyłu podeszli do nich wielebny Hammond i panna Hogmier, niczym para wiejskich urzędników, którzy z wielkim poczuciem odpowiedzialności witają wszystkich, którzy ;

odwiedzają ich miejscowość, j

- My już się poznałyśmy - rzuciła panna Hogmier, patrząc na i

Susan.

Żona George'a poczuła, jak nagle ogarnia ją fala złości.

- Widziałyśmy się tylko przelotnie, w sklepie - odparła z wy muszoną uprzejmością.

- Ale mnie jeszcze pani nie zna - wtrącił wielebny Hammond,

wyciągając do niej dużą, spoconą dłoń.

Susan uścisnęła ją z uczuciem głębokiej niechęci.

- Bardzo mile nabożeństwo - powiedziała, pragnąc odwrócić uwagę panny Hogmier od ich pierwszego spotkania.

- Dziękuję, cieszę się, że odniosła pani takie wrażenie.

Prowa dzę tę parafię od wielu lat, więc mam pewne doświadczenie, ale , zawsze miło jest dowiedzieć się z ust innych, że człowiek dobrze , wykonuje swoją pracę.

Znam George'a od dziecka.

Ach, jak ten czas leci...

Od ilu lat jestem we Frognał Point, June?

- zwrócił się

do panny Hogmier.

Staruszka zmarszczyła brwi.

- Pamięć mnie zawodzi...

- poskarżyła się zrzędlwym głosem.

- Chyba od czterdziestu, Elwynie...

Cóż, nie dość, że tracę sprawność stawów, to jeszcze ta sama przypadłość dotyka mój umysł...

- Już jako małe dziecko przychodziłem po zakupy do pani sklepu - powiedział George, starając się sprawić jej przyjemność.

- Tak jest.

- Panna Hogmier pokiwała głową.

- Wszystkich klientów znam z imienia i nazwiska, tak, tak...

We Frogmal Point mieszka mnóstwo dobrych ludzi i większość z nich docenia to, co

dla nich robię...

Utkwiła twarde, świdrujące spojrzenie w twarzy Susan.

- Cieszę się, że mogliśmy chwilę porozmawiać.

- George zrobił krok do tyłu.

- Musimy już wracać na lunch...

Panna Hogmier chwyciła go za rękaw marynarki.

Susan wstrzymała oddech.

- A co będzie z Ritą?

- zapytała stara kobieta.

- Kiedy zobaczyła swoją żonę, zakupy wypadły jej z rąk.

Gdy zerwał się zaręczyny, biedaczka strasznie to przeżyła i do dziś nie doszła do siebie...

Mieszka sama, całkiem na uboczu.

Ja jedna wiem, jak to jest, kiedy nie ma się nikogo naprawdę bliskiego...

Kto by pomyślał, że Ritą skończy jako stara panną? Byłam pewna, że to wyłącznie mój

przywilej...

George wziął Susan za rękę.

- Ależ tak, z pewnością - powiedział.

- Ritą jest zbyt wielko duszna, aby panią go pozbawić, proszę się nie niepokoić...

Uśmiechnął się tak czarująco, że panna Hogmier nie wiedziała, czy przyjąć jego słowa jako pochlebstwo, czy obrazę.

Niespo dziewanie zbity z tropu, poprawiła językiem sztuczną szczękę

i z rozczarowaniem pokręciła głową.

- Właśnie miałam ci o tym powiedzieć, kochanie - odezwała

się Susan, kiedy szli ścieżką przez łąkę, na której końcu ich dzie ci bawiły się z Freddie, Daisy i Elsbeth.

- Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia!

Cóż to za po tworna stara plotkara...

Oboje roześmiali się, chociaż George czuł się tak, jakby panna

Hogmier przed chwilą wymierzyła mu mocny cios prosto w splot słoneczny.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Tej nocy George ostrożnie podniósł się z łóżka, zostawiając w nim mocno śpiącą Susan, i na palcach zszedł po schodach.

Zdjął z wieszaka starą kurtkę ojca i zarzucił na ramiona.

Materiał wciąż pachniał jego ojcem, mieszanką kurzu, wiatru i własnego zapachu Treesa.

George wziął ze stołu w kuchni papierosy i zapalniczkę!

i wyszedł na taras.

Ku swemu zaskoczeniu ujrzał skuloną na jednym z wilgotnych ogrodowych krzeseł matkę, która trzymała w obu dłoniach parujący kubek z mlekiem.

Jej palce świeciły przez rzystą bielą w fosforyzującym blasku księżyca.

Kiedy George stał ;

    nął w progu, podniosła wzrok, w którym nie było ani odrobiny ;

    zdumienia.

W przeszłości często spotykali się tutaj w środku nocy, bo nie mogli zasnąć lub otrząsnąć się z nocnego koszmaru.

    - Wszystko w porządku?

- zapytała Faye, gdy przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

Oparł łokcie na kolanach i ciężko westchnął.

    - Opowiedz mi o Ricie - poprosił, wtykając papierosa między wargi i błyskając płomieniem zapalniczki.

    - Nie mówiłam ci o niej wcześniej, żebyś nie miał wyrzutów sumienia.

    - I tak je mam - odparł George.

- Chcę wiedzieć, co się z nią dzieje.

Nadal jest dla mnie bliską osobą...

    380

    Dmuchnął obłokiem dymu jak łagodny smok.

    Bał się przyznać, jak bardzo Rita jest mu bliska, nawet sam przed sobą.

    - Rita nie wróciła do równowagi po zerwaniu zaręczyn, taka jest przykra prawda...

George patrzył na ogród, zasypany liśćmi, które szeleściły na wietrze i tu i ówdzie połyskiwały w świetle księżyca.

- Susan widziała ją w sklepie.

Rita tak się zdenerwowała, że upuściła torbę z zakupami, w każdym razie tak utrzymuje panna Hogmier.

- Nie wierzysz chyba we wszystko, co gada ta stara plot kara...

- Czy Rita rzeczywiście mieszka sama?

- Cóż, ma psa...

- Gdzie mieszka?

- zapytał po chwili milczenia.

- Po drugiej stronie Bray Cove.

Pracuje w bibliotece.

- Nadal?

- George był wstrząśnięty, że Rita pozwoliła, aby w jej życiu zapanowała kompletna stagnacja.

- Tak, tyle że teraz jest kierowniczką.

Widzisz, ona nie obnosi się ze swoim nieszczęściem, wręcz odwrotnie, jest bardzo aktyw na i zajmuje się organizowaniem rozmaitych imprez kulturalnych.

Przez Maksę poznała wielu interesujących autorów i często zaprasza ich do Frogmal Point.

Max ma mnóstwo znajomości, na wet sobie nie wyobrażasz.

Świetnie sobie radzi.

I pomyśleć, że przyjechał tu jako osierocone dziecko, bez grosza przy duszy...

Zrobił prawdziwą karierę w radiu, a teraz został reżyserem i producentem telewizyjnym.

To bardzo utalentowany młody człowiek, najlepszy produkt eksportowy Frogmal Point...

George poczuł wyraźne ukłucie zazdrości.

Więc mały Max do rósł i odniósł wielki sukces...

- Ożenił się?

- Nie, chociaż czasopisma ciągle publikują jego zdjęcia z ładnymi dziewczynami.

Myślę jednak, że z czasem znajdzie sobie kożo i założy rodzinę.

Uchodźcy noszą w sobie gęęboko zranione dusze, mój drogi...

- Westchnęła.

Myślała o Tadeuszu i jego tragicznej przeszłości.

- Potrzebują wyjątkowych kobiet.

Mam nadzieję, że Max znajdzie szczęście, bo z pewnością na to zasługuje.

Bardzo dużo robi dla ludzi.

381 .

George postanowił skłonić matkę, aby wróciła do poprzednie go tematu.

- Czy Rita wciąż rzeźbi?

- Tak.

Muszę przyznać, że jest naprawdę dobra.

Nie sądziłam, że ma taki talent, ale nieszczęście potrafi wydobyć z człowieka niezwykle zdolności...

- Pomyślała, że sama wie o tym najlepiej, bo jej najlepsze prace zainspirowane zostały tęsknotą za Tade uszem i śmiercią Treesa.

- Dlaczego nie przyszła do kościoła?

- zapytał George.

- Daw niej nigdy nie opuszczała niedzielne go nabożeństwa...

Faye napiła się mleka.

- Sądzę, że nie chciała się z tobą zobaczyć - odparła powoli.

- Tak myślisz?

- George popatrzył na nią z wyrazem bólu w oczach.

- Może gdybyś wrócił sam...

Ale jest inaczej i nie powinieneś się dziwić, że nie chce widzieć ciebie z Susan.

Nie zapominaj, że ona wciąż cierpi.

- Wciąż cierpi?

Po tych wszystkich latach?

- Z niedowierza niem potrząsnął głową.

Nie spodziewał się, że Rita tak długo pozostanie mu wierna.

Przypomniał sobie słowa panny Hogmier i serce ścisnęło mu się z bólu, lecz zaraz potem ogarnęło go uczucie satysfakcji, że mimo upływu czasu Rita nigdy nie przestała do niego należeć.

Faye położyła rękę na jego ramieniu i nagle drgnęła, ponieważ znajomy dotyk i zapach kurtki Treesa obudził w jej sercu głęboki żal.

- Zostaw ją w spokoju - poradziła cicho.

- Tak będzie lepiej...

- Nie mam wyboru...



- westchnął, chociaż w głębi serca wcale nie zamierzał usłuchać matki.

- Dlaczego siedzisz tutaj, mamó?

Tęsknisz za tatą?

- Włożyłeś jego kurtkę...

- szepnęła, lekko gładząc futrzany kołnierz.

- Nie wyrzuciłam żadnej jego rzeczy.

Gdyby coś było ci potrzebne, bierz, synku.

- Jeszcze na to za wcześnie, nie czułbym się z tym dobrze.

Czy zgodzisz się, żebym zajął się jego orzechami?

- Oczywiście - uśmiechnęła się - sama chętnie bym to zrobiła, ale nie wiem, jak...

382

- Ojciec kochał te drzewa.

- I jedno z nich go zabiło.

Wiesz, coraz częściej brakuje mi jego towarzystwa.

Tak naprawdę doceniamy ludzi dopiero wtedy, kiedy od nas odchodzą...

Zdarzało się, że oboje z ojcem nie rozmawialiśmy przez kilka dni, ale ja zawsze czułam przy sobie jego ciepłą obecność i nigdy nie dokuczała mi samotność, chociaż cza sami byłam sama.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Niezupełnie.

- George uśmiechnął się lekko.

Faye pragnęła powiedzieć mu o Tadeuszu i o tym, jak przebywanie z kochankiem dawało jej satysfakcję w tych sferach życia, które całkowicie lekceważył Trees, ale nie zdobyła się na szczere roś.

- Czasami nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że twój ojciec kochał te głupie drzewa mocniej niż mnie.

Wyobrażasz sobie, że kobieta może być zazdrosna o drzewa?

Teraz to wszystko wydaje mi się po prostu śmieszne...

- Nieprawda, to wcale nie jest śmieszne.

- George pokręcił głową.

Nagle pamięć podsunęła mu obraz Faye, jadącej gdzieś na rowerze w środku nocy.

Chciał zapytać ją, gdzie wtedy była, ale powstrzymał się, czując, że powinien poczekać, aż matka sama po wierzy mu swoją tajemnicę.

- Pod koniec jego życia chodziliśmy po domu jak para duchów i prawie w ogóle nie odzywaliśmy się do siebie.

Teraz żałuję, że nie zrobiłam większego wysiłku, aby do niego dotrzeć...

- Nie żałuj, mamo.

Tata wiedział, że go kochałaś.

- Mam nadzieję...

Gdybym była przy nim w chwili jego śmierci, powiedziałabym mu o tym, ale...

- Gdzie wtedy byłaś?

- zapytał nagle, wyczuwając głęboki niepokój matki.

Zawahała się, potarła dłonią szyję i postawiła kubek na ogrodowym stole.

George odniósł wrażenie, że ziemia zadygotała pod jego stopami.

- Skończyłam rzeźbę na zamówienie pewnego starego człowieka z wioski i zawiozłam mu ją do domu...

Zapanowało długie milczenie.

George powoli poskładał fragmenty układanki.

- Jak on się nazywa?

Wstrzymała oddech.

Wiedziała, że syn odkrył jej tajemnicę.

- Tadeusz Waliszewski.

George skinął głową.

To nazwisko nie było mu obce, chociaż ni gdy nie poznał Tadeusza osobiście, podobnie jak większość miesz kańców Frognał Point.

- Jesteś w nim zakochana, prawda?

Faye znieruchomiła.

- Tak - szepnęła wreszcie.

Teraz wszystko było już jasne.

George zrozumiał, że trwałość małżeństwa jego rodziców okazała się iluzoryczna.

Kiedy był dzieckiem, wydawało mu się, że łącząca ich więź jest mocna, nie rozerwalna, lecz dziś, jako dorosły mężczyzna, dobrze widział pęknięcia, które pojawiły się na ogniwach.

Nie winił matki za to, że szukała miłości gdzie indziej.

Jak mógłby ją sądzić, kimże był, żeby ją potępiać...

Sam popełnił podobny grzech.

Jego matka ko chała Treesa i Tadeusza...

George zaczynał już pojmować, że moż na kochać dwie osoby jednocześnie, z zupełnie odmiennych przy czyn i na różne sposoby.

Kochał Susan, a jednak, od chwili powrotu do Frognał Point, ta częśćka jego serca, która od lat po zostawała w uśpieniu, powoli budziła się do życia.

Minęło kilka tygodni.

George był coraz bardziej zajęty nadzo rowaniem farmy i prowadzeniem interesów; musiał uczyć się wie lu rzeczy, ponieważ od zakończenia wojny dużo się zmieniło.

Od wczesnego ranka chodził po farmie w roboczych niebieskich spodniach na szelkach, z rękami i włosami pokrytymi warstwą kurzu, i z tęsknotą wspominał pracę na ranczu Jose Antonia i ciot ki Agathy.

Jeździł land-roverem, razem z Cyrilem sprawdzając stan pól i od nowa zapoznając się z posiadłością, którą odziedzi czył.

Nie bał się żadnej pracy.

Siadał za kierownicą ciągnika, za miatał podłogi, naprawiał zepsute sprzęty i maszyny, karmił zwierzęta i zmieniał im ściótkę.

Często wracał myślami do lat, kiedy jako młody chłopak pracował u boku ojca, i szczerze żałował, że nie było go na farmie, gdy Trees kupił nowoczesny kombajn zbożowy firmy Massey Ferguson.

- Był z niego bardzo dumny - powiedział mu Cyril, gładząc zieloną metalową obudowę maszyny, jakby miał przed sobą po- i

384

słuszne zwierzę.

- Młóci ziarno jak szalony, pracuje za dwunastu ludzi.

Pan Trees zawsze się uśmiechał, kiedy siadał za kierownicą tego cacuszka...

Dzieci poszły do szkoły.

Codziennie rano wybiegały z domu, że by po drodze spotkać się z Freddie, Daisy oraz Elsbeth, i wyglądało na to, że wcale nie tęsknią za słoneczną równiną Cordoby.

Przeprowadzkę najgorzej zniosła Susan, która czuła się obco we Frogmal Point.

Wrogość, jaką wyczuła wokół siebie w kościele, to warczyła jej także na farmie.

Faye i Alice dokładały wysiłków, aby okazać jej sympatię, lecz Susan wciąż miała wrażenie, że obserwuje je przez grubą tafłę szkła.

Nie pasowała do tego wilgotnego, wietrznego wybrzeża.

Nie lubiła żeglować, bo kołysanie łodzi przyprawiało ją o mdłości, i nienawidziła zimna.

Pikniki na plaży szybko straciły dla niej cały urok.

Piasek dostawał się nie tylko do kanapek, ale także pod ubranie i drażnił skórę.

Tęskniła za Agathą i Jose Antoniem, których serdeczność ogrzewała jej serce w takim samym stopniu jak gorące argentyńskie słońce.

W końcu z Buenos Aires dotarł transport mebli George'a i Susan, i cała czwórka mogła przeprowadzić się do mniejszego domu.

Susan myślała początkowo, że kiedy zajmie się urządzaniem własnych kątów, łatwiej jej będzie zaakceptować nowe miejsce i styl życia, więc z uczuciem nieprzyjemnego déjà vu szorowała podłogi, malowała ściany i szyła zasłony na maszynie Alice.

Nie miała czasu rozmyślać o Ricie.

Nikt nie wymieniał imienia dawnej na rzeczonyj George'a, nigdy też więcej nie spotkała jej w wiosce.

Z czasem ukryła mroczne cienie swojego nowego życia pod me blami i dywanami, którymi przykryła podłogę, przekształcając nieco zaniedbany budynek w ciepły i elegancko urządzony dom.

Pewnego wieczoru, kiedy Susan zabrała dzieci na wizytę do pa ni Megalith, George wykorzystał okazję i wybrał się na samotny spacer po klifach.

Poszedł do jaskini, która była dla niego symbolem wszystkiego, co kiedyś kochał i porzucił.

Spędził tam niezwykle, czarowne godziny.

Zachodzące słońce barwiło niebo i pola na głęboki, ostry odcień różu, morze falowało jak tafla roztopionej miedzi.

Ogarnięty nostalgią, niespiesznie szedł w kierunku skał, Przez które kiedyś przenośli Ritę.

Kipiała w nich wtedy radość życia i żadne nie podejrzewało, że ich uczucie umrze razem z latem.

Czul, że tamten okres jest jak zamknięty rozdział.

Może kiedyś!

podzieli się z dziećmi swoimi przeżyciami z okresu wojny, może kiedyś Chanie zacznie obserwować ptaki i zapragnie nauczyć się latać, tak jak on wiele lat temu, a może ich zainteresowania zawsze będą całkowicie odmienne, kto wie...

George nie oczekiwał, aby Charlie i Ava żyli jego życiem, i

Przeskoczył przez pas mokrego piasku między skałami i wej-1 ściem do jaskini.

Widok szerokiego pęknięcia w skale dawno;

temu zawsze przyprawiał go o szybkie bicie serca, lecz teraz spr- j wiatono smutne wrażenie, wyglądało na zaniedbane i zarośnię-; te.

Wnętrze jaskini było ciemne, zimne i puste.

Kiedyś powietrze pachniało tu Ritą, nawet wtedy, gdy George był sam.

W tamtym j czasie czuł jej obecność tak wyraźnie i mocno, jakby ciepło jej ciała nasyciło skalne ściany, jakby cała jaskinia oddychała, ale, teraz miał wrażenie, że jest tu nieproszonym gościem.

Dobrej duchy, które dawniej zamieszkiwały jaskinię, spakowały się,!

i odeszły.

George pragnął zobaczyć Ritę.

Chciał porozmawiać o przeszło- j ści, przeprosić ją, powiedzieć, że nigdy nie zamierzał jej zranić.

Kochał i szanował Susan, która doskonale go rozumiała i była równorzędną partnerką w udanym związku, jaki wspólnie stworzyli, lecz równocześnie tęsknił za chłopcem, którym kiedyś był, i za Ritą, nieodłączną towarzyszką tamtego młodego człowieka.

;j

Rozejrzał się dookoła, wspominając intymne chwile, do których celowo nie wracał przez ponad piętnaście lat.

Teraz obrazy przeszłości opadły go ze wszystkich stron, odbierając poczucie perspektywy i dystansu.

Pamiętał smak ust Rity, miękką niewin-1 ność jej skóry, kiedy przesuwał dłonią po jej udzie, oraz dźwięcz-, ny śmiech, z jakim odrzucała głowę do tyłu, poddając białą szyję' jego pocałunkom.

Poczuł aromat fiołków, połączony z zapachem morskich wodorostów, i nagle jego duszę rozdarła głęboka, natar-: czywa tęsknota, j

W pewnej chwili dostrzegł jakiś błyszczący przedmiot, prawie!

całkowicie zagrzebany w piasku, który fala przyływu niosła pod';

tylną ścianę jaskini.

Podniósł się, czubkiem buta rozgarnął piasek;, i schylił się.

Natychmiast poznał srebrną gołębicę, którą kupił dla.

Rity na pokładzie statku "Fortuna".

Powoli ruszył w stronę ścieżki prowadzącej na klify.

Wisiołek palił mu dłoń.

Nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego go związane z Ritą wspomnienia tak go dręczyły.

Zdecydował się zerwać zaręczyny, poślubić Susan i rozpocząć nowe życie na dru gim końcu świata, i nigdy nie żałował, że to uczynił, lecz teraz, od kąd wrócił do Frogmal Point, wciąż tęsknił za Ritą.

Pani Megalith ze zdziwieniem odebrała telefon od Susan.

Żo na George'a rozmawiała z nią nieco sztywno, miała jednak melo dyjny, mity głos i akcent, który zupełnie nie pasował do zwyczaj nej wioski w Devonie, i właśnie to obudziło ciekawość starszej pani.

Kiedy Susan przyjechała z dziećmi do Elvestree, pani Megalith, w płaszczu i wysokich butach, brodziła wśród suchych liści w ogrodzie.

Susan kilka razy nacisnęła dzwonek przy bramie, a gdy nikt nie odpowiedział, obeszła dom dookoła.

Ogród przy pomiął jedną wielką egzotyczną ptaszarnię.

Ptaki unosiły się w powietrzu, turkocząc skrzydłami, połyskującymi w bursztyno wym świetle ostatnich promieni słońca, siedziały na ziemi, sku biąc liście, skakały po trawie i wesoło ćwierkały do siebie.

Dzień przygasał, otaczając drzewa intensywną, różową poświatą i malując liście niezwykłym odcieniem głębokiej czerwieni.

Nawet Charlie i Ava przystanęli, oszołomieni niezwykłym widokiem.

- Ona naprawdę jest czarownicą...

- mruknął Charlie do siostry.

- Ciii...

- skarciła go matka, bojąc się, że starsza pani usłyszy niegrzeczną uwagę i się obrazi.

- Tata tylko żartował, to niepraw da - dodała.

Charlie przewrócił oczami.

Gdy pani Megalith przemówiła, wszyscy troje podskoczyli ner wowo jak przestraszone owce.

- Ach, to pani, Susan!

Czy to nie wspaniały widok?

Proszę tył ko popatrzeć!

- zawołała, kuśtykając ku nim z pomocą laski.

- Uwielbiam tę porę dnia!

Cudownie jest przyglądać się, jak pierza ste stworzenia przygotowują się do snu...

Susan miała wrażenie, że ptaki wcale nie szykują się jeszcze do snu, ale uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.



- Cieszę się, że wreszcie mogę poznać panią osobiście - powie działa.

- A to moje dzieci, Charlie i Ava.

- Zawsze bardzo się cieszę, kiedy sprawy układają się zgodnie z planem - oznajmiła pani Megalith głębokim głosem.

Poklepała Charliego po głowie, a oczy Avy rozszerzyły się na widok krysz tałów, lśniących na jej starych, pomarszczonych palcach.

- Udał nam się ten przystojny młody człowiek...

Susan roześmiała się, widząc przerażenie, malujące się na twarzy Charliego.

Zamarł bez ruchu i trwał tak, dopóki pani Mega lith nie oderwała dłoni od jego głowy, a potem przecesał palca mi włosy, najwyraźniej tknięty obawą, że coś w nich pozostawiła.

- Ma pani piękny ogród - zachwyciła się szczerze Susan.

- I niesamowity widok na ujście rzeki...

- To jedno z błogosławieństw, jakimi obdarzył mnie los, a w moim wieku człowiek zaczyna wszystkie je doceniać.

Czy już przyzwyczailiście się do Frognał Point?

- Powoli ruszyła w kierunku domu.

Ava i Charlie, zwykle tak rozbiegani, teraz szli za starszą panią jak drużna i paż za panną młodą.

- Jeżeli to może być jakimś pocieszeniem, powiem wam, że ja też nie pochodzę z Frognał Point, a jednak spędziłam tu większą część życia i jestem szczęśliwa - dodała.

- Staramy się zapuścić korzenie - powiedziała Susan.

- Dzieci poszły do szkoły i zawarły pierwsze przyjaźnie, głównie z pani wnukami...

Pani Megalith uniosła brwi i zaczęła się zastanawiać, jak zareaguje na to Rita.

- Przystosowanie do nowych warunków trochę jednak potrwa, zwłaszcza w przypadku George'a - ciągnęła Susan.

- Frognał Point jest jego domem, ale w Argentynie był naprawdę bardzo szczęśliwy.

- George zawsze miał barwną osobowość, jeśli dobrze pamiętam.

- Pani Megalith otworzyła drzwi do zimowego ogrodu.

Z doniczek zwieszały się pędy egzotycznych roślin, po ścianach pięta się winorośl, tworząc na suficie ciasną plątaninę, do złudzenia przypominającą korzenie wielkiego drzewa.

Goście poszli za starszą panią korytarzem do salonu, gdzie w kominku, nad którym

stało mnóstwo zdjęć w pięknych ramach, wesoło trzaskał ogień.

Susan od razu podeszła do kominka i zaczęła przyglądać się zdjęciom, na których uwieczniono przede wszystkim dzieci, wnućki i prawnuki gospodyni.

- Ma pani dużą rodzinę.

Dostrzegła duże zdjęcie Antoinette i od razu zrozumiała, co ta ostatnia miała na myśli, mówiąc, że mało brakowało, by George stał się członkiem jej rodziny.

- Czasami trudno mi z nimi wszystkimi wytrzymać, podobnie jak Królikowi z jego krewnymi i znajomymi.

Nie miała pani oka zjrzeć Maksa, prawda?

- Oczy pani Megalith przybrały nagle jaśniejszy odcień błękitu.

Susan potrząsnęła głową.

- Max to naprawdę niezwykły człowiek, nie tylko przystojny, ale także utalentowany.

Ogromnie utalentowany...

Susan pozwoliła jej snuć opowieść o wychowanku, a sama wyłowiła spośród licznych fotografii zdjęcie Rity.

Z długimi, splecionymi włosami i złocistymi oczami wyglądała na beztroską i szczęśliwą.

Susan zaczęła się zastanawiać, czy ona też zmarnowałaby sobie życie z powodu Johna Haddona, gdyby na jej drodze nie stał George.

- Mojej wnuczki także pani nie zna?

- zagadnęła pani Megalith, gestem zachęcając Charliego i Avę, aby usiedli.

- W głowie zaczyna mi się kręcić, kiedy patrzę na dzieci, które nie mogą znaleźć sobie miejsca.

Możecie wyjść do holu i pobawić się z kotami, moi drodzy.

Kociska będą zachwycone, bo ja nie poświęcam im

dużo uwagi...

Charlie i Ava w milczeniu opuścili pokój.

- Spotkałam ją w sklepie, ale nie zostałyśmy sobie przedstawić - ostrożnie odparła Susan.

- Powinna pani dziękować Bogu, że nie wydrapała pani oczu!

-

prychnęła pani Megalith.

Susan przysiadła na krawędzi ustawionego przy kominku me talowego parawaniku.

- Myślę, że nasze ścieżki już się raczej nie skrzyżują - powie miała.

- Poślubiłam przecież mężczyznę, którego kochała...

o .

- Moja droga, ona wierzy, że nadal go kocha, ale gdyby go te- raz zobaczyła, może wreszcie zdałaby sobie sprawę, że tym uczu-i ciem obdarzyła zupełnie innego mężczyznę.

Ludzie się zmienia-:

ją i dam sobie rękę uciąć, że George nie jest już tym samym ' George'em, z którym dorastała.

Rzeczywistość bywa czasami trud-;

na, ale Rita rzadko ma kontakt ze światem realnym.

Muszę powie-' dzieć, że nie potrafię rozgryźć tej dziewczyny, chociaż posiadani zdolności paranormalne...

:

- Ma pani rację, George jest teraz zupełnie innym człowiekiem - odrzekła Susan spiętym głosem.

- Jako dzieci byli nierozłączni.

- Pani Megalith nie dostrzeg ła, że Susan wolałaby nie rozmawiać o Ricie.

- Ale George został głęboko zraniony przez wojnę, a nasza Rita po prostu padła ofiarą tego kataklizmu.

Hitler ponosi winę za tyle nieszczęść...

Max także jest ofiarą wojny, lecz jakże inną...

Jego tragedia to tragedia całej Europy, gdzie naziści pozbawili życia miliony ludzi.

George uważa, że jego cierpienie było wielkie, ale przecież nie stracił całej rodziny w obozie koncentracyjnym, a właśnie to spotkało Maksa...

- Każde cierpienie jest rzeczą względną - powiedziała Susan, której nie podobały się sugestie starszej pani.

- George stracił przyjaciół i widział przerażające rzeczy.

Te przeżycia prześladują go do dziś...

- Ma szczęście, że znalazł panią.

- Rozumiem go.

- Oczywiście, moja droga.

- Palce pani Megalith zamknęły się wokół księżycowego kamienia.

- Ostatecznie nie jest aż tak bar dzo skomplikowany, prawda?

W tym momencie do salonu wrócili Charlie i Ava.

Oboje uśmiechali się i porozumiewawczo tręcali łokciami.

- Czy pani jest czarownicą?

- zapytał Charlie.

Susan drgnęła, przerażona i zażenowana.

- Jak możesz, Charlie!

- krzyknęła.

Pani Megalith spokojnie patrzyła na chłopca.

- Tak, jestem - odparła z całkowitą powagą.

Ava cofnęła się, wyraźnie przestraszona.

- Rzuca pani czary?

- drążył Charlie.

390

Susan próbowała interweniować, ale starsza pani powstrzymała ją ruchem dłoni.

Od lat nie bawiła się tak dobrze.

- Tak.

- Jakie?

Pani Megalith nachyliła się ku Charliemu.

- Pamiętasz te ptaki w ogrodzie?

- zapytała tajemniczym szepem.

Kiwnął głową.

- Kiedyś wszystkie były wygadanymi chłopcami, takimi jak ty...

- Odwróciła się z uśmiechem do Susan.

- Proszę powiedzieć mężowi, że jeżeli opowiada bzdury, to musi się liczyć z konsekwencjami...

Przez całą drogę do domu Charlie powtarzał, że nie uwierzył starszej pani.

Ava kpiła z naiwności i łatwowierności brata, nato miast Susan prowadziła w milczeniu, nie przestając myśleć o Ri cie.

Wciąż miała przed oczami jasną, lekko zaróżowioną twarz młodej kobiety, której widok przypominał jej, że chociaż chciała by zostać przyjęta do małej społeczności Frogmal Point, to raczej nie może na to liczyć.

Niepokoilo ją także odkrycie nieznanego oblicza człowieka, który był jej mężem.

Ten nieznamy lubił te same rzeczy co Rita i stanowił część Frogmal Point, wioski, do której ona sama zupełnie nie pasowała.

Tego wieczoru zabrała się do sprzątania sypialni.

George brał kąpiel, śpiewając ulubione piosenki gauczów Jose Antonia.

Kie dy Susan wieszala jego spodnie w szafie, w kieszeni coś zabręczało.

Wsunęła rękę do środka i wyjęła srebrny wisiołek, którego ni gdy wcześniej nie widziała.

Serce zabiło jej mocniej i nagle zezłościła się, że ma tak mało pewności siebie.

Gdyby coś takiego zdarzyło się w Argentynie, na pewno wcale by ją to nie zdenerwoowało.

Szybko odzyskała panowanie nad sobą i weszła do łazienki.

Twarc George'a pokryta była kremem do golenia.

Spojrzał na nią wyczekująco, a wtedy ona wyciągnęła przed siebie dłoń, z której zwisała znaleziona ozdoba.

- Co to jest?

- zapytała, starając się powstrzymać drżenie głosu.

- Znalazłem ten wisiołek w jaskini na plaży - odparł nie winnie.

- Naprawdę?

391 .

;',i

- Tak, był prawie zupełnie zagrzebany w piasku.

Pomyślałem,!

że może ci się spodoba, 'l

Susan spojrzała na srebrną ozdobę i wyprostowała się.

Podejrze-i nie nadal tkwiło w jej sercu.

,

- Jak to miło z twojej strony, kochany...

-powiedziała, uważniejl przyglądając się wisiorce.

- Musiała go zgubić jakaś dziewczyna.

To gołębicą, symbol odpowiedni dla młodej osoby, nie sądzisz?' W dodatku takiej, która kocha ptaki...

- Rzuciła George'owi lodo-j watę spojrzenie.

- Dam go Avie.

Wróciła do pokoju i położyła wisiorce na toalecie.

Nie była do:

końca pewna, czy nie zareagowała zbyt mocno.

George przeciągnął żyłką po policzku.

Nagle drgnął i skrzy-';

wił się lekko, gdy ostrze przecięło skórę.

Siedział nieruchomo i patrzył, jak krew powoli kapie do wody.

Rozdział trzydziesty

Tygodnie mijały.

Nadeszła zima, niosąc z sobą zimną mgłę i przejmujące wiatry.

Ava z dumą nosiła wisiorce na krótszym łańcuszku, który kupiła jej Susan.

George raz napomknął, że srebrna ozdoba bardzo mu się podoba, i więcej o niej nie wspominał, Susan natomiast ostro skarciła samą siebie za skłonność do pochopnych wniosków.

Rozpoczęły się ferie i Charlie i Ava spędzali dużo czasu z dziećmi Maddie, bawiąc się na farmie i budując obozowiska w lesie.

Ku zaskoczeniu Susan, Maddie została jej przyjaciółką.

W przeciwieństwie do większości mieszkańców Frogmal Point, nie miała do Susan żadnych pretensji, chociaż właśnie ona mogła czuć do niej uzasadnioną antypatię.

Dla Maddie nie miało znaczenia, że Susan zabrała serce mężczyzny, którego kochała jej siostra.

Nigdy nie rozmawiały o Ricie i po pewnym czasie Susan przestała o niej myśleć.

Odkryła, że wiele ją z Maddie łączy.

Obie miały bezpośrednią naturę i skłonność do pewnego wyrafinowania, którą Maddie odziedziczyła nie wiadomo po kim.

Nie przepadały za plażowymi sportami i rozrywkami, które tak lubili George i Rita, lubiły natomiast siedzieć przy herbacie i spokojnie rozmawiać.

Często zaśmiewały się do łez, kiedy Maddie opowiadała Susan rozmaite historie o okropnej pani Hogmier i ekscentrycznej pani Megalith.

Obie uważały, że wielbny Ham?o?



mond jest potwornym nudziarzem, i zerkają na siebie porozumie wawczo, kiedy w czasie kazania duchowny gubił wątek i zaczynał się powtarzać.

George nie był w stanie zapomnieć o Ricie.

Co tydzień dostrze gał jej nieobecność w kościele i przyłapywał się na tym, że zawsze szuka jej wzrokiem, kiedy spaceruje po plaży lub wspina się na skałki z dziećmi.

Siła wyobraźni sprawiła, że Rita stawała się dla niego coraz ważniejsza, a Frognał Point wydawało mu się bez niej dziwnie okaleczone.

Nie zauważył, że w jego małżeńskie życie po woli wkrada się chłód.

Susan poświęcała teraz większość czasu dzieciom, a on chodził po plaży i szukał swojej przeszłości.

Zobaczył Ritę w sobotę przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy obie rodziny wybrały się nad morze.

Popołudnie było nie przyjemnie zimne - słońce robiło, co mogło, aby roztopić cienką warstwę śniegu, który spadł w nocy, lecz temperatura utrzymywała się w okolicach zera.

George pobiegł do przodu z Charliem, że by pomóc mu kierować tańczącym na wietrze latawcem.

Zachwy cony Charlie zawołał do matki, chcąc zwrócić jej uwagę na swoje zmagania, więc Susan przerwała rozmowę z Harrym i Maddie.

Ale wkrótce George i Chanie odbiegli zbyt daleko, aby mogła się z nimi porozumieć, i stali się dwoma malutkimi sylwetkami na tle pochmurnego nieba.

W końcu, kiedy byli już blisko zatoczki, nad którą znajdowała się jaskinia, wiatr wyszarpnął George'owi sznurek z dłoni.

Przy glądał się bezradnie, jak latawiec triumfalnie szybuje coraz wyżej i wyżej, po to tylko, aby nagle runąć w dół, prosto na skały.

George i Charlie położyli się na brzuchach na krawędzi skały i spojrzeli w dół.

George bezskutecznie usiłował dosięgnąć zaplą tany o ostry kamień sznurek.

- Przepraszam, Charlie - pokręcił głową.

- Lepiej zaczekajmy na Harry'ego, może on wpadnie na jakiś pomysł.

W tej samej chwili jego uwagę zwrócił jakiś ruch na plaży.

Wstrzymał oddech i zmrużył oczy.

Kobieta znajdowała się za da leko, żeby mógł zobaczyć jej twarz, ale nie miał cienia wątpliwo ści, że to Rita.

Powoli podniósł się z ziemi.

- Pobiegnij do nich i powiedz, że straciliśmy latawiec.

Charlie bez wahania spełnił polecenie ojca, zostawiając go samego.

Teraz George mógł w spokoju przyglądać się, jak jego dawna ukochana idzie w jego kierunku, prowadząc dużego, kudłatego psa o złocistej sierści.

Kiedy zbliżyła się, zauważył, że jej długie włosy wyrrywają się spod naciągniętej nisko na czoło wełnianej czapki.

Ubrana w beżowy płaszcz i wysokie gumowce, szła nie spieszenie, z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie.

Miotany wiatrem i niespodziewanym potokiem wspomnień, George patrzył na nią z góry, wiedząc, że za chwilę podniesie wzrok i zobaczy go.

Chciał zbiec ścieżką na plażę, tak jak robił to dawniej, i porozmawiać z nią, ale Susan i pozostali byli już blisko, poganiany przez podekscytowanego Charliego.

George włożył rękę do kieszeni i przygarbił się.

Kiedy tak obserwował Ritę, ogarnął go wielki smutek.

Dość wyraźnie widział już jej pozbawioną wszelkiego wyrazu twarz, zaczerwieniony nos i białą jak śnieg skórę.

Wydawało mu się, że przeżyta tragedia obdarzyła ją wielką urodą, której w rzeczywistości nie posiadała, i jego serce zabito mocniej na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie jego niewierność.

Podświadomie widział w Ricie romantyczną boha terkę, spowitą aurą niezwykłego uroku, który niewątpliwie roz wiałby się, gdyby miał szansę z nią porozmawiać.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Rita podniosła wzrok i nagle stała się jak wryta.

Tylko włosy tańczyły dookoła jej głowy na wietrze, nie bacząc na widok, który zmroził krew w żyłach młodej kobiecie. Można było odnieść wrażenie, że nagła cisza okryła grubym płaszczem małą zatokę, gdzie wspomnienia połączyły się z teraźniejszością.

Pies biegał po plaży, szczekając na fale i szukając pożywienia ptaki.

Potem Rita podniosła dłoń i ten ruch sprawił, że czar prysnął.

George odwrócił się i spostrzegł, że Susan, Maddie, Harry i dzieci są już bardzo blisko.

- Gdzie się podział ten latawiec?

- zapytała Susan.

- Nie przejmuj się, skarbie, kupimy ci nowy...

Gdy spojrzała w dół, w pierwszej chwili zobaczyła tylko leżący na skałach latawiec, którego długi ogon do złudzenia przypominał uśpionego węża, lecz zaraz potem dostrzegła stojącą na plaży i patrzącą w górę kobietę.

Minęła długa chwila, zanim Rita wło?o'?

żyta ręce do kieszeni i poszła dalej.

Nie podniosła więcej wzroku patrzyła prosto przed siebie, nie chcąc dać żonie George'a saty( fakcji oglądania jej cierpienia.

Susan natychmiast poznała Rit

ale udała, że jej nie widzi, "i - Myślę, że gdybyście razem z Harrym przytrzymali CharliegH za kostki nóg, udałoby mu się podnieść latawiec - rzuciła niedbM le, chociaż czuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej mocny ciał

w splot słoneczny, -j Charliemu udało się podnieść latawiec i znowu go puścić, lea

George nie odzyskał już dobrego nastroju.

Pogrążył się w zamy^ śleniu, z którego nie mogła go wyrwać nawet żona.

Patrząc na je;

go nachmurzoną twarz, Susan szczerze żałowała, że podjęli decy?

zje o przeprowadzce do Frognał Point.

W Argentynie byli tacy l

szczęśliwi...

,1 Nogi Rity drżały tak mocno, że z trudem szła dalej.

George wi'

dział ją i nie potrafił oderwać od niej oczu.

Długo patrzyli sobie} w oczy i Rita mogłaby przysiąc, że nawet z tak dużej odległości' dostrzegła na jego twarzy wyraz żalu.

Czuła, że pojawienie się Su san nieprzyjemnie go zaskoczyło, chyba nawet rozczarowało.

Mo że chciał z nią porozmawiać...

Może gdyby byli sami, zbiegłby na plażę wąską ścieżką i objął ją mocno, tak jak dawniej.

Może wziął by ją w ramiona i powiedział, że popełnił błąd i od osiemnastu lat wciąż tego żałuje, że przeprasza...

Rita kilka razy okręciła na pal- \ cu pierścionek z brylantem.

Z najdalszego, prawie całkowicie za pomnianego zakątka serca napłynęły cichutko szeptane słowa, że

George nadal ją kocha.

Nagle ogarnęło ją pragnienie, aby pobiec przed siebie z szeroko rozpostartymi ramionami.

Ostrożnie obejrzała się, lecz w miejscu, gdzie przed paroma chwilami stał George, nie było już nikogo.

Tylko wysokie trawy kołysały się na tle nieba, podkreślając nieobecność człowieka, którego kochała.

Przepełniona młodzieńczą energią, rozłożyła ramiona i pobiegła.

Roześmiała się, kiedy Tarka zaniósł ją radosnym ujadaniem.

Pies machał ogonem, raz po raz zabiegając Ricie drogę, a ptaki uciekały na boki i wzbijały się w powietrze.

Rita była w tak doskonałym nastroju, że wydała jej się, iż sama także lada chwila oderwie się od ziemi i po frunie razem ze swoimi skrzydlatymi przyjaciółmi.

Tego wieczoru Susan była bardzo przygnębiona.

Pragnęła jednego - aby jak najszybciej spakowali się i wyruszyli w drogę powrotną do Argentyny.

Kiedy otworzyła lodówkę, odkryła, że nie ma ani odrobiny mleka.

George siedział w pokoju i czytał gazetę, a Charlie i Ava grali w szachy przed kominkiem, słuchając płyty Jimmy'ego Hendriksa.

Susan wiedziała, że sklep jest już zamknięty, a mleczarz przyjedzie dopiero około siódmej rano, postanowiła zatem pójść do

Faye i pożyczyć trochę.

Otworzyła drzwi dużego domu i ruszyła w kierunku dobiegających z salonu głosów.

Odezwały się głośno, gdyby nagle nie usłyszała swojego imienia, wypowiedzianego przez Alice.

Przy stanęła i wstrzymała oddech, ponieważ uświadomiła sobie, że

Faye i Alice rozmawiają właśnie o niej.

- ...Susan jest bardzo miła, ale trochę chłodna - powiedziała

Alice.

- Ale George jest z nią szczęśliwy, a to najważniejsze - odparła Faye.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwała Alice.

- Nie wygląda na szczęśliwego.

Myślę, że byłby szczęśliwszy, gdyby ożenił się z Rita.

George dorósł w przekonaniu, że dosta nie wszystko, czego zapragnie.

Zawsze był gotowy zrezygnować z tego, co dobre, ponieważ miał nadzieję, że zaraz na horyzoncie pojawi się coś jeszcze lepszego...

- Teraz jest inaczej, kochanie - rzekła Faye.

- George napraw dę jest szczęśliwy z Susan.

Dała mu wspaniałe dzieci i poczucie stabilizacji.

Zgadzam się, że ona nie należy do najserdeczniejszych osób, ale może zachowuje się tak dlatego, że jeszcze nie przyzwy czała się do życia w Anglii.

Mieszkała w słonecznym, gorącym kraju, a teraz przeprowadziła się tutaj, do zimnego, wilgotnego Devonu.

- Susan do nas zwyczajnie nie pasuje.

Na początku próbowała

interesować się tym, co George, ale teraz rzadko mu towarzyszy.

Wiele razy spotykałam go na plaży i zawsze był sam.

Wydaje mi

się, że ona przestała się starać...

397 .

- To nie zbrodnia, moja droga.

Ja też nie starałam się kocha głupich drzew waszego ojca, a on nie podzielał mojej pasji rzeź-  
hienia.

;

- To zupełnie co innego, mamó.

Nie mówię o hobby, lecz o sty.;

lu życia.

George jest morzem, plażą, klifami, ptakami...

On kocha" ludzi, ona najwyraźniej nie.

Zauważyłaś, jak po nabożeństwie ni-;

gdy nie zatrzymuje się, żeby zamienić z kimś choćby parę słów, zupełnie jakby uważała się za  
lepszą od innych?

Przypomina mi, Antoinette...

;

Susan poczuła, że nie wytrzyma w tym domu ani chwili dłużej.

1 Ze łzami w oczach na palcach wróciła do drzwi i wybiegła I w wietrzną noc.

Zimne powietrze ochłodziło jej rozpłomienione i policzki i uciszyło dziko galopujące serce.

A więc taką mają o niej opinię...

Uważają, że George byłby bardziej szczęśliwy, gdyby oze nił się z Ritą...

Zagryzła wargi.

Może George także podzielał to zdanie, kto wie...

Nagle zrozumiała, że ma dosyć usuwania się na bok i udawa nia, że wszystko jest w jak  
najlepszym porządku.

Kiedy weszła do kuchni, George właśnie brał herbatnika z puszki.

Na widok jej po szarzałej twarzy wieczko wypadło mu z ręki.

- Co się stało?

- zapytał, prawie pewny, że coś złego przydarzy ło się matce.

- Musimy porozmawiać - powiedziała zdecydowanym tonem.

George poszedł za nią na górę, zastanawiając się, co wywołało jej gniew.

Zamknął za sobą drzwi sypialni, żeby dzieci ich nie sływały.

- Co się dzieje?

Susan odwróciła się twarzą do niego i założyła ręce na pierśiach.

Na jej bladych policzkach wykwitły dwie małe czerwone gwiazdy.

- Przed chwilą słyszałam rozmowę twojej matki i Alice.

- O czym?

- O mnie.

- Co mówiły?

- Ze byłbyś szczęśliwszy, gdybyś ożenił się z Ritą.

George opuścił sztywno wyprostowane ramiona i zaśmiał się cicho.

398

- I ty im uwierzyłaś?

- Widziałam, jak na nią dzisiaj patrzyłeś.

Nie jestem ślepa.

- Ritą mieszka tutaj, kochanie.

Od czasu do czasu mogę się na nią natknąć, to wręcz nieuniknione...

- Nie chodzi mi o to, że ją widziałeś, ale o to, w jaki sposób na nią patrzyłeś.

Czy ty nadal ją kochasz?

- Oczywiście, że nie!

- odparł takim tonem, jakby cała ta rozmowa wydawała mu się śmieszna.

- Kocham ciebie...

- Mimo tego, że do was nie pasuję?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- zapytał ze zdumieniem.

- Takie jest zdanie twojej matki.



- Ale nie moje, na miłość boską!

- Nie wiem, jak to się stało, ale twoje demony prześladowają te raz mnie!

- wybuchnęła.

George podszedł do niej szybko i chwycił ją w ramiona.

Nie opierała się.

- Dopiero tu przyjechalśmy, kochanie - szepnął jej do ucha.

- Przecież wiedziałaś, że nie będzie lekko...

Dla mnie to też nie jest łatwe.

Dręczą mnie wspomnienia o wojnie, nie o Ricie.

- Byliśmy tacy szczęśliwi w Argentynie...

- powiedziała, moc no obejmując go w pasie ramionami.

- Wiele bym dała, żeby tam wrócić...

- Dajmy sobie trochę czasu, kochanie.

Wkrótce wszystko jakoś się ułoży, dam ci słowo.

Następnego dnia rano George poszedł do tej części ogrodu, gdzie jego ojciec sadził swoje ukochane orzechy.

Pomyślał, że może wśród tych drzew poczuje bliskość Treesa.

Jeżeli można było wierzyć pani Megalith, to ojciec wciąż tam był, oddzielony od świata tylko niewidzialnym murem wibracji.

Pamięć podsunęła George'owi obraz ojca, wysokiego, bardzo szczupłego mężczyzny w tweedowej czapce i długich butach.

Ujrzał Treesa w otoczeniu swoich utraconych w czasie wojny przyjaciół - Jamiego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona.

George włożył ręce do kieszeni i przygarbił się lekko pod ude rzeniem ostrego wiatru od morza.

Nagle jego uwagę przykuła ma399 .

la szara plakietka u stóp młodego drzewa.

Schylił się, aby odczytać wypisane na niej słowa.

Charles Bolton, 24 października 1949 roku.

Ojciec nigdy nie wspominał, że zasadził drzewo z okazji narodzin wnuka.

George przykucnął, dotknął plakietki i poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.

Bardzo tęsknił za ojcem.

Tęsknił też za chłopcem, którym kiedyś był.

Zaraz potem pomyślał o Ricie i zrozumiał, że za nią także tęskni.

Max nie mógł się już doczekać powrotu do Frogmal Point na święta Bożego Narodzenia.

Gwiazdka w Elvestree zawsze była szczególnym wydarzeniem, chociaż on i Ruth nie obchodzili tego święta jako uroczystości religijnej.

Pani Megalith szanowała żydowskie korzenie swoich wychowanków i na samym początku ich pobytu w Elvestree uzupełniła wiadomości na temat świąt, które obchodzili w Austrii.

Stosując zdobyte informacje w praktyce, dekorowała owocami ich domek do zabawy z okazji święta Sukkot, zapalała świece w piątkowy wieczór, starannie ukrywała prezenty na święto Chanuka i zgodnie z Prawem stawiała w oknie

'si

menorę.

Nigdy nie zabierała ich do kościoła i zdarzało się, że urządzała zaimprovizowaną synagogę w swoim salonie.

Max i Ruth po raz pierwszy poszli do synagogi w Anglii dopiero jakiś czas po wojnie, kiedy mieli po kilkanaście lat i pani Megalith zabrała ich ze sobą w odwiedziny do mieszkającej w Londynie siostry.

Cały sobotni rano przesiedziała w synagodze Bevis Marks, słuchając modlitw w nieznanym sobie języku, a wszystko po to, by Max i Ruth mogli pozostać wierni religii swoich rodziców.

Właśnie wtedy Ruth po raz pierwszy rozplakała się z tęsknoty za domem.

Ceremonia religijna i charakterystyczny dźwięk hebrajskiego przypomniały jej dzieciństwo i szlochała w pociągu przez całą drogę do Devonu.

Maksowi także chciało się płakać, wiedział jednak, że musi być silny ze względu na siostrę, zacisnął więc mocno pięści i z trudem odepchnął wzruszające skojarzenia, które sprawiały, że łzy napływały mu do oczu.

Po powrocie do Elvestree wypełnił bolesną pustkę w duszy, czy tając wiersze z ukochanego tomiku matki.

Słowa, które kiedyś sa ma czytała mu na dobranoc, przerwały jednak tamę, jaką zwykle

odgradzał się od wspomnień, i Max z bólem wrócił myślami do ostatnich chwil spędzonych w Wiedniu, w rodzinnym domu.

Pa miętał, że matka przygotowała dla nich kolację przed długą po dróżą do Anglii.

Ojciec siedział przy stole z poważną twarzą, oto czony charakterystycznym zapachem tytoniu.

Od dawna w domu wszyscy dorośli rozmawiali głównie o wojnie, lecz tego wieczoru starali się poruszać inne tematy.

Nikt nie był wtedy w stanie prze widzieć przerażającego losu, jaki miał się stać udziałem jego ro dziców, ani tego, jak zakończy się podróż Maks a i Ruth do Anglii.

Nieświadoma niczego Lydia spokojnie spała w swoim łó żeczku na piętrze.

Niewielkie walizki dzieci były już spakowane i czekały przy drzwiach, pełne ciepłych ubrań i nadziei.

Max wi dział, jak białe dłonie matki drżały, gdy nalewała mu zupę z du żej wazy, i poczuł, że w gardle tworzy mu się twarda, dławiąca ku la.

Czy matka wiedziała już wtedy, że nigdy więcej ich nie zobaczy?

Że nie będzie jej przy nich, gdy będą dorastali?

Trud no było mu wyobrazić sobie jej ból.

Starła się ukryć niepokój pod pełnym napięcia uśmiechem, nie potrafiła jednak opanować drżenia tych smukłych białych dłoni.

Serce Maks a wypełnił lęk i przerażające uczucie nagłego oderwania od wszystkiego, co by ło mu bliskie i drogie.

Następnego dnia rano wsiadł do pociągu razem z Ruth i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ponury zimowy krajobraz za oknem, usiłując za wszelką cenę zapamię tać barwy i majestatyczny wygląd Teatru Cesarskiego, fotele obi te szkarłatnym aksamitem, złociste lampy, zapach farby i perfum, dźwięk głośnych rozmów, skrzypienie mebli, pokrzykiwania ubranych w futra i koronki aktorek.

Wyobrażał sobie, że ukrył się w loży ojca i przygląda się próbom, ukryty przed ludzkim wzro kiem za wysokim parapetem, bezpieczny w ciepłej mgłę znajo mych rzeczy i zdarzeń...

Boże Narodzenie zawsze było bardzo przyjemne.

Te cudowne święta w ogóle nie kojarzyły się Maksowi i Ruth z utraconą w cza sie wojny rodziną ani z dzieciństwem, którego tak brutalnie zo stali pozbawieni.

Boże Narodzenie było pełne blasku, pachniało świeżą choinką i niosło nowe wspomnienia.

Dla Maksy Gwiazdka oznaczała jednak przede wszystkim czas spędzany z Ritą, czas, na który czekał o wiele bardziej niecierpliwie niż na jakikolwiek .

prezent.

Tego roku miały to być wyjątkowe święta, ponieważ po stanowił poprosić ją o rękę.

Był pewny, że potrafi ją uszczęśliwić, szczególnie teraz, kiedy zdobył pozycję, sławę i dość pieniędzy, aby zaspokoić potrzeby i ambicje nawet najbardziej wymagających pod względem finansowym i rozrzutnych kobiet.

Oczywiście Rita nie należała do nich, jej upodobania były proste i nieskomplikowane.

Max chciał kupić dla niej i dla siebie dom nad morzem, jak najbliżej Frognał Point, i mieć z nią dzieci.

Mieszkając nad morzem, Rita będzie mogła do woli obserwować ptaki i biegać po plaży.

Pragnął też zabrać ją do Wiednia i pokazać zbudowany przez jego ojca teatr, który kiedyś miał nadzieję odkupić.

Marzył, że przed rozpoczęciem premierowego spektaklu będą stali w łóżu, trzymając się za ręce, i będą przyglądać się, jak tłum strumieniem wlewa się na salę.

W tej samej loży, z której kiedyś pierwszy występ matki oglądał ich ojciec...

Max wiedział, że nie jest Ricie obojętny.

Wyczuwał to w prześwatach między zdaniem, kiedy na chwilę przestawali się śmiać i patrzyli na siebie z czułością, nie był jednak całkowicie pewny, czy Rita kocha go w taki sam sposób jak on ją.

Miał nadzieję, że tak jest, lecz nie miał pewności.

Oczywiście uważał, że małżeństwo to coś znacznie więcej niż namiętne uczucie, trwałe związku oznaczał także stabilizację, rodzinę i czułość...

Podczas jego ostatnich kilku wizyt we Frognał Point Rita sprawiała wrażenie o wiele bardziej szczęśliwej i zadowolonej, i w ogóle nie wspominała o George'u.

Ostatnim razem długo rozmawiali, popijając wino, potem zaś wybrali się na spacer po plaży w świetle księżyca.

Z dziecinnym podnieceniem biegali po piasku, śmiali się i żartowali.

Max nigdy nie powiedział Ricie, że ją kocha, nie zdobył się na to, lecz czas uciekał, a oni stawali się coraz starsi.

Nie mógł dłużej czekać.

Wyruszył do Devonu nowym mg.

Z przyjemnością siedział za kierownicą sportowego wozu i pędził na spotkanie przeznaczenia, którym miał być początek życia z ukochaną kobietą.

Chociaż by ło bardzo zimno, jechał z opuszczonym dachem, w ciepłym płaszczu, wełnianej czapce i rękawicach na kozuchu, otulony długim szalem.

Lubił czuć na twarzy ostre uderzenia wiatru, który kąsał jego skórę drobnymi, ostrymi zębami, i rozglądał się dookoła

402

przez niemodne już gogle z zachwytem i zaciekawieniem człowieka z miasta.

Niebo było bladoniebieskie, bezchmurne, a słońce nie szczędziło wysiłku, aby ogrzać zamrożone pola.

Serce Maksy biło radością, śpiewał głośno puszczone w radiu piosenki i uśmiechał się do siebie.

Kiedy skręcił na podjazd w Elvestree, wyłączył muzykę i głęboko odetchnął cudownym zapachem domu.

Wyobrażenia podsunęła mu obraz przyjęcia z okazji zaręczyn z Rita - ogień płonący w kominkach Elvestree, smak szampana z piwniczki Denzila, pani Megalith, jak zwykle spowita w aksamitną szatę i jedwabne szale, połyskująca kryształami...

Świat szedł naprzód, lecz Elvestree nie ulegało powiewom mody i wpływowi mijającego czasu.

Zaparkował samochód na podjeździe i szybko wszedł do środka frontowymi drzwiami, ozdobionymi wieńcem z sosnowych gałązek i czerwonych jagód.

Potykając się o koty, dotarł do salonu, skąd napływały fale zapachu płonącego drewna i kuszące dźwięki muzyki.

Gdy stanął w progu, pani Megalith zerwała się od stołu, na którym leżały karty, i wyciągnęła do niego ramiona.

- Ach, mój kochany chłopcze!

- zawołała z radością.

- Albo wstałeś o świcie, albo pędziłeś jak wiatr, prawda?

- Jedno i drugie - odparł, otaczając ramionami jej masywne ciało.

Pachniała naftaliną i cynamonem, mieszanką, która w jego sercu budziła wspomnienia równie przyjemne jak aromat trzaskającego w kominku drewna.

Po chwili pani Megalith cofnęła się, zmierzyła wychowanka uważnym spojrzeniem i z aprobatą pociągnęła nosem.

Wyrósł na wyjątkowo przystojnego i dzielnego młodego człowieka, pomyślała z dumą.

- Gdzie jest Ruth?

- zapytał, nalewając sobie kieliszek wina.

- W kuchni, przygotowuje lunch.

Ostatnio jest strasznie ponura i blada, chyba za dużo pracuje...

Pani Megalith opadła na fotel i zsunęła okulary na czubek nosa.

Ruth nadal mieszkała w Elvestree, utrzymując się z gotowania dla mieszkających w okolicy rodzin.

- Historie, które czasami opowiada, są po prostu niesamowite - ciągnęła, sięgając po gazetę.

- Niektórzy ludzie, dla których pracuje, to niewyobrażalni ekscentrycy!

403 .

Max uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko, bo przecież trudno!

byłoby znaleźć osobę bardziej ekscentryczną od niej.

Miał wrażenie, że od czasu wojny nie postarzała się nawet odrobinę.

Jak za wsze chodziła z laską i skarżyła się na efekty kontuzji, doznanej w czasie pobytu w domu swojej mieszkającej w Londynie siostry, na który spadła bomba, ale jej niesprawność fizyczna była złudna.

Możliwe, że jej włosy posiwiały, lecz nadal były gęste i lśniące, a skóra gładka jak u znacznie młodszej kobiety.

Podobnie jak dom i ogród znajdowała się pod wpływem tajemniczej magii, i Max miał nadzieję, że przeżyje jego samego i wszystkich swoich bliskich.

- Nalej mi sherry - powiedziała, zerkając na niego z domyślnym błyskiem w jasnych, podobnych do kamienia księżycowego oczach.

Prawie nic nie było w stanie umknąć jej uwagi.

- Dlaczego go wyglądasz jak koczur, który dorwał się do śmietanki?

Max pragnął się zwierzyć, że zamierza poprosić Ritę o rękę, ale nie chciał psuć niespodzianki.

Skoro nie była pewna, co wprawiło go w tak doskonały nastrój, to przynajmniej raz miał szansę ją zaskoczyć.

- Po prostu cieszę się, że przyjechałem do domu - odrzekł.

Prychnęła cicho i powątpiewająco uniosła brwi.

- Jak zawsze tajemniczy...

- mruknęła, biorąc z jego ręki kieliszek sherry.

Max usiadł naprzeciwko niej i przeciągnął się.

- Najwyższy czas, żebyś znalazł jakąś dziewczynę, na którą będziesz mógł wydawać te swoje pieniądze - odezwała się starsza pani.

Chłopak parsknął śmiechem.

- Problem w tym, że dziewczyny nie rosną na drzewach...

- Czasami nie trzeba daleko szukać, mój drogi.

Zmrużył oczy.

Miał wrażenie, że pani Megalith już wyczuta je go intencje.

Czyżby Rita z nią rozmawiała?



Może wiedziała coś

o uczuciach wnuczki...

Postanowił zaatakować.

- Jak tam Rita?

Pani Megalith postawiła kieliszek na stoliku i powoli zdjęła okulary.

- Jest zadowolona z życia, oczywiście dzięki tobie.

404

- Co masz na myśli?

- wstrzymał oddech.

- Jest szczęśliwa.

Pomogłeś jej przekształcić tę nudną pracę w bibliotecę w naprawdę interesujące zajęcie, zachęciłeś do czytania ciekawych książek i zawierania znajomości z fascynującymi ludźmi.

Jest zajęta, jej życie ma cel.

Wydaje mi się, że widziała George'a z Susan i wreszcie pojęta, że musi żyć własnym życiem.

Mam szczerą nadzieję, że skończyła z tym wiecznym użalaniem się nad sobą.

Wygląda doskonale i chodzi takim lekkim krokiem, mówię ci...

Najwyższy czas!

Max pociągnął łyk wina, starając się opanować drżenie rąk.

Słowa Primrose dodały mu odwagi.

Przyjaźń jego i Rity powin na przeistoczyć się w głębszy, poważniejszy związek, było to naturalne...

- Wpadnę do niej wieczorem - powiedział.

- Rita spędza Boże Narodzenie w Bray Cove, żeby nacieszyć się dziećmi - wyjaśniła pani Megalith.

- Zaczekaj do jutra, mój drogi.

Wszyscy przyjadą tu na uroczysty lunch.

Ruth wybrała najbarziej tłustego indyka, jakiego udało jej się znaleźć...

- Więc dzisiaj Rita spędza wigilijny wieczór z Maddie i Harrym...

- westchnął z rozczarowaniem.

- Tak.

A wiesz, zapaliłam z Ruth menorę.

Trudno jest zrezygnować ze starych przyzwyczajzeń!

- zaśmiała się.

- Pamiętasz, jak opowiadałam wam o niegodziwym królu Antiochu, który usiło wał zmusić Żydów, aby przestali oddawać cześć swojemu Bogu?

- Tak.

Pamiętam też, jak robiliśmy gwiazdki z folii i wieszali śmy je na nitkach pod sufitem...

- Oboje uwielbialiście szukać prezentów.

Pewnego dnia będziesz robił to wszystko z własnymi dziećmi, żeby wiedziały, jak się ich korzenie...

Max uśmiechnął się na tę myśl.

Wyobraził sobie dom podobny do Elvestree, z ogniem huczącym w kominku i Rita, siedzącą w otoczeniu dzieci.

Tyle lat na nią czekał, mógł więc poczekać jeszcze jeden dzień...

Poprosi ją o rękę jutro.

Wieczorem Ruth i Max wybrali się na spacer po ogrodzie.

Księżyc mocno świecił na usianym gwiazdami niebie, a ujście rzeki lśniło w jego blasku jak wyszywana brylantami suknia, rozłożona na piaskowym łożu.

Max palił papierosa i żałował, że nie ma przy

405 .

nim Rity, ponieważ była to wyjątkowo romantyczna noc.

Ruth wyznała mu, że zakochała się w młodym studencie medycyny, lecz Max nie umiał podzielić się z nią swoją tajemnicą.

Od dawna pie lęgnował ją w głębi serca i teraz nie wyobrażał sobie, aby mógł się otworzyć, dopóki nie miał do powiedzenia nic konkretnego.

- Wiesz, że gdyby Lydia żyła, miałyby teraz dwadzieścia sześć lat?

- odezwała się nagle Ruth.

Max przystanął i utkwiał w niej pełne zaskoczenia spojrzenie.

Ruth po raz pierwszy zdradziła chęć rozmowy o siostrze, nie wspominała o niej nawet po modlitwie w synagodze Bevis Marks w Londynie.

- Żałuję, że jej nie pamiętam - powiedziała.

- Wiele bym dała, żeby móc sobie przypomnieć, jak wyglądała...

- Ja też jej nie pamiętam.

- Czasami strasznie się boję, bo nie mogę przypomnieć sobie mamy i taty, nie potrafię przywołać z pamięci ich twarzy...

Próbu ją, ale widzę tylko mgłę...

Wtedy muszę popatrzeć na tę fotografię, starą i wyblakłą...

To zdjęcie jest wszystkim, co mi zostało.

Wspomnienia coraz bardziej się zacierają...

Max otoczył Ruth ramieniem i musnął wargami jej skroń.

Przez cały dzień prawie się nie odzywała, lecz ani pani Megalith, ani on nie zwrócili na to uwagi.

Zawsze była raczej milczącą, zamkniętą w sobie osobą, która nie zwierzała się nikomu ze swoich przeżyć.

- Dlaczego mówisz o tym właśnie teraz?

- zapytał.

Odwróciła ku niemu twarz, oczy lśniły w jasnym świetle księżyca.

Przez chwilę się wahała, wyraźnie spięta, lecz zaraz szybko

otarła spływającą po policzku łzę.

- Ponieważ spodziewam się dziecka i chciałabym, żeby mama była przy mnie - powiedziała drżącym głosem.

Max wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Jesteś w ciąży?

- spytał ze zdumieniem.

- Tak, i czuję się strasznie samotna...

- Nie jesteś sama, na miłość boską...

Masz przecież mnie.

- Wiem, ale...

- Czy ojciec dziecka jest z tobą?

Bo jeżeli nie, to ja...

- Tak!

- odparła pośpiesznie, słysząc gniew w głosie brata

406

i czerpiąc z tego poczucie większej pewności siebie.

- Kochamy się i chcemy być razem.

- Ożeni się z tobą?

- Chce, żebyśmy wzięli ślub, ale nie ma grosza przy duszy.

Jesz cze nie zrobił dyplomu i mieszka z rodzicami...

- Ruth pociągnę ła nosem i podniosła głowę.

Max był przerażony zaniedbaniem, jakiego dopuścił się wobec siostry.

Był tak zajęty Ritą, że nie zauważył, co dzieje się z Ruth.

Teraz wstydził się swego egoizmu i postanowił wynagrodzić Ruth chwile osamotnienia.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej ?

- Mówię ci teraz.

- Jesteś najbliższą osobą, jaką mam - powiedział.

- Chyba wiesz, że zaopiekuję się tobą...

Ruth uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i otarła oczy.

- Nigdy niczego ci nie zabraknie, obiecuję.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry...

- Jesteśmy rodziną.

To, co należy do mnie, jest również twoje.

- Wsunął ciemny lok Ruth za jej ucho.

- Czy to dobry człowiek?

- Najlepszy - odparła bez wahania.

- Więc wyjdź za niego i udawaj, że Primrose wcześniej przekała ci pieniądze, które miałaś po niej odziedziczyć, albo coś w tym rodzaju.

Nie mów mu przypadkiem, że dostajesz pieniądze ode mnie, bo to mogłoby zranić jego dumę.

Ruth zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dziękuję, braciszku...

- szepnęła, wtulając twarz w jego

szalik.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że wszystkie jej problemy zostały

rozwiązane w jednej jedynej rozmowie.

- Proszę cię tylko o jedno - powiedział Max zdecydowanym tonem.

- Nigdy więcej nie wahaj się zwrócić do mnie o pomoc, rozumiesz?

Ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że nie wezwałaś mnie, kiedy byłem ci potrzebny...

- Obiecuję!

- rzekła radośnie.

Oboje czuli, że będą to najwspanialsze święta w ich życiu.

Obaj zawrócili w kierunku domu.

Ruth opowiedziała Maksowi o Samuelu Kahanie i o tym, jak poznała go w któryś weekend

wiosną, gdy przygotowywała dania na przyjęcie w domu jego rodziców.

Max myślał, że ich rodzice byłoby szczęśliwi, gdyby wie dzieli, że Ruth ma zostać żoną przystojnego młodego doktora żydowskiego pochodzenia.

Gdy mijali okno salonu, oboje zatrzymali się nagle, zaskoczeni zdumiewającym widokiem.

Pani Megalith prowadziła ożywioną rozmowę z samą sobą.

Śmiała się, gestykulowała, z dezaprobatą marszczyła brwi i uśmiechała się zalotnie, jakby był przy niej ktoś, kto zasłużył na jej podziw.

- W twojej piwniczce zostało jeszcze mnóstwo butelek, Kochanym Denzilu - oświadczyła z uśmiechem.

- Pamiętasz ten szampan z dwudziestego ósmego roku?

Ach, to dopiero była okazja...

Potem odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się głośno w odpowiedzi na słowa Denzila.

Westchnęła cicho, nie odrywając oczu od miejsca, gdzie musiał stać duch jej zmarłego męża.

Ruth zerknęła na Maksę i zachichotała cicho.

- Chodźmy - rzekł Max, biorąc ją za rękę - chyba będzie lepiej, gdy wejdziemy tylnymi drzwiami, nie sądzisz?

Rozdział trzydziesty pierwszy

Następnego ranka Max obudził się z uczuciem radosnego podniecenia.

Od pierwszej chwili towarzyszyła mu myśl, że może tego właśnie dnia Rita zgodzi się zostać jego żoną.

Nie pozwolił, aby zdenerwowanie zepsuło mu tak piękny ranek, nie zamierzał też zastanawiać się, co będzie, jeżeli Rita odrzuci oświadczenia.

Wziął prysznic, ubrał się i szedł do kuchni, gdzie czekały na niego pani Megalith i Ruth.

Ruth smażyła jajka na patelni, a jej policzki były uroczo zaróżowione.

Jej wesołość okazała się zaraz liwa i wkrótce wszyscy troje śmiali się do teź.

Tylko Max wie działał, dlaczego jego siostra je za dwoje i ciągle sięga do miseczki

z oliwkami.

Kiedy zobaczył Ritę, od razu uderzyła go zmiana w jej wyglądzie.

Była tak promienna jak wiele lat temu, gdy zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Policzki miała rumiane jak śliwki z Elvestree, oczy ciemnozłociste i lśniące jak sherry pani Me galith.

Posłała mu szeroki, pogodny uśmiech, a on poczuł, jak żołądek kurczy się z podniecenia, zupełnie jak w chwilach, gdy ze zbyt dużą prędkością przejeżdżał przez chwiejny mostek niedaleko Frogmal Point.

Rita uściskała go serdecznie, a on głęboko odechnął znajomym aromatem fiołków, którymi zawsze pachniała

jej skóra.

409 .

- Wyglądasz pięknie - powiedział, mierząc ją pełnym podziwem spojrzeniem.

- Dziękuję.

- Pójdiesz ze mną na spacer po lunchu?

Chcę dowiedzieć się,;

co ostatnio porabiałaś, bo mam wrażenie, że nie rozmawialiśmy od wieków...

- Oczywiście!

- uśmiechnęła się.

- Możemy zabrać Tarkę.

Mu-1 siałam zostawić ją w samochodzie, ponieważ nie znosi kotów Me- 'i gababci.

!

- Wyobrażam sobie, że one odwzajemniają to uczucie...

,

- Ty także wyglądasz doskonale - zauważyła Rita, patrząc w błękitne jak niezapominajki oczy Maksa.

- Mam ci dużo do powiedzenia.

Chciałbym zostać z tobą sam...

- Później...

- szepnęła, zabawnie marszcząc nos.

- Ja też mam ci dużo do powiedzenia...

Uśmiechnęli się do siebie jak starzy przyjaciele.

Maddie i Harry częstowali się drinkami, a Freddie, Daisy i Elsbeth pobiegli do stojącej w rogu pokoju choinki, udekorowanej staroświeckimi bombkami, czerwonymi i złotymi kokardami i ak samitnymi figurkami, dużo starszymi od samej pani Meglith.

Pod drzewkiem leżały stosy zapakowanych w kolorowy papier prezentów, przyniesionych przez wszystkich gości.

Dzieci natychmiast zaczęły szukać przeznaczonych dla nich podarunków, lecz posłusz nie przestały, gdy Rita powiedziała im, by zaczekały, aż Megababcia uzna, że nadszedł odpowiedni moment.

Ciotka Antoinette i David przywieźli ze sklepu Harrodsa torby pełne ekstrawaganckich prezentów, opakowanych przez sprzedawców w błyszczący czerwony papier.



Zaraz za nimi weszli William ze swoją żoną, elegancką żoną i małymi dziećmi oraz Emily z nudnym mężem adwokatem i wrzeszczącym na całe gardło niemowlęciem.

Antoinette natychmiast poleciła córce, aby zabrała dziecko na górę - jej zdaniem tak małe i kłopotliwe istoty powinny przebywać jak najdalej od dorosłych, żeby nie zakłócały im spokoju.

David ucieszył się na widok Humphreya i Hanny, którzy w holu odkładali płaszcze na drzemiących na sofie kotach, i natychmiast poszedł z przyjacielem do małego salonu, aby przy cygarze i szklance whisky podyskutować z nim o rządzie Macmillana.

Hanna ucałowała wnuki i wręczyła Elsbeth bukietek z ptasich piór, które zebrała w ogrodzie.

Podobnie jak jej rodzice, Elsbeth uwielbiała ptaki i znała nazwy i cechy charakterystyczne wszystkich lokalnych gatunków.

Hanna pomyślała nagle o przebywającej w dalekiej Afryce Eddie i serce zakłuło ją z tęsknoty.

Bardzo pragnęła, aby Eddie przyjechała na święta do rodziny.

Była bardzo przywiązana do najmłodszej córki, która zrzędzeniem losu za mieszkała na drugim końcu świata.

Czasami żałowała nawet, że Eddie nie jest prawdziwą czarownicą, bo wtedy mogłaby przylecieć do Anglii na miotle, przynajmniej na jeden dzień.

Usiadła obok siostry, ale nie podzieliła się z nią swoimi przeżyciami.

Antoinette wychwalała właśnie pod niebiosa synową, którą najwyraźniej uważała za doskonałe odbicie samej siebie.

- William zawsze miał świetny gust, jeżeli chodzi o kobiety - oznajmiła z dumą.

- Stawiałam mu w tej mierze wysokie wymagania i już myślałam, że z nikim nie zdecyduje się związać, ale w osobie Caroline znalazł nie tylko prezencję i klasę, lecz także inteligencję.

Ciągle powtarzam, że kobieta podbija serce mężczyzny dzięki urodzie, ale zatrzymać może je wyłącznie za sprawą błyskotliwego umysłu...

Caroline jest bardzo mądrą, inteligentną dziewczyną.

Przede wszystkim jest ponura i niesympatyczna, pomyślała Hanna.

Nigdy w życiu nie widziałam tak nadętej, wiecznie niezadowolonej twarzy.

Oczywiście sama Antoinette także nigdy nie uśmiechała się szczerze i spontanicznie, ścigała tylko wargi, jak by coś ją bolało, i przybierała sztuczne miny.

Hanna zauważyła, że jej siostra ma mocniej utapirowane i bardziej rude włosy niż po przednio, a wargi pokryte są szkarłatną szminką, która podkreśla zmarszczki i plamy na skórze.

Antoinette była zwyczajnie za stara, żeby nosić aż tak mocny makijaż.

Pani Megalith siedziała w fotelu, dostojna jak monarchini, i z niesmakiem rozglądała się po pokoju.

Dzieci były zbyt hałaśliwe i rozpuszczone.

Antoinette za dużo paliła i wyglądała po prostu śmiesznie, bo wciąż starała się nadążyć za modą, która nie za wszelką cenę podsuwała właściwe wzory dla osoby w jej wieku.

Hanna była dosłownie oblepiona piórami, ponieważ całe dni spędzała w gołębniku, który Humphrey zainstalował, żeby choć trochę zrehabilitować jej nieobecność Eddie, natomiast William i jego

di 1 .

milkiwa żona nawet nie próbowali wtączyć się do ogólnej rozmowy, tylko tkwili pod ścianą, pijąc szampana i patrząc na wszystkich z niebotycznej wysokości swoich ego.

Maddie z zapartym tchem chłonęła słowa ciotki, a Harry patrzył na nią oczami pełnymi miłości, co w jego wieku było raczej śmieszne.

Rita tryskała radością, co naturalnie było wspaniałe, ale nie ulegało wątpliwości, że wkrótce Antoinette rzuci pod jej adresem jakąś złośliwą uwagę i doprowadzi ją do łez.

Ruth przygotowywała w kuchni po trawie i słuchała radia - pani Megalith nie widziała powodu, aby się o nią martwić.

Czuła też, że może całkowicie polegać na talentach kulinarnym wychowanki, co było wielką ulgą, ponieważ uważała, że w jej wieku jedzenie jest jedną z największych życiowych przyjemności.

Jej twarz złagodniała dopiero wtedy, gdy spojrzała na Maksa.

Chwilę przyglądała mu się z nieudolnie skrywanym zachwytem, potem zaś przeniosła wzrok na Emily, która nie potrafiła się na nią skupić, ponieważ z góry dobiegał przyciszony płacz jej dziecka.

- Dlaczego nie wysłałaś za kogoś takiego jak Max?

- zapytała wnuczkę.

- To jest naprawdę ktoś, prawdziwy mężczyzna...

Emily wciąż nie mogła się przyzwyczaić do często nietaktownych komentarzy babki.

- Bo Max jest tylko jeden i wcale mnie nie chciał - odparła urą żonym głosem.

- Jest bardzo utalentowany, bardzo...

Zawsze tak było.

Dostrzegłam jego zdolności, kiedy był jeszcze małym chłopcem, i starałam się je pielęgnować.

Roślina rośnie i rozwija się tylko wtedy, gdy ją podlewasz.

Popatrz tylko, na jakiego wspaniałego człowieka wyrosł, częściowo dzięki moim staraniom...

Pielęgnacja umiejętności to najważniejsza rzecz, moja droga.

Pamiętaj o tym, wychowując ją...

Jak on ma na imię?

- Guy - odrzekła smętnie Emily.

- Pamiętaj o tym, wychowując Guya.

Guy...

Cóż za idiotyczne imię!

- Pani Megalith cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

- Nie jest jeszcze za późno, żeby je zmienić.

Może na Denzil, po dziadku?

Twój dziadek był cudownym mężczyzną, wierz mi.

Jest pewna szansa, że jego imię da dziecku charakter...

^

Emily nie miała dość siły, aby prowadzić dyskusję z babką, więc wybrała najłatwiejsze wyjście i uciekła z pokoju, mówiąc, że mu się sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku.

Pani Mega lith ledwo zauważyła zniknięcie wnuczki, ponieważ jej uwaga skoncentrowana była na Maksie.

Kiedy Rita zapytała, czy można już rozdawać prezenty, Megabacia otrząsnęła się z zamyślenia i prychnęła z dezaprobatą.

- W moich czasach każdy dostawał tylko jeden prezent, a i to było uważane za luksus, tymczasem dziś Boże Narodzenie koja rzy się ludziom wyłącznie z podarkami...

To idealny przykład zdo minowania naszego życia przez konsumpcję.

Rozdaj prezenty, moja droga, albo lepiej zachęć dzieci, żeby same się tym zajęły, może przynajmniej w ten sposób nauczą się, że czasem przyjem nie jest dawać, nie tylko dostawać...

Jeżeli usłyszę, że któreś dziecko jęczy, iż nie dostało prezentu, na jaki liczyło, spalę wszystkie podarunki, daję słowo!

Pani Megalith pochwyciła spojrzenie Maksa i mrugnęła do niego.

Wstał ze swojego miejsca i z uśmiechem usiadł obok niej na sofie.

- Zniesiesz to jakoś do końca?

- zapytał szeptem, nalewając jej kieliszek sherry.

Zaśmiała się i położyła pulchną dłoń na jego kolanie.

- Jako jedyny z obecnych przejmujesz się tym, co się ze mną dzieje - powiedziała.

- Wiem przecież, że w głębi serca nie znosisz tych świąt.

- O wiele lepiej bawiłam się, kiedy tylko we troje obchodzili śmy święto Chanuka...

- westchnęła z żalem.

- Boże Narodzenie przekształciło się w narodowe święto zaku pów, dlatego nie lubisz tego wszystkiego, prawda?

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Masz całkowitą rację, mój drogi.

Nigdy nie wyobrażałam so bie, że mogłabym gnać do przodu razem z całym stadem baranów...

- Ale twoja rodzina czerpie z tego święta mnóstwo radości - mruknął, patrząc, jak dzieci z rozjaśnionymi buziami pośpiesznie rozdają prezenty.

- Dzisiaj dzieci są rozpieszczone, zepsute.

Cóż, ja przeżyłam dwie wojny, a one ani jednej...

- Nie możesz oczekiwać, że zrozumieją nasze doświadczenia, bo to zwyczajnie niemożliwe.

Możemy tylko się starać, by uczyć je, że rodzina, miłość, lojalność i szacunek to rzeczy znacznie ważniejsze od przedmiotów.

Pani Megalith długą chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

- Chyba wiesz, że jesteś mi droższy od całej rodziny?

- odezwała się nagle.

- Kiedy umrę, odziedziczysz wszystko, co mam.

- Nie mów mi o śmierci, Primrose.

- Max spoważniał.

- Jestem

pewny, że przeżyjesz nas wszystkich...

- Nie - stanowczo potrząsnęła głową.

- Kochasz Elvestree i ro zumiesz je, wiem o tym.

Jesteś dla mnie synem, którego nigdy nie miałam.

Chcę, żebyś miał tego świadomość, czułam, że muszę po wiedzieć ci o tym, zanim odejdę.

- Nie śpiesz się tak!

- Max spróbował ją rozweselić.

- Najpierw

musisz wyprawić mi wesele...

Parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, mój chłopcze!

- zawołała.

- Nie próbuj tylko

ożenić się z dziewczyną, która nie jest ciębie warta, bo będziesz

miał ze mną do czynienia!

;

Kiedy goście otworzyli prezenty i wypili szampana, Ruthoznaj- :

miła, że lunch jest już gotowy.

Otworzyła drzwi do jadalni i uśmiechnęła się z dumą, gdy wszyscy zaczęli się zachwycać świąteczną dekoracją stołów, którą stanowiły świąteczne ciasteczka, zapakowane w kolorowy, błyszczący papier czekoladki i świerko we gałązki.

Zapaliła świece i przygasiła lampy, a wtedy cały pokój zajaśniał złocistym blaskiem.

Z kuchni napływał cudowny aromat pieczonego indyka.

Ruth razem z Maddie i Ritą poszły tam, żeby przynieść gorące dania, Humphrey zajął się nalewaniem wina, a pani Megalith odetchnęła z ulgą, widząc, że Ruth umieściła karteczkę z jej imieniem między krzesłami Maksa i Davida.

Dzieci wyglądały przez okno, pełne nadziei, że z zaciągniętego chmura mi nieba zacznie sypać śnieg.

W końcu wszyscy usiedli, pełni radości, że mogą być razem

w ten wspaniały dzień.

Nawet pani Megalith potoczyła po obecnych pogodniejszym spojrzeniem, a kiedy przełknęła pierwszy kęs smacznego indyka, wzniosła toast za zdrowie Ruth, za całą

rodzinę i przyszłość.

- Pragnę też jeszcze raz, podobnie jak co roku, życzyć powożenia moim żydowskim wychowankom - dodała.

- Nie zapomnijmy, że Bóg jest jeden i w Jego oczach wszyscy jesteśmy tacy sami.

Za Maksa i Ruth oraz tych wszystkich, którzy są przy nich

duchem...

Po lunchu Rita i Max wymknęli się na spacer.

Ubrani w ciepłe

plaszczki i czapki, rozgrzani ciepłą atmosferą, panującą w domu pani Megalith, poszli przez ogród w kierunku plaży.

Tarka, za chwycona, że wreszcie wypuszczono ją z samochodu, pędziła po piaszczystym zboczu z wysoko uniesionym ogonem, którym kręciła młynka niczym śmigło helikoptera.

Max i Rita rozmawiali o lunchu i śmiali się z różnych rozmów, zwłaszcza z ciotki Antoinette, której skłonność do kłamstwa przybrała nowy wymiar.

- To choroba - skomentował krótko Max.

- Wiem, to naprawdę okropne.

Nie mam pojęcia, jak wuj David z nią wytrzyma...

- Nigdy nie ma go w domu.

Chyba zauważyłaś, że nawet dzi siaj aż do lunchu siedział z twoim ojcem w małym salonie.

My ślę, że on jej po prostu nie lubi.

- Niektórzy ludzie trzymają się razem z przyzwyczajenia albo

ze strachu przed problemami, jakie może przynieść separacja - powiedziała Ruth.

- Wyobrażasz sobie, jakie urządziłaby mu pie kło, gdyby oświadczył, że zamierza odejść?

- David na pewno uważa, że gra nie jest warta świeczki, i tyle.

Szli teraz pod górę, z nieba coraz gęściej padały płatki śniegu, podobne do drobnych ptasich piórek, czepiających się ubrania Hanny.

Rita odrzuciła głowę do tyłu i spróbowała złapać kilka

w otwarte usta.

- Nie najadłaś się?

- zażartował Max.

- Im więcej jem, tym bardziej jestem głodna!

- Roześmiała się,

ruszając biegiem razem z głośno ujadającą Tarką.

- Ach, jak wspa niale!

Kocham śnieg!

Max pobiegł za nią, chwycił ją za rękę i nagle, nie umiejąc za panować nad uczuciem, odwrócił ją twarzą do siebie i przytulił.

- A ja kocham ciebie!

Rita utkwiała w nim szeroko otwarte, lśniące oczy.

- Kocham cię...

- powtórzył Max.

?n .



- Nie...

- westchnęła, z twarzą pociemniałą od niepokoju.

- Nic nie mów, wysłuchaj mnie najpierw...

- Max mocno ujął obie jej dłonie.

Były ciepłe, lecz szorstkie i spierzchnięte od częstego kontaktu z wilgotną gliną.

Obłóczki oddechu wydobywały się z jej ust i po woli rozpląwały w lodowatym powietrzu.

Płatki śniegu sypały się z ciemnej chmury jak z rozprutej poduszki, rzeka zamarła w ciężkiej ciszy.

- Kocham cię od dawna, od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Kocham w tobie wszystko...

Wiem, że miałaś nadzieję wyjść za George'a i że twoje marzenia legły w gruzach, kiedy wyjechał do Argentyny, ale jestem przekonany, że mógłbym cię uszczęśliwić.

Jeżeli zgodzisz się mnie poślubić, będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie...

Rita obserwowała go uważnie, wyraźnie zdenerwowana.

Przygryzła wargę, pośpiesznie starając się obmyślić jakąś odpowiedź.

Zdawała sobie sprawę, że Max kocha ją jak przyjaciółkę, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że uczucie to może być głębsze i bardziej namiętne.

Teraz jej serce skurczyło się z lęku, że sprawi mu zawód i najprawdopodobniej zniechęci go do siebie raz na zawsze.

Nie chciała go stracić.

- Och, Max, nikt nigdy nie powiedział mi nic równie miłego...

- zaczęła załamującym się głosem.

- Mówię szczerze.

Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że wreszcie ci o tym powiedziałem.

Przez tyle lat trzymałem to w tajemnicy...

- Nie mogę za ciebie wyjść - powiedziała po prostu.

- Dlaczego?

- Miał wrażenie, że zaraz przestanie oddychać.

- Ponieważ moje serce zawsze będzie należało do George'a.

Max zamarł.

Wydawało mu się, że całe lata nadziei, którą tak starannie pielęgnował, w jednej sekundzie rozpadły się w proch.

- Daj spokój, Rito!

- wykrzyknął bezradnie.

- George jest mę żem Susan, ma teraz rodzinę!

Nie możesz bez końca żyć przeszłością.

Wspomnienia nie dadzą ci szczęścia, rodziny ani ży cia, którym mogłabyś się cieszyć!

Opuściła ręce i ukryła je w kieszeniach.

- Widziałam go w zeszłym tygodniu.

- I co?

- Stał wysoko na klifie, a ja spacerowałam po plaży z Tarką.

Przez parę chwil był sam i długo patrzyliśmy na siebie...

- Patrzyliście na siebie?

- Max nie mógł się w tym dopatrzeć niczego nadzwyczajnego.

- To wszystko?

- Tak.

Kiedy przystanęłam i odpowiedziałam na jego spojrzenie, nie odwrócił wzroku.

Patrzył na mnie.

Wiem, że żałuje, iż mnie stracił, czułam to...

- Przycisnęła pięść do serca.

- Wyobraziłaś to sobie, na miłość boską!

- Nie.

Znam George'a od dziecka, wiem, co myśli...

- Więc dlaczego nie zszedł do ciebie i nie powiedział ci tego, zamiast się przyglądać?!

- Bo była z nim Susan.

- Nie wygląda mi to na zachowanie mężczyzny, który czuje, że ożenił się z niewłaściwą kobietą!

- Max nie miał pojęcia, jak zmu sić Ritę do spojrzenia prawdzie prosto w oczy.

- Wiem, że czujesz się zraniony...

Kocham cię jak przyjaciela, najdroższego, najlepszego przyjaciela, ale jak mogłabym wyjść za ciebie, skoro moje serce należy do innego?

- George cię nie kocha!

Dlaczego nie potrafisz tego zrozumu mieć?!

- Max uderzył się w czoło pięścią.

Rita zacisnęła wargi.

- Posłuchaj, przecież to wyłącznie moja sprawa, kogo kocham i dlaczego...

- zaczęła.

- Ale lata mijają, twoje życie mija i za jakiś czas ockniesz się jako zgorzkniała, bezdzielna stara kobieta!

Nie mogę patrzeć, jak się marnujesz...

Mamy tylko jedno, jedyne życie!

Pomyślał o Lydii, której odebrano ten cenny dar.

Rita nie poj mowała, co odpycha od siebie obiema rękami...

Poczuł, jak gardło ściska mu wściekłość i żal.

- Na co liczysz?!

- krzyknął.

- Ze George porzuci Susan i oże ni się z tobą?

Nie uznajesz rozwodów, podobnie jak ja!

Nawet gdy by cię kochał, to jak mógłby spojrzeć sobie w oczy i nadal czuć do siebie szacunek ze świadomością, że zostawił żonę i dzieci?!

Na prawdę chcesz, żeby to zrobił?

Właśnie na tym ci zależy?

Chcesz zniszczyć życie Susan, dzieci i samego George'a?!

Zapadła cisza.

Rita powoli przetrawiała jego słowa.

Patrzyli na .

siebie, pełni gniewu, rozczarowani i zawiedzeni.

Wiedziała, że ich przyjaźń już nigdy nie będzie taka sama, lecz w tej chwili była?!'

zbyt mocno urażona, aby się tym przejmować.

i

- Przykro mi - powiedziała sztywno.

- Widzę, że mnie nie ro-1 zumiesz, zresztą nie ty jeden...

Kocham George'a, nie przestanę go f kochać do końca życia...

Max spuścił głowę, do żywego dotknięty jej wyznaniem.

- Masz rację, nie rozumiem cię!

Pewnego dnia obudzisz się i zrozumiesz, że dzisiaj popełniłaś poważny błąd, każąc mi odejść.

Daję ci szansę na szczęście, ale ty wolisz zostać w swoim ciemnym świecie iluzji.

Skoro taka jest twoja decyzja, nic nie mogę na to po radzić.

Nie mogę ci pomóc, ale nie mogę też dłużej być twoim przyjacielem.

Muszę nauczyć się żyć bez ciebie.

Zawrócił w kierunku domu i szybko zniknął we mgle, która te raz napływała od morza.

Rita długo za nim patrzyła.

Jakaś część serca podpowiadała jej, żeby pobiec za nim, jedynym przyjacielem, jakiego miała, ale inna, uparta, pełna złości, ta sama, która przylgnęła do George'a niczym pnącze, powstrzymała ją w ostat-s niej chwili.

Spojrzała na pierścionek z małym brylantem, który lśnił na jej palcu, i poczuła ukłucie niepewności.

Nie była do koń ca przekonana, czy podjęła właściwą decyzję.

Max nie pamiętał już, kiedy ostatni raz płakał.

Wiele razy płacz ścisnął mu gardło, ale zawsze musiał być silny ze względu na Ruth.

Jednak tym razem nie chodziło o Ruth czy ich rodziców i matę siostrzyczkę, którzy zginęli w obozie koncentracyjnym, tym razem Max płakał nad Ritą i nad sobą.

Pochylił głowę, wtulił twarz głęboko w kołnierz i płakał, wiedząc, że w gęstej mgle i tak nikt go nie zobaczy.

Wrócił do domu i bez słowa przeszedł obok dzieci, które prawie go nie zauważyły, ponieważ bardzo śpie szyło im się, żeby skończyć bałwana, zanim skradająca się przez ogród mgła przestoni cały trawnik.

Spakował torbę i po minucie był gotowy do drogi.

Napisał do pani Megalith kartkę, wyjaśniając, z jakiego powodu zdecydował się tak nagle wyjechać, usiadł za kierownicą i wyruszył do Londynu.

Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy pani Megalith przeczytała wiadomość od Maksa, w za myśleniu ściągnęła brwi i potrząsnęła głową.

- To nie w porządku...

- wymamrotała, zdejmując okulary i wpatrując się w białą mgłę i śnieg, cicho sypiący za oknem.

Jeszcze raz przeczytała krótki list i ze zniecierpliwieniem odęła wargi.

- Głupia dziewczyna!

- westchnęła.

Nie była w stanie zrozumieć wnuczki.

Podniosła się, chwyciła laskę i zaczęła powoli spacerować po pokoju.

Max i Rita byli w jej oczach naturalnymi partnerami, zawsze tworzyli doskonałą parę.

Jak Rita mogła stawiać miłość do mężczyzny, którego nie miała szans zdobyć, nad małżeństwo z Maksem...

Najbardziej irytowała ją to, że nie mogła pomóc swemu wychowankowi.

Miała wielką ochotę potrząsnąć wnuczką z całej siły, ale wiedziała, że nie wolno jej wtrącać się w tę sprawę.

Przeznaczenie miało inne plany i pani Megalith nie wątpiła, że jakkolwiek interwencja była by błędem.

Po powrocie do Elvestree Rita z wyrazu twarzy babki odgadła,

że starsza pani wie, co się wydarzyło.

Nie była zaskoczona wyjazdem Maksa do Londynu, chociaż bardzo ją to zasmuciło.

Nie mogąc znieść dezaprobaty, niezrozumienia i litości, które malowały

się w oczach pani Megalith, zaczęła sprzątać porzucane dzie opakowania po prezentach i ukryta ból pod maską sz energii i wesołości.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Maddie i H stanowili wyjechać zaraz po podwieczorku.

Dzieci były :

ne, a śnieg sywał coraz gęściej, co mogło znacznie utrudnić!

Max wrócił do Londynu, gdzie czekał go Nowy Rok i ni ta przyszłość.

Bez reszty poświęcił się pracy - wychodził z wczesnym rankiem i siedział w biurze do późnego wieczol leśnie tęsknił za Ritą, ale był rozgoryczony i zły.

Miał wiel^ jaciół i bogate życie towarzyskie, prawie codziennie choi przyjęcia, koktajle, do teatru, opery i baletu.

Zaproszenia I maite imprezy piętrzyły się na parapecie nad kominkiem^!

nak nigdy wcześniej nie czuł się aż tak samotny.

Przyjadę sto przedstawiali go pięknym kobietom, zdarzało się tai zafascynowane nim dziewczęta same zaczynały rozmowę z I ją nawiązania bliższej znajomości.

Max mógł bez większi du zdobyć każdą z nich, lecz wciąż zależało mu tylko na ]

- Mam wszystko i nic - mawiał, kiedy znajomi z pc wyrażali się o jego sukcesach i bogactwie.

Nikt nie rozumiał, co miał na myśli.

Natychmiast po powrocie z Elvestree do Londynu pr niądze na konto siostry.

Obsypał ją dobrami materialnymi,!

waż teraz była dla niego wszystkim.

Kupił jej także ładny dli Frognal Point, z dużym ogrodem, starą szopą i stawem, po k pływały kaczki.

Ruth wprowadziła się tam zaraz po ślubi muelem Rabanem.

Ceremonia odbyła się w biurze magis(r w Exeter, potem pani Megalith wydała na cześć młodfl skromne przyjęcie, na które nie zaprosiła Rity.

Max cietH szczęściem siostry i czuł, że ich rodzice byliby dumni i zj i z Ruth, ale czasami ogarniała go gorzka zazdrość, bo Rut ta wszystko, o czym marzył dla siebie.

Ruth często dzwoniła do brata.

Wiedziła o odmowie Rtj nie śmiała o niej wspominać, ponieważ Max wyraźnie strfl rozmów o swoich sprawach osobistych.

Nie miała pojęcia) pomóc, więc po prostu wspierała go stałą obecnością.

PanK galith smuciło, że Max nie przyjeżdża już do Elvestree tak jak dawniej.

Rozumiała, że przebywanie w pobliżu Rity mc

i niego bolesne, niemniej bardzo za nim tęskniła.

Miała za złe ^cie, że zraniła Maksa, i dlatego starała się jak najrzadziej z nią tidiwać.

Kiedy już musiała spotkać się z wnuczką, traktowała ją l^chle i chłodno, co sprawiało, że Rita czuła się jeszcze bardziej (yobcowana i niezrozumiana niż dotąd.

li Rita tęskniła za Maksem mocniej, niż się spodziewała.

W jej tercu wytworzyła się pusta przestrzeń, której nikt poza nim nie Bógł wypełnić.

Znowu zajęta się rzeźbieniem, uciekając w ten bosób od rzeczywistości.

Dawniej nadawała kształt martwej gliBe, aby podtrzymać więzi z Faye i pośrednio z George'em, teraz Htomiast rzeźbiła, by złagodzić ból po stracie przyjaciela.

Kiedy rtosna coraz bardziej zdecydowanie usuwała zimową biel i mało lata krajobraz świeżymi kolorami, cień nieobecności Maksa zaZąt powoli przesłaniać wspomnienia o George'u i jego obecność e Frognał Point, ale ona nie zdołała tego dostrzec.

s-Wielebny Hammond już dawno zauważył, że Rita przestała ychodzić do kościoła.

Wiedział, że powodem tej zmiany jest yjazd George'a i Susan, uważał to jednak za słabą wymówkę.

ai, że jako rzecznik Boga ma obowiązek pouczyć Ritę o potrze' przebaczenia bliźnim i sprowadzić ją z powrotem na dobrą gę.

Po nabożeństwie w dniu Bożego Narodzenia, kiedy niefcećność Rity wyjątkowo rzucała się w oczy, postanowił ją odwie sić.

Panna Hogmier niezwłocznie poinformowała go o najnowltyni wydarzeniu.

Ten młody Żyd poprosił ją o rękę - prychnęła, kiedy zajął te sklepu, żeby kupić herbatę ekspresową dla żony.

T- Max?!

- wykrzyknął wielebny ze zdziwieniem.

rl Panna Hogmier założyła ręce na piersi i z namaszczaniem poSwata głową.

i A ona mu odmówiła...

Mam wrażenie, że była to głupia decyzja...

- mruknął duhowny.

t! - Ja myślę!

Taka dziewczyna jak Rita powinna być wdzięczna

^owi za najdrobniejsze dary.

Robi się coraz starsza, nie młodsza,

^c lepszy on niż nikt.

Może ktoś powinien z nią spokojnie porozmawiać...

Przykro łysieć, że Rita zestarzeje się w samotności, chociaż naturalnie

471 .



w gruncie rzeczy nie ma w tym nic złego - dokończył pośpiesznie, zauważywszy, że czarne włosy wystające z nosa panny Hogmier, zaczynają gniewnie drgać.

- Chyba nawet Bóg nie jest w stanie zmusić ją do zmiany zdania!

- prychnęła panna Hogmier.

- To strasznie uparta dzie wucha!

- Jedna z zagubionych owieczek, droga pani, biedna, zagubiona owieczka...

Czuję, że muszę wskazać jej drogę do domu.

- Niech pan robi, co chce, ale proszę nie mówić, że pana nie ostrzegałam.

Ta dziewczyna czasami ma język jak brzytwa, zupełnie nie jak jej babka...

- Panna Hogmier rozejrzała się po sklepie w poszukiwaniu kotów i zniżyła głos.

- Najwyższy czas, żeby stała się wiedźma wreszcie stanęła przed obliczem Stwórcy i zabrała ze sobą swoich szpiegów...

Wielebny Hammond dość długo czekał na odpowiedni moment, aby porozmawiać z Ritą.

Sposobność nadarzyła się dopiero latem, mniej więcej w dwa tygodnie po tym, jak Ruth Kahan urodziła różowutką dziewczyneczkę, której nadała imię Mitzi, po swojej matce.

Duchowny poważnie się zatroskał, kiedy panna Hogmier, jak zwykle doskonale poinformowana, powiedziała mu, że Rita rzuciła pracę w bibliotece, aby całkowicie poświęcić się rzeźbiarstwu.

- Włóczy się z grupą bogatych gówniarzy w modnie obszarpanych ciuchach, którzy na lato rozbili obóz na plaży.

- Panna Hogmier z dezaprobatą wyduła wargi.

- Jak nic sprowadzą ją na złą drogę...

To przez nich uważa, że już nie musi pracować, zupełnie jakby dobry Bóg miał obowiązek zrzucić jej mannę z nieba.

Wszyscy oni przesiadują przy ogniskach, śpiewają i grają na gitarach.

Nie wiem, dlaczego Rita ubiera się w te dziwaczne sukienki, naszywane koralikami...

Jej matka na pewno straciła już nadzieję, że zdoła namówić ją, by zrobiła coś z tymi wiecznie rozczochranymi włosami, które sięgają jej już prawie do pasa.

W czasach mojej młodości kobiety bardziej dbały o swój wygląd, zresztą ja sama do dzisiaj nawijam włosy na wałki przed snem i nie wychodzę na ulicę bez lekkiego makijażu.

Wystraszyłabym swoich klientów, gdy bym nie starała się wyglądać jak człowiek...

Wielebny Hammond pojechał w górę wybrzeża, za Bray Cove,

422

nad zatokę, gdzie Rita mieszkała w małym domku na brzegu morza.

Zamierzał namówić ją, aby jeszcze raz otworzyła swoje serce przed Bogiem.

Na fotelu obok siebie położył Biblię w twardej okładce z nieco wyblakłymi pozłacanymi literami i postrzępioną wstążeczką wsuniętą między kartki, z których chciał przeczytać Ricie kilka fragmentów.

Był ciepły letni dzień.

Na tle błękitnego nieba szybowaty me wy o skrzydłach wyłoconych słońcem.

Wielebny Hammond czuł obecność Boga w niezwyklej urodzie poranka i nie miał cienia wątpliwości, że Pan towarzyszy mu w tej bardzo ważnej misji.

Ze wszystkich zajęć proboszcza właśnie to lubił najbardziej.

Uwielbiał udzielać ślubów, zresztą pogrzeby także stanowiły istotną część cyklu życia religijnego, ale indywidualne spotkania z wierzącymi dawały mu największą satysfakcję.

Gdy wjechał na podjazd, przyjemnie zaskoczył go wygląd do mu Rity.

Po frontowej ścianie pięł się klematis, niżej krzewiły się białe róże i janowiec, a po obu stronach drzwi stały duże donice z lawendą.

Duchowny odetchnął głęboko, delektując się słodki mi aromatami lata, i zapukał do drzwi.

Rita nie usłyszała go, po nieważ była w ogrodzie, zajęta wrywaniem chwastów.

Wielebny Hammond zaczekał chwilę, wsunął Biblię głębiej pod pachę i zdecydowanym krokiem udał się na tył domu.

Na jego widok Rita podniosła się i zmarszczyła brwi pod szerokim rondem kapelusza.

Ogarnął ją lęk.

Duchowny nigdy nie odwiedzał jej w tym domu, doszła więc do wniosku, że widocznie ktoś umarł.

- Ach, moja droga, jakże się cieszę, że cię widzę!

- odezwał się wielebny, idąc ku niej po trawie.

- Co się stało?

- zapytała niespokojnie.

- Nic, nic, wszystko w jak najlepszym porządku...

- Staruszek ogarnął ogród uważnym spojrzeniem.

- Cóż to za urocze miejsce...

- Dziękuję, jestem do niego przywiązana...

- Przylatuje tu dużo ptaków, prawda?

- popatrzył na rozsta wione w ustronnym zakątku tace do wysypywania pokarmu.

- Nie tak dużo jak do Elvestree, ale sporo.

Od czasu do czasu w jakimś krzewie zagnieździ się słowik, no i oczywiście mieszka tu mnóstwo jaskółek...

- Wspaniale...

423 .

Rita obrzuciła wielebnego zaciekawionym spojrzeniem.

Wiele by dała, żeby powiedział, o co mu chodzi, i pozwolił jej wrócić do pielienia grządek.

- Przyjechałem z tobą porozmawiać - zaczął pompatycznie, spodziewając się, że młoda kobieta pośpiesznie okaże mu wdzięczność.

- Podobno zrezygnowałaś z pracy w bibliotece i postanowiłaś zająć się rzeźbieniem, czy tak?

- Tak...

- Zastanawiała się, czy to możliwe, że wielebny Hammond odwiedził ją, aby porozmawiać o rzeźbiarstwie, ale szybko doszła do wniosku, że ma w stosunku do staruszka za duże oczekiwania.

- Cóż, chyba wiesz, co robisz...

- Chyba wiem - odparła chłodno.

- Czy to o tym chciał pan ze mną porozmawiać?

- Może usiądziemy?

- zaproponował.

Rita zaprowadziła go na niewielki taras z ławą i stołem z lęko wego drewna.

- Może podać coś do picia?

- zagadnęła z rezygnacją, świadoma, że staruszek nieprędko ją pożegna.

- Szklankę wody, jeżeli można.

Czeka nas upalny dzień, nie są dzisz?

Gdy wróciła z dzbankiem i dwoma szklankami, wielebny Hammond czytał Biblię przez grube, okrągłe szkła, wsparte na czubku nosa.

- Czerpię wielką siłę ze Słowa Bożego - powiedział, patrząc na nią poważnie.

- Taki ma pan zawód - uśmiechnęła się.

Bawiło ją, że staruszek stara się odwlec chwilę ostatecznego wyjaśnienia celu swojej wizyty.

- Nie trzeba mieć tak głębokiej wiedzy o Biblii jak moja, żeby znaleźć w niej zachętę do dobrego, uczciwego życia.

Zauważyłem, że przestałaś chodzić do kościoła, moja droga.

Chciałabyś o tym porozmawiać?

- Niekoniecznie.

Duchowny przełknął odrobinę wody i w myśli poprosił Boga o pomoc.

Ta zbląkana owieczka sprawiała wrażenie upartej jak osioł.

474

- Dawniej nigdy nie opuszczałaś niedzielnych nabożeństw.

W kościele zostało po tobie puste miejsce, wszyscy to czujemy...

- Bardzo wątpię - odparta zimno.

- Bóg mieszkał w twoim sercu...

- Spojrzał na nią znad okula rów, zupełnie jak nauczyciel.

- Och, On nadal tam mieszka!

Moja babcia twierdzi, że Bóg jest wszędzie i że nie trzeba chodzić do kościoła, żeby z nim rozmawiać.

Wielebny Hammond zeszywniał na wzmiankę o pani Megalith.

- Twoja babka ma rację, oczywiście - rzeki pośpiesznie.

- Bóg naprawdę jest wszędzie, ja mam jednak uczucie, że unikasz nabożeństw nie z powodu kryzysu wiary, ale obecności George'a Boltona i jego żony, Susan...

Rita zamknęła oczy i ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

- Dowiedział się pan tego od naszej dobrej panny Hogmier, czy tak?

- zapytała twardym głosem.

- Nie, nie, skądże znowu!

- zaprzeczył gwałtownie wielebny, jednocześnie prosząc Boga, aby wybaczył mu kłamstwo.

- Panna Hogmier miała rację.

Nie chodzę do kościoła, ponie waż nie mam ochoty patrzeć na George'a z Susan.

Wiem, że to bardzo małoduszne, ale daleko mi do świętości...

Jestem marną

grzesznicą, to wszystko.

- Bóg uczy, że powinniśmy przebaczać bliźnim.

- Nie jestem jeszcze gotowa przebaczyć.

- Nie od razu Rzym zbudowano...

- Mnie zajmie to całe życie.

- Musisz jednak od czegoś zacząć, moja droga...

- Zacznę, gdy będę gotowa.

Wielebny Hammond podrapał się po głowie.

- W takim razie pozwól, że zostawię tę Biblię.

Zamierzałem przeczytać ci z niej kilka fragmentów, ale właśnie przypomniałem sobie, że jestem z kimś umówiony...

- Na pewno chce mi ją pan zostawić?

To piękna, stara księga...

- Rita wzięła Biblię do ręki i przesunęła palcami po skórzanej okładce, szorstkiej i podniszczonej.

- Na pewno.

Tobie będzie potrzebna bardziej niż mnie, bo

47? .

człowiek mojego fachu ma wiele wydań Biblii...

Zwrócisz mi kie dyś, gdy poczujesz, że już jej nie potrzebujesz.

Rita westchnęła.

Miała wyrzuty sumienia, że zbyt ostro i nie uprzejmie potraktowała staruszkę, który w gruncie rzeczy był do brym człowiekiem.

- Bardzo to miło z pana strony - powiedziała szczerze.

- Od czasu do czasu będę przychodzić do kościoła - dodała po chwili zdecydowanym tonem.

Twarz wielebnego rozjaśnił promienny uśmiech, gdy w mil czeniu dziękował Bogu za Jego potężne tchnienie.

Pożegnali się i Rita chwilę patrzyła, jak duchowny odjeżdża, a potem weszła do domu, położyła Biblię na stole w saloniku i natychmiast o niej zapomniała.

W niedzielę dotrzywała słowa i pojechała do kościoła.

Świado ma, że George na pewno tam będzie, spędziła dużo czasu przed lustrem.

Starannie uczesała włosy, przypomniała sobie rady Maddie, jak nakładać delikatny makijaż, a na koniec wybrała najładniejszą letnią sukienkę.

Kiedy zaparkowała pod kościołem, nerwy miała w strzępach.

Chwilę siedziała bez ruchu, patrząc na wchodzących do środka ludzi, przerażona, że jeśli znajdzie się twarzą w twarz z George'em, nie będzie wiedziała, jak się zachować i co powiedzieć.

Wreszcie dostrzegła swoich rodziców z Maddie i dziećmi, szybko wysiadła z samochodu i podeszła do nich.

Ich zdumienie było aż zbyt oczywiste.

Humphrey trochę za mocno poklepał córkę po plecach, a Hanna zaczęła namawiać ją na wspólny lunch, ku sząc biszkoitem z karmelem i możliwością poobserwowania muchołówek.

Maddie zostawiła Harry'ego w domu, ponieważ niedawno rozpoczął pracę nad nową książką, co znaczyło, że całe godziny pisał w gabinecie lub spacerował po ogrodzie, pogrążony w myślach.

Daisy rozglądała się za Charliem, który stał się jej najbliższym przyjacielem, Freddie dęsał się, bo nie znosił nudnych kazań wielebnego Hammonda, zaś Elsbeth po prawiała świeżo zebrane ptasie piórka na kapelusiku.

Rita poczuła radość, że jest razem z nimi wszystkimi, i przyplęw nowej energii i siły.

- Dobrze, że wreszcie trochę się umalowałaś - powiedziała

Maddie z aprobatą, kiedy zajęli miejsca w ławce.

- Wyglądasz świetnie, nie jesteś już taka blada i smutna...

- Nigdy nie jestem blada i smutna!

- zaprotestowała Rita.

- Ależ jesteś!

Cała ta sprawa z George'em to zwyczajna strata

czasu...

Rita z rozdrażnieniem wzruszyła ramionami i otworzyła śpiewnik z hymnami.

- Powinnaś była wyjść za Maksa - dorzuciła Maddie.

- Skąd o tym wiesz?

- zdziwiła się Rita, która nikomu nie mówiła o oświadczeniach Maksa.

- Megababcia powiedziała mamie...

- Typowe!

- Jesteś głupia jak but!

- syknęła Maddie.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, dobrze?

Maddie nagle chwyciła siostrę za ramię.

- Spójrz, idą George i Susan!

Wiesz, że Daisy podkochuje się w Charliem?

Historia czasami rzeczywiście lubi się powtarzać...

Rita odwróciła się i ujrzała George'a i Susan pośpiesznie zmierzających środkiem nawy do swojej ławki.

Trochę się spóźnili i wielebny Hammond ze zniecierpliwieniem postukiwał już podęszwą o podłogę.

Susan dostrzegła Maddie i uśmiechnęła się.

Zaraz potem zobaczyła siedzącą obok niej Ritę i drgnęła, zaskoczona i poruszona.

Ku jej zdziwieniu twarz Rity zyskała subtelne piękno i w niczym nie przypominała szarej twarzy młodej kobiety, którą Susan nie cały rok wcześniej spotkała w sklepie, ani pulchnej dziewczynki, która uśmiechała się z fotografii stojącej w salonie pani Megalith.



Jej skóra jaśniała, gęste, błyszczące włosy ciężkimi lokami opadały na plecy, ostro zarysowane kości policzkowe podkreślały piękny kształt oczu.

Wyraźnie schudła, lecz jej nagle objawiona uroda miała więcej wspólnego z psychiką niż z cechami fizycznymi.

Susan szybko przeniosła spojrzenie na męża, ale on zajęty był szukaniem wolnego miejsca i nie spostrzegł byłej narzeczonej.

Rita czuła się tak, jakby oczy wszystkich zgromadzonych utkwione były w jej twarzy i wszyscy niecierpliwie wyczekiwali na jej reakcję.

Siedziała nieruchomo, chociaż duże krople potu zebrały się na skórze pod jej kolanami i pod pachami.

Wielebny Ham427 .

mond zaczekał, aż George i jego rodzina zajmą miejsca, i dopiero wtedy rozpoczął nabożeństwo.

Boltonowie usiedli po drugiej stro nie nawy, kilka tawek przed Ritą, która mogła ich spokojnie obserwować.

George miał teraz czterdzieści dwa lata i wciąż gęstą, ciemną czuprynę, choć jego kręcone włosy siwiały na skroniach i nieco przerzedziły się z przodu.

Był szerszy w ramionach i wyraźnie tęższy w pasie.

Już dawno przestał być szczupłym bohaterem bitwy o Anglię, chociaż nadal był przystojny i atrakcyjny.

Rita spojrzała na Susan.

Piękne jasne włosy, zwinięte w kok tuż nad długą, białą szyją, przypominały jej Faye, a pojedynczy sznur pereł na szyi, szykowna, prosta suknia i kapelusz świadczyły o wyrafinowanej elegancji, o jakiej Rita nie mogła nawet marzyć.

Zauważyła bliznę, przecinającą policzek żony George'a, lecz czas zasklepił okropną ranę i sprawił, że w znacznie mniejszym stopniu rzucała się w oczy.

Rita uznała, że blizna nie umniejsza urody Susan, i westchnęła ciężko, z zazdrością.

Susan miała wszystko, czego ona pragnęła.

Poczuła się nagle tak, jakby patrzyła na kogoś, kto żyje jej życiem.

Susan była od niej piękniejsza, bardziej elegancją i fascynująca, i odgrywała rolę żony i matki o wiele lepiej, niż mogłaby to zrobić ona.

Rita nie wyczuwała zażenowania Susan ani wrogości, jaka ją otaczała, nie pozwalając stać się prawdziwym członkiem małej społeczności.

Nigdy nie przyszłoby jej też do głowy, że mieszkańcy Frogmal Point darzą Susan niechęcią z poczucia lojalności wobec niej, jednej z nich, gdy tymczasem Amerykanka uzurpuje sobie prawa, które bynajmniej jej się nie należą.

George zobaczył Ritę dopiero w chwili, gdy podeszła do ołtarza, aby przyjąć komuś, i wyraz całkowitego zaskoczenia na jego twarzy sprawił, że nagle zdrząły jej kolana.

George zbladł, jego skóra przybrała odcień wosku.

Czas nie odebrał Ricie urody, wręcz przeciwnie, dodał jej barw.

Nie była tragiczną istotą, o której opowiadała mu matka, lecz pewną siebie dziewczyną z jego marzeń, dziewczyną, która biegła po plaży z szeroko rozpostartymi ramionami, goniąc szybujące z wiatrem ptaki.

Patrzył bezradnie, jak lekkim krokiem idzie w jego stronę i mija go.

Była blisko, na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie dale

ko, on zaś nie mógł się ruszyć, musiał stać w kolejce do ołtarza, czując za plecami obecność Susan i dzieci.

Rita szybko opanowała wzruszenie i wyprostowała się.

Przez chwilę miała wrażenie, że nagle znalazła się w stanie zawieszenia.

Czas zwolnił, może nawet się zatrzymał, a ona poruszała się jak w zwolnionym tempie.

Kie dy podeszła bliżej, dostrzegła w twarzy George'a coś, co dziwnie ją zaniepokoiło.

Coś obcego, nieznanego.

Szukała wzrokiem pełnego życia i odwagi młodego człowieka, którego kochała, ale nie mogła go znaleźć.

Nie było go, zniknął.

Wróciła na miejsce i usiadła obok Maddie, która ujęła jej dłoń i ścisnęła mocno, pragnąc okazać jej wsparcie, które nagle okazało się niepotrzebne.

Idąc do swojej ławki, George rzucił jej przelotne spojrzenie, lecz zaraz pośpiesznie odwrócił wzrok.

Po dążąca za nim Susan nie patrzyła w kierunku Maddie.

Nie chciała widzieć Rity i nie chciała się zastanawiać nad spojrzeniem, jakim młoda kobieta obdarzyła jej męża.

Powtarzała sobie, że nie ma powodu, aby czuć się niepewnie.

George dokonał wyboru wiele lat temu i zawsze byli ze sobą bardzo szczęśliwi.

Jeżeli nawet widok Rity budził w nim niepokój, to wyłącznie dla tego, że miał wyrzuty sumienia z powodu jej rzucającej się w oczy samotności.

Po zakończeniu nabożeństwa Zgromadzeni szybko ruszyli w kierunku drzwi i George stracił Ritę z oczu.

Pragnął z nią porozmawiać, bo sądził, że dzięki temu mógłby odzyskać spokój.

Wreszcie zobaczył czubek jej głowy tuż przy drzwiach, obok kasztanoworudej głowy Maddie, i zaczął przepychać się między rozplotkowanymi sąsiadami.

Susan nie spuszczała z niego oczu.

Wie działa, co się z nim dzieje, i usiłowała przekonać samą siebie, że rzeczywiście byłoby dobrze, gdyby George porozmawiał z byłą narzeczoną.

Może ta rozmowa raz na zawsze uwolniłaby ją od ducha porzuconej, nieszczęśliwej Rity...

Zauważyła, że Charlie rozmawia już z Daisy na trawniku przed kościołem, stojąc obok jej matki i dziadków, natomiast Ava biegnie w kierunku Elsbeth wykonując piruetę na jakiejś płycie nagrobnej.

Zniecierpliwiony George miał ochotę odepchnąć ludzi na bok.

W końcu powoli przemieszczający się tłum wylał się na dziedzińiec przed kościołem i George stanął na ganku, mrużąc oczy .

przed słońcem i gorączkowo szukając wzrokiem Rity.

Susan zobaczyła, jak na twarzy męża pojawia się wyraz bolesnego rozczarowania.

Nagle jego uwagę przyciągnął warkot silnika samochodu stojącego po drugiej stronie dziedzińca.

Siedząca za kierownicą Rita właśnie próbowała wyjechać tyłem na drogę.

Susan podeszła do męża, ale nie wzięła go za rękę, co niewątpliwie zrobiłaby jeszcze niedawno.

Oboje w milczeniu patrzyli na powoli wyjeżdżający samochód.

Oboje widzieli, jak Rita odwraca się i spogląda na nich.

Jej oczy spoczęły na George'u na długą, długą chwilę.

A po tem odjechała.

#### Rozdział trzydziesty trzeci

^

Rita siedziała na plaży obok Pepper, jednej z młodych artystek, które spędziły tu całe lato, częściowo w pomarańczowym Volkswagenie, a częściowo w rozbitym obok samochodu namiocie.

Był początek września.

Bursztynowy blask zachodzącego słońca wydawał się jeszcze piękniejszy i bardziej kuszący widziany poprzez dym, powoli sączący się ze skrzyżta.

Ciche dźwięki gitary rozbrzmiewały w zatoce, niesione lekkim, chłodnym wiatrem, pachnącym nadchodzącą jesienią.

Przyjaciele Pepper rozpalali ognisko po drugiej stronie plaży i przygotowali kolację.

Rita bardzo polubiła ich wszystkich, szczególnie Pepper, której pogodna, spokojna natura przypominała jej ją samą z dawnych, dawnych czasów przed powrotem George'a

z wojny.

Teraz jej myśli krążyły jednak nie wokół George'a, ale Maksa, którego brakowało jej tak dotkliwie, jak niespodziewanie amputowanej części ciała.

Najbardziej dręczyło ją to, że ich przyjaźń zakończyła się w tak wrogiej atmosferze.

Oboje krzyczeli na siebie, powiedzieli sobie bolesne rzeczy i okazali się zbyt dumni i uparci, aby wyciągnąć rękę.

Rita dałaby wszystko, żeby Max zadzwonił do niej i przeprosił za swoje zachowanie tamtego dnia.

Wiele razy wyobrażała sobie tę rozmowę i zastanawiała się, co

4?7 .

mu powie, nie miała jednak jeszcze odwagi, aby przyznać się do swoich najgłębiej skrywanych uczuć.

- Myślisz o Maksie, prawda?

- zagadnęła Pepper swoim arystokratycznym głosem.

Naprawdę miała na imię Petruska i była córką ekscentrycznego szkockiego hrabiego, który porzucił swoją nudną angielską żonę dla sławnej rosyjskiej tancerki, poznanej w Moskwie w okresie mię dzywojennym.

Petruska, czyli Pepper, była owocem tego związku.

Dziewczyna miała więcej pieniędzy, niż mogłaby wydać, i rodziców znacznie żywiej zainteresowanych sobą nawzajem niż córką.

- Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do niego i nie przeprosisz?

- zapytała, odgarniając do tyłu długie, rude włosy.

- To on powinien mnie przeprosić!

- oburzyła się Rita.

Pogła skała Tarkę, która drzemała obok niej, i zaciągnęła się skrętem.

- Ostatecznie to on odszedł i zostawił mnie samą...

- Jedno z was musi szybko podjąć odpowiednie kroki, inaczej zostaniesz samotną, rozczarowaną życiem starą panną!

- Wcale nie jestem samotna, przecież mam was.

- My niedługo wyjedziemy.

- Wyjedziecie?

- Nie oczekiwałaś chyba, że zostaniemy tu na zawsze, co?

Rita była wstrząśnięta.

- Myślałam, że podoba się wam tutaj...

- Podoba nam się tutaj latem, kiedy jest ciepło i słonecznie, ale teraz z każdym dniem robi się coraz zimniej.

Zastanawiam się, czy nie rozpocząć studiów w jakiejś akademii sztuk pięknych.

Lubię malować.

Matka chciałaby, żebym została tancerką, tak jak ona, ale na szczęście mam za duże stopy.

Nie jestem drobniutka i fili granowa, odziedziczyłam budowę po tacie.

Może pojedę do Florencji, kto wie...

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała szczerze Rita.

Pepper stała się jej przyjaciółką, zawsze mogła jej się zwierzyć

i zapytać o zdanie.

Było to tym łatwiejsze, że Pepper nie miała nic

wspólnego z Frogmal Point.

- Jedź ze mną do Florencji - zaproponowała dziewczyna.

- Na uczysz się rzeźbić u prawdziwych mistrzów, pooddychasz atmosferą najwspanialszych dzieł sztuki na świecie...

432

Rita uśmiechnęła się lekko.

Bawiło ją, że Pepper uważa, iż wszyscy mają równie dużo pieniędzy jak ona.

Tymczasem rzeczywiście znacznie odbiegała od wyobrażeń jej młodej przyjaciółki - odkąd Rita zrezygnowała z pracy w bibliotece, często miewała poważne kłopoty z opłaceniem podstawowych rachunków.

- Nie mogłabym zostawić Tarki.

- Zabierz ją ze sobą.

Florencja to miasto miłości, patrząc na przystojnych Włochów, szybko zapomnisz o George'u i Maksie.

- Sęk w tym, że ja wcale nie chcę zapomnieć.

Podoba mi się żyć w Frogmal Point, lubię swoje wspomnienia i kocham rodzinę.

Gdyby tylko Max nie zepsuł tego wszystkiego swoimi oświadczeniami...

- Max na pewno już dawno pogodził się z twoją odmową, przez ciebie wiesz, jacy nieustannie są mężczyźni!

- prychnęła Pepper.

- Arnie skacze z kwiatka na kwiatek jak jakiś oszalały motylek...

- Zachichotała na myśl o swoim przyjaciołku, który co wieczór wyrusza do miasta w poszukiwaniu świeżej krwi.

- Biedak też mu się już wracać, bo w październiku rozpoczyna nowy semestr w Oksfordzie...



Jeśli chodzi o sprawy sercowe, to ja nie chcę ani chłopaka, ani męża.

Oni tylko komplikują życie...

- Miłość wszystko komplikuje.

- Rita pokiwała głową.

- I po myśleć tylko, że gdy ja przez cały ten czas byłam pewna, że jeste śmy najlepszymi przyjaciółmi, on kochał się we mnie...

Nigdy nie patrzyłam na niego w ten sposób, a teraz okazuje się, że złamałam mu serce...

- I George'owi także - dorzuciła Pepper.

Rita westchnęła.

- George'a kocham właściwie od dziecka...

A może tylko tak mi się wydawało?

- Jak to?

- Pepper zdusiła skręta obcasem i zagrzebała go w piasku.

Rita zmrużyła oczy i osłoniła je przed blaskiem zachodzącego słońca.

- Może Max miał rację...

- Co ci powiedział?

- Że przez wszystkie te lata kochałam kogoś, kto już od dawna nie istnieje.

433 .

Jesień wkroczyła do Frogmal Point 2 wichurami i sztormami i mała grupka przyjaciół Rity spakowała namioty i śpiwory, wra cając do swoich zajęć i bogatych, uprzywilejowanych domów.

Zi mowe miesiące były mroczne i nieprzyjemne.

Rita często myśla ła o Maksie i podnosiła słuchawkę, aby do niego zadzwonić, ale zawsze w ostatniej chwili traciła odwagę.

Nie widziała więcej George'a, ponieważ Susan przekonała go, że lepiej będzie, jeżeli zaczną jeździć na nabożeństwa do sąsiedniej parafii.

Powoli George prze stał zajmować myśli Rity.

Parę razy odwiedziła ich jaskinię i po czuła tam ciepłe tchnienie jego obecności, jakby on także szukał w tym szczególnym miejscu pociechy, jaką dają wspomnienia.

Te raz gorzko-słodki smak tych wspomnień wydawał się jej dziwnie słaby, prawie niewyczuwalny, bo zdążyła już zrozumieć, że nie przywoła do życia ani dawno minionych dni, ani George'a, które go kochała.

Max miał rację.

Święta Bożego Narodzenia były wilgotne i nijakie.

Max nie przyjechał do Elvestree, więc pani Megalith była bardziej rozdraż niona niż zwykle i otwarcie obwiniła Ritę za nieobecność wycho wanka, a ona nie potrafiła wytłumaczyć babce, że tęskni za Maksem także.

Elvestree bez Maksa było puste i zimne, pozbawione magicznej, niezwykłej atmosfery.

Śnieg spadł długo po świętach, w styczniu.

Rita skupiła się na rzeźbieniu, samotnym zajęciu, które całko wicie odizolowało ją od zewnętrznego świata.

Początkowo pani Megalith pomagała jej, od czasu do czasu kupując jakąś rzeźbę, a Hanna ciągle zamawiała figurki ptaków, lecz rzeczywistość oka zała się trudna i Rita z trudem wiązała koniec z końcem.

Wiosną pani Megalith straciła cierpliwość do nierozważnej wnuczki i doszła do wniosku, że nie będzie dłużej patronować jej twórczej pracy, Hanna także uznała, że ma już za dużo ptasich rzeźb, a okolicznościowe zamówienia z biblioteki ustały.

Rzeźby Rity były pełne uroku, ale przedstawiały niewielką wartość dla ludzi, którzy nie znali artystki.

Powoli zaczęło ogarniać ją poczucie beznadziei.

Zdawała sobie sprawę, że postąpiła głupio, rezy gnując z pracy w bibliotece, lecz od czasu kłótni z Maksem stra

ciła cały zapał do organizowania spotkań z pisarzami.

Max dobrze znał to środowisko i kontaktował ją ze wszystkimi autorami.

Kiedy sama próbowała pisać i dzwonić do wydawców, nikt nie zdążył najmniejszego zainteresowania jej małą biblioteką, a niektórzy traktowali ją wyjątkowo nieuprzejmie.

Zmiana zajęcia była niezłym pomysłem, ale nie dawała pieniędzy.

Zastanawiała się, czy Max tęskni za nią tak samo jak ona za nim, czy też po prostu wykreślił ją ze swego życia i poszedł dalej.

Co jakiś czas czytała o nim w gazetach i magazynach, czasami też opowiadała o nim Ruth, która często odwiedzała ją z matką Mitzi.

Szczęście Ruth było zupełnie oczywiste.

Córeczka była dla niej źródłem nieustannej radości, a mąż darzył ją prawdziwą miłością.

Oboje promienieli radością i spokojem, i Rita nic nie mogła po radzić na to, że bardzo im zazdrości.

Max radził sobie z zawodem i bólem w inny sposób.

Całkowi się zatracił w pachnących ciałach pięknych kobiet.

Zapraszał je do swojego londyńskiego domu przy Cheyne Walk i uprawiał z nimi seks, szukając w każdej wyjątkowego, niepowtarzalnego rysu charakteru, lecz rano budził się rozczarowany i zniechęcony, ponieważ wszystkie kobiety okazywały się takie same - ze wewnątrz piękne, lecz puste w środku.

Myślał o Ricie i powoli tracił nadzieję, że uda mu się znaleźć kogoś, z kim zechce żyć.

Pragnął mieć dzieci i często wspominał Lydię, której odebrał szansę przeżycia choćby paru lat.

Lydia była pyłkiem na wietrze, ziarnem, które nie zdążyło opaść na ziemię, lecz on za wszelką cenę chciał założyć dom i kontynuować cykl życia.

Uważał, że tylko w ten sposób zapewni nieśmiertelność sobie i swojej rodzinie.

W tajemnicy wciąż marzył o odkupieniu Teatru Cesarskiego, zupełnie jakby dzięki temu posunięciu mógł odzyskać świat, który stracił jako mały chłopiec.

Często wyobrażał sobie, że siedzi w prywatnej łóżce swego ojca razem z Ritą, a aktorka niezrównanej urody odtwarza na scenie rolę, którą kiedyś grała jego matka.

Zdawał sobie sprawę, że te marzenia są dziecinne, że jakaś część jego samego, część, która nigdy nie dorosła, buduje zamki z piasku, ale nigdy nie wybrał się do Wiednia.

Bał się, że w ogóle nie pozna miasta, w którym spędził szczęśliwe lata dzieciństwa.

Kiedy Max poznał Delfine Boimlle, zachwycił się jej pogodnym, łagodnym usposobieniem i pomyślał, że mógłby ją pokochać.

Była elegancką, dwudziestoparoletnią Francuzką, której rodzice zaraz po wojnie przeprowadzili się do Londynu.

Pracowała jako sekretarka w ambasadzie Francji i codziennie wieczorem zabierała z sobą do domu torbę pełną pogniecionych kartek papieru, ponieważ wstydziła się wyrzucać do kosza dowody błędów, które popełniała.

Była naiwna i entuzjastycznie nastawiona do życia, a przy tym czarująca.

Maksowi szczególnie podobały się jej ciemnobrązowe oczy i krótkie, sztywnie obcięte na pazia kasztanowe włosy.

Nowa znajoma pod żadnym względem nie przypominała mu Rity.

Drobnutka i kobieca do szpiku kości, kojarzyła się raczej z figlarną sroką, z zachwytem chwytającą wszystko, co błyszczące.

Nie miał cienia wątpliwości, że dziewczyna jest pod wrażeniem jego pozycji, sławy i bogactwa, był jednak także pierwszym mężczyzną, który wiedział, jak doprowadzić ją do rozkoszy.

Większość angielskich kochanków, jakich przed nim miała, traktowała seks jako swoisty sport, jak mecz tenisa, w którym zwyciężcą jest ten, kto pierwszy osiągnie orgazm.

Max bardzo się od nich różnił.

Był zmysłowy, ciepły i potrafił ciągnąć grę wstępna w nie skończoność.

Godzinami cieszył się pięknym ciałem Delfine oraz jej typowo francuskim zamięłowaniem do uprawiania seksu, umiał też śmiać się razem z nią.

Kupował jej biżuterię, fascynujące naszyjniki, kolczyki i bransolety, którymi co wieczór bawiła się przed snem jak dziecko lalkami.

Przymierzała pierścienie, przybierała rozmaite pozy przed lustrem, przykładała do siebie śliczne suknie, które od niego dostawała.

Max był oczarowany jej dziecinną radością i czerpał przyjemność z jej zadowolenia.

Lubił rozpieszczać Delfine.

Za-

abrał ją na romantyczne weekendy do Paryża, Wiednia, a nawet do Maroka, kupował wszystko, co przypadło jej do gustu.

Obsypywał Delfine kosztownymi podarunkami, ponieważ nie mógł dać jej miłości, bo w jego sercu wciąż królowała Rita.

Ani na 'S chwilę nie przestał żałować, że tak zlekceważyła jego serce i pro-ij pozycję.

^

Gdy Rita w końcu schowała dumę do kieszeni i postanowiła H wykonać pierwszy ruch, jej nadzieje legły w gruzach, ponieważ

436

pani Megalith z typowym dla siebie brakiem delikatności oznajmiła, że Max się zakochał.

- To Francuzka - oświadczyła z dumą.

- Bardzo ładna i urocza.

Max mówi, że jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy.

Rita była wstrząśnięta swoją reakcją.

Wpadła w rozpacz i nie mogła się z niej otrząsnąć.

Wreszcie dotarło do niej, że przez swoją bezsensowną obsesję na punkcie George'a na zawsze straciła Maksa.

Miesiące mijały, lecz Rita zauważała upływ czasu tylko poprzez zmiany pór roku.

Ogarniało ją coraz głębsze przygnębienie.

Nie wyobrażała sobie, aby mogła wrócić do biblioteki, nie chciała przyznać się, że poniosła porażkę, zresztą praca w domu bardzo jej odpowiadała.

Jeżeli miała ochotę, mogła cały dzień rzeźbić w szlafroku i z potarganymi włosami, dom dawał jej też wielkie poczucie bezpieczeństwa, bo tu nikt nie kiwał głową nad jej upadkiem.

I właśnie w tym najgorszym okresie pewnego zimowego dnia do jej drzwi zapukał nieznajomy.

Przelewała w kuchni skondensowane mleko do garnka, w którym robiła śmietankowe krówki dla dzieci Maddie.

Tarka zerwała się z postania i zaniósł pełnym podniecenia ujadaniem.

Rita natychmiast się zirytowała, bo jak zwykle była nieuczesana, w szlafroku i kapciach.

Miała nadzieję, że jej gość to ktoś znajomy, przy kim nie będzie musiała przejmować się swoim wyglądem.

Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła stojącego na progu starszego mężczyznę, zaczerwieniła się ze wstydu.

- Przepraszam, że nachodzę panią bez uprzedzenia...

- prze mówił głębokim, miłym głosem.

Pośpiesznie otuliła się szlafrokiem i odgarnęła włosy do tyłu.

- Nic nie szkodzi - powiedziała.

- W czym mogę panu pomóc?

- zapytała, ogarniając spojrzeniem elegancki garnitur przybysza, je go granatowy kaszmirowy płaszcz i filcowy kapelusz.

- To pani jest tą uzdolnioną rzeźbiarką z biblioteki, prawda?

- zagadnął z uśmiechem.

Wyprostowała się i popatrzyła na mężczyznę z zainteresowaniem.

- Nazywam się Benjamin Bradley - przedstawił się, wyciągając do niej rękę.

437 .

- Rita Fairweather...

- Potrząsnęła jego dłonią.

- Proszę do środka...

Zamknęła drzwi i zaprowadziła gościa do kuchni.

Tarka poszła za nimi, z zaciekawieniem obwąchując buty mężczyzny i przyjaź nie machając ogonem.

- Czy mogę zaproponować panu coś do picia?

Żałowała, że nie poświęciła trochę czasu na sprzątnięcie kuchni, która wyglądała jak plaża po przyplywie.

- Filiżankę herbaty, jeżeli można - odparł, robiąc na stole miejsce na swoją teczkę.

Postawiła czajnik na gazie i rozejrzała się za czystą filiżanką i spodeczkiem.

- Proszę siadać...

Przepraszam za bałagan, ale...

- Jest pani artystką.

Pracy twórczej zwykle towarzyszy chaos.

- Jest pan zbyt uprzejmy...

Nie zdążyłam się nawet ubrać, choć ciąż nie jest już wcześnie...

- Po prostu korzysta pani z luksusu pracy w domu.

Co pani go tuje?

Cudownie pachnie...

- Krówki dla moich siostrzenic i siostrzeńca.

Bardzo je lubią.

- Nie ma pani własnych dzieci?

- Nie jestem mężatką.

- Na pewno nie z braku propozycji...

- Mężczyzna uśmiechnął się ciepło.

Poczuła, że znowu się czerwieni.

Jej gość zdjął płaszcz i kapełusz i przysunął sobie krzesło.

- Proszę chwileczkę zaczekać - powiedziała Rita.

- Zaraz wrócę...

Kiedy po paru minutach wróciła do kuchni, ubrana w spodnie, sweter i z włosami ściągniętymi w koński ogon, znalazła Tarkę siedzącą u stóp pana Bradleya i ocierającą się pyskiem o jego spodnie.

- Widzę, że ma pan nową przyjaciółkę - zauważyła z uśmiechem.

- Tarka nie wszystkim darzy taką sympatią.

- Pochlebia mi to.

- Mężczyzna pogłaskał psa po złotawej głowie.

Rita napełniła filiżankę i nalała mleka do dzbanuszka, starając

się zrobić na gościu dobre wrażenie.

Usiadła naprzeciwko niego

i pytająco uniosła brwi.

- Widział pan moje prace?

- zapytała z nadzieją.

Benjamin Bradley skinął głową i wsypał do herbaty łyżeczkę cukru.

- Widziałem i jestem pod wrażeniem.

Czapla, która stoi w bi bliotece, to najzupełniej doskonała rzeźba.

- Naprawdę?

- Rita z niedowierzaniem zmarszczyła nos.

- Myślę, że ma pani wielki talent i potencjał...

- Tak naprawdę to tylko hobby.

Nie robię na tym pieniędzy.

- A powinna pani!

- Pociągnął łyk herbaty i uśmiechnął się z wyraźną przyjemnością, przy czym jego siwe, krzaczaste brwi zbiegły się nad nosem w prostą linię.

- Ach, nie ma to jak filiżanka dobrej gorącej herbaty...

- Nie rzeźbię dla zarobku, ale dlatego, że bardzo to lubię - powiedziała Rita, starając się nie myśleć o piętujących się na jej biurku rachunkach.

- Chciałbym przedstawić pani pewną propozycję.



Widzi pani, jestem właścicielem małego sklepu z upominkami w Londynie i zawsze szukam nowych talentów.

Chętnie zawrę z panią umowę na określoną liczbę rzeźb, jeżeli uzna to pani za korzystne...

Rita patrzyła na niego ze zdumieniem.

- To chyba zbyt wspaniałe, aby było prawdziwe...

- rzekła cicho.

- Jeśli nie jest pani zainteresowana, zrozumiałem...

- zaczął męź czyzna.

- Nie, nie, nie o to chodzi!

- przerwała mu Rita.

- Taka umowa to dla mnie wspaniała szansa.

Ile rzeźb chciałby pan zamówić?

- Na razie mogę wziąć kilka i sprawdzić, jak będą się sprzedawały.

Na tej samej zasadzie współpracuję z malarzem, który sprzedaje w moim sklepie trzydzieści parę obrazów rocznie...

Rita przygryzła dolną wargę.

- Ile mógłby mi pan zapłacić?

- zapytała.

Starła się robić wrażenie osoby, która ma już pewne doświadczenie w biznesie.

- Na początek sto funtów za rzeźbę, potem odpowiednio więcej, jeżeli będzie na nie popyt.

- Sto funtów za sztukę?

- Czy to za mało?

- W głosie pana Bradleya zabrzmiała nuta zażenowania.

- To więcej, niż się spodziewałam...

Na twarzy mężczyzny znowu pojawił się uśmiech.

- Ceny w Londynie poważnie różnią się od tych na prowincji.

Ludzie, którzy mieszkają w wielkim mieście, mają więcej pieniędzy i są gotowi więcej wydawać.

Pani prace są naprawdę doskonałe, proszę mi wierzyć, ale jeżeli wycenimy je za nisko, klienci nie zwrócą na nie uwagi.

Rita nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Dała panu Bradleyowi trzy rzeźby, które szczególnie przypadły mu do gustu, i obiecała, że w ciągu miesiąca przyśle następne.

Mężczyzna otworzył dużą czarną teczkę i wyjął z niej trzysta funtów w dwudziestofuntowych banknotach.

Rita nigdy nie widziała tylu pieniędzy naraz i z szacunkiem wzięła do ręki spory plik.

Po południu wybrała się na długi spacer po plaży, podekscytowana celem, który niespodziewanie pojawił się w jej życiu.

Kiedy wróciła do domu, zadzwoniła do Maddie i przekazała jej dobrą wiadomość.

Maddie nie kryła poruszenia.

- To wiele lepsze od gnicia w tej nudnej bibliotece!

- zawołała.

- Rzeźbienie jest przecież dużo bardziej seksowne.

Teraz po trzeba ci jeszcze kochanka i już będziesz kobietą spełnioną...

Rita zignorowała tę ostatnią uwagę i wprosiła się do siostry na herbatę.

- Przyniosę świeże krówki dla dzieci - oświadczyła.

- Zrobiłam je dziś przed południem.

- Świetnie!

- ucieszyła się Maddie.

- Dzieciaki zaprosiły przy jaciół ze szkoły, więc wszyscy będą zachwyceni.

Ja mam tylko kawałek napki z pastą marmite i wafelki.

Rita ukryła pieniądze pod obłuzowaną deską w podłodze sypialni i pojechała do miasta po zakupy.

Kobieta ze sklepu dla pla styków nie wytrzymała i spytała, co jest przyczyną jej doskonałe go nastroju.

- Zaczęłam sprzedawać swoje prace w sklepie z upominkami w Londynie - wyjaśniła z dumą Rita.

- Będę mogła umieszczać tam mniej więcej czterdzieści rzeźb rocznie!

- Nieźle się pani przy tym napracuje.

- Sprzedawczyni pokiwała głową, wyraźnie przejęta.

Nie mogła się już doczekać, kiedy opowie Faye Bolton o nagłej odmianie losu Rity.

Po południu Rita zabrała Tarkę i pieszo wyruszyła z nią do Bray Cove.

Poszły ścieżką wzdłuż brzegu, z przyjemnością obserwując pokryte drobnymi białymi grzywami morze.

Powietrze pachniało solą i ozonem, ostry, zimny wiatr gnał szare chmury po niebie.

Rita szła lekkim, sprężystym krokiem.

Wreszcie promień światła rozjaśnił mroki jej smutnej duszy.

Kiedy dotarła do domu siostry, dzieci grały w ogrodzie w futbol pustą puszką po fasolce.

Elsbeth pomachała ciotce z zaim prowizowanej bramki, którą właśnie atakował Freddie.

Dziewczynka miała na głowie wysoki, spiczasty kapelusz czarownicy i starą czarną pelerynę, znaną w skrzyni z kostiumami.

Maddie siedziała przy kuchennym stole, popijała kawę i czytała gazetę.

- Elsbeth jest bardzo podobna do Eddie, nie sądzisz?

- odezwała się Rita, wieszając płaszcz w przedpokoju i zdejmując kalosze.

- Ma na sobie pelerynę Eddie - zaśmiała się Maddie.

- Nasza siostra także zawsze chciała być czarownicą, pamiętasz?

- Oczywiście.

Historia naprawdę lubi się powtarzać, co?

Maddie kiwnęła głową i uniosła brwi.

- Z pewnością.

Kiedy patrzę na Daisy i Charliego Boltona, myślę o tobie i George'u.

Ci dwoje są nierozłączni, podobnie jak kiedyś ty i George...

Rita rzuciła jej szybkie spojrzenie.

- Czy Charlie tu jest?

- Tak.

- Maddie podniosła się, żeby postawić czajnik na fajer ce.

Zauważyła zmieszanie siostry i prychnęła ze zniecierpliwie niem.

- Na miłość boską, nie zamierzasz chyba przejmować się obecnością Charliego?!

Nie jest nawet trochę podobny do ojca, to skóra zdarta żywcem z matki...

- Nie przejmuję się - Rita sięgnęła do szafki po filiżankę.

- Gratuluję ci tego zlecenia, moja droga.

To najlepszy dowód, że nie mam zielonego pojęcia o sztuce.

- O co ci chodzi?

- Moim zdaniem czapla, którą zrobiłaś dla biblioteki, jest okropna!

- Naprawdę?

- Tak.

Najbardziej podobają mi się twoje rzeźby dzieci.

Są peł441 .

ne uroku, chociaż trochę prymitywne.

Cóż, moja orientacja w tej dziedzinie jest po prostu żadna...

- Benjamin Bradley uważa, że uda mu się sprzedać koło czterdziestu moich rzeźb rocznie - powiedziała Rita, starając się nie okazywać, że uwagi siostry trochę ją uraziły.

- Życzę mu powodzenia.

Na pewno dobrze zna rynek, a jeżeli nie, to już jego problem.

Najważniejsze, żeby ci regularnie płacił.

Rita szybko zmieniła temat i zapytała o najnowszą książkę Harry'ego.

- To historia nieodwzajemnionej miłości - odparła Maddie.

- Główna bohaterka jest uderzająco podobna do ciebie i ma podobne przeżycia.

Powinniśmy zapłacić ci za ten wątek.

Dobrze, że tym razem będziesz bogata i nie zapomnisz się o należność...

Zanim Rita zdążyła odpowiedzieć, kuchenne drzwi się otworzyły i do domu wpadły zziębnięte dzieci.

Zrzuciły wierzchnie okrycia i zostawiły je na podłodze.

Elsbeth podbiegła do Rity i uściskała ją.

- Jestem czarownicą - oznajmiła.

- Szkoda, że nie naprawdę, bo wtedy mogłabym zamienić Freddiego w ropuchę.

Całe popołudnie stałam na bramce.

- Bo po prostu masz pecha!

- rzucił jej brat, siadając przy stole.

- Jest jeszcze ciasto czekoladowe, mamo?

- Rita zrobiła dla was krówki.

- Maddie z uśmiechem postawiła duży talerz ze słodyczami pośrodku stołu.

- Och, cudnie!

- uradował się Freddie.

- Możesz nas dalej odwiedzać, ciociu Rito!

Siadaj tutaj, Charlie, i spróbuj pysznych krówek naszej cioci!

Charlie zajął miejsce na ławie pod ścianą obok Freddiego.

Rita widziała go kilka razy w sklepie i raz w kościele, ale nigdy nie miała okazji bliżej przyjrzeć się chłopcu.

Maddie miała słuszną rację, Charlie rzeczywiście bardzo przypominał matkę, lecz kiedy się uśmiechał, dokładnie widać było podobieństwo do George'a.

- Daisy, podaj mi śmietankę!

- polecił Freddie, przekładając spory kawałek krówki na swój talerz.

- Czyżby twój ostatni niewolnik skonał z przepracowania?

- zapytała chłodno Daisy.

- Sam sobie podaj śmietankę!

- Elsbeth!

- rozkazującym tonem odezwał się Freddie.

Młodsza siostra z ciężkim westchnieniem otworzyła lodówkę.

Wyjęła biały kartonik, wygrzebała z pojemnika na warzywa pół konserwowego ogórka i wrzuciła do śmietanki, potem zaś z obojętną miną podała opakowanie bratu i usiadła obok Avy, która w milczeniu zjadła swoją porcję krówki.

Daisy zmrużyła oczy.

Zawsze wiedziała, kiedy Elsbeth coś knuje.

Freddie bez słowa po dziękowaniu połał sobie krówkę śmietanką, a ponieważ ani na chwilę nie przestał gadać z Charliem, nie zauważył, że na jego talerz wypadł też kawałek konserwowego ogórka.

Daisy z trudem stłumiła chichot i lekko kopnęła Charniego w kostkę.

Gdy chłopak odwrócił się do niej, wzrokiem wskazała talerz brata.

Po chwili Freddie nabrał na łyżeczkę dużą porcję złocistej, ciekącej krówki razem z niespodziewanym dodatkiem.

Gdy wbił zęby w kwaśny ogórek, wrzasnął z obrzydzeniem i wypluł wszystko na świeży obrus.

Maddie przewróciła oczami i bezradnie potrząsnęła głową.

- Jeżeli Frogal Point nie doprowadzi mnie do szaleństwa, na pewno uda się to moim dzieciom - powiedziała z kwaśnym uśmiechem.

Rita uważnie przyglądała się Avie.

Milcząca, wyraźnie nieśmiała dziewczynka miała szare oczy o wrażliwym wyrazie, podobnie jak ojciec, i długie, bardzo jasne włosy matki.

Rita usiłowała wyobrazić sobie, jak wyglądałyby jej dzieci, gdyby wyszła za George'a.

Z zamyślenia wyrwał ją widok wisiorka na szyi Avo.

Ze zdu mieniem spostrzegła, że jest to chyba ta sama gołąbica, którą kiedyś rzuciła w morskie fale.

- Masz śliczny wisiorek, Avo - zagadnęła, nie mogąc opanować ciekawości.

- Od kogo go dostałaś?

Ava dotknęła srebrnej synogarlicy smukłymi białymi palcami.

- Od mamy - odparta.

- Ale to tata znalazł ją w jaskini na

plaży...

Rita miała wrażenie, że ktoś nagle wymierzył jej mocny cios

w brzuch.

- Jest naprawdę piękny...

- powiedziała słabym głosem.

- Dziękuję.

Miałam szczęście, bo mama go nie chciała...

Ritę ogarnął gniew na myśl, że Susan mogłaby nosić jej wisiołek.

Nie miała pojęcia, dlaczego George nie zatrzymał srebrnej

44? .

ozdoby - oddanie jej Susan uznała po prostu za bezmyślne.

Prze cież kiedyś ten symbol miał wielkie znaczenie dla nich obojga...

Próbowała zadać Avie jeszcze kilka pytań na temat rodziców, ale dziewczynka odpowiadała monosylabami, więc Rita się poddała i usiadła obok Maddie, która znowu zajęła się przeglądaniem cza sopism.

Nagle poczuła, że nie ma tu dla niej miejsca, że w tym do mu nigdy nie będzie u siebie.

Drgnęła, gdy jej ręki dotknęła ma ła, klejąca się dłoń.

Obok niej stała ubrana w strój czarownicy Elsbeth i patrzyła na nią z wielką sympatią.

- Pobawisz się ze mną, ciociu?

Serce Rity zmiękło w jednej chwili.

- Z przyjemnością, kochanie.

Wydźmy na dwór, co ty na to?

Siądziemy sobie w ciemności na skałach i opowiem ci o czarow nicach, prawdziwych czarownicach, takich jak twoja prababcia - rzekła, wstając i idąc z dziewczynką do drzwi.

Maddie nawet nie podniosła wzroku znad barwnych fotografii, a pozostałe dzieci były zbyt zajęte pochłanianiem krówek, aby za uważać, że ciocia Rita zamierza snuć w świetle księżyca opowie ści, które przecież wszystkie tak bardzo lubiły.

Max ostatecznie zrezygnował z myśli o związku z Rita, uznał, że nie może dłużej żyć niespełnionymi marzeniami, i oświadczył się Delfine, która była zbyt młoda i zaślepiona blaskiem swojej bi żuterii, aby zauważyć, że narzeczony kocha inną.

Przyjęła oświad czyny Maksa i wprowadziła się do jego domu.

- Wszystko, co moje, będzie należało do ciebie - powiedział Max.

- W tym domu jest jednak jeden pokój, do którego klucz mam tylko ja.

Pokój jest zawsze zamknięty, ponieważ nie chcę się nim z nikim dzielić, i mam nadzieję, że uszanujesz moje życzenie.

Wszystkie pozostałe pokoje są twoje...

Delfine zapewniła go, że przyjmuje to do wiadomości.

Była bar dzo szczęśliwa i tajemniczy pokój nic ją nie obchodził.

Wkrótce miała zostać żoną Maksa, panią de Guinzberg, i tylko to się dla niej liczyło.

Kiedy Rita usłyszała od babki o zaręczynach Maksa, ogarnęło ją głębokie przygnębienie.



Najwyraźniej całkowicie wyrzucił ją ze

swoich myśli, skoro nie powiedział jej o tym sam.

Czuła się zdradzona i porzucona.

Znowu codziennie spacerowała po klifach z Tarką, wspominając, jak kiedyś o mało nie rzuciła się ze skały po zdradzie George'a.

Wydawało jej się, że tamta historia rozegrała się bardzo dawno, w innej erze, w czasach, gdy była inną dziewczyną.

Nagle uświadomiła sobie, że życie wszystkich ludzi wciąż się toczy, zupełnie jak wody wielkiej rzeki.

Tylko jej życie podobne było do zarośniętego gnijącymi wodorostami stawu...

Poczuła, że ma tego dosyć.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Minęły już prawie trzy lata od śmierci Treesa i Faye miała do syć żałoby.

Starannie skrywane i krótkie wizyty w domu Tadeusza przestały jej wystarczać.

George był zajęty farmą i dziećmi, Alice także miała własne życie, a Faye?

Faye rzeźbiła w swoim studiu i cieszyła się towarzystwem wnuków, ale teraz, gdy nie miała ni kogo, kim mogłaby się opiekować, czuła się dziwnie niespełniona.

Pragnęła zająć się Tadeuszem, który był stary i potrzebował jej obecności.

Chciała przygotowywać mu posiłki, prać i prasować ubrania, dotrzymywać mu towarzystwa, w długie zimowe wieczory siadać z nim przy kominku i rozmawiać o książkach, które czytali, i muzyce, którą kochali.

Marzyła o tym, żeby słuchać jego gry na skrzypcach i akompaniować mu na fortepianie, dzieląc z nim te przepełnione melancholią chwile, gdy wspomnienia budziły się w jego sercu.

Kochała go i ukradkowe spotkania już jej nie wystarzały.

Faye dobiegała siedemdziesiątki i nie przejmowała się już, co pomyślą o niej inni.

Hanna mogła do woli wyrażać dezaprobatę dla jej zachowania, panna Hogmier plotkować z wielebnym Hammondem i jego żoną, cały kościół mógł się zatrzęść na wieść o jej romansie, ale dla Faye wszystko to nie miało już najmniejszego znaczenia.

Wolność przychodzi wtedy, kiedy nie dbasz o to, co

446

powiedzą inni, myślała, pakując swoje rzeczy.

Wreszcie będę żyła dla siebie.

Wieczorem, kiedy George wpadł na herbatę po pracy, walizki Faye stały w holu.

- Dokąd się wybierasz?

- zapytał, czekając, aż Faye wyjmie grzanki z piekarnika.

- Przeprowadzam się do Tadeusza Waliszewskiego - odparta spokojnie.

George usiadł i potarł brodę.

- Co będzie z domem?

- zagadnął, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Dom należy do ciebie, kochanie.

Trees zostawił ci farmę i dom, przecież wiesz.

- Dlaczego Tadeusz nie może zamieszkać tutaj?

Faye postawiła talerz z grzankami na stole i przysunęła sobie krzesło.

- Bo to był dom twojego ojca - powiedziała.

- Żyję w nim zbyt wiele wspomnień związanych z Treesem, żebym mogła być tu szczęśliwa z innym mężczyzną.

- Mówiłaś już Alice?

- Nie.

Tylko tobie.

- Ludzie zaczną zadawać pytania...

Jesteś na to przygotowana, prawda?

- George pomyślał o Susan i wrogości, z jaką wciąż się spotykała, tylko dlatego, że nie pochodziła z Frogmal Point.

Nie chciał, aby to samo przydarzyło się matce.

- Bardziej przygotowana już nie będę.

Kochałam twojego ojca i odbyłam po nim żałobę, ale od jego śmierci minęły już trzy lata.

Przeżyłam bez niego trzy święta Bożego Narodzenia...

Nie chcę marnować więcej czasu.

Życie jest krótkie, mam przed sobą już niewiele lat i pragnę je spędzić z człowiekiem, który mnie kocha.

Nie potrafię żyć bez miłości, George.

- Nikt nie powinien żyć bez miłości - przytaknął poważnie, myśląc o Ricie.

- Max poprosił ją o rękę.

- Faye spojrzała synowi w oczy, bez trudu odgadując jego myśli.

- Wiedziałaś o tym?

- Max oświadczył się Ricie?

- Fala drapieżnej zaborczości, która nagle ogarnęła go i zupełnie zaskoczyła.

- Chyba nie zgodziła

się zostać jego żoną?

Chodzi mi o to, że nigdy nie pomyślałbym...

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogliby stanowić parę...

- Odmówiła mu.

- Faye patrzyła, jak zazdrość plami policzki syna krwawą czerwienią.

George zaczął ogryzać skórkę przy kciuku, zawstydzony uczu ciem ogromnej ulgi.

- Widziałeś ją?

- Tylko z daleka.

- Spuścił wzrok i zabrał się do smarowania grzanki masłem.

- Rozumiem...

Faye długą chwilę przyglądała się jedzącemu synowi.

- To zabawne, że można mieszkać w odległości paru kilometrów od siebie i nigdy się nie spotkać - powiedziała w końcu.

George ze wszystkich sił usiłował wyrzucić Ritę ze swego serca, nie był jednak w stanie zdławić męczącej go tęsknoty.

Czuł, że dopóki mieszka we Frogal Point, wśród wspomnień z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości, nigdy się od niej nie uwolni.

Duch jej postaci będzie wciąż ukazywał mu się na skałach, w jej skini i na plaży, a on będzie jej szukał wzrokiem na klifach, z miłą szaniną lęku i tęsknoty w sercu.

Rita była częścią tego miejsca, podobnie jak ptaki i on sam.

Nie mógł tego dłużej znieść.

Oszło łomiony dziwnym podnieceniem, nie zastanawiał się nad uczuciami żony i myślał tylko o Ricie.

Wiedział, że musi z nią porozmawiać.

Z sercem w gardle pojechał w górę wybrzeża.

Jesienne liście wzbijały się w powietrze za przejeżdżającym samochodem, a słońce złociło ich brzegi i połyskiwało na rudawych plamach.

George opuścił okno i z przyjemnością wystawił twarz na podmuchy chłodnego wiatru.

Był zdenerwowany, mięśnie brzucha miał mocno napięte.

Czuł się tak, jak w kokpicie samolotu, kiedy w każdej chwili mógł go zaatakować niemiecki myśliwiec.

Perspektywa po nowym spotkaniu z Ritą była niemal równie przerażająca.

Gdy podjechał pod jej domek, długą chwilę siedział w samo chodzie, zastanawiając się, co powie, i starając się przewidzieć jej reakcję.

448

Wciąż ogryzał skórę wokół kciuka, która teraz piekła i krwawiła.

Ręce miał teraz szorstkie i spracowane, nie tak gładkie i szczupłe jak dłonie pilota, którym kiedyś był.

Zerknął w lusterko i na gwałt zauważył zmarszczki wokół oczu, pełniejsze niż dawniej policzki, zaczerwienioną skórę, coraz bardziej przeredzające się włosy.

Nie był już młodym mężczyzną, w którym Rita zakochała się wiele lat temu, a i ona na pewno nie była tamtą dziewczyną...

Z westchnieniem wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwiczki.

Miał tak silne wyrzuty sumienia, jakby już dopuścił się zdrady.

Szybkim krokiem pokonał krótki podjazd, wysadzany wysokimi kasztanowcami, które ronili liście i lśniące, brunatnorude kasztany, i podszedł do domu.

Kiedy tak stał przed drzwiami Rity, miał świadomość, że następne chwile albo raz na zawsze za mną przeszłość i opieczętuja ją, albo otworzą przejście do minionych lat, wpędzając go w jeszcze większe zagubienie.

Czuł się jak gracz, który zaraz postawi cały majątek na jeden numer.

Miał nadzieję, że spotkanie z Ritą okaże się mniej wstrząsające, niż sądził.

Wziął głęboki oddech, wyprostował się i nacisnął dzwonek.

W domu panowała kompletna cisza, słyszał tylko rozpaczliwe bicie swego serca.

Zadzwonił jeszcze raz.

Przypomniał sobie, że Rita ma psa, zaczął więc nasłuchiwać stukania pazurów o podłogę po drugiej stronie drzwi, ale nic nie usłyszał.

Jego zdenerwowanie przez rodziło się w nieprzyjemną frustrację.

Rity nie było w domu.

George miał poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek zdobędzie się jeszcze na odwagę, aby do niej przyjechać.

Minęło parę minut, zanim niechętnie zdecydował się odjechać.

Zamierzał już wrócić do samochodu, kiedy ciekawość skłoniła go do szybkiego rozejrzenia się dookoła domu.

Jaką kobietą była teraz Rita?

Posiadłość stanowi podobno odbicie osoby, która ją zamieszkuje, pomyślał, zawracając ku małej furtce w płocie.

Ogród przyjemnie go zaskoczył - był dużo większy, niż można by sądzić po domku.

Trawnik łagodnie schodził w kierunku plaży, w odda li widać było grzywiaste fale i nisko krążące mewy.

George scho wał ręce do kieszeni i spojrzał na rozkołysaną w łagodnym świetle jesiennego popołudnia zatokę.

Kierowany instynktem, ruszył w dół wydeptaną ścieżką.

Piasek był wilgotny, bo przyptyw dopie ro się cofał, pozostawiając ptakom mnóstwo małych drobnych sko449 .

rupiaków.

Słony wiatr przecesał włosy George'a delikatnie i miękko jak dłoń ukochanej kobiety, i jego serce wezbrało wielką tęsknotą za przeszłością.

Myślał o Ricie.

Przywołał też twarze Jamiego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona, i twarze przyjaciół nakładały się na twarz byłej narzeczonej, niewyraźne i nieco zamglone.

Oszołomiony hipnotycznym rytmem morza, rozpostarł ramiona niczym potężny orzeł i pobiegł przed siebie plażą.

Im dłużej biegł, tym większa ogarniała go beztroska i w końcu roześmiał się głośno, rozbawiony absurdalnością tej sytuacji.

I wtedy nagle, w tej krótkiej chwili radości, odnalazł chłopca, który dawno temu dorastał we Frognał Point.

Odnalazł go w sobie, w głębi swojej po godnej, roześmianej duszy i zrozumiał, że musi odnaleźć także i dziewczynę, która dorastała tu razem z nim.

Szybko zawrócił do ogrodu.

Czuł zapach Rity w aromacie kwiatów i w błyszczącej od rosy trawie.

Postanowił, że zaczeka na nią i powie, iż nadal ją kocha i popełnił błąd, zostawiając ją samą.

Po lewej stronie ciągnął się stary, kruszejący mur.

Niska, zniszczona furtka stała otworem.

George podszedł bliżej, z przyjemnością myśląc, że ten dziwny, nieco zaniedbany dom i dziki ogród stanowią doskonałe odbicie natury Rity, i zajrzał na drugą stronę.

Wyciągnięta na trawie obok śpiącego psa leżała Rita.

Dzieliła ich spora odległość, więc nie mogła go zauważyć, leżała zresztą za siatką, osłaniającą krzaki malin przed ptakami.

Ręce wyciągnęła daleko przed siebie i najwyraźniej starała się oswoić parę wróbli, kusząc je jakimś przysmakiem.

Malutkie ptaki podskakiwały dookoła dłoni, wciąż jeszcze niepewne, czy mogą jej zaufać.

Pies był już stary, jego pysk prawie zupełnie posiwiał, a głęboki sen nie pozwolił mu wyczuć obecności George'a przy furtce, który cofnął się gwałtownie, nagle ogarnięty przerażeniem, że Rita mogłaby go

zobaczyć.

Starając się oddychać jak najciszej, opanował wzburzenie i niczym szpieg znowu zerknął przez mur.

Rita wyglądała pięknie w złocistym, bursztynowym świetle.

Jej twarz była blada i skupio na, dokładnie taka, jaką zapamiętał.

Nic nie wskazywało na to, aby się postarzała.

Włosy wciąż miała długie i potargane, ciało kształtne, ubrana była jak zwykle niedbale.

Przypomniał sobie, że nawet kiedy próbowała ubrać się elegancko, nic z tego nie wycho450

dzilo.

Przechylił głowę na bok, zapomniał o zdenerwowaniu i z radością chłonął wzrokiem rozgrywającą się przed nim sielan kową scenę.

Jego dusza przywoływała wspomnienia i napełniała

serce miłością.

Lekki wiatr zaszeleścił wyschniętymi liśćmi malin, odgarniając

włosy Rity z czoła i odstaniając jeden jej policzek, połowę twarzy, którą George tak często pieścił pocałunkami i czułym dotykiem palców.

Tej samej twarzy, na której czasami czuł słony smak mo rza i łez.

Ile razy trzymał w ramionach to ciało?

Wydawało mu się, że wszystko to wydarzyło się kilka dni temu.

Czuł ciepło jej skóry, solidną pewność miłości, bezgraniczny entuzjazm młodości.

Zapomniał o niej, porzucił ją...

W pewnej chwili, gdy lekko przekręciła rękę, słońce błysnęło

na jej palcu.

Natychmiast rozpoznał pierścionek z brylantem i po czuł, jak nagle ogarnia go duma.

Zatrzymała pierścionek, który podarował jej przed wyjazdem.

W jednej chwili powróciło wspomnienie przysiężeń, które sobie złożyli, niemal usłyszał szmer dawno wypowiedzianych słów.

Prosił ją wtedy, aby przypomina ła sobie o jego miłości za każdym razem, gdy spojrzy na pierście nek, a ona odparła, że jemu o jej uczuciu i wierności przypominać ma widok księżycy na niebie...



Wróble zaczęły ostrożnie skubać okruszki z jej dłoni.

George

przyłgnął do muru, czując, jak po plecach spływa mu strużka zimnego potu.

Przysięgł przed Bogiem, że będzie zawsze kochał Susan.

Jeżeli ulegnie pożądaniu, na pewno straci wszystko.

Serce mocno załomotało mu w klatce piersiowej.

Przygnieciony wyrzućami sumienia i żalem, chwiejnym krokiem ruszył przez trawnik w kierunku podjazdu, gotów za wszelką cenę uciec, nim Rita go zobaczy.

Czy można kochać dwie kobiety?

Myśl o stracie Susan napełniła go przerażeniem, wręcz zgrozą.

Myśl o spotkaniu z Ritą budziła teraz lęk i rozpacz.

Wyszedł na drogę i pośpiesznie wszedł do samochodu.

Kiedy

włączył silnik, w lusterku wstecznym zobaczył, jak złocista retrieverka pędem wypada na podjazd.

Odjechał, nie oglądając się za

siebie.

- Ty głupi psie!

- zawołała Rita, kiedy Tarka wróciła do ogrodu.

- Co tam takiego zobaczyłaś?

- Poklepała sukę po miękkim

457 .

futrze i pokręciła głową.

- Starzejesz się, wiesz?

Kto to widział, żeby tak uganiać się za duchami?

Była zadowolona, że ptaki ośmieliły się jeść z jej dłoni.

To od matki nauczyła się je oswajać.

Pomyślała, że kiedyś Maddie na prawdę pięknie malowała ptaki, i jaka to wielka szkoda, że znowu uciekła w świat kolorowych czasopism i filmów.

Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi, nieświadoma, że George był bardzo blisko i jak mało brakowało, aby jej marzenia się spełniły.

Wracając na farmę, George uświadomił sobie, że być może ni gdy więcej nie zobaczy Rity.

Jak mówiła jego matka, można mieszkać bardzo blisko i nigdy się nie spotkać, niewykluczone więc, że on przeżyje resztę swoich dni we Frognał Point i nie natknie się na Ritę.

Zdawał sobie sprawę, że dla dobra Susan i ich małżeństwa Rita musi przestać dla niego istnieć.

Susan bez pośpiechu przygotowywała kolację.

Przywykła już do życia w dużym domu na farmie.

Faye zabrała wszystkie swoje książki i manuskrypty, fotografie i bibeloty, ale pokoje nadal pełne były starych rodzinnych przedmiotów i sprzętów.

Susan nosiła się z zamiarem przeprowadzenia całkowitej zmiany umeblowania.

Gust Faye był w najlepszym razie ekscentryczny, w najgorszym po prostu fatalny.

Zdaniem Susan, nawet ślepiec wybrałby lepsze, bardziej eleganckie rzeczy.

Bardzo jej zależało, aby dom Faye i Treesa stał się domem jej rodziny.

W tej chwili czuła się tu jeszcze trochę jak gość i nie chciała pozbywać się czegokolwiek, by nie urazić teściowej.

George kochał swój dom, ponieważ przypominał mu dzieciństwo, rozumiał jednak jej potrzebę stworzenia miejsca, w którym mogłaby czuć się dobrze i swobodnie.

Z zamyślenia wyrwał ją warkot silnika.

Wyrwała przez okno i zobaczyła, jak George podjeżdża pod dom i wyłącza silnik.

Kiedy wysiadł z samochodu, spostrzegła, że wygląda inaczej niż zwykle.

Policzki miał zarumienione, włosy lekko potargane.

Sprawił wrażenie młodszego i bardzo przypominał chłopaka, którego przed laty poznała na pokładzie statku "Fortuna".

Natychmiast zaczęła się zastanawiać, gdzie był.

I z kim.

George stanął w progu i spojrzał na Susan, opartą o kuchenny blat.

Wyglądała staro, była mizerna i blada, w kącikach ust miała

zmarszczki, które ściągały je w dół i nadawały jej twarzy wyraz smutku.

Dziwne, że nie zauważył tego wcześniej...

Oboje patrzyli na siebie ostrożnie, w milczeniu.

W kuchni unosił się aromat przygotowanej przez Susan zapiekanki.

Nigdy nie była dobrą ku charką.

W Argentynie mieli Marcelę.

W Argentynie byli szczęśliwi...

Susan wpatrywała się w twarz męża zimnymi, nieprzyjaznymi oczami.

- Masz romans?

- zapytała chłodno.

Jej pytanie zaskoczyło go nie tylko otwartością, ale także arogancją.

Oczy George'a rozszerzyły się ze zdumienia.

Ich chłód, bez troski wyraz zniknął, młody człowiek z "Fortuny" ustąpił miejsca dojrzałemu mężczyźnie.

- Nie - odparł zdecydowanym tonem.

- Gdzie byłeś?

- Na plaży.

- Sam?

- Nigdy nie mówiłeś, że chciałabyś pójść ze mną...

- Bo nigdy mi tego nie zaproponowałeś.

- Serce Susan ścisnęło się z bólu, kiedy uświadomiła sobie, jak daleko George się od

niej odsunął.

Doskonale wiedziała, że nie była to wyłącznie jego wina - to

ona pozwoliła mu stworzyć ten dystans.

- Więc proszę cię o to teraz - uśmiechnął się z nadzieją.

- Pójdziesz ze mną na plażę, żebyśmy mogli razem popatrzeć na zachód

słońca?

Susan z trudem powstrzymała łzy.

Nie znosiła uważać się nad sobą i okazywać słabość, nienawidziła też, gdy robili to inni.

Odwróciła się, żeby wyjąć zapiekankę z piecyka, bo przecież mogłaby spalić się na węgiel w czasie ich nieobecności, ale też ukryć zaczerwienione oczy.

- Bardzo chętnie - odparła.

Nigdy więcej nie rozmawiali o Ricie.

Jej duch powoli przestał prześladować ich związek i poszukał schronienia w jaskini, na plaży i na smaganych wichrem szczytach klifów, gdzie razem z ptakami słuchał szeptu i krzyku morza.

George wyczuwał obecność byłej narzeczonej w czasie samotnych spacerów brzegiem

453 .

morza, na które czasami się wybierał, nie pozwalał jednak, aby wspomnienia zakłócały życie jego rodziny, i nigdy nie okazywał, że zdarza mu się za czymś tęsknić.

Podjął decyzję i pozostał jej wierny.

- Myśli pan, że Faye spotykała się z Tadeuszem Waliszewskim w czasie małżeństwa z Treesem?

- zapytała panna Hogmier, opie rając się o ladę.

Nieszczęsny duchowny doskonale czuł bijący od niej odór nie świeżego potu.

Panna Hogmier mówiła głośnym, syczącym szepem, chociaż w sklepie nie było poza nimi żywej duszy.

- Nie do nas należy osądzanie Faye - odparł z wyrzutem.

- Jej mąż odszedł już do Boga, nie ma więc nic złego w tym, że poko chała innego mężczyznę.

Panna Hogmier zmrużyła powieki i wykrzywiła wąskie wargi w zgorzkniałym uśmiechu.

- Słyszałam, że była z nim, kiedy Trees konał w samotności - zasyczała.

- Ale nie powiem, od kogo...

- To prawda.

Zawiozła Waliszewskiemu zamówioną przez nie go rzeźbę.

- To ona tak twierdzi...

- Panna Hogmier wyprostowała się i założyła ręce na piersi.

- Jeśli pan chce wiedzieć, to już od po grzebu Treesa aż paliła się, żeby przeprowadzić się do tego Pola ka.

Faye sądzi, że nikt się nie domyśli, jak to było naprawdę, ale mnie nie oszuka...

Dobrze, że nie jestem plotkarą, wręcz przeciw nie, zawsze uważałam, że trzeba pozwolić ludziom żyć tak, jak chcą...

- Faye nie zwierza się nikomu ze swoich przeżyć.

- Wielebny postukał palcem w koszyk z zakupami, mając nadzieję, że panna Hogmier wreszcie zajmie się podliczaniem należności.

Stara kobieta powoli pokiwała głową.

- Cicha woda brzegi rwie!

- prychnęła.

- Co młodzi mają o tym wszystkim myśleć?

Powinniśmy świecić im przykładem.

Nic dziwnego, że George ożenił się z Amerykanką, skoro jego własna matka uciekła z Polakiem!

- Wszyscy jesteśmy dziećmi jedyne Boga - rzucił z irytacją duchowny.

Nie miał już cierpliwości do panny Hogmier.

- Poli czyła pani, ile jestem winien?

- Śpieszy się wielebnemu, co?

Cóż, ostatnio nikt nie ma czasu zamienić paru słów z biedną starą panną...

Wszyscy gdzieś pędzą jak szaleni.

Nie żebym narzekała, skądże znowu...

Jestem pokorną kobietą.

Staraj się przejść przez życie w pokorze ducha, powta rzała mi matka.

Nie oczekuję wiele, wystarczy okazać mi odrobinę dobroci...

Ludzie potrafią być teraz tacy nieprzyjemni, prawda?

Powykręcany przez artretyzm palcami otworzyła czerwony notes i malutkimi cyferkami zapisała w nim należność.

Wielebny Hammond wyszedł ze sklepu, czując się bardzo nie swoje.

Jeżeli Faye rzeczywiście zdradziła męża, popełniła śmiertelny grzech, który mógł zaciążyć na losie jej duszy.

Duchowny postanowił złożyć jej wizytę.

Droga do nieba prowadzi przez żal za grzechy, a jego obowiązkiem było dopilnować, aby do raju do tarły wszystkie owieczki z jego parafii, także Faye Bolton.

## Rozdział trzydziesty piąty

Minęły dwa lata, a Max ciągle znajdował jakiś pretekst, żeby umknąć ustalenia daty ślubu.

Początkowo Delfine nie miała mu tego za złe i wcale się nie skarżyła.

Z satysfakcją obnosiła na palcu duży pierścień zaręczynowy z trzema brylantami i zmieniała wystrój domu, nie szczędząc pieniędzy Maksowi.

Nigdy nie spróbowała otworzyć drzwi do tajemniczego pokoju narzeczonego.

Zbyt pochłaniały ją zakupy, lunche z przyjaciółmi, udział w spotkaniach ekskluzywnych komitetów charytatywnych i towarzyszenie Maksowi w czasie biznesowych podróży, szczególnie tych do egzotycznych krajów.

Rola przyszłej pani de Guinzberg bardzo jej odpowiadała, więc z bezwstydną próżnością pozowała fotografom na przyjęciach i udzielała krótkich wywiadów prasie.

Max czerpał przyjemność z radości Delfine i wciąż obsypywał ją nowymi prezentami.

Śmiał się, kiedy pani Megalith nazywała jego narzeczoną ozdobną szkatułką, ale zawsze poważniał, kiedy opowiadała mu o Ricie.

- Jej rzeźby świetnie sprzedają się w Londynie - informowała go przez telefon.

- Dało jej to poczucie niezależności i sukcesu.

Może wreszcie pozbyłbyś się tej idiotki i jeszcze raz poprosił ją o rękę?

- Ona mnie nie chce, Primrose.

Sama powiedziała, że nigdy

nie przestanie kochać George'a.

Pani Megalith głośno cmoknęła językiem o podniebienie.

- Kobieta najczęściej zdobywa się nieustępliwością, kochany chłopcze.

Po co ci ten koszmarny pudeł, na miłość boską?

- Bardzo lubię Delfine.

Dzięki niej jestem szczęśliwy.

- Delfine to rozpieszczone dziecko.

Zaczekaj, aż przeistoczysz się w rozpieszczoną kobietę, a wtedy zrozumiesz, co to za nieszczęście...

- Nie bądź taka cyniczna.

Delfine jest czarująca, wszyscy ją

uwielbiają.

- Poza tobą - rzekła zimno pani Megalith.

Max postanowił zmienić temat.

Czy Primrose naprawdę nie rozumiała, ile kosztuje go każda rozmowa na temat Rity?

- Jak się czuje Ruth?

- zapytał.

- Trochę już widać, że jest w ciąży.

Dobrze znosi swój stan.

- To doskonale!

Na chwilę znowu nawiedziło go dawne pragnienie, aby stworzyć nowe życie i w ten sposób zapewnić ciągłość istnienia rodziny, którą wojna tak okropnie okaleczyła.

Nigdy nie opowiadał Delfine o nękających go przejmujących snach o malutkiej siostrzyczce, która nie miała szansy dorosnąć.

Tylko Rita знаła najciemniejsze zakątki jego serca i drzemiące tam cienie.

- Dzięki tobie jest szczęśliwa i wolna od troski o byt.

Dobry z ciebie chłopak, mój drogi.

Max zaśmiał się cicho.

- Pieniądze mają dla mnie niewielkie znaczenie, przecież

wiesz - rzekł.

-Jeśli jestem w stanie pomóc, to jakże mógłbym te go nie zrobić...

Starsza pani dobrze wiedziała, że Max chciałby także zadbać

o Ritę.

- Gdyby Rita za ciebie wyszła, nie musiałaby tak ciężko pracować - zauważyła, wracając do poprzedniego tematu.

- To była jej decyzja, nie moja.

- Och, oboje jesteście tacy głupi...

Sami utrudniacie sobie życie, naprawdę!

Tak czy inaczej, dzięki Bogu za pana Bradleya, oby jak najdłużej cieszył się dobrym zdrowiem...



457.

Gdy Max odłożył słuchawkę, ogarnęło go przygnębienie, choć i tak zwykle rozmowa z Primrose sprawiała mu ogromną radość.

Wiedział, że ona myli się co do Rity.

Dopóki George żyje, Rita nie znajdzie w sercu miejsca dla niego, Maksa, najważniejsze jednak było to, że wcale nie chciał zostać kimś w rodzaju zastępcy George^ Boltona...

Kiedy sekretarka próbowała połączyć go ze współpracownikiem, warknął na nią bez powodu.

Postanowił, że po przerwie na lunch przyniesie jej kwiaty i przeprosi za swoje zachowanie.

Ale ku jego wielkiej irytacji po pewnym czasie okazało się, że pani Megalith jak zwykle miała rację.

Delfine z każdym miesiącem stawała się coraz mniej urocza.

Dojrzewając, pozbywała się wszystkich cech, które tak u niej lubił, odrzucała je jak ubrania, z których zdążyła już wyrosnąć.

Stopniowo jego prezenty zaczęły robić na niej coraz mniejsze wrażenie, hotele, w których się za trzymywali, okazywały się nie dość luksusowe, przyjęcia były nudne, akcje organizacji charytatywnych, dzięki którym wypłynęła na szerokie wody w modnym towarzystwie, czasochłonne, nie ciekawe i nużące.

Wcześniej przypominała radosnego szczeniaka, który cieszył się każdą pieszczotą i uśmiechem pana, teraz domagała się, aby Max poświęcał jej coraz więcej uwagi, a kiedy nie spełniał żądań, nie kryła rozczarowania i nalegała, żeby wreszcie ustalili datę ślubu.

Delfine wyczuwała jakąś niewidzialną obecność, kogoś, kto odgradzał ją od narzeczonego.

Nie chciała odwiedzać Elvestree nie tylko ze względu na słabo skrywaną antypatię ze strony pani Megalith, ale także dlatego, że właśnie tam uczucie obecności trzeciej osoby, nieustannie zagrażającej ich związkowi, wyraźnie się nasilało.

Max nigdy nie mówił Delfine, że ją kocha.

Powtarzał, że ją lubi, uwielbia, że jest nią zachwycony, lecz nigdy nie wyznał jej miłości.

Początkowo nie zwróciła na to uwagi.

Był taki hojny, taki dobry...

Nigdy nie przypuszczała, że taki mężczyzna zechce się z nią związać.

Pochlebiał jej każdy jego uśmiech i gest, ale teraz, po dwóch latach wspólnego życia, przywykła do jego bogactwa i sławy.

Pragnęła go, ale nie potrafiła go zdobyć, bo ktoś stał jej na drodze.

Była przekonana, że tajemnica kryje się za zamkniętymi

mi drzwiami jedyne go pokoju w domu Maksa, do którego nie miała wstępu.

Pewnego ponurego zimowego dnia do Maksa zadzwoniła Ruth

- Primrose umiera i chce cię zobaczyć - powiedziała ciężkim smutku głosem.

Max zostawił gospodyni wiadomość dla Delfine i ruszył w drogę do Devonu.

Kiedy przyjechał do Elvestree, dom sprawiał wrażenie ogołoczonego z wszelkiego uroku, zimnego, zupełnie ją część otaczającej go magii także umierała.

Zrozpaczony, wszedł do holu, gdzie czekała na niego Ruth.

- Dzięki Bogu, że już jesteś...

- jęknęła, padając w jego ramiona.

- Primrose nie dożyje wieczoru...

Uściskał ją czule i pognał po schodach, przeskakując po stopniach.

Szybkim krokiem przeszedł przez korytarz i zatrzymał się w progu sypialni Primrose.

Ruth podążyła za nim, ogryzając

palce i walcząc z łzami.

Max rozejrzał się po pokoju i z zaniemowieniem zobaczył, że na wszystkich meblach i sprzętach siedziały koty, wpatrzone w wielkie łoże dużymi, mądrymi oczami.

Megalith spoczywała oparta na białych poduszkach.

Jej twarz była szara jak niebo za oknem, a oczy błyszczały rzadko okami;

nieznanym uczuciem.

- Chodź do mnie, chłopcze - powiedziała, wyciągając do niego drżącą rękę.

Miała na sobie fioletowy szlafrok, ale na jej palcu dostrzegł ani jednego pierścienia.

Tylko kamień księżycowy zwykle kołysał się na biurku.

- Z tobą też chcę pomówić, I dodała słabym głosem.

Ruth podeszła do łóżka z drugiej strony i zepchnęła je na podłogę, żeby usiąść na brzegu.

- Mój czas dobiegł końca.

Denzil i Trees już czekają na cię z butelką najlepszego szampana, który po tej stronie na pewno smakuje jeszcze lepiej niż tutaj...

- Złaziła się krótko, zaraz jednak zakrztusiła się śliną i z trudem oddech.

- Jesteście moimi dziećmi - powiedziała z poi Kocham was oboje mocniej niż którąkolwiek z moich i wcale się tego nie wstydę!

Pokochałam was od razu, gc byliście do mojego domu, przerażeni i zrozpaczeni.

Mój .

ny chłopcze...

- Z westchnieniem pogładziła policzek Maksa.

- Dobry z ciebie człowiek.

Nie rezygnuj z Rity, ona cię potrzebuje.

Nie potrafi ci tego okazać, bo to głupia dziewczyna, ale co z tego...

- Zaopiekuję się nią, przyrzekam - odparł Max, całując jej rękę.

- Wiem, mój drogi, i dlatego zostawiam ci ten dom.

Czas pokaże, że nie jestem aż tak zwariowana, jak wszyscy sądzą.

Nic nie robię bez powodu...

- Odwróciła się do Ruth.

- Max dopilnuje, żeby nigdy niczego ci nie brakowało, kochanie.

Jesteś dobrą mamusią, moja mała dziewczynko...

Urodzisz duże, pogodne, pełne uroku dziecko.

Zostawiam ci ten kamień.

- Przykryła dłonią księżycowy kamień.

- Prawie nigdy go nie zdejmowałam...

Bóg wie, co zrobicie z tymi wszystkimi kotami, ale jakoś będziecie musieli sobie poradzić...

Zadbajcie, żeby Eddie i Elsbeth po dzieliły się moimi skarbami, dobrze?

- Miała na myśli swoje karty do tarota, kryształy i inne magiczne przedmioty.

- Wszystkie wskazówki są w liście, który zostawiłam na tym stole...

Kiedy znowu zwróciła się do Maksa, w jej głosie zabrzmiała zdecydowana, prawie rzeźka nuta.

- Nie chcę żadnego pogrzebu.

Niech Bóg broni, żeby ten na dęty stary Hammond miał wypowiadać nade mną ostatnie słowa...

Chcę, żebyście poddali moje zwłoki kremacji i rozsypali prochy w ogrodzie.

To ciało dobrze mi służyło i chcę, żeby traktowano je z szacunkiem.

Nie płaczcie i nie rozczulajcie się, bo ja przecież nie odchodzę.

Eddie i Elsbeth będą mnie widywały, bo odziedziczyły mój dar.

Całe szczęście, że Antoinette nie wzięła go po mnie, bo gdyby wiedziała, że tamten świat naprawdę istnieje, nie miałabym żadnej radości ze straszenia tej okropnej dziewczyny...

- Nagle podniosła wzrok i ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie, Denzil...

Muszę im jeszcze o czymś powiedzieć...

- ujęła dłonie obojga wychowanków i mocno je ścisnęła.

- Nie wszystko zostało stracone...

Jednak zanim zdążyła dokończyć zdanie, jej duch uleciał z ciała.

Walczyła chwilę, zdecydowana powiedzieć wszystko, co miała do powiedzenia, ale śmierć nie chciała czekać.

- Obca osoba zwróci się do was o pomoc...

- wykrztusiła jeszcze

czymś i odeszła, wydając typowe dla siebie pełne irytacji prychnięcie.

- Umarła - powiedziała Ruth, nachylając się, aby zamknąć jej oczy.

- Co też miała na myśli?

- mruknął Max, przyciskając wargi do

dłoni zmarłej.

- Nie mam pojęcia.

- Ruth otarła łzy rękawem swetra.

- Świat

wydaje się bardzo pusty bez niej, prawda?

Skinął poważnie głową.

- Trudno mi uwierzyć, że była ludzką istotą...

- szepnął.

- Co zrobimy z kotami?

- To nie jest teraz najważniejsze.

Musimy przede wszystkim

zawiadomić Hannę i Antoinette, Maddie...

- I Ritę?

- I Ritę.

Ruth rzuciła mu pełne współczucia spojrzenie.

- Pojedź do niej - poradziła.

- Od tamtego Bożego Narodzenia minęło sporo czasu.

Życie jest zbyt krótkie, żeby tak je marnować...

Max zaparkował samochód przed domkiem Rity i z ulgą spostrzegł ulatujący z komina dym, znak, że ją zastał.

Ogarnął wzrokiem zmrożone tchnieniem lodowatego wiatru drzewa i białawe słońce, słabo świecące z bladego nieba.

Poczuł, jak jego serce ogrzewa się w ciepłe niezliczonych dobrych wspomnień, związanych z tym miejscem.

Pamięć podsunęła mu obraz przytulnej kuchni Rity, zapach kawy i wrażenie ogólnego bałaganu.

Uśmiechnął się

lekko, chociaż jego wargi drgały nerwowo.

Wysiadł i zatrasnął drzwiczki.

Usłyszał głośne szczekanie Tarki, potem kroki Rity, śpieszącej do drzwi.

Na widok jego smutnej twarzy zaczerwieniła się, zaskoczona i niepewna, jak ma zareagować.

Była wściekła, że ani razu nie odezwał się do niej od tamtego nieszczęsnego dnia, że nie zawiadomił nawet o swoich zaręczynach, ale jego smutne oczy i przygarbione ramiona sprawiły, że jej

serce zadrżało.

Z rezygnacją pokręciła głową.

- Tęskniłem za tobą - odezwał się Max, wkładając ręce do kieszeni i spuszczać wzrok.

- Przepraszam cię...

Okazałem się twoim przyjacielem.

- Ja też za tobą tęskniłam - odparta miękko.

- Chociaż bytam na ciebie strasznie zła, możesz mi wierzyć...

Długo patrzyli na siebie w milczeniu.

Policzek Maksy zaczął drgać w oczekiwaniu na wybuch gniewu Rity, ale jej wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

Max odetchnął.

- Za długo byliśmy przyjaciółmi, żeby rozdzieliły nas jakieś tam oświadczenia - powiedział, podchodząc do niej i biorąc ją w ramiona.

Nadal pachniała fiołkami.

- Ależ byliśmy głupi!

- Objęła go mocno i położyła głowę na jego ramieniu.

Czuła się tak, jakby po długiej nieobecności wreszcie wróciła do domu.

- Cieszę się, że przyjechałeś...

- Odsunęła się lekko i zjrzała mu w twarz, smutną mimo uśmiechu.

- Co się stało?

- zapytała niespokojnie.

Razem weszli do holu, gdzie Tarka, podniecona, obwąchiwała spodnie Maksy.

- Przynoszę ci smutną wiadomość - powiedział.

- Twoja babcia umarła dziś rano...

Rita długą chwilę w milczeniu przetrawiała jego słowa.

Jej żal został złagodzony wdzięcznością, bo nie uległo wątpliwości, że to właśnie śmierć Primrose stała się okazją do ich ponownego spotkania.

- Byłam bardzo przywiązana do tej starej czarownicy...

- prze mówiła wreszcie.

- Megababcia zawsze okazywała mi dużo serca...

Chodźmy, wstawię wodę na herbatę.

Max poszedł za nią do kuchni, gdzie dawniej tak często siadali przy stole i dzielili się sekretami.



Dobrze znany zapach krówek, świeżego chleba i kawy sprawił, że poczuł, jak ostatnie lata powoli odchodzą.

Zdjął palto i usiadł na swoim zwykłym miejscu.

Oboje je milczeli.

Przyglądał się, jak Rita nastawia czajnik z wodą, wyjmuje kubki z kredensu i szuka czystych łyżeczek.

Nie należała do osób, które się zmieniają, podobnie jak jej babka.

Jej skóra wciąż była bardzo jasna i piegowata jak indyjskie jajo, włosy splecione, tylko oczy straciły niewinność i teraz były pełne cieni.

Można by ją wziąć za dziecko morza, pomyślał i nagle rozpaczliwie zapragnął przytulić ją do siebie.

Odwrociła się i pochwyciła jego spojrzenie.

Z nieśmiałym uśmiechem postawiła na stole kubki z gorącą herbatą.

- Byłeś przy niej w chwili śmierci?

- zapytała, przysuwając sobie krzesło.

- Tak, byliśmy przy niej oboje, Ruth i ja - odparł.

Uczucie osamotnienia, które go ogarnęło, wydawało się ściągać

w dół całą jego twarz.

Ze współczuciem lekko pogładziła go po

ręce.

- Tak mi przykro...

- szepnęła.

- Wiem, że była dla ciebie jak matka...

- Była stara i przeżyła wiele pięknych, dobrych chwil...

Rozumiem, że kiedyś musiała odejść, ale będzie mi jej brakowało...

- Oczy Maksa zabłyśły, kiedy w powietrzu rozszedł się nagle otaczający zawsze panią Megalith zapach naftaliny i cynamonu, zupełnie nie jakby starsza pani stanęła tuż za nim.

- Była jedynym ogniem, jakie łączyło nas z przeszłością.

Teraz wydaje mi się, że jakaś część mnie odeszła razem z nią.

Ale nie można ciągle patrzeć wstecz...

Wczorajszy dzień to w końcu tylko wspomnienia.

Rze czywiste jest to, co dzieje się dzisiaj, a każda chwila jest cenna i wyjątkowa.

To wszystko stało się tak nagle...

Nie przypuszcza łem, że Primrose umrze.

- Nie powinniśmy się smucić, ale cieszyć się, że żyła i była z nami...

- Masz rację.

Primrose nie chciała by, żebyśmy użalali się nad sobą dlatego, że odeszła.

- Trudno mi wyobrazić sobie, że odeszła zupełnie spokojnie...

- Rita uśmiechnęła się lekko.

- Powiedziała, że Denzil już na nią czeka, ale pozwoliła, żeby jej przerwał.

Wydaje mi się, że musiał siłą przeciągnąć ją na tam ten świat.

- To do niej podobne!

- Zaśmiała się cicho, z czułością.

- Mam nadzieję, że przed odejściem przebaczyła mi, że ją zawiodłam.

W ostatnich latach raczej nie mogliśmy się dogadać.

- Mówiła mi, że teraz sprzedajesz swoje rzeźby w Londynie.

- Tak.

Poznałam cudownego starszego pana, który kupuje ode mnie mniej więcej trzydzieści rzeźb rocznie do swojego sklepu.

463 .

Jest to tak duże zamówienie, że ledwo nadążam.

Nie mam pojęcia, kto chce kupować moje prace...

- Jesteś bardzo utalentowana, nie mów o sobie z takim lekceważeniem...

- Tak czy inaczej, mam z tego pieniądze na życie i opłacenie rachunków.

Nigdy nie sądziłam, że uda mi się zarobić na rzeźbie.

Myślałam już, że będę musiała wrócić do biblioteki.

- Nie chciałbym, żebyś dalej siedziała w tym dusznym, pełnym kurzu miejscu.

Cieszę się, że tworzysz ciekawe rzeczy, to na prawdę dobre dla duszy...

- Przechylił głowę i ogarnął twarz Rity tak gorącym spojrzeniem, że serce zabito jej mocniej.

- Wyglądasz doskonale, jak spełniona, zadowolona z życia osoba.

- Bo czuję się dobrze i rzeczywiście jestem zadowolona - po wiedziała z naciskiem.

- Zwłaszcza teraz, kiedy wrócisz...

Teraz Max zaczerwienił się aż po korzonki włosów.

- Bez ciebie czułam się strasznie samotna.

To stare, banalne powiedzenie okazało się prawdziwe - ludzi docenia się w pełni dopiero wtedy, gdy nie ma ich przy nas.

- Nie zostawię cię więcej samej, przyrzekam.

- Co teraz zrobisz?

Cieszę się, że Megababcia zostawiła ci Elvestree.

Kochasz to miejsce bardziej niż ktokolwiek inny.

Ja też je kocham, ale teraz, kiedy znowu jesteśmy przyjaciółmi, będę mogła cię tam często odwiedzać.

- Nie wiem, kiedy przyjadę tu na dłużej - rzekł Max.

- Muszę najpierw rozmówić się z Delfine, ona nienawidzi Elvestree...

Imię narzeczonej Maksa wdarło się w ich rozmowę jak fałszywy dźwięk, Rita poczuła się jak zwierzę, którego terytorium jest zagrożone.

Zupełnie zapomniała o Delfine...

Ostrożnie cofnęła rękę.

- Jedno jest pewne - ciągnął Max.

- Będę spędzał tutaj dużo więcej czasu niż w ostatnich latach.

Elvestree to dom, który potrzebuje ludzi, zresztą, kto będzie karmił te tłumy kołów...

Rita odzyskała panowanie nad sobą.

Cieszyło ją, że Max najwyraźniej także uważa, iż Delfine nie powinna mieszkać w Elvestree.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i zabawnie zmarszczyła nos.

464

- Najlepiej udawajmy, że Megababcia zapisała koty Antoinette!

- parsknęła śmiechem.

Kiedy Max wrócił do Elvestree, po kotach nie było śladu.

Ruth zajęła się organizowaniem kremacji, ciało pani Megalith zostało już zabrane i cały dom stał się nagle dziwnie pusty, jakby jego duch także uleciał.

Ruth była równie zaskoczona jak Max.

- Gdzie one wszystkie się podziały?

- zawołała, wznosząc ręce do góry.

W tym samym czasie na pobliskiej plebanii zadzwonił telefon.

Wielebny Hammond podniósł słuchawkę i usłyszał skrzekliwy głos panny Hogmier, która krzyczała coś przeraźliwie.

- Proszę się uspokoić, nic nie rozumiem...

- wybełkotał z załopotaniem duchowny.

- One są wszędzie!

- jęknęła panna Hogmier.

- Wszędzie!

Ro bią potworny bałagan w moim sklepie!

- Kto?

- zapytał zaniepokojony Hammond.

- Czy mam we zwać policję?

- Koty!

Koty tej więdźmy!

- Koty pani Megalith?

Jest pani pewna?

- Musi pan tu przyjsć z wiatrówką, natychmiast!

Niszczą wszystko, zaraz oszaleję!

Żeby coś takiego przydarzyło się mnie, właśnie mnie, biednej kobiecie bez męża, bez żadnej opieki!

Ni kogo nie obchodzi nieszczęście starej panny!

- Głos panny Hog mier wibrował w słuchawce.

- Zaraz przyjdę, ale najpierw zadzwonię do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami...

- Nie bądź głupcem, Elwyn!

- zaskrzeczała panna Hogmier.

- Przyjdź i powystrzelaj te potwory!

Kiedy jednak wielebny Hammond wyrżał przez okno, z przerażeniem ujrzał co najmniej dwadzieścia kotów, bawiących się w jego własnym ogrodzie i tarzających się w trawie.

W zamyśle niu podrapał się brodę.

Wszystko wskazywało na to, że pani Megalith wreszcie porzuciła ten smętny padół.

Delfine nie była zadowolona, że Max pojechał do Devonu bez niej.

Nienawidziła Frogmal Point, ale wolała, żeby sam tam nie

jeździł.

Długo spacerowała po salonie, zastanawiając się, co robić.

Myślała o tym czymś, co odgradzało ją od Maksa, a także o pokoju za zamkniętymi drzwiami, w którym na pewno mogłaby znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania.

Rozgoryczona brakiem zaufania ze strony Maksa, zaczęła szukać klucza.

Postanowiła szybko rozejrzeć się po pokoju i znowu go zamknąć - w ten sposób Max nigdy się nie domyśli, że tam była.

Kiedy grzebała w szufladach, na dole rozległ się dzwonek.

Gospodyni poszła do domu, ponieważ miała paskudną gripę, więc Delfine musiała sama otworzyć drzwi.

Parsknęła ze zniecierpliwieniem i szybko zeszła na dół, energicznie stukając wysokimi obcasami.

- Tak?

- Spojrzała niechętnie na stojącego na schodach na zimnym wietrze starszego mężczyznę w garniturze i płaszczu.

Był wysoki, trochę się garbił.

W rękach trzymał dużą paczkę.

- Nazywam się Benjamin Bradley.

Czy mam przyjemność z państwem tego domu?

- Tak.

To dla mnie?

- Dla pana de Guinzberga.

- Co to takiego?

Pan Bradley zamaskował wahanie uprzejmym uśmiechem.

- Czy pan de Guinzberg jest w domu?

- Nie!

- W jej głosie brzmiało rozdrażnienie.

- W takim razie przyjdę kiedy indziej.

Delfine podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Nie trzeba - powiedziała, biorąc z jego rąk pakunek.

- Do pilnuję, żeby dostał tę paczkę.

Pan Bradley zmarszczył brwi, ale nic nie mógł zrobić.

Bezradnie patrzył, jak młoda kobieta zamyka mu drzwi przed nosem, potem odwrócił się i zszedł na chodnik.

Czuł, że popełnił błąd.

Zwykle oddawał paczki gospodyni i miał nadzieję, że pan de Guinzberg nie będzie miał mu za złe, że tym razem stało się inaczej.

Max de Guinzberg świetnie płacił, a pan Bradley potrzebował pieniędzy.

Kto inny zatrudniłby emerytowanego lokaja w tym wieku?

Delfine niecierpliwie rozdarła papier i znalazła wewnątrz rzeźbę przedstawiającą śpiące dziecko, prymitywną, ale naprawdę piękną.

Przesunęła palcami po łagodnych liniach ciała dziecka,

zwinętego w kłębek jak kociak, z małą piąstką zaciśniętą wokół kawałka materiału.

Jej wściekłość przeminęła w jednej chwili, ustępując miejsca współczuciu.

Figurka miała w sobie coś, co sprawiło, że oczy Delfine napędlone łzami - rzeźbiony wizerunek dziecka był niewinny, kruchy i w dziwny sposób nietykalny.

Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Może Max kupił rzeźbę dla niej, chciał zrobić jej niespodziankę...

Rozprostowała podarty papier i spróbowała ponownie zapakować rzeźbę.

Położyła paczkę na stole w holu i wróciła do poszukiwania klucza.

Nie znalazła go, więc postanowiła podważyć zamek.

Bez rezultatu wypróbowała kilka narzędzi, nie chciała jednak zrezygnować, bo jej ciekawość rosła wraz z irytacją.

Powiedziała sobie, że wejdzie do tego pokoju, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Wreszcie, ku jej wielkiej radości, zamek puścił.

Podniosła się z kolan i długo stała z ręką na klamce, mimo wszystko wahając się, czy ją nacisnąć.

Teraz, kiedy okazało się, że może wejść do środka, zaczęła się zastanawiać, czy wewnątrz nie kryje się coś przerażającego.

Może Max był mordercą i ukrywał tam zwłoki swoich ofiar?

Co będzie, jeżeli się dowie, że ona odkryła jego tajemnicę?

Może ją także zabije...

Drżąca, lecz zdeterminowana uchyliła drzwi i przez szparę zajrzała do środka.

W pokoju panował półmrok, po nieważ żaluzje były opuszczone.

Namaciała włącznik światła i prze kręciła go.

To, co ujrzała, sprawiło, że jej usta otworzyły się ze zdziwienia.

Ściany zabudowane były półkami, a na nich stały rzeźby, jedna obok drugiej, od prymitywnych po naprawdę bardzo interesujące.

Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie wyszły spod dłuta tej samej osoby, która wyrzeźbiła śpiące dziecko.

Pokój był zakurzony i zaniedbany, ale Delfine wyczuła unoszący się w powietrzu zapach miłości równie bezbłędnie, jak doświadczyła kiper dobre wino.

Uważnie przyjrzała się rzeźbom, wśród których było dużo figurek ptaków.

Ptaki w locie, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, ptaki na ziemi, wydziobujące pożywienie nieopodal ziaren piasku.

Delfine była dość bystra, aby się zorientować, że scenografią dla modeli było wybrzeże, ponieważ nie brakowało tu mew, ryb i dzieci z małymi siatkami.

Podejrzewała, że rzeźbiarka pochodzi z Devonu.

Poznała kobiecą rękę i nie wątpiła, że to właśnie autorka zgromadzonych tutaj rzeźb, chociaż



obecna tylko duchem, nie pozwoliła jej zawładnąć sercem Maksa.

Nie wiedziała, dlaczego jej narzeczony zbierał te rzeźby.

Skryty dotąd za zamkniętymi drzwiami pokój odpowiadał na wiele pytań, ale zmuszał do postawienia nowych.

Gdy Max przyjechał do Londynu kilka dni później, znalazł paczkę w holu i drzwi pokoju zamknięte, a także Delfine, siedzącą na schodach i czekającą na niego.

Z wyrazu jej twarzy natychmiast się domyślił, że jest zmęczona własnym gniewem.

Szybko przeniósł wzrok na pakunek i zorientował się, że papier jest po gnieciony i w kilku miejscach rozdarty.

- Byłaś w moim pokoju, prawda?

- odezwał się cicho, stawiając torbę na podłodze i zdejmując palto.

- Kim ona jest?

- Delfine podniosła się i wyprostowała.

- Tylko mnie nie okłamuj, dobrze?

Kobieta, która rzeźbi te okropieństwa, jest tą, którą kochasz.

Zawsze ją kochałeś.

Dlaczego jesteś ze mną, skoro nie czujesz do mnie miłości?

Te rzeźby nie są nawet dobre, wiesz?

Szczerze mówiąc, są fatalne!

- Wzięła zamach i z całej siły uderzyła Maksa w twarz.

Cofnęła się, ale kiedy na nią spojrział, w jego oczach wyczytała tylko smutek.

- Gardzę tobą za to, że mnie wykorzystałeś - ciągnęła, coraz bardziej podnosząc głos.

- Kim ona jest?

Żądam odpowiedzi!

Mam prawo do odpowiedzi!

Gdy Delfine wpadała w złość, jej francuski akcent stawał się bardzo wyraźny.

Max westchnął z rezygnacją i z kieszeni na pierś wyjął klucz.

Przeszedł przez hol i otworzył drzwi do tajemnego pokoju.

Podążyła za nim.

- Nie zamierzam cię okłamywać - rzekł spokojnie, włączając światło.

- Ta kobieta ma na imię Rita i mieszka we Frognał Point, tam, gdzie dorastałem.

Jest wnuczką pani Megalith, która adoptowała mnie i Ruth, kiedy na początku wojny uciekliśmy z Austrii.

Kocham ją.

Rzeczywiście, zawsze ją kochałem, ale ona nie kocha mnie...

- Więc kupujesz wszystkie jej rzeźby!

- prychnęła pogardliwie.

- To żalosne!

- Kupuję jej rzeźby, ponieważ ma problemy finansowe.

Wie działałem, że nie przyjmie ode mnie pieniędzy, więc wysłałem do niej człowieka, który udaje właściciela sklepu z pamiątkami, za interesowanego jej pracami.

W ten sposób jej pomagam.

468

- Sądzisz, że ci uwierzę?

- Nie mam powodu kłamać.

- Od jak dawna kupujesz te szkaradziejstwa?

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba od jakichś trzech lat.

To nie ma znaczenia, moja droga.

Będę je kupował, dopóki starczy mi

miejsca.

- Od dawna podejrzewałam, że kochasz inną kobietę.

Wyjaśnij mi teraz, dlaczego właściwie jesteś ze mną...

- Ponieważ bardzo cię lubię.

Potrafisz mnie rozbawić i twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność.

Czy na początku nie byliśmy szczęśliwi?

- Teraz jest już na wszystko za późno!

Nigdy mnie nie kocha łoś!

Jeżeli nawet kiedyś byliśmy szczęśliwi, to nie mogę sobie tego przypomnieć, bo zniszczyłeś moje wspomnienia!

- Zaczęła pła kać.

- Odchodzę!

- Delfine!

- Nie, teraz ty mnie posłuchaj!

Chcę znaleźć mężczyznę, który mnie pokocha!

Nigdy nie byłam druga w kolejce, nigdy nie ustępowałam nikomu miejsca i teraz też nie zamierzam tego robić!

Max w milczeniu patrzył, jak Delfine pakuje swoje rzeczy, wy chodzi i wsiada do taksówki.

Czuł smutek, ale przede wszystkim

wielką ulgę.

I tak Max wrócił do Elvestree.

Wprowadził się do czarodziej skiego domu pani Megalith, niepewny, czy po jej odejściu dom będzie taki jak dawniej.

Wiedział, że małżeństwo, w którym znałaby szczęście, i śmiech dzieci szybko przywróciłyby dawną atmosferę, ale on nie mógł obdarzyć Elvestree ani jednym, ani drugim, chociaż bardzo mu na tym zależało.

Pierwszej nocy my ślał o Lydii i płakał, kiedy ciemność ukryła jego rozpacz przed wszystkimi z wyjątkiem mieszkających w domu duchów.

Za wszelką cenę pragnął przypomnieć sobie jej twarz, ale to było nie możliwe, bo w ogóle nie pamiętał małej siostrzyczki.

Chciał za dzwonić do Rity, lecz było już po północy.

I właśnie wtedy, gdy ogarnął go lęk, zaczął się bać, że wewnętrzna pustka, jaką nosił w sobie, pochłonie go bez reszty, spłynęło na niego uczucie ciepła i miłości, podobne do tego, jakiego doświadczył wiele lat temu,

469 .

pierwszej nocy po przybyciu do Elvestree.

Zaraz potem poczuł, jak ktoś troskliwie otula go kocem i serdecznie całuje w czoło.

Nie ośmielił się otworzyć oczu, by nie obudzić się ze snu, chociaż w głębi duszy doskonale wiedział, że wcale nie śpi.

Kiedy w po wietrze rozszedł się znajomy zapach naftaliny i cynamonu, Max zrozumiał, że nie jest sam.

#### Rozdział trzydziesty szósty

W następnych miesiącach Max doglądał interesów Elvestree i co jakiś czas jeździł do Londynu na biznesowe spotkania.

Nie zaniedbywał także swoich zainteresowań kulturalnych, zaprasza jąc do magicznego domu pani Megalith zagranicznych polityków, znanych pisarzy, artystów i kompozytorów z całego świata.

Spon sorował wystawy, kupił wydawnictwo, któremu nadał nazwę Guinzberg Megalith, i nadal nadzorował prace założonej przez siebie organizacji charytatywnej, działającej na rzecz Żydów.

Starał się nie marnować czasu także i dlatego, aby nie koncentrować się zbyt na swoim pustym życiu prywatnym.

Miał też jedną am bcię, która wciąż tliła się na dnie jego zranionej, niespokojnej du szy - chciał odkupić Teatr Cesarski w Wiedniu, choćby po to, by poczuć zapach piżma i perfum, który zapamiętał z dzieciństwa, i posłuchać echa dawno niesłyszanych głosów, mogących wypeł nić pustą, rozbrzmiewającą tylko milczeniem przestrzeń w jego

sercu.

Bez dominującej osobowości Primrose Elvestree nie było już ta kie samo.

Dom opuściły nie tylko koty, ale i magia.

Egzotyczne rośliny zwiędły, warzywa przestały tak znakomicie rosnać, a wios na przychodziła o zwykłej porze, wcale nie wcześniej niż gdzie in dziej.

Niespotykane w Anglii gatunki ptaków nie zbaczały już

z kursu, aby spędzić lato w ogrodzie Elvestree, tylko jaskółki jak dawniej gnieździły się tuż pod dachem, nad oknem salonu.

Max niczego nie zmieniał w domu ani wokół niego.

Szkatułkę z krysz tałami i innymi magicznymi przedmiotami przekazał Elsbeth oraz Hannie, która miała przesłać połowę rzeczy Eddie, ale poza tym nie ruszał niczego.

Mimo tego aura domu wyraźnie się zmieniła.

- Jak to możliwe, że jedna kobieta odcisnęła tak mocne piętno na domu?

- powiedział do Rity pewnego dnia w środku lata.

- Elvestree jest nadal piękne, ale przestało być wyjątkowe i magiczne.

Nic nie smakuje tak samo jak za życia Primrose, nic nie rośnie tak okazale, nawet ptaki są tu teraz takie same jak w całym Devonie...

- Przecież tak naprawdę nie masz powodów do niezadowolenia - odparła Rita, popijając nalewką z czarnego bzu, który rzeczywiście smakuwał inaczej niż ten, który robiła pani Megalith.

- Więk szóstka ludzi byłoby zachwyconych urodą Elvestree, możesz mi wierzyć.

Popatrzyła na starannie przystrzyżony trawnik, wysypane świeżym żwirem ścieżki i dalej, w kierunku plaży, gdzie kiedyś pokłóciła się z Maksem w śnieżny dzień, i zdziwiła się, jak duża część jej wspomnień narodziła się właśnie tutaj.

- Wierzę ci, ale ci ludzie nie wiedzieliby, jak było tu wcześniej...

- Megababcia była czarownicą, a ty jesteś normalnym człowiekiem!

- Rita roześmiała się, potrząsając głową.

- Czy dom naprawdę może stać się odbiciem natury osoby, która w nim mieszka?

- zapytał niepewnie.

- Jestem o tym przekonana.

Ty także odcisniesz piętno na Elvestree, podobnie jak kiedyś Megababcia, i wtedy ten dom będzie nie mniej wyjątkowy niż dawniej, tyle że w inny sposób.

Max bardzo chciał zapytać Ritę o George'a, ale wiedział, że nie powinien tego robić.

Nie ulegało wątpliwości, że dla nich obojga jest to wciąż drażliwy temat.

Był pewny, że Rita nadal kocha byłego narzeczonego i że szansę na to, aby jej uczucie wygasło, są niewielkie.

Ich przyjaźń była taka sama jak dawniej, ale Rita nie rozmawiała już z nim o swojej miłości.

Sprawiła wrażenie zadowolonej,^^

wolonej z życia, lecz Max miał potrzeby fizyczne, które wymagały spełnienia.

Zdawał sobie sprawę, że nie zdobędzie kobiety, którą pragnął, więc przy okazji każdego pobytu w Londynie brał sobie kochankę.

Były to pozbawione wszelkiego znaczenia spotkania, służyły jednak zasadniczemu celowi i pozwalały Maksowi zachować zdrowe zmysły.

Usiłował pogodzić się z platoniczną naturą swego związku z Ritą, ale pragnienie posiadania rodziny często doprowadzało go do rozpacz.

Czasami myślał, że gdyby zdecydowała się wyjść za niego, byłby nawet gotowy zrezygnować z jej uczucia.

Mógłby nadal kochać George'a, jeśli tego właśnie pragnęła, on zadowolony byłby małżeństwem opartym na przyjaźni, bliźkości i zaufaniu.

Mogliby zamieszkać w Elvestree i założyć tam rodzinę - Rita kochała przecież dom Primrose tak samo jak on, dla niej to też było szczególne miejsce.

Jednak nie ośmielił się po prostu oświadczyć Ricie.

Raz popełnił już ten błąd i teraz uważał, że dopóki Rita nosi pierścionek George'a, należy do niego.

Pewnego niedzielnego wieczoru, kiedy siedział w gabinecie, patrzył na padający za oknem śnieg i myśląc o tamtym nieszczęsnym dniu, w którym pokłócił się z Ritą, z nieprzyjemnych wspomnień wyrwało go głośne pukanie do drzwi.

Odstawił kieliszek z brandy i poszedł do holu, gdzie ogień huczał w kominku tak samo wesoło jak za życia Primrose, chociaż dym nie pachniał już tak cudownie.

Otworzył drzwi i ujrzał stojącą na progu biednie ubraną młodą dziewczynę z malutkim dzieckiem na ręku.

- Proszę do środka!

- powiedział energicznie, ujmując ją za ramię.

- Przeziębienie pani na śmierć, na miłość boską!

Weszła do holu i rozejrzała się dookoła dużymi, przestraszonymi oczami.

Uderzającą bladość jej twarzy podkreślał bardzo jasny, prawie biały odcień włosów i zsiniałe z zimna wargi.

Wyglądała na szesnastolatkę, z całą pewnością nie na matkę dziecka, które spało w jej ramionach, otulone jej kurtką.

- Coś się stało?

- zapytał Max, pewny, że samochód dziewczyny zepsuł się na pobliskiej drodze albo może straciła orientację w zasypanym śniegiem krajobrazie.

- Tak - odparła, pociągając nosem.

- Czy pan jest Maksem de

Guinzberg?

- Owszem.

Przepraszam, że pani przerywam, ale zupełnie pa473 .

ni przemokła.

Może zdejmie pani płaszcz, dobrze?

Zaraz przynio sę szlafrok, żeby miała się pani czym przykryć...

- Dziękuję...

- odrzekła z wyraźnym niemieckim akcentem.

Max, zaciekawiony, szybko poszedł po ręcznik i szlafrok.

Kie dy wrócił, dziewczyna stała przed kominkiem w swetrze i spod niach.

Bez słowa podała mu dziecko i wytarta włosy ręcznikiem, potem zaś włożyła szlafrok, cudownie ciepły, ponieważ Max za wsze wieszał go tuż obok gorących rur centralnego ogrzewania w swojej garderobie.

Popatrzył na pogrążone we śnie dziecko i poczuł, jak serce ścis ka mu się z żalu.

Pamięć niespodziewanie podsunęła obraz twa rzy małej siostrzyczki.

Właśnie teraz, gdy wpatrywał się w uspio ne maleństwo, przypomniał sobie, jak kiedyś trzymał Lydię na rękach.

Zamrugął ze wzruszenia, wstrząśnięty wspomnieniem ślicznej buzi.

- Jak ma na imię?

- zapytał.

- Mitzi - odrzekła dziewczyna.

Obrzucił ją szybkim, zaskoczonym spojrzeniem.

- Tak miała na imię moja babka - ciągnęła.

- Moja babka, a pańska matka, panie de Guinzberg...

- Kim pani jest?

- zapytał powoli Max.

- Nazywam się Rebecca.

Moją matką była Lydia, pańska siostra.

Max usiadł na starym skórzanym fotelu przy kominku.

A więc to o tym próbowała mnie uprzedzić Primrose, pomyślał.

Nie wszystko zostało stracone...



- Ale moja siostra zginęła w obozie koncentracyjnym razem z naszymi rodzicami...

- powiedział w osłupieniu, oddając jej dziecko.

- Nie, nie zginęła.

- Rebecca potrząsnęła głową.

- Kiedy rodzice wysłali pana i Ruth do Anglii, wielkoduszna sąsiadka zaproponowała, że zaopiekuje się Lydią, dopóki rozpętany wokół Żydów koszmar nie dobiegnie końca.

Niemcy zabrali pańskich rodziców, ale dziecko ocalało.

Lydia, moja matka, dorosła w do mu tych dobrych ludzi.

Pod koniec wojny adoptowali ją i aby uchronić dziewczynkę przed świadomością okropnego losu, jaki spotkał jej rodzinę, nigdy nie powiedzieli, kim naprawdę jest.

d7d

Kilka lat temu umarła na raka, do końca wierząc, że nazywa się Lydia Steiner.

- Nic nie wiedziała?

- Max nie potrafił uwierzyć, że przez wszystkie te lata, kiedy on i Ruth byli przekonani o jej śmierci, ona żyła i mieszkała w Austrii.

- Przybrani rodzice mieli ogromne wyrzuty sumienia, ale do piero tuż przed jej śmiercią zdradzili tajemnicę, którą tak długo skrywali.

Dali jej wtedy zdjęcia i kilka drobiazgów, które zostawiła jej matka...

- Ma je pani przy sobie?

- Tak.

- Gdzie?

- Max spojrzał na przemoczony płaszcz, który została w holu.

Dziewczyna spuściła wzrok.

- Zostawiłam rzeczy przed domem...

- W śniegu?

- Nie byłam pewna, czy zechce pan ze mną porozmawiać.

Max wyszedł na zewnątrz i po chwili przyniósł brązową skórzaną walizkę, którą na ganku starannie otrzepał ze śniegu.

- Jak pani tutaj dotarła?

- Pociągiem, a potem taksówką.
- Odważna z pani dziewczyna.
- Uśmiechnął się lekko, bez cie nia złościwości.
- Postawiłam wszystko na jedną kartę.

Poza panem nie mam nikogo, do kogo mogłabym zwrócić się o pomoc...

- A pani mąż?
- Nie mam męża.
- Zarumieniła się gwałtownie.
- Rozumiem...
- Mój chłopak zostawił mnie, kiedy zaszłam w ciążę...

Max pomyślał o Ruth.

Jak niewiele brakowało, aby także i ona znalazła się w podobnej sytuacji...

I co za niezwykły zbieg okoliczności, że i ona, i Rebecca nadały swoim córeczkom imię Mitzi.

- Przyjechała pani aż z Austrii?
- Tak.
- Proszę pokazać mi te zdjęcia.
- Max chciał mieć całkowitą pewność, że dziewczyna jest osobą, za którą się podaje.

Rebecca nachyliła się nad walizką i otworzyła ją.

Widać było, że

47? .

starannie spakowała rzeczy, porządnie składając skromne ubrania, spod których teraz wyjęła zniszczone pudełko z grubej tektury.

Po łożyła je na stole i uniosła wieczko.

Wewnątrz znajdowało się kilkanaście zdjęć Maksa i Ruth z okresu dzieciństwa, zdjęcia małej Lydii i Lydii jako dorastającej dziewczyny, a wreszcie kobiety.

Max drżącą ze wzruszenia ręką wyjął je z pudełka i zaczął oglądać.

- To moja mama zaraz po moim przyjeździe na świat.

- Rebecca wskazała czarno-białą fotografię, przedstawiającą ładną młodą kobietę, trzymającą na rękach niemowlę uderzające podobnie do Mitzi.

- Bardzo za nią tęsknię...

- Co stało się z twoim ojcem?

- Nieświadomie zwrócił się do dziewczyny po imieniu.

- Małżeństwo mojej matki nie należało do szczęśliwych.

Miała ciężkie życie.

Ojciec zostawił ją dla innej kobiety, którą poślu bił po śmierci mamy.

Moi rodzice nigdy się nie rozwiedli, ale nie utrzymuję żadnych stosunków z ojcem.

- Jesteś jedynaczką?

- Tak.

Nie ośmieliłabym się zawracać panu głowy, panie de Guinzberg, gdyby nie moja sytuacja...

Nie mam pieniędzy, a dziecko wymaga opieki...

- Głos dziewczyny się załamał, po jej policzkach popłynęły łzy.

- Rebecca...

- Max podszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

- Nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, że mnie znalazłaś...

Chyba sam los cię tutaj przyprowadził.

Jesteś córką mojej siostry, wszystkim, co mi po niej zostało...

- Nigdy nie zamierzałam pana szukać...

- zaczęła cicho.

- Nic nie szkodzi, nie musisz się tłumaczyć - przerwał jej.

- Sa ma jesteś jeszcze dzieckiem.

Jesteś za młoda, żeby samodzielnie wychowywać Mitzi.

Dotarliście do domu, ty i ona.

Jesteście tu bezpieczne, obiecuję, że będę się wami opiekował.

- Zamknął tek turowe pudełko i wyciągnął rękę do dziewczyny.

- Chodźmy do kuchni, zrobię ci coś do jedzenia.

Na pewno jesteś bardzo głodna.

Co jada Mitzi?

- Karmię ją jeszcze sama, panie de Guinzberg.

- Rebecca we szła za nim do kuchni.

- Mów do mnie Max, moja droga.

Jestem przecież twoim wujem...

476

Rebecca znowu się rozplakała, co obudziło Mitzi.

Max zajął się przygotowaniem omletu, a w tym czasie Rebecca dyskretnie nakarmiła Mitzi.

Potem opowiedziała mu o swojej matce.

Max chciał wiedzieć wszystko, pragnął dowiedzieć się na wet tego, jak pachniała skóra Lydii.

- Zawsze otaczał ją zapach róż.

- Rebecca się uśmiechnęła.

- Jako dziecko często bawiłam się jej włosami.

Wiązałam je, zapla tałam, myłam...

Miała przepiękne, gęste włosy, takie jak ty.

Ja odziedziczyłam włosy po ojcu.

On także jest blondynem, ale ma rzadsze włosy.

- Moje także nie są już tak gęste jak kiedyś, ale to kwestia wie ku.

- Max odwrócił się, żeby na nią popatrzeć.

Teraz, kiedy przestała płakać, jej uroda po prostu rozkwitła.

Była piękną dziewczyną.

Jej oczy miały dokładnie ten sam mocny odcień błękitu co oczy Maksa, najbardziej niebieski z niebieskich, a szeroki, czarujący uśmiech czynił jej twarz podobną do twarzy babki Mitzi, stawnej wiedeńskiej piękności.

Rebecca dosłownie rzuciła się na omlet, a w czasie, gdy jadła, Max z rosnącą ciekawością przeglądał zawartość tekturowego pudełka.

Była tam złota gwiazda Dawida na łańcuszku, wysadzana brylantami broszka w kształcie motyla, która należała do ich matki, notes ojca z zapisanymi mocnym charakterem pisma modlitwami, stara Biblia w czarnej oprawie i złoty sygnet.

Uśmiechnął się na widok starego programu teatralnego z imieniem i nazwiskiem matki na pierwszej stronie.

Nie ulegało wątpliwości, że rodzice w pośpiechu próbowali zebrać i ukryć jak najwięcej pamiątek, świadomi, że mogą nigdy nie wrócić.

Max ze ściśniętym gardłem ostrożnie brał do ręki kolejne przedmioty.

Rebecca była zbyt młoda, aby pojąć, iż te rzeczy miały dla niego znaczenie relikwii.

Kiedy zainstalował ją w sypialni, w której oboje z Ruth spędzi li pierwszą noc po przybyciu do Elvestree przed ponad trzydzieściami laty, natychmiast zadzwonił do siostry.

Ruth nie mogła uwierzyć, że Rebecca rzeczywiście jest ich siostrzenicą.

- Jesteś pewny, że to nie oszustka?

- zapytała.

- Absolutnie.

Jest nawet do nas podobna.

- Jak Lydia mogłaby mieć szesnastoletnią córkę?

477 .

- Znaczy to tylko, że urodziła ją, mając osiemnaście lat - od parł Max.

- Takie rzeczy zdarzają się dosyć często.

- To niewiarygodne!

- Wiem, wszystko to razem jest po prostu zdumiewające.

Rebecca sama wygląda jeszcze na dziecko, a jednak przyjechała tu z własną maleńką córeczką, i to aż z Austrii.

To bystra, porządna dziewczyna, wystarczy zobaczyć, jak ma zapakowaną walizkę.

Musisz przyjechać tu jutro, jak najwcześniej.

Te fotografie są niesamowite...

- Nie do wiary, że Lydia przeżyła - powiedziała cicho Ruth.

- A my przez cały ten czas myśleliśmy, że zginęła...

- Nigdy nie przestanę żałować, że nie zdążyliśmy się z nią spotkać.

Dobrze chociaż, że mam szansę zaopiekować się jej dzieckiem.

Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić...

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, braciszku.

- Nie, kochanie.

Pojawienie się Rebeki i Mitzi to prawdziwe błogosławieństwo.

Max mówił prawdę.

Nagle odkrył, że wreszcie nie czuje się oka leczony.

Wreszcie zniknęła pustka w jego duszy.

Teraz miał przed sobą cel o wiele ważniejszy od wszystkich przedsięwzięć biznesowych.

Kiedy następnego dnia Max rozsunął zasłony, z wielkim zdziwieniem zobaczył parę śnieżnych gęsi, stojących na środku trawnika.

Zamrugał raz i drugi, lecz ptaki nadal tkwiły tam, gdzie po przednio - ich białe pióra błyszcząły w słońcu, krótkie czarne dzioby były pięknie wysklepione.

- Wydawało mi się, że mieszkają w Kanadzie...

- wymamrotał, przypominając sobie opowiadanie Paula Galileo pod tytułem Śnieżna gęś.

Potrząsnął głową i szybko się ubrał.

Z lekkim uśmiechem my ślał o wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

Jak nagle zmieniło się jego życie, dosłownie w jednej chwili...

Nowy dzień wydał mu się obiecująco piękny.

Gdy zszedł na dół, poczuł, że zapach drewna, ulatujący z jeszcze ciepłego popiołu w kominku, jest taki sam jak za życia Primrose.

Poczuł nagle, że dom odzyskał dawną aurę.

'sa.Eseat.sashaisyat

Lekkim krokiem wszedł do kuchni.

Pani Gunter, kucharka, miała przyjść później, aby przygotować lunch i kolację - do chwili jej przybycia Max miał kuchnię dla siebie.

Natychmiast zabrał się do robienia kawy, grzanek i owsianki, wycisnął sok z owoców i usmażył jajka.

Wszystko to robił z myślą o Rebecce, ponieważ nie wiedział, na co będzie miała ochotę, a bardzo chciał sprawić jej przyjemność.

Kiedy dziewczyna zeszła na dół, wyglądała zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia.

Umyła włosy, nałożyła delikatny makijaż i ubrała się w dżinsy oraz jasnobłękitny sweter.

Sprawiała wrażenie nieco starszej i uśmiechała się pogodnie.

W ramionach trzy mała Mitzi, która z wyraźnym zaciekawieniem rozglądała się dookoła.

- To wszystko dla mnie?

- zapytała Rebecca, z niedowierzaniem patrząc na zastawiony stół.

- Nie wiedziałem, co lubisz.

- Max lekko wzruszył ramionami.

- Dziękuję!

- zaśmiała się cicho i dźwięcznie.

- Nie mam pojęcia, od czego zacząć...

- Może dałabyś mi na chwilę Mitzi?

Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu, a ty spokojnie zjesz śniadanie.

- Na pewno chcesz ją potrzymać?

- Oczywiście, przecież to moja cioteczna wnuczka...

- Nie jesteś typowym mężczyzną, prawda?

- Nie mam własnych dzieci - odparł ze smutkiem, biorąc od Rebeki córeczkę.

Mitzi spokojnie ułożyła się w jego ramionach i spróbowała po klepać go po brodzie malutką, pulchną rączką.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że dotarłam do domu, ale nie wiem, czy...

- zaczęła niespokojnie Rebecca.

- Naprawdę jesteś tu u siebie.

Należysz do rodziny, ten dom jest także twój.

- Nie wiem, jak ci dziękować...

- Nie musisz, moja droga.

Widzisz, dorosłem w przekonaniu, że moja siostra nie żyje, myśl o jej śmierci dręczyła mnie przez długie lata.

Gdybyś wczoraj wieczorem nie przyjechała tutaj, ni gdy nie poznałbym prawdy i umarłbym jako głęboko nieszczęśliwy człowiek, tymczasem teraz będę mógł odejść z tego świata po 479 .



godzony z życiem, bo wiem, że urodziła ciebie i zdążyła przeżyć wiele pięknych chwil.

Ty i Mitzi jesteście śladem, jaki pozostawiła na ziemi, jej przyszłością, a także moją.

- Spojrzał na zamyśloną twarz dziewczyny.

- Rozumiesz mnie?

- Chyba tak...

- odparła powoli.

- Nawet jeżeli teraz nie do końca pojmujesz, o co mi chodzi, kiedyś na pewno zrozumiesz.

Jedź śniadanie, bo niedługo przyjeżdża moja siostra Ruth, która bardzo chce cię zobaczyć i poznać, a później chyba powinniśmy wybrać się na zakupy.

Biedna Mitzi nie ma przecież łóżeczka!

Ruth na powitanie uściskała brata i spontanicznie objęła Rebecę.

Długo wpatrywała się w twarz siostrzenicy pełnymi łez oczami, nie wiedząc, co powiedzieć.

W rysach dziewczyny rozpoznała swoją matkę, Maksa, nawet siebie samą.

Żadne wyjaśnienia i potwierdzenia nie były jej już potrzebne.

Wiedziała, że Rebecca należy do rodziny, wyczuła to sercem.

Wreszcie mogła mówić o przeszłości.

We troje spacerowali po ogrodzie, opowiadając sobie rozmaite historie, rozbudzając wspomnienia i zadając pytania, na które mogła odpowiedzieć Rebecca.

Ruth i Max na zmianę nośli Mitzi, oprowadzali siostrzenicę po jej nowym domu i pogodnie patrzyli w przyszłość, ponieważ demony przeszłości odeszły, przestraszone niewinnością dziewczyny.

Pili kawę i płakali nad fotografiami.

Rebecca wspominała matkę, a Ruth i Max nareszcie byli w stanie rozmawiać o swojej matce.

Kiedy Rita przyjechała na lunch, od razu wyczuła, że stało się coś niezwykłego.

- Czujesz, że dom jest teraz inny, prawda?

- Uśmiechnęła się do Maksa.

- Pachnie inaczej...

- Tak, wiem.

- Pachnie dymem, drewnem, ciepłem, zupełnie jak dawniej...

- Widziałaś śnieżne gęsi?

- Przyleciały?

- zawołała z podnieceniem.

- Para.

Rano wyjrzałem przez okno, a one stały na trawniku.

- Przecież tędy nie prowadzą ich szlaki!

- Ale są tutaj, w Elvestree.

- To cudowne...

- westchnęła.

- Nie aż tak cudowne jak przyjazd Rebeki.

480

J

- To prawda...

- Z czułością położyła dłoń na jego ramieniu.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś szczęśliwy...

Rita szczerze żałowała, że nie może cofnąć czasu.

Była już po czterdziestce i raczej nie mogła mieć nadziei, że urodzi jeszcze dziecko.

George stał się dla niej wyblakłym wspomnieniem, przejrzyście jak obłok dymu i równie ulotnym.

W zamyśleniu bawiła się zaręczynowym pierścieniem i zastanawiała, jak będzie wyglądała jej przyszłość teraz, kiedy Max ma rodzinę.

Kiedyś ją kochał...

Jak na ironię dopiero niedawno zrozumiała, że odwaga jejnia to uczucie.

Nie spadło to na nią nagle, lecz dokonało się powoli, stopniowo, tak, że prawie nie zauważyła zachodzących w jej sercu zmian.

Długo nie śmiała spojrzeć prawdzie w oczy, ale teraz, gdy życie Maksa nagle obrało inny kurs, uświadomiła sobie, że ona zostaje z tyłu i że bardzo jej się to nie podoba.

Dawna magia w pełni wróciła do Elvestree wiosną, kiedy Rebecca i Mitzi na dobre się tam zadomowiły.

Kwiaty znowu były większe i piękniejsze niż gdziekolwiek indziej, rzadkie warzywa i owoce obrodziły, zaskakując ogrodników, przybyło mnóstwo ptaków, aby budować gniazda wśród gałęzi potężnych, wyniosłych drzew, które od wieków czuwały nad tym tajemniczym kątkiem Anglii.

U ujścia rzeki widziano pliszki, maskonury, tka cze, a nawet albatrosa.

Dom znowu rozbrzmiewał śmiechem, a Rebecca i Ruth z radością patrzyły na swoje dzieci, bawiące się na trawniku.

Rebecca była otwartą, serdeczną osobą i często zapraszała na podwieczorki mamy innych maluchów.

Max z przyjemnością słuchał brzęku naczyń i gwaru rozmów, bo Rebecca stała mu się bliska jak córka, a ona też widziała w nim raczej ojca niż wuja.

Rita obserwowała ich z narastającą zazdrością.

Pokochała Rebeke i Mitzi, ale smuciło ją, że uwaga Maksa nie jest już skoncentrowana wyłącznie na niej.

Przestał obserwować ją z taką tęsknotą jak dawniej.

Wciąż wracała myślami do tamtego zimowego dnia, kiedy odrzuciła jego oświadczenia, i zastanawiała się, czy zdążył już zapomnieć, że ją kocha.

I właśnie wtedy, wśród tej wielkiej radości, George doznał udaru.

Hanna dowiedziała się o tym od Faye i przekazała wiadomość

Ricie, którą ogarnęło ogromne przygnębienie.

Pragnęła odwieźć George'a w szpitalu, ale wiedziała, że jej wizyta nie jest pożądana, a w jego stanie mogła wyrządzić więcej złego niż dobrego.

Codziennie pytała matkę, czy nie słyszała nic nowego, lecz nad chodzące ze szpitala wieści nie były zbyt pocieszające.

George ugiął się pod ciężarem lat, chociaż nie był starym czło wiekiem.

Może zniszczyły go traumatyczne przeżycia wojenne, może późniejsze napięcia, a może tajemnicza siła miłości, bo George kochał, chyba zbyt mocno i głęboko.

Rozdział trzydziesty siódmy

Susan siedziała na plaży i płakała.

Rzadko pozwalała sobie na łzy, ale tutaj, w objęciach zmroku, czuła się całkowicie bezpieczna.

Patrzyła, jak jej szczęście znika w mgłę na horyzoncie, tam, gdzie morze i niebo tworzą bramę, przez którą przechodzi się do innego życia.

Patrzyła tak, jakby George już nie żył.

Był pełen energii i witalności, silny jak dąb, był jej siłą i skałą, na której mogła się oprzeć, a teraz leżał przykuty do łóżka, nieruchomy i nie my, zupełnie jak starzec, chociaż miał dopiero czterdzieści siedem lat.

Nieszczęście przyszło nagle, bez ostrzeżenia.

George był na farmie i pracował, kiedy poczuł ból, ściskający mu głowę jak żelazne imadło.

Jeden z robotników przybiegł do domu, do Susan, która była wtedy w ogrodzie z Charliem, przystojnym dwudziestolatkiem, po uszy zakochanym w Daisy Weaver.

Zadzwonili po karetkę, która przewiozła George'a do szpitala w Exeter.

Podobnie jak jego ojciec, Charlie wykazał się odpowiedzialnością i rozwagą, ale Susan była zbyt zrozpaczona, by to dostrzec.

Teraz George przebywał w domu opieki Yew Tree, gdzie zajmowali się nim lekarze i rehabilitanci, znacznie lepiej przygotowani do takich zadań niż Susan.

Serce jej pękało, kiedy widziała go w takim stanie, bo do skonała zdawała sobie sprawę, że musi czuć się okropnie, jak nie483 .

dźwiedź bez pazurów albo lew bez zębów.

Jakaś część George'a już odeszła, a część jej samej podążyła za nim.

Zapagnęła, aby szum liżących brzeg fal koł jej udręczoną duszę - ten szum miał własny rytm, podobnie jak muzyka.

Pozwoliła, aby jej umysł zagłębił się w uliczki przeszłości, wróciła myślnymi do dnia, kiedy poznała George'a na pokładzie "Fortuny".

Pamiętała, jak chłodno go wtedy potraktowała i jak później na plaży w Urugwaju w jej ciele obudziło się coś znacznie potężniejszego i bardziej prymitywnego niż przyjaźń.

Uśmiechnęła się lekko, wspominając, jak nie potrafiła mu zaufać, jemu, który okazał się sensem jej istnienia.

Z jaką przebiegłością postarała się później, aby Agatha zaprosiła ją na ranczo w Cordobie...

Byli tam tacy szczęśliwi...

Przypomniała sobie, jak George pierwszy raz pocałował ją w przecięty blizną policzek, i natychmiast się rozpląkała, ponieważ wiedziała, że może już nigdy nie poczuje dotyku jego warg na skórze.

To George nauczył ją akceptować i kochać samą siebie i odwzajemniać miłość.

Przegalopował przez jej smutną duszę jak rycerz na białym koniu i pokonał wszystkie demony.

A jego własny demon?

Czy zdołał go zabić, czy raczej padł jego ofiarą?

Może przeszłość, która tak go dręczyła, zwinęła się na dnie serca jak jadowity wąż, który tylko czeka na odpowiednią chwilę, by zaatakować...

Może wspomnienia z okresu wojny i związane z Ritą wyrzuty sumienia w końcu go pokonały...

Może nadal kochał Ritę i tą siłą zdławioną, niespełnioną miłość zatruła cały jego organizm...

Cóż, teraz to wszystko nie miało już większego znaczenia.

Miłość George'a i Susan przetrwała, chociaż Frogal Point i jego duchy pozbawiły ją początkowej intensywności.

Susan siedziała na plaży, dopóki ciemność nie objęła jej chłodnymi ramionami, a na niebie pojawiły się gwiazdy i zamrugały do niej pocieszająco.

Morze wciąż w równym rytmie uderzało o skały, lekki wiatr muskał jej twarz.

Czuła, że jest częścią przyrody, jak leżąca na plaży muszla czy przyczajony w piasku krab, i nagle zrozumiała, że Bóg jednak istnieje i że to Jego głos dociera do niej w szeleście wiatru.

Ten głos mówił, że wszystko w życiu ma swój cel i że nic nie jest przypadkowe.

George wypełnił swoje przeznaczenie, jego choroba przyszła wtedy, kiedy miała przyjść.

Susan

dft4

odetchnęła z ulgą, ponieważ wreszcie pojęła, że walka z losem nie ma sensu.

Wszystko działo się poza jej kontrolą, to nie ona decydowała, co się z nią stanie.

Musiała po prostu poddać się sile wyższej i modlić się.

Zaczęła modlitwę od razu, błagając Boga o miłosierdzie i łaskę, bo nie wiedziała, jak ma żyć dalej bez George'a.

Dawno zapomniała, jak to jest być samodzielną, i uzależniła się od jego miłości.

Na pogrążonej w ciemności plaży po raz pierwszy uświadomiła sobie, że teraz naprawdę należy do Frogmal Point.

Ku swemu zaskoczeniu właśnie tutaj zbudowała dom pełen wspomnień i uczuć, dom wsparty na solidnym fundamencie.

Wiedziała, że Frogmal Point nigdy nie stanie się jej miejscem na ziemi - ślady jej stóp na piasku były wciąż świeże, podczas gdy George odcisnął tu swoje jako mały chłopiec - ale widziała je, były wyraźne i biegły tuż obok śladów męża.

Codziennie patrzyła na swego syna i Daisy z nadzieją, że pewnego dnia pobiorą się i będą pokazywać swojemu im dzieciom ptaki morskie i inne stworzenia, dokładnie tak samo, jak kiedyś robili to George oraz Maddie.

Cieszyła się przyjaźnią Avy i Elsbeth, świadoma, że ta więź będzie podtrzymywać jej córkę przez całe życie.

Mimo jej obaw, dzieci stały się częścią Frogmal Point, podobnie jak wcześniej ich ojciec, i ta mała wioska zrodziła uczucie przywiązania także i w jej duszy.

Kiedy wróciła do domu, Charlie i Ava czekali na nią w kuchni.

Ava przygotowała kolację, natomiast Charlie całą godzinę rozmawiał z Daisy przez telefon.

Oboje spojrzeli na mokrą od łez twarz matki i prawie jej nie poznali.

W ostatnich tygodniach Susan bardzo schudła.

Każde odwiedzenie w domu opieki wyciskało z niej jakąś część energii, ale dzieci nie rozumiały jej miłości.

Charlie i Ava byli jeszcze zbyt młodzi.

Ale Charlie zamierzał poślubić Daisy.

Swoją rozpacz i poczucie bezradności, wywołane chorobą ojca, ukrył na dnie serca, znajdując ucieczkę przed rzeźniczością w białym ciele Daisy.

Spotykali się w tajemniczej jaskini na plaży, do której wejście odkryli przypadkiem, ponieważ było zasłonięte wysoką trawą.

Ava wiedziała o tych spotkaniach od Elsbeth, która czasami podglądała młodych kołchożników.

Susan była wdzięczna dzieciom za wsparcie, którego jej udzieliła.

laty.

Ava robiła zakupy i dbała, aby na stole zawsze było coś smacznego, Charlie woził matkę do domu opieki, żeby nie musiała jeździć sama, i siedział na tarasie, paląc papierosy, kiedy ona spędzała czas z mężem, wspominając, dzieląc się z nim nowinami o dzieciach albo po prostu mu czytając.

George najbardziej lubił opowiadania Oscara Wilde'a i Maupassanta.

Patrzył na Susan smutnymi oczami, a ona napinała mięśnie twarzy, siłą przywołuując pogodny uśmiech, chociaż jej serce pragnęło zapaść w wieczny sen.

Teraz Charlie i Ava patrzyli, jak matka wchodzi do kuchni.

Jej

policzki były zaczerwienione od wiatru, a sięgające ramion włosy potargane.

- Masz ochotę na kieliszek wina, mamó?

- zapytał Charlie.

- Chętnie, dziękuję ci - odparła.

- Coś cudownie pachnie - do dała, spoglądając na córkę.

- Pieczony kurczak z warzywami.

Przygotowałam też ziemniaki, specjalnie dla Charliego, bo przy tak intensywnym wysiłku fi zycznym będzie musiał mieć dużo siły...

- Ava uśmiechnęła się

szeroko.

Starła się sprawić, aby atmosfera w domu stała się pogodniejsza, i dlatego pozwoliła sobie zażartować z zajęć, którym jej brat

oddawał się w jaskini.

Susan lekko zmarszczyła brwi, była jednak zbyt wyczerpana, aby dociekać, o co chodzi.

Charlie i Ava stale sobie dogryzali, a ona najczęściej nie zwracała na to uwagi.

Kiedy syn podał jej kieliszek dobrze schłodzonego chardonnay, ciężko opadła na krzesło.

Mimo obecności dzieci czuła się bardzo samotna.

Ava i Charlie mieli przed sobą przyszłość pełną miłości i spełnienia, natomiast jej serce powoli konało w domu opieki Yew Tree.



Wie działa, że nigdy więcej nie pokocha mężczyzny.

Po kolacji Charlie oświadczył, że pragnie ożenić się z Daisy, ale czuje, że nie powinien prosić ją o rękę, dopóki stan zdrowia ojca

nie ulegnie poprawie.

- Robisz błąd - powiedziała Susan.

- Ojciec na pewno bardzo się ucieszy.

Właśnie teraz potrzebuje dobrych wiadomości...

W oczach Charliego zabłyśło podniecenie i Susan uświadomiła sobie, że chociaż jej dzieci tęsknią za ojcem i szczerze martwią

486

się jego chorobą, to muszą myśleć o własnym życiu.

Zazdrościła im młodości.

Och, gdyby tak mogła zacząć żyć od nowa, z George'em...

Czy postępowałyby inaczej?

Czy zdecydowałyby, że po winni zostać w Las DOS Yizcachas?

Patrząc na szczęście dzieci, wiedziała, że decyzja o przeprowadzce do Frogal Point była słuszną, chociaż dla niej niewątpliwie bardzo trudną.

Następny dzień był pogodny i ciepły.

Sierpniowe słońce grzało z większą siłą niż przez całe lato.

Charlie i Ava pojechali razem z matką do ojca.

Oboje chcieli go zobaczyć - Charlie nie mógł się doczekać, kiedy powie mu o swoich zamiarach wobec Daisy, Ava zaś przez parę ostatnich dni nie odwiedzała George'a.

Jechali w milczeniu, patrząc, jak słoneczne promienie rozświetlają fale i szerokimi pasmami wędrują po plaży.

George siedział w fotelu na kółkach na tarasie, z którego roztaczał się piękny widok na ciemną, piaszczystą zatokę i ciemnoniebieskie morze.

Na jego otulonych kocem kolanach leżały notatnik i pióro, bo z ich pomocą po rozumiewał się teraz z otoczeniem.

Na widok rodziny uśmiechnął się, unosząc w górę jeden kącik warg, co teraz, po wylewie, było bardziej widoczne niż wcześniej.

Susan pomyślała, że jego oczy błyszczą niezwykłą radością, i jej serce wypełniła nadzieja.

Może nowy przypływ optymizmu obudzi siły witalne George'a i przyśpieszy jego rekonwalescencję, kto wie...

Czule pocałowała męża w policzek i ujęła jego dłoń, czując, jak w jego beużytecznym ciele serce bije wielką miłością.

Nie miała pojęcia, co spowodowało zmianę, jaka w nim zaszła, ale zrozumiała, że George zaakceptował swój stan.

Radość życia

otaczała go niczym ciepła aureola światła.

- Zamierzam poprosić Daisy, żeby za mnie wyszła - powiedział

Charlie, chcąc jak najszybciej przekazać ojcu nowinę.

Dzieci są mało spostrzegawcze, pomyślała Susan.

Przemiana duchowa George'a była dla niej tak wyraźna i oczywista, jakby na głos zaczął mówić, tymczasem Charlie był zainteresowany tylko własnymi sprawami.

George zachęcająco mrugnął do syna i drżącą ręką napisał na kartce: "Mam nadzieję, że się zgodzi".

Charlie zaśmiał się, przekonany, że właśnie tak będzie.

George dostrzegł podobieństwo między sytuacją swoją i syna, lecz na szczęście Charlie nie musiał walczyć na wojnie, która wykoślawiłaby jego

487 .

system wartości i wywarta destrukcyjny wpływ na umysł.

George miał przeczucie, że Charlie i Daisy będą żyć we Frogmal Point ży ciem, które było przeznaczone jemu i Ricie, i że zaznają prawdziwego szczęścia.

- Chciałbym wziąć ślub w kościele we Frogmal Point - ciągnął Charlie.

- Dzięki Bogu, że wielebny Hammond nie wygłasza tam już swoich kazań - powiedziała Susan.

Zniżyła głos, ponieważ du chowny także od pewnego czasu mieszkał w domu opieki Yew Tree.

- Zawsze robił na mnie wrażenie dość aroganckiego człowieka.

Młody proboszcz jest dużo bardziej sympatyczny...

George uśmiechnął się lekko i powoli skinął głową.

- Możesz być moją drużną - Charlie rzucił siostrze złośliwe spojrzenie.

- Za żadne skarby świata!

- zachichotała Ava.

- W takim razie zapłacę ci, żebyś siedziała cicho jak mysz pod miotłą - syknął Charlie.

- Charlie i Daisy znaleźli jaskinię na plaży...

- Ava nachyliła się do ucha ojca i sugestywnie uniosła brwi.

- Zamknij się, mała!

- Tatę to rozbawiło, głupku!

- rzuciła dziewczyna, robiąc za bawną minę.

Na chwilę oczy George'a wypełniły łzy.

A więc znaleźli tajemniczą jaskinię i odcisnęli na miękkim piasku ślady swojej własnej miłości...

Ogarnął go łagodny smutek, jakby przyptływ wkraść się do groty i zmył ślady stóp jego i Rity, ślady, które miały tam po zostać na zawsze.

Wkrótce na ich miejscu pojawią się nowe ślady i nowe wspomnienia, wspomnienia innych ludzi.

Życie było jak morze...

Niedługo potem Charlie i Ava poszli na spacer po plaży, zostawiając rodziców samych.

Susan usiadła obok George'a.

Długo pa trzymała w ślad za dziećmi, mocno ściskając jego rękę.

- Mam wrażenie, że czujesz się dziś lepiej, kochany...

Wiem, ja kie to okropne, że nie możesz się odezwać, ale z czasem wszystko wróci do normy.

Pokonasz te słabości dzięki sile ducha, jestem te go pewna...

- Odwróciła się i spojrzała mu w oczy, teraz zamgłone i smutne.

Serce ścisnęło jej się z bólu na widok jego bezradno488

ści. - Wszyscy tak bardzo cię kochamy...

- powiedziała, zdumiona, że z jej ust wydobył się tylko cichy szept.

George zamrugał, na jego długich rzęsach zawisła łza.

Otarła ją z czułością, nachyliła się i pocałowała go.

Chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem sięgnął po notatnik.

"Nie zasłużyłem na ciebie", napisał.

- To nieprawda!

-zaprotestowała, przytulając policzek do jego twarzy.

- Zasłużyłeś na całą miłość, jaką noszę w sercu!

George utkwiał wzrok w bezmiernym oceanie.

Nigdy nie widział aż tak błękitnego nieba.

Fale lśniły i połyskiwały w słońcu.

Miał wrażenie, że coś ciągnie go ku wodzie, jakby instynkt podpowiadał mu, że powinien obmyć w nim swoje zniszczone ciało.

Ogarnęło go pragnienie, aby zerwać się z fotela i pobiec przez plażę, ale był sparaliżowany, uwięziony w klatce z bezużyteczne go ciała i kości.

Nagle zobaczył jakąś postać, biegnącą ku niemu z rozpostartymi ramionami.

Włosy miała splątane jak morskie wodorosty, śmiech podobny do wołania mewy, wiatr niósł ją na swoich skrzydłach, pozwalając bez trudu biec po piasku.

Ubrana była w cienką letnią sukienkę i rozpinany sweter, a jej piegowa ta twarz promieniała radością.

Próbował zawołać: "Rita!

Rita!", ale jego głos zablokowany był gdzieś w głębi klatki piersiowej, tam, gdzie serce mocno biło z tęsknoty i pragnienia.

Udało mu się tylko lekko unieść rękę, miał jednak nadzieję, że Rita zauważy ten gest i zorientuje się, że ją woła.

Zaczęła machać do niego, dając mu do zrozumienia, żeby podążył za nią.

Czy nie wiedziała, że nie jest w stanie się ruszyć?

Jej ręce powoli falowały w po wietrze, twarz rozjaśnił szeroki, zachęcający uśmiech.

George próbował potrząsnąć głową, powiedzieć jej, że jest kaleką, lecz wtedy okazało się, że siła jego woli jest potężniejsza od fizycznego oporu, jaki stawiało ciało.

Płynnym ruchem uniósł się z fotele, zostawiając w nim zdruzgotane, pomięte niczym znoszona rzecz ciało.

Z uczuciem niewypowiedzianej ulgi popłynął nad trawnikiem, a potem nad plażą i dalej, dalej, tam, skąd Rita ma chała do niego energicznie i radośnie.

Jego kończyny poruszały się z taką lekkością i łatwością, jakby były utkane z promieni słońca.

Duszę wypełniła mu niezwykła radość.

Płynął ku wielkiemu, wspaniałemu światłu, które wołało go do siebie, i na489 .

gle zobaczył ich wszystkich, o twarzach promieniejących młodością i zadowoleniem.

Byli tam i czekali, aby powitać go w domu - Jamie Cordell, Rat Bridges, Lorrie Hampton, Trees, jego ojciec i wielu, wielu innych.

Rita nigdy nie zajrzała do Biblii, którą zostawił jej walebnym Hammond.

Zapomniała o niej i przez wiele lat nie pamiętała na wet, że Pismo Święte leży na małym stoliku w kącie pokoju.

Aż do teraz.

Wzięła księgę do ręki i delikatnie pogładziła skórzaną oprawę.

Duchowny starał się jej pomóc.

Wszyscy chcieli jej pomóc, a ona nic nie rozumiała.

Za bardzo bała się kolejnych rozczarowań i nie chciała zrobić kroku do przodu.

Rozczarowania przeszłości były jej dobrze znane.

Przywykła do swojego małego domku i samotnego życia, ale teraz, kiedy Rebecca odmieniła przeszłość Maksa, wszystko się zmieniło.

Odkryła, że ona także chce stać się częścią tych zmian.

Wsiadła do samochodu i pojechała do Elvestree.

Max pracował w gabinecie.

Kiedy stanęła w drzwiach, uśmiechnięta i promienna, przechylił głowę na bok i lekko zmarszczył brwi.

- Zjesz ze mną lunch?

- zapytała.

- Co się stało?

- odpowiedział pytaniem, zaskoczony zmianą, jaka zaszła w jej twarzy.

Wyglądała młodziej, jakby zrzuciła starą skórę.

Serce Maksa za drżało boleśnie.

Po wszystkich tych latach wciąż jednym uśmiechem wprawiała go w bezbrzeżny zachwyt, taką miała nad nim władzę...

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała.

- Dokąd chcesz pojechać?

- Najpierw do domu opieki Yew Tree.

Powinłam oddać tę Biblię wielebnemu Hammondowi, który tam teraz mieszka.

To nie daleko, możemy wziąć taksówkę, a później wybrać się do jakiegoś pubu.

Już dawno nigdzie nie byliśmy...

Max był zbyt zaniepokojony, aby nie skorzystać z tej propozycji.

- Powiem tylko Rebecce...

Do Yew Tree pojechali samochodem Maksa.

- Dlaczego akurat teraz chcesz oddać mu Biblię?

- zagadnął.

- Pożyczył mi ją wiele lat temu, więc chyba czas zwrócić, zwłaszcza że jest to bardzo piękne, stare wydanie.

- Dlaczego ci ją pożyczył?

- Uznał, że jestem jedną z zagubionych owieczek, bo przestałam chodzić do kościoła.

- I co?

- Chcesz wiedzieć, czy znowu zaczęłam chodzić na nabożeństwa?

Tak, ale nigdy nie sięgnęłam po jego Biblię.

- Czasami dziwię się, że nigdy nie próbował nawrócić mnie i Ruth...

- Nie, wy oboje byliście dla niego straceni.

Wielebny Hammond nie lubił przegrywać, dlatego wolał atakować takie na wpół zbłąkane owieczki jak ja.

Czuł, że ma szansę sprowadzić je na właściwą drogę.

Megababci także nigdy nie nawracał, bo wiedział, że czekałaby go całkowita porażka.

- Co znaczy, że nie był pozbawiony inteligencji...

- uśmiechnął się Max.

Ogarnęło go dziwne zdenerwowanie, chociaż zupełnie nie wie dział, z jakiego powodu.

Miał wrażenie, że oboje znowu są bardzo młodymi ludźmi, więc czym prędzej skoncentrował się na ostrożnej jeździe.

Przejechali przez białą bramę, wysadzany sosnami podjazd i za trzymali się przed imponującym budynkiem w wiktoriańskim stylu, kiedyś prywatną rezydencją miejscowego milionera.

Max wszedł z Ritą do holu, gdzie za biurkiem z ciemnego drewna siedziała recepcjonistka.

Przez otwarte francuskie okno widać było morze.

Max dotknął lekko ramienia Rity i powiedział, że zaczeka na nią na tarasie.

- To nie potrwa długo...

- rzuciła, odwracając się do młodej dziewczyny w pielęgniarzkim stroju.

- Chciałabym zobaczyć się z wielbnym Hammondem.

Nazywam się Rita Fairweather.

Pielęgniarka skinęła głową i ukazała w uśmiechu duże zęby.

- Oczywiście...

Pierwsze piętro, pokój numer czternaście.

Proszę skręcić w prawo i pójść prosto, schody są przy końcu korytarza.

Drewniana podłoga pachniała pastą.

Deski lśniły czystością, na

497 .



ścianach wisiaty obrazy o tematyce marynistycznej.

Schody cicho skrzypiały pod stopami Rity, przywodząc jej na myśl farmę Boltonów, chociaż te były szersze, bardziej imponujące, a na podeście znajdowało się ogromne okno.

Kiedy zapukała do drzwi pokoju wielbego Hammonda, okazało się, że gdzieś wyszedł.

Chwilę czekała w korytarzu, wreszcie postanowiła skreślić parę zdań na kartce i zostawić list razem z Biblią na łóżku duchownego.

"Przykro mi, że pana nie zastałam.

Jak sam pan powiedział, nie od razu Rzym zbudowano.

Dopiero teraz gotowa jestem położyć pierwszy kamień.

Z serdecznymi podziękowaniami, Rita".

Spojrzała na pierścionek z brylantem, który teraz lśnił chyba trochę słabiej niż dawniej.

Nie wiedziała, dlaczego nosiła go tak długo, chociaż już dawno stracił dla niej wszelkie znaczenie.

Mu siało zrobić jeszcze jedną rzecz.

Lekkim krokiem szła przed siebie korytarzem, zbyt zamyślona, aby we właściwym momencie dostrzec poważną młodą kobietę, idącą naprzeciwko niej z tekturowym pudełkiem w rękach.

Wpadła na nią i wytrąciła jej pudełko z dłoni.

Dziewczyna szybko uklęknęła na podłodze.

- Strasznie panią przepraszam!

- zawołała z przerażeniem Rita.

- Zamyśliłam się, to dlatego...

Przerwała, ponieważ rozpoznała Avę.

Dziewczyna zamrugnęła niepewnie.

Wiedziała, że gdzieś już widziała tę kobietę, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.

- Jestem Rita Fairweather...

Ava Bolton, prawda?

Co tutaj robisz?

- Wczoraj umarł mój ojciec.

Przyszłam zabrać jego rzeczy...

- George umarł?

- Rita powtórzyła z niedowierzaniem, powołała kręcąc głową, - Przecież był jeszcze młody...

- Zabił go drugi wylew.

Zapadło milczenie.

Rita powoli przetrawiała tę wiadomość.

George nie żyje?

Odszedł na zawsze?

- Bardzo ci współczuję...

- wyjąkała, pomagając Avie pozbierać rozsypane drobiazgi.

- Dziękuję - odrzekła Ava.

- Wszystko to stało się nagle, ale teraz raz ojciec jest już w lepszym świecie.

Naprawdę w to wierzę.

- Ja także - odparła Rita.

492

Podniosła z podłogi dwie książki i pióro.

Była zdumiona, po nieważ jej smutek był przytłumiony, jakby wyblakły.

Nagle dotar to do niej, że George, którego kiedyś kochała, umarł dawno temu i ona zdążyła go już opłakać.

W tej samej chwili zauważyła małą czarno-białą fotografię, którą dostała mu na początku wojny, starannie zamkniętą w kopercie z przezroczystej folii.

Usiadła i długo patrzyła na zdjęcie, zaskocona jego widokiem.

- Kto to jest?

- zapytała.

- Nie wiem - odrzekła Ava, zamykając pudełko.

- Chyba ktoś, kto był dla niego bardzo ważny.

Znalazłam to zdjęcie w kieszonce jednej z jego koszul.

Musiał często nosić je przy sobie...

Rita uśmiechnęła się i oddała fotografię dziewczynie.

Ava ski nęła głową, podziękowała i ruszyła w dół po schodach, lekko po stukując obcasami.

A więc naprawdę ją kochał...

Tak jak obiecał, aż do śmierci no sił jej zdjęcie, tyle że teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Przed dziesięciu laty jej serce oszalałoby ze wzruszenia, lecz młoda kobieta, którą wtedy była, dawno przestała istnieć.

Wyrosta już z jej skóry.

Chwilę okręcała na palcu pierścionek, a potem szybko zeszła do holu.

Znalazła Maksę na tarasie, z papierosem w ustach.

Bez słowa wzięta go za rękę i poprowadziła ścieżką na plażę.

Szedł za nią, za stanawiając się, dlaczego na policzkach ma rumieniec, a w oczach blask, którego od tak dawna nie widział.

Kiedy dotarli na sam brzeg, tam gdzie fale lizały piasek, odwróciła się do niego, spoj rzuciła mu w oczy i powoli zdjęła pierścionek z palca.

- Powinnam była zrobić to dawno temu - powiedziała i rzuciła złoty krążek daleko w morze.

Oboje patrzyli, jak z cichym, prawie niedosłyszalnym pluśnięciem wpada do wody i znika.

Max nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Serce biło mu jak szalone, ale nie śmiał budzić w nim nadziei.

- Kiedyś poprosiłeś mnie, żebym za ciebie wyszła...

- zaczęła Rita.

Przerwała.

Może właściwa chwila już minęła?

Może Max prze stał widzieć w niej kobietę, której pragnął?

Nie była już młoda i ładna jak dawniej, a on miał teraz Rebecę i Mitzi.

Na szczęście

493 .

Max nie potrzebował większej zachęty.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją tak, jak chciał to zrobić od ponad trzydziestu lat.

Zamknęła oczy, aby powstrzymać łzy, i zarzuciła mu ramiona na szyję, odwzajemniając pocałunek.

Po długiej chwili Max podniósł głowę i delikatnie przesunął palcami po jej policzku.

Miał jej tyle do powiedzenia, ale nie mógł znaleźć słów, które wyraziłyby jego uczucia, więc tylko patrzył na nią z miłością.

Przycisnęła usta do jego dłoni.

- Chcę się z tobą zestarzeć, kochany.

Chciałabym pójść z tobą na plażę, we mgle i w śniegu, i powiedzieć ci, jak mocno cię ko cham, żeby wymazać z twojej pamięci tamten zimowy dzień, kie dy o mało nie straciłam cię na zawsze.

Chcę dzielić z tobą wszyst ko - twoją przyszłość i przeszłość...

- W jej oczach zalśniły łzy.

- Zabierz mnie do Wiednia i pokaż mi Teatr Cesarski, gdzie twoja matka występowała specjalnie dla twojego ojca...

Może pewnego dnia będzie twój, a razem z nim wszystkie żyjące w nim wspo mnienia...

Max długo patrzył na nią, czekając, aż znajome zapachy dzie ciństwa znowu napłyną z głębi jego serca, ale nic takiego się nie stało.

- Nie - powiedział w końcu, a jego spojrzenie było tak przejmujące, że Rita z trudem je wytrzymała.

- Wiedeń mojego dzie ciństwa przestał już istnieć.

Zniszczyli go dawno temu i teraz na wet moje duchy nie przechadzają się już jego ulicami...

- Otoczył ją w talii ramieniem i wziął za rękę.

Obejmował ją tak, jakby za raz mieli zatańczyć walca, chociaż wcześniej sądził, że zapomniał kroków tego tańca.

- Wracajmy do domu, kochanie.

Razem zbudujemy nasz własny Wiedeń.

